Marta Kiermasz

ZŁO

Zbrodnia Łowca Ofiara

HARDE

Marta **Kiermasz**

ZŁO

Spis treści

Wstęp
JEFFREY DAHMER Kanibal z Milwaukee
TED BUNDY Potwór z sąsiedztwa
JOHN WAYNE GACY Klaun zabójca
RICHARD RAMIREZ Nocny Prześladowca
MARIUSZ TRYNKIEWICZ Bestia z Piotrkowa
AILEEN WUORNOS Autostradowa zabójczyni
ED KEMPER Koedukacyjny zabójca
Zakończenie
Bibliografia

Copyright © by Marta Kiermasz, 2022
Copyright © for the Polish edition by TIME SA, 2022

ISBN 978-83-67217-71-2

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska
Opracowanie graficzne środka: TYPO Marek Ugorowski

Redaktor prowadząca: Anna Sperling\ Korekta: Firma UKKLW – Małgorzata Ablewska, Joanna Misztal
Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Zdjęcie autorki: Justyna Kiermasz/Archiwum prywatne

Wydawca
TIME SA
ul. Jubilerska 10, 04-190 Warszawa

Więcej o naszych autorach i książkach:
wydawnictwoharde.pl
facebook.com/hardewydawnictwo
instagram.com/harde wydawnictwo
Dział sprzedaży i kontakt z czytelnikami: harde@grupazpr.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

WSTĘP

Zło wrodzone czy nabyte? – to pytanie, które stawiają sobie i pacjentom psychiatrzy z całego świata. Gdy dochodzi do brutalnej zbrodni, analizowane jest całe życie mordercy, by ustalić, czy źródłem jego patologii są czynniki wewnętrzne, czy zewnętrzne. W niektórych przypadkach dosyć szybko udaje się to określić. Ale w innych ustalenie przyczyny wymaga już znacznie szerszej analizy połączonej nie tylko z wywiadem środowiskowym, ale i z dogłębnym prześledzeniem warunków biologicznych. Dlatego amerykańscy naukowcy wzięli pod lupę mózgi morderców, by sprawdzić, czy różnią się one od tych, których właściciele nie fantazjują o zabijaniu. Zbadano w tym celu ośmiuset więźniów, którzy odsiadywali różne wyroki, zarówno te za morderstwo, przemoc, przestępstwa seksualne, jak i drobne wykroczenia. Wyniki były niezwykle ciekawe, choć mało zaskakujące. Okazało się bowiem, że u osób, które miały na sumieniu morderstwo, stwierdzono mniejszą aktywność w korze przedczołowej. Tej samej, która jest odpowiedzialna za kontrolowanie naszych zachowań w społeczeństwie. Różnice zauważono też w ciele migdałowatym, które dba o nasze procesy emocjonalne.

Seryjni mordercy, bo o nich będzie mowa w tej książce, odznaczają się (choć nie zawsze) niezwykle wysokim ilorazem inteligencji, brakiem empatii, ale też lęku. Potrzeba zabijania jest u nich znacznie silniejsza niż strach, który kierowałby większością ludzi, gdyby stanęli w obliczu odebrania komuś życia. Nie tylko nie odczuwają strachu, ale zamiast niego pojawiają się podniecenie i ekscytacja związane z polowaniem na ofiary, a później mordowaniem. Czasem niezwykle dużo ryzykują, decydując się na zabicie osoby ze swojego otoczenia, porwanie w biały dzień czy ukrywanie zwłok we własnym mieszkaniu, choć mieści się ono w bloku lub kamienicy pełnej sąsiadów.

Zło rodzi się zazwyczaj po cichu, za szczelnie zamkniętymi drzwiami. Może być efektem systematycznego, wieloletniego dręczenia, które skutkuje poważnym uszczerbkiem na zdrowiu i psychice. Gdy prześledzimy biografie wielu seryj-

nych morderców, zauważymy, że dosyć spora liczba z nich miała w przeszłości traumatyczne doświadczenia. Ale tu też ważna kwestia – nie każda osoba, która doświadcza w młodości przemocy i cierpienia, będzie urządzać polowania na ludzi. To, czy dany człowiek będzie w przyszłości zabijał, zależy od jego predyspozycji psychicznych, emocjonalnych i fizycznych. Niektórzy poradzą sobie z przeszłością sami, innym pomogą w tym terapeuci, a jeszcze inni poddadzą się swojej psychopatycznej naturze, która popchnie ich do niewyobrażalnych zbrodni.

Na przełomie stuleci wielu filozofów próbowało odpowiedzieć na pytanie: czy człowiek rodzi się zły? Czy już w chwili przyjścia na świat zaczynają ewoluować w nim cechy, które sprawią, że w przyszłości zamieni się w przerażającego potwora? Erazm z Rotterdamu, piętnastowieczny niderlandzki filozof, filolog i katolicki duchowny, twierdził, że człowiek jest z natury dobry, a zło pochodzi z niewiedzy. Jednak znacznie bliższy naszym czasom Marek Edelman, jeden z przywódców powstania w getcie warszawskim, stwierdził:

Człowiek jest z natury zły, człowiek rodzi się zły. Dopiero wychowanie robi go dobrym, jeśli oczywiście wychowanie jest udane. Całe generacje są złe, bo mają złych przywódców i stają się złe. Wychowanie jest więc decydujące. Zło przechodzi z pokolenia na pokolenie – najpierw ojciec jest faszystą, potem syn, który tęskni za mundurem ojca, gloryfikuje dziadka faszystę czy nacjonalistę i tak dalej, i tak dalej. Patrząc na historię ludzkości, na to, jak zmienia się natura człowieka w zależności od sytuacji i do czego jest tak naprawdę zdolny w chwili zagrożenia, sądzę, że każdy z nas nosi w sobie pierwiastek zła. Być może nigdy nie zostanie on aktywowany, ale jest obecny i czeka w uśpieniu. By stać się seryjnym mordercą, trzeba mieć w sobie znacznie silniejsze pokłady tego pierwiastka, które buzują pod powierzchnią i dojrzewają przez lata, czekając na dzień, w którym wezmą górę nad pozostałymi cechami i emocjami.

W tej książce nie dam jasnej odpowiedzi na pytanie, kto może być seryjnym mordercą, a kto nie. Nie dowiecie się z niej też, jak rozpoznać taką osobę. Historie, które prześledzimy, sprawią jednak, że wielu z was nie tylko zwątpi

w ludzką naturę, ale straci też zaufanie do sporej części społeczeństwa. Seryjny morderca nie porusza się po ulicach z napisem na czole „zabijam”. To może być nasz sąsiad, mąż, żona, syn, córka, ojciec, matka, właściciel dobrze prosperującej firmy czy niewinny – wydawałoby się – student. Zło nie ma konkretnej twarzy. Często chowa się za niewinnym uśmiechem i spojrzeniem, za przyjaznym gestem i uprzejmym „dzień dobry”. I właśnie dlatego jest tak szalenie niebezpieczne.

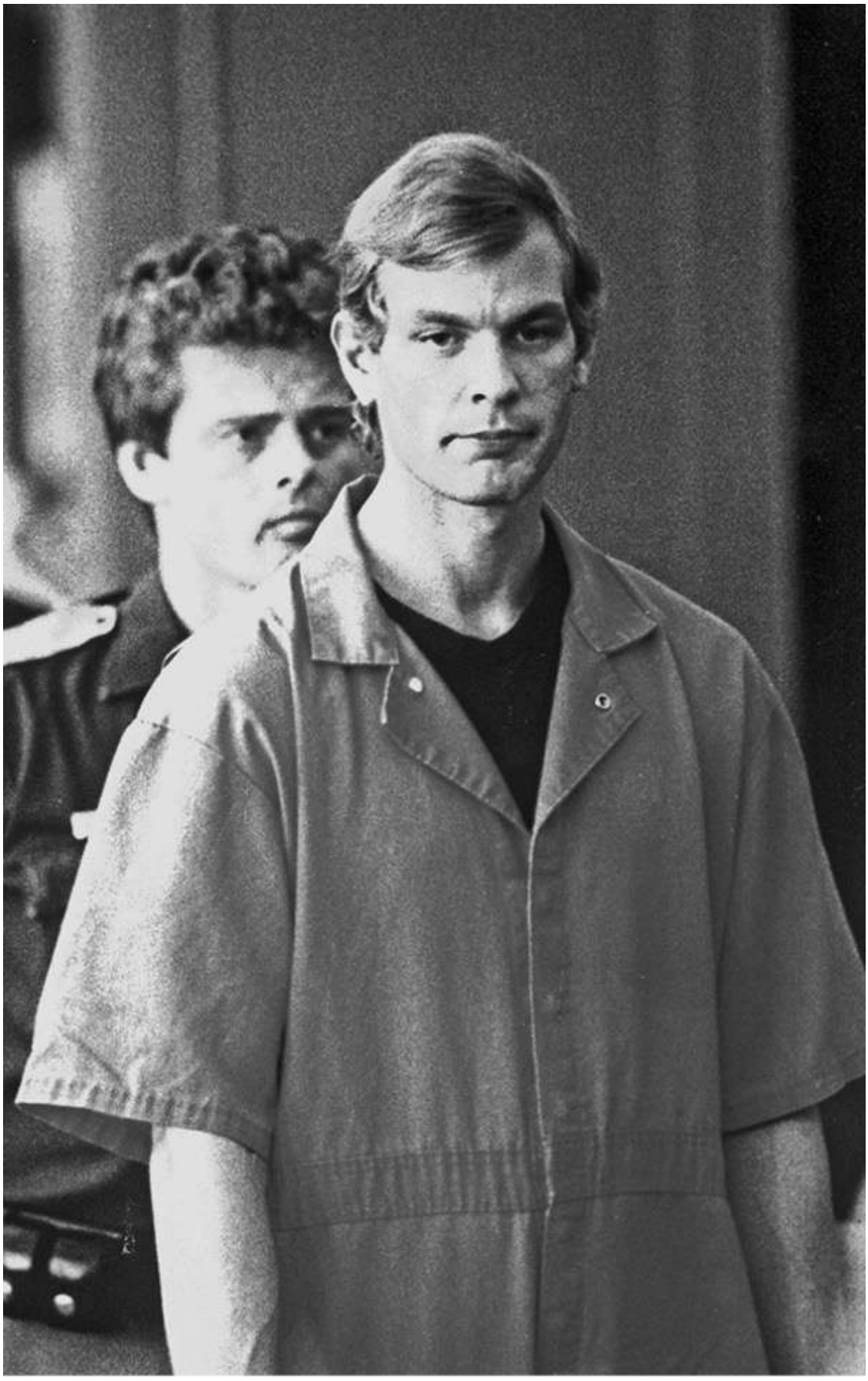

Jeffrey Dahmer mordował, torturował, a niektóre z ofiar zjadał. Zabił siedemnastu chłopców i mężczyzn.

FOT. AP PHOTO/EUGENE GARCIA/EAST NEWS

JEFFREY DAHMER

Kanibal z Milwaukee

Nie, zabójstwo nigdy nie było celem. Chciałem po prostu całkowicie kontrolować tę osobę, nie zwracać uwagi na jej potrzeby. Chciałem ją zatrzymać dla siebie tak długo, jak tylko zechcę.

Jeffrey Dahmer

Narodziny dziecka to moment, na który czeka niejedna kobieta. Wymarzone i upragnione wkroczenie w świat macierzyństwa może całkowicie na nowo zdefiniować życie. Rozpoczyna się planowanie niemal każdego aspektu związanego z tym doświadczeniem. Zaczynając od ciąży, a na studiach dziecka kończąc. Rodzice chcą mieć pewność, że nie tylko bezpiecznie sprowadzą pociechę na świat, ale że zapewnią jej również spokojne i szczęśliwe życie. Gdy jednak ten plan zawodzi, zaczynają się poszukiwania odpowiedzi na pytanie: jak do tego doszło? Podobne zdanie wielokrotnie padało z ust Lionela Dahmera, chemika niemiecko-walijskiego pochodzenia. Razem z żoną Joyce bardzo pragnęli dziecka. Dlatego gdy 21 maja 1960 roku na świat przyszedł ich pierwszy syn, czuli, że otwiera się przed nimi zupełnie nowy rozdział. Nikt nie mógł jednak podejrzewać, jak krwawy i tragiczny on będzie.

Milwaukee to największe miasto amerykańskiego stanu Wisconsin. Choć dziś liczy nieco ponad 575 tysięcy mieszkańców (dla porównania Warszawa ma milion 765 tysięcy), to w 1960 roku, czyli wtedy, gdy rodził się Jeffrey Dahmer, miasto przeżywało prawdziwie złoty okres. Mieszkało tam wówczas 741 tysięcy obywateli. Do dziś znane jest głównie z browaru koncernu SABMiller i motoryzacji. Dla Polaków może być o tyle atrakcyjne, że prężnie działa tam Polonia. Stanowi kilkanaście procent wszystkich mieszkańców. Zresztą Milwaukee ma w naszym kraju miasto partnerskie. Jest nim Białystok.

Amerykanie nieszczególnie cenią jednak tę lokalizację, bo co jakiś czas trafia do rankingów najgorszych miejsc w Stanach Zjednoczonych. I nie chodzi tutaj o kwestie bezpieczeństwa oraz wysoki poziom przestępczości. Jako minusy wymieniane są chociażby słabo rozwinięta komunikacja czy brak ciekawych parków, w których można się zrelaksować i do których można uciec od miejskiego zgiełku. Do tej listy trzeba też

niewątpliwie dorzucić Jeffreya Dahmera, który przyszedł na świat właśnie w Milwaukee.

Jego matka Joyce, z domu Flint, była norwesko-irlandzkiego pochodzenia i pracowała jako instruktorka dalekopisu. Urodziła się 7 lutego 1936 roku, rodząc Jeffreya, miała więc dwadzieścia cztery lata. W ciążę zaszła dwa miesiące po ślubie. Pochodziła również ze stanu Wisconsin, a konkretnie z Columbus (nie mylić tym z Ohio). Miała młodszego brata Donalda, który zmarł w 2011 roku. Według jej ówczesnego męża, ojca Jeffa, kobieta była hipochondryczką, cierpiała na depresję i przyjmowała leki, będąc już w ciąży. Lionel wielokrotnie zastanawiał się, czy przypadłość syna została w pewnym stopniu odziedziczona. W swojej książce *Historia ojca* pisał:

Jako naukowiec zastanawiam się, czy potencjał wielkiego zła tkwi głęboko we krwi niektórych z nas. Czy może przejść na nasze dzieci po urodzeniu.

Nie tylko Lionel zadawał sobie to pytanie. Od lat odpowiedź na nie próbują znaleźć naukowcy z całego świata. Międzynarodowy zespół Psychiatric Genomics Consortium pod przewodnictwem profesora Jordana Smollera z Uniwersytetu Harvarda przeprowadził kompleksowe badania na ponad dwustu tysiącach pacjentów. Badani byli zarówno cierpiący na depresję, chorobę dwubiegunową, schizofrenię, jak i anoreksję czy ADHD. Wykazano, że schorzenia psychiczne w 75 procentach mają podłoże genetyczne. Ale nie dlatego, że są dziedziczne, lecz dlatego, że kształtują się już w drugim trymestrze ciąży. Mogą być więc efektem niekorzystnych czynników zewnętrznych, takich jak toksyny. I – co ważne – nie każda choroba psychiczna musi mieć związek ze schorzeniem wykrytym u krewnego. Są jednak takie, które w przypadku wystąpienia u rodziców mogą (choć nie muszą) wpłynąć na zdrowie dziecka. Tak jest na przykład w chorobie afektywnej dwubiegunowej. Warto jednak zaznaczyć, że badania w tej sferze prowadzone są cały czas i genetyka nadal mimo szeroko rozwiniętej nauki pozostaje jedną z bardziej tajemniczych dziedzin dotyczących funkcjonowania naszego organizmu.

Czy Dahmer w jakimś stopniu przejął „szaleństwo" Joyce? Trudno jednoznacznie odpowiedzieć na to pytanie. Pewne jednak jest, że kobieta zmagała się z wieloma schorzeniami, które ujawniły się, gdy tylko zaszła w ciążę. Ta zresztą nie należała do łatwych. Joyce źle się czuła, zarówno fizycznie, jak i psychiczne. Miewała nudności, bóle brzucha, przeszkadzało jej wiele dźwięków i zapachów, zwłaszcza tych dochodzących z kuchni. Irytowali ją też sąsiedzi, którzy mieszkali w tym samym budynku. Wielokrotnie prosiła męża, by interweniował, bo według niej byli zbyt hałaśliwi. Lionel nie dostrzegał jednak w zachowaniu sąsiadów niczego złego i twierdził, że Joyce przesadza. Tygodnie mijały, a żona stawała się coraz bardziej nerwowa. Między małżonkami rosło wyczuwalne napięcie. Dochodziło do gwałtownych awantur, które zdarzały się również w późniejszych latach.

Lionel, sądząc, że poprawi to sytuację, przeprowadził się wraz z żoną do domu swoich rodziców w West Allis w Wisconsin. Było to w marcu, dwa miesiące przed urodzeniem Jeffreya. Stan zdrowia Joyce zaczął się jednak drastycznie pogarszać. Lionel wspominał:

Czasami jej nogi mocno się zaciskały, całe ciało sztywniało i zaczynało drżeć. Szczęka wykręcała się w prawo i była przerażająco sparaliżowana. W trakcie tych dziwnych napadów jej oczy wybałuszały się jak u przestraszonego zwierzęcia. Zaczynała się ślinić tak, że piana dosłownie leciała jej z ust.

Kobieta trafiła pod opiekę lekarza, ale ten nie potrafił zdiagnozować dokładnej przyczyny napadów. Był jednak przekonany, że źródła należy szukać w psychice, a nie w organizmie Joyce. Mimo to zdecydował się na przepisanie fenobarbitalu, czyli leku przeciwpadaczkowego. I o ile stan fizyczny kobiety zaczął się poprawiać, o tyle jej emocje znów gwałtownie pikowały. Jeszcze szybciej wpadała w złość, często się też obrażała, a do tego sprawiała wrażenie, jakby nie tylko otoczenie jej przeszkadzało, ale również ciąża, w której była. Lionel dopiero po śmierci Jeffreya przeprowadził wewnętrzne rozliczenie z samym sobą i przyznał, że nie był w tym trudnym czasie wystarczającym wsparciem dla Joyce. W pewnym sensie zostawił ją z destrukcyjnym „ja" całkowicie samą. To potęgowało rosnące w niej gniew, frustrację, brak poczucia speł-

nienia i zwyczajnie brak szczęścia. Lionel nie robił tego jednak celowo, w tym czasie mocno skupiał się na swoim rozwoju i karierze naukowej, a żona wymagała stałej, profesjonalnej pomocy. Całe dnie spędzała w domu, czekając na męża, ale zamiast niego mogła rozmawiać głównie z jego matką. Ich relacje też były napięte, bo Joyce często bywała rozdrażniona i podobnie jak w przypadku pierwszego mieszkania, również tu przeszkadzało jej mnóstwo dźwięków i zapachów. Jej apteczka stale się powiększała, doszło do tego, że łykała nawet dwadzieścia sześć różnych tabletek dziennie. Zaawansowana ciąża nie była dla niej przeszkodą.

Psychika ciężarnej kobiety jest znacznie bardziej skomplikowana, niż może się to wydawać osobom, które albo nigdy nie doświadczyły tego stanu, albo nie miały bliższego i dłuższego kontaktu z kobietą spodziewającą się dziecka. Większość ciężarnych odczuwa w tych miesiącach lęk, niepokój, pojawiają się też stany depresyjne. Co czwarta kobieta przyznaje, że właśnie w ciąży doświadczyła poważnych problemów psychicznych. Poczucie osamotnienia, huśtawki nastroju, częste zmęczenie, senność, pesymizm, a do tego wybitnie obniżona samoocena, to codzienność dla wielu przyszłych matek. U niektórych może pojawić się nawet tokofobia, czyli lęk przed porodem. Pojawia się strach związany z bólem, ale przede wszystkim obawa, czy wszystko przebiegnie dobrze i dziecko urodzi się zdrowe. Jeśli te skrajne nastroje wrzucimy do już obciążonej negatywnymi emocjami głowy, tak jak to miało miejsce w przypadku Joyce, otrzymujemy niebezpieczną mieszankę hormonów, depresji i niegasnącego gniewu. To niszczycielska wręcz siła, zarówno dla samej kobiety, jak i wszystkich tych, którzy przebywają z nią na co dzień. Co ważne, gdy Jeffrey siedział już w więzieniu, wiele razy podkreślał, że nie wini matki i to nie jej gwałtowne zachowanie sprawiło, że był, kim był.

Gdy nadszedł dzień, w którym Jeff przyszedł na świat, Lionel był w pracy na uczelni. Jego kariera naukowa dopiero się rozkręcała, dlatego sporo czasu spędzał za biurkiem jako asystent. Codzienną rutynę przerwał telefon od matki, która przekazała, że Joyce jest w szpitalu. Zawiózł ją tam teść. Na szczęście dla Lionela placówka znajdowała się zaledwie kilka

budynków od uczelni, dzięki czemu mógł błyskawicznie dostać się do żony. Poród przebiegł jednak jeszcze szybciej i gdy mężczyzna przyjechał na miejsce, mały Jeff był już bezpieczny poza brzuchem matki. Lionel usłyszał wówczas od żony słowa, które rozgrzały jego serce i sprawiły, że po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuł szczęście. Brzmiały one: „Masz syna".

Kilka minut później po raz pierwszy go zobaczyłem. Był w małej plastikowej kołysce, jego ciałko owinięto niebieskim kocykiem. Gdy go ujrzałem, leżał na boku, bez ruchu. Miał zamknięte oczy i spał spokojnie. A ja gapiłem się na niego zdumiony. Nie mogłem uwierzyć, jak bardzo jest do mnie podobny. Widziałem w nim własne rysy, jakbym patrzył na swoją miniaturę. Jakbym widział siebie w tej malutkiej, różowej buzi. Joyce powiedziała: masz syna. I miałem. Syna, któremu drugie imię dałem po sobie samym. Jeffrey Lionel Dahmer.

Po kilku dniach zarówno Joyce, jak i Jeff mogli wrócić ze szpitala do domu. Ze względu na niewielką deformację stóp chłopiec wymagał korekty ortopedycznej. Poza tym był zdrowy i wniósł do domu radość, jakiej w tych murach nie było od dawna. Między Joyce i Lionelem zaczęło się układać. Skupiali się na upragnionym dziecku, które w ich oczach było doskonałe. Delektowali się każdym dniem spędzanym razem, ulegając zauroczeniu, w które tuż po narodzinach wpada większość rodziców. Były to wyjątkowo szczęśliwe chwile. Nie potrwały jednak długo.

Po kilku tygodniach stan Joyce znów zaczął się drastycznie pogarszać. Opieka nad Jeffem ją przerażała, a ona sama stała się podenerwowana. Cierpiały na tym jej relacje z mężem. Mimo szczerych chęci Lionel nie potrafił zrozumieć, skąd biorą się te wszystkie łzy i wściekłość, nie umiał zlokalizować źródła problemu. Wydawało mu się, że jako rodzina osiągnęli przecież wszystko – mieli siebie i Jeffa.

Uznał, że najlepszym wyjściem z tej niezwykle trudnej sytuacji będzie zmiana otoczenia, co oznaczało wyprowadzkę z domu jego rodziców. Gdy Jeffrey miał cztery miesiące, Dahmerowie zamieszkali przy Van Buren Street na wschodzie Milwaukee. Dom znajdował się w spokojnej okolicy, pełnej

rodzin z klasy średniej. W sąsiedztwie było mnóstwo małych, lokalnych restauracji i kawiarni. Lionel był przekonany, że to idealne miejsce na nowy początek. Wierzył, a przynajmniej bardzo chciał w to wierzyć, że takie przyjazne otoczenie wniesie do jego rodziny mnóstwo energii, ale też poczucie bezpieczeństwa, które wyciszy negatywne emocje targające Joyce. Przez jakiś czas rzeczywiście tak było. Pierwsze dwa lata upłynęły w ciszy i spokoju, Lionel pracował, a Joyce zajmowała się Jeffem, spełniając wszystkie jego zachcianki. Pragnęła, by jej syn miał szczęśliwe dzieciństwo, mimo tej całej walki, którą nieustannie toczyła we własnej głowie. Między nią a mężem bywało różnie. Niektóre dni były całkowicie normalne, zupełnie tak jakby do tych fatalnych momentów sprzed miesięcy nigdy nie doszło.

W 1962 roku Lionel dostał pracę na Uniwersytecie Iowa. Dahmerowie ponownie więc spakowali cały dobytek i przenieśli się w inne miejsce. Zamieszkali w drewnianym domu na terenie kampusu uczelni. Ale tam znów objawiły się emocjonalne problemy Joyce. Była niespokojna, często też wybuchała, a w nocy krzyczała przez sen. Dodatkowym problemem był stan zdrowia Jeffreya. Chłopiec cały czas chorował, wielokrotnie trafiał do szpitala, gdzie był leczony pod czujnym okiem lekarzy. Zdarzały mu się też infekcje ucha, które wywoływały ogromny ból.

Mimo tych problemów Jeffrey był szczęśliwym, energicznym dzieckiem. Często chodził z ojcem na festyny, uwielbiał zresztą jego towarzystwo. W ciągu dnia jeździł na rowerze, wieczorami czytał książki. Był ciekawski, czasem też porywczy. Przejawiał również dużą wrażliwość wobec zwierząt. Pewnego dnia podczas spaceru z ojcem zauważył leżącego na ziemi jastrzębia. Było to pisklę, które wypadło z gniazda. Lionel początkowo nie wiedział, co zrobić z ptakiem, ale gdy zobaczył zapłakanego synka, chwycił jastrzębia w dłonie i zaniósł do domu. Tam razem z Jeffem przez kilka tygodni dbał o niego, obficie karmiąc go i pojąc. Gdy ptak nabrał sił, Lionel razem z synem i żoną wynieśli go na zewnątrz i wypuścili na wolność. Jastrząb odleciał, a Jeff wpatrywał się w niego jak oczarowany. Prawdopodobnie był to najszczęśliwszy dzień w całym jego życiu.

Świat małego Dahmera zmienił się 18 grudnia 1965 roku. Jego matka urodziła wtedy drugiego syna. Rodzice nie chcieli, by Jeffrey w jakikolwiek sposób poczuł się zagrożony czy niepewny swojej pozycji w ich życiu, dlatego pozwolili, by to on wybrał imię dla brata. Jeff postawił na Davida. Młodszy syn zafundował Joyce i Lionelowi mnóstwo nieprzespanych nocy. Miewał bolesne i męczące kolki, przez co uwaga rodziców skupiała się głównie na nim. Do tego Dahmer senior sporo czasu poświęcał pracy, w której znikał na całe dnie. Zajęci więc wieloma obowiązkami rodzice nie zauważyli, że Jeff przechodzi niepokojącą metamorfozę. Z energicznego i uśmiechniętego dziecka zaczął przeradzać się w chłopca wycofanego, który izolował się od świata. Unikał kontaktu z rówieśnikami, zamiast tego wybierał własne towarzystwo i swoją wyobraźnię. To zresztą stanie się w przyszłości jedną z głównych cech charakteru Dahmera – będzie samotnikiem nieustannie szukającym bratniej duszy, partnera, który zrozumie jego niezwykle mroczną i przerażającą psychikę. Z kolei bycie cichym outsiderem da mu to, czego potrzebuje każdy seryjny morderca – niewidzialność. Będzie dla społeczeństwa przezroczysty, niegroźny, poza jakimikolwiek podejrzeniami. Cichy, spokojny, nijaki. To właśnie dzięki temu będzie mógł swobodnie pielęgnować w sobie zło i przelewać je na wybrane ofiary.

W 1968 roku, gdy Jeffrey miał zaledwie osiem lat, Dahmerowie przeprowadzili się po raz kolejny. Za cel obrali piękną i nowoczesną jak na tamte lata posiadłość na obrzeżach Akron w stanie Ohio. Otoczona drzewami, przestronna i z dużymi oknami mogła sprawiać wrażenie prawdziwej oazy, w której schronienie i bezpieczeństwo znalazłaby każda rodzina. Do jej wejścia prowadziły kamienne schodki. Z zewnątrz budynek był drewniany, miał duży taras i wąski komin przypominający wyrastający ze ścian dodatkowy murek. W środku były trzy sypialnie, a także dwie łazienki. Ze względu na jego unikatowy styl o budynku pisano nawet w „Akron Beacon Journal”, codziennej gazecie wydawanej w stanie Ohio. W tamtym czasie dom był stosunkowo młody, bo został wybudowany w 1952 roku, co oznacza, że w chwili przejęcia go przez Dahmerów liczył 16 lat. Na wartości zyskał jednak dużo później. Owiany złą, ale kuszącą legendą został kupiony w 2005 roku

przez muzyka Chrisa Butlera. Przeznaczył on na posiadłość ponad 244 tysiące dolarów. W 2016 roku umożliwił wynajęcie budynku – za 8 tysięcy dolarów za tydzień. Raz nawet odbyło się tam spotkanie Partii Republikańskiej. Mimo to muzyk zdecydował się na sprzedaż posiadłości. W 2019 roku chciał za nią 260 tysięcy dolarów, czyli nieco więcej, niż sam za nią dał. Dlaczego właśnie ten dom Dahmera cieszył się popularnością? Odpowiedź jest bardzo prosta. To właśnie tam Jeffrey dokonał pierwszego zabójstwa.

Zanim jednak doszło do zbrodni, w życiu chłopca już we wczesnych latach zaczęły występować niepokojące zachowania. Jego rodzice całkowicie przeoczyli najbardziej oczywiste sygnały, które powinny zapalić w ich głowie czerwoną lampkę. Jeff, jak już wspomniałam, był skrytym chłopcem, ale tę nieśmiałość i kruchość próbował nadrobić poczuciem humoru. Dobrze się uczył, był niezwykle pilnym i inteligentnym uczniem, ale sprawiał też wiele kłopotów. Miał opinię klasowego żartownisia, a celem jego dowcipów byli nierzadko nawet nauczyciele. Gdy przychodziło do działania, Dahmer zmieniał się w śmiałego i odważnego chłopca, co nie współgrało z jego wycofaniem, które przejawiał na co dzień. Pewnego razu, w trakcie wycieczki do Waszyngtonu, chłopiec oznajmił całej grupie szkolnej, że ta koniecznie powinna spotkać się z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych, choć tego punktu w planie wycieczki nie było. Nieco zuchwały pomysł spotkał się z kpinami kolegów i koleżanek, ale to młodego Jeffreya kompletnie nie zraziło. Zauważył budkę telefoniczną, podbiegł do niej i… zadzwonił do Białego Domu. Do dziś nie wiadomo jak, ale udało mu się umówić na spotkanie z wiceprezydentem. Jeszcze tego samego dnia cała klasa mogła cieszyć się rozmową przy Pennsylvania Avenue.

Jeffrey w tamtym czasie był niezwykle obiecującym dzieckiem. Błyskotliwy i ciekawski, nieangażujący się w bójki, posłuszny rodzicom… Ale to była tylko ta zewnętrzna powłoka, którą dostrzegało się przy pierwszym spotkaniu z chłopcem. Coraz mocniej zaczęła dominować mroczniejsza natura, która z czasem całkowicie przejęła kontrolę nad jego życiem. Jeff nie miał przyjaciół, a wszystkie znajomości były raczej ulotne. Wymyślał sobie towarzyszy i zdecydowanie

wolał z nimi spędzać czas niż z żywymi ludźmi. Narodziła się w nim również nowa pasja. Pewnego dnia Lionel znalazł w piwnicy kości zwierzęcia. Zebrał je, wrzucił do wiadra i wyszedł na zewnątrz, by zakopać w lesie. Towarzyszył mu wówczas Jeffrey. Dotykał każdą kostkę i dokładnie oglądał z nieukrywaną fascynacją. Po raz pierwszy coś aż tak go pochłonęło. Jak wspominał później Lionel:

Kości grzechotały, a on wyglądał na zafascynowanego tym faktem. Gdy upuszczał którąś z nich, powiedział: „Są zupełnie jak bierki!”.

Choć z pozoru wydaje się to mało znaczącym incydentem, dla Jeffreya był to przełomowy moment w życiu. Właśnie tak rozpoczęła się jego obsesja związana z anatomią. Swoje kroki mały Dahmer skierował więc do lasu. Zaczął tam spędzać każdą wolną chwilę. I nie byłoby w tym niczego złego i dziwnego, gdyby nie fakt, że pojawiał się tam w konkretnym celu. Jeffa fascynowały zwierzęta, a dokładnie to, co mają w środku. Spacerował więc wśród drzew, wokół drogi i szukał zwierzęcych zwłok. Gdy jakieś znalazł, szybko chował je do worka, a później niemal z chirurgiczną precyzją badał:

– Zabierałem je z powrotem do lasu. Skórowałem, rozcinałem, otwierałem i grzebałem we wnętrznościach, czując podniecenie, nie wiem czemu. Oglądanie tego było ekscytujące – mówił Dahmer w rozmowie z amerykańskim dziennikarzem Stonem Phillipsem. Jeffrey zbierał kości zwierząt, głównie tych mniejszych, takich jak myszy czy wiewiórki. Kolekcjonował też duże owady – ćmy i ważki. Niektóre szczątki trafiały do słoików, które wcześniej chłopiec wypełnił formaldehydem. Swoją kolekcję przechowywał w chacie nieopodal domu, która również znajdowała się na terenie niewielkiego lasu. Pewnego dnia w trakcie rodzinnego obiadu zapytał ojca, co by się stało, gdyby kości kurczaka umieszczono w wybielaczu. Lionel nie zauważył w tym pytaniu niczego złego, wręcz przeciwnie. Potraktował je jako naukową ciekawość, którą – jak sądził – syn odziedziczył po nim. W końcu Dahmer senior był chemikiem, wydawało mu się więc naturalne, że jego dziecko może przejawiać podobne zainteresowania eksperymentami jak on. Dla Jeffreya było to jednak znacznie więcej niż dziecięca fascynacja nauką. Obsesja związana ze zwłokami, z tym,

jak wyglądają szkielety i zwierzęce organy, pochłonęła go całkowicie. Pewnego razu znalazł truchło psa. Odciął mu głowę, nabił ją na patyk, a ciało przybił do drzewa. Zaprosił do lasu jednego ze szkolnych kolegów. Pokazał mu tę makabryczną wystawę, której sam był autorem. Przekonywał, że nie ma pojęcia, kto to zrobił, a on po prostu znalazł zwłoki w takim właśnie stanie. Jeff nieco przerażał znajomych w szkole. Uważali go za dziwaka, bo trzymał się z daleka i miał wyimaginowanych przyjaciół. Dlatego nieszczególnie dążyli do zacieśniania więzi z chłopcem.

Gdy Jeffrey coraz bardziej pogrążał się we własnym świecie, jego matka robiła to samo. Mieszanki leków, które zażywała, nie tylko nie pomagały, ale wręcz pogłębiły depresję. Gdy Dahmer miał dziesięć lat, kobieta trafiła na leczenie do szpitala psychiatrycznego. I nie był to ostatni raz, gdy znalazła się pod opieką takiej właśnie placówki. To, co działo się z kobietą, mocno odbijało się na coraz starszym Jeffreyu. Intensywnie przeżywał każdą kłótnię rodziców. By poradzić sobie z własnymi emocjami, biegł do lasu, chwytał za kij i z całej siły uderzał nim w drzewo. Tak wyładowywał całą złość, ale też bezsilność, które czuł w tamtym czasie. Dodatkowym problemem w okresie dojrzewania stał się alkohol. Jeffrey coraz częściej pił, do tego stopnia, że wykradał butelki sąsiadom. Zanim skończył szkołę średnią, był już zaawansowanym alkoholikiem, czym zresztą później wielokrotnie tłumaczył dokonane zbrodnie. Rodzice, zbyt zajęci swoimi sprawami, nawet nie zauważyli, że syn z każdym dniem zatraca się coraz bardziej w wyjątkowo niebezpiecznym i destrukcyjnym nałogu.

Okres dojrzewania niósł ze sobą jeszcze jedną pułapkę – Jeffrey odkrył swoją seksualność. Nie potrafił jednak się nią cieszyć jak większość nastolatków. Wręcz przeciwnie, zaczął traktować ją jako temat tabu, coś wstydliwego, co jeszcze bardziej potęgowało jego izolację społeczną. Dahmer zrozumiał bowiem, że nie pociągają go dziewczęta, a chłopcy. Wydawało mu się, że to czyni go gorszym, dlatego ukrywał swoje preferencje, budując wokół siebie jeszcze większy mur. Ale to dało skutek całkowicie odwrotny. Zamiast być szczęśliwy, Jeffrey cierpiał. Był samotny, a rosnąca w nim frustracja brała górę

nad innymi emocjami, aż w końcu niemal całkowicie zdominowała jego sposób postrzegania rzeczywistości. Nie mogąc odnaleźć się w świecie, w którym żył, stworzył w swojej głowie własne uniwersum, do którego dostęp miał tylko on. Tam nikt nie mógł go skrzywdzić, wyśmiać ani ocenić. Był taki, jakim chciał być, bez konieczności tłumaczenia się komukolwiek.

Jeffrey w wieku czternastu lat był już tak uzależniony od alkoholu, że pił go nawet w czasie lekcji. Najczęściej sięgał po szkocką whisky. Gdy jeden z kolegów zapytał go, dlaczego pije w czasie zajęć, Dahmer przekonywał, że jest to jedynie lekarstwo, które musi zażywać. Mając kilkanaście lat, chłopak wdał się w zażyłą relację z innym kolegą. Jak później jednak zapewniał, nigdy nie doszło między nimi do zbliżenia. Ale już wtedy Jeffrey uświadomił sobie, że nie pragnie zwykłego związku. Chciał takiego, w którym to on będzie dominował, a jego partner będzie całkowicie mu oddany. Pomysł na to, jak osiągnąć taką relację, dopiero w nim dojrzewał:

Zaczęło się, gdy miałem czternaście–piętnaście lat. Pojawiła się u mnie obsesja związana z przemocą i seksem. Z czasem to się pogłębiało i nie mogłem już temu zaradzić.

W głowie szesnastoletniego Dahmera narodził się szokujący plan. W lesie obok domu często widywał biegacza, postanowił więc, że mężczyzna będzie jego pierwszym całkowicie zniewolonym kochankiem. Z dużą dokładnością zaplanował napad. Był przekonany, że biegacz wybiera tę samą trasę niemal każdego dnia, schował się więc w zaroślach i czekał, aż jego ofiara wyłoni się zza drzew. Chciał go ogłuszyć kijem, a następnie położyć się obok niego, by słuchać bicia jego serca i wykorzystać seksualnie. Na szczęście dla mężczyzny akurat tego dnia nie zdecydował się on na trening w tej okolicy i nie spotkał na swojej drodze Dahmera. Chłopak był tym mocno rozczarowany, ale uznał, że więcej do tego pomysłu nie będzie już wracał. Po latach Jeffrey przyznał, że była to jego pierwsza próba zaatakowania człowieka.

Kolejnym punktem zwrotnym w jego życiu był rozwód rodziców. W 1977 roku Lionel odkrył, że Joyce miała krótki romans. Mimo wcześniejszej terapii tego małżeństwa nie dało

się już uratować. Para zdecydowała się na rozstanie. Ojciec wyprowadził się do motelu, a niedługo później Joyce porzuciła dom i odeszła razem z młodszym synem, zostawiając Jeffreya samego. Dla większości nastolatków rozstanie rodziców to jeden z najbardziej traumatycznych momentów. To właśnie wtedy burzone jest ich poczucie bezpieczeństwa, ich świat, który był budowany przez lata, rozpada się. Nie inaczej było w przypadku Jeffreya, u którego stres związany z problemami rodzinnymi pogłębił społeczną izolację i uzależnienie od alkoholu. W międzyczasie jego ojciec znalazł szczęście u boku innej kobiety. Była to Shari, z którą mężczyzna wziął później ślub. Od pierwszych chwil miała dobre relacje z Jeffem, wielokrotnie podkreślała, że kochała go jak własnego syna. Ale chłopak – wówczas osiemnastoletni – każdego dnia toczył ze sobą wewnętrzną wojnę. Był coraz bardziej sfrustrowany, co potęgowało jego fantazje. Te nieustannie krążyły wokół seksu i zniewolenia. Samotność nie pomagała w pozbyciu się tych natrętnych myśli, podobnie zresztą jak alkohol. To wszystko nieuchronnie prowadziło do chęci popełnienia pierwszej zbrodni, choć sam Dahmer zapewniał, że to, co później się wydarzyło, było całkowicie spontaniczne, a nie wcześniej zaplanowane.

Lato 1978 roku było przełomowym momentem w życiu Jeffreya. To właśnie wtedy dokonał pierwszego, ale nie ostatniego, zabójstwa. Osiemnastego czerwca spotkał na swojej drodze rówieśnika – Stevena Hicksa. Jeffrey wracał akurat z centrum handlowego, fantazjując o autostopowiczu, którego mógłby zabrać i całkowicie zdominować. Pech chciał, że tym autostopowiczem był właśnie Hicks. Jeffrey otworzył przed nim auto i zaproponował, by pojechali razem do jego domu. Chłopak zgodził się, nie mając pojęcia, co go wkrótce spotka. Budynek był pusty od czasu wyprowadzki rodziców i rzadko ktokolwiek zaglądał do Jeffreya. Nikt nie miał więc nad nim kontroli. Po wejściu Hicksa Dahmer zaproponował mu piwo. Sączyli alkohol przez kilka godzin, rozmawiając ze sobą. Jeffrey bawił się tak dobrze, że nie chciał, by to wspólne spotkanie kiedykolwiek się kończyło. Innego zdania był jednak Hicks, który w pewnym momencie oznajmił, że musi już wracać. Jeff wpadł w panikę. Uświadomił sobie, że nie chce zostać sam i nie może pozwolić, by Steven go opuścił. Nie

analizując tego zbyt długo, chwycił za ciężarek gimnastyczny i uderzył nastolatka w głowę. Dusił i zadawał ciosy naprzemiennie, zupełnie nie panując nad sobą. Hicks nie miał żadnych szans. Dahmer wykończony emocjami, które wciąż w nim buzowały, usnął tuż przy zwłokach młodego chłopaka. Później mówił:

Obudziłem się rano. Moje przedramiona były posiniaczone, jego klatka piersiowa również. Z jego ust wypływała krew. Leżał na skraju łóżka, nie przypominam sobie, żebym pobił go na śmierć, ale chyba musiałem to zrobić. I wtedy wszystko zaczęło do mnie wracać.

Po przebudzeniu Dahmer postanowił zająć się zwłokami. Ponieważ już wtedy doskonale orientował się w ludzkiej anatomii, uznał, że najlepszym sposobem na pozbycie się ciała będzie poćwiartowanie go. Precyzyjnie oddzielił tkankę od kości i schował kawałki Hicksa do worków na śmieci. Chciał się ich pozbyć, wyrzucając je na pobliskim wysypisku śmieci. Wsiadł więc do auta, zapakował worki i ruszył przed siebie. Niewiele zabrakło, by ta eskapada skończyła się dla niego wieloletnim więzieniem. Po drodze zatrzymała go policja. Wszystko dlatego, że przekroczył linię ciągłą. W trakcie rozmowy jeden z funkcjonariuszy zauważył worki na tyle samochodu. Zapytał więc Dahmera, co jest w środku, ale Jeffrey pewnym siebie głosem odparł, że zwykłe śmieci, które chciał właśnie wyrzucić. Policjanci uwierzyli w tę wersję i puścili go wolno. Dahmer nie dotarł jednak na wysypisko, nieco zbity z tropu przez policyjny patrol postanowił wrócić do domu. Tam zaczęły pojawiać się wyrzuty sumienia. Żałował tego, co zrobił, bał się również, że ktoś odkryje jego sekret. Mimo tak potężnego stresu nie potrafił rozstać się ze szczątkami zamordowanego chłopaka. Trzymał je przez dwa tygodnie pod domem. Chciał, by Hicks wciąż był przy nim, nawet jeśli oznaczało to ukrywanie w pobliżu rozkładającego się poćwiartowanego ciała. Dopiero po kilkunastu dniach uznał, że musi pozbyć się szczątków ofiary. Zdecydował się podzielić je na jeszcze mniejsze kawałki, co ułatwiło rozrzucenie ich w pobliskim lesie. Następnie wrócił do swojego życia, nie mówiąc nikomu o tym, co się wydarzyło. Ale myśli Dahmera już nigdy nie wskoczyły na odpowiedni tor. Zabójstwo Hicksa otwo-

rzyło ostatnie, najbardziej przerażające drzwi w jego umyśle – zasmakował w chwili, w której odbiera komuś życie. I co gorsza, nie zaspokoiło to jego głodu, który trawił go coraz bardziej.

Dwa miesiące po zabójstwie Hicksa Jeffreya odwiedził ojciec. Gdy zobaczył, że syn cały czas pije i kompletnie nie radzi sobie z codziennymi obowiązkami, postanowił ponownie się do niego wprowadzić. Dahmer był w bardzo złym stanie. Jego uzależnienie było tak silne, że sprzedawał krew, by mieć pieniądze na alkohol. W dodatku rzucił studia i nie myślał o pójściu do pracy. Dlatego Lionel zdecydował się na dość radykalny krok – zapisał syna do wojska. Był przekonany, że dyscyplina i towarzystwo pewnych siebie, twardych mężczyzn pomogą Jeffreyowi stanąć na nogi. Chłopak dołączył do amerykańskiej armii w styczniu 1979 roku. Ojciec nie widział go później przez kolejnych sześć miesięcy. Gdy doszło do pierwszego po tak długiej przerwie spotkania, Lionel był przekonany, że wojsko było doskonałą decyzją. Zmianę w zachowaniu Jeffreya już dało się zauważyć:

Włosy miał krótko przycięte, ubranie było schludne i uporządkowane. Co ważniejsze – nie było od niego czuć alkoholu.

Jeffrey został z ojcem i macochą przez kilka tygodni. W tym czasie pomagał im w domowych obowiązkach, był pracowity i sprawiał wrażenie pewnego swojej dalszej kariery w wojsku. Po przerwie spędzonej wśród rodziny Dahmer wrócił do służby. Ojciec odwiózł go do Cleveland, a stamtąd chłopak trafił do Niemiec. Spędził tam dwa lata. Przez cały ten czas przysłał do ojca zaledwie kilka listów, zadzwonił góra dwa razy. Lionel zapewniał, że tak stosunkowo rzadki kontakt z synem nie był dla niego czymś zaskakującym. Jak mówił, Jeff nigdy nie był pisarzem, dlatego nie wymagał od niego dłuższych pisemnych form kontaktu. Jednak za każdym razem, gdy odzywał się do ojca, zapewniał, że wszystko jest w porządku, a służba w Niemczech daje mu sporo satysfakcji. Lionel był więc spokojny o pierworodnego, zakładał, że teraz jego życie weszło już w odpowiedni rytm:

Armia zapewniła mu pewną strukturę w jego nieuporządkowanym życiu. Byłem pewien, a może raczej mocno w to wie-

rzyłem, że właśnie w tej strukturze Jeffrey odnajdzie dla siebie dom.

Był to jednak przedwczesny optymizm. Jeffrey zakończył służbę szybciej, niż planowano. Będąc w armii, wrócił do alkoholowego nałogu, przez co został wydalony. Jego ojciec czuł się bezradny, nie wiedział, co robić. Zwłaszcza że choć Dahmer wrócił z Niemiec, nie odezwał się od razu do rodziny. Zamiast tego przeniósł się do Miami Beach, gdzie pomieszkiwał w motelach. Zdarzało się, że nie miał w ogóle pieniędzy, wtedy zamiast w pokoju spał na plaży. Zaczął też dorabiać w sklepie z kanapkami, ale nie potrafił rozstać się z nałogiem. Do ojca odezwał się dopiero po miesiącu od powrotu. Zadzwonił, by poprosić o środki na życie. Rodzina jednak odmówiła, a macocha powiedziała wprost, że jedyne pieniądze, jakie mogłaby mu wysłać, przeznaczone byłyby na powrót do Cleveland. Jeffrey zgodził się, czując, że nie ma za bardzo innego wyjścia. Nie był w stanie samodzielnie się utrzymać, musiał więc ponownie spróbować poukładać sobie wszystko z ojcem u boku. Ten wspominał później:

Odebrałem go z lotniska w Cleveland kilka dni później. Spodziewałem się niechlujnego, zdołowanego mężczyzny, który czułby się przygnębiony i upokorzony. Ale kiedy wysiadł z samolotu, uśmiechał się promiennie, z daleka wyglądał na niesamowicie wesołego. Gdy jednak podszedł bliżej, zdałem sobie sprawę, że był pijany i właśnie to sprawiło, że wyglądał na tak szczęśliwego.

Lionel uznał, że już najwyższy czas na odwyk. Znalazł ośrodek, w którym Jeffrey rozpoczął terapię. Woził go na nią, bo nie wierzył, że jeśli da synowi wolną rękę i pozwoli samemu pojechać na spotkanie, ten faktycznie tam dotrze. I poniekąd miał rację, bo gdy tylko samochód Lionela się oddalał, Jeffrey wymykał się z budynku tylnymi drzwiami. Terapeuta nie miał więc żadnych szans, by chociaż spróbować wyprowadzić Dahmera na drogę ku trzeźwości.

W tym okresie Jeffrey trafił też do policyjnej kartoteki. Został aresztowany za ekshibicjonizm. Problemy z prawem nie sprawiły, że Jeffrey uwolnił się od nałogu. Wręcz przeciwnie, to spotęgowało jego uzależnienie. Upijał się każdego dnia,

włócząc się po barach. Ojciec wielokrotnie musiał odbierać go z lokali, bo barmani dzwonili, że Jeff nie jest w stanie prowadzić auta. Dlatego Lionel razem z żoną podjęli decyzję, że trzeba zrobić wszystko, by syn stanął wreszcie na nogi. Pomóc w tym miało odcięcie go od dotychczasowego życia.

W taki właśnie sposób w 1982 roku Jeffrey zamieszkał z babcią. Jej dom znajdował się w West Allis w hrabstwie Milwaukee. Początkowo młody mężczyzna próbował odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Chciał nad sobą pracować i żyć normalnie mimo swoich skłonności i uzależnienia od alkoholu. Nawet przez jakiś czas mu się to udało. Przestał pić, a zamiast tego zaangażował się w sferę duchową, chodząc z babcią do kościoła. Dzięki tym wielu czynnikom i wsparciu bliskich Jeff zagłuszył niepokojące myśli. Zdobył również pracę, najpierw w banku krwi, a później w fabryce słodyczy. Wydawało się więc, że jego życie wreszcie zaczyna zmierzać w stronę normalności, bez nałogów i konfliktów z prawem. Ale ta sielanka trwała zaledwie trzy lata. Dahmer nigdy nie zwalczył demonów, on je jedynie tłumił w sobie. Takie chowane emocje prędzej czy później muszą eksplodować. W jego przypadku – z wielokrotną siłą.

Pragnienia Dahmera zostały na nowo rozbudzone, gdy wybrał się do pobliskiej biblioteki. Tam pewien nieznajomy mężczyzna zaproponował mu usługi seksualne. Jeff co prawda odmówił, ale otworzyło to w jego umyśle drzwi, które przez tak wiele miesięcy pozostawały zamknięte. Po powrocie do domu nie był w stanie myśleć o niczym innym. Ponownie zaczął fantazjować o bezwolnym kochanku, którego miałby na wyłączność. Znów zaczął pożądać. Niesiony tą obsesją ukradł ze sklepowej wystawy manekina. Zabrał go do domu, gdzie mógł wyobrażać sobie, że leży obok niego prawdziwy mężczyzna. Chował go do szafy, a gdy chciał być przy nim, wyciągał i zabierał do łóżka. Eksperymentował z nim na wiele sposobów, zachęcony tym, że manekin nie protestuje i nie ucieka. Ta seksualna bajka zakończyła się jednak, gdy sztucznego przyjaciela odkryła babcia. Była tak zaskoczona znaleziskiem, że od razu powiadomiła o wszystkim Lionela. Dahmer tłumaczył się, że ukradł manekina tylko po to, aby sprawdzić, czy jest w stanie wynieść coś ze sklepu bez zauważenia. Bli-

scy w tę wersję jednak nie uwierzyli. Ojciec kazał mu oddać manekina, ale Jeff szybko odparł, że wyrzucił go już na śmietnik, i uważa temat za zakończony.

Emocje rozpalone przez ten spontaniczny eksperyment pchnęły Jeffreya do nocnych klubów, łaźni i sex-shopów. Zaczął intensywnie udzielać się w homoseksualnym środowisku. W łaźniach czuł się coraz swobodniej, do tego stopnia, że nowo poznanym mężczyznom dosypywał do drinków środki nasenne. Gdy zasypiali, Jeff kładł się obok nich i słuchał odgłosu ich ciał, zwłaszcza bicia serca. Był tym zafascynowany, zwłaszcza świadomością, że partnerzy nie mogą niczego zrobić, a on ma nad nimi pełną władzę. Właśnie na tym najbardziej mu zależało – by jego partnerzy byli mu oddani i by nie mogli go opuścić, dopóki on sam o tym nie zdecyduje.

Ale i ten bajkowy świat, który Dahmer sobie stworzył, w końcu runął. Jeden z mężczyzn, któremu podał środki nasenne, trafił do szpitala. To zakończyło jego działalność w łaźni, do której dostał zakaz wstępu. Musiał więc znaleźć inny sposób na zniewalanie swoich ofiar. Zaczął rozglądać się za kolejnymi punktami, ale nie chciał już ryzykować w miejscach publicznych. W 1986 roku zatrzymano go za masturbowanie się przy dwóch młodych chłopcach. Zgłosili to służbom, a Dahmer został skazany na rok więzienia. Na wolność wyszedł jednak po 10 miesiącach. Właściwie od razu po opuszczeniu zakładu ruszył na polowanie. Szukał ofiar wśród młodych włóczących się po mieście mężczyzn. Gdy udawało mu się jakiegoś poznać, nawiązywał z nim bliższą relację i zapraszał do motelu.

Jeffrey Dahmer, jakkolwiek makabrycznie to zabrzmi, był estetą. Jego wymarzeni kochankowie musieli być szczupli, przystojni i mieć ładną sylwetkę. Kolor skóry nie miał dla niego żadnego znaczenia, co jest dosyć niespotykane. Większość seryjnych morderców szuka ofiar w obrębie własnej grupy etnicznej. Pojawiają się oczywiście wyjątki, takie jak Dahmer, ale mimo wszystko stanowią one niewielki procent wszystkich zabójstw dokonanych przez seryjnych morderców. Być może wynika to z tego, że wśród osób o tym samym kolorze skóry psychopacie łatwiej jest się ukryć. Za przykład może

posłużyć historia morderstw dzieci w Atlancie. W latach 1979–1981 zaginęło tam co najmniej dwadzieścioro ośmioro dzieci. Wszystkie były czarnoskóre. Funkcjonariusze dosyć szybko założyli, że za tymi zbrodniami stoi osoba o tym samym kolorze skóry, bo w jakiś sposób udawało jej się zwabić dzieci, wzbudzając wcześniej ich zaufanie. Osobie białej prawdopodobnie by się to nie udało. W sprawie skazany został zresztą czarnoskóry Wayne Williams, choć do dziś pozostaje sporo wątpliwości co do tego, czy faktycznie to on był mordercą. Wiele osób wierzy, że stał się po prostu kozłem ofiarnym, a prawdziwy zabójca nigdy nie został ujęty.

W przypadku Jeffreya Dahmera wyglądało to nieco inaczej. Obracał się przede wszystkim w środowisku homoseksualnym, które rasowo było zdecydowanie bardziej zróżnicowane niż biedne osiedla Atlanty w latach siedemdziesiątych. W dodatku sam był dość przystojny, co ułatwiało mu nawiązanie relacji. Wielokrotnie w późniejszym śledztwie funkcjonariusze słyszeli, że Jeff był sympatycznym, wzbudzającym zaufanie młodym mężczyzną, który nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego, a raczej lekko niezdarnego i nieśmiałego. Tymi cechami Dahmer mógł swobodnie maskować rozwijające się w jego umyśle bestialstwo. Gdy Jeff poznał mężczyznę, który wpadł mu w oko, robił wszystko, by go zdobyć. Nie były to jednak romantyczne randki i spacery przy świetle księżyca. Fantazje Dahmera były patologiczne i nie miały nic wspólnego z historiami miłosnymi znanymi z filmów.

W 1987 roku Jeffrey poznał dwudziestopięcioletniego Stevena Tuomi. Młody mężczyzna pracował w restauracji. Po zakończeniu swojej zmiany odwiedził parę okolicznych nocnych klubów. Chciał się zabawić i wypić kilka drinków. Dojrzał go wtedy Dahmer, który od razu zwrócił uwagę na przystojnego nieznajomego. Mężczyźni zaczęli rozmawiać, a chwilę później Jeff wyznał, że ma zarezerwowany pokój w pobliskim Ambassadorze. Zapytał Stevena, czy ma ochotę spędzić tę noc właśnie z nim. Młodzieniec przytaknął i w towarzystwie Jeffa opuścił klub, kierując się w stronę hotelu.

Po dotarciu do pokoju Dahmer przygotował znajomemu drinka. Tuomi chętnie go wypił, nie zauważając nawet, że

w środku były pokruszone środki nasenne. Gdy mężczyzna stracił nad sobą kontrolę, Jeff zaczął go brutalnie bić. W późniejszym przesłuchaniu przekonywał, że nie pamiętał wydarzeń z tamtej nocy. Tę wersję powtarzał też w telewizyjnych wywiadach, między innymi w amerykańskim programie *Inside Edition*:

Spędziłem z nim noc. Nie miałem zamiaru go krzywdzić. Kiedy obudziłem się rano, zauważyłem, że ma złamane żebro i sporo siniaków. Musiałem pobić go pięściami na śmierć. Zupełnie tego nie pamiętałem.

Był to już kolejny raz, gdy Dahmer zapewniał, że nie pamięta tego, w jaki sposób zabijał swoje ofiary. W późniejszym czasie, już po zatrzymaniu, przekonywał też, że dużą rolę w jego zachowaniu odgrywał alkohol, który nie tylko popychał go do niewyobrażalnej agresji, ale też mocno ograniczał możliwość prawidłowego rejestrowania wydarzeń.

Według niektórych źródeł obrażenia, jakie zadał Stevenowi, były bardzo duże i rozległe. Pojawiają się nawet teorie o próbie wyrwania serca, ale nie zostały nigdy oficjalnie potwierdzone przez śledczych. Wiemy za to na pewno, co Jeffrey zrobił ze zwłokami znajomego. Gdy zrozumiał, że Tuomi nie żyje, kupił w sklepie walizkę, włożył do niej ciało, a następnie zawiózł pakunek do domu babci i w piwnicy poćwiartował zwłoki. Rodzina Stevena początkowo próbowała odnaleźć go na własną rękę, dlatego oficjalnie jego zaginięcie zgłosiła policji dopiero po trzech miesiącach. W tym czasie Dahmer zdążył już dokładnie pozbyć się fragmentów ciała mężczyzny. Nigdy ich nie odnaleziono, dlatego Jeffreya nie oskarżono o zabójstwo Stevena.

Psychotyczny pociąg wypełniony pożądaniem i pragnieniem zabijania, do którego wsiadł Dahmer, był już nie do zatrzymania. Chęć posiadania poddanego mu kochanka wypełniała jego myśli każdego dnia i przewyższała wszystkie inne życiowe potrzeby. Rozpoczął więc polowanie na kolejną ofiarę.

Stał się nią zaledwie czternastoletni James Doxtator. Szesnastego stycznia 1988 roku chłopiec uciekł z domu przed agresywnym ojczymem. Na przystanku autobusowym poznał wła-

śnie Dahmera, który zaprosił go do domu swojej babci. Pod nieobecność kobiety zamknął się z nim w pokoju, uprawiał seks, a następnie odurzył i udusił. Ciało chłopca schował w piwnicy i wielokrotnie wracał do niego, by z nim współżyć. Jeffrey przeszedł więc od seksualnych fantazji o bezwolnych kochankach do mordowania, a także nekrofilii.

Podobną skłonność przejawiało wielu seryjnych zabójców. Między innymi Ed Kemper (przeczytacie o nim w ostatnim rozdziale), który uprawiał seks z odciętymi wcześniej głowami swoich ofiar. Nekrofilia to osiąganie satysfakcji seksualnej ze zmarłymi. Termin ten został wprowadzony po sprawie sierżanta francuskiej armii z połowy XIX wieku François Bertranda, który nazywany był Wampirem z Montparnasse. Rozgrzebywał on groby na paryskim cmentarzu, zabierał zwłoki, a następnie z nimi współżył. Satysfakcję seksualną dawało mu też ćwiartowanie ciał, wielokrotnie się przy tym masturbował. Po zatrzymaniu przekonywał, że jego skłonności zaczęły pojawiać się w związku z silnymi bólami głowy i kołataniem serca. Po zbezczeszczeniu zwłok szesnastoletniej dziewczyny mówił:

Obsypałem ją pocałunkami i dziko przycisnąłem do serca. Wszystko, czym można się cieszyć w relacjach z żywą kobietą, jest niczym w porównaniu z przyjemnością, jakiej doświadczyłem. Po tym jak cieszyłem się tym przez blisko kwadrans, podobnie jak wcześniej pociąłem ciało i wyrwałem wnętrzności. Następnie ponownie pochowałem zwłoki.

Nekrofilia to połączenie greckich słów „nekros”, czyli zwłoki, z „philia” – miłość, przyjaźń. Trudno dziś określić, jak duża jest skala tego zaburzenia, bo osoby, które na nie cierpią, rzadko się ujawniają albo raczej zostają ujawnione. Często na wiele sposobów szukają kontaktu ze zwłokami. Czasem posuwają się do ekstremalnych rozwiązań w postaci rozkopywania grobów, innym razem szukają zajęć, które zapewniłyby im nieustanny kontakt z ludzkimi ciałami. Może to być praca w kostnicy lub na cmentarzu. Doktor Andrzej Gawliński, prawnik i kryminalistyk, w pracy *Nekrofilia jako problem interdyscyplinarny* pisał:

Jako forma zaspokojenia popędu seksualnego nekrofilia jest znana od tysiącleci (Herodot opisywał zwyczaje praktykowane przez starożytnych Egipcjan w celu zapobiegania aktom nekrofilnym). Przejawy nekrofilii odnajdziemy w mitologii (Achilles i królowa Amazonek czy też Periander, który wykorzystywał seksualnie zwłoki zabitej przez siebie żony), a motyw przywracania człowieka do życia pojawia się też w bajkach („Śpiąca Królewna") oraz w literaturze („Romeo i Julia", „Wichrowe wzgórza").

Co ciekawe, nekrofilia najczęściej dotyka heteroseksualnych mężczyzn w przedziale wiekowym dwadzieścia – pięćdziesiąt lat, ale przykład Dahmera pokazuje, że zjawisko to może występować również w środowisku homoseksualnym. Nekrofile najczęściej decydują się na delikatny kontakt ze zwłokami – pocałunki lub dotyk w miejscach intymnych. Zdecydowanie rzadziej sięgają po okaleczanie zwłok i wampiryzm, czyli picie ludzkiej krwi (praktykował to Peter Kürten nazywany Wampirem z Düsseldorfu). Trudno jednoznacznie ocenić przyczynę występowania nekrofilii, właśnie ze względu na to, że nie jest ona jeszcze do końca zbadana. Zauważono jednak, że osoby, które cierpią na to zaburzenie, przejawiają również sadyzm, psychozę, zoofilię (czyli pociąg seksualny do zwierząt), a także podglądactwo (obserwowanie aktywności seksualnej). Bardzo często nekrofile swoje zaburzenia tłumaczą chęcią posiadania partnera, który będzie im poddany, nie odrzuci ich, nie skrzywdzi i nie będzie stawiał oporu przy najbardziej wyuzdanych i brutalnych czynnościach seksualnych. Dokładnie takiego motywu wielokrotnie używał Dahmer.

Profesor medycyny sądowej Anil Aggrawal sklasyfikował nekrofilię w następujący sposób:

1. Nekrofil grający rolę – jest to osoba o nieznacznym stopniu patologii, nie uprawia seksu z martwymi ludźmi, ale podnieca go odgrywanie ról przez kochanka/kochankę. Osiąga intensywne podniecenie, gdy żywa osoba udaje martwą. Niekiedy wystarczy jedynie makijaż, który będzie kojarzył się ze zmarłym, tj. nienaturalnie blada skóra. Według niektórych specjalistów ten rodzaj nekrofila należy nazywać pseudonekrofilem.

2. Romantyczny nekrofil – osoba, która wykazuje bardzo łagodne tendencje nekrofilne. Pogrążona w żałobie, która nie potrafi pogodzić się z tym, że bliska jej osoba odeszła. Dlatego decyduje się na mumifikowanie zwłok (w całości lub ich fragmentów) i traktuje je tak, jakby nadal była to żywa osoba, łącznie z kontekstem seksualnym. Taka osoba zazwyczaj po wyjściu z żałoby nie przejawia już dalszych zachowań nekrofilnych.

3. Nekrofil fantazjujący – nie decyduje się na współżycie ze zmarłymi, skupia się na fantazjowaniu o tym. Zdarza się, że odwiedza cmentarze oraz domy pogrzebowe, by jedynie popatrzeć na zwłoki. To daje mu erotyczną przyjemność. Czasem idzie o krok dalej i masturbuje się w trakcie pogrzebu, oczywiście nie publicznie, a ukrywając się gdzieś z boku. Chce jednak słyszeć kazania pogrzebowe i widzieć tłum ludzi, którzy towarzyszą zmarłemu w ostatniej drodze.

4. Nekrofil dotykający – w przeciwieństwie do poprzednich przypadków nekrofil dotykający, jak sugeruje zresztą sama nazwa, do osiągnięcia satysfakcji seksualnej potrzebuje już pewnego kontaktu ze zmarłym. Chce dotykać, głaskać, a nawet lizać zwłoki, a zazwyczaj obszar jego zainteresowania obejmuje miejsca intymne. To właśnie wielu nekrofili dotykających stara się o zatrudnienie w kostnicy lub innych miejscach, w których wymagany jest bezpośredni kontakt z ludzkimi ciałami.

5. Nekrofil fetyszysta – taka osoba również nie decyduje się na seks ze zmarłym, ale zamiast tego kolekcjonuje fragmenty ciała. Może zatrzymać przy sobie włosy łonowe, palec, pierś – wszystko po to, by później osiągać satysfakcję seksualną. Często zabierają zmarłym też ich przedmioty osobiste, na przykład bieliznę. Zdarza się, że noszą te rzeczy lub fragmenty ciał przy sobie, chociażby w kieszeni. W ten sposób poddają samych siebie nieustannej stymulacji seksualnej. Według Aggrawala – podobnie jak w przypadku romantycznego nekrofila – tutaj również podłoże w wielu przypadkach może sięgać żałoby po stracie bliskiej osoby. Stąd chęć zachowania części jej już na zawsze.

6. Nekrofil okaleczający – taki osobnik także nie przejawia zainteresowania seksem ze zmarłym, ale przyjemność daje mu okaleczanie zwłok. Robiąc to, zazwyczaj się masturbuje. Zdarza się, że taki nekrofil decyduje się też na kanibalizm, co ma wzmagać jego doznanie seksualne. Osoby cierpiące na ten rodzaj zaburzenia często zatrudniają się do pracy w kostnicy, dzięki czemu mają łatwy dostęp do zwłok, mogą je też rozcinać i badać.

7. Nekrofil oportunista – ten przypadek jest już gotowy do uprawiania seksu ze zwłokami, choć nie dąży do tego usilnie. Jeśli jednak nadarzy się okazja, może się na to zdecydować. Prosty przykład, który pomoże zobrazować ten termin: mąż zabija żonę. Gdy zaczyna przenosić jej zwłoki, pojawia się u niego podniecenie. Decyduje się więc na seks ze zwłokami, choć wcześniej o tym nie fantazjował – wie doskonale, czym jest nekrofilia i jakie niesie za sobą konsekwencje prawne. Mimo to współżyje z ciałem żony.

8. Zwykły nekrofil – choć brzmi to niewinnie, jest to opis bardzo niebezpiecznego i patologicznego człowieka. Nie potrafi znaleźć przyjemności w zbliżeniu z żywą osobą, nawet gdyby miał taką możliwość. Jedyną satysfakcję może mu zapewnić seks ze zmarłym. Taki nekrofil decyduje się już na kradzież zwłok z kostnic lub cmentarzy. Nie oznacza to, że nie doświadcza zbliżeń z żywymi, wręcz przeciwnie. Może ich doświadczać w miarę regularnie. Problem w tym, że nie dają mu one żadnej przyjemności, tej szuka później właśnie wśród zmarłych.

9. Nekrofil morderca – drapieżnik, który tak bardzo pragnie seksu ze zmarłym, że decyduje się na popełnienie zbrodni. Nie zależy mu na zwłokach, które już są pochowane, chce współżyć ze – jakkolwiek niestosownie to zabrzmi – świeżymi ciałami. Zależy mu na tym, by uprawiać seks z osobą, której sam odebrał życie.

10. Nekrofil ekskluzywny – osoba o skrajnym zaburzeniu seksualnym, która nie jest w stanie współżyć z osobami żywymi i w ogóle nie decyduje się na ten rodzaj zbliżenia. Satysfakcję jest w stanie osiągnąć tylko poprzez seks ze zmarłymi i zrobi wszystko, by mieć do nich dostęp. Może posunąć się nawet do

przestępstwa, byle tylko osiągnąć swój cel. Martwe ciało jest absolutnie niezbędne, by poczuł się spełniony w sferze seksualnej. Choć nie jest uważany za najbardziej niebezpiecznego nekrofila, to znalazł się na samym końcu tego zestawienia ze względu na swoją nieprzewidywalność w działaniu.

Jeffrey Dahmer bez wątpienia należy do nekrofów dziewiątej kategorii – morderców. Wybierał konkretne ofiary, które pozbawiał życia, by mieć je przy sobie i dowolnie wykorzystywać. Nie interesowało go rozgrzebywanie grobów czy wykradanie ciał z kostnicy. Chciał mieć partnera na własność, a to miało mu zapewnić zabicie go. Taki los spotkał wymienionego wcześniej czternastoletniego Doxtatora.

Kolejnym celem Jeffreya stał się dwudziestodwuletni Richard Guerrero, a rok później dwudziestoczteroletni Anthony Sears, który był ostatnim mężczyzną zabitym w domu babci. Dahmer sprawiał kobiecie mnóstwo problemów. Wracał pijany, przyprowadzał nieznajomych, a do tego z piwnicy coraz częściej i intensywniej docierały nieprzyjemne zapachy. Żadne prośby i próby rozmowy z wnukiem nie przyniosły pożądanych rezultatów, dlatego babcia poprosiła go, by znalazł sobie inne lokum. Dahmer nie miał więc wyjścia, musiał zmienić miejsce zamieszkania. Okazja trafiła się w zachodniej części Milwaukee. Jeffrey znalazł tam niewielkie mieszkanie, które udało mu się wynająć. Była to ostatnia lokalizacja, w której się osiedlił, zanim został zatrzymany przez policję.

Nim jednak to nastąpiło, na drodze Dahmera stanęło wielu młodych mężczyzn, którym morderca odebrał życie. Pewnego dnia zwabił do siebie trzynastoletniego Somsacka Sinthasomphone'a. Zaoferował mu 50 dolarów za sesję fotograficzną. Chłopak zgodził się i wszedł do mieszkania mężczyzny, który chwilę później próbował go zgwałcić. Nastolatek zdołał jednak uciec i zawiadomić policję. Funkcjonariusze przyjechali na miejsce i zatrzymali Dahmera, który został skazany na rok programu rehabilitacyjnego. Oznaczało to, że w ciągu dnia musiał stawiać się w pracy – w jego przypadku było to stanowisko w fabryce czekolady – a noce spędzał w więzieniu. Oczywiście o wszystkim został poinformowany jego ojciec, który coraz bardziej niepokoił się zachowaniem syna:

O wszystkim dowiedziałem się przez telefon. Pierwszy raz zdałem sobie sprawę, że Jeff naprawdę przekroczył granicę, która oddziela jego własne samozniszczenie od zniszczenia innego, obcego człowieka. Somsack Sinthasomphone był niewinną ofiarą, a zgodnie z prawem był też dzieckiem. Mój syn celowo zwabił go do swojego nowego mieszkania, odurzył, a następnie chciał wykorzystać seksualnie. Kiedy o tym wszystkim usłyszałem, byłem oburzony, chociaż już dawno przestało zaskakiwać mnie, co robi Jeff. W każdym razie pamiętam, że skupiłem się na tym, by wykonać niezbędne działania, które zapewnią Jeffowi wszystko, czego potrzebuje. Znalazłem prawnika do jego obrony i zadbałem o to, by wpłynęła kaucja w wysokości dwóch tysięcy dolarów od mojej matki.

W rozmowie z ojcem Dahmer przekonywał, że nie miał pojęcia, ile nastolatek miał lat. To było kłamstwo, bo chłopak powiedział mu o tym niemal od razu, na początku spotkania. Jeff zapewniał też, że nie chciał mu zrobić krzywdy i deklarował, że więcej się to nie powtórzy. Ale Lionel przestał wierzyć i ufać pierworodnemu. Był przekonany, że to dopiero początek prawdziwych problemów i należy niezwłocznie podjąć wszelkie możliwe kroki, by uchronić społeczeństwo przed Jeffreyem:

Zobaczyłem wówczas młodego mężczyznę, któremu brakowało czegoś istotnego. Ujrzałem młodego człowieka, który nie miał w sobie tego elementu własnej woli, która pozwala człowiekowi zawładnąć swoim życiem i nim kierować. Od tego momentu, gdy patrzyłem, jak Jeff wraca do więzienia, by odsiedzieć swój wyrok, wiedziałem, że jeśli kiedykolwiek miałby zostać naprawiony, to tylko za wstawiennictwem jakiejś innej siły niż własna wola, również moja. To mógł być Bóg, to mogło być też państwo, jakiś program doradczy albo po prostu jakaś inna osoba, która wbrew wszelkim przeciwnościom nauczyłaby go, jak żyć lepiej. Jakakolwiek byłaby to siła, musiałaby pochodzić spoza Jeffa i nie byłbym to ja. Dlatego zacząłem szukać tego zewnętrznego rozwiązania. Nie wierzyłem już, że mój wpływ może pomóc synowi. (...) Wiedziałem, że nie będzie już więcej wspólnego siadania przy stole, aby planować dalszą przyszłość, musiałem skończyć z tymi pomoc-

nymi i dobrymi intencjami, które skupiałyby się wokół nauki i kariery.

Koniec z udawaniem, że to tylko krnąbrny, młody człowiek. Mój syn wyszedł poza zasięg zwykłej opieki.

Lionel zdecydował się napisać list do adwokata Geralda Boyle'a, który reprezentował Dahmera. Błagał w nim o umieszczenie syna na odwyku. Przekonywał, że ma ogromny problem i wymaga pilnej profesjonalnej pomocy. Ale sędzia nie podzielił tych obaw i argumentów. W odpowiedzi napisał Lionelowi, że Jeffrey zapewniał, iż panuje nad wszystkim, zamierza poddać się leczeniu, a jedyne, czego pragnie, to wrócić do prawidłowego funkcjonowania w społeczeństwie. Sędzia w te słowa uwierzył i wyraził duży podziw dla postawy Dahmera. Jego ojciec czuł się bezradny. Nie tylko nie sprawił, że syn został dłużej w zamknięciu, ale nawet nie zapobiegł jego wcześniejszemu wyjściu na wolność. Jeff zakończył odbywanie kary dwa miesiące przed zasądzonym terminem.

Mieszkanie, które wybrał sobie Dahmer, znajdowało się w ubogiej dzielnicy Milwaukee. Był tam jednym z nielicznych białych lokatorów, większość okolicy zamieszkiwali czarnoskórzy obywatele. Jeffrey nie mógł więc lepiej trafić. Cała uwaga śledczych skupiała się właśnie na sąsiadach, a on mógł spokojnie realizować swoje cele. W dodatku był wyjątkowo spokojnym człowiekiem, niekonfliktowym i nie wdawał się w żadne awantury. Robił wszystko, żeby dla opinii publicznej być jak najbardziej przezroczystym. W dodatku jego mieszkanie znajdowało się w pobliżu klubów dla homoseksualistów, więc mógł swobodnie polować na kolejne ofiary.

Jego celem w maju 1990 roku stał się trzydziestodwuletni Raymond Smith, który był męską prostytutką. Dahmer zaprosił go do siebie, proponując 50 dolarów za seks. Na miejscu podał ofierze drinka, do którego wrzucił kilka tabletek nasennych. Gdy Smith stracił przytomność, Jeffrey go udusił. Później polaroidem zrobił mu kilka zdjęć, układając jego ciało w odpowiedni sposób, a następnie poćwiartował zwłoki w łazience. Nogi, ręce i miednicę ugotował, a kości rozpuścił w pojemniku, który wcześniej wypełnił kwasem. Zostawił sobie jedynie czaszkę, którą pomalował czarną farbą i schował

w metalowej szafce na dokumenty. W ten sposób Dahmer zaczął kolekcjonować trofea.

Niecały miesiąc później jego ofiarą stał się dwudziestoośmioletni Edward Smith, a we wrześniu dwudziestodwuletni Ernest Miller. Właśnie wtedy zaczął się kolejny, jeszcze bardziej makabryczny rozdział w historii Dahmera. Po zabiciu dwudziestodwulatka rozczłonkował jego ciało, szkielet schował do szuflady, a serce, bicepsy i części nóg włożył do zamrażarki. Zamierzał je później zjeść. Z mordercy i nekrofila Jeffrey przeszedł więc do kolejnej, nowej roli – kanibala. W przypadku Dahmera taka praktyka miała głębokie podłoże emocjonalne. Nie zależało mu na samym smaku ludzkiego mięsa, a na pewnym scaleniu się z kochankami. Wierzył, że – zjadając ofiary – będzie jeszcze bliżej nich. Zupełnie tak, jakby wchłaniając ich mięso, czynił kochanków częścią samego siebie. W ten sposób mieli być z nim już na zawsze. Właśnie na tym Jeffreyowi zależało najbardziej: chciał mieć przy sobie kogoś, kto nigdy by go nie opuścił. Kanibalizm miał mu w tym pomóc.

Dwadzieścia dwa dni po zabójstwie Millera Dahmer zwabił do swojego mieszkania dwudziestodwuletniego Davida Thomasa. System mordowania opanował do perfekcji. Najpierw odurzał, później dusił, a następnie ćwiartował. Ten sam schemat zastosował też wobec Thomasa. W lutym 1991 roku Jeff zabił siedemnastoletniego Curtisa Straughera. W kwietniu jego ofiarą stał się dziewiętnastoletni Errol Lindsey, którego przed zabójstwem Dahmer torturował. Chciał, by chłopak swoim zachowaniem przypominał zombi – ruszał się, jadł, ale był całkowicie otępiały i bez możliwości kontrolowania tego, co się z nim dzieje. Całkowitą władzę nad nim miał sprawiać Jeffrey. Dlatego odurzonemu chłopakowi wywiercił w czaszce dziurę, a następnie wstrzyknął mu do mózgu kwas. Z relacji samego Dahmera wynika, że ofiara początkowo żyła, odzyskała na chwilę przytomność, a następnie znów ją utraciła. Wtedy kanibal udusił chłopaka, oskórował i poćwiartował. Jego czaszkę również zachował. Próby stworzenia zombi Jeffrey nazywał techniką wiercenia, którą później zamierzał udoskonalać aż do momentu, w którym osiągnie cel.

W maju tego samego roku Damer zabił trzydziestojednoletniego Tony'ego Hughesa, a także czternastoletniego Koneraka Sinthasomphone'a. Co ciekawe, chłopak był młodszym bratem nastolatka, o którego molestowanie Dahmer został oskarżony trzy lata wcześniej. Konerak jako jeden z nielicznych, który spotkał na swojej drodze Jeffreya, miał szansę na przeżycie. Poznał mężczyznę w centrum handlowym. Kanibal podszedł do niego i zaproponował mu sesję zdjęciową, za którą później nastolatek otrzymałby pieniądze. Konerak potrzebował gotówki, dlatego zgodził się i poszedł z nieznajomym do jego mieszkania. Tam jednak szybko został odurzony, ale Dahmer nie zamierzał zabijać go od razu. Po kilku godzinach wykorzystywania chłopca wyszedł z domu i zostawił ofiarę na jakiś czas samą. Wtedy Konerak odzyskał przytomność i ledwo świadomy tego, co się dzieje, całkowicie nagi wyszedł z mieszkania i poszedł przed siebie. Był roztrzęsiony i otumaniony. Dotarł na róg pobliskiej ulicy, gdzie spotkał dwie kobiety – Sandrę Smith i Nicole Childress. Od razu zajęły się chłopcem i powiadomiły odpowiednie służby. W tym czasie Dahmer zdążył już wrócić do domu. Gdy odkrył, że Koneraka nie ma w środku, wybiegł z budynku i zaczął szukać chłopca. Był przerażony, że jego poukładane, mroczne życie wkrótce zostanie zdemaskowane, a on zamiast poszukiwać idealnego partnera, będzie oglądał świat zza krat. To też pokazuje, że Jeffrey doskonale wiedział, że to, co robi, jest złe i karalne. O działaniu w stanie niepoczytalności nie mogło być więc mowy.

Na swoje szczęście po kilku minutach Dahmer znalazł chłopaka, a także kobiety, które zdążyły się nim już zająć. Jeff tłumaczył, że nastolatek jest jego partnerem, wypił za dużo i wyszedł z mieszkania. Ale nieznajome nie kupiły tej opowieści i ostro zaprotestowały, gdy Dahmer próbował zabrać chłopca ze sobą. Po chwili na miejsce dotarła policja. Jeffrey powtórzył swoją wersję, dodał też, że on i Konerak po prostu się pokłócili, dlatego partner pod wpływem alkoholu wyszedł nagi z domu. Relacjonując swoją historię, Jeffrey był niezwykle spokojny i uprzejmy, a funkcjonariusze z łatwością dali sobą manipulować. By potwierdzić, że mówi prawdę, zaprowadził policjantów do swojego mieszkania. Pokazał im ubrania, a także zdjęcia, które zrobił kilka godzin wcześniej. Był

na nich Konerak, częściowo roznegliżowany, co miało potwierdzać, że rzeczywiście są ze sobą w dość zażyłej relacji. Funkcjonariusze rozejrzeli się też pobieżnie po samym pokoju, ale pomieszczenie było starannie wysprzątane i nie budziło żadnych zastrzeżeń. Przekonani, że zgodnie z wersją starszego mężczyzny mieli do czynienia z kłótnią kochanków, wyszli z mieszkania, zostawiając Koneraka na pastwę Dahmera. Gdy tylko drzwi się zamknęły, a policjanci zniknęli z pola widzenia, Jeff wstrzyknął Konerakowi kwas do mózgu. Nastolatek nie przeżył tych tortur, a kanibal rozczłonkował jego ciało.

W czerwcu tego samego roku w Chicago w trakcie Parady Równości Jeffrey poznał dwudziestoletniego Matta Turnera, którego również chwilę później zabił. Kolejnymi ofiarami byli dwudziestotrzyletni Jeremiah Weinberger i dwudziestoczteroletni Oliver Lacy. Ostatnim łupem Kanibala z Milwaukee był dwudziestopięcioletni Joseph Bradeholt.

Kres tych krwawych i brutalnych zbrodni nastąpił w lipcu 1991 roku. Dahmer próbował zwabić do mieszkania kolejną ofiarę. Poznanym na ulicy trzem bezdomnym mężczyznom zaproponował sto dolarów w zamian za pozowanie do zdjęć. Zgodził się na to jedynie trzydziestodwuletni Tracy Edwards. Poszedł z Dahmerem do jego mieszkania, ale gdy tylko otworzyły się drzwi, z wnętrza buchnął nieprzyjemny zapach. Już wtedy Tracy poczuł niepokój, mimo to zdecydował się wejść do środka. Kusiła go perspektywa szybkiego i łatwego zarobku. W jednym z pomieszczeń zobaczył kilka pudeł po kwasie chlorowodorowym. Jeffrey dostrzegł zmieszanie nowego znajomego, dlatego natychmiast zaczął z nim rozmawiać, zupełnie tak, jakby chciał odwrócić jego uwagę. Po chwili szybkim ruchem założył mu na dłonie kajdanki. Zabrał go do sypialni, gdzie kazał mu nago pozować do zdjęć. To właśnie tam Edwards zobaczył ogromną beczkę, z której dochodził rozprzestrzeniający się po mieszkaniu odór. Przez cały ten czas Jeffrey groził Tracy'emu nożem. Przerażony mężczyzna robił wszystko, co kazał mu morderca. Jak później zeznał policji, Dahmer usiadł z nim na łóżku, a następnie włączył na kasecie VHS film *Egzorcysta III*. Kilkanaście minut później polecił Edwardsowi, by położył się na podłodze. Dah-

mer ułożył się tuż obok niego, przytknął głowę do jego piersi i słuchał bicia serca.

– *Powiedział, że zje moje serce* – zeznał Edwards policjantom. Na dowód, że nie żartuje, Jeffrey pokazał mężczyźnie ludzką rękę, którą trzymał w szafce. Otworzył też lodówkę, w której przechowywał głowę jednej z ofiar. Podobny los spotkałby również Tracy'ego, gdyby nie jego odwaga i wola walki. Nie zamierzał ułatwiać psychopacie zadania i pozwolić się zabić. Najpierw postanowił wzbudzić zaufanie Dahmera. Rozpiął więc koszulę, powtarzał, że jest jego przyjacielem i pozostanie nim już na zawsze. Doskonale wyczuł jego potrzeby, bo właśnie na trwałej, niezniszczalnej relacji zależało Jeffowi najbardziej. Gdy Edwards poczuł, że mężczyzna nie ściska już kurczowo kajdanek, szybko wstał, uderzył Dahmera i uciekł przez frontowe drzwi. Działo się to tak błyskawicznie, że oszołomiony porywacz nie zdążył nawet zareagować. Zanim dotarło do niego, co się dzieje, Tracy był już na zewnątrz. Udało mu się zatrzymać przejeżdżający w pobliżu patrol policji. Opowiedział funkcjonariuszom o wszystkim, co spotkało go w mieszkaniu Dahmera. Mimo paraliżującego strachu zgodził się zaprowadzić policjantów na miejsce. W ten sposób funkcjonariusze dotarli przed drzwi z numerem 213, a cały świat dowiedział się o przerażających zbrodniach Kanibala z Milwaukee.

Gdy policjanci weszli do środka, zrozumieli, że mają do czynienia ze znacznie poważniejszą sprawą, niż początkowo zakładali. Wezwali więc na miejsce posiłki. Odór dochodzący z beczki wypełniał całe mieszkanie. Już po wstępnym przeszukaniu lokalu odnaleziono fragmenty ludzkich ciał. Dahmer został natychmiast zatrzymany, ale przy próbie wyprowadzenia go z lokum zaczął wrzeszczeć jak rozszarpywane zwierzę. Próbował się też wyrywać i atakować policjantów. Zaskoczeni sąsiedzi wychodzili na korytarz, by sprawdzić, skąd dobiegają te hałasy. Byli wstrząśnięci tym, czego później dowiedzieli się o spokojnym – jak wtedy im się wydawało – Jeffreyu. Nawet nie przypuszczali, że dosłownie za ścianą mężczyzna stworzył prawdziwe pomieszczenia tortur.

Po wywiezieniu Dahmera na posterunek technicy zaczęli dokładnie sprawdzać jego mieszkanie. Odnaleziono ponad

osiemdziesiąt zdjęć, na których widać było poćwiartowane ciała. Z lodówki wyjęto ludzką głowę, a w ogromnej beczce ustawionej w sypialni znajdowały się trzy korpusy. Zamrażarka po brzegi wypełniona była ludzkim mięsem. Policjanci ubrani w specjalne kombinezony wynosili po kolei wszystkie pudła, torby i wspomnianą beczkę. Zebrane dowody musiały trafić do analizy, która miała dać odpowiedź na pytanie, ile osób tak naprawdę ukrył w swoim mieszkaniu Jeffrey Dahmer. On sam czekał na przesłuchanie.

Trwało ono kilka godzin. Kanibal wiedział, że zaprzeczanie zbrodniom nie ma najmniejszego sensu, skoro policjanci dysponowali na tyle mocnymi dowodami, które pozwoliłyby go na skazanie przez dowolny sąd. Nie miał więc wyjścia, musiał się przyznać. Przekonywał jednak, że za zabójstwami stoi tak naprawdę jego uzależnienie od alkoholu, a on sam wiele razy nie wiedział nawet, że pozbawił kogoś życia. Potwierdził za to, że zabił siedemnaście osób. Protokół z przesłuchania był obszerny, liczył aż sto sześćdziesiąt stron, bo Dahmer o wszystkim opowiadał z najdrobniejszymi szczegółami. To z kolei obalało jego teorię o działaniu pod wpływem alkoholu, który miał pozbawić go pełnej świadomości. W międzyczasie odkryto, że w mieszkaniu Jeffreya znajdowały się fragmenty ciał należące w sumie do jedenastu osób. Przyznał się też do zabójstw w domu babci, a także odebrania życia Stevenowi Hicksowi w 1978 roku. Opowiedział, co zrobił z jego szczątkami i gdzie funkcjonariusze je znajdą. Mając dość szczegółowe informacje, policjanci ruszyli więc w okolice dawnego domu Dahmera i rozpoczęli przeszukanie terenu. Dokładnie tam, gdzie wskazał Jeff, śledczy odnaleźli fragmenty ludzkich kości. Dopiero w późniejszej analizie potwierdzono, że należały one właśnie do Hicksa. Po ustaleniu tożsamości pozostałych ofiar na policjantów czekało kolejne trudne zadanie – powiadamianie rodzin o śmierci ich bliskich.

O zatrzymaniu poinformowano też ojca Dahmera, nie udzielając jednak żadnych szczegółów. Wspominał później:

Skontaktowałem się z Geraldem Boylem, wcześniej reprezentował Jeffa w sprawie o molestowanie dziecka, więc sądziłem, że został włączony również w to dochodzenie. Był bardzo rozemocjonowany. Powiedział:

– Lionel, próbowałem się z tobą skontaktować. Ludzie dzwonili do mnie przez cały ranek.

– Jacy ludzie?

– Z mediów. Prasa.

– Z mediów? A czego oni chcą?

– Próbują dowiedzieć się wszystkiego o Jeffie.

– A co z Jeffem? Co się dzieje? Nikt nie podaje mi żadnych szczegółów.

– (...) Został aresztowany za usiłowanie zabójstwa. (...) W jego mieszkaniu znaleźli ciało. A właściwie kilka różnych.

– Różnych?

– Więcej niż jednej osoby.

Szczegóły zbrodni dokonanych przez syna wstrząsnęły Lionelem. Od dawna czuł, że z Jeffreyem dzieje się coś złego, ale nie spodziewał się aż tak dramatycznych wydarzeń. Mimo to nie odwrócił się od niego, wspierał go przez cały pobyt w areszcie, a później w trakcie procesu, który ruszył w styczniu 1992 roku. Było to wydarzenie, które przyciągnęło uwagę mediów z całego kraju. Dziennikarze prześcigali się w relacjonowaniu każdego szczegółu, który pojawiał się na sali rozpraw. Sam Dahmer sprawiał wrażenie wyjątkowo spokojnego, momentami nawet obojętnego. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji, nawet wtedy, gdy głos zabierały rodziny ofiar. Musiał jednak skonfrontować się z ich wściekłością, żalem i rozpaczą. Rita Isbell, siostra zamordowanego Errola Lindseya, widząc Dahmera, straciła panowanie nad sobą:

Jestem najstarszą siostrą Errola Lindseya. Jeff, czy jakkolwiek masz na imię, szatanie. (...) Nie chcę nigdy więcej widzieć mojej matki, gdy przechodzi przez to wszystko. Nigdy, Jeffrey! Jeffrey, nienawidzę cię! Nienawidzę cię, skurwielu!

Rita została wyprowadzona z sali przez strażników. Na jej wrzaski Jeffrey zareagował kamienną twarzą.

Morderca co prawda przyznał się do winy, ale próbował dowieść, że jest niepoczytalny. Była to dla niego jedyna szansa, by uniknąć więzienia. Gdyby sąd uznał, że Dahmer

w istocie nie był świadomy tego, co robi, trafiłby do szpitala psychiatrycznego. W wielu badaniach biegli ocenili, że ma osobowość schizotypową. Charakteryzuje się ona problemami z porozumiewaniem się i kontaktami społecznymi, pod wpływem stresu mogą pojawić się też przejściowe objawy psychotyczne. Osoby, u których diagnozuje się taką osobowość, mogą wierzyć, że posiadają pewne nadprzyrodzone moce, są podejrzliwe, mają problemy poznawczo-percepcyjne. Pojawiają się trudności z koncentracją uwagi. Takie zaburzenie ma wiele cech wspólnych ze schizofrenią. Ale to wszystko nie oznaczało niepoczytalności. Żeby biegli ją stwierdzili, Dahmer musiałby udowodnić, że w trakcie morderstw nie potrafił ocenić tego, co robił, a także jakie konsekwencje się z tym wiązały.

Mimo swojej niewzruszonej postawy w trakcie procesu Jeffrey zdecydował się na gest wobec rodzin ofiar. Przeprosił je za całe zło, które wyrządził, i zaprzeczył, by jego zbrodnie miały tło rasowe. Większość jego ofiar była czarnoskóra, ale Dahmer zapewnił, że nie były to zabójstwa wynikające z nienawiści. Odniósł się też do religii, w którą mocno popychała go babcia, gdy z nią mieszkał:

Powinienem był zostać z Bogiem. Próbowałem i zawiodłem, i stworzyłem holocaust. Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy. Wiem, że społeczeństwo nigdy tego nie zrobi. Wiem, że nie zrobią tego również rodziny ofiar. Z powodu tego, co zrobiłem tym biednym rodzinom, czuję się bardzo źle. I rozumiem ich nienawiść. Widziałem ich łzy i gdybym mógł teraz oddać życie, aby przywrócić ich bliskich, zrobiłbym to.

Wiele osób, które przysłuchiwały się tym słowom, nie wierzyło w skruchę Dahmera. Sądziły, że chce jedynie wybielić się przed opinią publiczną i wzbudzić litość. W dodatku biegli ocenili, że w chwili mordowania i torturowania swoich ofiar Jeff był całkowicie poczytalny. Jeden z psychiatrów sądowych doktor Park Dietz przyznał, że nie wierzy, by Jeffrey cierpiał na jakąkolwiek chorobę psychiczną, gdy popełniał przestępstwa:

Dahmer dołożył wszelkich starań, aby być sam na sam z ofiarą, tak by nie mieć świadków.

Dodał również, że kanibal dokładnie planował swoje zbrodnie, a te nie miały nic wspólnego z impulsywnością. Upijanie się przed zabójstwem też było znaczące:

Gdyby miał przymus zabijania, nie musiałby pić alkoholu. Robił to, by przezwyciężyć swoje zahamowania, dodać sobie odwagi do popełnienia przestępstwa, którego wolał nie robić.

Proces trwał w sumie dwa tygodnie. Mowa końcowa adwokata Geralda Boyle'a zajęła dwie godziny. Przekonywał, że Dahmer cierpi na chorobę psychiczną, a zabójstwa były wynikiem zaburzeń, które co prawda w sobie odkrył, ale przecież ich nie wybrał. Przedstawił Jeffreya jako osobę rozpaczliwie samotną i głęboko chorą, która jest tak pozbawiona kontroli, że nie może zdecydować o własnym postępowaniu. Po Boyle'u głos zabrał prokurator Michael McCann. Dowodził, że Dahmer jest absolutnie zdrowy i w chwili zabijania swoich ofiar był w pełni świadomy tego, co i jak robi. Dodał również, że kilkunastu młodych chłopców i mężczyzn zginęło tylko po to, by dać Jeffreyowi chwilowe zaspokojenie seksualne. I właśnie z tymi argumentami zgodziła się ława przysięgłych. Dahmer został uznany za winnego. Sąd skazał go za zabójstwo piętnastu mężczyzn w stanie Wisconsin, choć w rzeczywistości ofiar było siedemnaście. Kara, jaką usłyszał, to 937 lat więzienia. Prokurator Michael McCann skomentował wyrok krótko:

To zagwarantuje, że ten człowiek nigdy więcej nie będzie już chodził po ulicach jakiegokolwiek miasta na świecie.

Jego prawnik Gerald Boyle nie zamierzał się już odwoływać. Tuż po ogłoszeniu wyroku ojciec mężczyzny, a także jego macocha, poprosili o piętnastominutowe spotkanie z Jeffem, by pożegnać się z nim przed jego transportem do więzienia. Sąd wyraził zgodę, dzięki czemu Lionel mógł uściskać syna, po raz kolejny okazując mu swoje wsparcie.

Jeffrey Dahmer miał wówczas trzydzieści dwa lata. Trafił do więzienia o zaostrzonym rygorze w Portage w stanie Wisconsin. W maju 1992 został tymczasowo przewieziony do stanu Ohio, gdzie odpowiadał za zabójstwo Stevena Hicksa. Tam również zapadł wyrok skazujący.

Pierwszy rok w zakładzie karnym Dahmer spędził w izolacji. Strażnicy obawiali się, że może zostać zaatakowany przez współwięźniów. Po upływie dwunastu miesięcy przeniesiono go do innej celi, a także przydzielono do prac przy czyszczeniu toalet. Był też regularnie pilnowany przez służbę więzienną. Podczas odsiadki Dahmer przeszedł przemianę. Poprosił o *Biblię*, zaczął się modlić, a nawet przekonywać, że wszystkie jego zbrodnie były efektem braku Boga w jego życiu. Dlatego przyjął chrzest w więziennym centrum medycznym. Przeprowadził go pastor Roy Ratcliff, który odwiedzał Jeffreya regularnie, a w trakcie tych spotkań rozmawiał z nim o wierze. Nie zabrakło również dyskusji o śmierci, która – zupełnie jakby Jeff coś przeczuwał – zaczęła niebezpiecznie przybliżać się do niego już w lipcu 1994 roku. Współwięzień Osvaldo Durruthy zaatakował kanibala i próbował podciąć mu gardło brzytwą, którą wcześniej schował w szczoteczce do zębów. Ale Jeffrey odniósł tylko powierzchowne rany i po krótkiej wizycie w szpitalu wrócił do celi.

W tym czasie mężczyzna zacieśnił relacje z ojcem, z którym udzielił nawet wspólnego wywiadu. Również jego matka Joyce odnowiła kontakt z synem. Nie widziała go od Bożego Narodzenia w 1983 roku. W trakcie rozmów telefonicznych Jeffrey miał wspomnieć, że jest gotowy na śmierć i już się z nią pogodził. Gdy mówiła mu, że boi się o jego bezpieczeństwo, Jeff odpowiadał:

To nie ma znaczenia, mamo. Nie obchodzi mnie, czy coś mi się stanie.

Do kolejnego ataku doszło rano 28 listopada 1994 roku. Jeff wyszedł z celi, by posprzątać toalety. Towarzyszyli mu dwaj osadzeni – Jesse Anderson i Christopher Scarver. Strażnicy popełnili wówczas ogromny błąd, bo pozostawili całą trójkę bez nadzoru przez blisko 20 minut. Gdy przybyli na miejsce, było już za późno. Dahmer leżał na prysznicowej podłodze z poważnymi ranami głowy i twarzy. Został skatowany metalowym prętem. Obrażenia były tak rozległe, że mężczyzna zmarł w drodze do szpitala. Do placówki trafił też Jesse Anderson, który również został pobity. Jego zgon nastąpił dwa dni później.

Napastnikiem był dwudziestopięcioletni Scarver, który odbywał karę dożywocia za zabójstwo z 1990 roku. Wyjaśnił, że zaatakował Dahmera, bo miał dość jego zachowania. Jeffrey miał żartować ze swojego kanibalizmu, tworząc z więziennego jedzenia kształty przypominające ludzkie kończyny. Oblewał je później ketchupem, który miał imitować krew. Pastor Roy Ratcliff mówił:

Przekroczył granicę w relacjach z więźniami czy personelem. Niektórzy osadzeni okazują skruchę, ale on nie był jednym z nich. Gdy widział, że strażnik, który stoi obok niego, jest zdenerwowany, mówił „gryzę". Zazwyczaj strażnik wtedy odskakiwał, a on był bardzo rozbawiony. W pewnym sensie bawił się swoją osobowością, wyolbrzymiał ją, bo chciał sprawić, by ludzie byli bardziej przerażeni. To był po prostu jego sposób, taki chory humor, by poradzić sobie z beznadziejną sytuacją.

Matka Dahmera po śmierci syna była niezwykle rozżalona tym, że wiele osób od dawna życzyło Jeffowi źle. W rozmowie z mediami rzuciła:

Teraz wszyscy są szczęśliwi? Teraz, kiedy został zatłuczony na śmierć, czy to wystarczy wszystkim?

Za to rodziny ofiar nie kryły radości ze śmierci kanibala. Odbierały to jako nieco spóźnioną, ale jednak formę rekompensaty za koszmar, który Dahmer sprowadził do ich życia. Natomiast prokurator, który oskarżał go w procesie, zaapelował, by nie robić ze Scarvera bohatera, bo dopuścił się podwójnego zabójstwa i sam był groźnym przestępcą. Christopher stanął przed sądem w maju 1995 roku i usłyszał dwie dodatkowe kary dożywocia.

Jeffrey jeszcze przed śmiercią powiedział rodzinie, że nie chce, by jego pożegnaniu towarzyszyły nabożeństwa. Pragnął być skremowany, co zgodnie z jego wolą stało się we wrześniu 1995 roku. Prochy mordercy rozdzielono między jego rodziców.

Jeffrey Dahmer nie pochodził z patologicznej przemocowej rodziny, która mogłaby odcisnąć silne piętno na jego dalszym życiu. On sam prosił wielokrotnie, by nie obarczać winą

jego rodziców. Zapewniał, że byli wspaniałymi ludźmi, którzy otoczyli go troską i starali się mu pomóc. O przyczynach nekrofilii, sadyzmu, kanibalizmu i morderczego instynktu mówił:

Nie wiem, skąd to się wzięło. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiemy.

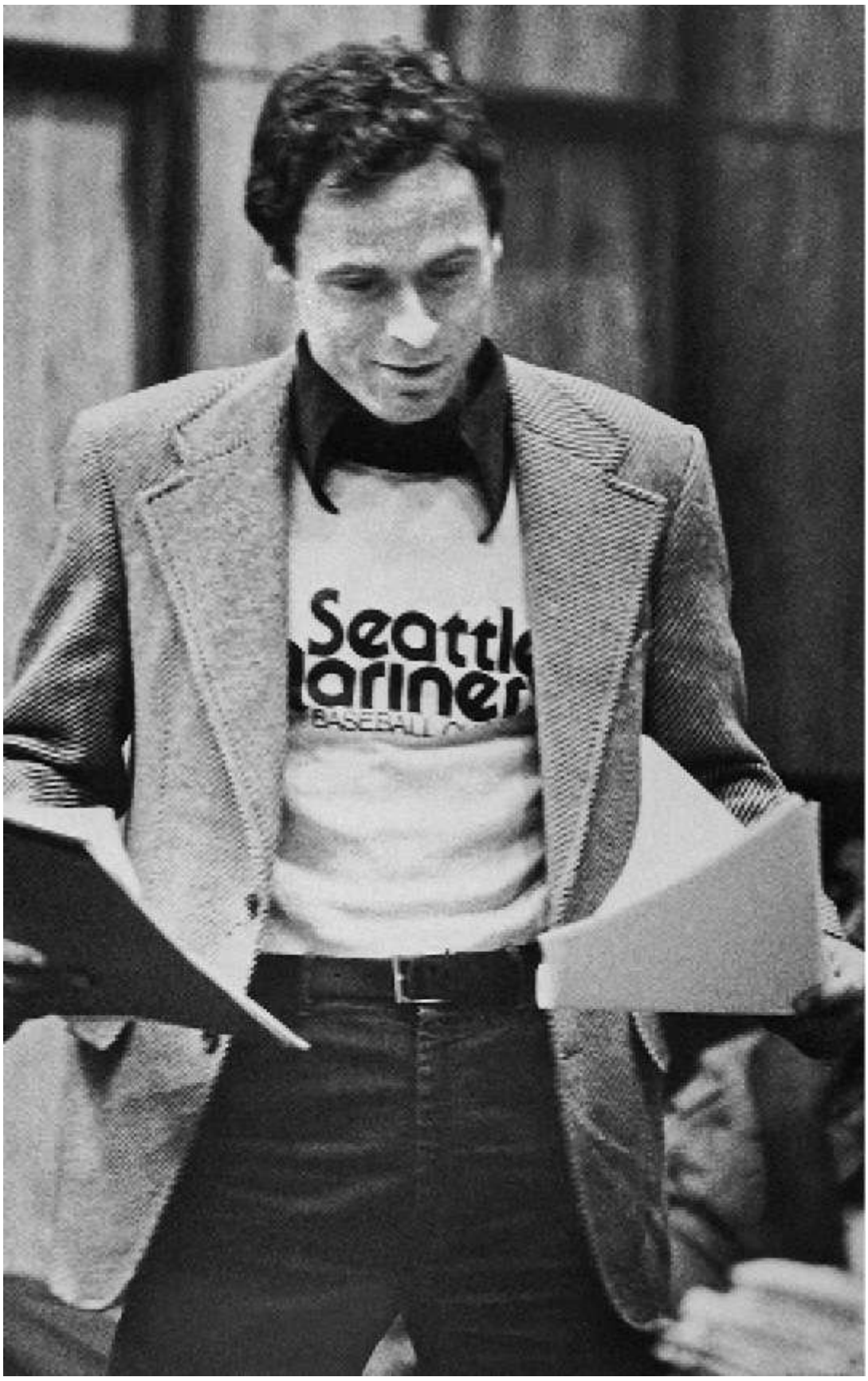

Ted Bundy to jeden z najkrwawszych seryjnych morderców w historii USA – przyznał się do zabicia co najmniej trzydziestu młodych kobiet. Brutalnie je gwałcił i okaleczał.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

TED BUNDY

Potwór z sąsiedztwa

My, seryjni mordercy, jesteśmy waszymi synami, waszymi mężami, jesteśmy wszędzie. I jutro może być więcej waszych martwych dzieci.

Ted Bundy

Nieszczerość nie zawsze jest po prostu cechą charakteru danego człowieka. Zdarza się, że jej źródła należy szukać w chorobie o podłożu psychicznym. Patologiczna skłonność do kłamania nazywa się zespołem Delbrücka, mitomanią lub pseudologią. Osoby, które cierpią na to schorzenie, opowiadają historie, które nigdy nie miały miejsca, najczęściej przedstawiając siebie jako postacie szlachetne, nieskazitelne, zdolne do pomocy i opieki, walczące z niesprawiedliwością tego świata. Co gorsza, sami chorzy nie są w stanie oddzielić prawdy od własnej fantazji. Ich kłamstwa wydają się niemal perfekcyjne, bo przedstawiane historie opowiadane są z takimi emocjami, jakby wydarzyły się naprawdę. Problem polega na tym, że wszystko wymyślane jest na bieżąco, w zależności od potrzeb i sytuacji, dlatego patologiczny kłamca po kilku dniach może już zapomnieć, o czym mówił wcześniej. Przyczyny mitomanii nie są do końca jasne. Mogą wynikać z:

– przebytych chorób organicznych mózgu; mowa tutaj o zapaleniach, urazach czy uszkodzeniach odniesionych wskutek chociażby wypadku,

– wrodzonych predyspozycji psychopatycznych lub innych schorzeń na tle psychicznym.

W tym drugim punkcie patologiczne kłamstwo może towarzyszyć schizofrenii, borderline oraz narcystycznemu zaburzeniu osobowości. Co ważne, mitomania może objawić się właściwie na każdym etapie życia człowieka i dotyka zarówno dzieci, jak i dorosłych. Czasem jest ona też następstwem traumatycznych wydarzeń, takich jak śmierć bliskiej osoby.

Zwykły kłamca opowiada wymyślone historie, by uzyskać z tego jakąś korzyść. Być może chce zatuszować swoją winę, ukazać siebie w lepszym świetle lub wzbudzić w kimś zaufanie, by osiągnąć jakiś cel. Patologiczny kłamca robi to, bo sam przestaje odróżniać prawdę od fikcji i nie potrafi inaczej funk-

cjonować, robi to mimowolnie. Jakie są zatem objawy mitomanii? To przede wszystkim:

– wymyślanie w dużym stopniu historii na temat swój, a także bliskich osób,

– ubarwianie wszystkich opowieści,

– wyolbrzymianie swojej roli przy jednoczesnym umniejszaniu działań innych osób,

– kłamstwo pojawia się nawet wtedy, gdy okoliczności tego nie wymagają,

– brak umiejętności odróżnienia prawdy od fikcji przez samego mitomana.

Jeśli ktoś dostrzega w swoim zachowaniu te wszystkie wymienione powyżej typy, powinien skontaktować się z terapeutą, bo prawdopodobnie jest właśnie patologicznym kłamcą. Czy do takich samych wniosków doszedłby Ted Bundy, gdyby dziś przedstawiono mu fakty z jego życia, które wymyślił lub mocno naciągnął? Jest taka szansa, bo jako osoba obdarzona sprawnym umysłem musiał zdawać sobie sprawę z własnych problemów. Był jednak narcystyczny, więc możliwe, że nie postrzegałby siebie jako człowieka zaburzonego. Według niektórych ekspertów Bundy był patologicznym kłamcą. Jednak jego opowieści zazwyczaj tworzone były z konkretnych pobudek. Chciał zaimponować towarzystwu z wyższych sfer, zdobyć ukochaną dziewczynę lub po prostu zmanipulować swoje ofiary. A tych było ponad trzydzieści!

Dzieciństwo Bundy'ego przebiegło równie nieprzewidywalnie jak większość sytuacji, w których później brał udział (pośrednio lub bezpośrednio). Theodore Robert Bundy przyszedł na świat 24 listopada 1946 roku. Wówczas nie nosił jeszcze nazwiska Bundy, a Cowell – jak jego matka, która wychowywała go samotnie. Urodziła syna w wieku dwudziestu dwóch lat. Nigdy nie chciała zdradzić prawdziwego nazwiska ojca Teda, co rodziło wiele plotek, między innymi te z kazirodztwem w tle. Niektórzy twierdzili, że ojcem chłopca był tak naprawdę jego dziadek. Ale ta teoria, podobnie zresztą jak wiele innych dotyczących pochodzenia młodego Bundy'ego, nigdy nie została potwierdzona.

W tamtym czasie w Stanach Zjednoczonych młode samotne matki nie miały łatwego życia. Były wyszydzane, publicznie wytykano je palcami. Dlatego też Elenor, matka Teda, będąc w siódmym miesiącu ciąży, zostawiła rodzinę i przeniosła się do domu samotnej matki w Burlington w Vermont. Choć jej rodzina wspierała się, była też niezwykle bogobojna i miała trudności z zaakceptowaniem nieślubnej ciąży. Dlatego kobieta zdecydowała się na donoszenie dziecka bez pomocy najbliższych. Do rodzinnej Filadelfii wróciła, gdy syn był już na świecie. Właśnie wtedy rozpoczęła się seria kłamstw, które stały się nieodłącznym elementem życia Teda. Od urodzenia wmawiano mu, że jego rodzicami są babcia i dziadek, dlatego zwracał się do nich „mamo" i „tato". Jego matka Elenor była natomiast przedstawiana jako jego siostra. Ted czuł podświadomie, że bliscy nie są z nim szczerzy i ukrywają przed nim jakiś sekret. Mimo to jako dziecko nie zgłębiał tematu i zwracał się do rodziny tak, jak mu wpajano.

Gdy Ted skończył cztery lata, Elenor podjęła decyzję o przeprowadzce. Spakowała siebie oraz syna i wyjechała z nim do krewnych w Tacomie w stanie Waszyngton. Chłopiec był za mały, by odpowiednio połączyć wszystkie elementy tej historii, ale gdyby był starszy, z pewnością zadałby sobie pytanie, dlaczego starsza siostra zabiera go od rodziców i wywozi do dalekich krewnych? Dla czterolatka było to jednak zbyt skomplikowane. Jedyne, z czym musiał się wówczas uporać, to ogromna tęsknota za ojcem, z którym był bardzo związany.

W Tacomie Elenor postanowiła całkowicie odciąć się od dotychczasowego życia, a także plotek krążących wokół niej i ojca. Stworzyła więc sobie i synowi nową tożsamość. Sama przybrała imię Louise, a Tedowi zmieniła nazwisko. Nazywał się wówczas Ted Nelson.

Chłopiec szybko odnalazł się wśród kuzynostwa, które było w podobnym wieku. Dlatego nawiązanie wspólnego języka nie było trudne. Dziś Tacoma liczy blisko 200 tysięcy mieszkańców, ale w latach pięćdziesiątych, gdy zamieszkał tam Ted, było ich o 50 tysięcy mniej. Jest to dosyć przyjazne miejsce do życia, otoczone uroczymi wzgórzami i zatoką. Wciąż wisi nad nim jednak widmo katastrofy – zawalenie się mostu Tacoma Narrows Bridge, który łączył Tacomę z półwy-

spem Kitsap. Siódmego listopada 1940 roku przez silny wiatr konstrukcja zaczęła się wyginać, aż w końcu uległa zniszczeniu. Na moście znajdował się wówczas samochód, którego właściciel zdążył uciec, wyczuwając wibracje. Niestety, w pojeździe został jego pies, który zginął, gdy most runął. Przyczyną tej katastrofy były ogromne błędy popełnione zarówno przy projektowaniu, jak i budowie. Moment, w którym most zaczął się wyginać we wszystkie strony, został zarejestrowany na taśmie. Film można obejrzeć w internecie. Do dziś jest to najważniejsze wydarzenie w historii Tacomy.

W połowie XX wieku miasto pełne było maleńkich knajp i sklepików, również tych z pornografią. Ted wspominał w jednym z wywiadów, że to właśnie od takich miejsc zaczęła się jego fascynacja seksem. Jako kilkunastoletni chłopiec, bawiąc się z kuzynami na tyłach jednego ze sklepów, trafił na materiały pornograficzne.

Jako chłopiec dwunasto-, trzynastoletni zetknąłem się poza domem, w okolicznych sklepach, z miękką pornografią. My, chłopcy, buszowaliśmy po całej okolicy, w różnych zakamarkach. Tam, gdzie wyrzuca się śmieci i różne niepotrzebne rzeczy. Czasami znajdowaliśmy pisma z pornografią większego kalibru, bardziej obrazową, bez niedomówień, nie taką, jak w naszym sklepie. Były też pisma sensacyjne typu hardcore. Twierdzę, że ten rodzaj pornografii jest najbardziej szkodliwy. Takie jest moje doświadczenie, trudne i osobiste. Najgroźniejsza jest pornografia łącząca przemoc z przemocą seksualną. Połączenie tych dwóch sił, a mało kto zna to tak dobrze jak ja, prowadzi do zachowań tak potwornych, że trudno to opisać.

Zdaniem Bundy'ego to właśnie pornografia otworzyła w jego umyśle przerażające drzwi skrywające chore, brutalne fantazje o seksie i mordowaniu. Część specjalistów twierdziła, że była to tylko jedna z wersji obronnych, którą przyjął zabójca. A jak się wkrótce przekonacie, było ich wiele.

W Tacomie Louise odnalazła się w społeczności religijnej. Zaczęła udzielać się w Kościele Metodystycznym. To właśnie tam poznała Johnniego Culpeppera Bundy'ego, drobnego, niskiego, lekko nieśmiałego kucharza. Sprawił, że Louise poczuła się bezpiecznie. Dlatego gdy Ted nie miał jeszcze pię-

ciu lat, para zdecydowała się na ślub. To oznaczało, że chłopiec w swoim krótkim życiu zyskał właśnie trzecie nazwisko – to, które zna dziś niemal każdy. Bundy.

Rodzina kupiła dom nieopodal Narrows Bridge. W kolejnych latach Ted zyskał czworo rodzeństwa – dwóch braci i dwie siostry. Największą słabość młody Bundy miał do najmłodszego brata, który przyszedł na świat, gdy Ted miał piętnaście lat. Troszczył się o niego, a gdy był już dorosły, zabierał go na wycieczki i wyprawy do lasu. Był dla chłopca wzorem do naśladowania. Z ojczymem Ted miał słaby kontakt, choć Johnnie starał się, by był on jak najlepszy. Mimo to stosunki między nimi były dosyć chłodne, co mężczyzna zrzucał na karb trudnego wieku nastolatka. Starał się jednak angażować pasierba w różne zajęcia – zbieranie fasolki szparagowej czy rozwożenie gazet. Johnnie chciał spędzać z Tedem jak najwięcej czasu, by móc zbliżyć się do niego, ale nie było to łatwe zadanie.

Louise bardzo szybko zauważyła, że w najstarszym synu drzemie ogromny potencjał. Był bystry, inteligentny i dobrze się uczył. Dlatego namawiała go, by skupił się na dostaniu do dobrego college'u. Wróżyła mu wspaniałą przyszłość w blasku kariery zawodowej. Ted poniekąd w te wizje uwierzył. Przez lata był przekonany, że osiągnie spory sukces, bo przejawia ponadprzeciętne zdolności.

Ale zanim mógł się realizować zawodowo, najpierw musiał mierzyć się z codziennością amerykańskiego nastolatka. W gimnazjum Bundy stał się obiektem drwin ze strony pozostałych chłopców. Choć wysoki, był też bardzo szczupły i nie udało mu się dołączyć do drużyny futbolowej. W świecie sportu nie odnosił żadnych sukcesów, przez co uważano go za słabego.

Przełom nastąpił w liceum. Ted zmężniał, stał się też dość popularny, głównie dlatego, że podobał się dziewczętom. Mimo to nadal był nieśmiały, ale maskował to szerokim uśmiechem i pogodnym usposobieniem. Bundy zaczął nawiązywać przyjaźnie, przestał być szkolnym odludkiem. To wpłynęło na niego na tyle pozytywnie, że rozwinęły się w nim zainteresowania związane z polityką. Wciąż dobrze się uczył,

otrzymał nawet stypendium na Uniwersytecie Puget Sound w Tacomie.

Mimo takich dobrych rokowań Bundy zaczął już wtedy przejawiać niepokojące zachowania. W 1965 roku został przynajmniej dwa razy zatrzymany przez policję w hrabstwie Pierce w związku z kradzieżą auta i włamaniem. Nie ma informacji o tym, jaką poniósł wówczas karę, bo policyjne dokumenty w przypadku nieletnich są w USA niszczone w chwili, gdy zatrzymany kończy osiemnaście lat.

Ten incydent nie wpłynął znacząco na dalsze plany Bundy'ego. Zgodnie z życzeniem matki chciał dostać się do college'u. Musiał jednak najpierw na niego zarobić. Podjął więc pracę w przedsiębiorstwie energetycznym, a później w tartaku. Jesienią 1966 roku rozpoczął wymarzoną naukę na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Początkowo chciał się skupić na zgłębianiu języka chińskiego. Był wówczas przekonany, że w przyszłości będzie to jedna z najbardziej przydatnych umiejętności ze względu na stale poszerzający się rynek chiński. I trzeba przyznać, że już wtedy Ted posiadał pewien pierwiastek wizjonerski, bo patrząc na dzisiejszy układ sił, w którym jedną z dominujących ról odgrywa właśnie Pekin, jego przewidywania były słuszne. W 2022 roku chińska gospodarka zajmuje drugie miejsce na świecie, zaraz po amerykańskiej. Walka o fotel lidera trwa jednak cały czas.

Ted mimo dość błyskotliwego umysłu posiadał jedną, znaczącą, choć negatywną cechę – szybko się nudził i zniechęcał. Najpierw wpadał w ekscytację, kreślił szerokie plany, a nawet wstępnie angażował się w dany projekt, by później niespodziewanie porzucić go z dnia na dzień. Tak było również z językiem chińskim, z którego dość szybko zrezygnował. Zwłaszcza że Teda bardziej od nauki interesowały relacje damsko-męskie. Wiosną 1967 roku na drodze chłopaka pojawiła się Diane Edwards. Była uosobieniem jego marzeń o kobiecie – inteligentna, piękna, z dobrze sytuowanej rodziny. W listach do przyjaciółki Ann Rule Ted pisał:

Mieliśmy ze sobą mniej więcej tyle wspólnego co Sears i Roebuck z Saksem. Nigdy nie myślałem o D. z bardziej

romantycznym zainteresowaniem niż, dajmy na to, o jakiejś eleganckiej istocie ujrzanej na stronach magazynu.

Bundy zdawał sobie sprawę z tego, że Diane jest poza jego zasięgiem. Nie był w jej typie zarówno fizycznie (wolała raczej dobrze zbudowanych futbolistów), jak i ekonomicznie. Ted nie należał do zamożnych osób, żeby się utrzymać, musiał dorabiać na dosyć nisko płatnych stanowiskach. Mimo to – jak się później okazało – nie był całkowicie na przegranej pozycji. Łączyła ich wspólna pasja – jazda na nartach i to ona doprowadziła do ich pierwszego wymarzonego spotkania. Pewnego dnia Edwards podwiozła Teda w góry niedaleko Seattle. To właśnie wtedy, podczas tej wspólnej przejażdżki chłopak zrozumiał, że jest całkowicie zauroczony dziewczyną. Stała się ona też pewnym wzorcem kobiecości, którym później Bundy kierował się przy doborze ofiar – długowłosa szatynka z przedziałkiem na środku, młoda i atrakcyjna. Wystarczy zerknąć na zdjęcia zamordowanych przez niego dziewcząt, by zrozumieć, że większość z nich była tak do siebie podobna, iż można by uznać je za siostry.

Znajomość między Bundym a Edwards była coraz bardziej zażyła. Para spędzała ze sobą dużo czasu, a Ted nie potrafił już ukrywać swoich uczuć. Ale w tym duecie to on był dużo bardziej zaangażowany emocjonalnie. Diane trzymała go na dystans, bo czuła, że nie do końca jest dla niej odpowiednim partnerem. Głównym zarzutem było niezdecydowanie Teda. Dziewczyna uważała, że wynikało ono z braku pewności siebie, co skutkowało tym, że chłopak nie potrafił wybrać konkretnej specjalizacji na studiach. To z kolei oznaczało, że przyszłość z nim może być mało stabilna. I choć bez wątpienia Diane czuła do Teda pewną sympatię i miała do niego słabość, nie wiązała z nim życiowych planów.

Płomienny, z perspektywy Teda, romans zakończył się w 1968 roku. Bundy był załamany, bo choć w głębi duszy wiedział, że jego walory nie są dla dziewczyny wystarczające, był w niej zakochany po uszy. Była to zresztą jego pierwsza wielka miłość, z której nie potrafił wyleczyć się przez lata. W przeciwieństwie do większości osób, które mają złamane serce, Ted nie zamknął się jednak w sobie i nie pogrążył w rozpaczy. Zamierzał przekuć żal w coś zupełnie innego.

Coraz bardziej zaczął wciągać się w politykę i postanowił, że właśnie na tym polu odniesie sukces. W kwietniu tego samego roku został przewodniczącym w Seattle, a także zastępcą szefa w całym stanie podczas kampanii Nelsona Rockefellera, działacza Partii Republikańskiej oraz wieloletniego gubernatora stanu Nowy Jork. Z uwagi na swoje stanowisko Ted dostał zaproszenie na kongres w Miami. Skorzystał z okazji i poleciał zobaczyć, jak wygląda świat wielkiej polityki.

Po powrocie do Seattle Bundy skupił się na studiach. Całkowicie zrezygnował z nauki języka chińskiego, zapisał się za to na urbanistykę i socjologię. Ale mimo swoich umiejętności i bystrego umysłu nie potrafił zdobyć dobrych ocen i został wydalony z college'u. Szukając zajęcia, trafił pod skrzydła Arta Fletchera, czarnoskórego kandydata na gubernatora. Ted został jego kierowcą, a także ochroniarzem. Niestety, Fletcher przegrał wybory i to o włos, a zwycięstwo ogłosił jego rywal John Cherberg. Bundy nie krył rozczarowania, bo liczył na pewne korzyści wynikające z pracy u boku potencjalnego gubernatora. Musiał jednak obejść się smakiem i po raz kolejny zweryfikować swoje plany.

Najpierw jednak chciał uporządkować kwestie dotyczące swojego pochodzenia. Przez te wszystkie lata Louise ani razu nie przyznała otwarcie, że jest jego matką, choć Ted w głębi duszy czuł, że tak właśnie jest. Wyruszył więc w podróż, która miała dać mu odpowiedź na pytanie: kim tak naprawdę jest? W urzędzie potwierdził, że to właśnie Louise jest jego matką, a zdaniem Ann Rule w Filadelfii poznał też nazwisko ojca. Miał nim być Lloyd Marshall, weteran sił lotniczych. Ale według innych źródeł, na które natknęłam się, śledząc historię mordercy, ojcem Bundy'ego był Jack Worthington, również weteran wojenny. Jaka była więc prawda? Tego do dziś nie ustalono i istnieje małe prawdopodobieństwo, iż zostanie to odkryte. Louise, która jako jedyna mogła udzielić odpowiedzi, zmarła w 2012 roku.

Odkrycie nazwiska potencjalnego ojca dało Tedowi nową energię. Mógł wreszcie zostawić za sobą przeszłość jawiącą się pod znakiem nieślubnego i – być może – niechcianego dziecka. Wtedy wiedział już, że i on ma jakieś korzenie, które prowadzą do konkretnej osoby, a nie tylko jakiejś zjawy, którą

mógł sobie jedynie wyobrażać. Zamierzał zbudować życie na zupełnie nowych fundamentach, jednocześnie udowadniając zarówno sobie, jak i (a może przede wszystkim) Diane, że jest człowiekiem zdolnym osiągnąć wiele i stanąć na wysokim szczeblu w społecznej hierarchii. Rozpoczął więc metamorfozę, która miała zakończyć się odzyskaniem dziewczyny, którą wciąż kochał.

Bundy porzucił Seattle i rozpoczął naukę na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Tam zdecydował się na zgłębianie tajemnic psychologii. Była to już kolejna dziedzina nauki, którą zamierzał się zająć w swoim dość krótkim życiu studenckim. Tym razem naprawdę miał szansę odnieść sukces, bo psychologia okazała się dla niego idealnym kierunkiem. Potwierdzali to później zresztą sami wykładowcy. Bundy miał bardzo dobre stopnie, a jeden z profesorów – zachwycony umysłem Bundy'ego – wystawił mu trzy lata później rekomendację do szkoły prawniczej Uniwersytetu Utah:

Pan Bundy jest niewątpliwie jednym z najlepszych studentów na naszym wydziale, a nawet umieściłbym go w jednym procencie najzdolniejszych, z jakimi miałem kiedykolwiek do czynienia na studiach licencjackich, zarówno na Uniwersytecie Waszyngtońskim, jak i na Purdue. Jest niebywale bystry, sympatyczny, wysoce zmotywowany i sumienny. Prowadzi się raczej jak młody profesjonalista, a nie student.

Już w tym fragmencie widać, jak dużą sympatią obdarzył studenta wykładowca Ronald E. Smith. Zresztą nie on jeden dał się zwieść urokowi Bundy'ego. Większość ludzi, których morderca spotykał na swojej drodze, była nim początkowo oczarowana. To jedna z bardziej niebezpiecznych cech psychopatów, bo dzięki niej są w stanie owinąć sobie wokół palca niejedną osobę. Zresztą Bundy, jak sami się przekonacie w dalszej części tego rozdziału, przejawiał wiele cech, które przypisuje się właśnie osobowościom psychopatycznym. Zdaniem wybitnego specjalisty w zakresie psychologicznych aspektów przestępczości profesora Roberta Hare'a psychopatę można rozpoznać po następujących cechach diagnostycznych:

1. Powierzchowny urok.

2. Przekonanie o własnej wielkości.

3. Potrzeba stymulacji, szybkie odczuwanie nudy.

4. Patologiczna skłonność do kłamstwa.

5. Przebiegłość, dar manipulacji.

6. Brak wyrzutów sumienia lub poczucia winy.

7. Płytkość uczuciowa.

8. Nieczułość, brak empatii.

9. Pasożytniczy tryb życia.

10. Słabe mechanizmy kontroli zachowań.

11. Rozwiązłość seksualna.

12. Problemy wychowawcze w dzieciństwie.

13. Brak realistycznych długoterminowych celów.

14. Impulsywność.

15. Nieodpowiedzialność.

16. Niezdolność do przyjęcia odpowiedzialności za własne czyny.

17. Liczne krótkotrwałe związki małżeńskie.

18. Popełnianie przestępstw przed osiągnięciem pełnoletności.

19. Powrót do więzienia wskutek naruszenia zasad zwolnienia warunkowego.

20. Wszechstronność kryminalna.

Gdy dokładnie wczytamy się w historię Bundy'ego, zauważymy, że spełniał on większość z wyżej wymienionych cech. W niektórych był wręcz perfekcjonistą. Mimo to do dziś psychiatrzy poddają jego umysł analizie, bo nadal nie do końca jasne jest źródło jego psychopatii. Ale o tym napiszę później.

Urokowi Teda uległa w 1969 roku Elizabeth Kloepfer, znana dziś jako Elizabeth Kendall. Para poznała się we wrześniu w pubie Sandpiper. Dziewczyna pracowała w sekretariacie na Uniwersytecie Waszyngtońskim. Była drobna, skromna, cicha, a do tego samotnie wychowywała trzyletnią córeczkę.

Dziewczynka była owocem nieudanego małżeństwa, które Elizabeth zostawiła za sobą, wyprowadzając się z Utah właśnie do Seattle. Ted miał w tym mieście sporo przyjaciół, a jego drogi nieustannie prowadziły do dwóch stanów – Kolorado i Waszyngtonu.

Elizabeth mieszkała wówczas w niewielkim lokum, licząc na to, że po burzliwej przygodzie z byłym partnerem wreszcie ułoży sobie życie. Szybko dostała pracę jako sekretarka, udało jej się znaleźć również dobre przedszkole dla córki. Miała też w pobliżu przyjaciółkę, na którą mogła liczyć.

Elizabeth pochodziła z rodziny mormonów, którzy samych siebie uważają za główny nurt chrześcijaństwa. Kobieta w ich hierarchii znajduje się poniżej mężczyzny, powinna być dla niego wsparciem, a także zadbać o ognisko domowe. W takim właśnie duchu wychowana została Elizabeth, choć ona sama nie do końca podzielała takie wartości. Chciała się rozwijać i zarabiać na siebie, nie będąc skazana na łaskę męża lub partnera. Seattle mogło jej to zapewnić, tym bardziej że coraz prężniej działały tam feministyczne organizacje uniwersyteckie. Studentki wychodziły na ulice, głośno domagając się swoich praw – nie chciały być sprowadzane jedynie do ról matek i żon, pragnęły robić kariery i decydować o swoim życiu bez narzucanych z góry stereotypów. Elizabeth odnalazła w tym przesłanie dla siebie.

Tego wieczoru, gdy poznała Teda, załatwiła opiekunkę dla córki i poszła z przyjaciółką potańczyć. Chciała po prostu dobrze się bawić. Jak wspominała po wielu latach:

Zauważyłam bardzo przystojnego faceta. Siedział sam, przedstawił się jako Ted. Schlebiło mi, że zaprosił mnie do tańca. Cały wieczór miałam go na oku. Zatańczyliśmy i tyle. Myślałam, że może zaprosi mnie znowu, ale nie zrobił tego. Podeszłam więc i zagadałam. Jako samotna matka nie chciałam przyprowadzać mężczyzn do domu, ale byłam zbyt pijana, żeby prowadzić. Spytałam, czy zostanie na noc. Odpowiedział, że tak. Położyłam się spać w ubraniu, nie próbował mnie całować ani nic. Zanim wstałam, obudził Molly [córkę Elizabeth] i naszykował nam śniadanie. A ja na to: „O Boże!”. Odebrało mi mowę.

Elizabeth była całkowicie oczarowana nowo poznanym mężczyzną. W pracy tryskała radością i przyznała współpracownikom, że spotkała kogoś wyjątkowego. Przystojny i czuły Ted sprawił, że po raz pierwszy od dawna znów uwierzyła w miłość.

Przy nikim tego nie czułam. Od razu poczułam między nami więź. Jakbym znalazła zagubioną część układanki. Pasowaliśmy do siebie, to było niesamowite. Uważałam, że jest zabawny i dojrzały. Był taki obyty, powiedział, że studiuje prawo. Pomyślałam, że jako prawnik zapewni sobie godne życie i będzie mieć to, czego pragnie.

Miłość między tą dwójką trwała przez wiele lat, a w swoich listach wysyłanych już z więzienia Bundy pisał o Elizabeth, że jest „rdzeniem jego życia".

W 1971 roku Ted rozpoczął pracę w biurze kliniki kryzysowej w Seattle. Miał nocne dyżury, na których poznał Ann Rule. Kobieta stała się jego przyjaciółką, a także powierniczką wielu tajemnic. Swoje relacje z Bundym opisała w głośnej książce *Ted Bundy. Bestia obok mnie.* Pisała w niej: *Nie jest tajemnicą, że Ted Bundy odbierał życie. Ale również je ratował. Byłam przy tym*. W trakcie wspólnych dyżurów Ted odbierał telefony od osób w kryzysie, wiele z nich miało myśli samobójcze. Bundy bardzo zaangażował się w pomoc takim desperatom. Przeprowadzał z nimi długie rozmowy, w trakcie których namawiał ich do zgłoszenia się po profesjonalną pomoc. Miał wówczas niespełna dwadzieścia pięć lat. Pierwszego zabójstwa dokonał trzy lata później.

W 1972 roku Bundy ponownie zaangażował się w działalność polityczną. Pracował w biurze stanowym republikanów, a w trakcie kampanii wyborczej zabłysnął także w mediach, choć niekoniecznie został ukazany w pozytywnym świetle. Stał się bohaterem głośnego skandalu. Wyszło bowiem na jaw, że podszywał się pod studenta i z ukrycia nagrywał spotkania demokratycznego rywala Dana Evansa, dla którego pracował. Polityk ubiegał się wówczas o reelekcję na stanowisko gubernatora Waszyngtonu. Bundy miał śledzić jego ruchy, by później móc wykorzystać je w bezlitosnej politycznej walce. Doskonale się maskował – zakładał peruki, przebierał się

i przyjmował zupełnie nową tożsamość. Jak mówił: *Krążyłem między ludźmi i nikt nie miał pojęcia, kim jestem*.

Bundy czerpał wiele przyjemności z takich mistyfikacji i był w tym całkiem niezły. Gdy wyszło na jaw, że szpieguje dla republikańskiego kandydata, w telewizyjnym wywiadzie z kokieteryjnym uśmiechem na twarzy mówił: *Moja rola w kampanii była tak nieistotna, że aż powinienem być zakłopotany tym publicznym rozgłosem.*

Ten mały skandal z Bundym w roli głównej nie przekreślił kariery Evansa, wręcz przeciwnie, ponownie został gubernatorem. To z kolei otworzyło przed Tedem szansę na polityczną karierę. Jego notowania w środowisku znacznie wzrosły, dzięki czemu dostał pracę w Komisji Doradczej Miasta Seattle do Spraw Przeciwdziałania Przestępczości.

Ale i tą obraną ścieżką Bundy nie zamierzał kroczyć długo. Po zaledwie roku porzucił dalsze plany o przeniknięciu do struktur rządowych i po raz kolejny zweryfikował swoje życiowe cele. Z powodzeniem aplikował do Szkoły Prawniczej Utah i zdobył posadę na Wydziale Prawniczym waszyngtońskiego hrabstwa King. Przygotowywał tam – o ironio – dokumentację na temat skali gwałtów, choć jak się później okazało, cały projekt był w powijakach i Bundy nigdy go nie ukończył. Za to jesienią miał rozpocząć naukę na uczelni, ale po raz kolejny po płomiennym zapale ekscytacja związana z nowymi wyzwaniami szybko przygasła. Dlatego choć wcześniej długo zabiegał o przyjęcie do szkoły, nie stawił się na wykładach w wyznaczonym terminie. Zamiast tego napisał do dziekana list. Oznajmił w nim, że – choć jest mu niezmiernie przykro – nie może rozpocząć nauki, bo uległ poważnemu wypadkowi i znajduje się w szpitalu. Tylko częściowo zawarł w swoim piśmie prawdę. W istocie doszło do stłuczki, w wyniku której miał zwichnięty staw skokowy, ale nie wpływało to w jakimkolwiek stopniu na jego zdolność do podjęcia nauki. Większe problemy miała za to Elizabeth, bo to jej auto uległo lekkiemu zniszczeniu. Trudno wytłumaczyć, dlaczego tak naprawdę Ted nie zdecydował się na Utah. Nie był to jednak pierwszy ani ostatni raz, gdy wycofywał się z rozpoczętych już planów.

Nieco światła na prywatne życie Bundy'ego w tamtym czasie rzuciła wspomniana już Ann Rule. Zgodnie z jej relacją mężczyzna, nawet będąc w zaawansowanym związku z Elizabeth, nie przestał myśleć o Diane. Choć wielokrotnie zapewniał o swojej niegasnącej miłości do partnerki, zaczął potajemnie spotykać się z byłą sympatią, prowadząc przy tym podwójne życie. Diane po ukończeniu Uniwersytetu Waszyngtońskiego wyjechała do San Francisco. Ted wybierał się do Sacramento, by załatwić parę politycznych spraw dla Partii Republikańskiej (dwie godziny drogi od San Francisco). Postanowił nadłożyć trochę drogi i zobaczyć się z Diane. Już przy tym pierwszym spotkaniu dziewczyna zauważyła, że były partner całkowicie się zmienił. Nie był już nieśmiałym, niepewnym siebie chłopakiem, a wygadanym, ambitnym i dobrze rokującym przyszłym prawnikiem. Inaczej się wysławiał, brylował w kręgach politycznych, pojawiał się na wytwornych bankietach i miał dobrze postawionych przyjaciół. Diane zakochała się w Bundym na nowo, snuła też plany na temat wspólnego życia. Była przekonana, że nie minie rok, a wezmą ślub. Tyle tylko, że plany Teda co do dziewczyny uległy sporej zmianie. Nie zależało mu już na tym, by jej imponować i związać się z nią na stałe. Ukrywał przed nią swój związek z Elizabeth, a samą Edwards zaczął stopniowo dystansować do siebie. Na początku, tuż po odnowieniu znajomości, zabierał ją na drogie kolacje, rozpieszczał też prezentami. Ale ten stan trwał krótko i chwilę później nastąpiło znaczne ochłodzenie relacji. Diane, jak każda zakochana młoda dziewczyna, chciała dowiedzieć się, skąd ta nagła zmiana w zachowaniu Teda. Pytała go więc wprost, dlaczego się od niej odsuwa, nie jest już czuły i troskliwy. Ale Bundy ją zbywał i nieustannie powtarzał, że nie ma pojęcia, o co jej chodzi. Diane czuła się jak w potrzasku. Zachowanie partnera było dla niej trudne, bo doskonale wiedziała i czuła, że ich relacje całkowicie się zmieniły, a jednocześnie nie otrzymywała od niego żadnego słowa wyjaśnienia, żadnej wskazówki, która mogłaby pomóc jej w zrozumieniu swojego chłopaka. Zdecydowała się więc pójść do terapeuty, któremu wyznała: *Chyba mnie nie kocha. Wygląda na to, że przestał mnie kochać*.

Gdy Ted był w innym mieście, pisała do niego listy. Ale i tym sposobem niczego nie wskórała. Bundy zwyczajnie ją

ignorował. Wtedy do dziewczyny dotarła koszmarna prawda: Ted odnowił z nią kontakt nie dlatego, że kierowały nim romantyczne pobudki, a dlatego, że chciał się zemścić. Przez te wszystkie lata piął się po drabinie społecznej i zawodowej, zmienił sposób bycia, stał się pewny siebie, czym podbił swoją atrakcyjność, tylko po to, by odzyskać dawną miłość, rozkochać ją w sobie, a następnie porzucić, tak jak ona przed laty porzuciła jego. Jego upór w osiągnięciu tego celu, a także wytrwałość mogłyby budzić uznanie, gdyby nie pobudki, którymi się kierował. Poza tym, patrząc na jego późniejsze czyny, nietrudno odnieść wrażenie, że poświęcił kilka lat tylko po to, by świadomie zranić drugiego człowieka. Chciał, by Diane cierpiała i był zdeterminowany, by tak właśnie się stało. Zemsta na byłej dziewczynie to nie tylko swego rodzaju *katharsis* dla Bundy'ego, ale też moment, w którym po wyjściu z kokonu i dokonaniu ewolucji mógł wylecieć w świat jako jeden z najkrwawszych seryjnych morderców w dziejach ludzkości.

W 1974 roku osiemnastoletnia Karen Sparks Epley, studentka politologii, zajmowała pokój w suterenie starego domu nieopodal Uniwersytetu Waszyngtońskiego. Do środka można było dostać się z zewnątrz przez boczne drzwi. Czwartego stycznia dziewczyna położyła się spać o tej samej porze co zwykle. Gdy tylko zasnęła, do pokoju w całkowitej ciszy dostał się napastnik. Brutalnie ją pobił i okaleczył. Karen w pierwszym telewizyjnym wywiadzie mówiła:

Wyrwał ramę z łóżka i rozbił mi głowę. Potem prawdopodobnie użył tej samej ramy, by wepchnąć mi ją w waginę i pęcherz, który był całkowicie rozerwany. To było straszne.

Po zmasakrowaniu nastolatki napastnik wyszedł z domu tą samą drogą, którą wszedł, i zniknął w ciemnościach. Karen leżała nieprzytomna przez wiele godzin, a jej łóżko było przesiąknięte krwią. Dopiero o poranku, gdy nie zjawiła się na śniadanie, jej współlokatorzy zdecydowali się wejść do niej do pokoju, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Dziewczyna trafiła do szpitala w stanie krytycznym. Poza uszkodzonymi waginą i pęcherzem, miała też poważny uraz mózgu i przez kilka dni była w śpiączce. Obrażenia były na tyle rozległe, że po odzyskaniu przytomności musiała uczyć się wszyst-

kiego od nowa, zupełnie tak jakby znów była dwuletnim dzieckiem:

Doznałam trwałego uszkodzenia mózgu. Mówili mi na przykład: „To jest biurko, powtórzysz?”. Nie mogłam powiedzieć ani słowa. Straciłam 50 procent słuchu i 40 procent wzroku. W uszach mi strasznie dzwoni i brzęczy. Non stop. Miałam napady padaczki. Na szczęście już je przezwyciężyłam.

Karen miała też problemy z pamięcią, nie potrafiła sobie przypomnieć dziesięciu dni poprzedzających atak. Napastnika nie widziała, bo ten zaatakował ją we śnie i zdążył ogłuszyć, zanim się obudziła. Według Epley, ale też śledczych badających sprawę Bundy’ego, to właśnie studentka politologii była pierwszą ofiarą Teda. I jedną z nielicznych, które ocalały.

Atak na Karen był dopiero preludium, które zwiastowało prawdziwie krwawą operę. Ta miała swój początek 31 stycznia 1974 roku. Dwudziestojednoletnia Lynda Ann Healy pracowała w jednej z waszyngtońskich stacji radiowych. Czytała raporty drogowe, a także przedstawiała prognozę pogody. Jej głos znali wszyscy słuchacze. Była nie tylko utalentowana, inteligentna i ambitna, ale również bardzo atrakcyjna. Wysoka i szczupła, miała długie kasztanowe włosy opadające na ramiona i sięgające niemal do pasa. Do tego niebieskie oczy, które rzucały radosne spojrzenie. Budziła powszechną sympatię, dlatego jej nagła nieobecność w pracy wywołała spory niepokój. Do stacji radiowej Lynda dojeżdżała rowerem. Zawsze była na czas i nigdy nie zaniedbywała swoich obowiązków. Nikomu nie zgłaszała wcześniej, że w tym dniu nie pojawi się przed mikrofonem. Również jej współlokatorki były zaskoczone, gdy chwilę po godzinie 5.00 wybrzmiał budzik w jej pokoju, ale przez dłuższą chwilę nikt go nie wyłączał. Łóżko dziewczyny było idealnie zaścielone, zupełnie tak jakby tej nocy nikt w nim nie spał.

Lynda studiowała psychologię na Uniwersytecie Waszyngtońskim, a dom, w którym mieszkała, dzieliła z czterema koleżankami: Joanne Testa, Monicą Sutherland, Ginger Heath i Karen Skaviem. Budynek znajdował się przy Północno-Wschodniej Dwunastej Ulicy 5517 i – jak wkrótce miało się okazać – stał się kolejnym celem Teda Bundy’ego.

Gdy współlokatorki zrozumiały, że Lyndy nie ma w pokoju, rozpoczęły nerwowe poszukiwania. Szybko zrozumiały, że koleżanka nie pojechała do pracy, bo jej rower nadal znajdował się w suterenie. Nie miały wyjścia, musiały wezwać policję. Funkcjonariusze po przyjeździe na miejsce zastali doskonale wysprzątany pokój, który był niemal sterylny. Ale było tak tylko na pierwszy rzut oka, bo gdy rozpoczęto przeszukanie pomieszczenia, policjanci odnaleźli wiele niepokojących śladów. Przede wszystkim po odkryciu kołdry zauważyli na materacu duże plamy zaschniętej krwi. Współlokatorki przyznały, że łóżko było zaścielone inaczej niż zwykle. W swoich zeznaniach z 6 lutego 1974 roku Ginger Heath mówiła:

Pierwszą rzeczą, którą od razu zauważyłam, była brakująca poszewka na poduszkę. Również łóżko zostało zaścielone inaczej, niż zwykle robi to Lynda. Narzuta była wsunięta pod poduszkę, podczas gdy ona zwykle po prostu rzuca ją na tę poduszkę. Narzuta była tak idealnie położona, że nie było żadnych zmarszczek. Gdy funkcjonariusze odsunęli kołdrę, zrozumiałam, że wszystko zostało tak ułożone, by krew nie była widoczna.

W szafie policjanci znaleźli koszulę nocną, którą prawdopodobnie Lynda miała tej nocy na sobie. Na ubraniu również były plamy krwi. We wstępnej wersji śledczy ustalili, że ktoś wszedł do pokoju dziewczyny i zaatakował ją, gdy ta jeszcze spała. Następnie ją rozebrał i po cichu wyniósł z domu. Pytanie pozostawało jednak to samo: gdzie po uprowadzeniu znajdowała się Lynda?

Jej przyjaciółki były zdruzgotane. Nie potrafiły zrozumieć, dlaczego to właśnie ich współlokatorka stała się ofiarą szaleńca. Joanne Testa wspominała Lyndę jako pogodną i uśmiechniętą dziewczynę:

Była jedną z pierwszych osób, jakie poznałam. Pierwszą, z którą faktycznie spędziłam czas. Nie umiem wyjaśnić, czemu była tak miła. Obie wiedziałyśmy, że niebawem będziemy przyjaciółkami. Ciągle spędzałyśmy razem czas. Cieszył nas świat i życie. Potrafiłyśmy przegadać całą noc o tym, kim chcemy

być i co robić. Była pełna życia. Nie było pomieszczenia, którego nie rozświetliła. Była piękna.

Zniknięcie młodej studentki wstrząsnęło lokalną społecznością. Szeroko zakrojone poszukiwania nie przyniosły jednak żadnych rezultatów. Szczątki Lyndy odnaleziono dopiero rok po jej uprowadzeniu.

Gdy policjanci z Seattle próbowali odkryć, co stało się z Healy, z college'u Evergreen bez śladu zniknęła Donna Manson. Dwunastego marca 1974 roku dziewiętnastolatka wybierała się na koncert jazzowy organizowany na kampusie. Samotnie wyszła z akademika chwilę przed godziną 19.00. Z nikim się nie umówiła, choć jak pisano później w prasie, tuż przed koncertem spędziła sporo czasu przed lustrem, kompletując odpowiedni strój na wieczór.

Deanna Ray, jej współlokatorka, powiedziała, że była bardzo skoncentrowana na swoim wyglądzie i przebierała się wiele razy. Ale nie miała żadnej randki, nie była również z nikim umówiona.

Donna miała dość specyficzne zainteresowania. Skupiały się wokół śmierci, magii i alchemii. Do tego paliła marihuanę, a według znajomych mogła sięgać też po twardsze używki. Często opuszczała zajęcia i znikała na kilka dni. Dlatego gdy nie zjawiła się na wspomnianym koncercie, początkowo nikt nie odebrał tego jako przejawu czegoś złego. Ale dni mijały, a dziewczyna nie dawała znaku życia. Wtedy powiadomiono policję. Po przeszukaniu pokoju Donny funkcjonariusze odkryli jej notatki. Były dosyć niepokojące, skupione głównie wokół negatywnych emocji, dlatego policjanci założyli, że dziewczyna mogła popełnić samobójstwo. Dopiero gdy na wpisy spojrzał psychiatra i wykluczył taką możliwość, śledczy zaczęli brać pod uwagę inne opcje. Podejrzane było zwłaszcza to, że studentka zostawiła w pokoju wszystkie swoje rzeczy, nawet aparat fotograficzny, z którym się nie rozstawała. Ale podobnie jak w przypadku Lyndy, również i tutaj po dziewczynie nie było śladu. Nie było też żadnych podejrzanych, których można byłoby powiązać z tajemniczym zniknięciem Donny. Zupełnie tak jakby rozpłynęła się w powietrzu.

I poniekąd tak właśnie było, bo ciała nastolatki nigdy nie odnaleziono.

Osiemnastoletnia Susan Rancourt była niezwykle ambitną i bystrą studentką. Była też sprawna fizycznie, bo regularnie ćwiczyła karate. Uczyła się w college'u stanowym w Elsenburgu, co kosztowało ją nie tylko sporo pieniędzy, ale i pracy. Jej rodzice mieli w sumie sześcioro dzieci, więc jeśli Susan chciała się kształcić, musiała na to zarobić. Dlatego latem przed rozpoczęciem nauki pracowała na dwa etaty. Mimo dodatkowych zajęć otrzymywała bardzo dobre oceny. Choć dziewczyna nie należała do lękliwych, unikała ciemności. Nigdy nie wychodziła sama po zmroku, a jeśli już odważyła się opuścić dom o tej porze, to tylko wówczas, gdy towarzyszyła jej współlokatorka. Swoje nawyki zmieniła tylko raz – 17 kwietnia 1974 roku. I było to o ten jeden raz za dużo.

Tego wieczoru Susan zaniosła ubrania do pralni, która mieściła się w sąsiednim akademiku. Następnie dołączyła do opiekunów na spotkanie, po którym była umówiona z koleżanką na wspólne oglądanie filmu. Ale na ten ostatni zaplanowany punkt dnia już nie dotarła. Nie wróciła również po pranie, które czekało na nią gotowe do odbioru. Zniknęła. Poszukiwania dziewczyny ruszyły od razu, bo jej nieobecność zauważyli zaniepokojeni znajomi. Powiadomieni policjanci założyli, że studentka zaginęła w drodze do Barto Hall, gdzie wyświetlano film. Żeby tam dotrzeć, najpewniej musiała przejść obok galerii handlowej, placu budowy, następnie przez kładkę nad stawem, a ostatnim punktem trasy była estakada kolejowa. Zdaniem śledczych to właśnie tam mogła spotkać oprawcę. W trakcie rozmów ze studentami funkcjonariusze usłyszeli niepokojące opowieści o tajemniczym przystojnym mężczyźnie, który miał rękę na temblaku i kręcił się wokół akademików. Najczęściej widywano go przy bibliotece. Nosił tam książki, ale co jakiś czas je upuszczał, przez co sprawiał wrażenie nieco niezdarnego. Zaczepił jedną ze studentek, prosząc ją o pomoc. Zapytał, czy pomoże mu zanieść książki do zaparkowanego tuż obok garbusa. Dziewczyna się zgodziła, choć niechętnie. Mężczyzna wydawał się miły, ale było w nim coś takiego, co sprawiało, że studentka czuła się niezręcznie. Gdy dotarli do auta, wrzuciła do środka książki i wtedy zauważyła,

że w pojeździe brakuje fotela pasażera. Zdziwiło ją to, ale nie dopytywała o szczegóły. Nieznajomy próbował ją jeszcze zagadywać, ale dziewczyna, stojąc obok niego, czuła ogromny niepokój, dlatego grzecznie się pożegnała i szybko uciekła, zostawiając obcego w tyle.

Mężczyznę z ręką na temblaku widziało wiosną 1974 roku co najmniej kilka studentek. Jedną z nich próbował nakłonić, by wsiadła do auta i pomogła mu odpalić pojazd. Mimo jego szerokiego uśmiechu i spokojnego głosu każda z dziewczyn, którą wówczas zaczepił, odmawiała i uciekała przy pierwszej lepszej okazji. W trakcie rozmów ze śledczymi mówiły, że w nieznajomym było coś niepokojącego. Dostrzegały to w jego oczach, które wydawały się puste. To z kolei sprawiało, że czuły się przy nim nieswojo i chciały jak najszybciej odejść. Czy Susan uległa jego namowom i zdecydowała się wsiąść z nim do samochodu? Jeśli cokolwiek zrobiła, to według jej znajomych tylko dobrowolnie. Była bowiem niezwykle waleczna i nie poddałaby się łatwo napastnikowi. Gdyby z kolei doszło do szarpaniny, śledczy najpewniej odkryliby w pobliżu jakiekolwiek ślady. Tak się jednak nie stało. Osiemnastolatka zniknęła w całkowitej ciemności, jakby ta dosłownie ją wchłonęła. Nikt jej nie widział, podobnie jak napastnika, który upatrzył ją sobie jako kolejny cel. Na szczątki Susan natrafiono niespełna rok później.

Trzech pierwszych zabójstw dokonano w stanie Waszyngton. Kolejna ofiara była już z Oregonu – to dwudziestodwuletnia Roberta Parks, która zniknęła na początku maja 1974 roku. Nazywana przez przyjaciół Kathy mieszkała na terenie kampusu uniwersytetu stanu Oregon w Corvallis, które znajduje się około 400 kilometrów od Seattle. Studiowała tam religioznawstwo. Szóstego maja wyszła ze swojego pokoju, by spotkać się z przyjaciółmi w budynku samorządu szkolnego. Ale nigdy nie dotarła na miejsce. Podobnie jak w przypadku zaginionych dziewczyn z Waszyngtonu również Roberta zniknęła nagle, pozostawiając wszystkie swoje rzeczy. Ucieczka nie była więc brana pod uwagę, tym bardziej że studentka nie miała żadnych wrogów, nie żaliła się też znajomym, by kogokolwiek się obawiała. Po kilku dniach intensywnych, ale bezskutecznych poszukiwań śledczy uznali, że dziewczyna

została porwana. Część funkcjonariuszy nie wiązała jej zaginięcia z trzema sprawami z Waszyngtonu. Uważali, że odległość między tymi dwoma stanami jest zbyt duża, by brać pod uwagę jednego sprawcę.

W tym czasie na liście zaginionych pojawiło się kolejne, piąte już nazwisko – Brenda Carol Ball. Dwudziestodwulatka mieszkała z dwiema studentkami na przedmieściach hrabstwa King. W nocy 1 czerwca wybrała się samotnie do baru Flame, gdzie widziało ją kilka osób. Po paru godzinach zabawy opuściła lokal. Szukała podwózki do domu, a ostatni jej ślad prowadził do nieznajomego, z którym rozmawiała na parkingu. Miał rękę na temblaku.

Osiemnastoletnia Georgann Hawkins, studentka pierwszego roku Uniwersytetu Waszyngtońskiego, odliczała już dni do zakończenia roku i z niecierpliwością czekała na wyjazd do rodzinnego domu w Tacomie. Najwięcej czasu poświęcała na naukę hiszpańskiego, który jednocześnie sprawiał jej najwięcej problemów. Była uśmiechniętą, pełną życia dziewczyną z wieloma planami na przyszłość. Zawsze aktywna, z ogromnym urokiem osobistym Georgann robiła też duże wrażenie z powodu swojej urody. Długie brązowe włosy idealnie okalały sympatyczną twarz, na której głównym akcentem były piwne oczy. Nie była prymuską, ale osiągała bardzo dobre wyniki i nie odpuszczała nauki nawet wtedy, gdy w planach miała imprezę. Tak było też w 1974 roku. Noc przypadająca na 11 czerwca była niezwykle ciepła, a niebo bezchmurne, dzięki czemu odsłoniło całą swoją gwiezdną paletę. Hawkins poszła na drinka, ale w planach miała jeszcze naukę, więc obiecała sobie, że ilość alkoholu będzie symboliczna. Wracając, chciała zajrzeć jeszcze do swojego chłopaka, który mieszkał w Beta Theta Pi. Teren kampusu był ogromny, ale Georgann znała go doskonale. Dlatego, wracając ze spotkania z koleżanką, pewnym krokiem ruszyła jedną z alejek. Do chłopaka dotarła po północy. Została u niego około pół godziny, po czym dała mu całusa i poszła w stronę swojego domu. Ostatnią osobą, która z nią rozmawiała, był inny student – Duane Covey. Gdy usłyszał trzask zamykanych drzwi, wyjrzał przez okno i zobaczył dziewczynę. Chwilę porozmawiali o zbliżającym się teście z hiszpańskiego, a następnie w tym właśnie

języku pożegnali się i Covey patrzył, jak Hawkins znika w ciemnościach. W trakcie krótkiej rozmowy oboje słyszeli czyjś śmiech dobiegający gdzieś z oddali, a Georgann co chwilę zerkała w tamtym kierunku, by zlokalizować jego właściciela. Nikogo jednak nie dojrzała. Gdy dziewczyna odeszła, Duane stał w oknie jeszcze przez chwilę, a następnie schował się do pokoju. Gdyby został tam nieco dłużej, chociaż przez minutę, zauważyłby, że znajoma chwilę później zawróciła, ale nie była sama. Obok niej szedł, kuśtykając, przystojny ciemnowłosy mężczyzna, który podpierał się kulami. Dziewczyna nie miała pojęcia, że ten sam nieznajomy obserwował ją od dłuższego czasu, czając się w mroku i przysłuchując jej rozmowie z kolegą. W ten sposób poznał szczegóły dotyczące zajęć z hiszpańskiego i bez problemu mógł podać się za studenta. Najpewniej w taki właśnie sposób wzbudził zaufanie Georgann. Gdy wyczuł, że studentka jest sama, a kolega nie obserwuje jej z okna, podszedł do niej i poprosił o pomoc, dokładnie tak, jak robił to już wcześniej. Hawkins poszła z nim w stronę zaparkowanego w pobliżu garbusa i już nigdy więcej nie wróciła do swojego pokoju, by przygotować się do egzaminu z języka hiszpańskiego.

Wszystkie zaginione dziewczyny łączyło to samo. Były:

– młode,

– atrakcyjne,

– studentkami,

– niezamężne,

– szczupłe,

– ambitne,

– białe.

Ale co najważniejsze – każda z nich miała długie brązowe i proste włosy z przedziałkiem na środku. Porywacz miał więc swój typ i twardo się go trzymał przy doborze ofiar. I choć to nie uległo zmianie, latem 1974 roku zaczął modyfikować sposób działania. Porzucił teren kampusów i ruszył na nieco bardziej otwartą przestrzeń. Jego celem stał się park stanowy jeziora Sammamish, który cieszył się ogromną popularnością

głównie wśród młodych ludzi. Spragnieni słońca i towarzystwa wolne dni spędzali na wypoczynku, sączeniu piwa i wspólnych rozmowach. Było to miejsce pod pewnym względem idylliczne, które przyciągało spokojem i beztroską. Można było tam wypocząć, popływać, zjeść coś, po prostu świetnie się bawić. Jezioro ma około 12 kilometrów długości i niecałe 2,5 kilometra szerokości. Jest niezwykle urokliwe, a nad szeroko rozciągającą się wodą króluje w oddali górski krajobraz. Nic więc dziwnego, że dla okolicznych mieszkańców miejsce to stanowiło główną atrakcję w ciepłe i słoneczne dni. Właśnie taki był 14 lipca 1974 roku. Tego dnia nad jeziorem mogło przebywać nawet 40 tysięcy ludzi. Wśród nich był również mężczyzna, który wcześniej urządzał polowania na terenie kampusów.

W swoich zbrodniach stał się już na tyle pewny siebie, że nie miał jakiegokolwiek problemu z zaczepianiem młodych kobiet w biały dzień i to w miejscu po brzegi wypełnionym ludźmi. Tego dnia ponownie założył na rękę temblak i ruszył na łowy. Jeszcze przed południem podszedł do nieznajomej dziewczyny. Była to Janice Ellen Graham, którą poprosił o pomoc. Tłumaczył jej, że ma problem z przymocowaniem żaglówki do auta. Dziś, gdy większość kobiet jest świadoma istniejących wokół zagrożeń, pewnie niejedna zadałaby sobie pytanie, dlaczego obcy mężczyzna prosi o pomoc w takiej sprawie właśnie kobietę, a nie drugiego mężczyznę. Wtedy jednak zaskoczona pytaniem dziewczyna zgodziła się pomóc i ruszyła z nieznajomym. Jednak gdy tylko dotarli na wskazane przez mężczyznę miejsce, okazało się, że nie ma tam żadnej żaglówki. Wtedy powiedział, że znajduje się dalej, u jego rodziców za wzgórzem. Zaproponował, by młoda kobieta wsiadła do auta i pojechała z nim na miejsce. Ale to tłumaczenie było zbyt pokrętne i niespójne, dlatego dziewczyna poczuła niepokój. Grzecznie odmówiła i odeszła od mężczyzny. Nie protestował, choć czuł w głębi, że koło nosa przeszła mu doskonała okazja, by upolować kolejną ofiarę. Odparł jedynie: Och, w porządku. Mogłem ci powiedzieć, że auto nie stoi na parkingu.

Niezrażony niepowodzeniem wrócił na miejsce i ponownie zaczął się rozglądać, niczym drapieżnik szukający pożywienia.

Jego wzrok skupił się na dwudziestotrzyletniej Janice Ott. Tego dnia była nad jeziorem sama. Wypoczywała na łonie natury w dżinsowych szortach i białej koszuli. Przykuła uwagę mężczyzny, który znów przywdział maskę uśmiechniętego, bezradnego studenta i nie mógł poradzić sobie z załadowaniem żaglówki. Janice nie zgodziła się od razu, więc musiał ją przez chwilę namawiać. Ich rozmowę słyszała wypoczywająca obok z koleżankami Sylvia Maria Valint. Jej zeznania zanotowali później śledczy:

Czternastego lipca 1974 roku byłam nad jeziorem Sammamish w Parku Stanowym z Kathy Veres i Pam. Siedziałyśmy na plaży w pobliżu wody. Dziewczyna, którą zidentyfikowałam jako Jan Ott, przebywała blisko mnie, miała ze sobą rower. Rozłożyła ręcznik, miała na sobie krótkie spodnie i bluzkę zawiązaną na brzuchu. Spodnie były dżinsowe. Miała też plecak w ciemnym kolorze. Zdjęła spodnie oraz koszulkę i położyła obok. Miała czarne bikini. Wydaje mi się, że miała skórzane, kolorowe klapki. Leżała tam około pół godziny. Wtedy podszedł do niej jakiś facet. Miał około 167–170 centymetrów, średnio zbudowany, jasnobrązowe włosy opadające na kark, odchylone po bokach. Miał lewą rękę na temblaku. Gips zaczynał się na nadgarstku i zginał wokół łokcia. Miał białe buty do tenisa, białe skarpetki i białą koszulkę. Powiedział: „Przepraszam, czy mogłabyś mi pomóc załadować żaglówkę na mój samochód, ponieważ nie mogę tego zrobić sam przez złamane ramię". Ona odparła: „Cóż, usiądź i opowiedz mi o tym. Gdzie jest ta łódź?". On powiedział: „Jest w domu moich rodziców w Issaquah". Na co ona: „Och, naprawdę? Mieszkałam tam", a potem dodała: „Dobrze więc". Wstała i włożyła ubranie. Potem wzięła swój rower i powiedziała: „Pod jednym warunkiem, że będę mogła popłynąć żaglówką". On odparł: „Samochód stoi na parkingu". Wtedy wypowiedziała mniej więcej takie słowa: „Cóż, poznam więc teraz twoich rodziców". Zapytał ją, kogo zna w Issaquah. Poszli tak, jakby szli w stronę parkingu. Byli na plaży jakieś 10 minut. Miał miły, angielski akcent, jakby był homoseksualistą. Miał też małe bokobrody. Mówił gładko. Zdecydowanie był biały, nie można byłoby go pomylić z Latynosem lub Hawajczykiem. Jego ubrania wyglądały, jakby był bogaty, przypominały strój do żeglowania. Przedstawił się jako Ted, wtedy ona powie-

działa, że ma na imię Jan. Byłam jakieś dwie stopy od niej. Przyszedł do niej od strony zachodniej.

Podobne zeznania złożyły koleżanki Sylvii, choć one przyznały, że nie przyglądały się jakoś szczególnie dwudziestotrzylatce. Janice uległa nieznajomemu i poszła z nim w stronę auta, zabierając ze sobą rower, który leżał obok. Widziała ją jeszcze jedna osoba – jak się okazało, była to dziewczyna, którą Ted jako pierwszą próbował zaciągnąć do samochodu. Ona również zeznawała przed policją:

To było jakieś 10 minut później, gdy zobaczyłam, jak idzie z jakąś dziewczyną w stronę parkingu. Miała ze sobą żółty rower z zakrzywioną kierownicą. Pomyślałam sobie, że nie zajęło mu dużo czasu, żeby znaleźć kogoś innego, kto pójdzie z nim na parking. Szli w tamtą stronę (on był bliżej mnie) i dziewczyna szła między nim a rowerem, który pchała. Nie mogłam jej zbyt dobrze dostrzec. Zastanawiałam się, gdzie umieści ten rower. Spotkałam się ze znajomymi około 12.45 i nie widziałam go już więcej przez resztę dnia.

Janice przepadła bez śladu.

Jeszcze tego samego dnia, zaledwie kilka godzin później, również nad jeziorem Sammamish Ted wypatrzył kolejną ofiarę. Była nią osiemnastoletnia Denise Naslund. Dziewczyna przyjechała do parku razem z chłopakiem Kenem Little i znajomymi. Chwilę po godzinie 16.00 opuściła na chwilę grupę, by pójść do publicznej toalety. I to był ostatni raz, gdy chłopak i przyjaciele widzieli Denise. Dziewczyna zniknęła. Zaginięcie zgłoszono około godziny 20.30, wcześniej znajomi próbowali znaleźć Naslund na własną rękę. Wtedy śledczy usłyszeli mnóstwo opowieści o nieznajomym, który z ręką na temblaku zaczepiał młode dziewczyny, prosząc je o pomoc w załadowaniu żaglówki. W tych relacjach przewijał się wciąż ten sam opis:

– młody mężczyzna około dwudziestu pięciu–dwudziestu ośmiu lat,

– jasnobrązowe kręcone włosy,

– strój sugerujący uprawianie sportu (tenis, żaglówka),

– brytyjski akcent,

– biały,

– około 170 centymetrów wzrostu,

– miał rękę na temblaku,

– przedstawiał się jako Ted.

Śledczy przesłuchali znajomych Denise, którzy stanowczo zapewniali, że dziewczyna na pewno nie oddaliła się ot tak, porzucając swojego chłopaka. Poza tym zostawiła na miejscu wszystkie rzeczy, które tego dnia zabrała nad jezioro. Jak relacjonowali, Naslund była miłą, serdeczną dziewczyną, która z pewnością pomogłaby każdemu, kto o tę pomoc by poprosił. Jeśli więc podszedł do niej kontuzjowany mężczyzna, który potrzebował wsparcia przy załadowaniu żaglówki, musiała zgodzić się pójść razem z nim. Jej matka Eleanore M. Rose w rozmowie z policją mówiła:

Denise była niezwykle kochana, często dostawałam od niej prezenty zupełnie bez okazji, byłyśmy razem bardzo blisko. Kiedy przychodziła do mnie do domu, to tak jakby słońce weszło przez drzwi.

Zniknięcia młodych kobiet trafiły do mediów. W gazetach pojawił się portret pamięciowy, a także ostrzeżenie:

W związku z zaginięciami dwóch młodych kobiet nad jeziorem Sammamish 14 lipca policja apeluje do wszystkich kobiet, zwłaszcza między osiemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, aby były ekstremalnie ostrożne, zwłaszcza po zmroku.

Portretowi towarzyszył też opis samochodu, którym porywacz się poruszał. Był to brązowy volkswagen garbus. Zaznaczono również, że poszukiwany mężczyzna może mieć związek z innymi zaginięciami, między innymi Lyndy Ann Healy. Te wszystkie, niekiedy dość szczegółowe informacje na niewiele się jednak zdały. Na portrecie widniał wizerunek mężczyzny, który miał dość pospolitą twarz, niewyróżniającą się niczym szczególnym. Taką, która sprawiała, że nieznajomy mógł po prostu wtopić się w tłum, nie rzucając się szczególnie w oczy. Ale wśród setek osób, które po zaginięciach młodych dziewczyn z okolic jeziora Sammamish sięgnęły po gazety,

była jedna kobieta, na której portret pamięciowy zrobił szczególne wrażenie. W bujnych włosach i gęstych brwiach rozpoznała swojego chłopaka. Tą kobietą była Elizabeth Kloepfer, partnerka Teda Bundy'ego.

Gazeta z wizerunkiem poszukiwanego mężczyzny wpadła w ręce Liz, gdy była w pracy. Przyniósł ją jeden z pracowników. Podszedł do niej, położył papier na biurku i spytał: rozpoznajesz go? Dziewczyna natychmiast zbladła i zaniemówiła:

Wyglądał jak mój Ted. Nie chciałam o tym myśleć, ale byłam przerażona, jakby coś było nie tak. Patrzyłam na portret raz po raz, a w domu zaczęłam przeglądać nasze zdjęcia. Zobaczyłam zdjęcie Teda, na którym wyglądał podobnie, linia szczęki była identyczna. Zabrałam zdjęcie do przyjaciółki, pokazałam jej i obie byłyśmy w szoku. Tak bardzo przypominał Teda. Powiedziała mi: „Nie możesz być z kimś cztery lata i nie wiedzieć, kim jest. Jak możesz w ogóle tak myśleć?".

Ale to nie uspokoiło Elizabeth. Zaczęła dostrzegać wiele punktów wspólnych między jej partnerem a historiami, które rozgrzewały opinię publiczną:

Zbiegów okoliczności było tak dużo, że nie mogłam odpuścić. Czytałam w gazecie, że jakiś świadek porwania Georgann Hawkins widział mężczyznę o kulach. Byłam w szoku. Widziałam kule w pokoju Teda. Pomyślałam: „O nie!". W mojej głowie zrodziło się pytanie, czy on jest do tego zdolny? Przecież to nie ma sensu. Razem z przyjaciółką anonimowo zadzwoniłam na policję z budki telefonicznej i spytałyśmy, czy miał zegarek na prawej ręce. Ted nosił zegarek na prawej ręce. Odpowiedzieli, że nikt o tym nie wspomniał. Spytałyśmy, czy ten volkswagen na pewno był brązowy, ponieważ jego wóz był beżowy. Odpowiedzieli, że tak, był. Pomyślałam: „Uff, czyli to nie mój Ted". Odprowadziłam przyjaciółkę i poszłam do Teda. Leżeliśmy na podłodze i rozmawialiśmy, był po prostu moim Tedem. Czułam się jak wariatka, czemu w ogóle o tym pomyślałam?

Elizabeth nie miała wówczas pojęcia, jak bardzo jej skojarzenia były prawdziwe.

Policja rozpoczęła szeroko zakrojone poszukiwania Janice i Denise. Sprawdzano okoliczny teren z pomocą psów tropiących, patrolowano okolicę ze śmigłowca, specjaliści od psychologii na podstawie zebranych zeznań stworzyli też profil porywacza. Pracowała nad nim doktor Donna Schram, która – o ironio – znała prywatnie Teda Bundy'ego. Nakreślając jednak profil nieznajomego znad jeziora Sammamish, nie skojarzyła, że tak naprawdę opisuje znajomego. W dokumencie przekazanym śledczym uznała, że poszukiwany mężczyzna był manipulantem, pochodził z klasy średniej lub wyższej, większość jego życia kręciła się wokół kobiet oraz że miał swój typ, którego poszukiwał. Nie opierał się jednak na seksualności, a na pewnej niewinności i braku doświadczenia. Nie zależało mu na tym, by kobieta dała zielone światło do współżycia, chciał ją zdominować. To jednak było wciąż za mało, by wytypować konkretnego człowieka.

Elizabeth nie była jedyną osobą, która w dość prostym i mało szczegółowym portrecie pamięciowym dostrzegła znajomą twarz. Joel Kestenbaum z Wydziału Psychologii Uniwersytetu Waszyngtońskiego sięgnął po gazetę i niemal natychmiast skojarzył szkic ze swoim studentem. Był nim Ted Bundy. Czuł, że to niemożliwe i nieustannie powtarzał sobie, że przecież ten młody, ambitny człowiek nie byłby zdolny do tak potwornych rzeczy. Mimo to, chcąc być w zgodzie z samym sobą i swoim sumieniem, wykładowca zgłosił się na policję. Przyznał, że zamieszczony portret przypomina mu studenta Teda Bundy'ego. Śledczy dopytywali, czy przejawiał niepokojące zachowanie lub było w nim coś, co mogłoby sprawić, że powinien być wciągnięty na listę podejrzanych. Ale Kestenbaum odpowiedział stanowczo: „nie".

Siedem tygodni po głośnym zaginięciu Ott i Naslund myśliwi natknęli się na ludzkie szczątki. Znajdowały się w pobliżu parku Sammamish wśród wysokich chwastów i krzewów. Najpierw odnaleziono czaszkę, później ratownicy – przeczesując teren na kolanach – zobaczyli żuchwę. Ustalono, że należała do Janice. Nieco dalej znajdowały się czaszka i żuchwa Denise. Kawałek po kawałku składano w całość szkielety uprowadzonych dziewczyn. Nadzieje rodziny na odnalezienie młodych kobiet żywych uleciały bez-

powrotnie. Co ciekawe, niemal w tym samym miejscu natknięto się również na szczątki innych osób. Przypuszczano, że należały do zaginionych wcześniej studentek, między innymi Georgann Hawkins, ale wtedy nie udało się tego potwierdzić.

W tym czasie Ted szykował się do przeprowadzki do Salt Lake City. Miał tam rozpocząć studia prawnicze na Uniwersytecie Utah. To oznaczało rozłąkę z Elizabeth, ale ustalili, że spróbują być parą na odległość. Relacje między nimi mocno się ochłodziły, głównie dlatego, że Ted stał się oziębły. Przekonywał, że jego uczucia nie wygasły, a zmiana zachowania to efekt stresu związanego z pracą. Elizabeth podejrzewała z kolei, że partner może ją zdradzać z innymi kobietami. Pod względem psychicznym czuła się coraz gorzej, dlatego zaczęła sięgać po alkohol. Ted był niezwykle ważną postacią w jej życiu, wizja, że mogłaby go utracić, była dla niej nie do zniesienia. Tym bardziej że partner stał się również istotną postacią dla jej córki. Dziewczynka przywiązała się do Bundy'ego, traktowała go jak członka rodziny. Ale i ona czuła, że relacje między nim a jego matką uległy znacznemu pogorszeniu:

Czułam, że go tracimy i było mi smutno. Czułam, że nie jesteśmy już tak blisko. Czułam, że nasza relacja przybiera zły obrót. Pamiętam, że to się zaczęło, kiedy bawiliśmy się w chowanego. Schował się pod kocem, weszłam do pokoju, ściągnęłam koc, a on był nagi. Byłam w szoku i powiedziałam: „Jesteś nagi". Na co on: „Tak, ponieważ mogę stać się niewidzialny, ale moje ubrania nie, a nie chciałem, żebyś mnie widziała". Próbowałam to rozgryźć, ale on mnie dotknął i zaczął grę w berka, więc musiałam przestać, bo nie chciałam być berkiem. Biegałam i się zastanawiałam, ale im więcej myślałam, tym było gorzej. Chciałam wytłumaczyć to w dziecinny sposób, że po prostu była to część zabawy. Zawsze łamał zasady, to była kolejna rzecz, dzięki której nie był jak inni dorośli – *wspominała po latach Molly Kendall.*

Elizabeth po cichu liczyła na to, że Ted zaproponuje jej, by wyjechali razem do Utah. Ale takie pytanie nigdy z jego ust nie padło. Para musiała więc nauczyć się żyć w nowym formacie związku, który zakładał dużo rzadsze spotkania i mniejszą częstotliwość kontaktów. Dla Liz było to niezwykle trudne,

dla Teda prawdopodobnie znacznie łatwiejsze. Nawet jeśli tęsknił, to głowę napychał sobie zupełnie innymi wrażeniami, które oscylowały wokół kolejnej fali porwań młodych kobiet. Tak oto śmierć ciągnęła się za Bundym w każde miejsce, do którego dotarł.

Drugiego października 1974 roku zaginęła dziesiąta dziewczyna. Była nią szesnastoletnia Nancy Wilcox, którą widziano po raz ostatni, gdy wychodziła z domu przy Arnette Drive w Salt Lake City. Zarówno śledczy, jak i rodzice podejrzewali, że nastolatka uciekła. Nikt nie przypuszczał, że mężczyzna, który terroryzował stan Waszyngton, teraz za swój cel obrał Utah. Dlatego też nie wydano żadnego ostrzeżenia dla młodych dziewczyn i nie połączono zaginięcia Wilcox z podobnymi zbrodniami z innego obszaru. Nancy przepadła bez śladu, a jej ciała do dziś nie odnaleziono. Sprawa jej zaginięcia pozostaje nadal otwarta.

Osiemnastego października podobny los spotkał siedemnastoletnią Mellisę Smith, która była córką szefa policji Midvale, niewielkiego miasteczka oddalonego od Salt Lake City zaledwie 17 minut jazdy samochodem. Tego wieczoru Mellisa szykowała się na imprezę u koleżanki. Dziewczyna była niezwykle atrakcyjna i – oczywiście – miała długie jasnobrązowe włosy, które rozdzielała przedziałkiem pośrodku. Zanim wybrała się na całonocną zabawę, najpierw chciała pójść do przyjaciółki, która pracowała w pizzerii. Wychodząc z domu, miała na sobie dżinsy i koszulę.

Do przyjaciółki dotarła bez problemu. Porozmawiały chwilę, a następnie Mellisa pożegnała się i ruszyła w drogę powrotną. Chciała wejść jeszcze do domu, zabrać kilka rzeczy i wyskoczyć na wspomnianą imprezę. Ale zarówno do domu, jak i do znajomej nie dotarła. Na tym dość krótkim odcinku spotkała mężczyznę, który zakończył jej kilkunastoletnie życie. Zwłoki znaleziono dopiero dziewięć dni później. Jak wykazała sekcja, dziewczyna została brutalnie pobita, miała roztrzaskaną głowę. Niewykluczone, że użyto do tego łomu. Bezpośrednią przyczyną śmierci było jednak uduszenie. Na szyi dziewczyny wciąż widniała pończocha, którą zaciśnięto z taką siłą, że złamała jej kość gnykową znajdującą się tuż pod żuchwą. Melissa przed zabójstwem została też zgwałcona.

Bundy był prawdziwym drapieżnikiem, a w dodatku piekielnie nienasyconym. Porywał i mordował z niespotykaną wcześniej częstotliwością, a także gwałtownością. Wykorzystywał każdą okazję, by wytropić kolejny cel. Nic więc dziwnego, że na łowy wyruszył w Halloween. Trudno wyobrazić sobie bardziej sprzyjającą noc dla seryjnego mordercy w Stanach Zjednoczonych. Na każdym kroku imprezy do białego rana, powszechne rozluźnienie, zabawa i przebieranki. Łatwo wtopić się w tłum i wyciągnąć z niego najsłabsze ogniwo. W 1974 roku okazała się nim Laura Aime. Siedemnastolatka spędzała tę noc z przyjaciółmi. I na tym kończą się spójne źródła. Natknęłam się na co najmniej trzy różne wersje dotyczące tego, gdzie dokładnie była Laura w ostatnich godzinach swojego życia. Według jednej teorii siedemnastolatka bawiła się na domówce na przedmieściach Orem. Inna wersja głosi, że dom ten znajdował się w Lehi. A jeszcze inna – że faktycznie było to w Lehi, ale nie w domu, a w kawiarni. Obie miejscowości są od siebie oddalone mniej więcej 16 minut jazdy samochodem. Odległość więc – jak na próbę ustalenia, gdzie dokładnie była dziewczyna – jest dosyć spora.

Ta wysoka, bo mierząca 182 centymetry, dziewczyna o sylwetce modelki i długich prostych włosach z przedziałkiem na środku uwielbiała koczowniczy tryb życia. Jej temperament trudno było okiełznać nie tylko rodzicom, ale i nauczycielom, z którymi Laura pożegnała się na etapie szkoły średniej. Sporo czasu spędzała z przyjaciółmi, chwytała się też przeróżnych dodatkowych zajęć. Mimo to utrzymywała z rodziną poprawne kontakty. Dorastała w Salem w stanie Utah i często nawiązywała nowe znajomości. Jak dokładnie wyglądało jej uprowadzenie? Tu również pojawia się kilka wersji. Według jednej z nich nastolatka złapała stopa, by dostać się nim do centrum Lehi. Inna z kolej głosi, że dziewczyna wyszła z imprezy, bo ta wydała jej się nudna, i poszła samotnie do parku. Jest i trzecia opcja – Laura opuściła znajomych na chwilę, bo chciała kupić papierosy. Bez względu na to, czym się kierowała, wychodząc samotnie w środku nocy, pewne jest to, że na imprezę już nie wróciła. Na swojej drodze spotkała seryjnego mordercę, dla którego stała się kolejnym celem. Z późniejszych zeznań samego Bundy'ego, a także ustaleń śledczych wynika, że w tym czasie Ted poruszał się swoim

garbusem. Mógł więc zwabić dziewczynę, by ta pomogła mu przy aucie, a Laura, która była w niewielkim stopniu pod wpływem alkoholu, nie wyczuła zagrożenia i zgodziła się na propozycję nieznajomego.

Poszukiwania nastolatki nie ruszyły od razu. Ze względu na jej dość rozrywkowy tryb życia nie wszyscy natychmiast zauważyli zniknięcie dziewczyny. Tym bardziej że halloweenową imprezę spędzała z osobami, które poznała niedawno, mogli więc uznać, że nie ma niczego złego w tym, że samotnie opuszcza spotkanie i już nie wraca na nie. Lub – co gorsza – nikt nawet nie zauważył jej zniknięcia. Dopiero po kilku dniach, gdy nie dawała znaku życia, rodzice zaczęli się niepokoić. Rozpoczęli poszukiwania na własną rękę, podpytując znajomych córki, czy wiedzą, gdzie ona jest. Niestety, nikt nie był w stanie im pomóc. Laura milczała, a jej rodzice przeczuwali najgorsze. Jeszcze przed zaginięciem córki czytali artykuł w prasie, który poświęcony był zabójstwu Melissy Smith. Każdy kochający rodzic odchodziłby w tej sytuacji od zmysłów. I tak samo było z państwem Aime.

Ich najgorszy koszmar ziścił się 27 listopada. Dwóch turystów wędrowało w okolicach kanionu American Fork. Właśnie tam natknęli się na zwłoki Laury. Policja, która przyjechała na miejsce, początkowo sądziła, że to poszukiwana Debra Kent, która zniknęła trzy tygodnie wcześniej. Fakt, że jest to siedemnastoletnia Aime, potwierdził jej ojciec. Rozpoznał ją po charakterystycznej bliźnie, której nabawiła się w przeszłości, jeżdżąc konno. Widząc zwłoki swojego dziecka, mężczyzna załamał się, później musiał zmagać się z depresją. Przez wiele lat nie potrafił sobie wybaczyć, że nie uchronił córki przed tak brutalną śmiercią.

Sekcja zwłok wykazała, że dziewczynie zadano silny cios w głowę. Jej czaszka była wgnieciona z tyłu po lewej stronie. Została też uduszona nylonową pończochą, w którą zaplątał się jej naszyjnik. Ze względu na obrażenia twarzy śledczy uznali, że nastolatka była też ciągnięta po ziemi. Sprawca wykorzystał ją również seksualnie. Według funkcjonariuszy dziewczyna mogła przebywać przez kilka, a nawet kilkanaście dni w innym miejscu, a jej ciało podrzucono w okolice kanionu. A to dlatego, że według autopsji jej zgon nastąpił

dopiero 20 listopada, podczas gdy zaginęła w nocy z 31 października na 1 listopada. Patrząc na wcześniejsze działania Bundy'ego, ta wersja wydaje się jednak mało prawdopodobna. Zabójstwa, których się dopuszczał, zawsze były niezwykle gwałtowne. Przechodził do czynów niemal natychmiast po uprowadzeniu. W dodatku na nadgarstkach Laury nie znaleziono żadnych śladów, które świadczyłyby o tym, że była gdzieś więziona. Wątpliwy wydaje się scenariusz, w którym Ted więzi dziewczynę i nie krępuje jej w żaden sposób. Można więc przyjąć całkiem realnie, że przeprowadzający sekcję zwłok źle oszacował datę śmierci nastolatki.

W całej tej historii pojawia się jeszcze jeden ciekawy, choć moim zdaniem mało prawdopodobny wątek. Część znajomych Laury twierdziła, że dziewczyna znała Teda Bundy'ego. Miał wiele razy ją zaczepiać, a raz nawet przyznać wprost, że zamierza ją zgwałcić. Niektórzy twierdzili, że mężczyzna kręcił się też w gronie jej przyjaciół. Dlaczego uważam, że to mało realne? Bundy na ofiary wybierał obce kobiety, unikał jakiegokolwiek powiązania go z zaginięciami. Nie ograniczał się do ataków w jednym stanie, działał w kilku i pokonywał ogromne odległości, zostawiając po sobie ścieżkę usłaną trupami. Ponadto gdy Laura zaginęła, Bundy miał dwadzieścia siedem lat. Choć osobę w tym wieku postrzegamy raczej jako młodego człowieka, to na tle nastolatków wydaje się on po prostu zbyt dorosły i dojrzały. Gdyby dwudziestosiedmiolatek pokazywał się w gronie nastolatków, od razu zwrócono by na niego uwagę. I co najważniejsze – jego nazwisko w tej sprawie pojawiło się dopiero po zatrzymaniu Teda i sporządzeniu listy ofiar, a nie po zaginięciu Laury.

O zaginięciach i morderstwach w Utah zaczęły pisać media. Przyjaciółka Elizabeth miała tam rodziców, do których pojechała już po wyjeździe Teda. Gdy wróciła, od razu poszła do Liz i powiedziała jej, że zniknięcia dziewczyn, które były notowane w Waszyngtonie, teraz miały miejsce w Utah. Partnerka Bundy'ego miała złe przeczucia:

Zbiegów okoliczności było tak dużo, że nie mogłam odpuścić. Byłam przerażona. Następnego dnia zadzwoniłam do hrabstwa King. Detektyw, który odebrał, był bardzo cierpliwy, mówiłam rzeczy typu: „Wiem, że się mylę, ale zastanawiam

się". Po prostu słuchał. Powiedziałam: „Mój chłopak ma na imię Ted. Jeździ volkswagenem". Detektyw przerwał mi i spytał: „Och, nie mówi pani chyba o Theodorze Robercie Bundym, prawda?". Powiedział, że już go sprawdzili i nie uznali za właściwego kandydata. Powiedział mi: „Spotkajmy się i porozmawiajmy". Zgodziłam się. Przejrzeliśmy albumy z naszymi zdjęciami, wziął kilka. Po tym spotkaniu czułam, że to zawodowiec, że wszystko sprawdzi i da mi odpowiedź. Zadzwoniłam znowu i spytałam, czy pokazał zdjęcia świadkowi. A on nie pamiętał, kim jestem.

Po chwili śledczy przyznał, że pokazywał zdjęcie Teda jednemu ze świadków, ale ten go nie rozpoznał. Policjant uznał więc, że temat Bundy'ego można uznać za zamknięty.

Ósmego listopada 1974 roku Ted nie miał już takiego szczęścia. Po raz pierwszy zaliczył poważną wpadkę przy próbie porwania, która w późniejszym procesie mocno go obciąży.

Był to dość ponury i deszczowy wieczór. Osiemnastoletnia Carol DaRonch wybrała się do centrum handlowego Fashion Place Mall na przedmieściach Murray w Utah. Gdy była w księgarni, podszedł do niej uśmiechnięty przystojny mężczyzna, który zapytał, czy to jej auto stoi przed sklepem. Odpowiedziała, że tak. Wtedy nieznajomy powiedział, że jest policjantem i właśnie funkcjonariuszom udało się zatrzymać kogoś, kto próbował włamać się do jej pojazdu. Zapytał więc, czy dziewczyna pójdzie z nim i sprawdzi, czy z samochodu coś zniknęło. Carol nie była do końca przekonana, jednak miała poczucie, że skoro to policjant, powinna dostosować się do jego poleceń, dlatego zgodziła się i ruszyła z obcym mężczyzną. Gdy dotarli na miejsce, dziewczyna szybko rzuciła okiem do środka pojazdu i oznajmiła, że wszystko jest w porządku i nie wygląda na to, by złodziej zdążył cokolwiek zabrać. Wtedy policjant zaproponował, by wsiadła do jego auta i pojechała z nim na komisariat, gdzie przewieziono zatrzymanego mężczyznę. Carol miała coraz większe podejrzenia co do całej sytuacji. Zapytała więc nieznajomego o tożsamość. Odparł, że nazywa się Roseland, a na dowód machnął jej przed oczami portfelem, zupełnie jakby znajdowała się tam policyjna odznaka. Następnie ponownie zaproponował, by

wsiadła do samochodu i pojechała z nim na posterunek. Mimo niepewności Carol zgodziła się, choć miała wrażenie, że czuje od mężczyzny woń alkoholu. Panika ogarnęła ją, gdy kierowca gwałtownie ruszył i wcale nie pojechał w kierunku posterunku policji.

Będąc w aucie, zorientowałam się, że źle zrobiłam. Nagle ruszył, wjechał na krawężnik, wtedy spanikowałam. Pamiętam, że do niego krzyczałam: „Co ty wyprawiasz?". Nic nie odpowiedział, widziałam w nim zmianę. Pamiętam, że wyciągnął broń i powiedział: „Rozwalę ci łeb". Pomyślałam – proszę bardzo. Zginę na miejscu. Czułam, że powinnam walczyć. Za wszelką cenę uciec. Otworzyłam drzwi i wypadłam na ulicę, a on po mnie wyszedł. Pamiętam, że miał w ręku łom, próbował uderzyć mnie w głowę. Nie było łatwo. Nadjechał samochód, a ja do niego wskoczyłam.

Carol rozpoczęła walkę o życie w momencie, gdy Ted próbował założyć jej na rękę kajdanki. Nie udało mu się, a dziewczyna nie tylko uszła z tego spotkania z życiem, ale też doskonale wiedziała, jak wygląda napastnik. Zeznała policji, że od razu go rozpozna, jak tylko go zobaczy. Oczywiście na parkingu, z którego dziewczyna została porwana, nie było już charakterystycznego garbusa. Ted odjechał, by polować na kolejną ofiarę.

Bundy był wściekły. Jego doskonale opracowany plan okazał się porażką. Popełnił rażący błąd, który mógł przybliżyć do niego śledczych. Ale zamiast myśleć racjonalnie, Ted kierował się jedynie żądzą krwi, która przez ucieczkę Carol jeszcze bardziej wzrosła. Tego samego wieczoru, zaledwie godzinę po próbie porwania sprzed centrum handlowego, mężczyzna dotarł do Bountiful położonego niecałe 30 kilometrów od Murray. W tamtejszej szkole Viewmont High School odbywało się właśnie przedstawienie. Bundy wszedł za kulisy i zaczepił młodą nauczycielkę. Podobnie jak w przypadku Carol również tu próbował nakłonić kobietę, by poszła zidentyfikować auto. Ale nauczycielka odmówiła. Czuła ogromny niepokój, stojąc przy mężczyźnie, zaproponowała więc, że przyprowadzi męża, który będzie mógł pomóc. Wtedy Ted wycofał się i zrezygnował z dalszej próby zwabienia kobiety w pułapkę.

Debra Kent nie miała tyle szczęścia. Nastolatka również była na przedstawieniu, towarzyszyli jej rodzice. Zaproponowała, by poczekali na nią w szkole, a ona pojedzie po brata, który w tym czasie bawił się na lodowisku. Rodzice zgodzili się, wówczas nie mieli jeszcze pojęcia, że widzą córkę po raz ostatni.

Debby nie dotarła na lodowisko. Nie wróciła też na przedstawienie. Rodzice czekali na nią, coraz bardziej się niecierpliwiąc. W końcu wyszli przed budynek i tam zobaczyli, że samochód, którym córka miała pojechać po brata, wciąż stoi na parkingu. Dotarli do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonili do domu, ale nikt nie odbierał. Skontaktowali się więc z lodowiskiem, na którym miał być ich syn. Okazało się, że chłopiec wraz z kolegami wciąż jeździ na łyżwach. Rodzice nie mieli wyjścia, musieli powiadomić policję.

W trakcie przesłuchań świadków okazało się, że między godziną 22.00 a 23.00 kilka osób słyszało krzyki, niektórzy mówili też o huku, który docierał z okolic szkoły. Jednak nikt niczego nie widział, więc niepokojące odgłosy zostały zignorowane. Podczas przeszukania parkingu, na którym mogło przytrafić się Debby coś niepokojącego, odnaleziono klucz do kajdanek. To wzbudziło jeszcze większe obawy o los siedemnastolatki. Złowieszczo brzmiały też zeznania nauczycielki Rae Shephard, która przed zniknięciem dziewczyny natknęła się na obcego mężczyznę. Jej wersję można znaleźć w policyjnym raporcie:

Myślę, że było wtedy około 19.45. W holu było ciemno, ale widziałam całkiem dobrze. Mężczyzna, który stał samotnie w połowie korytarza, podszedł do mnie, gdy szłam w kierunku garderoby. Powiedział: „Przepraszam, czy mogłabyś wyjść na parking i spróbować zidentyfikować samochód?”. Powiedziałam, że jestem zajęta, i zapytałam, czy potrzebuje pomocy. Jeśli tak, to spróbuję znaleźć kogoś, kto mu pomoże. Powiedział: „To zajmie tylko kilka sekund, muszę dowiedzieć się, czyj to samochód”. Powiedziałam „przepraszam” i poszłam do garderoby. Jego zachowanie naprawdę mnie wkurzyło, o czym powiedziałam później mężowi. Byłam w szatni około pół godziny, potem wracałam korytarzem (było około 20.15–20.30). Byłam sama, a on nadal stał mniej więcej w tym

samym miejscu. Powiedziałam: „Cześć, znalazłeś już kogoś?”. Ale nie wypowiedział ani słowa, tylko patrzył na mnie. Oglądałam przedstawienie i znów musiałam pomóc w zmianie kostiumów. Było to jakieś 20 minut później. Ruszyłam z powrotem korytarzem, była to moja trzecia podróż, a on znów tam był (około 20.50–21.00). Zaczął podchodzić do mnie i powiedział: „Hej, hm… Naprawdę ładnie wyglądasz”. Powiedziałam: „Dzięki”. Odparł: „Jesteś pewna, że nie możesz mi pomóc z tym samochodem, to zajmie tylko kilka sekund”. Powiedziałam: „W tej chwili się spieszę, ale mój mąż może ci pomóc”. Odpowiedział: „Przy okazji”, i podszedł bliżej, mówiąc: „Czy wiesz, czy Brent Olsen jest tutaj?”. Zapytałam, czy to członek obsady, czy tylko uczeń, a on odpowiedział: „To nic takiego, po prostu zastanawiałem się, czy go znasz”. Odeszłam szybko. W przerwie, około 21.20–21.30, stałam przy frontowych drzwiach audytorium, wtedy podszedł do zachodnich drzwi i wyszedł. Pomyślałam sobie, że jest strasznym gnojkiem, bo nawet nie oglądał spektaklu. Weszłam do audytorium i usiadłam w tylnym rzędzie, przy przejściu. Około 22.35 wszedł przez drzwi za mną, pochylił się na jakieś 30 sekund, a potem usiadł niedaleko mnie. Jego włosy były potargane i oddychał tak ciężko, że aż ludzie przed nim odwrócili się, żeby na niego spojrzeć. Siedział przez jakieś 3–5 minut, a potem wstał i wyszedł frontowymi drzwiami. Miał około trzydziestu czterech–trzydziestu sześciu lat, ładną sylwetkę, dobrze umięśnione nogi i płaski brzuch. Duże, grube wąsy zakończone brodą. Włosy były ciemnobrązowe i długie. Miał oliwkową cerę i ładną skórę. Duże okrągłe oczy, długie rzęsy, grube łukowate brwi. Moim zdaniem był bardzo przystojny. Miał na sobie lakierki w ciemnym kolorze, jasne spodnie, kolorową koszulę i ciemną sportową marynarkę. Krawat miał wzór na środku i klips tuż pod nim.

Te zeznania rzucały nowe światło na wydarzenia listopadowego wieczora. Śledczy zaczęli podejrzewać, że tajemniczy mężczyzna może stać za zniknięciem nastolatki. Zaczęto przeszukiwać teren – najpierw sprawdzono szkołę, później parking, pobliskie centrum motoryzacyjne, a także boisko do piłki nożnej, potok i sąsiednie sady, szopy oraz puste domy. Wszystko na nic, Debby nigdzie nie było. W tym czasie policjanci dostali informację, że w Murray tego samego dnia ktoś

próbował uprowadzić inną młodą kobietę. Skontaktowano się z tamtejszym posterunkiem i okazało się, że dziewczynie usiłowano założyć kajdanki. I, co ważniejsze, funkcjonariusze wciąż je mieli. Sprawdzono je więc z kluczem znalezionym przy szkole i bingo! – oba elementy pasowały do siebie idealnie.

Z funkcjonariuszami skontaktowała się Katherine Ricks, która również tego dnia miała być zaczepiana przez nieznajomego mężczyznę. Podszedł do niej około godziny 21.50, gdy przedstawienie jeszcze trwało. Miał ciemne kręcone włosy, okulary w plastikowych oprawkach, ciemnoniebieski garnitur, był też średniej budowy. Mężczyzna dopytywał Katherine, czy zna pewnego chłopca (dziewczyna nie zapamiętała jego imienia i nazwiska), mówiąc, że to jego brat. Gdy Ricks dopytała, czy chodzi do tej szkoły, odparł, że nie śledzi jego życia aż tak dobrze. Potem zapytał, czy pomoże mu z samochodem, z którym ma problem. Dziewczyna odmówiła i zniknęła w audytorium, zostawiając nieznajomego za sobą. Mężczyznę o podobnym rysopisie widziało tego wieczora co najmniej kilka innych osób. Większość przyznała, że kręcił się w holu, trochę tak, jakby kogoś szukał. Na podstawie wszystkich zeznań sporządzono portret pamięciowy, który pokazano Carol DaRonch. Dziewczyna nie była jednak do końca pewna, czy to ten sam sprawca. Mówiła, że nie pamięta, czy miał wąsy i czy czesał włosy w taki właśnie sposób, jak przedstawiono na rysunku. Przyznała jednak, że mogła to być jedna i ta sama osoba. Na podstawie opisu zatrzymano kelnera, którego zidentyfikowała też część świadków. Szybko jednak udowodniono, że nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Debry Kent.

Poszukiwania nastolatki trwały długo. W 1975 roku wyznaczono nawet nagrodę za pomoc w jej odnalezieniu. Nic z tego, dziewczyna jakby zapadła się pod ziemię. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Mimo to rodzice nie tracili wiary i każdego dnia od zaginięcia córki zapalali lampę przed domem, by wiedziała, że wciąż na nią czekają.

W styczniu 1975 roku dyplomowana pielęgniarka Caryn Campbell spędzała urlop w Aspen w Kolorado. Towarzyszył jej narzeczony, kardiolog Raymond Gadowski, a także dwoje jego dzieci. Gdy we czworo siedzieli w saloniku pensjonatu,

kobieta przypomniała sobie, że zostawiła w pokoju czasopismo. Poszła więc do windy, uprzedzając partnera, że wkrótce wróci. Ale coś się po drodze wydarzyło i Caryn nie dotarła zarówno do pokoju 210, w którym była zameldowana, jak i do partnera. Mężczyzna zaczął się niepokoić, gdy narzeczona nie pojawiała się przez zbyt długą chwilę. Udał się więc do pokoju, by sprawdzić, co dzieje się z Caryn. Ale ku swojemu zaskoczeniu, nie zastał jej tam. Co gorsza, wszystko wskazywało na to, że kobieta w ogóle nie dotarła na miejsce. Czasopismo, po które się udała, nadal leżało na stojaku, dokładnie tak jak para zostawiła je przed wyjściem z pokoju. Gadowski miał złe przeczucia. Około godziny 22.00 powiadomił policję w Aspen. Natychmiast ruszyły poszukiwania pielęgniarki. Przeszukano cały budynek hotelu, łącznie z szybami windy, ale kobiety nigdzie nie było. Nikt jej również nie widział. Aż do 18 lutego (według niektórych źródeł był to 17 lutego). Wtedy pracownik ośrodka wypoczynkowego znalazł nagie zwłoki kilka kilometrów od pensjonatu, w którym przebywała. Sekcja potwierdziła, że była to poszukiwana pielęgniarka. Ustalono, że zginęła z powodu urazu czaszki. Co prawda nie wiadomo, jakim narzędziem zadano ciosy, ale nie było wątpliwości, że jej śmierć nastąpiła chwilę po tym, jak opuściła bliskich i udała się po czasopismo. A to z kolei oznaczało, że na oprawcę natknęła się na korytarzu między windami a pokojem 210.

Takim oto sposobem Kolorado stało się trzecim stanem, w którym zabijał Bundy. Gdy wyniósł się z Waszyngtonu i Utah, zniknięcia młodych kobiet ustały. Ale w Kolorado koszmar dopiero się zaczynał. Piętnastego marca zniknęła Julie Cunningham, 6 kwietnia Denise Oliverson, 15 kwietnia Melanie Cooley, a 1 lipca Shelley Robertson. I tak jak nagle seria zaginięć i zabójstw się zaczęła, tak równie gwałtownie się zakończyła. Podobnie jak szczęście samego Bundy'ego. Szesnastego sierpnia 1975 roku w West Valley City w stanie Utah sierżant Bob Hayward, funkcjonariusz drogówki z dwudziestodwuletnim stażem, podjechał pod swój dom. Wtedy zauważył przejeżdżającego obok garbusa. Nie kojarzył auta, a znał w okolicy wszystkich. W dodatku kierowca nie włączył świateł, dlatego funkcjonariusz ruszył za pojazdem, by sprawdzić, kto siedzi za kółkiem. Wtedy jednak samochód przyspie-

szył. Rozpoczął się dość krótki pościg, który zakończył się na parkingu opuszczonej stacji benzynowej. Hayward wysiadł z pojazdu i podszedł do kierowcy, który oznajmił, że się po prostu zgubił. Ale w to wyjaśnienie trudno było uwierzyć, zważywszy na to, że przed chwilą mężczyzna uciekał, nie zatrzymując się na światłach i skrzyżowaniach. Dlatego funkcjonariusz poprosił kierowcę o dokumenty. Zaczął też wypytywać go o powód jego wizyty w tych okolicach. Nieznajomy twierdził, że przyjechał do kina samochodowego, by obejrzeć film *Płonący wieżowiec*, a wracając z seansu stracił orientację w terenie. Policjant szybko wyczuł, że mężczyzna znów kłamie, bo tego dnia – o czym doskonale wiedział – nie grano takiego filmu. Hayward wezwał drugi patrol, który pojawił się już po chwili. Wtedy kierowca zrozumiał, że ma problemy. Nie mógł już uciec ani wykręcić się uśmiechem i zabawną historyjką. W dodatku śledczy zaczęli przyglądać się jego samochodowi. Zauważono bowiem, że wymontowano w nim fotel pasażera, a za siedzeniem kierowcy leży łom. W pojeździe znaleziono również torbę pełną przedmiotów, które mogły posłużyć do włamania: kominiarka, szpikulec do lodu, latarka, rękawice, maska z rajstop, kajdanki, sznur i drut. W taki oto sposób doszło do pierwszego, ale nie ostatniego zatrzymania Teda Bundy'ego.

Notatka po tym incydencie zawierała następującą treść:

Oficer zgłaszający udał się do biura szeryfa hrabstwa Salt Lake i skontaktował się z zastępcą Jerry'ego Thompsona, który poinformował tego funkcjonariusza, że aresztowano Theodore'a Bundy'ego. Posiadał torbę z kilkoma przedmiotami, w tym zestaw kajdanek i parę nylonowych rajstop, maskę narciarską, prześcieradło rozdarte na paski, dwa lub trzy kawałki liny, łom i inne różne przedmioty. Oficer sprawozdawczy uzyskał zdjęcie pana Bundy'ego i wrócił do Bountiful, gdzie nawiązano kontakt z panią Raylene Shepard [nauczycielka, którą zaczepiał Bundy] i pokazano jej wyżej wymienione zdjęcia. Zatrzymała się przy zdjęciu pana Bundy'ego. Stwierdziła, że włosy i rysy twarzy pasują, a jeśli dołoży się wąsy, to może być to poszukiwany podejrzany.

Carol również rozpoznała Teda wśród innych podejrzanych. Gdy stanął naprzeciwko niej, za szybą, od razu wie-

działa, że to ten sam mężczyzna, który próbował ją zabić. Jego chód, mimika twarzy, a także samo spojrzenie – tego nie dało się zapomnieć, zwłaszcza gdy trzeba było siedzieć z psychopatą twarzą w twarz w zamkniętym samochodzie.

Śledczy poddali też analizie przedmioty znalezione w aucie Bundy'ego. Okazało się, że kajdanki, które miał przy sobie, były tej samej produkcji jak te na nadgarstku Carol DaRonch. Dziewczynie grożono łomem – a Ted miał łom w swoim samochodzie. On sam tą wydłużającą się listą dowodów zupełnie się nie przejmował, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Zachowywał się tak, jakby cała ta sytuacja po prostu go bawiła, a na każdy wskazany przez śledczych przedmiot miał konkretne wytłumaczenie, choć nie do końca wiarygodne. Policjanci zdecydowali się na przeszukanie jego mieszkania przy Pierwszej Alei w Salt Lake City. Znaleziono tam mapę, na której zaznaczono ośrodki i trasy narciarskie w Kolorado. Ted przekonywał, że nigdy nie był w tym rejonie, a mapa musiała należeć do kolegi. Poza nią funkcjonariusze nie znaleźli już niczego, co mogłoby posłużyć jako dowód w związku z próbą porwania Carol albo zaginięciem Melissy, Laury czy Debry. Wystąpiono więc o wyciągi z karty kredytowej, by sprawdzić, gdzie tankował samochód, skontaktowano się również z jego narzeczoną.

Elizabeth już wtedy była w absolutnej rozsypce. Podejrzenia co do ukochanego nie dawały jej spokoju. W głębi duszy czuła, że mogą one być prawdziwe, choć nieustannie odrzucała od siebie wizję, w której Ted, jej Ted, jest seryjnym mordercą. Był przecież troskliwy, opiekował się jej córką, dla której stał się poniekąd drugim ojcem, spędzał z nimi czas, planowali razem przyszłość. Czasem miała pretensje do siebie, że ulega tym negatywnym, oskarżycielskim myślom, ale jednocześnie nieustannie czuła lęk, bo wiedziała, że nie wszystko w opowieściach Teda było szczere i prawdziwe. Dlatego po rozmowie z funkcjonariuszami zgodziła się na współpracę. W trakcie rozmów przyznała, że partner często znikał w nocy, a później te wyprawy odsypiał w ciągu dnia. Co jakiś czas odnajdowała przedmioty, których pochodzenia nie była w stanie wyjaśnić. Były to na przykład klucz do kół przyklejony taśmą pod fotelem auta, gips modelarski czy kule. Co ważniej-

sze – Ted nie miał alibi, bo nie było go przy niej w żadną z nocy, w które zaginęły dziewczęta w stanie Waszyngton. Wszystko to, co mówiła Elizabeth, było mocno niepokojące. I łączyło się w spójną całość.

Czarne chmury gęstniały nad głową Teda, choć on sam sprawiał wrażenie, jakby kompletnie tego nie zauważał. Był przekonany, że wkrótce wyjdzie na wolność, i nie zdawał sobie sprawy, że policjanci z Waszyngtonu, Utah i Kolorado połączyli siły i właśnie szukają dowodów, którymi mogliby obciążyć go w związku z zaginięciami młodych kobiet w tych stanach. Po sprawdzeniu kart Bundy'ego okazało się, że tankował samochód w pobliżu miejsc, w których zniknęły Caryn, Julie i Denise. Ted obsesyjnie pilnował, by w trakcie długich podróży nie zabrakło mu paliwa. I to go zgubiło. Jego wizyty na stacjach benzynowych stanowiły swoistą mapę wyjazdów, które pokrywały się z punktami morderstw. Ta poszlaka była jedną z wielu, które pojawiły się w późniejszym procesie Bundy'ego.

Dni mijały, a Ted nie wychodził na wolność. Wciąż przebywał w areszcie w Salt Lake City, a śledczy gromadzili coraz dłuższą listę zeznań świadków, którzy połączyli Bundy'ego również z zaginięciami nad jeziorem Sammamish. Mężczyzna jeździł garbusem, a właśnie taki samochód widziało w 1974 roku kilka osób. Ted pasował też do rysopisu, często naśladował brytyjski akcent, miał podejrzane przedmioty, w tym gips i kule, a przecież poszukiwany w Waszyngtonie mężczyzna właśnie przez udawanie niepełnosprawnego zwabiał ofiary. Ale było to za mało, by oficjalnie oskarżyć go o jakąkolwiek zbrodnię dokonaną wtedy nad jeziorem. Same przeczucia i podobieństwa nie wystarczały, potrzebne były mocne dowody.

Bundy, jak wielu psychopatów, miał wyjątkową umiejętność przyciągania do siebie ludzi i manipulowania nimi. Nic więc dziwnego, że otoczył się sporą grupką wiernych przyjaciół, którzy po aresztowaniu nie wierzyli w jakiekolwiek podejrzenia pod adresem swojego znajomego. Dlatego ruszyli ze zbiórką pieniędzy na kaucję dla Teda. Zapewniali, że zatrzymanie to efekt koszmarnej pomyłki, a sam Bundy to inteligentny, łagodny, uśmiechnięty człowiek, a nie bestia

odpowiedzialna za brutalne mordy. Głęboko wierzyli w to, że Ted był po prostu kozłem ofiarnym – znalazł się w złym miejscu, w złym czasie.

Bundy mógł ogłosić mały sukces, bo 20 listopada po trzech miesiącach spędzonych w areszcie mógł wyjść na wolność. Co prawda za kaucją, a także pod stałą policyjną obserwacją, ale było to lepsze niż dalsze przebywanie za kratkami. Na tamtym etapie dowody, którymi dysponowali śledczy, były jedynie poszlakowe, każdy dobry adwokat wykorzystałby to w sądzie i podważył większość przedstawionych wersji. Policjanci nie mieli wyjścia, musieli czekać, aż znajdą na Bundy'ego nieco więcej albo on sam popełni kolejny błąd.

Ted wrócił do Seattle. Elizabeth, choć nawiązała współpracę z funkcjonariuszami, wciąż mocno wierzyła w to, że jej partner jest niewinny. Liczyła na to, że wkrótce odnajdą się jakieś dowody potwierdzające, że Bundy nie miał nic wspólnego ze zniknięciami młodych dziewczyn. On sam też był przekonany, że wszystko ułoży się zgodnie z jego planem i nie wróci za kratki. Był bardzo pewny siebie, sądził, że policja nie zdobędzie przeciwko niemu wystarczających dowodów. Miał duże wsparcie w rodzinie, a także w przyjaciołach. Nieustannie zapewniali funkcjonariuszy, że Ted nie jest zdolny do skrzywdzenia kogokolwiek. Na dowód wsparcia jego rodzice wpłacili kaucję w wysokości 15 tysięcy dolarów, dzięki której Ted mógł wyjść na wolność. Ale nie cieszył się nią długo.

W styczniu 1976 roku funkcjonariusze zgromadzili wystarczającą liczbę dowodów, która pozwalała oskarżyć mężczyznę o napaść i porwanie Carol DaRonch. Najważniejszym punktem miało być to, że dziewczyna rozpoznała oprawcę. Spełnił się najgorszy koszmar Bundy'ego – wrócił za kratki.

Zaczął pisać listy już w areszcie w Salt Lake City. Prosił, bym stanęła po jego stronie. Wspominał mnie i moją córkę jako najlepsze, co mu się przytrafiło, i że to właśnie za nami tęskni najbardziej. Czułam, że mną manipuluje. Chciałam się pożegnać, ale nie potrafiłam. Czułam, że byliśmy zamknięci razem, to było bolesne.

Bundy pisał do Elizabeth regularnie. Nie chciał się z nią rozstawać i wierzył, że uda mu się ją przekonać o swojej nie-

winności. Ale przed nim było wówczas jeszcze trudniejsze zadanie, bo najpierw do swojej wersji musiał przekonać sąd.

Proces ruszył 23 lutego. Prowadził go sędzia Stewart Hanson. Ted podszedł do całej sprawy w typowy dla siebie sposób – był uśmiechnięty, elokwentny i pewny siebie. Sądził, że wszystko potoczy się szybko, a on wkrótce ponownie będzie mógł cieszyć się wolnością. Do sali wszedł uczesany, ogolony, z wielką muchą przyczepioną do koszuli. Choć już wtedy w przestrzeni publicznej pojawiały się informacje, że zatrzymany Ted może być właśnie tym Tedem, którego szukano od 1974 roku, większość obecnych wówczas w sądzie, widząc Bundy'ego, nie do końca wierzyła w jego winę. Nie wyglądał na porywacza i mordercę. W dodatku sama Carol była bardzo zdenerwowana. Widząc uśmiechniętego napastnika, który kilka miesięcy temu próbował ją uprowadzić i najpewniej zabić, nie mogła ukryć emocji. Bundy obserwował ją z uśmiechem na twarzy, był przy tym niezwykle arogancki. Jego obrońcy zadawali bardzo szczegółowe pytania:

John O'Connell: *Widziałaś tego mężczyznę tuż przed sobą, za sobą? Jak?*

Carol DaRonch: *Twarzą w twarz.*

John O'Connell: *Jak byłaś ubrana?*

Carol DaRonch: *Miałam lewisy i skórzany płaszcz z futrem.*

John O'Connell: *Jakie były pierwsze słowa, które wypowiedział do ciebie ten człowiek?*

Carol DaRonch: *Zapytał mnie, czy na parkingu Sears stoi mój samochód.*

John O'Connell: *Na parkingu?*

Carol DaRonch: *Tak.*

John O'Connell: *Czy ten człowiek jest dziś obecny w sądzie, Carol?*

Carol DaRonch: *Tak.*

John O'Connell: *Gdzie siedzi?*

Carol DaRonch: *Właśnie tam.*

John O’Connell: *Powiesz mi, co ma na sobie?*

Carol DaRonch: *Niebiesko-szary garnitur.*

Obrońca próbował podważyć każde słowo Carol, udowadniając jej, że nie pamięta nawet, czy napastnik miał wąsy. Dziewczyna płakała, robiła pauzy, czasem wpadała w histerię. Później pytania zadawał prokurator okręgowy David Yocum. Widząc zdenerwowanie dziewczyny, starał się ją nieco uspokoić. Ale nie było to łatwe. Carol, choć bardzo się starała, nie mogła znieść spojrzenia Bundy’ego, który nieustannie wbijał w nią wzrok.

W końcu przyszła pora na Teda. Prokurator wziął go w krzyżowy ogień pytań:

David Yocum: *Chcę pokazać państwu dowód numer 65 i poprosić o sprawdzenie podpisów, dobrze, panie Bundy?*

Ted Bundy: *Tak.*

Tu prokurator wyjął potwierdzenia ze stacji benzynowych, na których tankował Bundy.

David Yocum: *Czy wszystkie zawierają pańskie podpisy?*

Ted Bundy: *Wyglądają na moje podpisy.*

David Yocum: *Czy miał pan kartę kredytową Chevron?*

Ted Bundy: *Tak, miałem.*

David Yocum: *Czy wciąż ją pan ma?*

Ted Bundy: *Nie.*

David Yocum: *A pamięta pan numer tej karty?*

Ted Bundy: *Nie.*

David Yocom: *Na tych wycinkach z opłat znajduje się numer tablicy rejestracyjnego Waszyngtonu IBH-521?*

Ted Bundy: *Hm… Mhm.*

David Yocum: *Czy to był numer pańskiego volkswagena?*

Ted Bundy: *Tak.*

David Yocum: *Czy kiedykolwiek kupił pan parę kajdanek, panie Bundy?*

Ted Bundy: *Nie pamiętam.*

David Yocum: *Czy miał pan kiedykolwiek okazję nosić sztuczne wąsy?*

Ted Bundy: *Jakieś siedem, osiem lat temu, kiedy wróciłem na studia, wąsy były modne, więc kupiłem takie. Ale to wyglądało śmiesznie i tanio, i po pierwszej próbie założenia ich pomarszczyły się, zwinęły i nie używałem ich już później.*

David Yocum: *W żadnej innej sytuacji?*

Ted Bundy: *Nie, proszę pana.*

Ted miał przeciwko sobie świetnego prokuratora, dowody poszlakowe, zeznania świadków, a do tego kilkakrotnie przyłapano go na kłamstwie. Sędzia nie dał się zwieść jego elokwencji i schludnemu wyglądowi. Choć obecnym na sali mediom wydawało się, że Bundy został zatrzymany przez pomyłkę, bo przecież nie wyglądał na przestępcę, to przy ogłaszaniu decyzji sędzia nawet przez chwilę się nie zawahał. Pierwszego marca Ted usłyszał, że jest winny napaści i próby uprowadzenia Carol DaRonch. Był zszokowany. Do tego momentu nie dopuszczał do siebie myśli, że może zostać skazany. Głęboko wierzył w to, że dowiedzie swojej niewinności i wkrótce będzie cieszyć się dotychczasowym życiem na wolności.

Tuż po ogłoszeniu wyroku Bundy został zakuty w kajdanki. Elizabeth, obecna wówczas na sali, podbiegła do ukochanego i mocno go przytuliła. Mimo takiej decyzji sędziego nadal nie dopuszczała do siebie myśli, że jej partner mógł kogokolwiek skrzywdzić. Uważała, że cały proces jest raczej dowodem na nieudolność wymiaru sprawiedliwości. Tymczasem Bundy za napaść na Carol miał spędzić w więzieniu od roku do piętnastu lat. Od razu zapowiedział apelację. W tym czasie poddano go też badaniom psychologicznym, które wykazały, że ma osobowość pasywno-agresywną.

Bundy ponownie trafił do aresztu. W zamknięciu rozpoczął intensywne przygotowania do kolejnej batalii, która miała dowieść jego niewinności. Nie miał pojęcia, że w tym czasie kompletowane było kolejne oskarżenie. Gdyby nic nowego na niego nie wypłynęło, mógłby cieszyć się wolnością nawet po

kilkunastu miesiącach. Ale wreszcie służby z kilku stanów zaczęły ze sobą współpracować i dzielić się informacjami. Policjanci w końcu dostrzegli całą sieć powiązań między Tedem Bundym a zaginionymi i zamordowanymi kobietami. W ten sposób połączono go z pielęgniarką Caryn Campbell. Dziwnym trafem to właśnie Ted używał karty kredytowej w pobliżu miejsca, w którym kobieta zginęła. Na tym jednak nie koniec. Sprawdzono też jego garbusa. Znaleziono w nim włosy aż trzech domniemanych ofiar – wspomnianej Caryn Campbell, Melissy Smith, a także Carol DaRonch. Łom, który odnaleziono tuż po zatrzymaniu, pasował z kolei do obrażeń głowy, które miała pielęgniarka. To wszystko układało się więc w coraz wyraźniejszą całość, a śledczy nie mogli nie dostrzec tej siatki powiązań. Służby z Kolorado miały wystarczająco dużo dowodów, by postawić Bundy'emu zarzuty.

Usłyszał je 22 października 1976 roku. Zdecydowano też o jego ekstradycji do Kolorado. Bundy opuścił Utah 28 stycznia 1977 roku. Trafił do aresztu, w którym bardzo szybko zdobył sobie sympatię strażników. Byli do tego stopnia mu przychylni, że pozwalali nawet na opuszczanie aresztu bez kajdanek. Często z nim rozmawiali, żartowali, zupełnie tak, jakby również nie wierzyli w jego winę. A przecież usłyszał już jeden wyrok skazujący, kolejna sprawa była w toku i wiele wskazywało na to, że nie będzie to dla Teda spokojny spacerek. Niektórzy śledczy sygnalizowali, że takie pobłażanie Bundy'emu to błąd, bo jest świetnym manipulatorem i trzeba uważać na to, co i jak się do niego mówi. Część przypuszczała nawet, że Ted przy najbliższej okazji po prostu ucieknie. Tym bardziej że jeszcze w Utah odnaleziono przy nim zestaw, który mógłby pomóc mu w przedwczesnym wyjściu na wolność. Strażnicy te wszystkie ostrzeżenia jednak zignorowali.

Przygotowując się do walki w Kolorado, Bundy miał wrażenie, że jego adwokaci niewystarczająco się starają. Dlatego postanowił bronić się głównie sam. Prawnicy z urzędu, których wówczas otrzymał – Chuck Leidner i Jim Dumas – decyzją sądu pozostali jednak jako jego doradcy. 13 kwietnia 1977 roku Bundy został przeniesiony z aresztu hrabstwa Pitkin do hrabstwa Garfield w Glenwood Springs. Tam również błyskawicznie znalazł przychylnych sobie ludzi. Nawiązał bardzo

dobry kontakt z szeryfem Edem Hoguem, a w związku z tym, że bronił się sam, pozwolono mu korzystać z biblioteki prawniczej w Aspen. Dano mu tam – dosłownie i w przenośni – wolną rękę. Nie musiał nosić kajdanek, mógł za to swobodnie przechadzać się między regałami i czerpać z dostępnych zasobów. Był traktowany nie jak oskarżony, a raczej jak adwokat. On sam zresztą sprawiał wrażenie, jakby doskonale wiedział, co robi, czego potrzebuje i jak powinna wyglądać cała jego strategia obronna. Z ołówkiem w dłoni, zamyślony, czytał książki i robił notatki. Funkcjonariusze w Aspen kompletnie nie zdawali sobie sprawy z tego, jak niebezpiecznym człowiekiem był Ted Bundy i jak koszmarnym błędem było pobłażliwe podejście do niego.

Siódmego czerwca mężczyzna miał zostać przewieziony do sądu hrabstwa Pitkin, gdzie planowo ruszały przesłuchania w sprawie zabójstwa pielęgniarki. Ted wyjechał o poranku w towarzystwie dwóch strażników. Był w dobrym nastroju, chętnie prowadził rozmowy, również na tematy prywatne. Rozprawa rozpoczęła się o godzinie 9.00, ale już o 10.30 sędzia ogłosił przerwę. Wtedy pozwolono Tedowi skorzystać z biblioteki prawniczej. Znajdowała się na pierwszym piętrze, na wysokości około 7 metrów. Trudno dziś zrozumieć, dlaczego pozwolono Bundy'emu na swobodne przechadzanie się między regałami i to bez policyjnej obstawy, a do tego – o zgrozo! – nie zakuto go w kajdanki. Ta lekkomyślność dała Tedowi zielone światło do zrealizowania swojego planu, do którego przygotowywał się już od dawna, uważnie obserwując okolice sądu. Gdy upewnił się, że nikt na niego nie patrzy, otworzył okno i… wyskoczył. Upadając na ziemię, uszkodził sobie kostkę, ale adrenalina i świadomość, że za chwilę znów będzie wolnym człowiekiem, były znacznie silniejsze niż ból i trudności z chodzeniem. Bundy zaczął biec, chciał być jak najdalej od budynku, zanim strażnicy zauważą, że nie ma go w bibliotece. Ruszył w stronę rzeki Roaring Fork, którą namierzył już wcześniej. Zanim przyjechał do sądu, w areszcie ubrał się na cebulkę – pod jasnobrązowe spodnie, golf i kardigan założył kolejną warstwę, by nie dopasować go do ewentualnego rysopisu. Nad rzeką zdjął wierzchnie ubrania, ukrył je w krzakach i znacznie wolniejszym krokiem, by nie budzić podejrzeń, ruszył przed siebie. W tym czasie policjanci

odkryli, że Bundy zwiał z biblioteki. Byli wściekli i rozgoryczeni. Wiedzieli, że popełnili ogromny błąd, udzielając Tedowi tak olbrzymiego kredytu zaufania, ale w tamtym momencie to nie był jeszcze czas na personalne rozliczenia. Priorytetem było szybkie schwytanie człowieka podejrzanego o brutalne zbrodnie. Wiedzieli, że tej wpadki opinia publiczna im nie wybaczy. Funkcjonariusze musieli działać błyskawicznie. Zablokowano drogi w całym mieście, ściągnięto też psy, które miały wytropić uciekiniera. Ale ich zdolności namierzenia Teda zakończyły się przy rzece Roaring Fork. Tam odnaleziono porzucone ubranie. Policjanci byli przekonani, że Bundy nie wydostanie się z miasta, zwłaszcza że porusza się pieszo. Nie zdawali sobie jednak sprawy z tego, z jak zdeterminowanym człowiekiem mieli do czynienia. Ted szedł szybko i pewnie, jeszcze tego samego dnia dotarł w góry. W pobliżu szczytu odnalazł tymczasowo opuszczoną chatę myśliwską. Stała się jego schronieniem na dwa dni. Mógł tam odpocząć, ale też trochę się ogrzać. W górach było chłodno i deszczowo, a on miał na sobie jedynie spodnie i cienką koszulkę. W chacie znalazł niewielkie zapasy, dodatkową odzież, a także karabin. Wiedział, że w tym miejscu nie może pozostać długo, dlatego gdy nabrał sił, ruszył dalej. Jego celem było wydostanie się z Aspen. Poszedł więc na południe, w kierunku niewielkiego górzystego miasteczka Crested Butte. Ale droga okazała się znacznie trudniejsza, niż początkowo zakładał, i w trakcie wędrówki stracił orientację w terenie. Włóczył się bez celu do 10 czerwca, co oznaczało, że na wolności był już trzeci dzień. Chciał ponownie dostać się do chaty, ale kiedy się do niej zbliżył, zauważył ukryty za drzewami, że przy jego dawnym schronieniu byli już policjanci, którzy coraz mocniej deptali mu po piętach. Ted nie miał wyjścia, musiał poszukać innej drogi ucieczki. Dotarł nad jezioro Maroon, gdzie zauważył przyczepę kempingową. Włamał się do niej i ukradł jedzenie, a także kurtkę narciarską, która była zbawieniem dla wyziębionego organizmu. Bundy był wyczerpany, ale nawet przez chwilę nie myślał o tym, by się poddać. Cel miał jasny – wydostać się z miasta, wtopić w tłum i zniknąć, aby policjanci nie byli w stanie go namierzyć.

Spał pod gołym niebem i marzył o tym, by zdobyć kluczyki do jakiegokolwiek samochodu, który pomógłby mu

w dokończeniu wdrażanego właśnie planu. Jego życzenie spełniło się 13 czerwca o godzinie 2.00 w nocy, gdy właśnie zaczynała się siódma doba jego ucieczki. Znów był w mieście, gdzie dostrzegł zaparkowanego cadillaca. Gdy podszedł bliżej, jego serce zabiło szybciej – właściciel zostawił w stacyjce kluczyki. To był ten moment, na który czekał od chwili spektakularnego skoku przez okno prawniczej biblioteki. Upewnił się, że nikt go nie widzi, wsiadł do środka, przekręcił kluczyki i ruszył przed siebie. Siedząc w wygodnym fotelu pojazdu, poczuł, jak bardzo jest zmęczony, głodny i obolały. Jego jazda była mocno niepewna, zupełnie tak, jakby auto prowadził nietrzeźwy kierowca. W tym czasie w mieście trwały policyjne patrole, które wciąż poszukiwały zbiega. Funkcjonariusze zauważyli dziwnie poruszającego się cadillaca i postanowili go sprawdzić. Podjechali bliżej i zatrzymali auto. Jeden z policjantów od razu rozpoznał Bundy'ego. Powiedział: „Cześć, Ted". Tak zakończyła się pierwsza, ale nie ostatnia ucieczka mordercy.

Bundy, ku swojemu rozczarowaniu, znów trafił do aresztu. Gdy był wprowadzany do budynku, na jego twarzy co prawda pojawił się uśmiech, ale był on mocno przytłumiony, a wzrok nie krył ogromnego rozżalenia. Widać było też, że mocno schudł, miał również problem z chodzeniem. Jego kostka była mocno opuchnięta po skoku i długiej pieszej wędrówce. Ale nie tylko Bundy miał powody do złości. Policjanci musieli zmierzyć się z falą krytyki, która na nich spłynęła. Pozwolili uciec mężczyźnie podejrzanemu o poważne przestępstwa, a do tego nie potrafili go złapać przez sześć dni. Zaczęły się wzajemne oskarżenia o zbyt pobłażliwe traktowanie Bundy'ego, zwłaszcza że wcześniej pojawiły się przecież ostrzeżenia przed nieobliczalnością zatrzymanego. Po tak potężnej wpadce funkcjonariusze skasowali wszystkie przywileje, którymi Ted cieszył się wcześniej. Mimo to organom ścigania nie udało się uniknąć kolejnej kompromitacji.

Ucieczka mocno przygasiła entuzjazm Bundy'ego, tym bardziej że do wcześniejszego skazania za uprowadzenie, a także zarzutów o zabójstwo pielęgniarki z Aspen mogły dojść też te obejmujące ucieczkę z aresztu i kradzież samochodu. Szesnastego lipca Ted otrzymał nowego adwokata –

był nim Stephen Ware. W przeciwieństwie do poprzednich obrońców zrobił na Tedzie dobre wrażenie. Już w sierpniu pomógł mu skierować do sądu wniosek o ponowne przeprowadzenie procesu w sprawie porwania Carol DaRonch. Niestety, ze względu na tragedię rodzinną Ware musiał zrezygnować z obrony. To całkowicie załamało Bundy'ego. Pokładał w prawniku ogromne nadzieje, po jego odejściu poczuł się tak, jakby ktoś szybko wytrącił spod niego krzesło, na którym wcześniej całkiem spokojnie siedział.

W tym czasie śledczy chcieli przypisać mu kolejne zabójstwa – Melissy Smith, Laury Aime i Debry Kent. Trwało gromadzenie dowodów, a główną podstawą do wciągnięcia w to Bundy'ego miało być uderzające podobieństwo wszystkich tych spraw do zabójstwa pielęgniarki w Aspen. W listopadzie 1977 roku sąd miał zdecydować, czy zebrane informacje mogą zostać dopuszczone do procesu o zabójstwo Caryn Campbell. Decyzja zapadła za zamkniętymi drzwiami. Była ona jednak na korzyść Teda – sędzia uznał, że dowody nie zostaną włączone do śledztwa. Triumf był jednak krótkotrwały. Jeszcze w tym samym tygodniu sąd odrzucił apelację o ponowne wszczęcie sprawy uprowadzenia Carol DaRonch, za które został wcześniej skazany.

Na kolejny proces Bundy czekał w więzieniu w Glenwood Springs, niewielkim miasteczku w hrabstwie Garfield. Urokliwe górzyste tereny już wkrótce miały stać się miejscem, na które zwrócone były oczy całej Ameryki. Większość czasu Ted spędzał na uważnym obserwowaniu innych więźniów, strażników, krat, zabezpieczeń, a także… sufitu we własnej celi. Choć jego szanse na wybronienie się ze sprawy Caryn Campbell były całkiem niezłe, przestał zaprzątać sobie głowę procesem. Skupił się na czymś zupełnie innym. Znacznie ograniczył spożywane posiłki, przez co schudł aż 16 kilogramów, a całą energię wkładał w zajmowanie się metalową płytką na suficie, w miejsce której miał być zamontowany plafon. Tak się jednak nie stało, a Ted zyskał doskonałe narzędzie, które miało mu posłużyć do kolejnej walki o wolność. Tym razem wszystko zaplanował jeszcze dokładniej niż za pierwszym razem. Nie zamierzał pozwolić sobie na błędy i chaos w działaniu, musiał mieć wszystko wyliczone i odpowiednio przygo-

towane. Udało mu się przemycić małą piłkę, którą przez kilka tygodni systematycznie ciął sufit wokół płytki. Był w tym tak dyskretny, że nikt nie zauważył, by w jego celi działo się coś podejrzanego. Wycinając odpowiedni otwór, wykazał się sporą precyzją. Po wyjęciu płytki, mógł ją włożyć ponownie i to tak dokładnie, że nie sposób było dostrzec, że została ona w jakikolwiek sposób naruszona. Przez te wszystkie miesiące odłożył też trochę gotówki – łącznie 500 dolarów – która była mu potrzebna do przeżycia na zewnątrz. Gdy wszystko było gotowe, Bundy przeszedł do kolejnej fazy swojego planu – oczekiwania. Musiał nadejść odpowiedni moment, by mógł niepostrzeżenie wyślizgnąć się ze swojej celi.

Stało się to 30 grudnia 1977 roku, na kilka dni przed rozpoczęciem procesu w sprawie zabójstwa Caryn Campbell. Gdyby Ted pozostał w celi, wkrótce zostałby przewieziony do innego więzienia. Musiał się więc spieszyć. Na łóżku ułożył książki, następnie zakrył je kocem, zupełnie tak, jakby w tym miejscu spał człowiek. Upewnił się, że ma drogę wolną, podciągnął pod sufit i wcisnął do niewielkiego otworu, nad którym pracował w ostatnich tygodniach. Czołgając się dotarł nad pokój strażnika więziennego Boba Morrisona. Zatrzymał się na chwilę, by podsłuchać dochodzącą z pomieszczenia rozmowę. Wywnioskował z niej, że Morrison i jego żona wkrótce wyjdą z mieszkania. Odczekał, aż para się ubierze i zamknie za sobą drzwi. Klucz się przekręcił, głosy umilkły – to był znak, by odsunąć gipsową płytę i wskoczyć do środka. Podszedł do szafy strażnika, wyjął potrzebne ubrania, szybko porzucił więzienny strój i… wyszedł na zewnątrz. Był poza murami więzienia, lecz pieszo w środku zimowej nocy. Wiedział, że musi mieć samochód, by zyskać przewagę. Namierzył na parkingu nieco uszkodzone auto marki MG z kluczykami w środku. Udało mu się odjechać, ale śnieg i mróz pokonały auto, którego silnik padł w górach. Bundy utknął na poboczu autostrady międzystanowej numer 70. Na swoje szczęście pewien kierowca zatrzymał się i zabrał go do miasteczka Vail. Tam z kolei Ted złapał autobus do Denver, gdzie wsiadł na pokład samolotu linii TWA odlatującego o 8.55 rano do Chicago. W tym czasie w więzieniu wciąż panowała błoga nieświadomość i nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że najbardziej niebezpieczny człowiek w Stanach Zjednoczonych

znów korzysta z przywilejów wolności. Do jego celi pobieżnie zaglądano o poranku kilka razy, ale nie sądzono, że pod kocem zamiast Bundy'ego jest sterta książek, papierów i segregatorów. Odkryto to dopiero 17 godzin później!

W zakładzie karnym wybuchła panika. Ted zniknął i to drugi raz, wystawiając organy ścigania na pośmiewisko. W dodatku okazało się, że jeden z więźniów zgłaszał, że z celi Bundy'ego wieczorami wydobywają się dziwne odgłosy, ale strażnicy to zignorowali. W okolicy ustawiono blokady, sprowadzono też psy gończe. Ale Ted wyprzedzał policjantów nie o krok, a o 2 tysiące kilometrów. To była przepaść, której zwykli funkcjonariusze nie byli w stanie przeskoczyć.

Bundy trafił na listę najbardziej poszukiwanych przestępców FBI, a media rozpisywały się o jego kolejnym nieprawdopodobnym wyczynie. I wciąż stawiano sobie pytanie – jak to możliwe, że drugi raz oszukał policję i straż więzienną? Wydaje mi się, że odpowiedź jest banalnie prosta. Nikt nie doceniał nie tyle jego intelektu, co determinacji, by znów być wolnym człowiekiem. A właśnie dla tej wolności był w stanie zrobić wszystko.

Ted postanowił, że zaszyje się w jakimś miejscu, zdobędzie nową tożsamość i nie złamie prawa, nawet jeśli miałaby to być kradzież lizaka. Musiał stać się porządnym obywatelem, a dla świata przywdziać coś w stylu czapki niewidki. Nie sądził jednak, że życie w zgodzie z obowiązującymi normami społecznymi będzie aż tak trudne. Osiedlił się w Tallahasse na Florydzie, gdzie przybrał nazwisko Chris Hagen. Później jednak uznał, że będzie studentem Kennethem Misnerem. Wyrobił sobie dokumenty na to nazwisko i wynajął pokój w kampusie przy 409 West College Avenue. Początkowo mało wychodził na zewnątrz. Oglądał telewizję, jadł, spał, a wieczorami sączył piwo. Był niezwykle dumny ze swojego wyczynu, chciał delektować się każdą minutą spędzoną poza znienawidzoną więzienną celą. Ale pieniądze, które udało mu się zgromadzić, szybko topniały, aż w końcu zostało mu jedynie 60 dolarów. Zaczął więc kraść. Początkowo mniejsze produkty, takie jak jedzenie czy kosmetyki, później skupił się na rowerach. Co prawda myślał o znalezieniu jakiejś pracy, ale nie mógł się zmotywować, by poszukać zatrudnienia. Przestępcze

życie wydawało się łatwiejsze i bardziej kuszące. Nie mógł się też powstrzymać przed zbliżeniem do środowiska studenckiego, na którym wcześniej skupił uwagę, polując na młode kobiety. Zaczął kręcić się wokół uczelni, sam zresztą podawał się za studenta. Przychodził nawet na niektóre zajęcia, korzystał z sal do ćwiczeń, zupełnie tak jakby kontynuował naukę. Początkowy stres związany z tym, że ktoś go rozpozna, szybko się ulotnił, gdy zauważył, że w studenckim środowisku jest całkowicie anonimową postacią i nikt nie kojarzy jego zdjęć z gazet czy plakatów FBI. Dni mijały jeden za drugim, aż w końcu jego prawdziwa natura zaczęła brać górę nad strachem związanym z ponownym schwytaniem.

Bundy uważnie obserwował studentki i skupił wzrok na Chi Omega. W tym studenckim domu mieszkało trzydzieści dziewięć niezwykle zdolnych, ale też mocno zżytych ze sobą młodych kobiet. Dość duży, piętrowy budynek znajdował się przy West Jefferson 661. W środku studentki miały wszystko, czego potrzebowały, by czuć się jak w domu – salon, świetlicę, kuchnię, jadalnię i własne sypialnie. Lokatorki pilnowały, by drzwi do budynku zawsze pozostawały zamknięte. Zmieniło się to w nocy z 14 na 15 stycznia 1978 roku. Bundy był wówczas na wolności od dwóch tygodni i właśnie postanowił złamać złożoną sobie obietnicę o życiu w cieniu i zgodzie z prawem.

Dwudziestoletnia Lisa Levy pochodziła z St. Petersburga. Łączyła naukę z pracą na niepełnym etacie. Sobotni wieczór spędziła w dyskotece, ale czując zmęczenie, postanowiła wrócić do domu i odpocząć. Zajmowała pokój numer 4. Była wtedy sama, bo jej współlokatorka wyjechała na dwa dni. Weszła do środka, zamknęła drzwi i położyła się do łóżka. Chwilę później do budynku wróciły trzy inne studentki, które zauważyły, że drzwi prowadzące do tylnego wejścia były otwarte. Nie zmartwiły się tym szczególnie, bo od pewnego czasu były z nimi problemy. Po krótkiej rozmowie rozeszły się do swoich pokoi i również poszły spać. Około godziny 2.35 drzwi swojej sypialni pod numerem 9 zamknęła Margaret Bowman, która chwilę wcześniej wróciła z randki w ciemno. Miała dwadzieścia jeden lat i podobnie jak Lisa Levy pocho-

dziła z St. Petersburga. Nic nie wskazywało na to, by tej nocy miało wydarzyć się coś jeszcze.

O 3.00 w nocy do domu wróciła Nita Neary. Była w bardzo dobrym nastroju, bo ostatnie godziny spędziła ze swoim chłopakiem. W końcowym policyjnym raporcie z tej styczniowej nocy czytamy:

Godzina 3.00, niedziela, 15 stycznia 1978 roku, Nita Neary (członkini siostrzeństwa Chi Omega) wróciła z randki i weszła do budynku tylnymi drzwiami wychodzącymi na patio. Wchodząc do domu, przeszła przez salon, dotarła do frontowych schodów prowadzących do sypialni na piętrze. Gdy zbliżyła się do holu (lokalizacja głównych schodów), usłyszała, jak ktoś zbiega po schodach. Nieznajomy podszedł do drzwi wejściowych i wyszedł. Pani Neary opisała go jako białego mężczyznę po dwudziestce o brązowych, krótkich, prostych włosach. Według opisu nosił czarną lub ciemną czapkę śnieżną, czarny lub ciemny długi płaszcz, a także jasne spodnie. W prawej ręce trzymał kij o długości dwóch i pół–trzech stóp [76–91 centymetrów]. Mężczyzna prawdopodobnie nie widział pani Neary.

Pani Neary myślała, że nieznajomy wciąż krąży w pobliżu, natychmiast poszła więc na górę, by zobaczyć, czy ktoś się obudził i widział intruza. Podeszła do szczytu schodów i zobaczyła swoją siostrę z bractwa. Gdy rozmawiały o tym, że pani Neary widziała mężczyznę, otworzyły się drzwi do sypialni i kolejna siostra, Karen Chandler, wyszła chwiejnym krokiem na korytarz. Pani Chandler mocno krwawiła z ran na głowie. Znaleziono w tym czasie Kathy Kleiner, która również mocno krwawiła. Oprócz ran na głowie, miała też wybite zęby. Inne siostry szybko sprowadziły pozostałe dziewczyny i zajrzały do reszty pokojów. Znaleziono ciało Lisy Levy w sypialni obok pokoju Chandler i Kleiner. W tym czasie przybyli na miejsce pierwsi funkcjonariusze policji. Wszystkie siostry zostały przeniesione na dół budynku do salonu, a policjanci odkryli ciało Margaret Bowman w sypialni naprzeciwko pokoju Levy

Końcowy raport nie do końca oddaje masakrę, jaka wydarzyła się tej nocy w Chi Omega. Wystarczy wspomnieć, że zaatakowanie kilku dziewcząt zajęło Bundy'emu zaledwie 15–20 minut! Przed budynkiem znalazł duży kawał drewna, który

zabrał ze sobą, wchodząc do środka. Być może dostał się tam, zanim wszystkie dziewczyny położyły się do łóżek, i czekał w ciemności na odpowiedni moment. Inna wersja zakłada, że wślizgnął się tuż po tym, jak światła w pokojach zgasły, a studentki zapadły w sen. Swoją makabryczną wizytę najpewniej zaczął od Margaret Bowman (pokój numer 9). Morderca zmasakrował jej głowę do tego stopnia, że śledczy widzieli jej mózg. Gdy weszli do pokoju, studentka leżała na brzuchu, na łóżku widoczne były duże ślady krwi. Na szyi z niebywałą siłą zaciśnięto jej nylonową pończochę. Miała również zdjętą bieliznę. Po tym brutalnym, pełnym agresji i szału morderstwie Ted przeszedł do sypialni Lisy Levy (pokój numer 4) i tam zaatakował dziewczynę. Pobił ją do nieprzytomności, niemal odgryzł jej prawy sutek, zostawił też wyraźny ślad zębów na pośladku. Na tym jednak nie poprzestał. Chwycił stojącą w pobliżu butelkę z mgiełką do włosów i z ogromną siłą wepchnął dziewczynie w pochwę oraz odbyt, poważnie uszkadzając organy wewnętrzne. Bundy złamał jej też obojczyk. Gdy policja weszła do jej pokoju, Lisa jeszcze żyła, choć jej puls był niemal niewyczuwalny. Szybko została przetransportowana do szpitala, ale tam mimo wysiłku lekarzy zmarła. Kolejnymi ofiarami stały się Karen Chandler – Bundy rozbił jej głowę, złamał szczękę i wybił wiele zębów – a także Kathy Kleiner, którą znaleziono w łóżku z poważnymi obrażeniami głowy i twarzy, miała również złamaną szczękę. Obie dziewczyny przeżyły tę brutalną napaść.

Intensywne i szczegółowe przeszukania budynku nie przyniosły żadnych efektów. Na miejscu odnaleziono jedynie drzazgi z kłody, którą sprawca roztrzaskał studentkom głowy. Prawdopodobnie narzędzie zbrodni wziął sprzed domu, gdzie znajdowało się kilka podobnych, drewnianych elementów. Dwie dziewczyny nie żyły, dwie były ciężko ranne. I tego wszystkiego mężczyzna dokonał w zaledwie kilkanaście minut, nie zostawiając przy tym zbyt wielu śladów, które mogłyby bezpośrednio doprowadzić do niego śledczych. Oczywiście najistotniejszym dowodem był odcisk zębów na pośladku jednej z ofiar, dzięki czemu w późniejszym etapie uda się przypisać tę masakrę właśnie Bundy’emu.

Tymczasem on tej nocy nie zamierzał poprzestać na Chi Omega. Był w jakimś zbrodniczym szale, zupełnie jakby nie potrafił zapanować nad swoją żądzą krwi, mimo że chwilę wcześniej dokonał przecież tak bestialskiego czynu. Już po zatrzymaniu Bundy tak mówił o swoich zbrodniach:

Nie da się opisać tego brutalnego popędu, by to zrobić. Gdy było już po wszystkim i ten popęd został zaspokojony, a cała energia była już wyczerpana, na normalnym poziomie, znów byłem sobą. Zasadniczo byłem człowiekiem normalnym. Miałem dobrych przyjaciół, żyłem normalnie. Poza tą jedną destruktywną dziedziną, którą utrzymywałem w tajemnicy, tylko dla siebie. Nikt o tym nie wiedział.

Zapewniał również, że mordowanie kobiet było pewnego rodzaju opętaniem:

Czułem, jakbym się wynurzył z jakiegoś potwornego transu lub snu. Nie chcę zbytnio dramatyzować, ale porównałbym to do opętania przez jakieś obce moce. Następnego dnia człowiek się budzi, pamięta, co zrobił, i ma świadomość, że wobec prawa i przed Bogiem to on ponosi za to odpowiedzialność. Budziłem się rano świadom tego, co zrobiłem, oraz wszystkich zasad etycznych, które złamałem, przerażony, że jestem zdolny do czegoś takiego.

Swoją zdolność do najpotworniejszych czynów Bundy potwierdził jeszcze tej samej nocy. Z Chi Omega ruszył do oddalonego o osiem przecznic domu, w którym mieszkała studentka Cheryl Thomas. Dziewczyna była tancerką, próbowała swoich sił w balecie. Miała dwadzieścia jeden lat, gdy stała się kolejnym celem Teda Bundy'ego.

Wieczór 14 lutego Cheryl spędzała ze znajomymi na potańcówce. Po powrocie do domu około godziny 2.00 w nocy niemal natychmiast poszła do sypialni. Mieszkała przy Dunwoody Street 431 w bliźniaku. Jej sąsiadkami były Debbie Ciccarelli i Nancy Young. Około godziny 4.00 obudził je hałas dobiegający z części, w której przebywała Cheryl. Tępy, jednostajny odgłos przypominał dźwięk uderzania jakimś ciężkim przedmiotem. Regularny huk przerywany był cichym jęczeniem, momentami zmieniającym się w szloch. Debbie i Nancy były przerażone. Nie wiedziały, co robić. Biec do Cheryl

i sprawdzić, co się dzieje, zignorować te odgłosy czy od razu wzywać policję? Postanowiły najpierw zadzwonić do sąsiadki, ale ta nie podniosła słuchawki. Wtedy były już niemal pewne, że dzieje się coś złego. Zdecydowały się powiadomić służby. Gdy rozmawiały z policjantami, z mieszkania Cheryl dobiegł kolejny hałas, ale ten był inny. Przypominał uderzenie w jakiś przedmiot, zupełnie tak, jakby sprawca wpadł na krzesło lub stolik znajdujący się w pokoju. A potem zaległa głucha cisza. Niepewne i przerażone dziewczyny czekały na przyjazd funkcjonariuszy. Po kilku minutach radiowozy były już na miejscu. Policjanci zapukali do drzwi Cheryl, ale nikt im nie odpowiedział. Nie czekając więc na zaproszenie, weszli do środka. Niemal natychmiast znaleźli na łóżku mocno poranioną studentkę. Zarówno na pościeli, jak i podłodze widniały spore plamy krwi. Cheryl była nieprzytomna, ale – co najważniejsze – wciąż żyła. Natychmiast wezwano na miejsce karetkę, a policjanci próbowali nawiązać z dziewczyną jakikolwiek kontakt. Obolała i skatowana Cheryl wydawała z siebie jedynie jęki pełne bólu. Funkcjonariusze zaczęli przyglądać się obrażeniom. Zauważyli, że na głowie ofiary były rozległe rany, jej twarz została też mocno pobita. Była rozebrana, na ciele pozostały jedynie majtki. Cheryl została zabrana do szpitala, po wybudzeniu się niczego nie pamiętała. Dziewięć tygodni po tym brutalnym ataku mówiła:

Kiedy obudziłam się w szpitalu Tallahassee, nie mogłam powiedzieć, kim byłam ani gdzie byłam. Wiem, że bolała mnie głowa, a moja twarz była bardzo spuchnięta. To rodzice powiedzieli mi, co się stało, bo sama nie wiedziałam. Niczego nie pamiętałam.

Cheryl spędziła w szpitalu miesiąc. Jej szczęka była złamana w dwóch miejscach, ramię przemieszczone, miała też pękniętą czaszkę i to w sumie w pięciu obszarach. To z kolei spowodowało, że trwale straciła słuch w lewym uchu. Została też zgwałcona.

Choć wniosek, który nasunął się tej nocy policjantom był przerażający, było jasne, że ataku na Cheryl dokonał ten sam sprawca, który bestialsko zamordował dwie studentki w Chi Omega. Rany na ciele dziewczyn były niemal takie same, a oba budynki znajdowały się na tyle blisko siebie, by napast-

nik zdołał pokonać trasę pieszo w dość krótkim czasie. Policjanci nie wiedzieli, kim był, na tym etapie śledztwa nawet przez chwilę nie przewinęło się nazwisko Ted Bundy. Funkcjonariusze nikogo nie wytypowali, za to opinia publiczna była wstrząśnięta atakami na studentki. Media poświęcały im bardzo dużo uwagi, a w środowisku uniwersyteckim pojawiła się lekka panika. I tylko Ted wciąż zachowywał duże pokłady spokoju i już planował kolejny atak.

Bundy był bardzo pewny siebie. Mimo dokonanych przez siebie ataków nie zamierzał opuszczać wygodnego The Oak. Czuł się nietykalny, dokonane brutalne mordy dodały mu jeszcze więcej pychy. Przechadzał się po okolicy i kradł drobne przedmioty. Ósmego lutego 1978 roku wyruszył do oddalonego ponad 300 kilometrów od Tallahassee Jacksonville. Dostał się tam skradzioną wcześniej białą furgonetką. Przejeżdżając obok jednej ze szkół, zaczepił czternastoletnią Leslie Parmenter. Powiedział jej, że pracuje w straży pożarnej i nazywa się Richard Burton. Na szczęście dla dziewczyny niemal natychmiast pojawił się obok jej brat Danny. Zaczął wypytywać Bundy'ego, kim jest i czego chce od jego siostry. Bundy odpowiedział: *Niczego… Po prostu pomyliłem ją z kimś innym i pytałem, kim jest.* Ted szybko zasunął okno i odjechał wyraźnie poirytowany. Danny powiedział później ojcu, który był policjantem, że mężczyzna był bardzo zdenerwowany i dosłownie trząsł się z emocji. *Nawet jego głos drżał* – stwierdził Danny. Chłopak spisał też numery z tablicy rejestracyjnej: 13D-11300, i przekazał je ojcu.

Tymczasem Bundy ruszył dalej, w stronę Lake City. To niewielkie, ale urokliwe miasteczko nie wyróżniało się niczym szczególnym poza jeziorem, które do dziś przyciąga okolicznych mieszkańców. Znajdował się tam również dom dwunastoletniej Kimberly Leach, ciemnowłosej uczennicy gimnazjum. Jak później mówiły jej przyjaciółki – była uśmiechnięta, ale bardzo nieśmiała. Dziewiąty lutego 1978 roku był deszczowym, dosyć ponurym dniem. Kim była wtedy w szkole. W drodze na kolejne zajęcia zorientowała się, że zostawiła w jednej z sal plecak. Postanowiła więc wrócić po niego, ale żeby się tam dostać, musiała pobiec do innego budynku. Towarzyszyła jej przyjaciółka Priscilla Blakney. Dziewczynki

rozstały się na chwilę, a gdy Blakney chciała ponownie dołączyć do koleżanki, zobaczyła ją, jak zmierza w stronę nieznajomego mężczyzny, który ją wołał. Zapamiętała jedynie, że był to biały samochód. Po Kim ślad zaginął.

W trakcie śledztwa ujawniło się dwoje świadków. Byli to Clarense Anderson i Jackie Moore. Oboje widzieli tego dnia Bundy'ego, a przynajmniej – jak mówili później policji – kogoś, kto wyglądał jak Ted. Anderson był przekonany, że spotkał mężczyznę, gdy ten szedł z Kim. Prowadził ją do furgonetki i sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Anderson uważał, że to zwykły obrazek po kłótni ojca z córką, nie przyszło mu do głowy, że właśnie widzi, jak seryjny morderca uprowadza dziecko. Z kolei Jackie Moore jechała autem, gdy niemal zderzyła się z samochodem Teda. Widziała, jak patrzył na fotel pasażera, sprawiał wrażenie, jakby na kogoś krzyczał. Zarówno Moore, jak i Anderson puścili te incydenty w niepamięć, nie skupiając się już później na dość istotnych szczegółach. Te odegrały ważną rolę w trakcie poszukiwań Kim i późniejszego procesu Bundy'ego,

Poszukiwania dziewczynki ruszyły tego samego dnia. Rodzice najpierw sprawdzili, czy córki nie ma u którejś z koleżanek. Gdy upewnili się, że nie, a dziecko wyszło zaraz po pierwszej lekcji, powiadomili policję. Szczególnie niepokojące były informacje od Priscilli, która widziała Kim z obcym mężczyzną. Funkcjonariusze wiedzieli, że mają niewiele czasu. Pilnie wysłano komunikat do wszystkich jednostek w okolicy. Po rozmowie z rodzicami policjanci wiedzieli, że Kim nie zdecydowałaby się na ucieczkę z domu. Była sumienna, dobrze się uczyła i miała dobre relacje z domownikami. Porwanie, biorąc pod uwagę sygnał o nieznajomym, było najbardziej prawdopodobnym scenariuszem. I jednocześnie najbardziej przerażającym.

Poszukiwania trwały osiem tygodni. Zaangażowano w to cztery hrabstwa, prześwietlono teren o obszarze ponad 6 tysięcy kilometrów. W końcu po długich poszukiwaniach odnaleziono częściowo zmumifikowane zwłoki dziecka. Znajdowały się w szopie Suwannee River State Park, w leśnym kompleksie na Florydzie, który od Lake City oddalony jest jakieś 60 kilometrów. Sekcja wykazała, że dwunastoletnia

Kim prawdopodobnie została zgwałcona, poderżnięto jej też gardło, według niektórych śledczych myśliwskim nożem, który Bundy kupił chwilę wcześniej. Z zeznań niejakiego Johna Farhanta, właściciela sklepu, wynikało, że na początku lutego sprzedał takie właśnie narzędzie mężczyźnie o ciemnych włosach. Po zdjęciu w gazecie rozpoznał, że był to Ted. Wtedy też skontaktował się z policją. Kimberly Leach była najmłodszą i ostatnią ofiarą Bundy'ego.

Los przestał sprzyjać mordercy 15 lutego. Ukradł wtedy kolejny samochód, którym krążył w nocy po okolicy. Dostrzegł go policjant z Pensacoli David Lee. Ta powolna jazda kierowcy wydała mu się podejrzana, dlatego postanowił go sprawdzić. Skontaktował się z posterunkiem i poprosił o sprawdzenie numerów rejestracyjnych pojazdu. I bingo! – okazało się, że auto zostało skradzione. Lee włączył więc syreny i ruszył za pojazdem, licząc na to, że kierowca za chwilę zatrzyma się na poboczu. Ale Bundy, nauczony poprzednim aresztowaniem, postanowił, że tym razem nie da się tak łatwo schwytać. Przyspieszył i zaczął uciekać przed jadącym za nim radiowozem. Rozpoczął się pościg. Bundy przyspieszył do 100 kilometrów na godzinę, Lee zrobił to samo. Pędzili przed siebie około dwóch kilometrów, gdy niespodziewanie Ted się zatrzymał. Funkcjonariusz nie wiedział, czego może spodziewać się po kierowcy, który przed chwilą uciekał skradzionym pojazdem. Wyciągnął więc służbową broń i podszedł do pojazdu. Polecił Bundy'emu, by wyszedł z auta i położył się na ziemi. Ted początkowo odmówił, ale w końcu dostosował się do policyjnego rozkazu i pozwolił skuć sobie ręce. Wtedy jednak szybko się odwrócił i powalił funkcjonariusza na ziemię. Doszło do szarpaniny, a gdy Bundy próbował zbiec, David Lee otworzył do niego ogień. Kula nie trafiła w zbiega, ale wystrzał był na tyle głośny, że Ted upadł na ziemię. Wiedział, że to już koniec. Jego spektakularna ucieczka i kilkutygodniowa wolność zakończyły się właśnie bezpowrotnie. Gdy Lee podszedł do niego, powiedział jedynie: *Szkoda, że mnie nie zabiłeś.* Ted Bundy został schwytany. I jedynie policjant, który dokonał tego spektakularnego wyczynu, jeszcze nie wiedział, że udało mu się zatrzymać najbardziej niebezpiecznego człowieka w Stanach Zjednoczonych.

Bundy trafił do aresztu w Pensacoli. Gdy zapytano go o personalia, podał fałszywe nazwisko. Przedstawił się jako Kenneth Raymond Misner, a na dowód wyjął dokumenty z tymi właśnie danymi. Miał przy sobie też kilka kart kredytowych, wszystkie oczywiście skradzione. Upierał się, że jest studentem i nie chciał powiedzieć, dlaczego uciekał przed policjantem. Próbował grać na czas. Doskonale wiedział, co się stanie, gdy wyjawi prawdziwą tożsamość. Ale policjanci błyskawicznie ustalili, że niejaki Kenneth Misner, owszem, istniał naprawdę, ale z pewnością nie był to ten sam mężczyzna, który znajdował się w areszcie. Prawdziwy Misner studiował w Tallahassee i był mocno zaskoczony wiadomością od funkcjonariuszy. Nie wiedział, że ktoś postanowił się pod niego podszyć.

Śledczy próbowali wyciągnąć z Bundy'ego jakiekolwiek informacje, ale wszystko na nic. Pozwolono mu więc wykonać kilka telefonów, rozmawiał też z adwokatem. Został zabrany do szpitala, gdzie opatrzono mu lekkie i powierzchowne rany, których się nabawił, uciekając przed policjantem. Na drugi dzień Bundy był nieco bardziej rozmowny, ale nadal odmawiał podania prawdziwych danych. Przyznał za to, że karty, które miał przy sobie, zostały przez niego skradzione. I dalej upierał się, że jest Kennethem Millerem. Adwokat poradził mu, by nie rozmawiał z policjantami, bo jedynie się pogrąży. Ted był w kiepskiej kondycji zarówno fizycznej, jak i psychicznej, a jego wypowiedzi często były niewyraźne i nieskładne, co prawnik niemal natychmiast wyczuł. Bundy poprosił o spotkanie z księdzem. Jego spowiedzi wysłuchał Michael Moody.

W nocy z 16 na 17 lutego doszło do rozmowy, która odbiła się w późniejszym procesie szerokim echem. Według policjantów – Normana Chapmana, Steve'a Bodiforda i Dona Patchena – Bundy przyznał się nie tylko do tego, kim jest, ale także do ogromnej liczby zabójstw, znacznie większej, niż przypisywało mu FBI. Cała wielogodzinna rozmowa miała zostać zarejestrowana na taśmie, ale ze względu na fakt, że nagrywano Teda z ukrycia, bez jego wiedzy, sąd nie dopuścił jej jako dowodu procesowego. Policjantom zostało więc ponowne zrelacjonowanie tego, co Bundy miał im wówczas powiedzieć.

Norman Chapman: *Ted, bo muszę się zbierać, powiedz mi tylko, bo chciałbym wiedzieć, jak duża jest sprawa, nad którą pracuję? Chciałbym wiedzieć, jak bardzo jesteś zamieszany w te wszystkie „problemy”?* [zabójstwa].

Ted Bundy: *Nie mogę ci powiedzieć.*

Norman Chapman: *Ted, mówimy o dwu- czy trzycyfrowej liczbie?*

Ted Bundy: *Mówimy o trzycyfrowej.*

Norman Chapman: *Ale mówimy o liczbie ponad stu czy mniej niż dwieście?*

Ted Bundy: *Nie będę już odpowiadał na pytania.*

Bundy rozmowę z policjantami miał skończyć zdaniem:

Jestem najbardziej nieczułym sukinsynem, jakiego kiedykolwiek poznaliście.

W końcu śledczy otrzymali potwierdzenie z FBI, że mężczyzna, którego schwytali, to Theodore Robert Bundy, poszukiwany od wielu tygodni i podejrzewany o trzydzieści sześć zabójstw. Policjanci z Pensacoli byli w szoku. Nie spodziewali się, że ten chaotyczny dziwak podszywający się pod studenta może być tak naprawdę seryjnym mordercą i to jednym z najbardziej niebezpiecznych w historii Stanów Zjednoczonych.

Śledczy zaczęli wyciągać też sprawy, które wcześniej były nierozwiązane. Według nich pasowały do działania Bundy’ego i mógł być z nimi powiązany. Na tej liście znalazła się sprawa zaginięcia Ann Marie Burr. Ośmiolatka mieszkała w sąsiedztwie Bundy’ego, gdy ten miał piętnaście lat. W nocy 30 sierpnia 1961 roku dziewczynka przebudziła się w nocy i poszła do rodziców, mówiąc, że jej młodszą siostrę bardzo boli ręka, którą wcześniej złamała. Ojciec poszedł więc z nią do pokoju, ponownie uśpił córki i wyszedł. Nigdy więcej nie widział już dziewczynki. Mimo zakrojonej na szeroką skalę akcji dziecka nie udało się odnaleźć. Po schwytaniu Bundy’ego pojawiła się teoria, że to on mógł uprowadzić oraz zabić Ann i to właśnie ona była jego pierwszą ofiarą. Ale tej zbrodni nigdy mu nie udowodniono.

Bundy stał się też podejrzanym numer jeden w sprawie brutalnych zabójstw w akademiku Chi Omega. Choć zaprzeczał, by to on stał za tą masakrą, śledczy byli niemal pewni, że jest winny. Ale samo przeczucie to za mało, musieli udowodnić to przed sądem. Mając jednak podejrzanego, świadków i co ważne – odciski jego zębów na pośladku jednej z ofiar – ustalenie winy Bundy'ego było tylko kwestią czasu.

Ted został przewieziony do celi w Tallahassee. Uznano, że z tego zakładu na pewno nie ucieknie. Dlatego to właśnie tam miał oczekiwać na proces. Zdecydowano również o wykonaniu odlewu jego zębów, dzięki czemu można było porównać go ze śladami zostawionymi na pośladku jednej z ofiar. Bundy początkowo nie chciał się na to zgodzić, przekonywał, że policja nie może tego zrobić bez zgody jego adwokata. Ale śledczy byli sprytniejsi, mieli sądowy nakaz, który na to zezwalał. Ted przyparty do muru złagodniał i pozwolił wykonać odlew.

Tymczasem policjanci natrafili na furgonetkę, którą Bundy miał przewozić Kimberly Leach. Po dokładnej analizie wnętrza pojazdu kryminalni odnaleźli grudki ziemi. Podejrzewano, że pochodzą one z miejsca, w którym porzucono ciało dziewczynki. Zwłoki odnaleziono na początku kwietnia. Były już w daleko posuniętym rozkładzie, mimo to po ubraniach udało się ustalić, że szczątki należą właśnie do Kim. Jej tożsamość potwierdziły badania stomatologiczne. Według śledczych istniało duże prawdopodobieństwo, że dziecko już nie żyło, gdy Bundy wrzucał je do szopy.

Odnalezienie ciała i furgonetki dostarczyło policjantom kolejnych dowodów przeciwko Tedowi. W pojeździe znaleziono między innymi ślady krwi, które pasowały do grupy Kimberly. Natrafiono też na włókna, które – jak się okazało po badaniu – pochodziły z koszulki dziewczynki. Karty kredytowe ujawniły, że w czasie zaginięcia Kim Ted wielokrotnie tankował auto właśnie w tej okolicy. Korzystał również z restauracji i hotelu, za wszystko płacąc oczywiście kartą. Znalazło się też wielu świadków, którzy go widzieli. Od recepcjonisty po strażaka. Niektórzy kojarzyli nawet, że był w towarzystwie Kim. Choć stanowiło to wciąż dowody poszlakowe, Tedowi coraz trudniej było wyplątać się ze wszystkich powiązań.

Mimo to Bundy cały czas zaprzeczał i przekonywał, że jest niewinny, a śledczy znaleźli po prostu kozła ofiarnego. Nie przyznawał się nawet wtedy, gdy postawiono mu już łącznie 14 zarzutów, zarówno dotyczących porwań i zabójstw, jak i kradzieży kart kredytowych. Bundy szykował własną linię obrony, opierając się głównie na swoich przemyśleniach i zdobytym wcześniej – znikomym – doświadczeniu. Przekonywał, że nikt mu niczego nie udowodni, a całe zatrzymanie to splot piętrzących się pomyłek.

Na początku lipca 1978 roku organy ścigania przystąpiły do ataku. Materiał dowodowy pozwolił na przygotowanie aktu oskarżenia w sprawie masakry w Chi Omega. W świetle kamer odczytał go Bundy'emu Kenneth Katsaris. Ted, widząc szeryfa, nie krył poirytowania. Powiedział:

Co my tu mamy, Ken? Akt oskarżenia. Dobrze! Przeczytasz? Startujesz w wyborach? To dlatego? Powiedziałeś, że mnie dorwiesz. Tak powiedział! I jestem oskarżony. Tylko tyle dostaniesz. Czytaj. Dawaj.

Katsaris rzucił Bundy'emu jedynie krótkie spojrzenie i przeszedł do odczytywania aktu:

Theodorze Robercie Bundy, jesteś oskarżony o dwa włamania, dwa morderstwa pierwszego stopnia i trzy usiłowania zabójstwa pierwszego stopnia. W imieniu stanu Floryda i Wielkiej Ławy Przysięgłych, która ma dążyć do prawdy, hrabstwo Leon pod przysięgą stwierdza, że Theodore Robert Bundy dopuścił się 15 stycznia 1978 roku w hrabstwie Leon na Florydzie zabójstwa Margaret Bowman poprzez uduszenie i/lub pobicie i zabójstwo to zostało przez niego uprzednio zaplanowane lub dokonał go celowo, w sprzeczności z paragrafem 810-02.

Gdy szeryf w obecności dziennikarzy przedstawiał Bundy'emu dokument, Ted nieustannie krążył po korytarzu, rzucał komentarze i prowokacyjnie zwracał się w stronę kamer. Był wściekły, że Katsaris urządził pokazówkę z jego udziałem, a on nie miał jak się przed tym obronić. Czuł, że szeryf robi z niego okaz w zoo, którym chce chwalić się przed całym światem. Patrzył na dziennikarzy i mówił:

Mogę porozmawiać z prasą. Nie przyznaję się. Mogę z nimi pogadać? Wy już mogliście z nimi rozmawiać. Pokazaliście więźnia, teraz moja kolej.

I zwracając się już do mediów, powiedział:

Trzymano mnie w izolacji przez pół roku. Trzymano mnie z dala od prasy. Rozmawialiście z nią przez pół roku, teraz moja kolej. Zakneblowaliście mnie. Usłyszycie mnie.

Sprawa Bundy'ego była już bardzo dobrze znana w całym kraju, dlatego na relacjonowanie procesu zgłosiła się rekordowa liczba mediów ze wszystkich 50 stanów. Po raz pierwszy sprawy kryminalne miały być w całości relacjonowane w telewizji. Wszystkie przygotowania przypominały ceremonię wręczenia Oscarów, a nie proces seryjnego mordercy. Historia Bundy'ego była sensacją głównie dlatego, że wciąż wiele osób nie mogło uwierzyć w jego winę. Nagłówki w gazetach dosłownie krzyczały: SCHLUDNY, DOWCIPNY I INTELIGENTNY; NIEPRAWDOPODOBNY OSKARŻONY. Reporterzy byli wszędzie, sądowe korytarze wypełnione były kamerami i mikrofonami. Według niektórych szacunków proces relacjonowało blisko dwustu pięćdziesięciu dziennikarzy, również z zagranicy.

Rozprawy w sprawie masakry w Chi Omega, które prowadził sędzia Edward Cowart, ruszyły w czerwcu 1979 roku. Bundy'ego reprezentował między innymi adwokat z urzędu wyznaczony w Tallahassee Michael Minerva. Skupił się na tym, by nie tyle doprowadzić do uniewinnienia Teda, ile do uratowania mu życia. Choć przekonywał, że zgromadzone dowody są pobieżne, namawiał klienta do zawarcia ugody, która oddaliłaby widmo kary śmierci. Jeśli Bundy przyznałby się do zabicia dwóch studentek z Chi Omega, a także dwunastoletniej Kimberley Leach, dostałby siedemdziesiąt pięć lat więzienia, czyli *de facto* spędziłby za kratkami resztę życia. Ale przynajmniej by je zachował. Takie porozumienie gotowa była zawrzeć również prokuratura. Ale Bundy był innego zdania. Na pierwszej rozprawie wstał i przedstawił swoje stanowisko, które zaskoczyło zarówno oskarżycieli, jak i obronę:

Oto moje stanowisko odnośnie do adwokata. Po pierwsze, uważa, że jestem winny. Po drugie, powiedział, że nie wie, jak

skutecznie może mnie bronić. I to bez ogródek. I po trzecie, nie wie, jak uniknąć skazania. Wysoki sądzie, jeśli to nie dowodzi jego nieudolności, to nie wiem, co mogłoby.

Tym samym Ted odrzucił wypracowaną ugodę, bo jak tłumaczył, oznaczałoby to, że przyznaje się do winy. A tego robić nie zamierzał. Michael Minerva chciał zrezygnować z obrony Bundy'ego, ale nie zgodził się na to sędzia. Zmiany w składzie adwokackim oznaczałyby kolejne opóźnienia w procesie, a tego sędzia chciał uniknąć. Minerva pozostał więc w grupie Bundy'ego, ale już jako doradca prawny. Z kolei Ted zdecydował się na krok, który odradzał mu każdy – został współobrońcą. Był przekonany, że sam najlepiej poprowadzi własny proces, niezrealizowane ambicje adwokackie wzięły górę.

Ted był niezwykle pewny siebie. Przekonany o własnym geniuszu i zmyśle prawniczym wchodził na salę sądową, trzymając grube teczki. Chciał, by opinia publiczna jak najmniej widziała w nim oskarżonego i potencjalnego mordercę. Uśmiechał się szeroko, był arogancki, przeglądał dokumenty i obmyślał własną linię obrony. Na pytanie dziennikarzy, czy weźmie nowego obrońcę, odparł:

Zostanę przy człowieku, którego znam najlepiej: przy sobie. Z kolei w sporządzonej przez siebie notatce Michael Minerva napisał o Bundym: Ma defekt w swoim procesie rozumowania, który uniemożliwia mu podjęcie decyzji. Brakuje mu stabilności psychicznej, by zdecydować się na kierunek działania.

Proces ruszył w lipcu 1979 roku. Ze względu na problemy związane z ławnikami rozprawy przeniesiono do Miami. Choć Ted zdecydował, że będzie bronić się sam, miał obok siebie zespół prawniczy, który miał mu w tym pomagać. Byli to Margaret Good, Lynn Thompson i Ed Harvey. Michael Minerva nadal był głównym obrońcą, ale nie zdecydował się na przyjazd do Miami. Jako pierwsze na pytania odpowiadały studentki, które w noc masakry widziały mężczyznę podobnego do Teda. Jemu z kolei mocno kibicowała obecna na sali Carole Ann Boone, trzydziestodwulatka, która stała się jedną z najbliższych przyjaciółek Bundy'ego. Para poznała się jeszcze w Waszyngtonie. Kobieta obecna na każdej rozprawie dora-

działa mu, a później nawet mianowała samą siebie kimś w rodzaju rzecznika prasowego Teda. Ich późniejsza relacja przyniesie jeszcze niejedno mocne zaskoczenie.

Bundy robił wokół siebie wiele szumu. Bardzo często ujawniał się też jego brak doświadczenia prawniczego. Co prawda sędzia zezwolił mu na przepytywanie świadków, ale zdarzało się, że jego stwierdzenia były po prostu oddalane. W dodatku nie radził sobie z emocjami, jego zachowanie bywało irracjonalne. Kluczowe okazały się słowa Nity Neary, która bez wahania rozpoznała Bundy'ego jako człowieka, który w noc masakry w Chi Omega uciekł z budynku, przechodząc tuż obok niej. Gdy zapytano ją, czy na sali sądowej jest osoba, którą wtedy widziała, odparła: *Tak, jest.* Uniosła prawą rękę i wskazała w kierunku Teda. Jak odnotowały wówczas media, zrobiła to z lekkim grymasem na twarzy. Bundy również na nią spojrzał, ale nie okazał przy tym żadnych emocji. Obrona Teda próbowała przekonać ławę przysięgłych, że dziewczyna nie widziała napastnika zbyt dokładnie, a Bundy'ego zidentyfikowała tylko dlatego, że została poddana hipnozie po wcześniejszym przyjrzeniu się zdjęciom podstawionym przez policję. Nita przyznała, że w styczniu, wracając z randki (około godziny 3.00), po wejściu do domu studenckiego usłyszała uderzenie dochodzące z piętra budynku. Potem dobiegły ją szybkie kroki, a przy drzwiach zauważyła mężczyznę z maczugą. *Myślałam, że w domu był włamywacz albo że jakaś dziewczyna wpuściła faceta* – powiedziała studentka.

Ted sprawiał też wiele problemów strażnikom więziennym, za co podczas jednej z rozpraw dostał reprymendę od sędziego. Okazało się, że siedząc w celi, próbował zbojkotować posiedzenie, i zepsuł światło, rzucając w nie pomarańczą. Wepchnął też papier toaletowy do zamka i odmówił przygotowania się do sądu. Stwierdził przed sądem, że urzędnicy z hrabstwa Dade (Miami) próbują go zamęczyć. Miał też swoje żądania. Domagał się między innymi częstszych spacerów poza celą czy szerszego dostępu do biblioteki. Dla własnych obrońców był klientem z piekła rodem. Nie potrafili nad nim zapanować, a co gorsza, zupełnie z nimi nie współpracował. Nie byli w stanie przewidzieć jego kolejnych ruchów, nie

słuchał rad i robił wszystko, by odwrócić uwagę od sedna sprawy. Przekonywał na przykład, że światło w jego celi jest złe:

Przy tym świetle nie da się czytać. Żebym mógł to robić, muszę wyciągnąć dokumenty za kraty i przeglądać je w świetle, które dociera spoza celi.

Tego typu zgłoszenia sędzia musiał sprawdzać osobiście. Skoro Bundy był własnym współobrońcą, musiał mieć odpowiednie warunki do przygotowywania się do kolejnych rozpraw. Po przejrzeniu celi sędzia uznał, że Ted miał rację i światło było na tyle kiepskie, iż faktycznie uniemożliwiało czytanie jakichkolwiek dokumentów. Teda przeniesiono więc do sali konferencyjnej. Nawet jeśli do tej pory mało kto wierzył w jego winę, Bundy z pewnością robił wszystko, by nie zyskać przychylności opinii publicznej. Jego arogancja i pewność siebie zaszkodziły mu nie mniej niż błędy, które popełnił, dokonując zbrodni.

Kolejną poważną wpadką Bundy'ego, która mogła wiele powiedzieć o jego osobowości, było przesłuchiwanie jednego z policjantów, który jako pierwszy przybył na miejsce zabójstwa studentek. Po tym jak funkcjonariusz skończył mówić, do zadawania pytań przeszedł właśnie Ted. Z punktu widzenia merytorycznego takie zachowanie nie wniosło niczego nowego w próbie ustalenia tożsamości sprawcy. Bundy kilkukrotnie prosił policjanta, by dokładnie, ze szczegółami opowiedział, co widział na miejscu. Dopytywał, czy funkcjonariusz dotykał ciała, jaka była skala obrażeń, w jakiej pozycji znajdowały się zwłoki. Wyglądało to tak, jakby słuchanie tych opisów sprawiało mu przyjemność. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że w ten właśnie sposób na nowo przeżywał moment, w którym gwałcił i mordował studentki. U seryjnych morderców to dość powszechne zachowanie. Właśnie po to niektórzy z nich zabierają z miejsc zbrodni trofea, na przykład bieliznę lub inne osobiste przedmioty ofiary. Gdy po nie sięgają, mogą ponownie przypomnieć sobie szczegóły dokonanego zabójstwa. Zdarza się, że psychopata wraca też w to samo miejsce, w którym zabił lub porzucił zwłoki ofiary. Tak morderca może poniekąd przedłużyć swoją rozkosz, którą zapewnia sobie, odbierając komuś życie. W przypadku

Bundy'ego ponowne wysłuchiwanie szczegółów zbrodni mogło mieć dokładnie ten sam skutek.

Kolejnym policzkiem dla obrony było publiczne oskarżenie jej przez Bundy'ego o próby przejęcia władzy i niedopuszczanie go do głosu. Przekonywał, że to efekt zazdrości, która miała panować wśród adwokatów. Te słowa padły publicznie, przed całą salą wypełnioną ludźmi. Absurdalne zarzuty doprowadziły do tego, że jeden z obrońców, Robert Haggard, po prostu wstał i wyszedł z budynku. Trudno pojąć linię przyjętą przez Bundy'ego, bo niemal na każdym kroku wiązała się ona z samobójczymi golami, które ostatecznie pogrążyły go jeszcze bardziej i doprowadziły do nieuniknionej porażki. Oczywiście były też dowody, które nawet przy pełnym składzie adwokackim byłyby trudne do obalenia. Porównano odcisk zębów Teda ze śladem pozostawionym na pośladku zamordowanej Lisy Levy. Powołany przez oskarżenie odontolog doktor Richard Souviron nie miał wątpliwości, że za ugryzienie studentki odpowiadał Ted Bundy. Sądowy spektakl pełen irracjonalnego zachowania zatrzymanego, zeznania świadka i uzbierane dowody sprawiły, że ława przysięgłych nie miała wątpliwości. Po niecałych siedmiu godzinach obrad i analizie blisko stu dowodów uznano go za winnego zabójstwa pierwszego stopnia dwóch studentek z Chi Omega – Margaret Bowman i Lisy Levy, a także potrójnego usiłowania zabójstwa i dwóch włamań. Po tej decyzji przed sądem wystąpiła matka Bundy'ego, Louise. Prosiła o darowanie życia jej synowi:

Według mojej chrześcijańskiej wiary odbieranie życia jest złe w każdych okolicznościach. Nie sądzę, by stan Floryda był ponad prawo Boskie. Ted mógłby okazać się pożyteczny dla wielu osób. Żywy. Jeśli nam go odbierzecie, zabierzecie cząstkę nas i wyrzucicie ją na śmietnik.

Ale nawet tak poruszające słowa nie wpłynęły na decyzję sędziego. Ted został skazany na karę śmierci. Edward Cowart uzasadnił ją tak:

Oba zabójstwa były ohydne, potworne i okrutne. Były także wyjątkowo niegodziwe, szokująco nikczemne i wynikały z chęci sprawienia ogromnego bólu oraz całkowitej obojętności na ludzkie życie. Sąd zgodnie z doradczym wyrokiem ławy przy-

sięgłych skazuje na karę śmierci oskarżonego Theodore'a Roberta Bundy'ego. Trzymaj się, młody człowieku. I mówię to szczerze. To tragedia dla sądu widzieć takie marnotrawstwo człowieczeństwa, jakiego tu doświadczyłem. Jest pan inteligentny, byłby z pana świetny prawnik. Wziąłbym pana pod skrzydła, ale wybrał pan inaczej.

Sześć miesięcy później w Orlando ruszył kolejny proces Bundy'ego. Odpowiadał przed sądem za śmierć dwunastoletniej Kimberley Leach.

W tym czasie związek Bundy'ego i Elizabeth od dawna należał już do przeszłości. Kobieta nie potrafiła poradzić sobie z oskarżeniami partnera, chciała chronić zarówno siebie, jak i córkę. Uwaga Bundy'ego skupiła się więc na Carole Boone. Przyjaciółka była mu niezwykle wierna i nawet przez chwilę nie zwątpiła w jego niewinność. Notowała wszystko, co działo się na sali sądowej, intensywnie pracowała też nad tym, by przekonać świat, że Ted Bundy nie jest seryjnym mordercą. Udzielała wywiadów, była też bohaterką kilku artykułów. Całkowicie zauroczyła się mężczyzną, a on z premedytacją to wykorzystywał. Stała się ważnym pionkiem w jego grze o niewinność. Żeby pokazać się z ludzkiej strony, posunął się do wyjątkowo groteskowego zachowania. Podobnie jak w przypadku procesu w sprawie Chi Omega, również tym razem Bundy postanowił zostać własnym obrońcą. Na świadka powołał właśnie Carole, która miała opowiedzieć, jak dobrym i spokojnym jest człowiekiem, co z kolei miało być zaprzeczeniem teorii o jego wyjątkowym okrucieństwie. Gdy Boone skończyła mówić, Ted poprosił ją o rękę. A ona się zgodziła. Niedługo po tym przeniosła się na Florydę, by być bliżej ukochanego.

Ten makabryczny spektakl nie przyniósł jednak spodziewanego efektu. Opinia publiczna była zszokowana brakiem wyczucia i niespodziewanymi oświadczynami, natomiast dowody po raz kolejny były przeciwko Tedowi. Kluczową rolę odegrały wspomniane już przeze mnie włókna znalezione w furgonetce Teda, byli też świadkowie, którzy w dniu zaginięcia dziewczynki widzieli go w pobliżu szkoły. Bundy ponownie dawał się ponieść emocjom, szybko wybuchał i podważał wiarygodność powołanych ławników. Był jeszcze

bardziej pogubiony niż w trakcie procesu w Miami. O ile wtedy spod arogancji i braku doświadczenia przebijała się pewność siebie mieszana z kokieteryjnymi spojrzeniami i uśmiechami, o tyle teraz widać było całkowicie rozbitego człowieka, który nie zdaje sobie sprawy z tego, co się tak naprawdę wokół niego dzieje. Był chaotyczny w swym działaniu i już chyba nikt nie miał wątpliwości, że mógł dopuścić się nawet najbardziej ohydnych czynów.

Bundy dosłownie błagał sędziego o uniewinnienie. Nie chciał umierać, pragnął żyć i tej chęci trzymał się resztkami sił. Ale ława przysięgłych była nieugięta. Ted Bundy był winny śmierci dwunastoletniej Kim, a sędzia dołożył kolejny dramatyczny akt do tej sztuki, skazując mężczyznę na śmierć. Terror, który siał wśród młodych kobiet, miał znaleźć swój finał na krześle elektrycznym.

Po ogłoszeniu wyroku Bundy trafił do Więzienia Stanowego Florydy. W celi regularnie odwiedzała go żona, która w 1982 roku urodziła mu córkę. Rose Bundy ma dziś czterdzieści lat i nie ujawnia się przed światem. Gdy była mała, matka zabierała ją do więzienia, by spotykała się z ojcem. Małżeństwo próbowało zresztą prowadzić życie zupełnie tak, jakby Ted przebywał na wolności. Wysyłali znajomym kartki, pozowali do zdjęć, a także spędzali razem święta za więziennymi murami. Związek nie przetrwał jednak próby czasu i trzy lata przed egzekucją para rozstała się, a Boone nigdy więcej nie odwiedziła Teda za kratkami. Podobnie zresztą jak jego córka.

Bundy od początku procesu cieszył się ogromnym zainteresowaniem wśród kobiet. Przez swoją inteligencję, pewność siebie, charyzmę, a także fizyczną atrakcyjność zyskał spore grono fanek. Przychodziły na wszystkie rozprawy, uśmiechając się do mordercy i rumieniąc, gdy ten odwzajemniał uśmiech. Ted każdego dnia otrzymywał dwieście listów od wielbicielek. Same przyznawały, że nie do końca rozumieją swoją fascynację, ale czuły, że chcą po prostu przebywać w jego towarzystwie. To wiele mówi o tym, dlaczego Bundy z taką łatwością manipulował ofiarami i zwabiał je do siebie nawet wtedy, gdy stał w półmroku przy garbusie, z którego wyjęte było przednie siedzenie.

Przebywając w celi śmierci, Ted wielokrotnie odwoływał się od wyroku, starając się powstrzymać zbliżającą egzekucję. Wszystkie jego prośby były jednak odrzucane. Dlatego pod koniec życia zdecydował się wyznać prawdę, a przynajmniej przedstawić taką wersję, która tej prawdzie była najbliższa. Przyznał się do zarzucanych mu zabójstw i z dokładnością opisał, co robił ze zwłokami. Jeśli wierzyć tym rewelacjom, to Bundy dopuszczał się aktów nekrofilii i – zanim do końca pozbywał się ciał ofiar – uprawiał z nimi seks. Wyjawił też, że wielokrotnie wracał na miejsce porzucenia zwłok, by na nowo przeżywać te – nazwijmy to – upojne chwile. Przyznał się też do zabójstw, których w śledztwie mu nie zarzucano. W swoim ostatnim wywiadzie, którego udzielił na kilka godzin przed śmiercią, wyznał doktorowi psychologii Jamesowi Dobsonowi:

Nie będę udawał, że panuję nad sytuacją albo że pogodziłem się z tą myślą. Tak nie jest, bywa różnie. Czasami ogarnia mnie wielki spokój, kiedy indziej zamęt. Co się dzieje w moim umyśle? Staram się ostatnie godziny i minuty spędzić jak najbardziej owocnie i zobaczyć, co będzie dalej.

Wyrok miał zostać wykonany 24 stycznia 1989 roku. Ted do końca wierzył, że uniknie kary śmierci. I poniekąd był na to cień szansy. Jego obrońcy apelowali, by odroczyć egzekucję, a w zamian za to Bundy ujawni dodatkowe szczegóły swoich zbrodni. Ale nie zgodziły się na to zarówno rodziny ofiar, jak i gubernator Florydy. Ted nazywany arcydemonem miał umrzeć i żadne przesunięcia nie wchodziły już w grę, tym bardziej że termin egzekucji zmieniany był kilkakrotnie.

Wyrok wykonano zgodnie z planem – 24 stycznia o godzinie 7.06. Ted Bundy został stracony na krześle elektrycznym. Śmierć potwierdzono o 7.16. W tym czasie przed więzieniem stanowym zgromadziły się setki osób, które z niecierpliwością czekały na informację o śmierci mordercy. Gdy biały karawan wywiózł jego ciało poza mury, na polu przed budynkiem wybuchła eksplozja radości. Były fajerwerki, brawa, a także śpiewy: *Pa, pa, Tedzie Bundy! Żegnaj!* Ted Bundy w chwili śmierci miał czterdzieści dwa lata.

Przez długi czas udawało mu się perfekcyjnie manipulować otoczeniem, wywiódł w pole nawet osoby, które specjalizowały się w profilowaniu psychopatów. Jego najbliżsi nie podejrzewali, że jest zdolny do tak potwornych rzeczy. Stworzył własną iluzję życia, w którą uwierzył niemal każdy. Jednym z najczęściej powtarzanych zdań już po jego zatrzymaniu było: *Nie wygląda na mordercę.* I właśnie dlatego był aż tak niebezpieczny. Ambitny, uśmiechnięty i inteligentny, z ilorazem na poziomie 124. Nie tak wyobrażamy sobie psychopatę, który zakrada się w nocy, brutalnie gwałci i morduje. Bundy otworzył przed behawiorystami i psychiatrami zupełnie nowe drzwi, przez które musieli przejść i zbadać pomieszczenie do tej pory im nieznane. Ted był jak kameleon – potrafił przybrać taką formę, jaką w danym momencie chciał. Ann Rule po latach powiedziała:

Dla każdego był zupełnie inny. Był aktorem, kłamcą, złodziejem, zabójcą, krętaczem, natrętem, uwodzicielem, inteligentem – ale nie geniuszem – oraz człowiekiem przeklętym. Nie wydaje mi się, aby sam Ted wiedział, jaki naprawdę był.

John Wayne Gacy wiele z ofiar torturował przed śmiercią. Gwałciciel pozbawił życia trzydziestu trzech chłopców i młodych mężczyzn.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

JOHN WAYNE GACY

Klaun zabójca

Moim mentorem jest Walt Disney. Zawsze podobała mi się jego kreatywność.

John Wayne Gacy

Rola ojca na przestrzeni lat uległa sporej metamorfozie. Dawniej skupiała się głównie na byciu głową rodziny, która miała zapewnić materialny byt najbliższym. Za wychowanie odpowiedzialna była przede wszystkim matka, która spędzała z dziećmi większość czasu. To ona kształtowała ich wrażliwość, spojrzenie na świat, pomagała w budowaniu relacji międzyludzkich. Ojciec pozostawał mentorem, służył radą, wsparciem, a w przypadku syna dbał o jego odpowiedni kodeks moralny. Dziś te role zaczęły się przenikać i rodzice nie mają aż tak jasno podzielonych ról. W wychowaniu starają się uczestniczyć wspólnie, na partnerskich warunkach, nie rozdzielając zadań ze względu na płeć. Mimo zmiany w podejściu do rodzicielstwa pewne aspekty pozostają jednak niezmienne. To niezwykle silna, choć trudna więź między matką a córką czy próba wzorowania się na ojcu przez syna. I właśnie przy tej drugiej relacji chciałabym się na chwilę zatrzymać. Rola ojca w życiu dziecka, a zwłaszcza chłopca, jest niezwykle istotna i zaczyna kształtować się już w okresie niemowlęcym. Według badaczy to w dużej mierze od niej zależy, jak w przyszłości dziecko będzie postrzegać swojego pracodawcę czy własną pozycję w rodzinie. Wybitny amerykański socjolog Talcott Parsons uważał, że dzieci, których ojciec jest niedojrzały, nie potrafi w sposób prawidłowy przekazać potomstwu odpowiednich wartości, w przyszłości same będą miały problem z dojrzałością społeczną i nawiązaniem odpowiednich relacji międzyludzkich. Przemoc emocjonalna jest równie destrukcyjna jak przemoc fizyczna i wywołuje długofalowe szkody w psychice dziecka, które pozostają z nim także w latach dorosłych. Za Johnem Waynem Gacym cień ojca ciągnął się niemal każdego dnia, nawet wtedy, gdy ojciec już nie żył. Nie potrafił odciąć się od jego toksycznego pragnienia posiadania idealnego syna, którym mały John w jego oczach z pewnością nie był.

Gacy przyszedł na świat 17 marca 1942 roku w Chicago w Stanach Zjednoczonych. Był drugim dzieckiem Marion i Johna Stanleya, którym dwa lata wcześniej urodziła się już córka Joanne. W 1944 roku zostali rodzicami po raz trzeci, gdy w ich życiu pojawiła się kolejna dziewczynka – Karen. John był więc ich jedynym synem, ale nie niosło to za sobą żadnej wyjątkowości, wręcz przeciwnie. Musiał mierzyć się z wymaganiami, które stawiał przed nim surowy i agresywny ojciec. Mężczyzna również urodził się w Chicago, jego rodzice byli imigrantami z Polski. On sam nie należał do osób wylewnych, chętnie okazujących uczucia, nawet dzieciom. Lubił też sięgnąć po alkohol, co jedynie wzmacniało jego skłonności do stosowania przemocy i to na każdym polu. Pracował fizycznie jako operator obrabiarki, miał też smykałkę do różnych robót manualnych. Z powodzeniem kładł tapety czy naprawiał drobne usterki. Był bardzo dokładny i precyzyjny, co z kolei pomogło mu w uzyskaniu szacunku ze strony współpracowników i sąsiadów. Matka Gacy'ego była zupełnie inna. Opiekuńcza, ciepła i znacznie bardziej wrażliwa, pracowała jako ekspedientka w aptece. Miała duńskie korzenie, przed małżeństwem nie zaznała przemocy domowej. W jej domu panowały zupełnie inne zasady, nieoparte na alkoholu i agresji. Te wartości chciała przenieść również do własnego dorosłego życia, które związała z Gacym, osiedlając się przy Opal Street w chicagowskiej dzielnicy Norridge.

Była to wyjątkowo spokojna, rodzinna okolica, w której każdy znał się z każdym i nie było potrzeby zamykania drzwi na wszystkie zamki. Jednolita społeczność o podobnych potrzebach i podejściu do życia stanowiła doskonałą bazę do wychowania dzieci. Tak przynajmniej wynikało z tej wierzchniej warstwy, która była ogólnie dostępna dla każdego. Pod nią wiele rodzin skrywało własne sprawy, problemy i tajemnice, których nikt nie wywlekał na światło dzienne. Tak było też w przypadku Gacych, którzy – choć cieszyli się powszechnym szacunkiem – nie byli rodziną z amerykańskiego plakatu.

Złość, którą nosił w sobie John senior, bardzo szybko zaczęła przenosić się na syna. Gdy chłopiec miał zaledwie cztery lata, doszło do poważnego incydentu, który już na zawsze naznaczył trudne, pełne bólu relacje między nimi.

Gacy, jak większość dzieci w jego wieku, lubił myszkować, przeglądać różne przedmioty i bawić się tymi, które nie przypominają zabawek. Jego ojciec z kolei bardzo cenił sobie porządek. W trakcie naprawy samochodu John junior podszedł do auta i pomieszał tacie ułożone w skrzynce narzędzia. Mężczyzna wpadł w furię. Krzyczał na dziecko, a następnie zbił je paskiem. Gacy, choć był mały, doskonale zapamiętał to zdarzenie.

Takich okrutnych incydentów, w których główną rolę odegrał ojciec Johna, było więcej. Mężczyzna posunął się nawet do zastrzelenia psa syna, a następnie porzucił truchło, które chłopiec znalazł. Gacy senior znęcał się nad swoim dzieckiem niemal każdego dnia. Obrażał, poniżał, przekonywał, że syn na pewno niczego w życiu nie osiągnie, nazywał go tępakiem. Nie widział w nim powodu do dumy, wręcz przeciwnie. Traktował chłopca jak swoją życiową porażkę, z którą musiał mierzyć się każdego dnia.

Po powrocie z pracy mężczyzna zamykał się w garażu, by nie musieć spędzać czasu z własnym dzieckiem. Kpił też z relacji syna z matką. Nazywał chłopca maminsynkiem, który w przyszłości na pewno będzie homoseksualistą. Nieustannie porównywał go też do córek, wobec których nie był aż tak surowy. Po latach Gacy mówił:

Mój ojciec był bardzo władczy. Miał wpojone inne wartości. Dużo pił. A jak pił, to bił mamę i mnie. Ale nigdy go nie odrzucałem.

Słowa ojca wbiły się w psychikę Johna tak mocno, że stał się klasowym wyrzutkiem. Choć nauczyciele go lubili i uważali raczej za miłego, to rówieśnicy niekoniecznie chcieli spędzać z nim czas. Gacy był kiepski w sporcie, nie miał też dobrych stopni. Nie przejawiał żadnych cech czy umiejętności, którymi mógłby zaimponować kolegom. Miał lekką nadwagę, co dodatkowo dawało innym dzieciom powód do kpin.

John od urodzenia był niezwykle chorowity. Niewiele zabrakło, a zmarłby podczas porodu. Później wszelkie schorzenia zaczęły się nasilać. Jako kilkulatek miał drgawki i tracił przytomność. Choć lekarze nie potrafili zdiagnozować dokładnej przyczyny, przepisali mu silne leki. Ale po nich chłopiec

czuł się jeszcze gorzej. Miał nudności, zawroty głowy, nie mógł spać, pojawiały się też silne bóle głowy. Jednak nawet wtedy ojciec nie był w stanie okazać synowi odrobiny czułości. Zamiast tego twierdził, że chłopiec udaje, by wzbudzić litość.

W wieku jedenastu lat John miał poważny wypadek. Uderzył się w głowę huśtawką. Dopiero po pięciu latach zdiagnozowano u niego krwiaka. Był już wtedy mocno uzależniony od leków przeciwbólowych, a środki, które przyjmował, wywołały u niego poważne skutki uboczne. U chłopca zdiagnozowano też chorobę serca. Matka chciała za wszelką cenę go wyleczyć, dlatego zgadzała się na silne medykamenty.

Już po zatrzymaniu Gacy przekonywał, że jako dziewięciolatek był molestowany przez przyjaciela rodziny. Miało do tego dojść w ciężarówce. Nie wyjawił jednak nazwiska tego człowieka, trudno więc zweryfikować prawdziwość tej wersji. Przyznał jednak, że nigdy nie powiedział o tym ojcu ze strachu przed jego reakcją. Według niego mężczyzna i tak by mu nie uwierzył.

John zaczął przejawiać niepokojące zachowania. W domu, przy werandzie, zorganizował swoją skrytkę, o której wiedział tylko on. Zabrał do niej bieliznę mamy. Gdy prawda wyszła na jaw, chłopak dostał od ojca tęgie lanie, matka z kolei kazała mu nosić pod spodniami majtki, na które się skusił. Miała to być dla niego nauczka. Niespełna dziesięcioletni John razem z kolegą nawiązał też pierwszą relację seksualną z młodą dziewczyną. O wszystkim dowiedział się jego ojciec, który w odpowiedzi pociął syna brzytwą. Te wszystkie traumatyczne incydenty zafundowane przez najważniejszego mężczyznę w życiu dojrzewającego chłopca zmieniły jego podejście do świata już na zawsze.

Gacy za wszelką cenę chciał udowodnić ojcu, że jest wart jego uwagi i szacunku. Wiedząc, że mężczyzna ceni sobie ciężką pracę, postanowił, że i on będzie dawał z siebie wszystko tak długo, aż w końcu zyska uznanie w oczach rodzica. Poprawił się w nauce, rozwoził gazety, dostarczał też zakupy. Łączył szkołę z innymi obowiązkami, dzięki czemu mógł pochwalić się pierwszymi zarobionymi pieniędzmi. Nie-

stety, ojciec zupełnie tego nie dostrzegał i cały wysiłek, który John włożył w próby zaimponowania Gacy'emu seniorowi, poszły na marne. A potem chłopak skończył trzynaście lat… I na tym etapie jego życia zatrzymajmy się na chwilę. Pojawia się bowiem teoria, która wydaje się mocno kontrowersyjna. Według sierżanta Johna Sarnowskiego z policji w Chicago John zabił po raz pierwszy już w 1955 roku, czyli właśnie wtedy, gdy miał trzynaście lat. Z sąsiedztwa Gacy'ego zniknęli trzej chłopcy – Robert Peterson, a także bracia John i Anton Schuesslerowie. Dlaczego Sarnowski podejrzewał właśnie Gacy'ego? Powodów było kilka. Po pierwsze, John znał tych chłopców, wielokrotnie byli widywani razem. W dniu morderstwa mieli razem przebywać w kręgielni. Po drugie, pojawiły się zeznania pewnego lekarza, który widział Roberta Petersona w towarzystwie krępego chłopca. Według teorii Sarnowskiego Gacy zwabił dzieci najpierw do wspomnianej kręgielni, a potem zaproponował im wizytę u siebie w domu. Miał ich przekonać, że trzyma tam coś wyjątkowego i koniecznie musi im to pokazać. Chłopcy zgodzili się i poszli za Johnem. Tam zjedli, porozmawiali, a następnie Gacy zaprowadził ich do garażu ojca. To bardzo istotny szczegół, bo ślady na ciałach dzieci wskazywały, że mogły zostać zamordowane właśnie w warsztacie samochodowym. Jeden z chłopców, Peterson, został uduszony, a na jego szyi zauważono odcisk po węźle, prawdopodobnie marynarskim. W podobny sposób Gacy zabijał ofiary już jako dorosły mężczyzna.

Sarnowski był całkowicie pewny swojej teorii i próbował przekonać do niej innych śledczych, ale wszyscy go zignorowali. Duże wątpliwości wzbudzała jedna kwestia: w jaki sposób jeden nastolatek mógłby pozbawić życia trzech rówieśników? A później dodatkowo porzucić ciała w lesie? Gacy miał wówczas zaledwie trzynaście lat, był nieporadny, słaby, chorowity. Nawet gdyby zaatakował jednego z chłopców, mało prawdopodobne wydaje się, by pozostała dwójka stała i przyglądała się temu, nie robiąc absolutnie nic poza czekaniem na swoją kolej. John miałby też poważny problem z przeniesieniem zwłok. Nie jeździł przecież samochodem, a chłopca wlokącego ciała do lasu od razu dałoby się zauważyć. Choć teoria Sarnowskiego ma wiele wątków wspólnych z życiem i działa-

niem Gacy'ego, mimo wszystko wydaje się dość mało prawdopodobna.

Ciekawie wyglądają kolejne lata w życiu chłopaka, które rzucają światło na jego działalność już w okresie dorosłym. W swojej książce *Rozmowy z seryjnymi mordercami* Christopher Berry-Dee pisze:

John stworzył w szkole średniej grupę obrony cywilnej. Jako organizator przyznał sobie rangę kapitana. Przyczepiał do deski rozdzielczej swojego auta migającą niebieską lampkę i nosił mundur podobny do policyjnego; uwielbiał pędzić do pożarów albo wypadków samochodowych. Czuł się dzięki temu ważny, potrzebny, szanowany. Dawało mu to poczucie władzy, akceptacji związanej z nowymi obowiązkami, na co nie mógł liczyć w domu.

W późniejszych latach Gacy kupił auto, które przypominało policyjny radiowóz. Właśnie tak udało mu się wzbudzać w ofiarach zaufanie i pozwoliło na poruszanie się po terenach, na których było wielu zagubionych młodych mężczyzn.

Mimo wszelkich starań ojciec nie dostrzegał w synu godnego spadkobiercy swojego nazwiska i dorobku. Poniżał go przy każdej okazji. Pewnego dnia kupił mu samochód. Chłopak był przekonany, że wreszcie Gacy senior zaczął dostrzegać w nim wartościowego człowieka. Nic bardziej mylnego. Mężczyzna stwierdził, że auto będzie należało do Johna, pod warunkiem że ten najpierw go spłaci. To był dla nastolatka prawdziwy policzek. Czuł się upokorzony, ale też zraniony, bo uwierzył, że ojciec zaczął się zmieniać i uda mu się naprawić tę niezwykle trudną relację. Po raz kolejny okazało się jednak, że bez względu na to, co zrobił i zamierzał zrobić John, nigdy nie zasłuży na miłość ojca.

Gacy zdecydował się porzucić szkołę średnią i wyjechał szukać celu w życiu do Las Vegas. Jego pierwszą pracą była posada szofera w zakładzie pogrzebowym. Później został przeniesiony do kostnicy. To zajęcie wbrew pozorom sprawiało mu jeszcze więcej przyjemności niż siedzenie za kółkiem. Choć zarabiał niewiele i nie stać go było na wynajem mieszkania (musiał mieszkać w zakładzie), cenił sobie ciszę i spokój, a w dodatku kontakt ze zmarłymi niósł ze sobą coś

w rodzaju ukojenia. Ciała zaczęły go fascynować. Przyglądał im się ze stale rosnącą ciekawością. Wyspecjalizował się w balsamowaniu, czyszczeniu, a także poprawianiu wyglądu zwłok. Jego zachowanie zaczęło jednak coraz bardziej niepokoić właściciela zakładu. Odkrył, że chłopak zajmuje się zwłokami również w nocy, gdy teoretycznie nie powinien pracować. Mało tego, John nie tylko je pielęgnował, ale też traktował jak swoich powierników. Szeptał im do ucha, zwierzał się ze swoich problemów. Te milczące ludzkie manekiny stały się jego najlepszymi przyjaciółmi. Musiał się jednak z nimi rozstać, gdy właściciel zaczął mieć coraz większe wątpliwości co do intencji Gacy'ego. Chłopak stracił nie tylko pracę, ale też zapał do samego Las Vegas, dlatego zadzwonił do matki i trzy miesiące później znów był w Chicago.

Tam John postawił na zupełnie inną branżę. Uznał, że sprawdzi się w handlu. Zapisał się na kurs, ale do rodzinnego domu nie wrócił. Pomieszkiwał u wujka i cioci, którzy nie byli tak destrukcyjni jak jego ojciec. Dostał również pracę w sklepie obuwniczym w Illinois. Wtedy zrozumiał, że właśnie to chce robić – sprzedawać. Okazało się, że ma do tego niezwykły talent. Szybko zjednał sobie sympatię klientów, a także kierownika sklepu. Tak John Gacy zaczął piąć się po szczeblach kariery i społecznej hierarchii.

Błyskawicznie awansował na menedżera, dołączył też do Izby Handlowej Młodych Przedsiębiorców. Ta prestiżowa i prężnie działająca organizacja zrzeszała mnóstwo ludzi, zdarzały się tam też jednostki wykraczające poza schemat, które w przyszłości osiągały zawrotne sukcesy. Należał do niej między innymi Bill Clinton, zanim został prezydentem Stanów Zjednoczonych. Gacy uwielbiał takie otoczenie, dzięki niemu sam czuł się ważny. Opinia społeczeństwa była dla niego niezwykle istotna, za wszelką cenę chciał być postrzegany jako osoba kreatywna, pracowita, która może być filarem dla przebywających wokół niego ludzi. Przynależność do takiej właśnie organizacji jak izba handlowa zaspokajała jego nieco próżne potrzeby. Dopiero w późniejszych latach Gacy przyznał, że w tym czasie był molestowany przez jednego z członków tej grupy.

John całkowicie wsiąknął w wir pracy i zawodowych wyzwań. Niezwykłe tempo, które sobie narzucił, sprawiło, że trafił do szpitala. Miał poważne problemy z sercem, a jego nadwaga nie ułatwiała walki z chorobą. Ale Gacy nie chciał nawet słyszeć o przerwie, zbyt mocno marzył o karierze. Gdy tylko jego stan się poprawił, zaangażował się w działalność kolejnych organizacji. Został wiceprezydentem izby handlowej, otrzymał nawet tytuł Człowieka Roku. Wielu współdziałaczy patrzyło na niego z nieukrywanym podziwem, sprawiał bowiem wrażenie człowieka ambitnego, który ma szansę na dużą karierę, również w polityce.

W 1964 roku przyszła kolej na następny element budowania swojej pozycji. Większość z nas dobrze wie, że osoby, które mają stabilne życie prywatne, są zdecydowanie lepiej postrzegane w oczach opinii publicznej. John również to wiedział, dlatego gdy poznał Marlynn Myers, postanowił się ustatkować i zbudować rodzinę. Ożenił się i zaczął marzyć o posiadaniu dzieci. Ojciec dziewczyny był właścicielem sieci restauracji KFC. Mężczyzna, widząc zaangażowanie zięcia, zaproponował mu pracę. John skorzystał z okazji i wraz z żoną przeprowadził się do Waterloo w stanie Iowa, by realizować się zawodowo. Praca okazała się dla niego prawdziwym wyzwaniem, wielu rzeczy musiał uczyć się tak naprawdę od początku. Ale był na tyle pracowity, że szybko nadrabiał wszelkie zaległości. Poświęcał się pracy maksymalnie, przez co znikał z domu nawet na kilkanaście godzin. Zaczął fantazjować o własnej sieci restauracji, co przy jego ambicji nie było pomysłem całkowicie oderwanym od rzeczywistości.

Gacy również w Waterloo zyskał dużą popularność wśród lokalnej społeczności, był też niezwykle lubiany przez współpracowników i klientów restauracji. Również w tym mieście dołączył do Izby Handlowej. Miał więc dom, żonę, pozycję, a wkrótce – w 1966 roku – zyskał kolejny, niezwykle ważny punkt w swoim życiu. Został ojcem. Na świat przyszedł syn Michael. Niedługo później urodziła się córka Christine. Wydawało się więc, że John ma wszystko, o czym marzył. W dodatku jego kariera dopiero nabierała tempa. W 1967 roku otrzymał kolejny ważny tytuł w karierze: wybitnego działacza JCC (Izby Handlowej). Otarł się nawet o funkcję przewodni-

czącego na całe Waterloo, ale ostatecznie tego stanowiska nie objął. Zapewne był to efekt krążących plotek, które rozprzestrzeniały się z coraz większą siłą. Szeptano, że Gacy tak naprawdę jest homoseksualistą, który podrywa młodych chłopców pracujących dla niego w restauracji. Prawdziwy cios dla żony i dzieci Johna nadszedł w 1968 roku, gdy mężczyzna został oskarżony o gwałt pederastyczny. I tu szybkie wyjaśnienie – pederastia to specyficzny rodzaj homoseksualizmu, który cechuje się dużą różnicą wieku między mężczyznami. Mówiąc wprost – dorosły mężczyzna czuje pociąg do znacznie młodszego chłopca. Ofiarą Gacy'ego w tym przypadku był szesnastoletni wówczas Donald Voorhees, syn lokalnego polityka, a także członka Izby Handlowej. John zaproponował chłopcu podwózkę, a w trakcie wspólnej podróży poruszył temat seksu. W końcu zaprosił Donalda do swojego domu, korzystając z okazji, że żony nie było wówczas na miejscu. Podał chłopakowi kilka drinków, a następnie namówił go do seksu oralnego. Wcześniej powiedział: *Musisz uprawiać seks z mężczyzną, zanim zaczniesz uprawiać seks z kobietami.*

Donald początkowo nikomu o tym nie mówił, tym bardziej że tych spotkań miało być jeszcze kilka. W końcu przyznał się ojcu, a ten zgłosił sprawę na policję. Gacy stanął przed sądem. Szesnastolatek zeznał, że John go związał i zgwałcił, z kolei Gacy przekonywał, że chłopak uprawiał z nim seks całkowicie dobrowolnie. Ale w trakcie procesu na jaw wyszły kolejne szokujące tajemnice skrywane przez mężczyznę. Okazało się, że już wcześniej zaprosił do siebie innego nastolatka. Był to Edward Lynch, który pracował w KFC. Gacy, podobnie jak w przypadku Donalda, również skorzystał z drinków, a następnie zaproponował szesnastolatkowi grę w bilard. Ten, który wygrał partię, musiał ssać penisa przegranemu. Dziwnym trafem to właśnie Gacy cały czas przegrywał. Potem obaj przeszli do salonu, gdzie wspólnie oglądali filmy pornograficzne. Wtedy Johna poniosło – przyniósł nóż i próbował zmusić chłopaka do uległości. Gdy zrozumiał swój błąd, zaczął przepraszać nastolatka. Ale za chwilę znów przystępował do brutalnego zbliżenia, w pewnym momencie doszło nawet do podduszania Edwarda. Gacy rozluźnił uścisk, gdy chłopak stracił na kilka sekund przytomność. Gdy się ocknął, John zachowywał się, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Wyglądało to tak,

jakby mężczyzna miał dwie osobowości – jedną sympatyczną, gdy z uśmiechem na twarzy opowiadał dowcipy, druga zaś to sadysta czerpiący niezwykłą przyjemność z zadawania bólu i zniewalania chłopców, z którymi uprawiał seks.

Mimo obciążających zeznań Gacy był przekonany, że wywinie się od kary. W końcu był wpływowym biznesmenem, którego znał w okolicy niemal każdy. Sądził więc, że nikt nie uwierzy nastolatkom, gdy przeciwko ich słowom będą zapewnienia kogoś tak ważnego jak on. Jego pycha popchnęła go do kroku, który okazał się strategiczną katastrofą. Sam zgłosił się na badanie wykrywaczem kłamstw. Test przeszedł dwukrotnie i dwukrotnie go nie zdał. Będąc nieco w desperacji, Gacy zapłacił osiemnastoletniemu chłopakowi, by zastraszył Donalda i zmusił go do wycofania swoich zeznań. Russell Schroeder za 300 dolarów spryskał gazem pieprzowym nastolatka. Oczywiście o wszystkim została powiadomiona policja, która błyskawicznie namierzyła chuligana. Ten niemal natychmiast wyznał, że atak na Donalda zlecił mu John Wayne Gacy. To go całkowicie pogrążyło.

Proces przyniósł ze sobą jeszcze kilka innych niespodzianek. Zgłosili się bowiem następni pokrzywdzeni, którzy przekonywali, że padli ofiarą Gacy'ego i jego wynaturzonych zabaw. Okazało się, że zapraszanych nastolatków mężczyzna zmuszał też do seksu z własną żoną. Niektórym z kolei wmawiał, że są częścią homoseksualnego eksperymentu, i zapłacił im po 50 dolarów za udział w tym rzekomym badaniu.

Sąd skierował go na badania psychiatryczne. John spędził w szpitalu kilkanaście dni, podczas których rozmawiał z kilkoma specjalistami. Uznali, że jest poczytalny, nie przejawia żadnych zaburzeń, ale jest aspołeczny i nie widzi swoich błędów. Nie potrafi lub nie chce pojąć, że swoimi czynami wyrządza innym krzywdę. Fragment opinii psychiatrycznej brzmiał następująco:

Najbardziej uderzającym aspektem wyników testu jest całkowite zaprzeczenie przez pacjenta odpowiedzialności za wszystko, co mu się przydarzyło. Potrafi uzyskać wytłumaczenie na każdy swój uczynek. Przedstawia się jako ofiara okoliczności i obwinia inne osoby. Pacjent stara się życzliwie

odpowiadać, przedstawiając siebie jako osobę zdaną na łaskę wrogiego środowiska.

W kontrze do takiego podejścia była jego wysoka inteligencja, którą określono jako ponadprzeciętną. Z taką opinią Gacy wrócił przed sąd i postanowił całkowicie zmienić podejście. Wiedział, że idąc w zaparte, niczego nie osiągnie, świadków i pokrzywdzonych było zbyt wielu, by ktokolwiek to zignorował. Granie cwaniaka z dużym biznesem też nie przysporzyłoby mu sympatii sędziego. Postanowił więc przyznać się do gwałtu i poprosić o niski wymiar kary. Był przekonany, że jeśli wyrazi skruchę, zostanie łagodnie potraktowany, tym bardziej że nie miał na koncie żadnych wcześniejszych wyroków. Ale i tym razem się przeliczył. Sędzia Peter Van Merte nie zamierzał mu folgować. Gacy nie dopuścił się jednego gwałtu, a kilku, w dodatku wykorzystywał młodych chłopców. Był więc drapieżnikiem, który wypuszczony na wolność dalej będzie polował na kolejne ofiary. Gacy ku swojemu rozczarowaniu w maju 1968 roku usłyszał wyrok dziesięciu lat więzienia. Miał je spędzić w zakładzie karnym w Anamosie, niewielkim miasteczku w stanie Iowa, które liczy 5 tysięcy mieszkańców. Główną wizytówką tego miejsca jest właśnie więzienie, które z zewnątrz może robić dość imponujące wrażenie. W tym ogromnym budynku do 2016 roku przebywało 855 osadzonych. Więźniowie zajmują się tłoczeniem metali, obróbką drewna, mogą też skorzystać z wielu kursów, które wspierają rozwój – na przykład spawania czy naprawy samochodów. Można tam również ukończyć szkołę średnią.

John był niezwykle przedsiębiorczym człowiekiem, który potrafił odnaleźć się w każdej rzeczywistości. Tak też było za kratkami. Nie zamierzał poświęcić całej kary na patrzenie w sufit, tylko na działanie. Zaczął angażować się w więzienne życie z taką samą pasją, jakby dalej był kierownikiem kilku restauracji. Zaciągnął się zresztą do pracy w kuchni, o czym nawet opowiadał w jednym z telewizyjnych wywiadów. Rozmowę wyemitowano pod wdzięcznym tytułem *Boże Narodzenie w Anamosie*:

Dziennikarz: *Czym się zajmujesz?*

John Gacy: *Cóż, jestem pierwszym kucharzem. Przygotowywałem dziś poranny i popołudniowy posiłek.*

Dziennikarz: *Jak długo tu jesteś?*

John Gacy: *Rok i dwa tygodnie.*

Dziennikarz: *Mogę zapytać, jak długo planujesz tu jeszcze być?*

John Gacy: *Cóż…* (śmiech) *Mam nadzieję, że wyjdę gdzieś w maju.*

Dziennikarz: *Zamierzasz dalej realizować się jako kucharz?*

John Gacy: *Tak, to był mój zawód, zanim tu trafiłem.*

Dziennikarz: *A co z Bożym Narodzeniem? Przygotowałeś coś specjalnego dla osadzonych?*

John Gacy: *W Wigilię rozdamy papierowe torby, w których będą owoce, na przykład jabłka i pomarańcze, a także pudełko cukierków. To wszystko od personelu tutaj, oni to przekazują. Następnie w celi będziemy serwować ciasteczka i gorącą czekoladę, to około 21.00 wieczorem. W Boże Narodzenie będzie tradycyjna świąteczna kolacja.*

Dziennikarz: *Z czego będzie się składać?*

John Gacy: *To niezły posiłek. Pieczony indyk. Przygotowania zaczynamy dzień wcześniej. Wszystko robią więźniowie pod kierunkiem moim, a także kilku nadzorców. Jest łącznie dziewięciu kucharzy. Będzie też dressing ostrygowy, wykorzystujemy wszystkie podroby, tak żeby nic się nie zmarnowało. Będziemy mieli także kandyzowane słodkie ziemniaki. Podamy również mieszankę warzywną, przygotujemy sos żurawinowy. Skomponujemy sałatkę Waldorf, panowie dostaną też placek z dyni. Będą mogli brać, co chcą. Jedynym warunkiem jest to, że jeśli już weźmiesz, musisz to zjeść.*

Gacy był więźniem idealnym. Nie wdawał się w konflikty, ukończył kurs psychologii, udzielał się niemal na każdym polu i dostał nawet kilka nagród. Nie było na niego żadnych skarg. Ale to zachowanie miało swoje drugie dno. John nie zamierzał spędzić w więzieniu pełnych dziesięciu lat. Wiedział, że

w skróceniu wyroku może pomóc mu nienaganne sprawowanie za kratkami. Po raz kolejny więc włożył maskę porządnego obywatela, co wkrótce bardzo mu się opłaciło.

John wyszedł na wolność już w czerwcu 1971 roku. Przywitał ją jako rozwodnik, bo w dniu, w którym został skazany, żona wniosła pozew do sądu, domagając się rozstania. Stracił więc rodzinę, pozycję i pracę, musiał zaczynać od początku.

Ten nowy start miało mu przynieść Chicago, dokąd wrócił po wyjściu z więzienia. Ponownie zamieszkał z matką, która opuściła dotychczasowy dom i przeniosła się do apartamentowca. Ojciec Johna zmarł, kiedy ten przebywał w zakładzie. Przyczyną była marskość wątroby. Gacy później wielokrotnie przyznawał, że śmierć taty go załamała, tym bardziej że nie zdążył się z nim pożegnać i pojednać.

Po powrocie do Chicago John zgodnie z zapowiedzią w bożonarodzeniowym wywiadzie wrócił do zawodu i zatrudnił się jako kucharz w restauracji Bruno's. Ponieważ przebywał na zwolnieniu warunkowym, obowiązywała go godzina policyjna. Musiał wracać do mieszkania matki najpóźniej o 22.00. Bardzo chciał wrócić do poprzedniego życia, w którym był szanowanym i liczącym się biznesmenem. Ale taki scenariusz był niezwykle trudny do zrealizowania, tym bardziej gdy nie panuje się nad własnymi słabościami. A te dały o sobie znać zaledwie kilka miesięcy po opuszczeniu przez Johna więzienia.

Dwunastego lutego 1971 roku Gacy został oskarżony o napaść seksualną. Jego ofiarą znów był nastolatek. Chłopak twierdził, że spotkał Johna na dworcu autobusowym. Mężczyzna miał go zmuszać do seksu. Sprawa trafiła do sądu, ale gdy doszło do rozprawy, nastolatek się nie pojawił. Postępowanie zostało więc umorzone, a Gacy nie poniósł żadnej kary.

Dwudziestego drugiego czerwca znów wpakował się w poważne kłopoty. Aresztowano go za pobicie na tle seksualnym. Tym razem miał zwabić do auta młodego chłopaka, pokazując mu rzekomą odznakę szeryfa. Tam zmusił go do seksu oralnego. Ale również wtedy John miał dużo szczęścia. Zarzuty zostały wycofane, gdy okazało się, że chłopak szantażował Gacy'ego.

John wiedział, że jeśli chce wrócić do wystawnego życia, musi zdobyć dobrą pracę. Razem z przyjacielem Mickelem Reidem, z którym miał też romans, Gacy założył więc przedsiębiorstwo remontowe Property Development Maintenance Contractors, w skrócie PDM Contractors. Pomysł okazał się strzałem w dziesiątkę, a firma przynosiła ogromne dochody. John mógł pozwolić sobie na kupno nowego domu. Nie był on imponujący, ale w zupełności wystarczał i jemu, i matce, która razem z córkami była współwłaścicielką części nieruchomości. Dom znajdował się przy West Summerdale Avenue 8231 w Des Plaines, niespełna sześćdziesięciotysięcznym miasteczku wchodzącym w skład aglomeracji Chicago. Parterowy, ozdobiony jasnobrązową cegłą budynek nie przykuwał szczególnej uwagi. Był jednak przestronny, wejść do niego można było przez drewniane drzwi z wycięciem pośrodku. Po lewej stronie zamiast ściany były ogromne, potrójne okna, zaś po prawej dwa następne, ale już znacznie mniejsze. Całość wykończona była stożkowym, niskim dachem, który dopełniał prostoty. Dom nie był oddzielony od świata żadnym płotem i ogrodzeniem, łatwo było więc do niego podejść. Patrząc na zdjęcia tego budynku, trudno uwierzyć, że to właśnie tam rozegrał się cały horror, który Gacy zafundował tak wielu niewinnym młodym chłopcom.

Firma Johna prosperowała bardzo dobrze, a on sam nie mógł narzekać na brak zleceń. Reid, z którym Gacy ją założył, urwał z nim kontakt po tym, jak ten uderzył go młotkiem w głowę. John został więc sam, ale i w tej rzeczywistości świetnie się odnalazł. Robił to, co wychodziło mu naprawdę nieźle – zarabiał pieniądze. Zaczął wierzyć, że znów może być na szczycie społecznej hierarchii. Jednak wszystko komplikowały jego zapędy, nad którymi nie potrafił zapanować. Dały o sobie znać w styczniu 1972 roku. John miał wówczas trzydzieści lat i spędzał czas na noworocznym spotkaniu organizowanym przez matkę. Myślami był jednak zupełnie gdzie indziej. Wypił sporo alkoholu, wpakował się do auta i ruszył przed siebie. Krążył w okolicy dworca autobusowego, na którym już wcześniej zaczepiał młodych chłopców. To właśnie tam dostrzegł Tima McCoya, blondyna z włosami do ramion, który miał zaledwie szesnaście lat. W maju 1972 roku skończyłby siedemnaście. Chłopak pochodził z Omahy w stanie

Nebraska, Illinois było dla niego nieodkrytą jeszcze ziemią, z którą wiązał duże nadzieje. John nazwał go później „chłopcem z autobusu Greyhound". Zaczepił młodzieńca i zaczął z nim rozmawiać. Gdy okazało się, że nastolatek nie bardzo wie, gdzie mógłby spędzić noc, Gacy zaprosił go do swojego domu. Chłopak, nie namyślając się zbyt długo, zgodził się i wsiadł do auta z nieznajomym. Na miejscu John zaproponował mu alkohol, a także kanapki. Później – jak wynikało z relacji Gacy'ego – uprawiali seks. Następnie mężczyzna poszedł spać do swojej sypialni, a nastolatek ułożył się w pokoju gościnnym. I tu zaczyna się nieco dziwaczna część tej historii, którą znamy tylko z opowieści Johna. Według niego zbudził się w środku nocy i wtedy zobaczył, że Tim idzie w jego stronę z nożem w ręku. Zaczęli się ze sobą szarpać i po chwili chłopak przypadkiem nadział się na ostrze. Rana okazała się śmiertelna. Trudno ocenić wiarygodność tej opowieści, tym bardziej że Gacy notorycznie kłamał i niemal do samego końca przekonywał, że wszystkie oskarżenia, które padają pod jego adresem, to część szerszego spisku.

Bez względu na to, czy historia o ataku ze strony Tima była prawdziwa, czy też nie, tamtej nocy John miał w domu zwłoki martwego nastolatka. I pilnie musiał się ich pozbyć. Dokładnie sprzątnął więc krew w pokoju i wyczyścił nóż. Nie mając lepszego pomysłu, zdecydował się wrzucić ciało chłopaka do piwnicy. Gdy siedział już w więzieniu, wrócił wspomnieniami do tych wydarzeń. Powiedział wówczas: *W trakcie walki przeżyłem potężną rozkosz seksualną*. Było to pierwsze – udowodnione – zabójstwo Gacy'ego. Niestety, nie ostatnie. Krwawa seria dopiero się rozpoczynała.

Latem tego samego roku John znów wpakował się w kłopoty. Oskarżono go o pobicie. Jego ofiarą był młody chłopak, którego zaciągnął do swojego auta. By go zwabić, ponownie podawał się za policjanta. Gdy młodzieniec był już w pojeździe, John zapytał go, ile jest w stanie ofiarować za uwolnienie. Chłopak odparł, że nie ma przy sobie żadnych pieniędzy i nie wie, czym mógłby zapłacić. Wtedy Gacy odparł: *Possiesz mi fiuta*. Nastolatek był przerażony, nie wiedział, co robić. W panice zgodził się na wszystko, co proponował mu nieznajomy. John gwałtownie ruszył autem i zatrzymał się dopiero

przy jednej z restauracji. Zaprowadził chłopaka do środka, razem weszli do toalety, gdzie Gacy próbował zmusić go do seksu. Przerażony nastolatek zaczął protestować, na co John zareagował furią. Uderzył go kilkakrotnie z całej siły. Chłopakowi jakimś cudem udało się oswobodzić i wybiegł z budynku, zostawiając napastnika za sobą. Gacy szybko otrząsnął się po tym, co się właśnie wydarzyło, i pobiegł za niedoszłą ofiarą. Zauważył chłopaka uciekającego przez parking, wskoczył więc do samochodu i wjechał prosto w nastolatka. Nie zabił go jednak, a sprawa trafiła do prokuratury. Mimo ewidentnej winy John nie trafił do więzienia. Śledczy zawarli z nim ugodę. Dzięki temu bestia znów cieszyła się wolnością gotowa do kolejnych brutalnych ataków.

Gacy szybko wyrzucił z głowy nieudany atak i rozpoczął kolejne próby ułożenia sobie życia nie tylko zawodowego, ale i prywatnego. Chciał jednocześnie uciąć krążące plotki o jego homoseksualnych ciągotach. Ślub z dawną znajomą Carole Lofgren miał mu w tym pomóc. Kobieta była rozwódką, miała też dwie maleńkie córeczki. Dla niej, a także dla dzieci John był niezwykle miły i ciepły. Nie chciał popełnić jednak błędów z pierwszego małżeństwa i tym razem od razu wyznał partnerce, że jest biseksualny. Carole po latach przyznała, że według niej bardziej pociągali go młodzi mężczyźni, bo z czasem przestał okazywać jej jakiekolwiek seksualne zainteresowanie.

Początki tego związku były jednak obiecujące i kobieta mocno wierzyła w to, że przed nią wiele lat szczęśliwego małżeństwa. Razem z córkami, a także z jej matką, zamieszkały w domu Johna. Wiedziała o wcześniejszych problemach męża, choć nigdy nie zdradził jej szczegółów. Zapewniał, że chodziło jedynie o materiały pornograficzne. Z jego opowieści wyłaniał się niewinny incydent, który nie miał żadnego głębszego znaczenia, dlatego Carole zignorowała ten element życia partnera i postawiła na przyszłość u jego boku.

Na tej początkowo krystalicznej znajomości dość szybko zaczęły pojawiać się rysy. John wcześniej troskliwy i ciepły, zaczął traktować dzieci z dystansem, bywał dla nich też surowy. Dziewczynki unikały więc kontaktu z nim, nie czuły, że może być ich ojcem, którym po ślubie miał się stać.

John uznał, że skoro już na początku związku wyjawił swoją orientację, nie musi ukrywać dłużej swoich potrzeb. Carole w całym domu znajdowała materiały pornograficzne, przy których John onanizował się w sypialni. Próbowała z tym walczyć, ale bezskutecznie. Na jej apele i prośby Gacy reagował złością i agresją. Kobieta czuła więc, że małżeństwo, które miało być spełnieniem jej marzeń, może już wkrótce okazać się największą pomyłką w jej życiu. Mimo to wciąż pragnęła trzymać się iluzji idealnego związku, która pojawiła się w chwili poznania Johna, i nie zamierzała tego przerywać.

Wszystko zaczęło się zmieniać, gdy Gacy gromadzoną pornografię zamienił na sprowadzanie do domu młodych chłopców. Wtedy u Carole poza buntem pojawił się też strach. Przyglądała się mężowi i zastanawiała, czy jego spotkania są jedynie niewinnym kaprysem, czy może kryje się za nimi coś więcej? Wciąż pamiętała o wyroku, który John odsiedział, i coraz bardziej wątpiła w to, by chodziło jedynie o treści pornograficzne. Gacy był trudnym, oschłym człowiekiem, który nie potrafił okazać jej nawet odrobiny czułości, mimo to nie sądziła, by mógł posunąć się jeszcze dalej. Tym bardziej że skutecznie budował na zewnątrz wizerunek przedsiębiorczego biznesmena, który wspiera lokalną społeczność. Gacy w tym czasie dał się poznać również jako klaun Pogo. Wcielał się w tę rolę, gdy odwiedzał szpitale dziecięce.

Bycie klaunem relaksowało mnie, byłem szczęśliwy, że niosłem radość dzieciom. Niektórzy ludzie odprężają się, gdy piją. Ja nakładałem makijaż klauna i cieszyłem się tym.

Tak wspominał to Gacy, gdy odsiadywał już wyrok w celi śmierci. Jako klaun wyglądał całkowicie niegroźnie. Nosił duży, czerwono-biały strój nieco przypominający worek, na jego twarzy widniał wymalowany szeroki uśmiech, wokół oczu miał niebieskie plamy, a głowę zdobiła fantazyjna czapka z pomponami. Często pozował też z balonami:

Przygotowałem swojego klauna dla jednej z chicagowskich lodziarni. Takiej, która miała trzydzieści trzy smaki. Potem stworzyłem drugiego klauna, którego pokazywałem na wydarzeniach charytatywnych dla Partii Demokratycznej. Klaun nazywał się Pogo, co było zbitką słów i oznaczało, że był pol-

ski i zawsze w ruchu [go]. Zawsze udzielałem się społecznie. To wpoiła mi religia. By działać na rzecz innych, bo to potem wraca do ciebie.

Gacy uwielbiał klaunów. Ich wizerunki zdobiły również jeden z jego pokoi, co lekko wprawiło w osłupienie policjantów, którzy przyjechali przeszukać jego dom. Poza Pogo stworzył również drugą postać – Łatkę. Ale ten klaun w przeciwieństwie do pierwszego był znacznie bardziej poważny i nie tryskał już radością. Te dwie postacie po części symbolizowały również samego Johna. On także miał dwie odmienne twarze. Jedna to ta prospołeczna, uśmiechnięta, przedsiębiorcza. Natomiast druga niosła ze sobą mrok i szokujące tajemnice.

W 1975 roku Gacy na krótko zaangażował się w życie polityczne. Dołączył do Partii Demokratycznej, ale raczkująca kariera szybko się zakończyła, gdy w środowisku ponownie zaczęły krążyć plotki o jego zainteresowaniu młodymi chłopcami. Gacy w swoich zalotach stawał się coraz bardziej brutalny. Pewnego dnia zaczął molestować szesnastoletniego Tony'ego Antonucciego. Chłopak gwałtownie zareagował, grożąc Johnowi, że uderzy go krzesłem. Mężczyzna na chwilę więc odpuścił, przekonywał zresztą, że były to tylko żarty, nic poważnego. Tydzień później znów próbował dotykać chłopca. Zakuł go nawet w kajdanki. Ale nastolatkowi udało się oswobodzić i powalić Gacy'ego na ziemię, który już nigdy więcej się do niego nie zbliżył.

Takiego szczęścia nie miał siedemnastoletni John Butkovich. Chłopak zatrudnił się u Gacy'ego, by zarobić na remont ukochanego samochodu. Miał dodge'a z 1968 roku i świata poza nim nie widział. Dopieszczał go w każdym aspekcie i nieustannie poprawiał najdrobniejsze szczegóły. Ale to hobby wymagało nakładów finansowych. Części do auta były niezwykle drogie, dlatego John, chcąc nie chcąc, musiał rozejrzeć się za jakąś robotą. Tak trafił pod skrzydła Gacy'ego, którego początkowo bardzo zachwalał. Jak na swój młody wiek dobrze zarabiał, a John nie był surowym szefem. Wszystko się zmieniło, gdy Gacy odmówił zapłaty za ostatnie dwa tygodnie pracy. Butkovich wpadł we wściekłość. Pojechał do domu szefa z dwoma przyjaciółmi, którzy mieli pomóc mu wywrzeć

nacisk na mężczyznę. Ale Gacy był dużo twardszy, niż się z pozoru wydawało, i nie przestraszył się gróźb. Na krzyki odpowiedział krzykiem i kazał się chłopakom wynosić. Butkovich kipiał ze złości, ale nie chciał ciągnąć tej awantury, dlatego kiwnął na kolegów i razem odjechali spod domu Gacy'ego. Był to ostatni raz, gdy ktokolwiek widział nastolatka żywego.

Z późniejszych zeznań Johna wynika, że zaprosił Butkovicha do siebie, by na spokojnie porozmawiać z nim o pieniądzach. Chciał go też przeprosić za incydent i zwłokę w wypłacie środków. Nastolatek zgodził się więc i pojechał do domu Gacy'ego, licząc na to, że odzyska wreszcie pieniądze za wykonaną pracę. Przekroczył próg domu szefa, ale zamiast zaległych pensji dostał do ręki drinka. Gacy próbował uśpić jego czujność. Chłopak nie dał się jednak zwieść i wkrótce między mężczyznami doszło do kolejnej awantury, która zakończyła się uduszeniem nastolatka. Jego ciało oprawca zawinął w plandekę i wciągnął do garażu, gdzie wykopał niewielki grób. Ze sporymi trudnościami wepchnął zwłoki do dziury, a całość zalał betonem. Zadowolony z pozbycia się śladów wrócił do codziennego życia.

Ale z tą codziennością coraz gorzej radziła sobie jego żona. W Dniu Matki 1975 roku Gacy oznajmił Carole, że ma dla niej prezent. Kobieta była przekonana, że mąż przygotował jakąś romantyczną niespodziankę i była tą wizją niezwykle podekscytowana, bo do tej pory mogła co najwyżej pomarzyć o jakimś geście ze strony Johna. Mężczyzna zabrał żonę do sypialni, gdzie uprawiali seks. Po wszystkim odwrócił się do niej, spojrzał na nią i oznajmił, że był to ostatni raz, gdy się kochali. Od tamtej pory nie zamierzał jej nawet dotknąć. Seks na pożegnanie miał być dla niej prezentem. Carole nie mogła w to uwierzyć. Był to cios, z którego nie mogła się już podnieść. Upokorzona i do głębi nieszczęśliwa wiedziała, że dla niej i męża nie ma już przyszłości. Wystąpiła więc o rozwód, a John swoją reakcją na ten ruch jedynie potwierdził, że podjęła najlepszą decyzję. Eksplodował radością, gdy tylko dowiedział się o rozstaniu. Pomógł żonie nawet się spakować i załatwił wszelkie formalności, by jak najszybciej zniknęła z jego życia. Małżeństwo przestało istnieć 2 marca 1976 roku.

Gacy znów był wolny i tym razem bez jakichkolwiek hamulców mógł robić to, o czym nieustannie marzył: uprawiać brutalny seks z nastolatkami, a potem ich mordować.

Swój plan zaczął realizować zaledwie trzy miesiące później. Siedemnastoletni Michael Bonnin bardzo lubił zajęcia fizyczne i majsterkowanie. Intensywnie pracował nad odnowieniem szafy grającej dla wuja. Miał mało czasu, bo sprzęt powinien być gotowy za kilka dni. Gdy ruszył na spotkanie ze swoim krewnym, po drodze spotkał Johna Gacy'ego. Mężczyzna zwabił go do samochodu, a potem zawiózł do domu, gdzie po torturach udusił nastolatka. On również spoczął przy West Summerdale Avenue 8231. Po zaginięciu chłopaka jego ojciec, który był taksówkarzem, całkowicie się załamał. Wpadł w alkoholizm i gdy wypił, mówił do żony: *To ja powinienem umrzeć, nie Mike. Gdybym tylko był lepszym ojcem, gdybym tylko tam był…* Z kolei siostra Bonnina, która w chwili jego zaginięcia miała zaledwie cztery lata, nie ujawniała swojej tożsamości i pokrewieństwa z ofiarą Gacy'ego aż do 2019 roku, gdy zdecydowała się kandydować do Izby Reprezentantów stanu Illinois. Do tamtego momentu działała jako Patti Vasquez. Przejęła nazwisko panieńskie matki. Start w polityce wymaga jednak całkowitej przejrzystości, dlatego kobieta powiedziała wówczas, że jest siostrą zamordowanego Michaela Bonnina. Przyznała, że ta tragedia całkowicie zrujnowała jej rodzinę.

Dziesięć dni po zabójstwie nastolatka Gacy uderzył ponownie. Szesnastoletni Billy Caroll wyszedł z domu, twierdząc, że musi pomalować garaż przyjaciela. W rzeczywistości chłopak organizował schadzki nieletnich z dorosłymi mężczyznami. Oczywiście nie robił tego za darmo, przygotowywanie takich spotkań stało się dla niego całkiem niezłym źródłem zarobku. W wolnych chwilach włóczył się po ulicach Chicago, gdzie wyszukiwał potencjalnych klientów, a także chętnych, którzy spędziliby z nimi czas. Na swoje nieszczęście tego czerwcowego dnia spotkał też Gacy'ego, który wyruszył na kolejne polowanie. Wrócił z niego z Carollem, który za tę nową znajomość zapłacił życiem. Spotkał go taki sam los jak Butkovicha i Bonnina, których ciała gniły pod domem mordercy.

Pod koniec roku pracę u Gacy'ego rozpoczął Gregory Godzik. Jego matka Eugenia Teresa z domu Kozioł widziała syna po raz ostatni 11 grudnia. Jak później wspominała:

Mieliśmy iść do kościoła, a on usiadł ze słoikiem ciastek i mlekiem. Był naprawdę podekscytowany, umawiał się z młodą dziewczyną, którą miał na oku od dawna. Kiedy następnego ranka nie było go w swoim pokoju, zadzwoniliśmy do niej. Powiedziała, że wyszedł około 12.30. Skontaktowaliśmy się więc ze wszystkimi jego znajomymi, ale nikt nie wiedział, gdzie on jest.

Nikt nawet przez chwilę nie pomyślał, że za zniknięciem chłopaka stał Gacy. Gregory bardzo chwalił sobie tę krótką współpracę. Prawda była jednak taka, że 12 grudnia tuż po spotkaniu z dziewczyną nastolatek odwiedził szefa. Obiecał mu wcześniej, że podrzuci trochę marihuany, ale nie udało mu się kupić towaru. Chciał się więc wytłumaczyć przed Johnem, bo obawiał się, że ten będzie miał do niego pretensje. Dokładny przebieg tego spotkania nie jest do końca znany, poza jednym najistotniejszym elementem – Gregory zakończył tę wizytę ze sznurem zaciśniętym na szyi. Jego ciało dołączyło do reszty zamordowanych chłopców.

Dwudziestego stycznia 1977 roku zaginął dziewiętnastoletni John Szyc, który podobnie jak Godzik miał polskie korzenie. Ten rudowłosy chłopak zajmował się męską prostytucją, był więc dla Gacy'go dosyć łatwym celem. Zwabił go do auta, a następnie zawiózł do domu, z którego Szyc nigdy już nie wyszedł.

Piętnastego września tego samego roku na celowniku psychopaty znalazł się Robert Gilroy, syn policjanta z Chicago. Był osiemnastoletnim studentem. Szeroko zakrojone poszukiwania, które inicjował jego ojciec, nie przyniosły żadnego rezultatu. Dziś wiemy już, że Robert dołączył do listy ofiar Gacy'ego.

Choć trudno w to uwierzyć, były osoby, które spotkanie sam na sam z mordercą przeżyły. W grudniu 1977 roku przy jednym z przystanków autobusowych w Chicago zatrzymał się czarny samochód. W środku siedział mężczyzna podający się za policjanta. Uważnie obserwował mijających go młodych

mężczyzn. Wtedy dostrzegł dziewiętnastoletniego Roberta Donelly'ego, który powolnym krokiem szedł chodnikiem. Krzyknął do niego, by natychmiast wsiadł do auta. Przerażony Robert pewny, że polecenia wydaje funkcjonariusz, posłusznie wsiadł do pojazdu. Gacy świecił mu nieustannie latarką prosto w oczy, by ten nie mógł dokładnie przyjrzeć się jego twarzy. Wyczuwając niepewność chłopaka, szybko zakuł go w kajdanki i zawiózł do swojego domu. Gdy Robert wlewał w gardło ostatnie krople drinka, John chwycił go i zgwałcił. Po chwilowym seksualnym zaspokojeniu zaprowadził przerażonego nastolatka do łazienki, w której czekała już wypełniona wodą wanna. Gacy zanurzył w niej głowę Roberta i trzymał przez jakiś czas, po czym wyjął i powtórzył cały proces. Robił tak do momentu, aż nastolatek stracił przytomność. Gacy szybko go ocucił, a gdy chłopak otworzył oczy, oddał na niego mocz. Na tym nie zamierzał jednak kończyć swoich tortur. Rozkazał roztrzęsionemu chłopakowi iść do sypialni, gdzie ponownie go zgwałcił, tym razem używał do tego różnych przedmiotów, które miał w swojej kolekcji. Robert błagał go o śmierć, na co Gacy odparł jedynie: *Zbieram się do tego.* Tortury trwały kilka godzin. I choć John powiedział nastolatkowi wprost, że wkrótce zginie, ostatecznie nie odebrał mu życia. Pojechał z nim w stronę domu towarowego, w którym chłopak pracował, i tam go wypuścił. Zagroził jednak, że go odnajdzie, jeśli ten pójdzie na policję.

Mimo strachu i piekła, które przeżył, Donelly odnalazł w sobie wystarczająco dużo siły i odwagi, by zgłosić się po pomoc do funkcjonariuszy. Gacy został przesłuchany 6 stycznia 1978 roku, ale oczywiście wszystkiego się wyparł. Stwierdził, że nastolatek zgodził się na taką formę seksu i była to, jak nazwał, zabawa w niewolnika. Policja nie dysponowała żadnymi dowodami, miała jedynie dwa sprzeczne ze sobą zeznania. Sprawę więc umorzono, a Gacy mógł dalej bezkarnie torturować i mordować.

W tym samym roku w marcu dwudziestosześcioletni biseksualista Jeffrey Rignall szedł do jednego z gejowskich barów w Rosemont w stanie Illinois. Po drodze spotkał Gacy'ego, który zaoferował mu jointa i przejażdżkę. Rignall zgodził się bez większego namysłu i wsiadł do pojazdu. Wtedy Gacy

przystawił mu do ust szmatkę nasączoną chloroformem i czekał, aż mężczyzna straci przytomność. W trakcie jazdy Jeff budził się kilka razy, dzięki czemu mógł zapamiętać część punktów mijanych po drodze. Gdy Gacy zauważył, że jego ofiara odzyskała przytomność, zafundował jej kolejną dawkę chloroformu. Następną pobudkę Rignall miał już w domu Johna. Po ocknięciu się zauważył, że jest przymocowany do drewnianej deski z łańcuchami. Przed nim stał nagi Gacy. Obok siebie miał kilka wibratorów, o których opowiedział Jeffowi, wyjaśniając szczegółowo, jak zamierza ich użyć. Następnie zaczął gwałcić i torturować mężczyznę. Robił to, jednocześnie go odurzając i biczując, by odzyskał przytomność. Na drugi dzień Rignall obudził się pod pomnikiem w Lincoln Park w Chicago. Miał poparzoną chloroformem twarz, krwotok odbytu i uszkodzoną wątrobę. Natychmiast trafił do szpitala, gdzie spędził sześć dni.

O piekle, które zafundował mu Gacy, poinformował policję, ale ta, wiedząc, że ma do czynienia z relacją homoseksualną, zignorowała sprawę. Jeff wynajął więc adwokata i wytoczył swojemu oprawcy proces. Sądowa batalia zakończyła się ugodą, zgodnie z którą Gacy musiał zapłacić Rignallowi trzy tysiące dolarów zadośćuczynienia. O tym, co przeżył, mężczyzna wielokrotnie opowiadał później mediom, wydał też książkę. Pomógł mu w tym pisarz Ron Wilder. Co ciekawe, Rignall był świadkiem obrony w procesie Gacy'ego. Powiedział wówczas, że według niego John nie był zdrowy psychicznie, o czym miały świadczyć bestialstwa, których dopuścił się w stosunku do niego. John nigdy nie przyznał się do ataku na Jeffa, trudno więc powiedzieć, dlaczego tak naprawdę go wypuścił. Rignall zmarł w 2000 roku po walce stoczonej z AIDS.

Mimo szerzących się pogłosek o homoseksualizmie, a także rozwodu Gacy nadal pozostawał wysoko w społecznej hierarchii. W 1978 roku, gdy miał na koncie już ponad dwadzieścia trupów zalegających pod jego domem, szedł na czele defilady członków amerykańskiej Polonii. Świętowano wówczas 3 maja, czyli rocznicę uchwalenia konstytucji. Poznał wtedy nawet żonę prezydenta USA Rosalynn Carter.

Ze względu na polskie korzenie Gacy dosyć mocno angażował się w polonijne życie w Chicago. Nadwiślański naród stanowi tam jedną z największych mniejszości i nie bez powodu samo Chicago nazywane jest stolicą Polonii. Nasi rodacy szczególnie upodobali sobie miasto Des Plaines, które wybrał też Gacy. Według szacunków w całym stanie Illinois jest prawie milion obywateli polskiego pochodzenia.

Pętla na szyi zabójcy zaczęła się zaciskać w grudniu 1978 roku. Piętnastoletni Robert Piest dorabiał sobie na pół etatu w aptece Nisson w Des Plaines. Gdy krzątał się po magazynie, próg przekroczył John Gacy. Miał spotkać się z właścicielem budynku Philem Torfem, by porozmawiać o remoncie, którego planował się podjąć. Był już wieczór i Robert powoli kończył pracę. Gdy wybiła 21.00, pod aptekę przyjechała matka nastolatka Elizabeth. Syn poprosił ją, by chwilę poczekała, a on sam wybiegł za Gacym na parking. Chwilę wcześniej usłyszał, jak rozmawiał z jego szefem o swojej firmie i stawkach, jakie płaci pracownikom. Na początek otrzymywali pięć dolarów za godzinę. Robertowi ta kwota wydała się niezwykle kusząca. Chciał więc zapytać Johna, czy znajdzie również dla niego jakieś zajęcie.

Czas mijał, a rozmowa Piesta z nieznajomym zdawała się przeciągać w nieskończoność. Po dwudziestu minutach matka wyszła na parking, by sprawdzić, co się dzieje, ale chłopaka już nie było, podobnie jak Gacy'ego. Zaskoczona Elizabeth wróciła do domu, bo choć jej samej wydało się to dziwne, pomyślała, że być może syn pojechał tam bez niej. Na miejscu jednak nie było po Robercie śladu. Elizabeth chwyciła więc za telefon i obdzwaniała po kolei wszystkich znajomych chłopaka, wierząc, że przesiaduje u któregoś z nich. Ale za każdym razem odpowiedź była taka sama: nikt go nie widział. Przerażona kobieta chwyciła się ostatniej możliwości, która przyszła jej w tym momencie do głowy, i ponownie skontaktowała się z Philem Torfem. Choć nastolatka z nim nie było, mężczyzna podzielił się bardzo cenną informacją – nazwiskiem właściciela firmy remontowej, za którym wybiegł syn Elizabeth. W ten sposób rzucił światło na Gacy'ego, choć sam nawet przez chwilę nie pomyślał, że ten uśmiechnięty biznesmen może stać za zniknięciem Roberta. Wierzył jednak, że to

właśnie on może wiedzieć, gdzie chłopak się udał po rozmowie z nim. Phil wykręcił numer do Johna, ale nikt nie podniósł słuchawki. Dziś wiemy, że właśnie wtedy, gdy dźwięk dzwonka rozległ się w całym domu Gacy'ego, w jednym z pomieszczeń trwały już tortury. Robert leżał ze skutymi rękami i, dusząc się, słyszał groźną zapowiedź: *Zamierzam cię zgwałcić, a ty nic nie możesz z tym zrobić.*

Elizabeth wiedziała, że chłopak nigdy nie zniknąłby bez słowa. Nie było mowy o ucieczce i porzuceniu rodziny. W tym dniu kobieta miała świętować swoje urodziny, w domu czekał tort, szykowane było też przyjęcie. Dlatego nie czekając dłużej, około godziny 23.00 powiadomiła policję. Czuła, że dzieje się coś złego. Oddziałem w Des Plaines zarządzał wówczas Joseph Kozenczak. Sprawa zaginięcia chłopca od razu wydała mu się dziwna. Zgodził się z Elizabeth, że ewentualna ucieczka była mało prawdopodobna. Razem z funkcjonariuszami Kenem Fredericksem oraz Ronem Adamsem szybko ustalili, że jedną z osób, która może wiedzieć więcej o losie chłopaka, jest John Gacy. Skontaktowali się więc z przedsiębiorcą, ale ten stanowczo zaprzeczył, by rozmawiał z Piestem. Potwierdził jednak, że był w aptece. Wersja Johna nie pokrywała się z zeznaniami innych osób, które nie tylko słyszały o spotkaniu obu mężczyzn, ale też widziały ich rozmawiających na parkingu. Policjanci nabrali podejrzeń i rozpoczęli obserwację Gacy'ego. Do sprawy dołączyli Mike Olsen i Jim Pickell. Ustalili adres Johna i pojechali na miejsce, by z nim porozmawiać i nieco go przycisnąć. Ale mężczyzny nie było w środku, niczego więc nie udało się sprawdzić. Czerwona lampka zapaliła się za to wtedy, gdy na jaw wyszło, że Gacy ma na koncie wyrok za gwałt na nieletnim. W tym momencie John stał się podejrzanym numer jeden.

Zielone światło do jego przesłuchania dał prokurator. Warunki były jednak dwa: rozmowa musiała odbyć się w domu, a sam Gacy miał być na razie traktowany jako świadek, a nie podejrzany. Śledczy nie chcieli, by zauważył, że ktokolwiek podejrzewa go o uprowadzenie Roberta. Nie dysponowali żadnymi dowodami, a naciski mogłyby go jedynie spłoszyć i skłonić do zabicia chłopaka. Oczywiście wtedy

jeszcze wszyscy zakładali, że zaginiony żyje i gra toczyła się o odnalezienie go całego oraz zdrowego.

Czterech funkcjonariuszy w nieoznakowanym samochodzie podjechało wieczorem przed dom Gacy'ego. Jeden z nich zapukał do drzwi, ale odpowiedziała im cisza. Zajrzeli przez okno i zauważyli Gacy'ego, który siedział w fotelu i pił piwo. Przeszli do bocznego wyjścia i ponownie zapukali. Wtedy John otworzył i zaprosił ich do środka. Nie była to jednak przyjemna rozmowa. Gacy był poirytowany, choć rzeczowo odpowiadał na wszystkie pytania policjantów. Nieustannie upierał się, że nie rozmawiał z Robertem, a po powrocie do domu dowiedział się, że jego wuj umiera w szpitalu. Później pojechał do ciotki, by porozmawiać z nią o pogrzebie. Miał tam zostać do około pierwszej w nocy. Gdy policjanci zaproponowali, by pojechał z nimi na komisariat i złożył zeznania, odmówił, twierdząc, że czeka na pilny telefon od matki. To tłumaczenie wydało się dziwne i nieco na siłę. Do tego sam Gacy zrobił na policjantach raczej niekorzystne wrażenie. Był niechlujny i zdenerwowany, wypierał się spotkania z Piestem, choć kilka osób zeznało, że to właśnie on był ostatnią osobą, która z nim rozmawiała. Czuli podskórnie, że opowieść Johna kompletnie nie trzyma się kupy, a on sam próbuje coś ukryć. Dlatego po raz kolejny poprosili, by pojechał z nimi na komisariat, a on po raz kolejny odmówił. Emocje w nim buzowały, co coraz bardziej widać było na jego twarzy, ale też w tonie głosu. Zaczął się irytować, mówił o szacunku dla zmarłych i żałoby. Policjanci nie mieli wyjścia, musieli odpuścić. Gacy formalnie nie był o nic podejrzany, nie można mu było założyć kajdanek i wyprowadzić z budynku. Funkcjonariusze spuścili więc głowy, nieświadomi, że zaledwie kilka metrów dalej leżą zwłoki poszukiwanego Roberta Piesta.

Śledczy nie zamierzali jednak odpuścić Gacy'emu. Byli przekonani, że to właśnie on dzierżył w dłoni klucz do rozwiązania zagadki zaginięcia młodego chłopaka. Dlatego po raz kolejny zarządzili obserwację jego domu. John nie był jednak głupi. Po tym, jak policjanci zaczęli wokół niego węszyć, wiedział, że prędzej czy później podejmą trop i zaczną niebezpiecznie się do niego zbliżać. Dlatego mimo ustawionego nieopodal patrolu wsiadł do auta i zgubił policjantów, a sam

ruszył w nieznane. Około 3.20 w nocy przyjechał na komisariat. Był zdenerwowany i mówił, że szuka Kozenczaka, który chciał z nim wcześniej rozmawiać. Wyglądał – delikatnie mówiąc – osobliwie. Miał ubłocone spodnie i buty, również jego auto było mocno ubrudzone ziemią. Twierdził, że zaliczył po drodze mały wypadek drogowy. Gdy nie zastał Kozenczaka, wyszedł z komisariatu poirytowany.

Na drugi dzień, 13 grudnia 1978 roku, Gacy ponownie skontaktował się z policją. Zapytał Kozenczaka, czy jest gotowy z nim porozmawiać. Gdy potwierdził, John ruszył w drogę i po mniej więcej czterdziestu minutach był już na miejscu. W tym czasie śledczy intensywnie pracowali nad nakazem przeszukania domu Gacy'ego. Chcieli wykorzystać moment, gdy mężczyzna opuści budynek i będą mieli całkowitą swobodę działania. Przesłuchanie ruszyło, a John dalej wypierał się rozmowy z Robertem. Wtedy z prokuratury nadeszła świetna wiadomość: wydano zgodę na rewizję w budynku. Kozenczak triumfalnie wszedł do pokoju, w którym siedział Gacy, i poprosił go o klucze do domu. John był w szoku, wpatrywał się w policjanta otępiały, przerażony i wściekły. Nie zakładał, że śledczy tak szybko będą chcieli wejść do jego domu. Nadal uważał się za wysoko postawionego przedsiębiorcę, który był w stanie wywinąć się z najgorszej nawet sytuacji. Kipiąc ze złości, Gacy rzucił policjantom klucze, a następnie zaczął im grozić, powołując się na bliżej nieokreślone znajomości. Mógł jednak wrzeszczeć do woli, nikt się tym nie przejmował. Policjanci wsiadali już do radiowozów, by jak najszybciej zajrzeć do domu, którego tak pilnie strzegł John Wayne Gacy.

Wchodząc do budynku, zaczęli ostrożnie rozglądać się po pokojach. Pierwsze, co rzuciło im się w oczy, to dość osobliwe dekoracje. Obrazy klaunów, fantazyjne tapety, bar z drinkami i wąskie korytarze ukryte w ciemnościach nie były czymś, czego się spodziewali. W domu brakowało radości i ciepła, wręcz przeciwnie, mocno odpychał swoim chłodem. Wszystko urządzone było nieco chaotycznie i wiele elementów zwyczajnie do siebie nie pasowało. Kiepski gust był jednak w całej tej układance najmniej istotny. Policjanci mieli jedno zadanie: odnaleźć Roberta Piesta. Sprawdzali więc wszystkie szuflady,

pokoje i zakamarki. W kuchni Kozenczak odruchowo zajrzał do kosza na śmieci. Znalazł tam coś, co wkrótce miało sprawić, że cała opowieść Gacy'ego runęła jak domek z kart – był to rachunek za wywołane zdjęcia, które wcześniej w zimowej kurtce nosił Robert. Kwit trafił do torebki i został zabezpieczony jako dowód, choć Kozenczak jeszcze wtedy nie zdawał sobie sprawy, jak cenny jest to przedmiot.

Jeden z policjantów zauważył szczelinę w podłodze. Udało mu się ją podważyć i wtedy zrozumiał, że pod spodem znajduje się podziemny korytarz. Jego wnętrze okazało się jednak mocno rozczarowujące. Był pusty i suchy, nie znaleziono tam żadnych przedmiotów lub choćby śladu czyjejś obecności. Policjanci czuli niedosyt, bo po raz kolejny musieli wypuścić Gacy'ego. Brak dowodów nie oznaczał jednak, że pewny siebie przedsiębiorca zniknął z kręgu podejrzanych. Funkcjonariusze uznali, że najlepszym sposobem na zdemaskowanie Johna będzie stała obserwacja.

Policjanci postawili na mało subtelne rozwiązanie i podążali za Gacym jak cień. Byli w jego pobliżu nieustannie, zarówno w dzień, jak i w nocy. Nie chcieli przegapić nawet najmniejszego kroku. Jechał do sklepu – patrol za nim, sunął na stację benzynową – patrol również. Gdy był w budynku, radiowóz czekał w pobliżu, by wiedzieć, kiedy i dokąd odjeżdża. Sprawdzano też dokładnie jego przeszłość, a także ewentualne związki z zaginionymi wcześniej nastolatkami. Na przesłuchanie wezwano nawet jego byłą żonę Carole. Kobieta dostarczyła śledczym potężną dawkę cennych informacji dotyczących charakteru i upodobań Johna. Duży niepokój wzbudziło jego zamiłowanie do młodych chłopców, seksu i pornografii. Policjantom przyniosło do pewność, że odpowiednio wytypowali podejrzanego.

Dziewiętnastego grudnia do Kozenczaka przyszli rodzice Piesta. Równolegle z funkcjonariuszami prowadzili śledztwo na własną rękę. Nie mieli wątpliwości, że za zniknięciem ich syna stoi Gacy. W trakcie rozmowy z policjantem pani Piest mimochodem rzuciła uwagę co do zawartości kurtki syna. Powiedziała, że w kieszeni znajdował się wspomniany kwitek za wywołane zdjęcia. Kozenczak poczuł na karku falę zim-

nego prądu. Jak później wspominał w swojej książce The Chicago Killer:

„Poczekaj chwilkę" – powiedziałem nagle, zerwałem się i pognałem korytarzem do pokoju z wariografem. Tam w przezroczystej plastikowej torebce, lśniącej jak kawałek złota, leżał jaskrawoczerwony paragon, który wyjąłem z worka na śmieci Johna Gacy'ego… Był to pierwszy i jedyny dowód, jaki mieliśmy na to, że chłopiec Piesta był w domu na Summerdale. Poczułem się, jakbym właśnie zarzucił pętlę na krzepkiego podwykonawcę.

Kwit porównano ze zleceniem wystawionym przez drogerię, w której wywoływane były zdjęcia. Wszystko do siebie pasowało, podobnie jak raz po raz wyłaniające się kawałki tej historii.

Gdy policjanci powoli szykowali się do otwierania szampana, Gacy coraz bardziej tracił panowanie nad sobą. Czuł, że funkcjonariusze siedzą mu na ogonie i z każdym dniem mocniej go podgryzają. Nawet on, przy całej swojej pyszałkowatej naturze i ekstremalnie rozdmuchanym ego, wiedział, że nad jego głową zbierają się coraz ciemniejsze chmury. Robert Ressler, specjalista do spraw profili kryminalnych FBI, który doradzał policji w sprawie Gacy'ego, powiedział później:

W ciągu pięciu dni pod obserwacją jego zachowanie rozpadło się do tego stopnia, że przestał się golić i zaczął pić, zażywać narkotyki i krzyczeć na ludzi.

John obrażał policjantów, których spotykał na swojej drodze, a szczególnie nienawidził Kozenczaka, którego uważał za swojego arcywroga. Tymczasem funkcjonariusze przesłuchali jednego z pracowników Gacy'ego. Przyznał, że razem z innymi chłopakami kopali dół w piwnicy szefa. Gdy śledczy dopytywali, czy zauważyli coś niepokojącego, bez wahania odparł: *Okropnie tam śmierdziało. Nikt z nas nie chciał przebywać w tym miejscu zbyt długo.* Rozpoczęła się walka o kolejne pozwolenie na przeszukanie domu przy Summerdale. Policjanci wiedzieli, że muszą sprawdzić budynek dokładniej, zaglądając również w miejsca, których na pierwszy rzut oka nie widać. Musieli rozkopać piwnicę i garaż.

Gacy zaczął głośno mówić o samobójstwie. Oskarżał też policję o prześladowanie, wrzeszczał na obcych ludzi, mówiąc, że zabił ponad trzydzieści osób, i na niespotykaną wcześniej skalę połykał leki uspokajające, popijając je drinkami. Jego załamanie nadciągało jak fala tsunami i mogło przynieść ze sobą tylko jeden scenariusz – przyznanie się do winy. Wcześniej jednak, nie patrząc na świadków, pojechał na stację benzynową, gdzie przekazał jej pracownikowi narkotyki. Policjanci nie zamierzali dłużej czekać, podjęli decyzję o aresztowaniu Gacy'ego. Nie chcieli, by wymknął im się z rąk. Ustalili, że gdy John trafi za kratki, oni wejdą na teren jego posesji i rozbiorą ją do betonu.

Chwilę po tym, jak krnąbrny biznesmen został zgarnięty i przewieziony do aresztu, wszystkie potrzebne zezwolenia spłynęły na komisariat. Kozenczak dzierżył w dłoni drugi nakaz rewizji, który otworzył drzwi nie tylko do posiadłości Gacy'ego, ale też skrywanych przez niego tajemnic.

Prace w domu Gacy'ego ruszyły 22 grudnia 1978 roku. Ekipa poszukiwawcza rozpoczęła od zburzenia części ścian, a także zdarcia podłogi, na czym szczególnie skupiła się uwaga wszystkich obecnych tam detektywów. Wielkimi młotami rozbijano strukturę kawałek po kawałku. Wszystkie niepotrzebne przedmioty wynoszone były przed dom. Tłum gapiów stał obok budynku i przyglądał się tym żmudnym działaniom.

Rozkopano podłogę w każdym pomieszczeniu – w kuchni, sypialni i biurze. Pod spodem znajdowało się mnóstwo wody. To właśnie ta cuchnąca, brązowa breja skrywała najmroczniejszy sekret Gacy'ego. Jeden z policjantów zanurzył w niej rękę i już po chwili wyciągnął ludzkie szczątki. Przekazał je kolegom i ponownie włożył dłoń pod wodę. Nie musiał nawet długo szukać, palcami wyczuł kolejny fragment. Na powierzchnię trafiały głównie kości, które rozmieszczono niezwykle chaotycznie. Określenie dokładnej liczby ofiar już wtedy było niemożliwe. Na miejsce od razu wezwano techników, którzy w specjalnych strojach przejęli poszukiwania i wyciągali kawałek po kawałku każdą ofiarę Gacy'ego, którą pochował pod podłogą. Razem z nimi nieustannie pracowały pompy, które miały za zadanie odprowadzić wodę. Gdy im się

to udało, technicy – chcąc wydobyć kolejne zwłoki – musieli grzebać w szlamie. Jedno z ciał znaleziono za domem, nieopodal ustawionego grilla, inne pod garażem. Trupi odór unosił się w całym budynku i był nie do zniesienia. Dom Gacy'ego okazał się cmentarzyskiem, a jego rozmiar zaskoczył nawet policjantów. Sądzili, że w środku mogą znaleźć zwłoki Roberta Piesta, tymczasem wydobyto na powierzchnię szczątki – jak się później okazało – dwudziestu dziewięciu osób.

Skala zbrodni Gacy'ego była ogromna. Równie duże zadanie stało wówczas przed patologami. Musieli dopasować wszystkie szczątki do siebie, tak by uzyskać odrębne szkielety. Dopiero wtedy można było identyfikować zwłoki i przyporządkować do kości konkretne imiona oraz nazwiska. Praca okazała się niezwykle trudna, bo ciała były pomieszane. John rzucał jedno na drugie i przy rozkładzie kości zwyczajnie zaczynały się przesuwać. Nie pomagała również woda, która przemieszczała je w różne strony.

Dosyć szybko udało się jednak ustalić, że ofiary były przed śmiercią torturowane. W niektórych czaszkach tkwiły fragmenty materiału, inne szkielety miały w okolicach szyi zawiązane pętle, a jeszcze u innych na głowach wciąż tkwiły plastikowe torebki.

Przeszukując dom Gacy'ego, policjanci znaleźli też pokaźną kolekcję trofeów, które zbierał po dokonanych zabójstwach. Na listę trafiły szkolne pierścienie, prawa jazdy, próbki włosów, a także ubrania.

Po dokładnym przeszukaniu centymetr po centymetrze całej posiadłości, po wyburzeniu ścian, rozkopaniu podłóg i upewnieniu się, że liczba ofiar na tym terenie zamyka się w liczbie dwadzieścia dziewięć, zdecydowano o zrównaniu domu Gacy'ego z ziemią. Pomijając aspekt symboliczny, budynek zwyczajnie nie nadawał się do zamieszkania. Już w czasie policyjnych prac groził zawaleniem. Po wyburzeniu plac pozostawał pusty do 1986 roku. Wtedy grunt kupiła pewna kobieta, która mieszkała w okolicy, i wybudowała dom dla swoich emerytowanych rodziców. Posiadłość została wystawiona na sprzedaż w 2019 roku za kwotę 459 tysięcy

dolarów. Co ciekawe, w informacji o nieruchomości pominięto kwestię Johna Gacy'ego.

Odkrycie ciał nie kończyło poszukiwań. W piwnicach Johna nie znaleziono bowiem Roberta Piesta, a było pewne, że on również stał się ofiarą psychopatycznego mordercy. Przełom nastąpił 9 kwietnia 1979 roku. Przypadkowy mężczyzna natknął się wówczas na zwłoki młodego mężczyzny, które leżały u brzegu rzeki Des Plaines. Identyfikacja odbyła się na podstawie zębów i potwierdziła, że było to ciało Roberta Piesta. Gacy prawdopodobnie pozbył się ciała w tę noc, gdy zgłosił się na komisariat, by porozmawiać z Kozenczakiem. Miał wówczas ubłocone spodnie i samochód.

Pod naporem dowodów Gacy w końcu przyznał się do zabójstw. Choć, co ciekawe, z biegiem lat wielokrotnie zmieniał wersję wydarzeń. W celi śmierci mówił:

Jeśli chcesz mnie o coś oskarżyć, to co najwyżej o współudział w dwóch morderstwach. Tylko o tylu wiem. Robert Piest został zabity w moim domu przez kogoś innego. Ktoś go do mojego domu przywiózł. Chyba został uduszony. Widziałem usuwanie jego ciała. Jego ciało zostało wrzucone do rzeki. Miałem w tym współudział. Nigdy się tego nie wypierałem. Nie udaję niewinnego. Zabrałem policjantów do mojego domu i tak, pokazałem im, gdzie na podłodze został wylany nowy cement. Zaznaczyłem to miejsce pomarańczową farbą. Nie oznaczałem miejsca, gdzie były zwłoki.

Ale tu nie było mowy o jakiejkolwiek pomyłce. Dowody jednoznacznie świadczyły przeciwko Gacy'emu i dodatkowo pozwoliły na oskarżenie go o zabójstwo trzydziestu trzech osób. Dwadzieścia dziewięć ciał ukrył pod domem, cztery wrzucił do rzeki. John musiał stanąć przed sądem.

Proces ruszył 6 lutego 1980 roku w Chicago. Głównym obrońcą Gacy'ego był dobrze znany w środowisku Sam Amirante. Mężczyźni poznali się jeszcze przed tym, jak na światło dzienne wyszły wszystkie zbrodnie Johna. Amirante w jednym z wywiadów mówił o swoim kliencie:

Poznaliśmy się, gdy udzielał się politycznie. Był kimś, kogo powinno się znać. Robił wszystko dla innych, był pomocny dla

każdego. To był miły facet, nigdy byś go nie podejrzewał o zrobienie czegoś złego, ponieważ wszystkim pomagał. Przerażająca rzecz o Johnie Gacym jest taka, że on sam nie był ani trochę przerażający. Nie wyglądał jak morderca, ale lekarze opisali go jako psychotycznego, neurotycznego socjopatę.

Zanim sporządzono opinię medyczną, Gacy spędził ponad trzysta godzin z lekarzami w Menard Correctional Center w Chester. Eksperci mieli ustalić, czy jest zdolny psychicznie do odpowiadania przed sądem. Sam John próbował wmówić lekarzom, że ma zaburzenia osobowości i potrafi przybrać formę czterech postaci: pracowity i obywatelski przedsiębiorca, klaun, polityk i policjant, który nazywał się Jack Hanley. On sam określał go jako Złego Jacka.

W procesie przewodniczył sędzia Louis B. Garippo, a oskarżycielami byli prokuratorzy Terry Sullivan i William Kunkle. Obrońcy chcieli udowodnić, że Gacy był niepoczytalny, dlatego doradzono mu, by nie przyznawał się do winy. Kilku psychiatrów powołanych przez stronę mordercy rzeczywiście potwierdziło, iż mężczyzna przejawiał kilka osobowości. Przekonywano też, że cierpi na schizofrenię. Ale eksperci, których powołała prokuratura, mieli zgoła odmienne zdanie. Według nich Gacy był całkowicie zdrowy i potrafił ocenić, a także kontrolować swoje działania. Ponadto był inteligentny (IQ na poziomie 118) i planował każdy aspekt swojego życia, również popełnione zbrodnie. Nie było więc mowy o przypadkowości, a także działaniu pod wpływem impulsu czy psychozy. Gacy'ego oceniono jako sadystę seksualnego z osobowością narcystyczną, ale to nie sprawiało, że był niepoczytalny. Potrafił doskonale organizować swoje życie, był właścicielem dobrze prosperującej firmy i działał jako polityk, co też wymagało planowania i przewidywania. Biegli przyznali, że cierpiał na zaburzenia osobowości, ale nie był psychotykiem.

Prokuratura powołała siedemdziesięciu dziewięciu świadków, a część z nich potwierdziła, że Gacy działał z premedytacją. Miały o tym świadczyć zlecenia dotyczące kopania rowów odwadniających i rozsypywania wapna pod ziemią na jego posesji. To potwierdziło, że John przygotowywał się do zabójstw, a także do ukrycia ciał. Zdawał więc sobie sprawę

z konsekwencji swoich czynów, a więc ponownie – nie był niepoczytalny.

Bardzo ważne były też zeznania Jeffa Rignalla, który opisał koszmarne spotkanie z Gacym. Nie potrafił powstrzymać łez, gdy przeszedł do szczegółów tortur. Spotkanie z oprawcą okazało się na tyle traumatyczne, że zwymiotował w trakcie przesłuchania. Sąd pozwolił mu zrezygnować z dalszej obecności na procesie.

Jedenastego marca ruszyły mowy końcowe. Jako pierwsi przemawiali oskarżyciele, którzy przez kilka godzin podsumowywali potworną działalność mordercy. Ocalałych, którym udało się przetrwać spotkanie z potworem, nazwali żywymi trupami, których psychika była w całkowitej rozsypce. Samego Gacy'ego określono mianem najgorszego ze wszystkich spotkanych wcześniej morderców. Po tej płomiennej przemowie głos zabrał Sam Amirante, który próbował przekonać, że John działał w emocjach i nie był w stanie ich kontrolować. Według niego prokuratura od początku próbowała wzbudzić nienawiść wobec klienta, by nastawić ławę przysięgłych przeciwko niemu. Domagał się umieszczenia Gacy'ego w zakładzie psychiatrycznym, gdzie mógłby stanowić doskonały obiekt badań i pomóc w zrozumieniu motywów działania takich ludzi jak on. Prokuratura w kontrze, zwracając się do przysięgłych, powiedziała: *Nie okazujcie współczucia, tylko sprawiedliwość. Okażcie taką samą sympatię, jaką ten człowiek okazywał, zabierając życie swoim ofiarom.* Po tych słowach prokurator Kunkle cisnął w przestrzeń zdjęcia ponad dwudziestu młodych chłopców i mężczyzn brutalnie zamordowanych przez Gacy'ego. Ten gest zrobił na przysięgłych ogromne wrażenie, a obrona poczuła, że tę sprawę może jednak przegrać.

Dwunastego marca po niespełna dwóch godzinach obrad ława przysięgłych wydała wyrok: John Wayne Gacy był winny trzydziestu trzech morderstw. Dopuścił się też napaści na tle seksualnym i obcowania z nieletnim. Te dwa zarzuty dotyczyły piętnastoletniego Roberta Piesta. Na Gacy'ego czekała kara śmierci. Przepisy dotyczące egzekucji weszły jednak w życie w stanie Illinois 21 czerwca 1977 roku, co oznaczało, że John mógł być poddany karze za zbrodnie dokonane

dopiero po tym terminie. W związku z tym odpowiedział tylko za dwanaście ostatnich morderstw. Egzekucję wyznaczono na czerwiec 1980 roku.

W marcu Gacy trafił do zakładu karnego Menard w Illinois. To właśnie to miejsce stało się jego domem na resztę życia. Spędził w nim łącznie czternaście lat, udzielając wywiadów i próbując wywalczyć uniewinnienie. Intensywnie studiował książki prawnicze (podobnie jak Ted Bundy) i co chwilę składał nowe wnioski, a także apelacje. Chciał podważyć decyzję o pierwszym przeszukaniu jego posesji, a także udowodnić, że jest niepoczytalny. Upierał się też, że to nie on zabił wszystkie osoby znalezione pod jego domem:

Ludzie nie chcą znać prawdy. Wolą dać sobie sprać mózgi, żeby uzasadnić zabicie mnie. Dokonanie egzekucji. Ale zemsta nie jest niczym dobrym, bo doprowadziłaby do zabicia niewinnej osoby. Zrobiono ze mnie potwora, który porywał ministrantów z ulicy i zabijał jak muchy. To niedorzeczne! Poddałem się kiedyś trzyipółgodzinnemu przesłuchaniu po podaniu mi serum prawdy. (...) Inne osoby były zamieszane w te morderstwa. W momencie zatrzymania mnie było czterech innych podejrzanych. Wszyscy mieli klucze do domu w Summerdale. Poznałem Johny'ego Szyca z Michaelem Rossim. Napiliśmy się i wyszedłem. Następnym razem widziałem go martwego. W domu w Summerdale. Rossi spał na kanapie, gdy wychodziłem. (...) Nie jestem tu jedyną ofiarą. Ja co prawda mogę być trzydziestą czwartą ofiarą, ale rodziny są kolejnymi ofiarami. Nikt się nimi nie przejmuje. Jest taka jedna matka, która ciągle pojawia się w telewizji i mówi, że powinienem dostać trzydzieści trzy zastrzyki ze śmiertelną trucizną. To ona powinna dostać trzydzieści trzy porcje valium. Jej synek był żołnierzem marines. Gdyby był taki święty, to czemu uciekał z domu dwanaście razy?

Gacy źle reagował również na porównania do innych seryjnych morderców, takich jak Ted Bundy, David Berkowitz czy Jeffrey Dahmer:

Co myślę o Jeffreyu Dahmerze? Nie znam go. Wiem, że nie spełnia warunków do uznania za osobę niepoczytalną. Więc nie będę go komentował. Tak samo innych. Nie znam ich. Nie

chcę być do nich porównywany i umieszczany w jednym rzędzie. Jestem wściekły, że opinia publiczna uważa mnie za mordercę tej samej kategorii.

Wszystkie apelacje Gacy'ego zostały odrzucone. W 1984 roku Sąd Najwyższy Illinois utrzymał w mocy wyrok skazujący. Mimo to John znów się odwołał, ale ten dokument odrzucił już Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych. Gacy przegrywał więc wszystkie batalie, których się podejmował. Próbował jeszcze uratować swoje życie, walcząc o unieważnienie kary śmierci, ale i te starania okazały się bezskuteczne. W październiku 1993 roku Sąd Najwyższy odrzucił ostateczną apelację, a egzekucję wyznaczono na 10 maja 1994 roku. W celi śmierci Gacy przekonywał:

Dzisiaj jestem tak uśmiechnięty i żartujący jak zawsze. Nie popadam tu w udrękę. Gdy wiesz, że nie zrobiłeś nic złego, to się nie boisz. Nie boję się spotkania z Bogiem. Jestem na to gotowy. Chodzę do spowiedzi, przyjmuję komunię.

Na spotkanie z Bogiem Gacy wyruszył z samego rana 9 maja. Przewieziono go helikopterem do ośrodka karnego Stateville w Crest Hill. Swój ostatni dzień mógł spędzić z rodziną, organizując wspólny piknik. Zgodnie z jego życzeniem dostarczono mu kubełek KFC, dwanaście smażonych krewetek, truskawki, frytki, a także dietetyczną colę. Wieczorem spotkał się jeszcze z katolickim księdzem, który towarzyszył mu w modlitwie.

Kres życia Gacy'ego nadszedł 10 maja. Przewieziono go do komory egzekucyjnej, w której czekał już na niego śmiertelny zastrzyk. Gdy podawano truciznę, doszło do poważnego incydentu. Według jednej z wersji płyn zamienił się w żel, przez co nie mógł rozejść się po ciele. Niewykluczony jest też skrzep w układzie krwionośnym albo zatkanie samej rurki, która miała doprowadzić chemikalia do organizmu Johna. Na chwilę zasłonięto więc żaluzje, by osoby, które przyszły obserwować egzekucję, nie widziały całego zamieszania.

Pierwszy zastrzyk usypia skazańca, drugi zatrzymuje oddech, a trzeci akcję serca. W przypadku Gacy'ego sen przyszedł później – był przytomny, gdy chemikalia płynęły w jego żyłach. Umierał więc w pełni świadomy i okropnie cierpiąc.

Choć według prokuratury, która później komentowała całe zdarzenie, jego śmierć i tak była dużo łagodniejsza niż ofiar, którym odbierał życie. Gdy udało się naprawić błąd, ponownie odsłonięto żaluzje, a trucizna objęła swym strumieniem ciało mordercy. Wszystko trwało łącznie osiemnaście minut, choć powinno maksymalnie dziesięć. Podczas gdy Gacy umierał, przed zakładem zebrał się tłum liczący około tysiąca osób. Część zebranych miała na sobie koszulki z wizerunkiem klauna, które były nawiązaniem do charytatywnej działalności Gacy'ego. Pod obrazkami widniał napis: „Bez łez dla klauna".

Śmierć Johna Wayne'a Gacy'ego odnotowano o godzinie 00.58 10 maja 1994 roku. Jego ostatnie słowa przed podaniem trucizny miały brzmieć: *Pocałujcie mnie w dupę*, choć zdaniem prokuratury skazaniec milczał. W celu badań wyjęto mózg z jego czaszki, a ciało poddano kremacji.

Ulubioną piosenką Gacy'ego była *Send in the Clowns* Franka Sinatry:

Nie kochasz farsy? Mój błąd, myślałem, że chcesz tego, czego ja chcę. Wybacz, moja droga. Ale gdzie są klauni? Szybko, wyślij klaunów. Nie kłopocz się. Oni są tutaj…

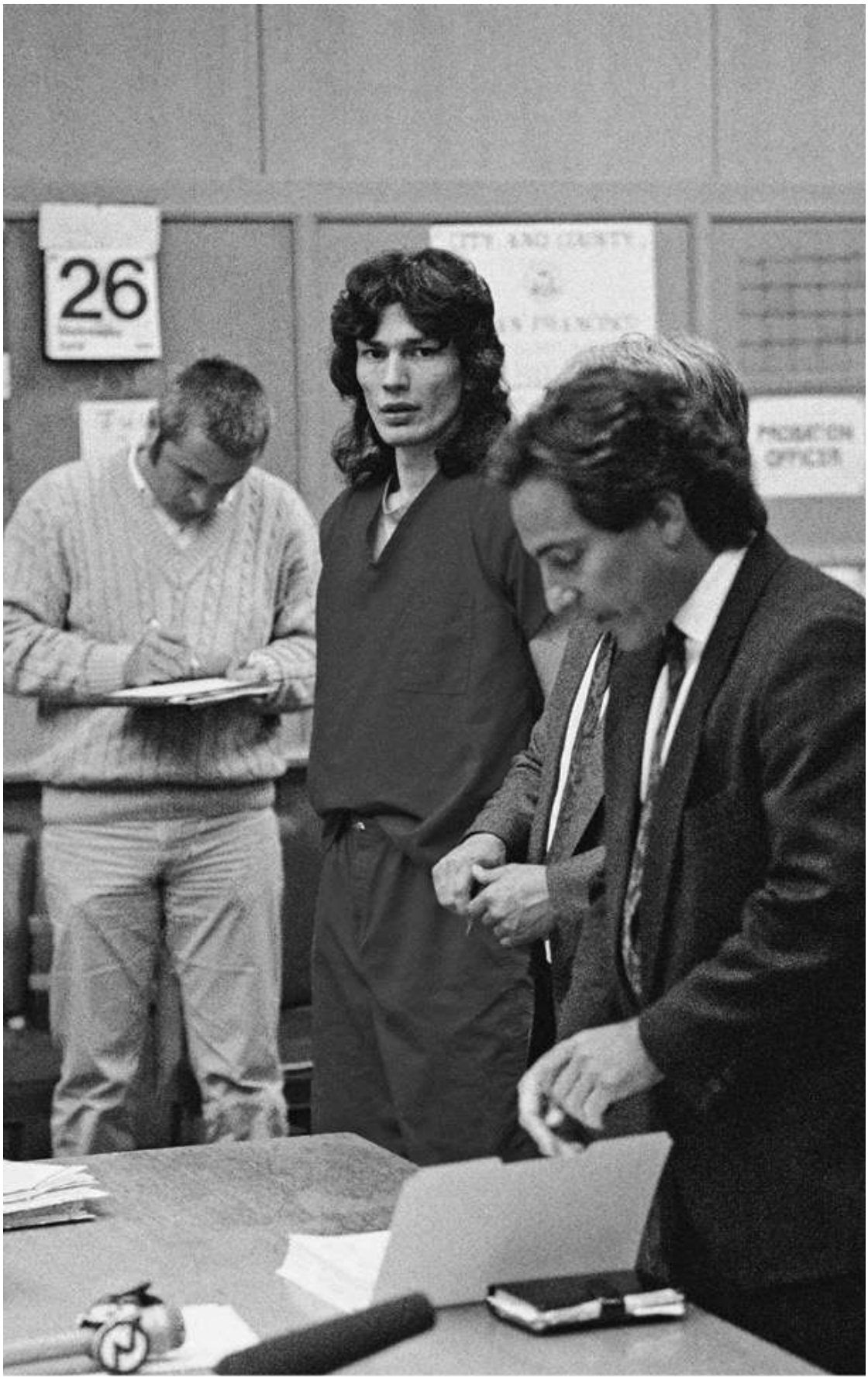
26

Richard Ramirez włamywał się do domów i atakował pogrążonych we śnie mieszkańców. Bił, gwałcił, torturował i zabijał, czasem okaleczał zwłoki ofiar. Zabił czternaście osób.

FOT. AP PHOTO/ALAN GRETH/EAST NEWS

RICHARD RAMIREZ

Nocny Prześladowca

Nie rozumiecie mnie. Nie dziwię się temu. Nie jesteście w stanie mnie pojąć. Egzystuję poza dobrem i złem. Zostanę pomszczony. Lucyfer odpłaci wam za wszystkie moje krzywdy.

Richard Ramirez

Satanizmu nie można zdefiniować jedną krótką regułką. Jest zbyt rozległy, skomplikowany i wielowarstwowy, by zamknąć go w prostym schemacie. Niesie ze sobą zazwyczaj złe skojarzenia i przywodzi na myśl czarne msze, podczas których oddawana jest cześć Szatanowi, zwierzęta składane są w ofierze, a wszyscy uczestnicy zaprzedają dusze, biorąc udział w całonocnych orgiach. To oczywiście głównie wyobrażenie pisarzy i Hollywood, bo sam satanizm niekiedy jedynie z nazwy nawiązuje do postaci Lucyfera. Ale żeby zrozumieć tę różnicę, trzeba wyzbyć się wszelkich uprzedzeń i przyjętych schematów.

Kult – nazwijmy to – diabła spotkamy u wyznawców satanizmu teistycznego. Swoje wierzenia opisują jako religię, ale też filozofię. Jest jednak też ruch ateistyczny i współczesnym satanistom znacznie bliżej do tej właśnie grupy. Ich wyznawcy nie oddają czci jakiemukolwiek bóstwu, Szatan jest jedynie pewnym symbolem łamania chrześcijańskich nakazów i zakazów, które zdaniem satanistów ograniczają ludzką naturę. Człowiek według nich powinien kierować się tylko jedną zasadą – nie wyrządzać nikomu krzywdy. Jednocześnie powinien pamiętać, że to on jest na szczycie ewolucji i ma w pełni korzystać z wywalczonych przez siebie praw. Zero ograniczeń, stawianie na siebie, własne możliwości i osobisty rozwój – tak według satanistów powinno wyglądać ludzkie życie. Bez umartwiania się w imię bóstwa, którego istnienia nikt nie jest w stanie udowodnić. Kościół Szatana, który został utworzony w 1966 roku w Stanach Zjednoczonych, do tej filozofii dorzucił zabawę w czarną magię, co może mieć zdecydowanie negatywny wydźwięk. Ale w tej samej Ameryce sataniści coraz częściej stają się obrońcami praw człowieka, walcząc o równouprawnienie, dostęp do aborcji czy uderzając w homofobiczne i rasistowskie organizacje. Oczywiście tak jak przed laty, tak i teraz możemy spotkać sekty, które – nazywając sie-

bie satanistycznymi – przewracają krzyże na cmentarzach, zabijają koty, a nawet ludzi, w imię rzekomego Lucyfera. Zdaniem zdeklarowanych satanistów są to zwykli chuligani i mordercy, którzy z ich filozofią nie mają nic wspólnego. Zapewne wielu z nich to samo myślało, gdy w latach osiemdziesiątych amerykańskie ulice terroryzował Nocny Prześladowca, który malował pentagramy ludzką krwią, a przed każdą zbrodnią modlił się do Szatana, prosząc go o wsparcie i deklarując, że wszystko, co robi, robi właśnie dla niego.

– Czym jest dla mnie Szatan? – mówił w rozmowie z dziennikarzem i pisarzem Philipem Carlo. – To jedyna stabilizująca siła w moim życiu. Daje mi powód do życia, daje mi… szansę na usprawiedliwienie. Wierzę, że on istnieje, no, może nie do końca, ale każdy z nas miewa przecież chwile zwątpienia.

Taka deklaracja ze strony Richarda Ramireza może być zaskoczeniem, bo wychowywał się w katolickiej rodzinie i sam do osiemnastego roku życia gorliwie wierzył w Boga.

Mercedes Ramirez pracowała w fabryce butów nawet wtedy, gdy w jej brzuchu rozrastało się już nowe życie. Będąc w ciąży, wdychała chemiczne opary, co dodatkowo osłabiało i tak wycieńczony organizm. Niewiele brakowało, a Richie w ogóle nie przyszedłby na świat, bo unoszące się wokół chemikalia doprowadzały jego matkę do granicy wytrzymałości, zarówno psychicznej, jak i fizycznej. Nieustanne zawroty głowy, problemy ze stawami i ryzyko poronienia sprawiły, że Mercedes musiała skorzystać z pomocy specjalistów. Otrzymała serię bolesnych zastrzyków, które miały utrzymać syna przy życiu. I to się udało, bo 29 lutego 1960 roku w środku nocy na świat przyszło piąte dziecko Ramirezów. Małżeństwo miało już trzech synów – Rubena, Josepha i Roberta, a także córkę Ruth.

Ramirezowie mieszkali w El Paso w Teksasie. Nad tym rozległym miastem, które dziś liczy sobie ponad 650 tysięcy mieszkańców, króluje przepiękne, ale niezwykle surowe pasmo górskie. Gdy Ramirez przychodził na świat, El Paso było znacznie mniej rozwinięte niż dzisiaj, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę liczbę mieszkańców. W 1960 roku było tam

niespełna 300 tysięcy ludzi. To mniej więcej tyle, ile dziś liczą Katowice czy Białystok.

W rodzinie wyróżniał się agresywny ojciec Julian. Boleśnie karał za niesubordynację, używając do tego między innymi węża ogrodowego. Najczęściej doświadczał tego Ruben, który był buntownikiem i wykazywał całkowity brak zainteresowania szkołą. Za słabe oceny oraz skargi nauczycieli płacił wysoką cenę w postaci ran i siniaków zafundowanych przez surowego tatę. Jak po latach opowiadało rodzeństwo Richarda, Julian miał napady szału, w których robił krzywdę zarówno dzieciom, jak i sobie, waląc na przykład głową w ścianę.

Joseph miał problemy ze zdrowiem, często odwiedzał szpital, przechodził operacje i musiał nosić buty ortopedyczne. Z kolei Robert nie radził sobie z nauką i uczęszczał do klasy specjalnej. Ruth biła się nie gorzej od chłopców, a Richard jako najmłodszy z rodzeństwa często trzymał stronę siostry, przy której czuł się najpewniej. Ona zresztą również miała do niego słabość, traktowała trochę jak ulubioną zabawkę, tyle że z większą czułością i troską.

W 1962 roku, czyli gdy Richard miał dwa lata, doszło do poważnego wypadku z jego udziałem. Opiekowała się nim wówczas niania, którą zatrudnili rodzice. Chłopiec od urodzenia wykazywał duże zainteresowanie muzyką. Tego dnia chciał samodzielnie włączyć radio, które stało na komodzie. Postanowił więc wspiąć się po meblu i sięgnąć urządzenia. Ale gdy stawiał kolejne kroki, komoda zaczęła się przechylać, aż w końcu upadła, mocno uderzając dziecko w głowę. Richard stracił przytomność. Szybko trafił do szpitala, gdzie założono mu łącznie 30 szwów. Cudem przeżył ten incydent, który skończył się na wstrząsie mózgu i widocznej bliźnie na głowie. Odpowiedzialnością za wypadek rodzice obciążyli opiekunkę, z którą wkrótce po tym się pożegnali.

W kolejnych latach wydawało się, że to Ruben wyrośnie na najgorszego członka rodziny. Wpadł w złe towarzystwo, zaczął wąchać klej, razem z znajomymi ukradł też samochód i trafił za to do aresztu. Ojciec, który często wyjeżdżał na kilka dni do pracy, nie miał nad chłopakiem właściwie żadnej kon-

troli. Gdy wracał i wychodziło na jaw, co w tym czasie robił syn, mężczyzna sprawiał mu tęgie lanie, które wychowawczo nie przynosiło żadnego efektu. Problemy jedynie się piętrzyły. Ruben włamał się do jednego z domów i znów trafił za kratki. Rodzicielska interwencja skończyła się skatowaniem własnego dziecka. Gdy Julian wpadał w gniew, kompletnie nie panował nad emocjami. Żona bała się, że pewnego dnia w przypływie kolejnego szału pobije syna do nieprzytomności. Próbowała wpływać na niego i hamować te zapędy, ale było coraz gorzej. Do nieustannej furii dołączyło zamiłowanie do kieliszka, do którego mężczyzna zaczął zaglądać coraz częściej. W ten sposób próbował ukoić nerwy, ale też odpocząć od rodziny, która kosztowała go zbyt dużo negatywnych emocji.

Wszyscy bali się wybuchów Juliana, a Richard nie był wyjątkiem:

To był raczej irracjonalny strach, ponieważ nigdy mnie nie tknął. Widziałem jednak, jak bił Rubena i Roberta, widziałem także, jak wpada w szał z powodu źle odbierającego telewizora, gdy chciał coś obejrzeć. Ludzie mówią, że gorzej jest patrzeć na dręczenie osoby ci bliskiej, niż samemu znosić tortury. Nie wiem, czy to prawda, ale naprawdę bałem się ojca. Gdy zaczynał się wściekać, wiałem gdzie pieprz rośnie, wystraszony jak cholera.

Być może to właśnie ten strach sprawiał, że Richard był wyjątkowo grzecznym dzieckiem. Nie sprawiał rodzicom żadnych problemów, był uroczy i towarzyski. Jedna z jego przyjaciółek z dzieciństwa Patricia Kassfy po latach wspominała:

Był przyjacielski, miły i taki zabawny. Nieustannie mnie rozśmieszał. Jeśli chciałam iść do szkoły przez skrót, musiałam przejść przez nieciekawą okolicę. Zawsze na mnie czekał i odprowadzał. Był opiekuńczy.

Chłopak był lubiany, zwłaszcza przez dziewczynki. Był dla nich dobry, a do tego miał spory urok osobisty. Niestety, gdy był już w szkole, zaczęły pojawiać się ataki padaczkowe. Miał ich nawet po dwadzieścia w jednym miesiącu. Zdarzało się, że upadał w miejscu publicznym, owładnięty drgawkami. Na tamtym etapie nie postawiono jeszcze konkretnej diagnozy, dopiero po latach okazało się, że Ramirez cierpiał na padaczkę

skroniową. Ta choroba dotyka miliony ludzi na całym świecie. Choć wiedza na jej temat jest dość rozległa, to wyleczenie jest niezwykle trudne i wymaga wieloletniej, żmudnej terapii. Co ważne, ten rodzaj padaczki obejmuje część przyśrodkową płata skroniowego, który odpowiada za mowę, słuch czy zmysł węchu, jego wagi nie da się więc przecenić. Poza utratą świadomości i drgawkami wśród dolegliwości związanych z tym schorzeniem notuje się zapatrzenie, czyli bezruch wzrokowy. To, że dotyka on również Richarda, zauważyła jego siostra Ruth. Jak później mówiła, miała wrażenie, że brat jakby wpadał w stan zawieszenia i na chwilę się wyłączał.

Przez swoje ataki młody Ramirez stracił miejsce w drużynie futbolowej. Był to dla niego duży cios, bo kochał ten sport i był w nim naprawdę dobry. Kolejny bolesny etap w życiu nadszedł, gdy z domu wyprowadzili się wszyscy bracia. Ruben porzucił rodzinę, nie kończąc nawet szkoły, po prostu spakował się i wynajął mieszkanie razem z kolegami. W domu zrobiło się pusto, a Richard czuł się samotny. Była jeszcze Ruth, ale utrata trójki braci niemal w tym samym czasie była niezwykle bolesna. Richard bardzo potrzebował męskiego przewodnika, który pokazywałby mu świat i wszystkie związane z nim zawiłości. Pustkę po braciach wypełnił więc kuzyn Miguel. Dopiero co wrócił z Wietnamu i z dumą prezentował przyznane na wojnie medale. Richard patrzył na niego z nieukrywanym podziwem, zwłaszcza gdy kuzyn wprowadzał go w tajniki dalekich misji. Mimo że Ramirez był jeszcze dzieckiem (miał wówczas dwanaście lat), Miguel opowiadał mu o wszystkim, nie pomijając najdrobniejszych szczegółów. Na dowód zaś pokazywał wykonane przez siebie zdjęcia. To ich obraz Richard miał w głowie przez wiele lat, również wtedy, gdy dokonywał swoich szokujących zbrodni.

Na fotografiach kuzyn uwieczniał gwałty na Wietnamkach. Zmuszał kobiety do seksu, grożąc im bronią. Na jednym ze zdjęć trzymał odciętą ludzką głowę. Richard patrzył na to wszystko i chłonął przekaz niczym gąbka. Wychowany w katolickiej wierze, wiedział, że to, co pokazuje Miguel, jest złe, ale mimo wszystko nie potrafił ukryć przed samym sobą niezwykłej przyjemności, jaką dawało mu oglądanie tych obrazów. Chłopak zaczął się masturbować, przez co przemoc

i brutalność kojarzyły mu się też z seksem i rozkoszą. To niezwykle groźne połączenie, o którym mówił już chociażby Ted Bundy. Richardowi coraz częściej udawało się zagłuszać wyrzuty sumienia, stawiając fizyczną przyjemność nad moralnymi wątpliwościami. Dotykając samego siebie, nieustannie wracał myślami do tego, co pokazywał mu krewny. Zapoczątkowało to jego drogę ku satanizmowi.

Ramirez coraz bardziej oddalał się od rodziców, a gniewu ojca unikał, chowając się na cmentarzu. Spędzał tam czasem całe noce. Pośród grobów czuł niezwykły spokój, były dla niego na swój sposób mistyczne i kojące. Ojciec martwił się, że również najmłodszy syn wpadnie w złe towarzystwo, tym bardziej że dzieciak był pod ogromnym wpływem kłopotliwego kuzyna. Dla Richarda Miguel był wzorem do naśladowania, imponowała mu jego życiowa postawa, a także dokonania w Wietnamie. Ale Mike poza tym, że był trudny, był również niebezpieczny, o czym przekonała się jego żona Jessie. Kobieta próbowała wpłynąć na mężczyznę, sprawić, by znalazł porządną pracę i przestał skupiać się na jedynej czynności, która go kręciła – siłowni. Ale jej prośby trafiały w próżnię.

Czwartego maja 1973 roku Richard ponownie odwiedził kuzyna. Rozmawiali i grali w minibilard. Pod wieczór do domu wróciła żona Miguela. Nie była zachwycona, kiedy zobaczyła, że mąż nadal nie ma pracy i większość czasu marnuje na siedzenie z dzieciakiem. Zaczęła otwarcie krytykować Miguela, wyrzucając mu, że jest leniwy. Ten w odpowiedzi kazał jej się zamknąć, ale Jessie nie zamierzała tego tak zostawić. Między parą wywiązała się kłótnia. Chwilę później Mike podszedł do lodówki, wyciągnął z niej broń i strzelił żonie prosto w twarz z bliskiej odległości. Kobieta upadła na ziemię jak kłoda. Z dużej rany tryskała krew, robiąc coraz większą plamę na podłodze. Richard patrzył na to wszystko w milczeniu, z szeroko otwartymi oczami. Był w szoku. Gdzieś w tle, pośród dzwonienia, które po wystrzale wypełniło jego uszy, dotarł do niego głos kuzyna, który zabronił mu przyznawać się, że cokolwiek widział. Richie przytaknął i wyszedł z domu. Zgodnie z poleceniem Miguela nikomu nic nie powiedział. Ani rodzicom, ani siostrze.

Po kilku dniach od zabójstwa, gdy kuzyn siedział już w areszcie, czekając na proces, Richard wrócił do jego domu razem z ojcem. Mieli zabrać stamtąd kilka rzeczy. Gdy tylko przekroczyli próg, Julian zauważył ogromną plamę zaschniętej krwi. Według Richiego jej zapach cały czas unosił się w powietrzu. To właśnie wtedy miał zrozumieć, co tak naprawdę go w życiu kręci. Przekonywał, że będąc w środku i dotykając rzeczy Jessie, czuł się tak, jakby dalej miał z nią kontakt. Przeszedł go dreszcz i wiedział już, że chce, by to uczucie trwało jak najdłużej.

Zabójstwo Jessie całkowicie zmieniło Richarda. Z uśmiechniętego i serdecznego chłopca stał się poważnym, znacznie bardziej mrocznym, długowłosym nastolatkiem, który zaczął sięgać po narkotyki i kraść. Ojciec patrzył na tę metamorfozę z coraz większym niepokojem, bo po cichu liczył, że Richard wyrośnie na porządnego, spokojnego mężczyznę. Z dobrego ucznia i pupila nauczycieli chłopak stał się jednak buntownikiem, którego nauka zupełnie już nie interesowała. W końcu porzucił dom i El Paso, zostawiając rodziców, i przeniósł się do brata do Los Angeles.

Tam Richard był poza jakąkolwiek kontrolą. Miał trzynaście lat i czuł, że świat właśnie zaczyna się przed nim otwierać. W jego głowie coraz częściej pojawiały się seksualne fantazje, w których dominował nad wyimaginowaną partnerką. Odkrył, że taka wizja sprawia mu ogromną przyjemność. Podobnie jak kradzieże. Jako złodziej czuł się jak ryba w wodzie i był w tym naprawdę dobry.

Ruben założył własną rodzinę, miał dziewczynę i dziecko. Ale takie życie nie sprawiło, że porzucił kryminalną działalność. Wręcz przeciwnie, dalej zadawał się z lokalnymi gangami, palił marihuanę, pił alkohol, a czasem sięgał też po heroinę. Nie zamierzał z tym skończyć również wtedy, gdy przyjechał do niego najmłodszy brat. Ruben bardzo szybko zaczął wprowadzać Richiego w wyzwolony świat Los Angeles. Pokazał mu ocean, który na nastolatku zrobił ogromne wrażenie. Ale dużo większe wywołał widok pięknych, młodych kobiet w bikini. Paradowały po plaży, prezentując zgrabne figury, a Richard nie mógł oderwać od nich wzroku. Jeszcze większy szok przeżył, gdy – przechodząc rozświetlo-

nymi ulicami Miasta Aniołów – zobaczył prostytutki. Mocno roznegliżowane, kusiły przechodzących obok mężczyzn, proponując ostry, odważny seks. Były głośne, otwarte i miały wyzywające makijaże, których zadaniem było przyciągnięcie klientów. Richard był nimi wyraźnie zafascynowany. Jego pożądanie rosło każdego dnia i przybierało bardzo niepokojące kształty. Marzył o zniewalaniu, dominowaniu i krzywdzeniu. Nie wyobrażał sobie romantycznych uniesień, lecz brutalny seks pełen przemocy i siły.

Pobyt w Los Angeles to nie tylko uważne obserwowanie półnagich kobiet na ulicach, ale też włamania, w których Richard brał aktywny udział. Był w tym fachu naprawdę dobry, dlatego po powrocie do El Paso nieszczególnie chciał skupić się na nauce. Wydawało mu się, że nie ma ona najmniejszego sensu, bo przestępcze życie przynosi nie tylko więcej pieniędzy i możliwości, ale daje też silnego kopa adrenaliny, czego z pewnością nie doświadczyłby, siedząc nad książkami.

Jego osobowość ulegała nieustannemu przeobrażeniu. Chęć dominacji, ale także widok krwi działały na niego jak magnes. Zamiast chodzić do szkoły, Ramirez wolał znikać na samotne polowania. Włóczył się po okolicy i z broni, którą dostał od ojca, strzelał do niewielkich zwierząt. Czasem udało mu się zabić kojota. Każdą ofiarę własnoręcznie patroszył i z fascynacją oglądał jej wnętrze. Spływająca po jego dłoniach czerwona ciecz niezwykle go podniecała. Wpatrywał się w nią czarnymi jak węgiel oczami, które błyszczały za każdym razem, gdy czuł rozlewające się po ciele ciepło i dreszcz. Jego sadyzm rósł z dnia na dzień.

Zalegający w nim mrok pogłębiły eksperymenty narkotykowe, które zaczął przeprowadzać w wieku niespełna czternastu lat. Coraz chętniej sięgał po LSD, ale też grzybki halucynogenne. Wtedy też zaczęła się pojawiać jego fascynacja Szatanem. Mimo że wywodził się z ultrakatolickiej rodziny, diabeł nie wywoływał w nim strachu, a opowieści o wiecznym potępieniu nie sprawiały, że budował w sobie właściwy kręgosłup moralny. Zło go pociągało, a narkotyki wzmagały jedynie wizje, w których pojawiał się właśnie Szatan. To w nim Richard zaczął dostrzegać swojego powiernika, kogoś, kto

będzie przy nim zawsze i nie potępi go za jego myśli i fantazje:

Szatan zapewnia równowagę mojemu życiu, jest celem mojego istnienia, racjonalizuje mój świat – naprawdę w niego wierzę.

Ramirez, nie widząc sensu w dalszej nauce, porzucił szkołę i znalazł pracę w Holiday Inn, międzynarodowej sieci hotelarskiej. Głównie sprzątał i nosił bagaże za gośćmi, czasem też zajmował się niewielkimi naprawami. Hotel był dla niego jak Disneyland. Widywał młode kobiety, które – kiedy mijał je na korytarzach – wywoływały w nim duże podniecenie. Masturbował się potem, wyobrażając sobie, że je związuje, a one są całkowicie zdane na jego łaskę. Pewnego dnia wsiadł do windy z dwiema nastolatkami. Powiedział jednej z nich komplement, a ona o wszystkim doniosła swoim rodzicom. Ci z kolei złożyli skargę u kierownictwa hotelu i w ten sposób Richard dostał pierwsze ostrzeżenie w pracy. Zalecanie się do gości było absolutnie zabronione.

Ale chłopak posuwał się coraz dalej. Jakimś sposobem zdobył uniwersalny klucz, który pasował do wszystkich pokoi hotelowych. Wchodził do środka i obserwował śpiących ludzi. W międzyczasie wynosił też cenne przedmioty. Robił to tak cicho i dyskretnie, że nikt nie słyszał, nawet jak przemyka po pomieszczeniu, myszkując w szafkach. Znikały pieniądze, portfele i biżuteria. Z czasem same kradzieże przestały wystarczać i Richard poszerzył działalność o podglądanie kobiet. Podniecenie nieustannie rosło, aż wreszcie czuł, że samo patrzenie to za mało. Chciał zniewolić jedną z kobiet, poczuć jej strach i ból, zgwałcić ją wyjątkowo ostro, kneblując przy tym i wyzwalając w niej całkowite poddanie.

Wreszcie nadszedł taki moment. Obserwował atrakcyjną brunetkę, która weszła do pokoju sama. Gdy zniknęła na chwilę w łazience, Richard otworzył cicho drzwi uniwersalnym kluczem i wślizgnął się do środka. Szybko ukrył się w szafie, czekając, aż ofiara znajdzie się w jego zasięgu. Gdy spostrzegł, że wróciła do pokoju, natychmiast wyskoczył z ukrycia, zasłonił kobiecie usta, powalił ją na ziemię i związał. Był przekonany, że nie dostrzeże jego twarzy. Podniecony

zaczął ściągać jej majtki, czekał na tę chwilę od tak dawna… Ale gdy zabierał się do gwałtu, do pokoju wszedł mąż kobiety. W porównaniu z Richardem był niezwykle wysoki i dobrze zbudowany. Wpadł w furię, widząc napastnika, który chce skrzywdzić jego żonę. Błyskawicznie rzucił się na chłopaka i zaczął okładać go bez opamiętania po całym ciele. Ramirez stracił przytomność, krwawiąc na całej twarzy. Wezwano obsługę hotelu i policję, a Richard trafił do szpitala. Miał poważne obrażenia głowy z wstrząsem mózgu włącznie. W tym czasie poinformowano też jego rodzinę o tym, co wydarzyło się w hotelowym pokoju, a zaskoczona matka natychmiast wsiadła w samochód i pojechała do syna do szpitala. Tam wpółprzytomny i obolały chłopak przekonywał, że nie zaatakował kobiety, to ona zaprosiła go do pokoju i chciała uprawiać z nim seks. W chwili, gdy zaczęła się rozbierać, przyszedł jej mąż, który rzucił się na niego z pięściami. Mercedes, jak każda matka, niezwykle kochała syna i nie wierzyła, by mógł być zdolny do wyrządzenia komukolwiek krzywdy, zwłaszcza niewinnej kobiecie. Nie dopuszczała do siebie myśli, że Richard chciał zgwałcić swoją ofiarę, i bez wahania uwierzyła w jego wersję wydarzeń. W przekonaniu utwierdziło ją to, że para ostatecznie wycofała oskarżenie, a sprawa została umorzona.

W wieku osiemnastu lat Richard całkowicie porzucił El Paso. Od kiedy tylko odwiedził brata, marzył o Los Angeles. To miasto przyciągało do siebie ludzi podobnych do Ramireza. Kusiło swoim wyzwoleniem, również seksualnym, skąpanymi w słońcu plażami i opalonymi ciałami pięknych młodych kobiet. Narkotyki były łatwo dostępne, podobnie zresztą jak cielesne uciechy. Z kolei duże bogate domy były jak zaproszenie dla wszelkiej maści psychopatów, którzy upodobali sobie włamania, kradzieże i gwałty. Ale nawet tak szalone i nieprzewidywalne miasto jak to nie było gotowe na Richarda Ramireza i terror, jaki przyniósł ze sobą jego przyjazd z El Paso.

Chłopak szybko porzucił LSD i trawkę dla kokainy. Najpierw wciągał narkotyk do nosa, potem zaczął go sobie wstrzykiwać. Błyskawicznie się od niego uzależnił, a – co niedługo potem zrozumiał – był to niezwykle kosztowny nałóg. Ramirez wiedział więc, że musi zdobyć pieniądze, jeśli chce

utrzymać siłę i potęgę, którą dawała mu kokaina. Postawił na to, w czym czuł się najlepiej – włamania. Regularnie wchodził do domów i wynosił z nich wszystko to, co można było upchnąć u pasera. Najlepiej schodził sprzęt RTV, na przykład telewizory czy wieże stereo, ale mile widziana była również biżuteria, zwłaszcza jeśli miała cenne kamienie. Codzienność była więc dla Richarda mało skomplikowana. Włamania, sprzedaż łupów, kupno kokainy, ćpanie, trzeźwienie i znów kradzieże… Mała rutyna, która zapewniała mu jednak wszystko, na czym zależało mu najbardziej, czyli adrenalinę związaną z wchodzeniem do cudzych domów, a także narkotyki.

W tym czasie zaczęła się też pogłębiać jego fascynacja Szatanem, który powoli stawał się sensem jego istnienia. Tłumaczył sobie, że wszystko, co robi, robi właśnie w imię własnego boga. Nakręcał się, słuchając ostrej muzyki, głównie AC/DC czy Black Sabbath. W ich utworach doszukiwał się ukrytych przekazów, które jeszcze bardziej przybliżały go do diabła. Przeciętny odbiorca jest w stanie traktować zespoły heavymetalowe czy wprost określane jako satanistyczne z dużym dystansem, patrząc na całość jak na artystyczne fantazje. Ale Richard był inny, zwłaszcza gdy słuchał muzyki, wlewając wcześniej do żył kokainę. Każde słowo w utworze stawało się symbolem, który powoli otwierał drzwi do zgłębiania świadomości. Ciężkie brzmienie dodawało mu jeszcze większej władzy, którą pragnął przelać na ofiary. Fantazjował o gwałtach i zadawaniu bólu, wyobrażając sobie, że na te wszystkie czyny spogląda Szatan. Sięgał po satanistyczne książki, które nakręcały go jeszcze bardziej. Był zachwycony działalnością innych satanistów, którzy w Stanach Zjednoczonych budowali prężnie rozwijające się społeczności.

Poza włamaniami do domów Ramirez parał się też kradzieżami samochodów. Jednym z takich aut ruszył do San Francisco, by osobiście porozmawiać z Antonem LaVeyem, twórcą Kościoła Szatana, autorem *Biblii Szatana*.

Mężczyzna w przeszłości był opiekunem zwierząt cyrkowych, ale już jako nastolatek zaczął fascynować się magią i okultyzmem, rozpoczął też naukę hipnozy. Miał spory dar przyciągania ludzi, co wkrótce wykorzystał, prowadząc

wykłady na temat wampirów, snów, postrzegania pozazmysłowego czy magii ceremonialnej. Liczba osób zainteresowanych jego wystąpieniami rosła z każdym wykładem. Tak skupił wokół siebie wiernych wyznawców, a dyskusje o wilkołakach przerodziły się w odprawianie magicznych rytuałów. W końcu zaczął otwarcie wychwalać Szatana. W 1966 roku stworzył własny Kościół, który działają do dziś. W dosyć krótkiej historii tego Kościoła dwukrotnie doszło do schizmy – najpierw w 1975 roku, w wyniku czego powstała Świątynia Seta, a także w 1997 roku. Wówczas powołano Pierwszy Kościół Satanistyczny, który prowadzony był przez córkę Antona, Karlę.

Richardowi udało się poznać Najwyższego Kapłana, który po latach tak wspominał to spotkanie:

Gdy poznałem Richarda Ramireza, wydał mi się najmilszym, najbardziej uprzejmym młodym człowiekiem, jakiego tylko chciałbyś na swojej drodze spotkać. Zatrzymał mnie na ulicy i powiedział: „Przepraszam, panie LaVey, czy mogę z panem chwilę porozmawiać?”. Cóż, generalnie nie lubię, gdy ludzie podchodzą do mnie w ten sposób, więc go zbyłem: „Nie robię interesów na chodniku. Możesz napisać list i wysłać go pocztą”. Cofnął się i przeprosił za zaczepienie mnie, powiedział, że chciał mnie zapytać tylko o kilka rzeczy, ale widzi, że jestem zajęty, więc życzył mi wszystkiego dobrego i udanej nocy przesilenia. Oddalił się ulicą razem ze swoim znajomym z Teksasu, jak sądziłem. Patrzyłem, jak się oddala, i gdy zbliżał się do rogu, prawie zawołałem do niego, by wrócił i porozmawiał ze mną. Dzisiaj, gdy o tym myślę, czuję się bardzo źle. Wyglądał na takiego uprzejmego dzieciaka.

Richard nie zraził się dość chłodnym potraktowaniem ze strony Antona. Wrócił do Los Angeles i zaczął jeszcze bardziej zgłębiać jego literaturę i zawarte w niej przesłanie. Przywdział czerń, porzucił uśmiech i dilerkę, którą zajmował się dorywczo, i postanowił sobie, że na poważnie zacznie wcielać w życie satanistyczną filozofię. Utożsamiał się z twierdzeniami, które w swojej biblii zawarł LaVey. Było ich dziewięć:

1. Szatan reprezentuje zaspokojenie żądz zamiast wstrzemięźliwości.

2. *Szatan reprezentuje pełnię życia zamiast duchowych mrzonek!*

3. *Szatan reprezentuje nieskalaną mądrość zamiast obłudnego oszukiwania samego siebie.*

4. *Szatan reprezentuje przychylność dla tych, którzy na to zasługują, zamiast marnowania miłości na niewdzięczników.*

5. *Szatan reprezentuje zemstę zamiast nadstawiania drugiego policzka!*

6. *Szatan reprezentuje odpowiedzialność w stosunku do odpowiedzialnych zamiast troski o psychicznych wampirów!*

7. *Szatan reprezentuje opinię, że człowiek jest zwierzęciem, niekiedy lepszym, ale częściej gorszym od czworonogów, z powodu zaś swojego „boskiego – duchowego i intelektualnego rozwoju" stał się najbardziej drapieżnym zwierzęciem ze wszystkich!*

8. *Szatan reprezentuje wszystkie tak zwane grzechy, ponieważ prowadzą one do psychicznego, umysłowego i emocjonalnego zadowolenia!*

9. *Szatan jest najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek Kościół posiadał, ponieważ przez wszystkie te lata dawał mu zajęcie!*

W swojej księdze LaVey dowodził też, iż „stanie się wiadome, że świat ciała i życia okaże się największym wstępem do wszelkich wiecznych rozkoszy". To przesłanie szczególnie opanowało głowę zakochanego w Lucyferze Richarda.

Jakiś czas po tym objawieniu Ramirez ukradł kolejne auto. Ale tym razem miał pecha, bo został złapany przez policję. Trafił przed sąd, a ten wysłał go do więzienia, w którym miał spędzić kilka miesięcy. Poznał tam kolejną osobę, która miała na niego duży wpływ i pozwoliła mu pogłębić miłość do Szatana. Jeden z osadzonych nieustannie opowiadał mu o diable. Utwierdził go w tym, że obrał właściwą ścieżkę i że to on, Richard Ramirez, rozumie istotę tego świata, a nie prości wyznawcy bożej nauki.

Po wyjściu z więzienia nie zamierzał porzucać kryminalnego życia. Wręcz przeciwnie, zaczął dostrzegać w nim pewnego rodzaju misję, którą miał do wykonania. Teraz swoje przestępstwa mógł dodatkowo dedykować temu, któremu ufał bezgranicznie – Lucyferowi. Wiedział, że im wyższa będzie ofiara i im większy będzie ciężar jego zbrodni, tym więcej zyska w oczach swojego Pana. To go jeszcze bardziej pchało ku mrocznym fantazjom. Kradzieże aut i włamania do domów musiały w końcu ewoluować. Zbliżenie do piekła wymagało przelania krwi niewinnych ludzi. Richard to wiedział i czuł, że jest gotów zawładnąć Los Angeles jak jeszcze nikt dotąd. Chciał nieść ze sobą ból i strach, doprowadzić ludzi do skrajnej paniki, zapanować nad ich emocjami i myślami. Tak narodził się Nocny Prześladowca.

W Mieście Aniołów każde lato jest upalne. Żar lejący się z nieba sprawia, że ludzie w poszukiwaniu odrobiny powietrza otwierają okna, uchylają drzwi balkonowe, chłodzą się na gankach i oddzielają od świata jedynie moskitierami. Dwudziestego ósmego czerwca 1984 Richard niecierpliwie krążył między domami, by wybrać kolejny cel. Potrzebował pieniędzy na narkotyki, a tylko kradnąc, potrafił je zdobyć. Ta noc miała być jednak inna od pozostałych. Obserwując budynki, Ramirez czuł, że rośnie w nim gniew, ale też ogromna potrzeba wyrządzenia komuś krzywdy. Do tej pory wślizgiwał się do domów, zabierał cenne przedmioty i wychodził przez nikogo niezauważany. Teraz jednak chciał, by lokatorzy dowiedzieli się o jego obecności, by czuli, jak zadaje im ból, i spojrzeniem pełnym przerażenia próbowali wychwycić upiora, który wynurzył się z ciemności.

Podjechał na Chapman Street, zatrzymał auto i został w nim chwilę. Gdy upewnił się, że nikt go nie obserwuje, wysiadł z pojazdu i ruszył w stronę wypatrzonego przez siebie domu. Nie był to duży budynek, ale wymagał dokładnego sprawdzenia. Zanim dostał się do środka, musiał mieć absolutną pewność, że nie ma alarmu, a wchodząc, nie narobi hałasu. Cisza grała istotną rolę w jego nocnych eskapadach po cudzych własnościach.

Dom należał do Jennie Vincow, która miała 79 lat. Była matką dwóch synów, ale od kilku lat mieszkała sama. Dobrze

sobie radziła i nie brała pod uwagę, że akurat jej dom może zainteresować jakiegokolwiek złodzieja. Jedno z okien zostawiła uchylone, ale żeby przez nie wejść, trzeba było pokonać moskitierę. Dla kogoś tak doświadczonego we włamaniach jak Ramirez nie była to jednak przeszkoda, którą trudno byłoby pokonać. Delikatnie rozmontował moskitierę, choć musiał do tego zdjąć rękawiczki. Praca w nich okazała się mało precyzyjna. Szybkim ruchem podciągnął się i wślizgnął do środka. Zamarł w bezruchu, by przyzwyczaić wzrok do ciemności i upewnić się, że domownicy śpią lub nie ma ich w środku. Gdy do jego uszu nie dotarły żadne odgłosy, ruszył przed siebie. Od razu skierował się do sypialni, gdzie znalazł śpiącą Jennie. Po sprawdzeniu reszty domu wiedział już, że kobieta była sama. Zaczął myszkować po szafkach w poszukiwaniu czegoś cennego. Ale staruszka nie należała do majętnych, nie miała ukrytej biżuterii i kopca gotówki. Richard poczuł wściekłość. Marnował czas na miejsce, z którego nie wyniesie niczego wartościowego. Poczuł irracjonalny gniew wobec śpiącej kobiety. Uznał, że skoro nie wyniesie z domu niczego wartościowego, to przynajmniej rozładuje na niej buzujące w nim emocje. Sięgnął po duży ostry nóż, zbliżył się do Jennie i, nie zastanawiając się długo, wbił ostrze w pierś staruszki. Przeszywający ból wyrwał ją ze snu. Przerażona zaczęła krzyczeć. Ramirez czuł, jak narasta w nim podniecenie, krew buzowała w jego żyłach, a oczy zalała czerwona mgła. Wrzask kobiety jedynie nakręcił go jeszcze bardziej. Zaczął więc dźgać ją bez opamiętania, co rusz unosił ostrze i zanurzał je z powrotem w jej ciele. Zakończył dzieło głębokim, silnym cięciem na gardle. Było tak szerokie, że niemal odcięło jej głowę. Patrzył na bezwładne ciało potwornie okaleczone jego ciosami. Był niezwykle dumny ze swojego dzieła, pożądanie pulsowało mu w czaszce. Wreszcie czuł to, o czym fantazjował od tak dawna. A co ważniejsze, wypełnił wolę swojego Pana.

W domu Jennie pozostał jeszcze przez około godzinę. Zabrał przenośne radio i zniknął w ciemnościach równie bezszelestnie jak wtedy, gdy się z nich wyłonił. Jechał przed siebie, odtwarzając w pamięci to, czego chwilę wcześniej dokonał. Włączył AC/DC i mówił w myślach, że wszystko to było ofiarą dla Szatana.

Ciało Jennie odnalazł kilka godzin później jej syn Jack. Odwiedzał ją codziennie, zawsze około godziny 13.00. Już zbliżając się do domu, zauważył, że na oknie nie ma moskitiery. Zaskoczyło go to, ale nie podejrzewał, że w środku rozegrał się prawdziwy horror. Wyciągnął klucz, by otworzyć drzwi, ale te były już uchylone. Wtedy mężczyzna poczuł lekkie ukłucie niepokoju. Wszedł do salonu, który był w całkowitym nieładzie. Wszystko zostało porozrzucane, ale co gorsza, w domu panowała głucha cisza. Jack przeszedł do sypialni i tam pod niechlujnie rzuconym kocem znalazł matkę. Była cała we krwi, podobnie jak ściany pokoju. Mężczyzna oszołomiony tym widokiem zaczął krzyczeć: „Mamo! Mamo!". Ale wszystko na nic – Jennie nie żyła już od wielu godzin. Syn w pośpiechu wybiegł z domu i zaczął wrzeszczeć, że zamordowano jego matkę. Kilka osób pomogło mu wezwać policję, która przyjechała po kilku minutach.

Dopiero przy oględzinach zwłok można było dostrzec rozmiar obrażeń, które zadał jej sprawca. Gardło było podcięte praktycznie od ucha do ucha. Rany obejmowały też klatkę piersiową, ramię, nogę, a także ręce, co sugerowało, że próbowała bronić się przed ciosami. Już przy pierwszym spojrzeniu śledczy zauważyli, że staruszka została wykorzystana seksualnie. Koszula była podciągnięta, a miejsca intymne okaleczone. Stwierdzono też stężenie pośmiertne, ale ze względu na wysoką temperaturę koroner miał problem z oszacowaniem dokładnego czasu zgonu. Rozstrzał był spory, bo uznano, że mogła nie żyć od sześciu do dwudziestu czterech godzin.

W domu policjanci i technicy nie znaleźli żadnych śladów, które mogłyby wskazać im potencjalnego sprawcę. Ale na zrzuconej moskitierze odnaleziono odciski palców. To był bardzo cenny dowód, bo w przypadku schwytania sprawcy można byłoby przypisać mu to brutalne zabójstwo.

Sąsiedzi nie byli zbyt pomocni, bo niczego tej nocy nie widzieli i nie słyszeli. Również wokół domu nie zauważono niczego, co mogłoby należeć do mordercy. Śledczy byli więc w niezwykle trudnej sytuacji. Morderstwo było okrutne i sugerowało, że stoi za nim szaleniec. Ale dlaczego wybrał właśnie Jennie? Czy ją znał? Czy może stała się całkowicie przypadkową ofiarą? Dlaczego ją okaleczył? Od początku chodziło

o nią czy nakryła go, gdy przeszukiwał jej mieszkanie? Śledczy musieli znaleźć odpowiedzi na wszystkie te pytania i w końcu namierzyć samego mordercę.

Zabójstwo Jennie zafundowało Ramirezowi dawkę emocji, jakich nigdy wcześniej nie czuł. Mimo to nie spieszył się z kolejnym atakiem. Wpadł w narkotykowy wir, który przyniósł mu wizje z Szatanem w roli głównej. Nie zapomniał o zabójstwie, którego dokonał, wręcz przeciwnie. Te przeżycia wciąż silnie w nim buzowały, ale z kolejnym uderzeniem czekał aż kilka miesięcy. Choć według śledczych, którzy już po zatrzymaniu mordercy analizowali życie Ramireza, istnieje duże prawdopodobieństwo, że w okresie czerwiec 1984–marzec 1985 dokonał jeszcze innych nieudowodnionych lub nigdy nieodkrytych zbrodni.

We wspomnianym marcu w ręce Richarda wpadła broń. Był to pistolet kaliber 22. Trzymając go w dłoni, poczuł, że jak najszybciej chce go na kimś wypróbować. Okazja nadarzyła się 17 marca. Krążąc skradzionym autem w Monterey Park, dostrzegł Marię Hernandez. Ładna dwudziestodwulatka o czarnych włosach i oczach oraz gładkiej oliwkowej cerze wracała właśnie ze spotkania z chłopakiem. Kierowała się w stronę Rosemead, które znajduje się w obrębie hrabstwa Los Angeles. Dziś liczy nieco ponad 50 tysięcy mieszkańców. Położone jest na wysokości 97 metrów nad poziomem morza. To skupisko uroczych domów, palm i przytulnych uliczek. Dobre miejsce dla tych, którzy cenią sobie spokój w kalifornijskim klimacie.

Ramirez śledził Marię aż do momentu, w którym wjechała na osiedle przy Village Lane. Razem ze współlokatorką Dayle Okazaki wynajmowała tam mieszkanie. Odstawiła auto do garażu, wysiadła z pojazdu i skierowała się w stronę drzwi, które były łącznikiem między domem a garażem. Nie miała pojęcia, że za jej plecami czai się zło. Richard zmierzał w jej stronę szybkim krokiem, znów poczuł znajome podniecenie i adrenalinę. Dziewczyna stanęła przy włączniku, którym chciała opuścić drzwi garażowe. Mężczyzna zdążył się wślizgnąć, choć z głowy spadła mu czapka z logo AC/DC. Całkowicie to jednak zignorował kierowany żądzą krwi. Uniósł broń, a Maria intuicyjnie się odwróciła. Wtedy zauważyła

napastnika, który już w nią celował. Zdążyła krzyknąć, by tego nie robił, uniosła odruchowo ręce, a Ramirez wystrzelił prosto w stronę jej twarzy. Ale wtedy wydarzyło się coś nieprawdopodobnego. W dłoni, którą uniosła Hernandez, były klucze i to właśnie w nie uderzyła kula, nie wyrządzając dziewczynie większej krzywdy. Maria była przytomna, ale upadła na ziemię, udając martwą. Wiedziała, że jeśli napastnik odkryje, że jej nie zabił, ponowi próbę, która tym razem najpewniej będzie skuteczna. Richard, przekonany, że zaliczył właśnie kolejne zabójstwo, odciągnął dziewczynę na bok i wszedł do mieszkania. Trafił do jadalni połączonej z kuchnią. Od razu zauważył Okazaki, która na widok intruza szybko schowała się za szafkami. Była przerażona, chwilę wcześniej musiała słyszeć dobiegający z garażu wystrzał. Liczyła na to, że mężczyzna nie zdążył jej dostrzec i nie wiedział, że się przed nim ukrywała. Ramirez czekał na nią jednak w absolutnej ciszy. Wiedział, że prędzej czy później dziewczyna się wychyli, by sprawdzić, czy napastnik zniknął.

Kilka chwil później stało się dokładnie tak, jak przewidywał. Okazaki uniosła głowę, wystawiając się mordercy jak na tarczy. Błyskawicznie uniósł broń i strzelił jej prosto w czoło. Dziewczyna upadła na podłogę, a z głowy gwałtownie zaczęła sączyć się krew. Napastnik odczekał kilka sekund, po czym odwrócił się i skierował w stronę frontowych drzwi. Wyszedł na zewnątrz i wtedy zobaczył… Marię Hernandez, która stała przed domem. Zrozumiał, że dziewczyna nie zginęła od pierwszego strzału, choć nie wiedział jeszcze, jak do tego doszło. Podniósł broń i znów w nią wycelował. Maria zaczęła krzyczeć, żeby tego nie robił: *Proszę, nie! Już raz mnie zabiłeś, nie rób tego drugi raz!* Ramirez nie strzelił. Trzymając wciąż uniesioną spluwę, zaczął się wycofywać, aż w końcu zniknął w oddali. Maria nie tylko ocaliła życie, ale stała się też pierwszym świadkiem, który mógł zidentyfikować sprawcę.

Richard wskoczył do auta i odjechał autostradą do San Bernardino. Był niezwykle podekscytowany, a w głowie raz po raz odtwarzał każdy fragment dokonanego przed chwilą zabójstwa. Jego podniecenie i zwierzęcy głód krwi nie zostały jednak do końca zaspokojone. W trakcie jazdy dostrzegł Tsai-Lian Yu nazywaną też Veronicą. Trzydziestoletnia studentka

prawa z Tajwanu wracała właśnie do domu w Monterey Park, gdzie mieszkała z rodzicami. Wcześniej spotkała się z przyjaciółką June Wang, która również pochodziła z Tajwanu. Za jej wozem podążył Ramirez, który już zwęszył kolejną ofiarę. W głowie zaczął układać kolejny plan, który miał zakończyć się śmiercią niewinnej kobiety. Ale Yu szybko zauważyła, że jest śledzona. Postanowiła zjechać z drogi, udając, że parkuje. Gdy Richard przejechał obok niej, miała okazję dokładnie zobaczyć jego twarz. Wydał jej się na tyle niepokojący, że postanowiła odwrócić role i to ona rozpoczęła śledzenie. Ten mikropościg zakończył się, gdy ruch na trasie wstrzymało czerwone światło. Ramirez zauważył Veronicę, wysiadł z auta i zaczął iść w jej kierunku. Kobieta nie okazywała jednak strachu, była zdenerwowana i oczekiwała wyjaśnień od nieznajomego. Zaczęła na niego krzyczeć i dopytywać, dlaczego ją śledził. Mężczyzna wszystkiego się wypierał, przekonując, że coś jej się pomyliło, a on wcale za nią nie jechał. Ale Veronica nie odpuszczała. Zarzuciła mu kłamstwo i zapowiedziała, że wezwie policję. Tego dla Ramireza było już za wiele. Wściekł się, słysząc groźby. Nienawidził, gdy kobieta mu się sprzeciwiała, a ta dodatkowo wrzeszczała na niego i straszyła służbami. Gwałtownie zbliżył się do pojazdu, chwycił Yu za ramię i próbował wyciągnąć ją na zewnątrz przez otwarte okno. Kobieta broniła się i opierała, nie dał rady wyrzucić ją na ulicę. Drzwi od jej strony był zamknięte, błyskawicznie przeskoczył więc w kierunku pasażera. Tam miał więcej szczęścia, Veronica nie zdążyła zablokować drzwi. Chwycił za klamkę i usiadł obok niej. Przerażona wpatrywała się w szaleńca, który – nie odrywając od niej wzroku – wyjął broń i strzelił jej tuż pod pachą. Zszokowana i ranna kobieta ratowała się jeszcze próbą ucieczki. Otworzyła drzwi, a wtedy Ramirez strzelił po raz drugi, tym razem w plecy. Yu wypadła z samochodu, ale zdołała wstać i przejść kilka kroków, po czym upadła, wykrwawiając się na śmierć.

Richard wreszcie poczuł się spełniony. Wsiadając do auta, śmiał się głośno i upajał dopiero co dokonanym nieco spontanicznym zabójstwem. Wiedział jednak, że część kierowców, która mogła widzieć całe zajście, rozpozna jego auto. Nie był do niego przywiązany, bo podobnie jak każdy inny samochód, którym do tej pory jeździł, również ten ukradł. Odjechał więc

szybko z miejsca zdarzenia, zostawiając martwą Yu na drodze, i porzucił toyotę w pierwszej bocznej uliczce, w którą zjechał. Teraz musiał ruszyć na poszukiwania kolejnego auta.

Na osiedle Village Lane w Monterey Park przyjechały policyjne wozy. Najpierw na miejsce dotarli John Powell i Anthony Dallus i to oni jako pierwsi rozmawiali z krwawiącą Marią Hernandez. Choć plan Ramireza nie powiódł się w stu procentach i dziewczyna żyła, to jednak została raniona w dłoń, którą zasłoniła się przed kulą. Po ucieczce napastnika znalazła w kuchni martwą przyjaciółkę. Gdy upewniła się, że w domu nikogo już nie ma, wezwała służby. Pobieżnie opowiedziała policjantom, co się wydarzyło, a następnie trafiła do szpitala.

Do domu, który zupełnie niespodziewanie stał się miejscem brutalnej zbrodni, przyjechał Gil Carrillo z wydziału zabójstw. W swojej sekcji był najmłodszy, ale już wtedy wiadomo było, że ma świetną intuicję i potrafi pracować jak wół. Niejedną osobę wprowadzał też w zakłopotanie swoją masywną postawą. Mierzył bowiem 193 centymetry i ważył 127 kilogramów. Uśmiech skrywał za ciemnymi wąsami. Mimo imponującej sylwetki wzbudzał powszechną sympatię. Uprzejmy, ciepły i otwarty doskonale manewrował na miejscach zbrodni.

Gdy przyjechał do domu Hernandez, wiedział już mniej więcej, jak wyglądał przebieg wydarzeń. Przeszedł na tyły budynku, potem zajrzał do garażu. Na podłodze wciąż leżała czapka z logo AC/DC, która spadła napastnikowi z głowy. W kuchni była martwa Dayle Okazaki. Kula trafiła ją prosto w czoło, nie dając żadnych szans na przeżycie. Carrillo odtwarzał w głowie każdy ruch mordercy, choć wciąż nie potrafił zrozumieć, jakimi motywami się kierował. Na tym etapie pod uwagę brany był każdy scenariusz. Kłótnia kochanków, przypadkowe zabójstwo czy rabunek, choć ten ostatni wątek został szybko skreślony z listy, bo po przeszukaniu domu okazało się, że sprawca niczego nie zabrał. Wiele wyjaśnić mogła Maria, która była pod opieką lekarzy.

W czasie oględzin do mieszkania weszła zapłakana kobieta. Była to matka Hernandez, która chciała zabrać córce

do szpitala potrzebne rzeczy. Rozglądając się po miejscu tragedii, dojrzała Gila. Podeszła do niego i zapytała: „Gilbert?". Detektyw odwrócił się zaskoczony i wpatrywał w kobietę, oczekując ciągu dalszego. Nie wiedział, kim jest i dlaczego zwraca się do niego per „Gilbert", podczas gdy wszyscy skracali jego imię do formy Gil. Wyjaśniła mu, że jest przyjaciółką jego siostry. Dopiero po chwili Carrillo przypomniał sobie jej twarz. Z pozoru więc sprawa, do której miał duży dystans, stała się dla niego niezwykle ważna emocjonalnie. Gil czuł, że musi zrobić wszystko, by schwytać zwyrodnialca, który skrzywdził ludzi z jego otoczenia.

Poszukiwania zaczął od rozmowy z jedynym żyjącym świadkiem – Marią. Pojechał do szpitala Beverly i poprosił dziewczynę o spotkanie. Hernandez mimo tego, co przeszła, zachowywała silną i pewną siebie postawę. Jej odpowiedzi były jasne i sensowne, starała się nie pominąć nawet najdrobniejszych szczegółów. Przyznała, że nie wie, kim jest napastnik i dlaczego to właśnie jej dom wybrał za cel. Wchodząc do garażu i celując z broni, nie powiedział nic, po prostu zbliżył się do niej w milczeniu. Maria dysponowała jednak czymś niezwykle cennym – doskonale przyjrzała się twarzy mężczyzny i z dokładnością potrafiła opisać jego wygląd. Zdecydowano więc o wysłaniu do niej rysownika, który na podstawie wspomnień dziewczyny miał stworzyć portret pamięciowy.

To nieformalne przesłuchanie Marii w szpitalu nie dało odpowiedzi na najważniejsze pytania: kim był sprawca i jakim motywem się kierował? Gil Carrillo musiał odrzucić wszystkie wcześniej przyjęte przez siebie teorie, łącznie z tą, która wówczas wydawała mu się najbardziej prawdopodobna – o trójkącie miłosnym, który mogli nawiązać nieznajomy, Hernandez i Okazaki. Wiedział już, że przynajmniej Maria nigdy wcześniej nie widziała oprawcy, co jeszcze bardziej utrudniło całe śledztwo. Pogoń za sprawcą bez motywu na tym etapie przypomina poszukiwanie igły w stogu siana. Wtedy jeszcze Carrillo nie wiedział, że Okazaki nie była jedyną osobą, która tego dnia zapłaciła życiem za spotkanie z tajemniczym napastnikiem w czerni.

Obie sprawy zaczęły się przenikać, gdy po zabójstwie Veroniki Yu przesłuchano świadków. Opis mordercy był nie-

pokojąco zbieżny z tym, który w szpitalu przedstawiła Maria. Z ciała Yu wyjęto łącznie dwie kule. Dokładnie je zbadano i porównano z pociskiem, który utknął w czaszce Dayle Okazaki. Choć jedna z kul była mocno zniszczona, istniało duże prawdopodobieństwo, że wszystkie pochodziły z tej samej broni. Wtedy po raz pierwszy zaczęły pojawiać się mocne przesłanki, które sugerowały, że za tymi dwoma atakami stała ta sama osoba. Do śledztwa włączono więc Franka Salerno, jednego z najlepszych detektywów w Los Angeles. Każdy znał jego nazwisko i łączył je z głośną sprawą Dusicieli ze Wzgórz, kuzynów Angelo Buono i Keneth Bianchi. W latach 1977–1979 porywali, torturowali i zabijali młode kobiety. Niewykluczone, że Bianchi był też odpowiedzialny za serię mordów z lat 1971–1973, do których dochodziło w jego rodzinnym mieście Rochester.

Polowanie na psychopatów przydzielono właśnie Frankowi Salerno, który w środowisku nazywany był Buldogiem. Podobnie jak te psy potrafił doskonale zwęszyć trop i nim podążać. To on odkrył pod powieką jednej z ofiar włókna, które pasowały do konkretnego materiału używanego do tapicerowania samochodów. Namierzył zakład i tak Salerno trafił na Dusicieli. Przyniosło mu to prawdziwą sławę i uczyniło z niego kogoś w rodzaju policyjnej supergwiazdy. Każdy chciał z nim rozmawiać i współpracować. Jeśli ktoś mógł pomóc w rozwikłaniu tajemniczego zabójstwa Okazaki i Yu, to właśnie on.

Carillo czuł, że za tymi zabójstwami stał szaleniec, i według policjanta istniało duże prawdopodobieństwo, że wkrótce uderzy ponownie. Ku zaskoczeniu Gila, który zreferował wszystkie swoje przypuszczenia i poszlaki, Buldog nie powiedział: „Nie, to niemożliwe”. Wręcz przeciwnie. Doradził mniej doświadczonemu koledze, by przejrzał inne raporty z miejsc zabójstw. Możliwe, że nie były to jedyne zbrodnie, które pasowały do tajemniczego sprawcy. Detektywi założyli więc, że mogli mieć do czynienia z seryjnym mordercą. Pytanie tylko, czy był na etapie początkującym, czy już mocno zaawansowanym.

Choć zabrzmi to niezwykle brutalnie, to jednak fakt jest taki: żeby wiedzieć, czy ma się do czynienia z seryjnym mor-

dercą, potrzeba kolejnych zbrodni. Jeśli na miejscu poprzednich nie znaleziono żadnych cennych dowodów – trzeba liczyć na następne zabójstwo, w trakcie którego być może sprawca popełni błąd. W przypadku Richarda Ramireza na taką wpadkę trzeba było poczekać długo, ale już 26 marca postanowił pokazać światu, że nie jest przypadkowym zabójcą, tylko seryjnym i do tego potwornie sadystycznym. Ukradł kolejne auto i ruszył w stronę Whittier. Europejczykom może kojarzyć się z typowym kalifornijskim miasteczkiem, które podziwiamy w hollywoodzkich produkcjach. Rozległe posiadłości z pomarańczowymi dachami, idealnie współgrającymi z zachodzącym słońcem. Do tego uliczki otoczone wysokimi, puchatymi drzewami i baseny okalające luksusowe hotele. To nie była okolica dla takich ludzi jak Ramirez – narkomanów i morderców – ale właśnie ta niedostępność działała na nich jak magnez. Richard wiedział, że znajdzie tu sporo wartościowych przedmiotów, które z łatwością będzie mógł wcisnąć paserowi.

Był środek nocy, gdy zatrzymał auto i skupił wzrok na posiadłości Vincenta i Maxine Zazzarów. Wokół niego było pusto, zero spacerowiczów, zapalonych świateł, a co najważniejsze, potencjalnych świadków. Wysiadł więc z pojazdu i bezszelestnie przeszedł na trawnik przy budynku. Był parterowy, więc Ramirez nie miał żadnego problemu z zajrzeniem przez okna. Najpierw dostrzegł Vincenta, który spał na kanapie. W tle cicho mruczał telewizor, którego mężczyzna nie zdążył wyłączyć przed snem. Maxine była z kolei w łóżku w sypialni. Ten widok upewnił Richarda, że wybrał odpowiedni dom. Musiał tylko odkryć, jak się do niego dostać.

Obejrzał budynek dokładnie i wtedy dostrzegł niewielkie okno przesłonięte moskitierą. Przysunął sobie stojącą w pobliżu beczkę, wszedł na nią i z dużą precyzją usunął przeszkodę. Uchylił okno na tyle, by mógł się przecisnąć. Podciągnął się i po chwili był już w środku. Wsłuchiwał się przez chwilę w ciszę, po czym zdjął buty i boso ruszył do ofiar. Najpierw skierował kroki w stronę Vincenta. Chciał go szybko zabić, by mieć czas na „zabawę" z Maxine. Już sam widok kobiety w łóżku niezwykle go nakręcił.

Po cichu zbliżył się do śpiącego mężczyzny. Wyjął broń i bez namysłu wystrzelił prosto w jego głowę. Kula trafiła

w skroń, a krew trysnęła niepohamowanym strumieniem. Ciało Vincenta zaczęło drżeć w spazmach, a po chwili znieruchomiało. Wystarczył jeden strzał, by pozbawić ofiarę życia.

Przerażona hałasem Maxine natychmiast się zbudziła. Nie była pewna, czy to, co przed chwilą usłyszała, wydarzyło się naprawdę, czy było jedynie wytworem jej wyobraźni. Ale już po chwili do sypialni wkroczył nieznajomy, co skutecznie rozbudziło tkwiący jeszcze we śnie umysł kobiety. W naturalnym odruchu zaczęła krzyczeć, ale Ramirez uciszył ją uderzeniem w twarz. Syknął, by się zamknęła, a następnie zaczął dopytywać, gdzie schowała kosztowności. Ale Maxine resztką odwagi odpowiedziała jedynie, by się wynosił. Richard nienawidził, gdy kobiety stawiały opór. Chciał, by jego ofiary błagały o litość, wykonywały jego polecenia i były mu całkowicie uległe. Postawa Maxine rozwścieczyła go jeszcze bardziej. Zaczął bić ją bez opamiętania i powtarzał przy tym, by nie patrzyła na niego. Odwrócił ją na brzuch, związał jej ręce, odłączył telefony, by przypadkiem nie wezwała pomocy, i zostawił skrępowaną. Był przekonany, że w domu są pieniądze lub wartościowa biżuteria, dlatego zaczął sprawdzać po kolei wszystkie szafki. W tym czasie Maxine udało się poluzować więzy. Powoli zsunęła się z łóżka i sięgnęła po ukrytą w pobliżu broń. Ramirez odwrócił się i zaskoczony zobaczył, że kobieta, którą związał, stoi przed nim i celuje w niego z broni. Szybko się odchylił, sięgając po własny pistolet. Maxine nacisnęła na spust, ale nic się nie wydarzyło. Mąż nie naładował broni. Ramirez wpadł w szał. Zaczął strzelać do kobiety, a gdy upadła, doskoczył do niej i zaczął bić. Fakt, że omal go nie zabiła, spowodował, że jeszcze bardziej chciał jej zadać nieprawdopodobne cierpienie. Był wściekły i zamierzał tę furię wyładować właśnie na niej. Zostawił nieprzytomną Maxine i pobiegł szybko do kuchni. Chciał czuć jej krew na rękach, a do tego potrzebował narzędzia. Chwycił więc nóż i wrócił z nim do sypialni. Wbił w kobietę ostrze, a następnie na lewej piersi wyciął odwrócony krzyż. Wydłubał jej też oczy, które schował w skradzionej chwilę wcześniej szkatułce. Chciał jeszcze uprawiać seks z martwą już Maxine, ale nie potrafił osiągnąć erekcji. Zabrał więc swoje łupy i wyszedł frontowymi drzwiami, jak gdyby nigdy nic.

Vincent Zazzar był właścicielem pizzerii. Kilkanaście godzin po zabójstwie jego pracownik przywiózł mu całodniowy utarg. Zadzwonił do drzwi, ale odpowiedziała mu cisza. Zauważył jednak, że w środku pali się światło, a drzwi są lekko uchylone. Nie wiedział, co robić. Nie chciał wchodzić do domu szefa bez zaproszenia, a jednocześnie miał złe przeczucia. Zostawił więc torbę z pieniędzmi w miejscu na listy i odjechał.

Do domu Zazzarów wrócił na drugi dzień. Ku swojemu przerażeniu zauważył, że torba z utargiem wciąż tkwi w szczelinie. Ruszył do restauracji i poprosił kolegę, by pojechał z nim sprawdzić, czy u szefa nie wydarzyło się coś złego. Sam nie miał na tyle odwagi, by wejść do środka.

Mężczyźni wkrótce dotarli przed dom, a Brunon Polo jako pierwszy przekroczył próg budynku. Zaczął wołać Vincenta, ale jego krzyki trafiały w próżnię. W końcu doszedł do salonu, gdzie na kanapie spoczywały zwłoki Zazzarego. Polo przerażony wybiegł z domu i razem z kolegą wezwał służby.

Wiele lat po tym brutalnym mordzie Peter Zazzara, syn ofiary, mówił:

Gdybym dotarł do Ramireza przed glinami, odstrzeliłbym mu ten pieprzony łeb. Mieszkałem w tym domu, w którym się to wydarzyło, rok wcześniej i mocno wierzę, że to wszystko by się nie wydarzyło, gdybym tam był. Nawet gdybym był nieuzbrojony, załatwiłbym to, bo szkoliłem się w marines. Gdyby widział mnie w domu, prawdopodobnie nawet by do niego nie wszedł. Trudno z tym żyć. To zniszczyło nas jako rodzinę. Zostaliśmy przedzieleni na pół. Miałem retrospekcje i powracające sny. Śniło mi się, że poszedłem do biura rodziców, a oni nadal tam byli. Żywi. Ktoś pomylił się, ich śmierć była błędem. Miałem ten sen wiele razy, powtarzał się cały czas. Umysł próbował sprawić, by to wszystko się nie wydarzyło. Wiele osób uważa, że jestem zbyt nerwowy. Przeżycie tej traumy wpłynęło na każdy mój związek. Tata wyglądał jak gwiazda filmowa. Był jak Frank Sinatra. Był jak ci faceci z Rat Packa, podwójne martini podczas lunchu i pełne miłości życie. Miałem wspaniałego tatę. Służył przez całą II wojnę światową. Był w 2 Dywizji Pancernej dowodzonej przez generała Pattona. Przeszedł pie-

kło i wyszedł z niego. Podczas ataku musiał spać, bo gdyby nie spał, sam zabiłby Ramireza. Był niezwykle twardy, walczył z nazistami i miał bliznę na szyi w miejscu, w którym nazista próbował odciąć mu ucho. Widział kilka osób ze swojej jednostki, którzy byli zmasakrowani przez wojnę. Był twardy jak gwoździe.

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdyby Vincent Zazzara nie spał, Ramirez w ogóle nie wszedłby do tego domu. Wybierał takie obiekty, w których albo były samotne kobiety, albo lokatorzy spali. Nie ryzykował napadu na rodzinę, która w jakikolwiek sposób byłaby w stanie się obronić.

W trakcie sekcji zwłok pana Zazzary okazało się, że w jego ciele tkwił pocisk z rewolweru kalibru 22. Takiego samego użył sprawca, zabijając Okazaki i Yu. Po przeczytaniu wszystkich wniosków z autopsji, a także z miejsca zabójstwa Gil Carrello nie miał wątpliwości, że za tym brutalnym mordem stoi psychopata, którego on ściga. Jego teoria jednak nie spotkała się z dużym entuzjazmem ze strony kolegów w policji. Jedyną przychylną mu osobą był Frank Salerno, który również nie wykluczał, że te wszystkie sprawy mogą być ze sobą powiązane.

Wyszło też na jaw, że na początku roku doszło do serii uprowadzeń nieletnich. Ktoś wynosił dzieci z ich własnych łóżek, porywał je, molestował, a następnie porzucał lub pozwalał im uciec. Jedną z pokrzywdzonych była sześcioletnia Anastasia Hronas. W środku nocy obcy mężczyzna otworzył okno jej sypialni, zabrał ją, gdy głęboko spała, i wyniósł na zewnątrz. Dziewczynka obudziła się na chwilę, ale była półprzytomna i przekonana, że to ktoś bliski ją przenosi. Porywacz wsadził ją do samochodu i zawiózł w nieznanym kierunku:

Nie wiem, jak długo jechaliśmy i jakim wozem. Pamiętam tylko, że w pewnej chwili spojrzał na mnie i powiedział, żebym otworzyła schowek. W środku był pistolet. Zamknął schowek, mówiąc: „To tak jakby co". Potem się zaczęło. Kazał mi na siebie patrzeć, dotykać i tak dalej. Gdy dojechaliśmy na miejsce, zapamiętałam ogrodzenie i ujadanie psów. Kazał mi wejść do torby zapinanej na suwak i mówił: „Bądź cicho, właź tu,

nie stawiaj się, rób, co ci każę". W pokoju, przez który przeszliśmy, stała kanapa. Było dość ciemno i obskurnie. Okna zakryto zasłonami. Było ciemno i obleśnie. Wszędzie walały się opakowania po jedzeniu, zupełnie nie jak u mnie w domu. Cały czas leciały piosenki Madonny. „Holiday", „Like a virgin". Pamiętam, jak mówiłam: „Stój, przestań, to boli. Dlaczego to robisz?". Gdy chciałam siusiu, przerywał. Odnosił mnie i sadzał w zlewie. Przez jakiś czas nic nie robił, a potem brał mnie i znowu. Wtedy mówiłam, że chce mi się siusiu, przerywał za każdym razem, choć mówił: „Dobra, ale wiem, że kręcisz". Patrzył na mnie tak, jakby żałował tego, co mi robił. Jednak nie zamierzał przestać. Znów wsadził mnie do torby i opuściliśmy tamten dom.

Zawiózł dziewczynkę w okolice stacji benzynowej. Zatrzymał auto i kazał jej biec do sprzedawcy, a następnie powiedzieć, jak się nazywa oraz że została porwana.

Podobnych historii było kilka. Znikały dzieci w różnym wieku. Ich opisy porywacza były jednak bardzo podobne do tego, którym dysponowała policja w sprawie morderstwa Okazaki. Wszystkie ofiary mówiły to samo: mężczyzna miał czarne oczy, był chudy i brzydko pachniał. To sprawiło, że również tutaj detektywom z wydziału zabójstw zapaliła się czerwona lampka. Ale poza Carrillo i Salerno nikt nie brał pod uwagę, że tych wszystkich przestępstw mogła dopuścić się ta sama osoba. Bo to by oznaczało, że mają do czynienia z psychopatą, który złamał wszelkie przyjęte do tej pory schematy i scenariusze. Nie miał jednego typu ofiary, nie zabijał w ten sam sposób, do tego kierował się zarówno w stronę nieletnich, jak i seniorów. Molestował, gwałcił, torturował, mordował i plądrował. Takiego zbrodniarza Stany Zjednoczone do tamtej pory nigdy nie widziały. Była to nowość, na którą policjanci musieli otworzyć swoje umysły.

Carrillo i Salerno poszli ze swoją teorią do kapitana Boba Grimma. Wysłuchał ich cierpliwie, po czym zaufał przeczuciu. Dał zielone światło do utworzenia niewielkiego zespołu, który będzie badał sprawę, zakładając, że za wszystkimi zbrodniami stoi jeden człowiek. Szefem grupy został Frank Salerno. On z kolei zdecydował, że włączy do zadania w sumie sześciu detektywów, wśród nich oczywiście Gila Carrillo. Pierwszym

zadaniem było przejrzenie wszystkich spraw, które mogły być ze sobą w jakikolwiek sposób powiązane. Głównym punktem był opis sprawcy. Człowiek odpowiedzialny za zabójstwo Okazaki i porwania dzieci miał kilka charakterystycznych cech, które mogły wybić się też w raportach policyjnych dotyczących innych przestępstw.

Czternastego maja Ramirez ponownie udał się do Monterey Park, gdzie wcześniej zabił Veronikę Yu. Poruszał się skradzionym wcześniej pojazdem, który wpadł mu w oko, gdy mijał jeden z hoteli. Krążył po okolicy, mijając raz po raz puste uliczki. W końcu zatrzymał auto, wysiadł i ruszył przed siebie. W ciemnościach dotarł przed dom Williama i Lilian Doi. Małżeństwo wiodło spokojnie, choć niepozbawione problemów życie. Kobieta przeszła wylew, co uczyniło ją inwalidką. Mimo to para nie traciła pogody ducha i była lubiana przez sąsiadów.

Richard szybko się rozejrzał, by ocenić sytuację. Choć dom miał system alarmowy, nie był dobrze zabezpieczony. Jedno z okien zostało uchylone i po usunięciu moskitiery można było bez problemu dostać się do środka. Tak też pomyślał Ramirez, który dzięki temu już po chwili był w łazience państwa Doi. Wszedł bezszelestnie, ale potrzebował chwili, by przyzwyczaić oczy do panującej wokół ciemności. Ruszył korytarzem, a następnie skierował się do sypialni. Lilian spała w łóżku. Obok stał wózek inwalidzki, który od razu dostrzegł, ale nie wzbudziło to w nim jakiejkolwiek empatii, wręcz przeciwnie. Wiedział, że ma do czynienia z całkowicie bezbronną ofiarą, co wywołało przypływ adrenaliny i dodało mu pewności siebie. Skierował się do drugiej sypialni, gdzie z kolei spał William. Wyjął broń i odblokował. Charakterystyczne kliknięcie obudziło pana Doi, który w ułamku sekundy otrzeźwiał i chwycił swój pistolet, który miał ukryty na nocnym stoliku. Ale Ramirez był szybszy. Nie dał ofierze żadnych szans na samoobronę. Błyskawicznie wycelował i oddał strzał prosto w twarz mężczyzny. Ten upadł na łóżko, charcząc i dusząc się własną krwią. Richard podszedł do niego, kilkukrotnie uderzył w głowę, zrzucił z łóżka i skopał ofiarę do nieprzytomności. Podniecony agresją, która w nim narastała, szybko przeszedł do sypialni pani Doi. Kobieta już nie spała, hałas dobiegający

z sypialni męża momentalnie ją wybudził. Gdy Ramirez wszedł do jej pokoju, siedziała na łóżku, wpatrując się z przerażeniem w ciemność. Wyłonił się z niej potwór, który chwilę wcześniej brutalnie okaleczył jej partnera. Podbiegł do niej, z całej siły uderzył w twarz i zagroził, że jeśli nie będzie cicho, zabije ją. Ale pani Doi po wylewie miała ogromne problemy z mową, więc nawet gdyby chciała zrobić hałas i wezwać pomoc, nie byłoby to możliwe. Ramirez założył jej kajdanki na kciuki. Nie była to powszechnie stosowana metoda obezwładniania ofiary, ale w przypadku niepełnosprawnej kobiety – skuteczna. Richard zaczął przetrząsać dom w poszukiwaniu kolejnego łupu.

Zabrał wszystko, co uznał za cenne. Następnie podszedł do pani Doi, pocałował ją i zniknął w ciemności, z której chwilę wcześniej się wyłonił. W tym czasie William, mimo postrzelenia i pobicia, odzyskał przytomność. Doczołgał się do telefonu i wezwał pomoc.

Do domu małżeństwa jako pierwsza przyjechała straż pożarna. Było chwilę po 5.00 rano. W środku znaleziono przerażoną Lilian, a także nieprzytomnego Billa. Natychmiast wezwano karetkę, a także policję. Funkcjonariusze, którzy dotarli na miejsce, mieli problem z uzyskaniem od kobiety jakichkolwiek informacji. Wydawała z siebie bełkotliwe dźwięki, które trudno było połączyć w słowa, nie mówiąc już o pełnych zdaniach. Jej mąż był reanimowany przez strażaków. Do szpitala trafił dziesięć minut później. Po kolejnych kilkunastu minutach był już martwy.

Zespół detektywów i techników starannie sprawdzał dom państwa Doi centymetr po centymetrze. Tuż przed budynkiem na ziemi zauważono ślad buta. Szybko ustalono jego markę – Avia, firma, która produkuje obuwie sportowe. Śledczy, którzy pracowali na miejscu, nie wiedzieli wówczas, że takie same ślady znaleziono w innych miejscach zbrodni, nad którymi pracował specjalny zespół Franka Salerno.

Ramirez był jak nienasycone zwierzę. Po każdym kolejnym zabójstwie jego apetyt rósł jeszcze bardziej. Pragnął krwi, bólu i zniewalania swoich ofiar. Oczywiście to wszystko w imię miłości do Szatana, jak wówczas sobie tłumaczył. Dla-

tego zaledwie dwa tygodnie po napaści na państwa Doi znów ruszył na łowy. Dwudziestego dziewiątego maja wybrał się na nocną przejażdżkę do Monrovii. Otoczone górami miasteczko ma dziś niespełna 40 tysięcy mieszkańców. Nie należy do najpopularniejszych miejsc na kalifornijskiej mapie, choć okalające je pasma górskie mogą kusić miłośników wspinaczek i wędrówek na wysokości.

W 1985 roku tę miejscowość na swój kolejny cel wybrał właśnie Richard Ramirez. Jechał zupełnie na oślep, wierzył w intuicję, która podpowiadała mu, w którą stronę ma się kierować i do jakiego domu wchodzić. Tego dnia wewnętrzny głos podpowiedział mu, by wybrał posiadłość Mabel Bell i jej niepełnosprawnej siostry Florence Lang. Kobiety były w wieku osiemdziesiąt trzy i osiemdziesiąt lat, nie należały do zamożnych. Ramirez po zaparkowaniu samochodu w pobliżu ich domu przeszedł od razu przed frontowe drzwi, a nie okna, jak robił to zazwyczaj. Kręcąc klamką i popychając drzwi, w końcu udało mu się po cichu wejść do środka. Natychmiast zrozumiał, że źle trafił. Wystarczyło kilka spojrzeń, by tak doświadczony złodziej jak on wiedział, że nie znajdzie w pokojach niczego cennego. Wnętrze było skromne, choć schludne. Nie miał jednak co liczyć na cenny sprzęt elektryczny, który mógł mu zapewnić sporo pieniędzy u pasera.

Ramirez był wściekły, ale nie na siebie, tylko na lokatorów tego mało atrakcyjnego domu. Przeszedł do sypialni w nadziei, że zastanie tam młodą kobietę, na której będzie mógł wyładować całą swoją agresję i pożądanie. Ale i tu poczuł ukłucie rozczarowania. W łóżku spała niepełnosprawna staruszka. W drugim pokoju również seniorka. Wściekłość bulgotała w jego głowie, potęgując potrzebę zadawania bólu. Poszedł więc do kuchni, chwycił młotek, który tam znalazł, wrócił do Florence i z całej siły uderzył ją w głowę. Czaszka błyskawicznie pękła pod naporem ciężkiego obucha. Następnie związał staruszce ręce przewodem elektrycznym, który wyrwał z zegara. Nadepnął na niego, siłując się z kablem, i zostawił krwawy odcisk buta. Po ataku na Florence przeszedł do sypialni jej siostry. Ją również uderzył młotkiem w głowę, ale kobieta nie straciła przytomności, tylko z wrzaskiem wybudziła się ze snu. Ramirez zaczął ją uciszać, grożąc, że ją

zabije, jeśli nie da mu pieniędzy. Staruszka przekonywała, że nie posiada żadnej gotówki. Wtedy mężczyzna uderzył ją ponownie. Kobieta upadła bezwiednie na materac, a napastnik podobnie jak w przypadku jej siostry sięgnął po zegar, wyrwał z niego kabel i za pomocą jego końcówki poraził ofiarę prądem.

Przed wyjściem z domu wrócił jeszcze do Florence i zgwałcił nieprzytomną seniorkę. Z kolei na lewym udzie jej siostry, a także na ścianie nad łóżkiem narysował szminką dwa pentagramy. W ten sposób chciał pokazać całemu światu, w imię kogo dokonuje wszystkich zbrodni. Miał to być hołd złożony Szatanowi, symboliczne przekazanie mu krwi niewinnych ofiar. Wrócił do Florence i w jej sypialni również zostawił na ścianie znak. Następnie zabrał trochę biżuterii, niewielki odtwarzacz i opuścił Monrovię, zostawiając za sobą prawdziwą masakrę.

Obie staruszki znaleziono dopiero dwa dni później. Żyły, ale zapadły w śpiączkę. W krytycznym stanie trafiły do szpitala. U młodszej z sióstr od razu zauważono otarcia waginy, co sugerowało, że została wykorzystana seksualnie. Kobiety miały tak silne pęknięcia czaszek, że widać było mózgi. Mabel na skutek odniesionych ran zmarła 15 lipca, równe dwa miesiące po ataku.

Śledczy mieli duży problem z tą sprawą. Z jednej strony wiele aspektów pasowało do mordercy, którego szukali. Z drugiej jednak były wątki, które kompletnie nie pasowały. Psychopata użył młotka, a nie broni palnej czy noża. W dodatku po raz pierwszy pojawił się motyw satanistyczny, czyli pentagram. To zaczęło sprawiać, że detektywi zwątpili, by również za tą sprawą stał napastnik, którego widziała Maria Hernandez. Mimo to Carrillo postanowił przyjrzeć się temu zabójstwu.

Zanim odkryto zmasakrowane siostry, w wieczór po zabójstwie Ramirez niezwykle podekscytowany brutalnym atakiem ruszył na kolejne łowy. Trafił do Burbank, kolejnej niewielkiej miejscowości skrywającej luksusowe domy, imponujące hotele i uliczki rodem z okładek prestiżowych magazynów.

Burbank leży zaledwie 19 kilometrów od centrum Los Angeles. To tam swoje siedziby mają wytwórnie: Walt Disney, Warner Bros., Nickelodeon czy Cartoon Network. Tam też znajduje się największa w Stanach Zjednoczonych Ikea. Miasto składa się z dwóch odrębnych obszarów. Pierwszy to śródmiejski u podnóża gór Verdugo, natomiast drugi leży na części równinnej. Burbank pojawia się też często w świecie kinematografii. Kręcono tam filmy *Casablanca*, *Bonnie i Clyde*, *W samo południe* czy *Apollo 13. W latach osiemdziesiątych za cel obrał je też Richard Ramirez.

Morderca w środku nocy sunął ciemnymi uliczkami, szukając idealnego domu, do którego będzie mógł się dostać bez większych przeszkód. Tak trafił na posesję Carol Kyle, czterdziestodwulatki, która mieszkała z synem i córką. Okna wszędzie były pozamykane i gdy już miał zrezygnować, dojrzał klapę w drzwiach kuchennych. Była to niewielka dziura, dzięki której do środka mógł wejść kot. Richard schylił się więc, wsadził rękę przez otwór i wymacał w ciemnościach zamek. Jeden szybki ruch i drzwi były już otwarte. Po cichu wsunął się do środka i od razu skierował w stronę sypialni. Tym razem miał przy sobie broń.

Przystawił śpiącej Carol zimną lufę do głowy. Kobieta błyskawicznie się zbudziła. Tuż przed twarzą miała przerażające oblicze psychopaty, który sapał nad nią gotowy do ataku. Zapytał ją, czy jest ktoś jeszcze w domu. Odparła, że jedynie jej jedenastoletni syn. Kazał jej więc wstać z łóżka i przejść z nim do sypialni chłopca. Kobieta posłusznie wykonywała jego polecenia. Nie chciała robić żadnego ruchu, który sprawiłby, że szaleniec zrobi krzywdę jej lub, co gorsza, dziecku. W pokoju syna Ramirez związał ich oboje, a sam zaczął plądrować dom w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Następnie wrócił po kobietę oraz chłopca i wepchnął ich do szafy, krzycząc, by na niego nie patrzyli. Zamknął drzwiczki i ponownie zaczął przeszukiwać budynek.

Po chwili znów był przy szafie. Wyciągnął Carol, zostawiając chłopca samego. Kobieta ponownie znalazła się w swojej sypialni. Ramirez zdarł z niej koszulę i brutalnie ją zgwałcił. Nie protestowała, chciała, by jak najszybciej zrobił to, po

co przyszedł. Wierzyła, że jeśli nie będzie mu się opierać i niczym go nie zdenerwuje, pozwoli żyć jej i chłopcu.

Po gwałcie Richard ponownie splądrował dom, chciał się upewnić, że zabrał wszystko, co uda mu się sprzedać. Gdy niczego więcej nie znalazł, podszedł do kobiety i zapytał ją, jak powinien jechać, by wrócić na autostradę. Carol grzecznie mu odpowiedziała, po czym poprosiła, by zarzucił na nią jakieś ubranie. Nie chciała, by syn widział ją nagą i zgwałconą. Wciąż miała skute kajdankami ręce i nie była w stanie sama się oswobodzić. Ramirez podszedł do niej, rozkuł jej jedną dłoń, a następnie podał nową koszulę nocną i wyszedł. Wcześniej wypuścił z szafy jedenastolatka, który – gdy tylko upewnił się, że napastnik odjechał – natychmiast wykręcił numer alarmowy, wzywając pomoc.

Początek czerwca przyniósł Ramirezowi solidną wpadkę. Jak zwykle wyruszył na polowanie, które miało zaowocować rozlewem krwi. Dotarł do miasta Pico Rivera, gdzie mieszkał John Rodriguez. Richard nie miał pojęcia, że na cel wybrał posiadłość zastępcy szeryfa Los Angeles. Mężczyzna mieszkał z żoną Lorraine oraz dziećmi i zawsze spał z bronią pod ręką. Jako policjant widział zbyt dużo, by pozwolić sobie na jakąkolwiek lekkomyślność. Tej upalnej nocy czujność jego, ale przede wszystkim jego żony prawdopodobnie ocaliła im życie:

John spał w sypialni, a ja usnęłam na kanapie w salonie. Zbudził mnie straszny hałas. Krzyknęłam na męża podenerwowana, byłam pewna, że obudzi dzieci. Ale od razu poczułam, że to nie on. Odpowiedziała mi grobowa cisza. Czułam lęk. Przeraźliwy lęk. Nie wiedziałam, czy coś było w domu, czy też stało w jego progu. Ale coś tam było. A mnie sparaliżował strach.

John był przekonany, że żona przesadza. Sądził, że po prostu usłyszała coś na zewnątrz i mocno wyolbrzymiła sprawę. Ale ona upierała się, że ktoś otworzył okno. Policjant, nie czekając na dalsze prośby żony, wstał, chwycił za broń, wyszedł na zewnątrz i obszedł cały dom. W tym czasie Lorraine zauważyła, że jedno z kuchennych okien, które nigdy nie było otwierane, było całkowicie uchylone i wpuszczało do środka mrok nocnego nieba. Wtedy małżeństwo zrozumiało, że hałas,

który słyszała Lorraine, pochodził właśnie z tego miejsca. Ktoś próbował dostać się do ich domu.

John wziął latarkę i zaczął rozglądać się po zewnętrznej stronie otwartego okna. Wtedy w ziemi dojrzał wyraźny odcisk buta. Policjant przykrył ślad pudłem, żeby nikt go nie zadeptał, i wezwał na miejsce kolegów.

Do domu Rodriguezów dotarł też Carrillo. Był zaskoczony, że włamywacz chciał się dostać na posesję stróża prawa. Dopiero gdy zobaczył zabezpieczony odcisk buta, zrozumiał, że był tu morderca, którego poszukuje. Podobnie jak w przypadku pozostałych miejsc zbrodni również tutaj ślad sugerował, że sprawca nosił buty marki Avia. Śledczy wiedzieli, że muszą zacząć podążać tym tropem i spróbować na podstawie z pozoru niewielkiej wskazówki wytypować sprawcę. Carrillo zrozumiał też, że ofiarą szaleńca może być każdy. Nawet gliniarz.

Po tej nieudanej próbie włamania nastąpiła przerwa w działalności Ramireza. Ponownie uaktywnił się na początku lipca. Kolejnym skradzionym autem dojechał do Arcadii. Od centrum Los Angeles dzieliło to miasto 21 kilometrów. To niezwykle zielona miejscowość wypełniona po brzegi imponującymi domami. Te z kolei osadzono w sąsiedztwie licznych parków, które dodatkowo podbijają wizualną wartość lokalizacji.

Ramirez zaparkował w pobliżu domu Mary Louise Cannon, siedemdziesięciopięciolatki, która mieszkała samotnie. Kobieta wiele przeszła. Była wdową, a wcześniej stoczyła niezwykle trudną walkę z nowotworem. Każdą przeszkodę udawało jej się jednak pokonywać. Tej ostatniej batalii nie mogła jednak wygrać. Pojawił się przed nią człowiek, który wtargnął do jej domu nie po to, by ją nastraszyć, ale by ją zabić. I zamierzał za wszelką cenę dotrzymać postanowienia.

Podobnie jak w przypadku poprzednich włamań również tutaj Ramirez błyskawicznie rozmontował moskitierę i podważył okno, które szybko uległo włamywaczowi. Wślizgnął się do środka jak wąż, zupełnie bezszelestnie. Gdy tylko wzrok przyzwyczaił się do ciemności i wyostrzył się na rozmiesz-

czone przedmioty, morderca ruszył przed siebie, by posiąść kolejną ofiarę.

Seniorka spała, gdy na jej głowę runęła biała waza. Obudziła się przerażona, wrzeszcząc z całych sił. Wtedy Ramirez uderzył ją w twarz, pozbawiając przytomności. Zaczął ją też podduszać, ale szybko się tym zmęczył i poszedł do kuchni. Tam znalazł to, co go interesowało znacznie bardziej niż własne dłonie – nóż. Ściskając go, wrócił do sypialni, uniósł ostrze i opuścił, wbijając je w szyję Mary. Kolejne uderzenia padały już na oślep. Był spragniony krwi, dlatego ciął kobietę, nie zważając na nic. Następnie porzucił ją martwą, obrabował jej dom i odjechał skradzionym autem.

Carrillo i Salerno dotarli na miejsce zbrodni dzień później. Nie mieli wątpliwości, że tej makabry dokonał ścigany przez nich psychopata. Dom był w ogromnym nieładzie, ofiara została brutalnie zamordowana i znaleziono odcisk buta, choć nie na tyle wyraźny, by jednoznacznie stwierdzić, że to obuwie marki Avia. Ale pozostałe rzeczy się zgadzały, w powietrzu czuć było tę samą atmosferę grozy, która pojawiała się za każdym razem, gdy morderca przedzierał się przez noc, by skrzywdzić kolejną osobę.

Jerry Burke, technik laboratoryjny, dostał niezwykle ważne zadanie – musiał ustalić, czy buty, które nosi sprawca, mogą dać jakąkolwiek odpowiedź na pytanie, kim jest zabójca. W tym celu wsiadł w samolot i poleciał do Portland w stanie Oregon. Miał tam siedzibę projektant obuwia Avia.

Rozmowa z Jerrym Stubblefieldem przyniosła znacznie więcej informacji, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Na podstawie wykonanych na miejscach zbrodni odlewów ustalono, że sprawca nosił rozmiar 45. Założono też, że ubiera się na czarno, by wtopić się w tło, a więc i buty nie mogą rzucać się oczy, muszą być neutralne. Najlepszym kolorem jest więc czarny. Okazało się, że w całych Stanach Zjednoczonych wyprodukowano i sprzedano tylko 1354 pary tego konkretnego sportowego modelu. Pięć z nich trafiło do Arizony, a tylko jedna do Los Angeles. I to właśnie w rozmiarze numer 45. To był przełom, na który policjanci czekali od dawna.

Ale Ramirez nie miał pojęcia, że jego buty mogą powiązać go z masakrami, których dokonał. Nie sądził, że ktokolwiek skupiał się na czymś tak z pozoru błahym jak odciski butów. Dlatego nie zwalniał tempa i ruszył na kolejne łowy.

Wsiadł w auto i pojechał przed siebie. Minął Arcadię, którą niedawno sterroryzował zabójstwem Mary Cannon. Nieco prowokacyjnie, jakby chciał sprawdzić, czy ktokolwiek patroluje okolice po tym, czego dokonał, przejechał przez miasteczko. W końcu dotarł do Sierra Madre. To niewielkie miasteczko położone u stóp pasma górskiego zamieszkuje około 10 tysięcy mieszkańców. Otoczenie więc raczej kameralne, ale Ramirezowi to nie przeszkadzało. Liczył się cel, a celem było gwałcenie, torturowanie i mordowanie. Wszystko oczywiście w imię Szatana. Słuchając *Highway to Hell* AC/DC, dojechał na ulicę Arno Drive. Zatrzymał pojazd i wyłączył silnik. Ze skupieniem obserwował otoczenie jak sowa polująca w ciemności na mysz ukrytą w wysokiej trawie. Tak dostrzegł posiadłość państwa Bennettów. Małżeństwo miało dwójkę dzieci – szesnastoletnią Whitney oraz osiemnastoletniego Jamesa. Tego wieczoru rodzina zorganizowała małe przyjęcie z okazji Dnia Niepodległości. Whitney była w tym czasie ze znajomymi.

Do domu wróciła w środku nocy, gdy rodzice już głęboko spali. Szybko udała się do swojej sypialni i również pogrążyła w błogim relaksie, nie mając pojęcia, że do budynku zbliżał się morderca.

Ramirez miał dużo szczęścia. Państwo Bennettowie, żegnając znajomych, nie zamknęli jednej pary drzwi. Mógł więc bez problemu wejść do środka. Na miejscu upewnił się, że z żadnego pokoju nie dobiegają jakiekolwiek hałasy, a następnie włączył latarkę i ruszył w stronę sypialni. Najpierw dotarł do pokoju Whitney. Spojrzał na dziewczynę z satysfakcją i rosnącą w nim dzikością. Wreszcie trafił na młodą kobietę, a nie seniorkę. Postanowił sobie, że zanim zabije nastolatkę, najpierw wykorzysta ją na wszelkie możliwe sposoby. Rozejrzał się po wnętrzu i zrozumiał, że jest w domu zamożnych ludzi. Perspektywa wyniesienia stąd cennych przedmiotów jeszcze bardziej go nakręciła. Przeszedł do sypialni Bennettów i upewnił się, że oboje śpią. Choć miał ze

sobą broń, nie chciał jej używać. Narobiłaby za dużo hałasu, a on chciał mieć więcej czasu dla siebie i Whitney. Wyszedł więc na zewnątrz do auta, wyjął z bagażnika żelazną łyżkę do opon i wrócił do środka. Domownicy dalej spali, nie zdając sobie sprawy z tego, że intruz rozgościł się w ich azylu.

Richard wszedł do sypialni nastolatki, podszedł do niej, zakrył jej usta dłonią i z całej siły uderzył łyżką w głowę. Dziewczyna straciła przytomność. Napastnik uderzał jeszcze wielokrotnie, a każdy kolejny cios dodawał mu nieprawdopodobnej siły. Bardzo chciał zgwałcić nastolatkę, ale uświadomił sobie, że mogłaby się wybudzić i zacząć krzyczeć. Zdecydował więc, że najpierw ją zabije. Sięgnął po kabel od telefonu, którym chciał ją udusić. Owinął przewód wokół szyi dziewczyny, ale wtedy poleciały z niego iskry. W pierwszej chwili pomyślał, że z ciała nastolatki ulatuje dusza i stąd ta błękitna poświata. Przerażony, szybko zszedł z ofiary, a Whitney w tym samym momencie złapała głęboki oddech. Ramirez jeszcze nigdy nie był tak przestraszony jak w tamtej chwili. Ochota na zabicie dziewczyny szybko minęła, wyskoczył przez okno i uciekł, chcąc być jak najdalej od tego domu. O świcie Whitney obudziła się, czując przeszywający ból głowy. Odkryła też, że jest cała we krwi. Spanikowana wstała z łóżka i próbowała pójść w stronę sypialni rodziców. Krzycząc, zemdlała tuż obok swojego pokoju. Rodzice szybko do niej przybiegli i oszołomieni patrzyli na ciężko ranną córkę. Dziewczynę zabrano do szpitala.

W placówce założono jej aż 478 szwów. Jej czaszka została niemal zgruchotana. Według lekarzy zadano jej co najmniej 20 ciosów. To, że przeżyła atak, było prawdziwym cudem.

Po zgłoszeniu napaści do szpitala przyjechali Carrillo i Salerno. Chcieli koniecznie porozmawiać z Whitney, wierzyli, że widziała sprawcę i jest w stanie cokolwiek o nim powiedzieć. Ale na miejscu czekało ich rozczarowanie. Nastolatka zupełnie nie pamiętała wydarzeń minionej nocy. Zeznała jedynie, że obudziła się z silnym bólem głowy, ale nie miała pojęcia, kto ją zaatakował.

W tym czasie technicy dokładnie przeszukali pokój nastolatki. I znów bingo! Również tutaj odnaleziono ślad butów marki Avia. Śledczy nie mieli więc wątpliwości, że dziewczyna była kolejną ofiarą tego samego sprawcy. Zastanawiali się tylko, dlaczego nie dokończył dzieła i nie zabił Whitney. Nie wiedzieli wtedy jeszcze o łunie światła z telefonicznego kabla, która dla Ramireza była znakiem, że sam Chrystus ochronił życie nastolatki, a on i moc Szatana zostali pokonani.

Siódmego lipca, czyli zaledwie dwa dni po ataku w domu państwa Bennettów, Richard znów wsiadł do auta z zamiarem zafundowania w czyjejś posiadłości krwawej jatki. Wrócił do miejsca, w którym już wcześniej zdążył zadać potężną ranę lokalnej społeczności – do Monterey Park. Zabił tam państwa Doi, a także Veronicę Yu. Spodziewał się, że po tym, co zrobił, mieszkańcy mogą być bardziej czujni i do domów trudno będzie się dostać. Mimo to chciał zaryzykować. Jak większość seryjnych morderców również Ramirez był przekonany, że jest nadczłowiekiem, który nie popełnia błędów i którego nie można złapać. Ta pycha zawsze popycha psychopatów do coraz zuchwalszych kroków, które często kończą się nawet zatrzymaniem. Zabójcom wydaje się, że są znacznie bystrzejsi od policjantów, których nierzadko mają za – delikatnie mówiąc – mało inteligentnych. Stąd ich pewność siebie i wiara we własne możliwości. W przypadku Ramireza dochodziła jeszcze miłość do Szatana, która jego zdaniem stanowiła pewnego rodzaju parasol ochronny. Dlatego mógł swobodnie wracać w miejsca, w których teoretycznie powinno być więcej policyjnych patroli, a czujność mieszkańców mogła być znacznie bardziej wyostrzona.

Przejażdżki po okolicy zakończył przy domu sześćdziesięciojednoletniej Joyce Lucille Nelson. Maleńki budynek był nieco ukryty przed sąsiadami dzięki ogromnemu drzewu, które rzucało koroną szeroki cień. Nie mógł lepiej trafić. Obchodząc dom, zauważył lekko uchylone okno. Skorzystał więc z okazji, traktując to jako zaproszenie do wejścia do środka. Zdjął moskitierę i po chwili był już w budynku. Joyce mieszkała sama i choć słyszała o mordercy, który włamuje się do ludzi i brutalnie ich zabija, nie zadbała o dodatkowe zabezpieczenie

domu. Nie chciała żyć jak w klatce. To uporczywe trzymanie się złudnej wolności kosztowało ją tej lipcowej nocy życie.

Gdy Ramirez znalazł się już w środku, kobieta spała na kanapie w salonie. Zbudził ją, przykładając jej do głowy broń. Wrzasnęła na jego widok, chwycił ją więc za włosy i zawlókł do sypialni. Stawiała duży opór, co dodatkowo go zezłościło. W pokoju zaczął bić ją bez opamiętania, kopał po całym ciele i to z taką siłą, że odcisk buta został na jej twarzy. Joyce nie miała żadnych szans z rozwścieczonym oprawcą. Leżała bez życia, gdy kończył dzieło. Zostawił jej martwe ciało, a sam splądrował dom i odszedł niezauważony przez nikogo.

Ale to było za mało. Zabójstwo Joyce przyszło mu zbyt łatwo i nie dało wystarczającej satysfakcji. Nie zgwałcił jej, nie nacieszył się wystarczająco jej przerażeniem, nie zdążyła błagać o litość. Wykorzystał więc panujący jeszcze zmrok i tej samej nocy ruszył na kolejne polowanie.

Został w Monterey Park. Wiedział, że minie kilka godzin, nim ktokolwiek odnajdzie Joyce, co dawało mu pewność, że w najbliższym czasie nie zjawią się policyjne radiowozy. Około 3.00 nad ranem zaparkował w pobliżu domu Sophie Dickman. Kobieta miała sześćdziesiąt trzy lata i mieszkała sama. Ramirez obszedł budynek w poszukiwaniu otwartych drzwi lub chociaż uchylonego okna, ale wszystko na nic. Wydawało się, że tym razem mu się nie poszczęści. Ale wtedy dostrzegł niewielkie wejście w drzwiach, przez które mógł przecisnąć się pies. Schylił się więc i przez otwór odblokował zamek. Sprawdzał po kolei wszystkie pokoje, gdy nagle Sophie się obudziła. Richard zauważył to i szybko do niej podbiegł. Zagroził jej, że jeśli zacznie krzyczeć, zastrzeli ją na miejscu. Kobieta była przerażona, ale czuła, że musi wykonywać polecenia szaleńca.

Założył jej na głowę poszewkę, a sam zacząć przeszukiwać dom w poszukiwaniu biżuterii. Gdy niczego nie znalazł, wrócił do Sophie i zaczął dopytywać, gdzie ukryła pieniądze lub inne kosztowności. Kobieta zapewniła, że niczego nie ma, ale mężczyzna w to nie uwierzył. W końcu przyznała, że trzyma niewielką skrzyneczkę w łazience. Zaciągnął ją więc tam i po chwili odnalazł to, czego szukał. Schował biżuterię w kiesze-

niach, a ofiarę znów zabrał do sypialni. Tam jednym ruchem zdarł z niej majtki i zaczął ją gwałcić, ale nie był wystarczająco podniecony, by osiągnąć orgazm. Wrócił więc do przeszukiwania domu, co wychodziło mu niezwykle chaotycznie. Gdy upewnił się, że już niczego wartościowego nie znajdzie, zagroził kobiecie, że jeśli piśnie komuś słówko o nim, to wróci i ją zabije, a następnie zniknął w ciemnościach, zostawiając Sophie z jedną dłonią przykutą do łóżka.

Drzwi zatrzasnęły się za Ramirezem, warkot silnika jego samochodu również ucichł. Kobieta podjęła więc próbę uwolnienia się z kajdanek, ale bezskutecznie. Z całych sił dosunęła łóżko do okna i zaczęła wzywać pomoc. Na przeciwko mieszkała Linda Arthur, która była zastępczynią szeryfa:

Były u mnie koleżanki i grzałyśmy się w jacuzzi. Wyszłyśmy około trzeciej nad ranem i poszłyśmy spać do pokoju gościnnego. Jakieś 10 minut później koleżanka mówi: „Linda, ktoś do ciebie". Odpowiedziałam: „Skąd, nikt nie dzwoni. Mam telefon tutaj". Wyjaśniła: „Ktoś cię woła zza płotu". Usłyszałam moją sąsiadkę Sophie Dickman. Wołała mnie z domu, wybiegłam więc do ogródka, wspięłam się na ogrodzenie i zobaczyłam ją w sypialni przez okno. Krzyknęłam: „Jest pani cała? Co się stało?". Odpowiedziała: „Ktoś mnie obrabował, zgwałcił i przykuł do łóżka".

Linda Arthur zadzwoniła po Carrillo. Była przekonana, że za atakiem na sąsiadkę stoi sprawca, na którego Gil polował. Detektyw nie był wystarczająco przekonany, ale w końcu zgodził się przyjechać na miejsce i po chwili był już w domu Sophie. Rozejrzał się po wnętrzu i zobaczył znany już sobie chaos, który pozostawiał po sobie morderca w każdym budynku, który po zmroku odwiedzał. Zgadzały się także inne elementy – telefon został odłączony, kobieta była skuta kajdankami i zgwałcona, zniknęły kosztowności. Ale to wciąż było za mało, by przypisać ten napad konkretnemu sprawcy.

Zanim Carrillo zdążył odpocząć w domu, znów go wezwano. Właśnie odkryto ciało Joyce Nelson i tym razem na miejscu znaleziono też odcisk buta marki Avia. Znajdował się przed domem, w pobliżu okna, przez które morderca przeskakiwał. Ziemia była tam świeżo rozkopana, toteż ślad był

wyraźny i głęboki. W dodatku krwawy odcisk był też na twarzy ofiary, co dodatkowo potęgowało skalę brutalności mężczyzny. Choć miał sporo wątpliwości, Gil stwierdził, że warto jednak porozmawiać z Sophie. Kobieta nie tylko przeżyła atak, ale też stała z napastnikiem twarzą w twarz, co mogło być źródłem cennych informacji. Pojechał więc do jej domu razem z Frankiem Salerno. Kobieta mimo tego, co przeszła, chętnie współpracowała z detektywami. Dokładnie opowiedziała o wydarzeniach minionej nocy i co najważniejsze – opisała gwałciciela. Słuchając jej relacji, policjanci wiedzieli już, że początkowy sceptycyzm był niepotrzebny. To „ich" morderca był tej nocy w domu pani Dickman. Podobnie jak kilku innych świadków również ona wspomniała o wysokim chudym brunecie z czarnymi jak noc oczami. Był ubrany na ciemno, ale najważniejszym szczegółem był odór, który od niego bił. O tym mówiły wszystkie osoby, które miały z nim styczność. Jak zauważyła Sophie, miał zepsute zęby i okropny oddech.

W tym czasie media w Los Angeles prześcigały się w pisaniu o brutalnych zabójstwach. Sprawcę nazwano Intruzem z Doliny. Spekulowano, kim może być, ujawniano też szczegóły z toczącego się śledztwa. Oczekiwano rezultatów, ale tymi policjanci z wydziału zabójstw nie mogli się na razie pochwalić. Wciąż byli daleko od schwytania sprawcy.

Szansa na odwrócenie biegu wydarzeń nadarzyła się niedługo potem. W jednym z porzuconych aut, które zidentyfikowano jako pojazd należący do mordercy, odnaleziono wizytówkę gabinetu dentystycznego. Śledczy podejrzewali, że niewielka karteczka należała właśnie do Intruza, biorąc pod uwagę stan jego uzębienia, o którym mówili świadkowie. Odnaleźli więc dentystę, do którego najpewniej chodził zabójca. Przyznał, że leczy niejakiego Richarda Menę, który cierpi na bolesne ropienie i wkrótce będzie musiał ponownie przyjść do gabinetu. Detektywi zdecydowali, że zastawią pułapkę i gdy mężczyzna znów odwiedzi lekarza, ten da im znać przez specjalny alarm zamontowany pod biurkiem. W pobliżu ustawiono też policyjny patrol, który miał przez cały dzień obserwować, czy ktoś podobny do mężczyzny z portretów pamięciowych wchodzi do środka. Ale ten

z pozoru doskonały plan nie wypalił. Richard co prawda pojawił się w gabinecie, ale przycisk alarmowy nie zadziałał. Funkcjonariusze stracili jedyną wówczas okazję na schwytanie psychopaty.

A ten w mediach zaczął być określany mianem Nocnego Prześladowcy. Pseudonim przyjął się na tyle, że pojawiał się we wszystkich gazetach, komunikatach radiowych i telewizyjnych. Ramirez z uwagą śledził prasowe doniesienia na swój temat i był niezwykle dumny z terroru, który zaprowadził. Jeszcze większą satysfakcję poczuł, gdy zrozumiał, że śledczy nic tak naprawdę na niego nie mają. Wciąż byli daleko od ustalenia jego tożsamości, mógł więc dalej atakować.

Dwudziestego lipca wybrał się na przejażdżkę do Glendale. Mijał pełne drzew i kwiatów uliczki, wypatrując kolejnego celu. Wtedy wyłonił się przed nim dom Maxona i Leli Kneidingów. Mężczyzna miał sześćdziesiąt osiem lat, a jego żona sześćdziesiąt sześć. Byli ze sobą od lat i wiedli spokojne życie, choć nieco niepokoju wniosły pogłoski o szalejącym w hrabstwie mordercy. Czytali gazety i wiedzieli, z jak brutalnym psychopatą ofiary miały do czynienia. Mimo to byli przekonani, że do nich Nocny Prześladowca nie dotrze.

Bardzo się jednak mylili. Ramirez wszedł do ich domu i natychmiast skierował się w stronę sypialni. Tym razem był gotowy na prawdziwy rozlew krwi. Wziął ze sobą maczetę. Wszedł do pokoju, kopnął w łóżko, na którym para spała, i obudził ich krzykiem. Kobieta zaczęła wrzeszczeć. Wtedy Richard uniósł ostrze i wbił je w kark Maxa. Ku swojemu rozczarowaniu zauważył, że mężczyzna nie zginął od razu. Miał również problem z trafieniem w Lelę. Porzucił więc maczetę i chwycił za sprawdzony rodzaj broni – pistolet. Przystawił Maxowi lufę do czoła i wystrzelił, następnie skierował dwudziestkędwójkę na kobietę i trzykrotnie pociągnął za spust, celując jej w twarz. Oboje umarli od razu. Ale dla Ramireza było to niewystarczające. Sięgnął więc ponownie po maczetę i okaleczył ich ciała. Zanim przyjechała policja, zdążył jeszcze przeszukać dom. Następnie wsiadł do auta i zniknął w mroku.

Częstotliwość, z jaką Richard urządzał polowania, była szokująca. Między jednym a drugim atakiem nierzadko mijało

zaledwie kilka godzin. Dwudziestego lipca, po tym jak zamordował małżeństwo Kneidingów, pojechał do Sun Valley. Było kilkanaście minut po godzinie 4.00, gdy wjechał na Charbonne Street. Zatrzymał auto i już wiedział, do którego domu ma się skierować. Wybrał posiadłość Chainaronga i Somkid Khovananth, małżeństwa emigrantów z Tajlandii. Mieli dwójkę dzieci – ośmioletniego syna i dwuletnią córkę. Podobnie jak większość mieszkańców Sun Valley nie przypuszczali, że również do ich miasta dotrze Nocny Prześladowca, dlatego nieszczególnie zabezpieczali dom. Przeszklone rozsuwane drzwi nie były zamknięte, dlatego Ramirez mógł bez problemu wślizgnąć się do środka. Wszedł do salonu, w którym na kanapie spała Somkid. Napastnik był tuż obok niej, dlatego od razu go wyczuła i otworzyła oczy. Nie zdążyła krzyknąć, bo zakrył jej usta dłonią. Pozostali domownicy pogrążeni byli w sennej nieświadomości. Richard zostawił na chwilę kobietę i poszedł do sypialni męża. Przystawił mu broń do głowy i wystrzelił. Chainarong nie miał żadnych szans na przeżycie, kula przeszyła czaszkę, niszcząc mózg i pozbawiając go życia w ułamku sekundy. Ramirez wrócił do Somkid, zaciągnął ją do łazienki, chwycił za suszarkę, w której przeciął kabel, związał jej ręce i zabrał do sypialni. Tuż obok ciała jej męża brutalnie ją zgwałcił. Następnie poszedł do pokoju chłopca, związał go i zakneblował. Horror w domu trwał. Ramirez zaczął sprawdzać każdą szafkę w poszukiwaniu biżuterii i pieniędzy. Później znów wrócił do Somkid, ponownie ją zgwałcił, dalej przeszukiwał dom, a następnie wykorzystał kobietę seksualnie po raz trzeci. W międzyczasie nieustannie ją bił i groził jej śmiercią, jeśli nie odda mu wszystkich kosztowności, które ma. Gdy wszystko, co cenne, wrzucił do torby, zostawił zmaltretowaną Somkid i odjechał. Wtedy kobieta zabrała dzieci i pobiegła do sąsiadów prosić o pomoc.

Po przyjeździe policji pani Khovananth ze szczegółami opisała, co wydarzyło się minionej nocy. Miała podbite oczy, wstrząs mózgu i mnóstwo szwów wewnątrz i wokół ust. Opisała, że za tym atakiem stał mężczyzna w wieku około trzydziestu–trzydziestu pięciu lat z zepsutymi zębami. Według niej był ciemnoskóry i miał czarne, kręcone włosy. Na tamtym etapie funkcjonariusze nie powiązali tej sprawy z Nocnym Prześladowcą.

Po zabójstwie Chainaronga Ramirez zamieszkał tymczasowo w hotelu Cecil w Los Angeles, który do dziś cieszy się fatalną sławą. W 2011 zmieniono mu nazwę na Stay On Main Hotel, ale nazwa Cecil ciągnie się za obiektem cały czas. Wszystko to za sprawą całej serii burzliwych wydarzeń, które rzuciły cień na pensjonat. Doszło tam do wielu samobójstw i niewyjaśnionych zgonów. Obiekt jest ogromny, bo liczy łącznie dziewiętnaście pięter i ma aż siedemset pokoi, ale głównymi bywalcami byli tam zazwyczaj średnio zamożni ludzie, niestroniący od alkoholu i narkotyków. W 1927 roku, czyli zaledwie dwa lata po otwarciu hotelu, pięćdziesięciodwuletni Percy Ormond Cook zastrzelił się w swoim pokoju. W późniejszych latach doszło tam łącznie do co najmniej kilkunastu samobójstw. Ale najgłośniejsza sprawa sięga roku 2013, gdy pokój wynajęła Elisa Lam. Kobieta zaginęła, a jedynym śladem po niej było dziwaczne nagranie z hotelowej windy. Kanadyjka wciskała kilka przycisków naraz, poruszała rękami tak, jakby odganiała kogoś od siebie, kryła się w rogu i co chwilę wyglądała na korytarz. Nagranie trafiło do sieci, a internauci byli przekonani, że dziewczyna ukrywała się przed napastnikiem. Po jakimś czasie lokatorzy hotelu zaczęli skarżyć się na brudną wodę, która w dodatku miała dziwny smak. Okazało się, że w jednym ze zbiorników wodnych znajdujących się na dachu leżało nagie ciało Elisy. Do dziś nie wiadomo, jak się tam znalazła. Jedna z najbardziej prawdopodobnych wersji mówi, że dziewczyna sama weszła do zbiornika, który być może nie był odpowiednio zabezpieczony. Wiadomo, że cierpiała na skrajną postać zaburzeń afektywnych dwubiegunowych, a w jej pokoju znaleziono kilka paczek leków.

Hotel został zamknięty w 2017 roku, ale w 2022 uruchomiono go ponownie. Ze względu na niemal stuletnią historię uważany jest za zabytek, dlatego nie podlega wyburzeniu. Według niektórych wersji Richard Ramirez przebywał w obiekcie kilka tygodni. Szóstego sierpnia opuścił jednak bezpieczne gniazdko i ruszył do Northridge, które było oddalone o 40 kilometrów od centrum LA. Od ostatniego ataku minęły ponad dwa tygodnie, czuł więc buzujące w nim emocje i pragnienie krwi. Tradycyjnie zaparkował auto i pieszo przemierzył kilka metrów, by znaleźć dom, do którego będzie

mógł po cichu wejść. Wybrał rodzinę Petersenów. Virginia, Chris i ich pięcioletnia córeczka mieszkali w skromnym, ale bardzo zadbanym domu. Podobnie jak w przypadku Khovananthów, również tutaj nikt nie zabezpieczył rozsuwanych drzwi. Ramirez bez problemu wszedł więc do środka i skierował się do sypialni. Virginia usłyszała intruza i natychmiast się obudziła. Zanim zdołała potrząsnąć mężem, Richard uniósł broń i strzelił jej prosto w twarz. Chris zerwał się na równe nogi, wtedy i jego skroń przeszyła kula. Mimo to mężczyzna wciąż żył i nie stracił przytomności. Usłyszał płacz małej córeczki, co podziałało na niego tak, jakby zażył niezwykle silną dawkę środków pobudzających. Wściekły i gotowy na wszystko, by tylko obronić dziecko przed zwyrodnialcem, rzucił się na Ramireza i próbował skręcić mu kark. Ten jednak zdołał się oswobodzić i wybiegł z domu, wskakując szybko do auta. Spodziewał się, że za chwilę na miejsce może przyjechać policja, dlatego czym prędzej odjechał przed siebie, zostawiając zakrwawionych, ale wciąż żywych ludzi.

Choć trudno w to uwierzyć, mimo rozległej rany twarzy Virginia nadal żyła, była w stanie też podnieść się z łóżka i pójść do sąsiadów po pomoc. Nikogo jednak nie zastała, wróciła więc do domu, zadzwoniła pod numer alarmowy i cała trójka czekała na zewnątrz na przyjazd policji.

Po odwiezieniu małżeństwa do szpitala okazało się, że mieli ogromne szczęście. Broń, z której strzelał Ramirez, miała przeterminowaną amunicję i proch nie działał tak, jak powinien. Dlatego czaszka Chrisa nie została przebita, a pocisk, który trafił w Virginię, uderzył w podniebienie i wyleciał przez kark, omijając mózg.

Choć w domu Petersenów nie odnaleziono odcisków butów, niczego też nie ukradziono, śledczy podejrzewali, że również za tym atakiem stał Nocny Prześladowca. Przebieg wydarzeń sugerował, że nie zdążył splądrować budynku, bo wypędził go zraniony w głowę Chris. Sposób działania jednak idealnie pasował do poszukiwanego psychopaty. Gdy dziennikarze odkryli atak na rodzinę, zgłosili się do Carrillo i Salerno po komentarz. Frank rzucił jedynie, że Nocny Prześladowca jest tchórzem. To w odniesieniu do tego, że krwawiąca ofiara była w stanie go wystraszyć na tyle, że uciekł i nie wrócił, by

dokończyć dzieła. Słowa Salerno od razu trafiły na czołówki gazet i Richard Ramirez mógł przeczytać o sobie, że policja uważa go za tchórza.

Wypowiedź Franka rozwścieczyła mordercę. Całą swoją działalność oparł na sianiu strachu, to on miał wzbudzać lęk, nie na odwrót. Nie chciał nieść terroru – chciał nim być. Włamywał się do domu ofiar, nie wiedząc tak naprawdę, kogo tam zastanie. Odbierał to jako przejaw ogromnej odwagi ze swojej strony. Jak więc Salerno mógł nazwać go tchórzem? Wiedział już, że kolejnym zabójstwem utrze nosa wszystkim glinom, które kiedykolwiek wątpiły w jego siłę i potęgę pochodzącą od samego Szatana.

Ósmego sierpnia zabrał broń i pojechał do Diamond Bar, gdzie mieszkali Sakina i Elyas Abowath. Para miała dwóch synów – trzyletniego i dziesięciotygodniowego. Ich dom wydał się Ramirezowi ciut za mały i miał wątpliwości, czy znajdzie tam sporo gotówki, ale mimo to chciał zaryzykować. Dom miał otwarte szklane drzwi, przez które bez problemu mógł wejść każdy. Tym razem był to właśnie Nocny Prześladowca. Wsunął się do salonu i przez chwilę czekał na przebieg wydarzeń. Nie usłyszał jednak żadnych odgłosów, co dodało mu pewności siebie. Wszedł do sypialni, gdzie spało małżeństwo, a także niemowlę w kołysce. Przystawił broń do głowy Elyasa i strzelił. Mężczyzna zginął od razu. Zbudzoną kobietę najpierw uderzył w twarz i brzuch, a potem skuł jej ręce kajdankami. Zaczął przetrząsać dom. Nie mógł jednak znaleźć niczego cennego, podbiegł więc do Sakiny i zaczął ją kopać. W końcu wskazała mu szafę, w której miała znajdować się biżuteria. Ramirez wyciągnął z niej walizkę, w której był niewielki worek ze złotem i biżuterią. Wrócił do kobiety, złapał ją za włosy i zawlókł do kuchni, gdzie zgwałcił zarówno oralnie, jak i analnie. Sakina nie stawiała oporu, myślała jedynie o dzieciach. Tylko ona mogła je uchronić przed szaleńcem. Mąż leżał martwy w łóżku. Intruz maltretował ją na wszystkie sposoby. Kopał, uderzał pięściami, szarpał, znów zgwałcił, a nawet ściskał jej piersi, by wyleciało z nich mleko. Kobieta wciąż karmiła swoje maleństwo. W pewnym momencie do pokoju wszedł jej trzyletni synek. Ramirez związał go i zarzu-

cił mu na głowę poszewkę, a matkę ponownie, trzeci już raz, zgwałcił.

Niedaleko domu Abowathów przejechał radiowóz. Ramirez zauważył go przez okno. Zamarł w bezruchu gotowy na strzelaninę z policjantami. Ale pojazd sunął jedynie po ulicy, nie zatrzymując się nigdzie w pobliżu. Morderca mógł więc odetchnąć z ulgą. Wrócił do tortur, które zadawał ofierze. W końcu, czując zaspokojenie fizyczne i emocjonalne, zostawił Sakinę i jej dzieci, a sam chwycił za torbę wypełnioną łupem i wyszedł z domu.

Kobiecie udało się przysunąć do synka, który z jej pomocą oswobodził się z knebla. Za namową matki pobiegł do sąsiadów po pomoc. Trzyletni chłopczyk w samej piżamie zbudził pana Wilsona. Była godzina 3.43. Mężczyzna chwycił malca i poszedł z nim do jego domu. Tam znalazł nagą, pobitą i wielokrotnie zgwałconą Sakinę, a także jej martwego męża.

Ofiar Nocnego Prześladowcy przybywało, a policjanci wciąż nie wiedzieli, kim on jest. Mieli wiele poszlak, ale to wszystko. Dlatego zdecydowano się na dość desperacki krok – nagrodę dla tego, kto ujawni nazwisko mordercy. Suma była duża, bo 80 tysięcy dolarów. Śledczy mieli nadzieję, że to skusi część osób do wydania tych, których mogą podejrzewać o udział w brutalnych mordach.

Dziesięć dni po koszmarnej dla rodziny Abowathów nocy Ramirez opuścił Los Angeles. Chciał spróbować sił poza doskonale znanym sobie terenem. Poza tym w samym LA i jego okolicach atmosfera była już wyjątkowo napięta, a policjanci co chwilę delegowali do akcji kolejne grupy, które miały pomóc w schwytaniu psychopaty. Dlatego Richard skierował wzrok na San Francisco, które nie było tak czujne, bo Nocny Prześladowca nie zdążył zaburzyć poczucia bezpieczeństwa, w jakim tkwili mieszkańcy.

W nocy 18 sierpnia wybrał dom Petera i Barbary Panów. Sześćdziesięcioszścioletni księgowy był niezwykle lubiany przez sąsiadów za pogodę ducha i uśmiech, którym obdarzał mijających go ludzi. Był szczęśliwym ojcem, a także dziadkiem. Z żoną wiedli spokojne, harmonijne życie. Tę sielankę przerwał Richard Ramirez, który wtargnął do ich domu chwilę

po godzinie 2.00. Prześladowca po cichu wszedł do sypialni śpiących małżonków i na miejscu zastrzelił Petera. Próbował też zgwałcić Barbarę, ale kobieta stawiała opór, dlatego i jej strzelił w głowę. Zabrał każdy przedmiot, który uznał za cenny, a na ścianie napisał „Kuba Nożownik", co miało być nawiązaniem do słynnego londyńskiego seryjnego mordercy Kuby Rozpruwacza. Ramirez zresztą nigdy nie ukrywał swojej fascynacji tym zabójcą, podobnie jak on chciał wyłaniać się z ciemności, mordować i porzucać okaleczone ciała, pozostając przy tym nieuchwytny.

O poranku miejsce zbrodni odkrył syn ofiar David. Barbara wciąż żyła, ale ojcu nie można było już pomóc. Policjanci skontaktowali się z burmistrz San Francisco Dianne Feinstein. Chcieli, by wyznaczyła nagrodę za pomoc w ujęciu sprawcy. Kobieta zorganizowała konferencję prasową, na której pogrzebała cały dotychczasowy wysiłek śledczych. Przekazała bowiem mediom wszystkie szczegóły dotyczące pracy nad schwytaniem mordercy, łącznie z danymi o zebranych przez nich dowodach. Najważniejszym i najbardziej bolesnym momentem było ujawnienie informacji o butach marki Avia. To odkrycie do tej pory trzymane było w ścisłej tajemnicy, bo jeśli morderca dowiedziałby się, że zostawia po sobie ślady, które pomogą w przypisaniu mu zabójstw, od razu pozbyłby się butów. Ale pani Feinstein nie zdawała sobie sprawy z tego, jak cenne informacje wyciągnęła na światło dzienne. Z miną pełną powagi, trzymając w rękach portret pamięciowy Nocnego Prześladowcy, objawiła całemu światu:

Człowiek ten włamuje się nocą do domów i morduje. Sytuacja jest nader poważna. Za pomoc w aresztowaniu i ujęciu bandyty wyznaczono nagrodę w wysokości 10 tysięcy dolarów. Z tego, co rozumiem, broń, z której w weekend zamordowano pana Pana, posłużyła do zabójstw w południowej Kalifornii.

Carrillo i Salerno byli załamani. Mieli poczucie, że cała ich niezwykle trudna praca trafiła właśnie na śmietnik. Wiedzieli, że morderca śledzi informacje w mediach na swój temat, bo jednej ofierze przedstawił się jako Nocny Prześladowca. Był to przecież przydomek, który nadali mu dziennikarze. Byli więc przekonani, że i te informacje, które właśnie za sprawą pani burmistrz ujrzały światło dzienne, wpłyną na przebieg

dalszego śledztwa. I nie pomylili się. Od tamtej pory na miejscach kolejnych zbrodni nie odnaleziono już odcisków butów marki Avia.

Po krwawym rajdzie w San Francisco Ramirez wrócił do Los Angeles. Czuł, że robi się wokół niego coraz goręcej. W obu hrabstwach wyznaczono nagrodę za jego głowę, z każdej witryny sklepowej krzyczały artykuły o Nocnym Prześladowcy z wielkimi portretami pamięciowymi. W dodatku dopiero po konferencji prasowej pani burmistrz zrozumiał, jak wieloma śladami policja dysponowała. Był przekonany, że niczego na niego nie mieli i chronił go sam Szatan. Wiedział, że musi być bardziej ostrożny, dlatego za dnia unikał skupisk ludzi, krył się i czekał na zmrok. Gdy ten zapadł 24 sierpnia, ukradł pomarańczową toyotę kombi i pojechał nią do Mission Viejo. Tam miał miejsce początek końca krwawej serii Nocnego Prześladowcy.

Trzynastoletni James Romero zauważył snujący się uliczkami pojazd Ramireza. Mimo zmroku naprawiał skuter i zwrócił uwagę na Ramireza, który przejeżdżał powoli, obrzucając pobliskie domy przerażającym spojrzeniem. Chłopak zapamiętał tę twarz doskonale, podobnie jak pomarańczowe auto. Prześladowca odjechał dalej w poszukiwaniu kolejnej posesji, którą mógłby obrabować. Trafił do Billa Carnsa, który mieszkał z narzeczoną Carole Smith. Oboje byli tuż przed trzydziestką. Ramirez zdjął moskitierę najciszej, jak tylko potrafił, otworzył okno i po chwili był już wewnątrz budynku. Swoim zwyczajem od razu ruszył w stronę sypialni. Para spała w łóżku, gdy intruz wyjął broń, odbezpieczył ją i wycelował. Bill natychmiast się zbudził i skoczył na równe nogi, ale wtedy pistolet wystrzelił, robiąc w głowie mężczyzny dziurę. Ramirez przeszedł do Carole. Kazał jej wyznawać miłość Szatanowi, a następnie ściągnął z łóżka i związał. Sam zaczął szukać biżuterii. Gdy znalazł to, czego chciał, zabrał dziewczynę do drugiego pokoju i tam zgwałcił. Następnie, chichocząc, zostawił unieruchomioną Carole i wyszedł z domu. Dwudziestosiedmiolatka była przerażona. Widziała, jak z głowy jej partnera leci obfita struga krwi. Udało jej się oswobodzić i podeszła do Billa, ale ten nie dawał znaków życia. Pobiegła więc do sąsiada, by wezwać pomoc.

Zanim Carole chwyciła za telefon, Ramirez przeszedł w pobliżu Romero.

– Nagle słyszę kroki na żwirze. Chrup, chrup, chrup, chrup… – mówił po latach James. – Chodził tuż obok, wiedziałem, że to nie zwierzę. Gdyby wszedł do garażu, byłbym w pułapce. Szedł po moim trawniku, przy moim oknie.

Gdy Ramirez się oddalił, chłopiec ruszył do domu. Wtedy zobaczył Nocnego Prześladowcę w całej okazałości. Miał na sobie czarną czapkę z daszkiem, czarną kurtkę i dżinsy. Chłopiec widział, jak mężczyzna wsiada do pomarańczowego auta, udało mu się też częściowo zapamiętać numery rejestracyjne. Wszedł szybko do budynku i obudził rodziców.

Richard zawsze na swoje akcje zakładał rękawiczki. Bardzo pilnował się, by nie zostawić nigdzie odcisków palców. Po napadzie na Billa i Carole dłonie niezwykle mu się pociły, zdjął więc rękawiczki i pojechał dalej. Po dłuższym dystansie porzucił toyotę, dokładnie ją wcześniej czyszcząc. Był pewien, że wkrótce ukradnie kolejny pojazd.

Tymczasem do detektywa Louiego Danoffa zgłosiła się córka Jessa Pereza. Powiedziała, że jej ojciec zna Nocnego Prześladowcę, ale obawia się o swoje życie. Przyznała, że mężczyźni poznali się na dworcu autobusowym i nowy znajomy miał na imię Rick. Z jej opisu wyłaniał się niemal ten sam napastnik, o którym mówili świadkowie. Zepsute zęby, nieustanne rozmowy o Szatanie, a do tego przechwalał się, że był doskonałym włamywaczem. Danoff wyposażony w tak ciekawe informacje zgłosił się do Franka Salerno i przekazał mu wszystko, czego się dowiedział. Detektyw polecił dwóm policjantom, by udali się do dziewczyny i z nią porozmawiali. Wtedy do środka wszedł Jesse. Po krótkich protestach w końcu zaczął mówić. Ricka poznał przez swojego brata, kupił też od niego broń kaliber 22 za 50 dolarów. Śledczy chcieli wziąć ją do analizy, ale okazało się, że Jesse oddał ją znajomej Esperanzie Gonzales.

Już na komendzie sześćdziesięciolatkowi pokazano portret pamięciowy Nocnego Prześladowcy. Oznajmił, że wygląda dokładnie tak jak jego znajomy. Przyznał też, że lubi muzykę heavymetalową i co chwilę pojawia się ze skradzionymi

przedmiotami. Wyznał, że sprzedaje je paserowi Felipe Solano. Śledczy czuli, że wreszcie są na dobrym tropie. Postanowili poddać dom Solano obserwacji. Gdy pojawił się w pobliżu, wyznaczeni detektywi podbiegli do niego, uderzyli i powalili na ziemię. Następnie weszli z nim do budynku i tam ich oczom ukazała się prawdziwa skarbnica Nocnego Prześladowcy. Większość przedmiotów pochodziła z zaatakowanych przez niego domów. Niestety, Felipe nie wiedział, jak nazywa się mężczyzna, który mu te fanty podrzuca, nie miał też pojęcia, gdzie mieszka.

Policjanci po ataku na Billa i Carole mieli informację od trzynastoletniego chłopca i jego rodziców o pomarańczowej toyocie krążącej wówczas po okolicy. Istniało duże prawdopodobieństwo, że kierowca pojazdu chciał się włamać do domu Romerów. Śledczy skupili się więc na odnalezieniu tego auta. Dysponowali jego kolorem, marką i częściowym numerem rejestracyjnym. Opublikowano w mediach opis z nadzieją, że ktoś widział auto lub zna jego posiadacza. Wtedy do policji zgłosił się mężczyzna, który twierdził, że jego przyjacielowi skradziono właśnie takie auto. Przy okazji podał dokładny numer rejestracyjny.

Po niedługim czasie samochód został odnaleziony. Stał zaparkowany przy centrum handlowym. Szybko go zabrano do laboratorium, gdzie pojawił się kolejny przełom – na lusterku znaleziono wyraźny odcisk palca. Był to ten jeden, jedyny ślad, którego Ramirez po ściągnięciu rękawiczek nie zdołał wytrzeć i który wkrótce miał go pogrążyć.

Nad głową Richarda zbierało się coraz więcej czarnych chmur. Analizując siatkę powiązań między klientami, którzy skupowali rzeczy należące do ofiar Nocnego Prześladowcy, śledczy dotarli do Armanda Rodrigueza. Miał znajomego Ricka, który był włamywaczem i często sprzedawał biżuterię. Policjanci zdobyli numer telefonu Armanda i na tej podstawie ustalili jego dokładny adres. Przyjechali na miejsce, by z nim porozmawiać, ale nie był skory do współpracy. Gardził policją i nie zamierzał jej w niczym pomagać. Został więc zakuty w kajdanki i przewieziony do aresztu. Tam wyjaśniono mu, że jego znajomy może być poszukiwanym mordercą, a jeśli on ukrywa informacje, odpowie za współudział. Po kilku godzi-

nach Armando zmienił zdanie i wyjawił najcenniejsze nazwisko: Ramirez. Tak miał się nazywać Rick, który handlował przedmiotami powiązanymi z domami mordowanych po zmroku ludzi.

Dalej wszystko potoczyło się już błyskawicznie. Dzięki odciskowi palca, a także danym osobistym trafiono w bazie na Richarda Ramireza, który miał już na koncie włamania, a także handel narkotykami. Pokazano jego zdjęcie kilku osobom, które potwierdziły, że Richard i Rick to ta sama osoba. Po długiej debacie funkcjonariusze zdecydowali: mając wszystkie dane i pewność, że to właśnie Ramirez jest Nocnym Prześladowcą, należy opublikować jego wizerunek. I tak też się stało. Zdjęcie mordercy wyskakiwało z niemal każdego zakamarka: było w telewizji i gazetach we wszystkich sklepach oraz w kioskach w Los Angeles. Wszędzie ta sama fotografia przedstawiająca mężczyznę z czarnymi jak węgiel oczami, równie ciemnymi włosami i szczupłą twarzą. Potwór, który terroryzował mieszkańców od miesięcy, wreszcie został objawiony światu i ten sam świat doprowadził do jego zatrzymania.

Trzydziestego sierpnia 1985 roku Richard wracał z Tucson w Arizonie. Mieszkał tam jego brat Robert, którego chciał odwiedzić. Nie miał pojęcia, że media ujawniły jego tożsamość i każdy mieszkaniec Los Angeles wiedział już, że Nocny Prześladowca to Richard Ramirez. Jechał autobusem, który na miejsce miał dojechać o świcie. Był zmęczony długą podróżą i chciał jak najszybciej znaleźć się już u siebie. Był podenerwowany, zupełnie tak jak wtedy, gdy w trakcie nocnych eskapad mijał policyjny radiowóz i zamierał w oczekiwaniu na przebieg wydarzeń.

Po dojechaniu do LA Ramirez poszedł do sklepu. Chciał kupić kawę i bułkę. Dopiero tam zaczęło docierać do niego, co się tak naprawdę dzieje. Gdy robił zakupy, zauważył, że przygląda mu się grupka kobiet. Szeptały między sobą, pokazując go palcami. Wychwycił jedno słowo: „morderca”. Kątem oka zerknął na gazety ułożone na regale i z przerażeniem na głównej stronie hiszpańskojęzycznej „La Opinion” dojrzał swoje zdjęcie. Wpadł w panikę. Szybko wybiegł ze sklepu i po zaledwie kilkunastu krokach zauważył pędzące w swoją stronę

radiowozy. Właściciel marketu rozpoznał Nocnego Prześladowcę i powiadomił służby. Ściskając gazetę w ręce, Richard mknął przed siebie, przecinając kolejne ulice. Nie zwracał uwagi na pędzące obok samochody, chciał być jak najdalej od ludzi, ale przede wszystkim – od radiowozów. Biegł przez autostradę, wskoczył do autobusu, ale tam pasażerowie od razu go rozpoznali. Wysiadł więc na pierwszym przystanku i znów pędził przed siebie. Zauważył auto, w którym siedziała nieznajoma kobieta. Podbiegł do niej i próbował wyciągnąć ją na zewnątrz. Wiedział, że jeśli chce uciec, koniecznie potrzebuje samochodu. Ale krzyki kobiety usłyszeli ludzie w okolicznym sklepie i salonie fryzjerskim. Wybiegli na zewnątrz i rozpoznali Nocnego Prześladowcę. Ramirez znów musiał uciekać, ale tym razem goniła go już nie tylko policja, ale i grupa mężczyzn. Mijał kolejnych ludzi, którzy go rozpoznawali i dzwonili od razu po służby, alarmując, że poszukiwany morderca właśnie mknie między domami, uciekając przed rozwścieczonym tłumem. Ramirez trafił na Hubbard Street zamieszkaną przez Meksykanów. Wskakiwał na ich posesje, szukając schronienia. Znów próbował ukraść auto, ale wtedy jeden z mieszkańców podbiegł do niego i uderzył go w głowę metalową rurką. Morderca nie upadł jednak na ziemię oszołomiony, ale wciąż przytomny biegł dalej przed siebie. Był wyczerpany, zakrwawiony, a ludzie wściekli i żądni zemsty. Wiedzieli, kogo ścigają i jaka jest stawka za jego schwytanie. Słysząc krzyki: „Morderca!”, kolejne osoby wychodziły z domów, dzierżąc w dłoniach kije. W końcu Ramirez dostał następny cios w głowę, który tym razem go powalił. W ostatniej chwili przyjechał policyjny radiowóz. Gdyby nie dotarł w tamtym momencie, tłum zapewne rozszarpałby Ramireza własnymi rękami.

Funkcjonariusz nie bez problemów oddzielił ludzi od Nocnego Prześladowcy i zapytał: „Jak się nazywasz?”. Wtedy mężczyzna odparł: „Ricardo Ramirez”. Policjant wiedział już, że oto stoi przed nim najbardziej poszukiwany człowiek w całym Los Angeles. A koszmar mieszkańców tego hrabstwa dobiegł właśnie końca.

Richard trafił na posterunek Hollenbeck. Wezwano na miejsce Carrillo i Salerno, przygotowano dla nich też pokój

przesłuchań. Dla Gila był to prawdopodobnie najważniejszy dzień w karierze. Wreszcie, po wielu miesiącach wyniszczającej pracy, która kosztowała zdrowie jego i jego rodzinę, mógł spojrzeć w oczy Nocnemu Prześladowcy, który z zimną krwią mordował niewinnych mieszkańców LA. W międzyczasie policjanci odnaleźli torbę Ramireza, którą wyrzucił, uciekając przed tłumem, a ze skrytki na dworcu autobusowym, którą sam wskazał, wyjęto ukrytą przez niego broń. Śledczy mieli wszystko, czego potrzebowali, mogli więc ruszyć z przesłuchaniem.

A to rozpoczęło się od żądania prawnika ze strony Richarda. Na każde pytanie Gila i Franka odpowiadał krótko: „Chcę adwokata". Carillo wiedział, że musi znaleźć sposób, by do niego dotrzeć. Zaczął więc mówić do niego po hiszpańsku. Ramirez od razu się ożywił i wyraźnie rozluźnił. Gil mówił później:

Wszedłem tam z jednym zadaniem – miałem nakłonić go do otwarcia się, do mówienia. Zrozumieć, dlaczego to robił, bo z jakiegoś powodu to czynił. Kiedy zacząłem z nim rozmawiać, robiłem to tak, jakbym rozmawiał po prostu z człowiekiem z ulicy, jego językiem. Rozmawialiśmy trochę tak, jakby był w trzeciej osobie. Zapytałem: jak myślisz, dlaczego Nocny Prześladowca wypuścił Marię Hernandez? I wyszło, że przypominała mu jego siostrę Ruth, wyglądała uderzająco podobnie do niej. Zacząłem więc o niej rozmawiać, o jego tacie. Zapytałem, czy jego ojciec molestował córkę. Wściekł się. Położył na stole i sprawiał wrażenie, jakby miał hiperwentylację. Jego ramiona zaczęły się unosić, był naprawdę wkurzony i przez milisekundę, przez jedną milisekundę powiedziałem sobie: jasna cholera, jeśli ten facet się uniesie i zacznie latać po pokoju, ucieknę stąd. Mogę walczyć z człowiekiem, ale nie z diabłem.

Później rozmowa przeniosła się na satanizm. Ramirez wprost przyznał, że wierzy w Lucyfera i jego życie skupia się wokół tej właśnie relacji. Zaczął opowiadać o swoim dzieciństwie, religijności rodziców, wyjawił, że ojciec był impulsywny i agresywny. Niekiedy sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę się rozpłakać. Ale o swoich zbrodniach nie chciał

mówić. Gdy został o nie zapytany wprost, ponownie zażądał adwokata i zamilkł.

Po niezbyt udanym przesłuchaniu śledczy przeanalizowali zgromadzone dowody. Było tam wszystko, co mogłoby posłużyć do postawienia Ramireza przed sądem. W znalezionej torbie były zestawy kluczy, rękawiczki ogrodowe, rewolwer, amunicja różnego kalibru, czarne buty, wazelina, cążki i witaminy. Pociski od razu przekazano do laboratorium i – zgodnie z oczekiwaniami – idealnie pasowały do tych, które odnaleziono na miejscach zbrodni. Prokurator Phil Halpin zacierał ręce z zadowolenia, mógł szykować się do oskarżenia Nocnego Prześladowcy o serię brutalnych morderstw.

Rodzina Ramireza była w szoku. Co prawda Richard od dawna chodził własnymi ścieżkami, ale nikt nie podejrzewał go o sadyzm i zabójstwa. To do niego – w ich oczach – zwyczajnie nie pasowało. Jego ojciec później mówił:

Pogodziłem się z tym, że był złodziejem, ale nigdy z tym, że robił rzeczy, o których mówią. Media zmieniły go w potwora, a tak naprawdę jest tylko biednym chłopcem, który został wychowany w wierze w Boga. Źle znoszą to nasze wnuki. Są bardzo smutni. Byli przyzwyczajeni do Richiego. Opiekował się nimi i przynosił im zabawki.

Dla Ramireza bardzo trudnym momentem były odwiedziny jego siostry Ruth. Bardzo ją kochał i nie chciał, by przez niego cierpiała. Gdy zobaczył ją za więzienną szybą, rozpłakał się. Zapewnił ją, że to nie on jest mordercą, o którym wszyscy mówią. Siostra poradziła mu, by walczył o siebie i dowiódł swojej niewinności. Ale Richard przyznał, że nie będzie to łatwe, bo wszyscy są przeciwko niemu i już dawno podjęli decyzję co do jego przyszłości. Mimo to nie zamierzał przyznawać się do czegokolwiek.

Jego historia elektryzowała media. Każdego dnia przed aresztem, w którym się znajdował, ustawiały się tłumy fotoreporterów. W gazetach przewijało się jego zdjęcie już po zatrzymaniu, gdy Richard w towarzystwie funkcjonariuszy jechał radiowozem. Głowę miał owiniętą bandażem. To po ciosie metalową rurką, który otrzymał od jednego z mieszkańców.

Piątego września – również w towarzystwie tłumu dziennikarzy – przewieziono Ramireza na okazanie. Świadkowie mieli zza szyby ocenić, czy to właśnie jego widzieli na miejscach zbrodni. Ze względu na ranę głowy wygolono mu fragment włosów, mimo to śledczy liczyli na to, że taki szczegół nie zmyli ofiar i wskażą właśnie Richarda. W sali zgromadzono niemal wszystkie pokrzywdzone osoby. Przygotowano dla nich specjalne miejsca, za nimi stanęli z kolei Gil Carrillo i Frank Salerno. W napięciu oczekiwali na werdykt. Ten był dla Ramireza miażdżący. Zdecydowana większość wskazała właśnie jego. Później pokazano świadkom przedmioty, które zrabował. Rozpoznali wśród nich swoje zegarki, pierścionki, bransoletki czy kolczyki. Jeśli Richard do tego momentu liczył na jakiś niespodziewany zwrot akcji, który zrzuciłby z jego barków podejrzenie o morderstwa, to w tamtej chwili jakakolwiek nadzieja musiała go opuścić.

Przesłuchania wstępne ruszyły 3 marca 1986 roku. Na liście, którą przygotował prokurator, było aż 140 nazwisk. Do rozpoczęcia procesu była jednak jeszcze długa droga. Najpierw sędzia musiał zdecydować na podstawie zebranych dowodów, a także słów świadków, czy były przesłanki, by taki proces karny wszczynać. Obrońcami Richarda zostali Daniel i Arturo Hernandezowie. Słabo doświadczeni młodzi prawnicy, ale rodzina Ramirezów bardzo naciskała na to, by to właśnie oni stanęli do walki na sali sądowej.

Na rozprawach pojawiały się nie tylko rodziny ofiar, ale też tajemnicze, ubrane na czarno kobiety. Szybko okazało się, że to fanki Ramireza. Towarzyszyły mu nieustannie, uśmiechały do niego, pisały listy, niektóre pokazywały nawet pentagramy na znak solidarności z mordercą. Gdy dziennikarze pytali, co je pociąga w Ramirezie, chichotały i nie potrafiły racjonalnie wytłumaczyć swojego zachowania. Najczęstszymi argumentami było to, że był przystojny i zagadkowy, a do tego kręciło je zło, które go otaczało. Ubóstwiały go jak gwiazdę filmową, a nie seryjnego mordercę. Tymczasem adwokaci Richarda próbowali udowodnić, że przedmioty, które znaleziono w torbie ich klienta, zostały pozyskane nielegalnie. Zanim zajrzano do środka, Ramirez wielokrotnie powtarzał, że chce adwokata. Mimo to nie przydzielono mu od razu praw-

nika, tylko przystąpiono do gromadzenia dowodów przeciwko niemu. Według Hernandezów w ten sposób złamano konstytucyjne prawa Richarda. Sędzia te zarzuty jednak oddalił.

Prawne przepychanki między obroną a oskarżycielami trwały wiele miesięcy, podobnie jak przesłuchania wstępne świadków i analiza zgromadzonych dowodów. Dopiero w lipcu 1988, czyli blisko trzy lata po zatrzymaniu Ramireza, rozpoczęto wyłanianie ławy przysięgłych. Okazało się to się niezwykle trudnym zadaniem, bo rodzina Richarda chciała, by w składzie byli Latynosi. I to się udało, w ławie zasiadło niewielu białych, co obrona uznała za swój największy sukces.

Richard usłyszał łącznie blisko pięćdziesiąt zarzutów. Zgromadzony materiał dowodowy był niezwykle mocny. Ale Ramirez sprawiał wrażenie, jakby to wszystko odbywało się gdzieś poza nim. Gdy ruszył proces, prowokacyjnie uniósł dłoń, pokazując całemu światu pentagram. Krzyknął też „Hail Satan!”. Na rozprawy zakładał czarne okulary, których nie ściągał nawet wtedy, gdy sędzia zwracał się bezpośrednio do niego. Był arogancki, wykrzywiał twarz w grymasie i posyłał uśmiechy fankom.

Jednak najbardziej przejmujące były zeznania ofiar. Dokładnie opisywały swoje spotkanie z Ramirezem, a także rozmiar obrażeń, jakie im zadał. Polało się wiele łez, a ich ból odczuwał niemal każdy obecny na sali sądowej. Obrońcy próbowali udowodnić, że większość świadków kojarzyła twarz Richarda z gazet i medialnych przekazów, dlatego wskazywali właśnie na niego. Ale wszyscy przepytywani nie mieli wątpliwości – za brutalnymi atakami, które uczyniły w ich życiu potężną wyrwę, stał właśnie on. Richard Ramirez.

W trakcie procesu Nocny Prześladowca nawiązał silną więź z Doreen Lioy. Kobieta pojawiała się na każdej rozprawie i nie spuszczała wzroku z mordercy. Regularnie pisała do niego listy i w sumie wysłała ich aż 75. Była jego całkowitym przeciwieństwem – kulturalna, miła, spokojna i wykształcona. Nie pisała o tym, jak bardzo chce uprawiać z nim seks i jak mocno podnieca ją świadomość, że zanurzał ręce w ludzkiej krwi, o czym w swoich listach cały czas wspominały inne fanki. Ona chciała mu pomóc. Broniła go w mediach, wysyła-

jąc do wielu redakcji długie pisma. Gdy pytano ją, czy nie przeszkadzają jej zbrodnie, których dokonał, odpowiadała jedynie: „To nie ma znaczenia”. Była mu wierna i pragnęła tylko jego. Całkowicie go idealizowała, a jemu bardzo to odpowiadało. Zaufał jej i wkrótce stała się jego powierniczką, a po pewnym czasie nawet miłością.

Hernandezowie nieustannie przeciągali proces. Wykorzystywali każdy pretekst do przesuwania rozpraw, raz próbowali nawet udowodnić, że jeden z nich – Daniel – nie będzie mógł uczestniczyć w procesie przez kilka tygodni ze względu na zły stan zdrowia. Na tej podstawie domagali się zmiany terminów. Ale po rozmowie z lekarzem okazało się, że rzekoma choroba Hernandeza nie jest na tyle poważna, by znów zmieniać cały harmonogram. Według mediów, które obszernie relacjonowały wydarzenia na sali sądowej, prawnicy dążyli do tego, by unieważnić trwający proces. Ale wszyscy, zarówno ławnicy, sędzia, jak i świadkowie i rodziny ofiar, chcieli, by ten spektakl wreszcie się zakończył. Opisy brutalnych morderstw i słuchanie wstrząsających relacji odciskały silne piętno na większości osób uczestniczących w procesie. Dlatego wiele takich prób ze strony Hernandezów było ignorowanych przez sędziego.

Ramirez na wyrok czekał w więzieniu hrabstwa Los Angeles. Przewrotny los chciał, że do tego samego ośrodka w 1989 roku trafił aktor Sean Penn. Brutalnie pobił fotografa i za kratkami miał spędzić miesiąc. Richard był zachwycony perspektywą przebywania w tym samym zakładzie, w którym siedział hollywoodzki gwiazdor. Zapytał więc Penna o autograf. Ten, nie chcąc być posądzony o kontrabandę, poprosił, by Ramirez najpierw przysłał notatkę. Później aktor odpowiedział na nią:

Drogi Richardzie. Nie można siedzieć w więzieniu i nie czuć powinowactwa z towarzyszami niedoli, ale wygląda na to, że udało mi się dokonać niemożliwego. Nie czuję żadnego powinowactwa z Tobą.

Na ten krótki liścik Ramirez odpowiedział jedynie, że chce pozostać z nim w kontakcie i żeby „dalej im dowalał”. Zamieścił też liczbę 666.

Dużym wstrząsem w trakcie procesu była śmierć jednej z ławniczek. Phyllis Singletary znaleziono martwą w jej mieszkaniu. Miała rany postrzałowe. Wśród przysięgłych wybuchła panika, sądzili, że może to efekt jakiejś klątwy rzuconej przez Ramireza. W końcu otwarcie mówił o satanizmie i swojej miłości do Lucyfera. Ale śmierć trzydziestojednolatki nie miała związku ze sprawą, do której ją przydzielono. Kobietę po kłótni zamordował jej chłopak James Melton. Sąsiedzi zeznali, że słyszeli krzyki, a potem kilka strzałów. Jej partner nigdy nie odpowiedział przed sądem za zabójstwo. Odebrał sobie życie tą samą bronią, z której zastrzelił Phyllis.

Dwudziestego września 1989 ława przysięgłych przekazała swoją decyzję – Richard Ramirez został uznany za winnego czterdziestu sześciu zarzutów. Niewiele osób było zaskoczonych takim werdyktem. W całym procesie dobitnie wykazano, że za serią zabójstw stał właśnie Richie. Potwierdziły to dowody, a także zeznania świadków. Pytanie było więc, nie czy Ramirez jest winny, ale w jaki sposób odpowie za swoje zbrodnie. Wyrok miał być ogłoszony 29 września.

Wcześniej przysięgli wysłuchali mów końcowych oskarżyciela i adwokatów. Ten pierwszy przekonywał, że Ramirez zasługuje na karę śmierci:

Wnoszę, abyście spojrzeli prawdzie w oczy. Ten człowiek jest ucieleśnieniem zła. Jeśli ktoś na tym świecie zasługuje na śmierć, to jest nim Richard Ramirez. Dlatego domagam się, abyście skazali go właśnie na taką karę.

W zupełnie innym tonie przemawiała obrona, która za wszelką cenę chciała uratować życie klienta:

W trakcie procesu nie było mowy o tym, że to był dobry chłopak, który zrobił to czy tamto, poszedł do takiej czy innej szkoły. Nad tym się nie zastanawialiście. O tym nie było mowy, dlatego nawet ja nie wiem, jaką szkołę ukończył. Znacie go tylko z tego, co zrobił w osiemdziesiątym czwartym i głównie osiemdziesiątym piątym roku. Uważam, że w tym czasie coś musiało się wydarzyć, choć nie wiem dokładnie co. A nawet jeśli się tego domyślam, to nie jestem pewien, czy miałoby to wpływ na wasze decyzje. Przyjmijmy jednak, że doszło do opętania, że istnieje coś takiego jak opętanie. Okazując łaskę

oskarżonemu, okazalibyście ją także diabłu, a z tego, co wiem, diabeł potrzebuje tej łaski bardziej niż ktokolwiek.

Po wysłuchaniu tych płomiennych przemów ławnicy udali się na obrady. Nie trwały one długo, bo zapewne większość z nich zdążyła wyrobić sobie zdanie jeszcze w trakcie procesu. Opisy zbrodni były niezwykle szokujące, a wielu doświadczonych policjantów przyznawało, że w całej swojej karierze nie widzieli takiej brutalności. Dlatego i tu decyzja nie była zaskoczeniem. Ramireza skazano na karę śmierci. Ten wyrok jego matka skomentowała krótko: „To Szatan powinien umrzeć, nie Richie".

Dziewiątego listopada sąd odczytał wyrok. Zgodził się z ławnikami, że Ramirez zasługiwał na karę śmierci. Pozwolił zabrać głos samemu Richardowi. Jego przemowa na długo zapisze się w kartach historii kryminalnej:

Nie rozumiecie mnie. Nie dziwię się temu. Nie jesteście w stanie mnie pojąć. Egzystuję poza dobrem i złem. Zostanę pomszczony. Lucyfer odpłaci wam za wszystkie moje krzywdy. Nie wiem, po co marnuję na was oddech, ale co mi tam. O moim życiu kłamano w przeszłości i będzie się kłamać w przyszłości. Nie wierzę w obłudne moralizatorskie dogmaty tak zwanego cywilizowanego społeczeństwa. Nie muszę sięgać wzrokiem poza mury tej sali, by widzieć wszystkich kłamców, nienawistników, morderców, łotrów i paranoicznych tchórzy. Prawdziwe mendy tego świata. Rzygać mi się chce, gdy na was patrzę, gnidy! Hipokryci co do jednego. Wszyscy jesteśmy zbędni, gdy przychodzi co do czego. Nikt nie wie tego lepiej niż ci, którzy zabijają w imię polityki, otwarcie albo skrycie, czyli rządy tego świata, które mordują w imię Boga i ojczyzny. Nie muszę słuchać tego waszego społecznego racjonalizowania. Słyszałem to wszystko wcześniej. Legiony nocy, nocne plemię, nie powtarzajcie błędów Nocnego Prześladowcy i nie okazujcie nikomu łaski.

Ramirez został skazany na dziewiętnaście wyroków śmierci. Miał zginąć w komorze gazowej w więzieniu stanowym San Quentin w Kalifornii. Ta decyzja nie zrobiła na nim właściwie żadnego wrażenia. Rzucił jedynie: „Wielka mi rzecz. Do zobaczenia w Disneylandzie".

Za to rodzina Richarda była wstrząśnięta tą decyzją. Nie wierzyła w sprawiedliwy wyrok i w jej odczuciu w trakcie procesu pojawiło się bardzo dużo błędów i wątpliwości. Według Juliana nie udowodniono, że odciski butów należały do jego syna. Przekonywał też, że po śmierci jednej z ławniczek proces powinien ruszyć od nowa. Przyznał jednak, że mimo tak szokującego wyroku, a także zachowania Richarda na sali lokalna społeczność Los Angeles nigdy nie okazała jemu i jego żonie wrogości. Wręcz przeciwnie, oboje otrzymywali nieustanne wsparcie, a ludzie przysyłali listy, w których pisali, że bardzo im współczują i solidaryzują się z nimi w cierpieniu.

Przebywając w więzieniu, Richard nawiązał romans z Cynthią Haden, ławniczką, która… posłała go na śmierć. Kobieta zaczęła regularnie go odwiedzać, a gdy tylko zostawali w pokoju sam na sam, od razu rzucała się do pocałunków. Była nim całkowicie oczarowana i twierdziła, że poznanie go było jej przeznaczeniem. Ale Richard w tym samym czasie spotykał się dalej z Doreen, która nie ukrywała swojej złości w związku z odwiedzinami innej kobiety. W końcu Ramirez oświadczył się Doreen, a ta bez namysłu powiedziała „tak". Przeniosła się do San Francisco, by być bliżej ukochanego. Dzięki temu mogła znacznie częściej go odwiedzać.

W 1996 roku, po kilku latach romansu za więziennymi kratami, para wzięła ślub. Gdy sprawa wyciekła do mediów, zrobił się spory szum. Podekscytowani dziennikarze dobijali się do dyrektora zakładu karnego, chcąc wydobyć jakiekolwiek szczegóły ceremonii. Dzwoniły też ofiary Ramireza, które nie potrafiły pojąć, dlaczego umożliwiono mu zawarcie związku małżeńskiego. I oczywiście przetoczyła się ogromna fala krytyki uderzająca w samą Doreen. Niewiele osób potrafiło ją zrozumieć, a wybór seryjnego mordercy na męża wydawał się co najmniej niestosowny.

Ale w tej „romantycznej" historii nie ma *happy endu*. Doreen, choć żyła już jako pani Ramirez, nie została z mężem aż do śmierci. Opuściła go w 2009 roku, gdy pojawiły się informacje o pierwszej ofierze Richarda. Miała nią być Mei Leung, dziewięciolatka, którą zabił, zanim ruszył na łowy jako Nocny Prześladowca. Do morderstwa doszło 10 kwietnia 1984

roku. Dziewczynka zginęła w piwnicy budynku, w którym mieszkała. Jej częściowo nagie, powieszone pod rurą ciało odnalazł brat. Policja uznała wówczas, że ma do czynienia z zabójstwem rytualnym, ale sprawcy nie udało się znaleźć. W 2009 roku dzięki badaniom DNA udało się połączyć Ramireza ze śmiercią dziewczynki.

Prześladowca nie doczekał kary. Wielokrotne apelacje wydłużały jego pobyt w celi śmierci. Ale egzekucją okazała się nie komora gazowa, a nowotwór. Richard zmarł 7 czerwca 2013 roku, wcześniej zdiagnozowano u niego chłoniaka. Przez narkotyki i zapalenie wątroby typu C miał też poważne problemy z tym organem. Zmarł w wieku pięćdziesięciu trzech lat.

Przed śmiercią Ramirez udzielił kilku wywiadów. Jeden z nich przeprowadzono w 1993 roku, gdy toczyły się sprawy apelacyjne w jego sprawie. Rozmawiał wówczas z dziennikarzem magazynu „Inside Edition":

Dziennikarz: *Czy zabiłeś trzynaście osób?*

Richard Ramirez: *Niewłaściwe byłoby komentowanie moich wyroków i trwających procesów.*

Dziennikarz: *Dlaczego?*

Richard Ramirez: *Bo próbuję się odwoływać.*

Dziennikarz: *Odwołujesz się, bo jesteś niewinny? Nie zabiłeś tych trzynastu osób?*

Richard Ramirez: *To prawda.*

Dziennikarz: *Nie zabiłeś ich?*

Richard Ramirez: *Powtórzę. Niewłaściwe byłoby jakiekolwiek odnoszenie się przeze mnie do tego pytania.*

Dziennikarz: *Dołączyłeś do bardzo wąskiego grona osób takich jak Charles Manson i Ted Bundy. A jednak mówisz, że nie zabiłeś tych osób. Wszyscy myślą jednak inaczej…*

Richard Ramirez: *Seryjni mordercy robią w małym wymiarze to, co rządy robią w dużym. Są wytworami naszych czasów. A żyjemy w bardzo krwawych czasach. Nawet psychopaci mają emocje. Głęboko schowane. A może nie mają…*

Dziennikarz: *A ty masz emocje, Richard?*

Richard Ramirez: *Bez komentarza.*

Dziennikarz: *A co teraz czujesz?*

Richard Ramirez: *Przyznam, że porzuciłem uczucia takie jak miłość i szczęście bardzo dawno temu.*

Dziennikarz: *Dlaczego?*

Richard Ramirez: *Nie chce mi się tego tłumaczyć. Niech każdy rozumie to, jak chce. (...) Ludzie mają dziś wyprane mózgi. Są programowani jak komputery. Są jedynie marionetkami. Ten kraj został stworzony przemocą. A co zostało stworzone w ten sposób, często kończy się przemocą. Szaleństwo, co do zasady, jest bardzo indywidualną sprawą. Ale gdy mamy grupę takich osób, to ich szaleństwo staje się zasadą i prawem. Zabijanie to zabijanie. Nieważne, czy robi się to z obowiązku, religijnego nakazu, czy dla zabawy. Ludzie zabili się sami, tworząc taką demokrację, jaką mamy.*

Dziennikarz: *Czytasz teraz ze swoich notatek, Richard. Nie odpowiadasz na moje pytania.*

Richard Ramirez: *Tak.*

Dziennikarz: *Czy jesteś wyznawcą diabła? Jesteś satanistą?*

Richard Ramirez: *Są różne wyznania satanistyczne.*

Dziennikarz: *Zgłębiałeś satanizm?*

Richard Ramirez: *Tak.*

Dziennikarz: *Wyznajesz diabła?*

Richard Ramirez: *Bez komentarza.*

Dziennikarz: *Śmiało.*

Richard Ramirez: *Mogę ci coś opowiedzieć o satanizmie.*

Dziennikarz: *Chętnie posłucham.*

Richard Ramirez: *To jest czysta mądrość sprzeciwiająca się hipokryzji i ciągłemu oszukiwaniu się. To siła bez dobroczynności. Satanizm wywodzi się ze zła.*

Dziennikarz: *Przyznajesz, że jesteś zły, Richardzie?*

Richard Ramirez: *Wszyscy jesteśmy źli w taki czy inny sposób. Czyż nie?*

Dziennikarz: *To ja ciebie pytam.*

Richard Ramirez: *Tak, jestem zły. Nie w stu procentach, ale jestem zły. Zło zawsze istniało. To idealny świat, którego ludzie szukają. I będzie tylko gorzej. Musimy nauczyć się, że często nasze najgorsze cechy to nasze najlepsze cechy.*

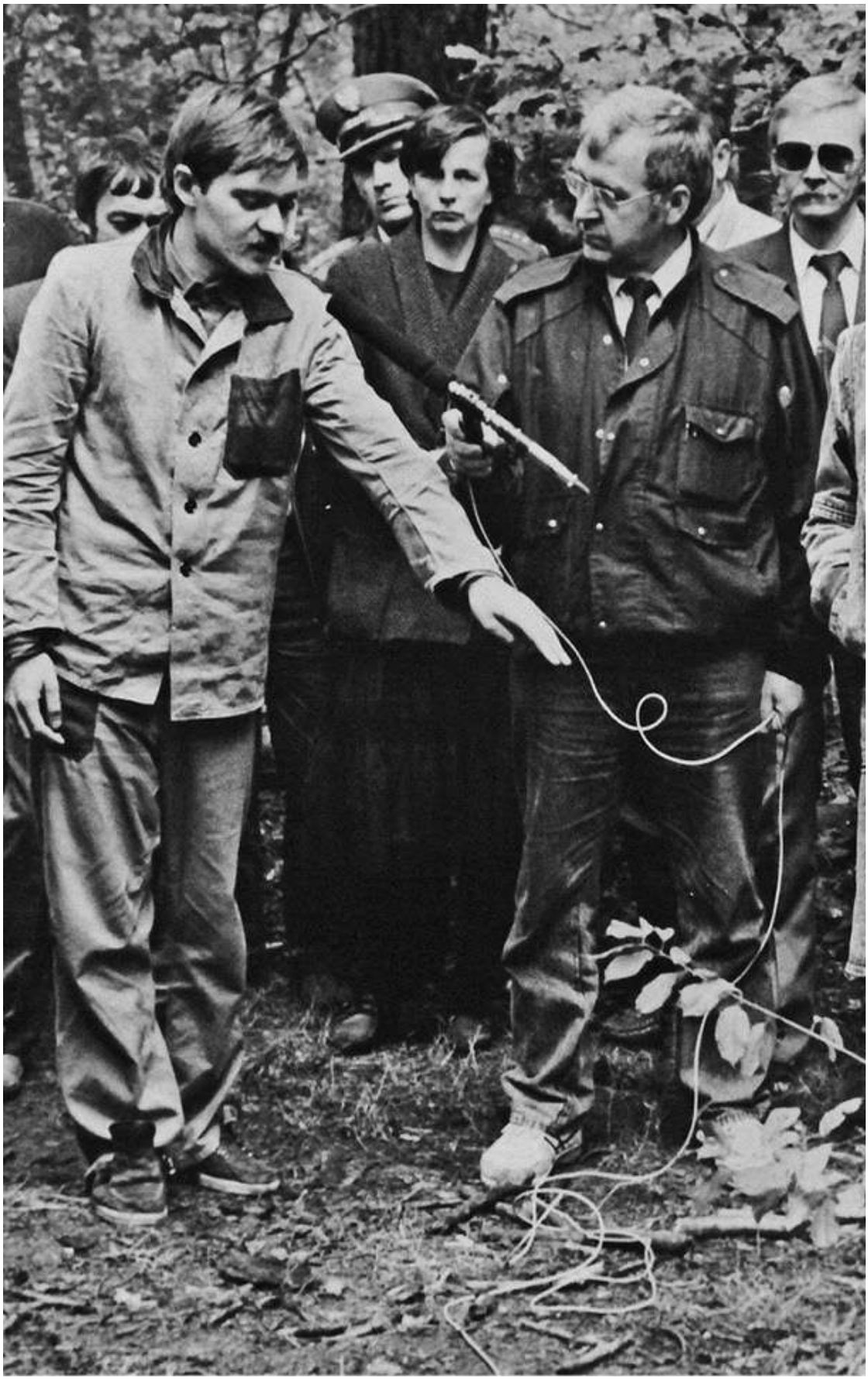

Mariusz Trynkiewicz to nauczyciel pedofil, który zszokował Polskę zabójstwem czterech chłopców. Jego historia stała się pretekstem do utworzenia ośrodka w Gostyninie.

FOT. CEZARY PECOLD/SUPER EXPRESS

MARIUSZ TRYNKIEWICZ

Bestia z Piotrkowa

Praca w szkole wpływała na mnie kojąco, łagodząco, jakbym tam przejmował jakąś energię od tych dzieci.

Mariusz Trynkiewicz

Każda zbrodnia wzbudza w nas naturalną reakcję – szok, oburzenie, smutek, złość. Ale są takie przestępstwa, które szczególnie wzmagają gniew i żądzę zemsty. Bo trudno zrozumieć i wybaczyć krzywdę wyrządzoną dziecku. Molestowanie i gwałt na nieletnim tworzy w jego psychice wyrwę, której nic nie jest w stanie całkowicie zapełnić. Z kolei dla każdego rodzica świadomość, że jego pociecha może stać się ofiarą pedofila, jest nie do zniesienia. Mało osób zdaje sobie jednak sprawę z tego, że nie każdy dorosły, który dotyka lub gwałci dziecko, jest pedofilem. W wielu przypadkach okazuje się, że są to osoby, które nigdy wcześniej nie miały kontaktu seksualnego z dzieckiem i nawet o tym nie fantazjowały. Jednak strach przed zbliżeniem się do kobiety, mężczyzny, alkohol lub ograniczone zdolności intelektualne popchnęły danego osobnika właśnie w stronę dzieci, które postrzegane są, mówiąc brutalnie, jako niezwykle łatwe cele. W tych przypadkach chęć uprawiania seksu jest wyższa niż moralne zasady i naturalne blokady, które zadziałałyby u większości osób. Czym jest więc pedofilia, jeśli nie po prostu wykorzystaniem seksualnym dzieci? To jedna z wielu parafilii, czyli zaburzeń seksualnych, która sprawia, że osoba powyżej szesnastego roku życia przejawia zainteresowanie dziećmi. To one ją podniecają, pojawiają się w fantazjach, wypełniają większość myśli. Jednak nie każdy pedofil zdecyduje się na zbliżenie do dziecka. Wielu z nich, wbrew pozorom, ogranicza się jedynie (a może aż) do myśli o nieletnich w kontekście seksualnym, natomiast mają w sobie na tyle samokontroli i samoświadomości, że nie zdecydują się na skrzywdzenie dziewczynki lub chłopca. Osoby z tym zaburzeniem niejednokrotnie szukają pomocy u specjalistów, decydując się na długą i trudną terapię. Próbują budować normalne życie, znajdują partnerów, walcząc jednocześnie z własnymi słabościami. Jeśli wierzyć najnowszym badaniom, w Polsce jest od pięciu nawet do dziesięciu procent osób z zaburzeniami pedofilnymi.

Zdarza się jednak, że ludzie z takimi skłonnościami nie potrafią nad sobą zapanować, nie szukają pomocy, tylko podążają za instynktem. Dzieci bywają naiwne, dlatego nieświadome zagrożenia wpadają w pułapkę zastawioną przez pedofila. A jeśli ten dodatkowo wykazuje się agresją, jesteśmy świadkami niebywałej tragedii, która już na zawsze naznacza całe społeczeństwo.

Blok, w którym mieszkała babcia Mariusza Trynkiewicza, a później również on. To tutaj w 1988 roku zamordował trzech chłopców.

FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Piotrków Trybunalski to liczące nieco ponad 70 tysięcy mieszkańców miasto w województwie łódzkim. Przyjemne blokowisko z galerią handlową, sieciami fast food i łatwym dojazdem do Łodzi czy Warszawy. W przeszłości mocno związane z kulturą żydowską, do dziś posiada kilka cennych perełek architektonicznych. Mimo to dla większości Polaków nie będzie miastem pierwszego wyboru, nie ma tu zabytków, które przyciągałyby rzesze turystów. Jeśli ktoś jednak chce dobrze poznać ziemię łódzką, powinien zajrzeć do tego drugiego pod względem wielkości miasta w regionie.

Dziesiątego kwietnia 1962 roku właśnie w Piotrkowie na świat przyszedł Mariusz Trynkiewicz. Jedyny syn Urszuli i Władysława Trynkiewiczów. Wtedy jeszcze całkowicie anonimowe dziecko, jakich wiele w miasteczkach podobnych do Piotrkowa. Ale dziś to okryty niechlubną sławą seryjny morderca i pedofil.

Zanim jednak Trynkiewicz stał się tym, kim się stał, wiódł normalne życie. Rodzice dbali o niego i chcieli zapewnić mu jak najlepszy start w przyszłość. Do szóstego roku życia nie przejawiał żadnych niepokojących zachowań. Później zachorował na żółtaczkę i od tamtego momentu rodzice zauważyli, że ich syn nieco się zmienił. Zaczął lunatykować, mówić przez sen, a nad ranem niczego nie pamiętał. Pozostał jednak cichy i spokojny, nie sprawiał większych problemów wychowawczych.

Przed blokiem przy ulicy Działkowej 8 spotkałam panią Mirosławę, dawną sąsiadkę Mariusza. Starannie przycinała krzewy okalające budynek, w którym ponad trzydzieści lat temu doszło do potrójnego zabójstwa. Trynkiewicza znała od dziecka:

Marta Kiermasz: *Jaki był?*

Mirosława: *Cichy, nie miał kontaktu z innymi dziećmi. Babcia go zawsze za rączkę prowadzała. Nie wiem, czy on nie chciał się z nikim bawić, czy to ona mu na to nie pozwalała. Wie pani, dziadek w urzędzie skarbowym pracował, więc dla nich inni ludzie to byli, no… powiedzmy wprost, barachło.*

Marta Kiermasz: *A pani dzieci się z nim znały, przyjaźniły?*

Mirosława: *Nie, moje dzieci nigdy się z nim nie bawiły. To, co się później wydarzyło, myśmy przeżywali bardzo. Bardzo.*

Mieszkanie babci Mariusza, a później również jego, znajdowało się na pierwszym piętrze w środkowej klatce. Sam blok umieszczony był pośród podobnych budynków, z parkingiem i garażami po bokach. Zwyczajne blokowisko, które można znaleźć w każdym mniejszym i większym mieście w Polsce.

W szkole Mariusz radził sobie bardzo dobrze. Nieustannie zbierał pochwały od nauczycieli, był bystry i szybko chłonął wiedzę. Lubił się uczyć, spędzał nad książkami mnóstwo czasu. Zawiązywanie przyjaźni nieszczególnie go wówczas interesowało. Nie był duszą towarzystwa, stronił od imprez i większych spotkań. Podstawówka upłynęła mu w atmosferze beztroski i pogłębiania ciekawości świata. Wszystko zaczęło się zmieniać w szkole średniej. Dostał się do I Liceum Ogólnokształcącego, w którym nie do końca potrafił się odnaleźć. Nie był lubiany, izolował się od innych uczniów, co w okresie dojrzewania często wpływa negatywnie na kształtującą się osobowość dorosłego później człowieka. Brak kolegów i koleżanek, możliwości zwierzania się i przeżywania wszystkiego tego, z czym kojarzy się młodość, sprawiły, że Trynkiewicz coraz częściej opuszczał lekcje. Do tej pory wzorowy uczeń zaczął łapać coraz gorsze oceny, a rodzice regularnie przeprowadzali rozmowy z wychowawcą syna. W końcu zapadła decyzja – Mariusz musi zmienić szkołę. Ojciec przeniósł go więc do Technikum Przemysłu Szklarskiego. Tam chłopakowi szło już znacznie lepiej. Znów zaczął zdobywać coraz lepsze stopnie, a rodzice nie byli już częstymi gośćmi w pokoju nauczycielskim. Wydawało się więc, że wszystko wraca do normy, a najtrudniejszy epizod Mariusz ma już za sobą. Nauka szła mu bardzo dobrze, do tego stopnia, że wygrał olimpiadę techniczną. To dało mu możliwość studiowania. Trynkiewicz marzył o Krakowie, ale Królewskie Miasto nie otworzyło dla niego swoich podwoi. Zmieniły się zasady rekrutacji i nawet zwycięstwo w olimpiadzie nie zagwarantowało mu miejsca na uczelni. To był dla Mariusza spory cios i po raz pierwszy w życiu poczuł gorycz tak dotkliwej porażki.

Nie zamierzał jednak porzucać planów dotyczących studiów. W Piotrkowie otworzyła się właśnie filia Wyższej Szkoły Pedagogicznej i to tam złożył papiery. Bez problemu został wpisany na listę studentów i mógł cieszyć się uczelnianym życiem.

Pierwsze trzy lata obejmowały naukę w systemie dziennym, pozostałe dwa już zaocznie. Choć syn kształcił się i miał jasno określone cele na życie zawodowe, rodzice byli coraz bardziej zaniepokojeni jego zachowaniem. Matkę szczególnie martwił brak zainteresowania dziewczynami ze strony Mariusza. Był w tym wieku, w którym większość młodych mężczyzn myśli już o stałym związku, niektórzy nawet o małżeństwie. Ale Trynkiewicz był inny. W jego aktach znalazły się takie zeznania matki:

Na roku było tylko trzech chłopców, pozostałe to dziewczęta. Rozmawiałam z nim o tym, że najwyższy czas nawiązać jakąś znajo-

mość bliższą z dziewczyną, że może dobrze by było, gdyby się ożenił. (…) Tłumaczył, że na uczelni nie może z żadną koleżanką nawiązać bliższej znajomości, bo pozostali obraziliby się na niego, że robi wyłom. Wszyscy tworzyli jak gdyby paczkę. Zdawałam sobie sprawę, że tak nie jest, i tłumaczyłam mu, że to jest najlepszy okres na poznanie kogoś bliskiego. Uświadomiłam sobie wówczas, że z Mariuszem jest coś nie tak.

W trakcie zaocznych studiów, w 1984 roku, Trynkiewicz rozpoczął pracę w Szkole Podstawowej numer 11. Objął stanowisko nauczyciela wychowania technicznego, ale udzielał się też na innych polach. Prowadził między innymi szkolne koło fotograficzne, a także strzeleckie. O swoich relacjach z uczniami mówił w reportażu *Cichy, spokojny* Magdaleny Majewskiej:

Na pewno nie chodziło tu o przebywanie z młodzieżą w tym sensie, że dążyłbym do zła podczas tego przebywania. Absolutnie nie o takie chodziło. Ja się bardzo rozładowywałem właśnie podczas pracy, gdy pracowałem w szkole, gdy uczyłem, gdy byłem nauczycielem. Było to bardzo… Nie powiem, że mnie uspokajało, bo ja nie szedłem do szkoły zdenerwowany, rozemocjonowany i tak dalej, ale po prostu wiem, jak to na mnie wpływało, jak wpływała na mnie praca w szkole. Działała na mnie naprawdę jakoś kojąco, jakoś łagodząco, jakbym tam przyjmował, no nie wiem, jakąś energię od tych dzieci.

Uczniowie lubili Trynkiewicza. Był sympatyczny, miał też z nimi dobre relacje. Potrafił dotrzeć do dzieci, wzbudzić ich zaufanie. Zdaniem ówczesnego dyrektora placówki był dość flegmatyczny, ale bardzo sumienny. Przykładał się do swoich zajęć, trzymał porządek w sali, czasem jednak zbyt pobłażał uczniom. Mimo to udawało mu się zachować dyscyplinę, dlatego dyrektor przymykał na to oko. Nie miał też żadnych konfliktów z innymi nauczycielami, wręcz przeciwnie. Miał z nimi dobre, koleżeńskie relacje, był zawsze kulturalny i nie prowokował awantur. Nikt wówczas nawet nie podejrzewał, jakie demony zaczynają zaprzątać jego umysł.

Łączenie studiów i pracy nie należało do najłatwiejszych zadań, dlatego Trynkiewicz zaczął sięgać po środki, które mogłyby go wspomóc w nawale obowiązków. Tak w jego ręce wpadło relanium. Najpierw łykał je tylko przed ważnymi egzaminami, później już nałogowo. W zdobywaniu tabletek pomagała mu nieświadoma zagrożenia matka:

Mówił mi wtedy, że na roku koledzy i koleżanki nagminnie zażywają ten lek dla uspokojenia. Nieraz więc prosiłam panią doktor

o zapisanie leku i dawałam Mariuszowi. Po jakimś czasie zauważyłam, że syn zażywa coraz więcej relanium, że uzależnia się. Ograniczałam mu relanium, ale wiedziałam, że może dostać je od kolegów, i bierze więcej, niż mu wydzielałam. Sam mówił do mnie, że jest uzależniony od relanium, błagał mnie nieraz o jedną czy dwie tabletki.

Choć głośno o tym nie mówił, Trynkiewicz miał bliską przyjaciółkę. Była nią Beata B., nauczycielka języka polskiego, która później w rozmowie z milicjantami przyznała, że gdyby Mariusz tylko się zdecydował, byłaby w stanie wyjść za niego. Poznali się na studiach:

Po zakończeniu pierwszego roku nauki Mariusz zaproponował, abym pojechała z nim na kolonie jako wychowawca. Wszystkie formalności związane z wyjazdem załatwił Mariusz. Ja byłam wychowawcą grupy dzieci w wieku 9–11 lat, a Mariusz był kierownikiem do spraw pedagogicznych. Większość czasu spędzał ze mną i z moją grupą. Był lubiany przez dzieci, niezależnie od tego, czy byli to chłopcy, czy dziewczynki. Wielokrotnie przebywaliśmy sam na sam, gdy dzieci poszły już spać. W tym czasie słuchaliśmy muzyki i rozmawialiśmy, paląc przy tym bardzo dużo papierosów. Mariusz nigdy nie próbował mnie pocałować. Uważam, że jego zachowanie w stosunku do mnie było spowodowane nieśmiałością. Z jego zachowania wnioskowałam, że mnie lubi, ale nie miał śmiałości tego powiedzieć. Nie poruszaliśmy również spraw seksu.

Po powrocie z kolonii przyjaciele pisali do siebie listy. Na tym jednak się zakończyło:

Nasza korespondencja urwała się pod koniec 1986 roku. Zrezygnowałam z listów, ponieważ już mnie to znudziło i denerwowało, że nasza forma znajomości od lat pozostawała taka sama. Traktował mnie jak siostrę. Mnie to nie zadowalało, potrzebowałam czegoś bliższego. I dlatego nasza znajomość została przerwana.

Beata określała przyjaciela słowem „dziecinny”, według niej był niedojrzały i niegotowy na założenie rodziny. Trynkiewicz nigdy nie zaproponował jej małżeństwa, przekreślając swoją szansę na stworzenie zdrowego związku.

Najtrudniejszy okres w życiu nadszedł wraz z powołaniem do wojska. Już po zatrzymaniu Trynkiewicz zeznał, że założenie munduru całkowicie go zniszczyło i przyczyniło się do tego, że stał się mordercą. Przysięgę wojskową złożył 10 października 1986 roku. Przeżył wówczas kolejne, drugie już załamanie nerwowe, zaczął nawet rozważać samobójstwo.

Początkowo trafił do jednostki w Koszalinie, ale po kilku tygodniach przeniesiono go do Tomaszowa Mazowieckiego. W wojsku nie umiał się odnaleźć. Twarde zasady i rygorystyczna codzienność uderzały w jego artystyczną naturę. Mariusz uwielbiał malować, pisał też wiersze, pragnął kariery naukowej, nie żołnierskiej.

Pierwszą przepustkę otrzymał w grudniu 1986 roku. Poza wojskowe mury wyszedł odmieniony. W jego psychice zaczęły zachodzić zmiany, nad którymi nie potrafił już panować. Zainteresowanie skierował nie na kobiety, a na młodych chłopców. Wtedy też dopuścił się pierwszego poważnego przestępstwa. Zwabił trzynastoletniego Roberta W. na działkę letniskową swoich rodziców we Włodzimierzowie, oddalonym od Piotrkowa o niecałe dziesięć kilometrów. Znajdował się tam niewielki domek, w którym Trynkiewicz ukrył chłopca. Związał mu ręce i nogi sznurem, które dodatkowo przyczepił do kraty okna. Na głowę włożył worek foliowy. Przetrzymywał trzynastolatka przez blisko trzy godziny. W końcu uderzył go w twarz, potem rozwiązał i niespodziewanie wypuścił do domu. Trynkiewicza zatrzymała milicja, ale tłumaczył, że nie chciał zrobić Robertowi krzywdy, a jedynie z nim porozmawiać.

Ale kolejny atak nastąpił zaledwie miesiąc później. Drugą ofiarą Mariusza stał się czternastoletni Paweł P. Chłopak również został obezwładniony we Włodzimierzowie, a następnie siłą doprowadzony do domku letniskowego. Trynkiewicz przetrzymywał go tam kilka godzin i ponownie, jak w przypadku Roberta W., również wypuścił na wolność. Tym razem jednak musiał odpowiedzieć za to przestępstwo. Jako żołnierz trafił przed Sąd Garnizonowy, który skazał go na rok więzienia w zawieszeniu na dwa lata. To właśnie wtedy po raz pierwszy Trynkiewicz został poddany badaniom biegłych. Ich opinia powinna wówczas mocno zaniepokoić jego przełożonych. Stwierdzono u niego bowiem:

– osobowość nieprawidłową o cechach psychopatycznych,

– trwałe, nieprawidłowe zachowanie seksualne o charakterze pedofilnym z popędem homoseksualnym.

Mimo to 7 czerwca 1987 roku dostał kolejną przepustkę. Do jednostki miał wrócić dzień później pociągiem. Na dworcu kolejowym zobaczył dwunastoletniego Szymona F., który kręcił się wokół torów i obserwował przejeżdżające składy. Trynkiewicz patrzył na niego przez chwilę, aż w końcu zebrał się w sobie i do niego podszedł. Powiedział mu, że jest trenerem piłki nożnej i pech chciał, że jeden z jego zawodników złapał kontuzję. Dlatego pilnie poszukuje zastępstwa. Stwierdził, że Szymon idealnie nadałby się na jego miej-

sce, dlatego zaproponował, by wstąpił do drużyny. Oczywiście, nie za darmo. Zaoferował mu trzy tysiące złotych, co wydało się niezwykle kuszącą propozycją. Szymon z coraz większym zainteresowaniem słuchał opowieści nowego znajomego. Miał miły, spokojny głos, był rzeczowy i uprzejmy, dlatego gdy zaproponował wizytę na letniej działce, chłopiec zgodził się od razu.

Po przyjeździe na miejsce Trynkiewicz od razu zaprowadził Szymona do domku. Tam nie było już rozmów o piłce nożnej, pieniądzach i przyjemności ze wspólnej gry. Zamiast tego polecił chłopcu, by się rozebrał. Dwunastolatek był wyraźnie oszołomiony słowami Mariusza, ale pokornie wykonał jego polecenie. Mężczyzna chwycił go i położył się z nim na kanapie. Dotykał go po brzuchu, szyi i pod pachami. Szymon był sparaliżowany strachem, nie bronił się i czekał w milczeniu, aż ten horror się skończy. Stało się to dopiero po pięciu godzinach. Wtedy Trynkiewicz pozwolił dziecku odejść.

Sprawa natychmiast trafiła na milicję, a potem do sądu. Było to już trzecie porwanie, którego dopuścił się Mariusz, dlatego tym razem trafił za kratki. Przewieziono go do aresztu śledczego w Łodzi, gdzie miał odbyć karę.

W zakładzie, podobnie jak w szkole, w której wcześniej uczył, nie sprawiał żadnych problemów. Zarówno współwięźniowie, jak i strażnicy nie narzekali na jego zachowanie. Oceniono, że jest niekonfliktowy, lubi utrzymywać porządek i ma bliskie relacje z rodzicami. I właśnie ze względu na tę dobrą opinię sąd zgodził się na przerwę w odbywaniu kary. Mariusz poprosił o nią ze względu na stan zdrowia matki, która cierpiała na jaskrę i miała problemy z sercem. Syn chciał się nią opiekować, a sąd mu na to pozwolił. Trynkiewicz ponownie poczuł smak wolności 2 kwietnia 1988 roku. Za kratki miał wrócić równe cztery miesiące później.

Po wyjściu z aresztu pierwsze kroki Mariusz skierował do mieszkania rodziców. Nie zagościł tam jednak długo. Uznał, że potrzebuje przestrzeni i samodzielności, dlatego przeniósł się do mieszkania babci. Mieściło się w bloku przy ulicy Działkowej. Było to niewielkie lokum na pierwszym piętrze składające się z przedpokoju, pokoju, kuchni oraz łazienki. Codzienność Trynkiewicza była nad wyraz prosta. Ze względu na odbywanie kary nie mógł podjąć żadnej pracy, utrzymywali go więc rodzice. Dawali mu (w przeliczeniu na dzisiejsze kwoty) około siedmiuset złotych miesięcznie. Każdy dzień był łudząco podobny do poprzedniego. Pobudka, nakarmienie rybek, spotkanie z jedynym kolegą, którego miał, i przejażdżka po

okolicy motocyklem Jawa 350. Rutyna, która została przerwana w lipcu 1988 roku.

Było to niezwykle upalne lato w Polsce. Dzieci z Piotrkowa, ale i okolicznych wiosek, chętnie bawiły się nad zalewem Bugaj, grały w piłkę i wędrowały po lesie, który od strony wsi Koło otacza miasto. Rozległe tereny kusiły małych, spragnionych przygód podróżników. Również dziś można się tam wybrać na wielogodzinne wycieczki i spacerować wśród drzew niemal w całkowitej ciszy. Jeśli ma się szczęście, można spotkać na drodze jelenie i sarny. Dla dzieci lat osiemdziesiątych była to wymarzona sceneria do całodniowych letnich zabaw.

Tę beztroską krainę zniszczyło makabryczne odkrycie na początku sierpnia. Emeryt Edward Ś. czuł, że to będzie dobry dzień na zbieranie grzybów. Nie zastanawiając się długo, wsiadł na rower i pojechał do lasu. Przemknął szlakiem, który znał już na wylot i z zamkniętymi oczami mógłby się nim przemieszczać. Wtedy dostrzegł coś między drzewami:

Nie patrzyłem na zegarek, kiedy już byłem w lesie. Moim zdaniem mogła być 10.45. Widziałem niewielki ogień. Zatrzymałem się i podszedłem na odległość około dziesięciu metrów od paleniska. Przyjrzałem się i wydawało mi się wówczas, że dopalają się klocki drewna. Bezpośrednio blisko nie podchodziłem, uznając, że ognisko rozpalił robotnik leśny i po pewnym czasie przyjdzie i zasypie ogień piaskiem. Będąc w domu, spojrzałem na zegarek i była wówczas 12.40.

Z jakiegoś powodu odkryte palenisko nie dawało mu spokoju. Dlatego na drugi dzień, 5 sierpnia, Edward Ś. wiedziony ciekawością wrócił w to samo miejsce:

Wstałem około 7.00. Rowerem pojechałem na targowisko przy hali. Około 10.20 rowerem udałem się do lasu na grzyby w to samo miejsce, gdzie przebywałem dnia poprzedniego. (...) Z ciekawości postanowiłem podejść do miejsca, gdzie poprzedniego dnia tliło się ognisko. Skręciłem zatem w lewo z duktu i po około 20 metrach znalazłem się w bezpośredniej bliskości tego miejsca. Nie zauważyłem ognia ani też dymu, natomiast było dużo much. Początkowo myślałem, że są to spalone świnie, kiedy jednak jeszcze bardziej się przybliżyłem, rozpoznałem mocno zwęglone trzy ciała ludzkie. Ciała te były jakby zawinięte w materiał koloru białego. Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

Edward powiadomił milicję około godziny 16.00. Dalej wszystko potoczyło się już błyskawicznie. Zgłoszenie odebrał

dyżurny, który z kolei przekazał notatkę starszemu sierżantowi Kazimierzowi Kubickiemu. Ten powiadomił plutonowego Jana Karbowiaka. Obaj pojechali do lasu, by zobaczyć znalezisko, o którym mówił emeryt. W swoim raporcie napisali:

Na miejscu znaleźliśmy spalone zwłoki trzech osób, które swoimi rozmiarami wskazywały, że są to dzieci.

Sześćdziesięciojednoletni Edward mówił więc prawdę, w lesie było palenisko. Nie pomylił się też, mówiąc, czego, a raczej kogo próbowano się tam pozbyć. Śledczy mieli przed sobą niezwykle trudną do rozwiązania sprawę, która zwiastowała to, co zazwyczaj pojawia się w przypadku zabójstw dzieci – społeczną panikę i rozgrzane do czerwoności emocje. Wiedzieli więc, że muszą działać szybko, bo na skalę takiej zbrodni Piotrków nie był przygotowany.

Do milicjantów i techników badających ciała dołączyła prokurator Małgorzata Ronc, która przejęła nadzór nad śledztwem. Wiedziała, że jest ono priorytetowe i należy sprawdzić każdy możliwy trop. Podstawą było jednak ustalenie tożsamości ofiar.

Na pierwszy rzut oka dało się jedynie rozpoznać, że w palenisku były trzy ciała. Dwa z nich ułożono prostopadle do osi dróżki, która prowadziła na miejsce. Trzecie natomiast położono równolegle. Całą trójkę owinięto w spore kawałki materiału, a następnie włożono w worki foliowe. Wystawały z nich jedynie częściowo spalone nogi. W trakcie przeszukania terenu znaleziono paczkę po papierosach Klubowe, opakowanie po chusteczkach higienicznych i kluczyk do kłódki typu yeti. Ale co ważniejsze, zauważono też ślady po kołach samochodu. Po ich wstępnym zbadaniu ustalono, że w tym miejscu mógł przejechać konkretny typ samochodu: Fiat 125p, Wartburg, Dacia, Zaporożec. Więcej poszlak w lesie już nie odnaleziono. Ciała zostały zabezpieczone i przewiezione do zakładu medycyny sądowej w Łodzi.

Tam każde z nich otrzymało własny numer: 4, 5 i 6. Rozpoczęła się żmudna sekcja, która powoli, kawałek po kawałku, odsłaniała skalę obrażeń. W przypadku zwłok numer 4 stwierdzono, że:

– głowę owinięto białą tkaniną, prawdopodobnie prześcieradłem,

– pod spodem znajdowała się folia,

– pod folią kolejna warstwa tkaniny: ręcznik przewiązany był kolorowym materiałem.

Ustalono, że ciało należy do chłopca. Zauważono liczne rany kłute, między innymi w okolicach obojczyka i klatki piersiowej.

Badając zwłoki numer 5, zanotowano, że:

– głowę pokrywał worek foliowy, w którym znajdował się kolorowy ręcznik frotté,

– w worku znaleziono również końcówkę kabla elektrycznego, przylegał on do tkanin na wysokości szyi, miał około metra długości,

– przymocowana do niego tkanina miała barwę biało-żółtą, zauważono przy niej koronkę i oceniono, że może to być fragment poszewki,

– pod nią była opaska gazowa,

– dolną część ciała przykryto tkaniną w biało-zielone kwiatki,

– całość przewiązano skórzanym paskiem i ręcznikami.

Był to kolejny chłopiec, na którego zwłokach można było dostrzec rany kłute. Miał cięcia w okolicach głowy, szyi, klatki piersiowej i łopatki, zauważono też, że majtki założone były na odwrotną stronę.

W przypadku ciała numer 6 wnioski były bardzo podobne:

– zwłoki owinięte folią,

– pod spodem znajdowała się biała tkanina opleciona sznurkiem,

– owinięta dodatkowo tekturą z napisem: „Wysokość składowania do siedmiu warstw”,

– pod nią kolejna tkanina, tym razem flanelowa,

– pierwszą warstwę stanowiły poszewki.

Ofiara również była chłopcem, który miał rany kłute w okolicach głowy, klatki piersiowej, barku i brzucha. W sumie dzieciom zadano 18 ciosów, prawdopodobnie nożem. We wszystkich ciałach znajdowały się już larwy, a patrząc na stan rozkładu, można było wywnioskować, że śmierć nadeszła tydzień wcześniej, około 30 lipca. Ustalono również, że dzieci zmarły w wyniku wykrwawienia. Przed atakiem nie zostały ogłuszone, czaszki nie były uszkodzone. Sprawca użył jednego lub maksymalnie dwóch narzędzi i całą trójkę pozbawił życia w ten sam sposób. Ślady sugerowały, że większość ciosów zadawana była od tyłu, co przemawiało z kolei za wersją, że atak nastąpił z zaskoczenia. To dość szczegółowy przebieg wydarzeń, który wówczas nie dał jeszcze odpowiedzi na najważniejsze pytania: kim są zamordowani chłopcy i kto odpowiada za ich brutalną śmierć? Rozwiązanie pierwszej zagadki nastąpiło znacznie szybciej.

W tym czasie trójki swoich dzieci gorączkowo szukali Łojkowie, Kaczmarkowie i Kawczyńscy. Chłopcy nie wrócili do domów i nikt nie wiedział, gdzie są. Gdy odnaleziono w lesie częściowo spalone zwłoki, poproszono rodziny o identyfikację. Na miejsce przyjechali więc ojcowie, którzy chcieli oszczędzić żonom traumatycznego widoku.

Las, w którym Mariusz Trynkiewicz spalił ciała trzech chłopców.
FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Już 6 sierpnia do sali, w której umieszczono ciało numer 6, wszedł Henryk Łojek z Piotrkowa. Wystarczył mu szybki rzut oka, by wiedzieć, że w tym momencie patrzy na zwęglone zwłoki własnego syna, jedenastoletniego Tomka. Rozpoznał go po zębach, które były charakterystycznie wysunięte do przodu. Miał też na sobie bieliznę, którą ojciec znał dobrze. Pełen bólu oraz rozpaczy podpisał protokół i wyszedł przekazać małżonce wiadomość, która na zawsze złamie jej życie.

Około 15.30 do sekcyjnego pomieszczenia wszedł Ryszard Kawczyński. Mieszkał wraz z rodziną w Lubanowie pod Piotrkowem. Teraz zamiast skupiać się na pracy w Fabryce Maszyn Górniczych, musiał w oparach spalenizny i odoru gnicia przyglądać się zmasakrowanym zwłokom, które mogły należeć do jego dziecka. Patrzył na nie z uwagą, ale nie był w stanie powiedzieć, czy to na pewno jego syn, dwunastoletni Artur. Co prawda ofiara, podobnie jak jego dziecko, miała dwa zrośnięte ze sobą palce u stopy, ale nie potrafił jednoznacznie potwierdzić tożsamości.

Do podobnych wniosków doszedł Stanisław Kaczmarek z Piotrkowa, który około 15 minut później wszedł do sali. Szukał swojego dwunastoletniego Krzyśka, ale w zwłokach, które mu okazano, nie dojrzał syna. Nie zgadzało się uzębienie. Śledczy nie mieli wyjścia, musieli pokazać chłopców ich matkom. Te potwierdziły, że odnaleziono w lesie ciała należą do Tomasza Łojka, Artura Kawczyńskiego i Krzysztofa Kaczmarka.

Skoro tożsamość ofiar była już znana, milicjanci mogli przystąpić do próby odtworzenia wydarzeń sprzed ich śmierci. Musieli ustalić, z kim się spotykali, z kim rozmawiali i gdzie byli, zanim ktoś z zimną krwią odebrał im życie. Sprawca nie zostawił właściwie żadnych śladów, na foliowych workach nie odnaleziono jakichkolwiek odcisków palców. Trzeba było zacząć więc od samego początku.

Milicjanci przesłuchali rodziców chłopców. Ustalono, że 29 lipca Krzysiek spotkał się z Tomkiem, który mieszkał tuż obok niego. Chłopiec przyszedł ze swoim kuzynem Arturem. Cała trójka miała iść nad popularne wśród dzieci jezioro Bugaj na Wierzejach, dzielnicy Piotrkowa. Krzysiek obiecał ojcu, że wróci na obiad. Chwycił kąpielówki i pobiegł z kolegami. Wtedy pan Kaczmarek widział syna po raz ostatni.

Szukając świadków, milicjanci dotarli do kobiety, która była przekonana, że 1 sierpnia widziała jednego z chłopców w towarzystwie dorosłego mężczyzny. Pracowała jako instruktorka obozu har-

cerskiego w Zarzęcinie, wsi położonej kilkanaście kilometrów od Piotrkowa. Według kobiety około godziny 20.00 polną drogą szedł mężczyzna w słomkowym kapeluszu. Obok niego kroczyła grupka dzieci. Nieznajomy miał być dość nieprzyjemny i koniecznie chciał przejść przez teren obozu. Według opiekunki był wysoki, miał około 190 centymetrów wzrostu. Ubrany był w czarny dres, a szeroki kapelusz niemal całkowicie zasłaniał mu twarz. Dało się jedynie dojrzeć kilkudniowy zarost. Opiekunka zapewniała, że chłopcem, który szedł obok nieznajomego, był Tomasz Łojek. Jednak dzisiaj, znając już przebieg wydarzeń, wiemy, że było to niemożliwe.

Gdy chłopcy nie wrócili do domów, rodzice zdecydowali, że poszukają ich na własną rękę. Zaglądali do kolegów, a także w miejsca, w których dzieci przebywały najczęściej. Jeździli od domu do domu, rozpytując, czy ktoś widział ich dzieci. Dowiedzieli się, że jeszcze około godziny 14.00 chłopcy bawili się nad wodą. Pojechali więc nad jezioro, ale po dzieciach nie było śladu. Około godziny 19.00 ojcowie zgłosili na milicji zaginięcie. Rozpoczęły się poszukiwania, które nie przyniosły żadnego rezultatu. Aż do dnia, w którym w lesie natknięto się na nadpalone ciała Tomka, Artura i Krzysia.

W zeznaniach świadków kilkakrotnie przewijał się wątek tajemniczego mężczyzny w słomkowym kapeluszu, który miał spacerować z dziećmi. Rolnik, który przejeżdżał przez Zarzęcin, podobnie jak opiekunka, również 1 sierpnia widział wspomnianego nieznajomego:

Jeden z nich był ubrany w czarny dres kompletny, na głowie miał kapelusz pleciony ze słomy, wzrostu około 180 centymetrów, średniej budowy ciała. Z tym mężczyzną szło czterech niższych chłopców, jak mi się wydaje, byli w wieku 10–15 lat. Nie jestem w stanie podać ich rysopisów, gdyż nie przyglądałem się im, a ponadto w tej miejscowości o tej porze roku jest dużo wczasowiczów.

Kim był mężczyzna w słomkowym kapeluszu? Tego do dziś nie wiadomo. Za każdym jednak razem świadkowie byli przekonani, że towarzyszyli mu zaginieni chłopcy.

Milicjanci gorączkowo szukali podejrzanych. Wtedy dostali zgłoszenie, które dało im nadzieję na schwytanie sprawcy. Szóstego sierpnia do milicji w Piotrkowie zadzwonił świadek, który na przystanku autobusowym na Wierzejach widział, jak dorosły mężczyzna zaczepiał dzieci. Próbował namówić kilku chłopców, by poszli z nim do lasu. Funkcjonariusze poczuli, że może to być sprawca, którego szukali. Szczęście sprzyjało im również wtedy, gdy w okolice przystanku wysłano radiowóz. Tajemniczy nieznajomy wciąż tam był,

zupełnie nieświadomy tego, że właśnie stał się podejrzanym numer jeden.

Milicjanci wysiedli z auta, podeszli do mężczyzny i poprosili, by poszedł z nimi. Przewieźli go na posterunek, gdzie ustalono jego tożsamość. Był to trzydziestoczteroletni Andrzej K., który od lat leczył się psychiatrycznie, mieszkał z dziadkami, dwiema siostrami i bratem. Chodził do pracy i zazwyczaj zaraz po niej wracał do domu. W trakcie przesłuchania nieustannie powtarzał, że nie wie, dlaczego został zatrzymany, a o samych zabójstwach nie miał pojęcia. Również przeszukanie mieszkania i piwnicy Andrzeja K. nie przyniosły dowodów, które pozwoliłyby na obciążenie go śmiercią chłopców. Co prawda mężczyzna posiadał metalowy nóż, ale nie potwierdzono, by było to narzędzie zbrodni. Milicjanci musieli pogodzić się z porażką, wiedzieli też już, że to nie tej osoby szukali.

Gdy funkcjonariusze rozczarowani kończyli przeszukiwanie piwnicy Andrzeja K., do komendy w Sulejowie dotarła prawdopodobnie najważniejsza notatka od początku tego śledztwa:

W związku z odnalezieniem trzech zwłok w dniu wczorajszym w miejscowości Koło, gmina Sulejów, w czasie wykonywania czynności służbowych ustaliłem, że w miesiącu styczniu 1987 roku na terenie podległym KMO w Sulejowie miało miejsce przestępstwo uprowadzenia nieletniego na terenie domków letniskowych w miejscowości Przygłów-Włodzimierzów w pobliżu sanatorium.

W ten sposób milicjanci pierwszy raz od chwili odnalezienia ciał Krzysia, Tomka i Artura natknęli się na nazwisko Trynkiewicz. Nauczyciel karany za molestowanie od razu przykuł ich uwagę. Nie czekając na bardziej szczegółowe informacje, funkcjonariusze ustalili jego adres i jeden z nich pojechał na miejsce. Trynkiewicz otworzył mu drzwi i po krótkiej wymianie zdań wpuścił do środka. Milicjant od razu dostrzegł ciemne plamy, które próbowano wcześniej wybielić. Poczuł niemiły ucisk w żołądku. Wiedział bowiem, czym były te ślady. To zaschnięta krew. Pytaniem pozostawało, do kogo należała.

Trynkiewicza przewieziono na Komendę Wojewódzką Milicji w Piotrkowie. Tam zadano mu pytanie:

Czy podejrzany przyznaje się do tego, że w dniach pomiędzy 29 lipca a 1 sierpnia 1988 roku pozbawił życia Tomasza Łojka, Krzysztofa Kaczmarka i Artura Kawczyńskiego, zadając im ciosy nożem, a następnie wywiózł ich ciała do lasu i podpalił?

Wbrew podejrzeniom Trynkiewicz nawet nie próbował się bronić. Natychmiast przyznał się do zabójstwa chłopców, zrzucając z siebie ciężar tajemnicy, który dźwigał od tygodnia. Potem rozpoczął swoją spowiedź.

Jego początkowe zeznania były chaotyczne i często zasłaniał się niepamięcią. Przyznał, że miał przerwę w odbywaniu kary i na co dzień nie zajmował się niczym szczególnym. Odwiedzał czasem jedynego kolegę, jakiego miał, Zbigniewa M., który w trakcie rozmowy ze śledczymi powiedział o Mariuszu, że był dziwakiem i samotnikiem, ale dał się lubić. Był według niego spokojny, stateczny i zrównoważony, do tego często słuchał muzyki, zwłaszcza heavy metalu, malował też pejzaże. Niczego szczególnego w jego zachowaniu nie zauważył.

Co więc wydarzyło się 29 lipca? Trynkiewicz zeznał, że tego dnia pojechał motocyklem nad jezioro Bugaj. Dokładnej trasy nie pamiętał, wiedział jedynie, że dotarł w okolice nasypu. Wszedł na niego, zostawiając obok motocykl. Po godzinie 13.00, cały czas siedząc na nasypie, zauważył trzech chłopców, którzy przechodzili w pobliżu. Nie pamiętał jednak, czy to oni rozpoczęli rozmowę, czy on.

W czasie tej rozmowy, wydaje mi się, zaproponowałem tym chłopcom coś. Rozumiem przez to, że chciałem skłonić ich, aby przyszli do mnie do domu. Wydaje mi się, że mówiłem im, jak powinni iść, aby dojść do mojego domu. Jest taka ścieżka prowadząca do jeziora Bugaj od stadionu Polonii, a następnie do transformatora i dalej w kierunku osiedla, gdzie znajduje się mój blok. Rozmowy dokładnie w tej chwili nie pamiętam. Pamiętam natomiast dobrze, że motocyklem dojechałem do garażu. Z chłopcami przy jeziorze Bugaj rozstałem się około godziny 14 z minutami.

Chłopcy dotarli na umówione miejsce pieszo. Trynkiewicz wpakował motocykl do garażu i czekał na nich w pobliżu bloku. Gdy dzieci się pojawiły, zaprowadził je do klatki, a następnie do swojego mieszkania. Tam pokazywał im swoje rybki, poczęstował też herbatą i ciastkami, ale chłopcy grzecznie odmówili. Dokładnej rozmowy z nimi Mariusz nie pamiętał, wspomniał jedynie, że kręciła się głównie wokół gier telewizyjnych, a także akwarium. Nastrój mężczyzny zaczął się zmieniać, gdy chłopcy przyznali, że muszą wracać do swoich domów:

W pewnym momencie poczułem zdenerwowanie, zaniepokojenie. Wydaje mi się, że spowodowane było tym, że zdałem sobie sprawę, że gdy chłopcy opuszczą moje mieszkanie, powiedzą dorosłym, gdzie

przebywali, a ja, nawet nie poczuwając się do winy, mogę być o coś oskarżony, gdyż w przeszłości byłem karany za przetrzymywanie.

I tutaj pamięć Trynkiewicza się urywa. Zapewniał, że umysł nie zarejestrował chwili, w której chwycił za nóż i zaczął zadawać zaskoczonym dzieciom ciosy. Odzyskał świadomość dopiero wtedy, gdy zobaczył ich zakrwawione ciała leżące na podłodze. Przypomniał sobie jedynie, że zdjął poszewki z poduszek, chwycił za prześcieradła i worki foliowe, a następnie zaczął w nie owijać zwłoki. Spojrzał wówczas na zegarek – była godzina 17.00. Krążąca w jego ciele adrenalina sprawiła, że źle się poczuł. Wbiegł więc do łazienki i zwymiotował. Gdy odzyskał równowagę i poukładał nieco myśli, zostawił martwych chłopców i wyszedł z mieszkania, zatrzaskując za sobą drzwi.

Garaże przy bloku Mariusza Trynkiewicza.

FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Wejście do piwnicy Mariusza Trynkiewicza.
FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Udał się do jedynego miejsca, w którym czuł się bezpiecznie – do mieszkania rodziców. Po przekroczeniu ich progu przestał myśleć o zabójstwie i przesiąkającej krwią podłodze. Usiadł wygodnie razem z najbliższymi i wpatrując się w telewizor, delektował namiastką normalności. Dopiero gdy spojrzał na swoje dłonie i zobaczył, że pod paznokciem ma krew, przypomniał sobie, że zamordował chłopców:

Powróciłem do domu. Po wejściu do mieszkania zorientowałem się, nawet dosłownie mówiąc, doszło do mojej świadomości, że ja tu kogoś zamordowałem. Przez pewien czas siedziałem w fotelu i byłem, jak bym to określił, w stanie szoku. Ile to mogło trwać, ile tak siedziałem, tego nie wiem. Ocknąłem się, to było już ciemno. Po przybyciu do domu zażyłem dwie tabletki relanium oraz jedną kapsułkę sinequanu.

Trynkiewicz wiedział, że ciała nie mogą zostać w mieszkaniu. Uznał, że najlepszym rozwiązaniem będzie dyskretne zniesienie ich do piwnicy. Robił to pojedynczo, chwytając każde szczelnie opakowane ciało na ręce i po cichu zanosił do ciemnego, zimnego pomieszczenia. Jedna z sąsiadek przyznała później:

Przez wizjer widziałam, że Trynkiewicz ciągnął jakiś pakunek po schodach.

Gdy wreszcie ułożył ciała, zamknął drewniane drzwi na kłódkę i wrócił do swojego mieszkania. Uważnie się po nim rozejrzał. Niemal wszędzie widoczne były ślady krwi. Największa brunatna plama była w pokoju, tuż obok biurka. To właśnie tam leżeli chłopcy. Zmęczony noszeniem trzech ciał Trynkiewicz nie miał jednak siły walczyć z zabrudzeniem. Usiadł w fotelu i usnął.

Piwnica Mariusza Trynkiewicza.

FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Około 3.00 w nocy ze snu wybudził go trawiący niepokój. Uświadomił sobie, że piwnica nie była najlepszym miejscem na ukrycie zwłok. Choć było tam znacznie chłodniej niż na zewnątrz, to jednak była pełnia lata i ciała wkrótce zaczęłyby się rozkładać, a odór rozniósłby się po całym pomieszczeniu, z którego korzystali wszyscy mieszkańcy bloku. Musiał więc pozbyć się ciał na dobre.

Wyszedł z mieszkania, wszedł do garażu i odpalił wartburga:

Podjechałem samochodem na ul. Garbarską, róg ulicy Działkowej, ustawiłem go na wysokości trzeciej klatki. Zszedłem do piwnicy.

Tam rozłożył wojskową pałatkę i zawinął w nią ciała. Przenosił je do trzeciej klatki, a stamtąd już prosto do samochodu. Gdy skończył ładować zwłoki, był już świt. Przez okno wyjrzała Bożena B., sąsiadka Mariusza. Zauważyła mężczyznę i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Jak mówiła, zachowywał się dziwnie:

Widziałam Trynkiewicza stojącego przed klatką schodową. Był bardzo zdenerwowany, bo rozglądał się na wszystkie strony. Palił papierosa za papierosem.

Nie wiedząc, że był obserwowany, Mariusz wsiadł do auta i ruszył przed siebie. Kierował się do rozległego lasu w okolicach Koła. Jest tam sporo polan, ale też wysokich, gęstych drzew, które skutecznie zasłaniają przed resztą świata. Nic dziwnego, że właśnie na tę lokalizację postawił Trynkiewicz.

Zakładałem, że porzucę je w lesie. W czasie jazdy, gdy zobaczyłem butelkę z benzyną, pomyślałem, że dobrze by było, abym je jeszcze podpalił. Podpalenie miało na celu zatarcie wszystkich śladów. Miałem tu na myśli odciski palców. Ja nie znam dobrze kompleksu leśnego, chociaż wiedziałem, że w lesie tym znajdują się drogi: dukty leśne. Jadąc, rozglądałem się, gdy zobaczyłem dosyć dużą gęstwinę. Zatrzymałem samochód, cofnąłem się jakieś trzy metry i wjechałem w prawą drogę.

W końcu trafił w miejsce, które wydało mu się idealne. Po kolei wyjął zawinięte zwłoki i położył je na ziemi. Chwycił za butelkę z benzyną i oblał płynem ciała dzieci. Tak ułożony stos podpalił zapałkami i ponownie wsiadł do auta. Nie zamierzał czekać, aż zwłoki całkowicie się spalą, chciał odjechać jak najszybciej, zanim ktokolwiek mógłby go zobaczyć.

W odpowiedniej temperaturze i warunkach ogień trawiłby zwłoki co najmniej godzinę. W leśnym ognisku trwało to jeszcze dłużej. Ale Trynkiewicz tego nie wiedział, sądził, że wysoki płomień, który widział, odjeżdżając, spopieli ciała całkowicie i niezwy-

kle szybko, dzięki czemu milicjanci nie ustalą tożsamości dzieci, a co za tym idzie – nie dotrą również do niego.

Po powrocie do mieszkania Mariusz od razu położył się spać. Czuł się wyczerpany przenoszeniem zwłok z miejsca na miejsca i tuszowaniem śladów zbrodni. Obudził się dopiero po kilku godzinach. Wiedział, że nie może dłużej czekać ze sprzątnięciem mieszkania, które zbryzgane było krwią chłopców. Ciemne plamy widoczne były zarówno na podłodze, jak i na ścianach.

Szorowanie ich okazało się znacznie trudniejszym przedsięwzięciem, niż Trynkiewicz początkowo zakładał. Krew błyskawicznie zostawia wyraźny brunatny ślad, który przy czyszczeniu stawia silny opór. Mariusz nieporadnie rozjaśnił plamy, a następnie przeniósł się do piwnicy. Tam również musiał posprzątać. Wyczyścił podłogę, a w miejscu, z którego wciąż przebijały plamy krwi, rozlał farbę.

Po kilku godzinach walki ze śladami zabójstwa wsiadł do auta i pojechał do rodziców. Choć wydawało im się, że znali swojego syna bardzo dobrze, nie zauważyli, by działo się z nim coś złego. Mariusz z całych sił starał się, by nie dać po sobie poznać, że dzień wcześniej odebrał życie trzem niewinnym chłopcom. Zachowywał się całkowicie normalnie. Jadł, rozmawiał i śmiał się, nie zdejmując przy tym przywdzianej maski nawet na sekundę.

Drugiego sierpnia Trynkiewicz spotkał się z przyjacielem. Chciał pożyczyć od niego cztery tysiące złotych, nie wyjaśnił jednak, na co potrzebuje takiej sumy. Trzy dni później ponownie zgłosił się do mężczyzny, tym razem poprosił o farbę emulsyjną – również nie wchodząc w większe szczegóły. Przyjaciel o nic nie dopytywał, nie był też zaskoczony zachowaniem Mariusza. Uważał go za ekscentryka, dlatego nie przywiązywał większej wagi do nietypowych próśb.

Przeszukanie mieszkania Trynkiewicza ruszyło 11 sierpnia i trwało łącznie trzy dni. Śledczy przetrząsali każdy pokój i każdy zakamarek. Najwięcej tajemnic skrywało biurko Mariusza. Odnaleziono tam wizytówki, które – jak się później okazało – rozdawał dzieciom, zwabiając je w ten sposób do swojego mieszkania. Oferował na nich naukę strzelania. Co ważne, znaleziono też dowód rzeczowy – zegarek młodego Kaczmarka, który widniał na jego ręce w dniu zaginięcia. Były też zdjęcia roznegliżowanych chłopców, wszyscy mieli około 11–13 lat. Milicjanci wiedzieli już, że zbrodnicze życie Trynkiewicza wykracza poza zabójstwo Krzysia, Artura i Tomka.

Morderca regularnie przyprowadzał dzieci do swojego mieszkania. Pokazywał im, jak strzelać z wiatrówki do tarczy. Nie były to jednak zwyczajne zajęcia. Po wejściu do jednego z pokoi kazał chłopcom się rozbierać. Musieli zakładać strój gimnastyczny, bo jak tłumaczył im Trynkiewicz, dzięki temu nie czuliby się skrępowani, a to poprawiłoby z kolei ich celność.

Znacznie dalej posunął się w kontaktach z Mariuszem W. Na początku było jak ze wszystkimi – przebranie, rozgrzewka, a potem strzelanie. Aż w końcu kazał chłopcu rozebrać się do naga. Stanął obok i przyglądał się dziecku uważnie. Po chwili przekroczył kolejną granicę i zbliżył się do chłopca. Dotykał jego pleców, zjeżdżając coraz niżej, aż swoją dłonią chwycił go za członka. Chciał, by chłopiec w ten sam sposób dotykał również jego. Przerażony Mariusz chwycił jednak ubrania i wybiegł z pokoju, zostawiając Trynkiewicza samego. Obiecał sobie, że już nigdy więcej nie wróci do tego przerażającego mieszkania przy Działkowej. Skrzywdzonych w ten sposób nastolatków mogło być nawet kilkunastu.

O zabójstwie trzech chłopców Trynkiewicz mówił śledczym:

Nie potrafię bronić swojego zachowania. To okropne, co zrobiłem. Jedyne uczucie, jakie mi teraz pozostało, to chciałbym nie żyć. Nie wiem, jak do tego doszło, co zrobiłem. Nie znam swoich motywów.

Mariusz przekonywał, że jego atak na chłopców nie miał podłoża seksualnego, a on sam nie wykorzystał ich w żaden sposób. Milicjanci z kolei nigdy nie ujawnili, czy chłopcy przed lub po śmierci byli molestowani albo zgwałceni. Być może odpowiedź na to pytanie kryje się w tej części akt sądowych, do których dziennikarze nie mają dostępu.

Wydarzenia z 29 lipca spowija jeszcze jedna tajemnica. Czy chłopcy umierali w całkowitej ciszy? A jeśli nie, to dlaczego nikt nie zareagował? Sąsiedzi początkowo przekonywali, że tego dnia nie słychać było żadnych krzyków, a z mieszkania Trynkiewicza nie dochodziły żadne niepokojące odgłosy. Również pani Mirosława w rozmowie ze mną stwierdziła:

Myśmy nic nie widzieli. Sąsiedzi siedzieli przecież ciągle na ławce, nigdy niczego nie zauważyli, nic podejrzanego. Później, jak to wyszło, to baliśmy się iść do piwnicy.

Dopiero studentka, która mieszkała w tej samej klatce co Trynkiewicz, w trakcie przesłuchania przyznała, że 29 lipca około godziny 16.00 usłyszała krzyk, prawdopodobnie dziecięcy. Był on

jednak krótki, a po chwili przyjechała straż pożarna. Dziewczyna uznała więc, że ich interwencja ma związek właśnie z tym wrzaskiem, który dobiegł z budynku. Ale dziecięcy krzyk tego dnia miało słyszeć jeszcze kilku innych sąsiadów, którzy zeznali o tym przed milicją. Mimo to nikt nie zareagował. Wiadomo, że chłopcy zmarli na skutek wykrwawienia, nie zginęli natychmiast. Istnieje więc szansa, że gdyby szybko otrzymali pomoc, przeżyliby atak. Sam Trynkiewicz zapewniał, że dzieci nie krzyczały, były zbyt zaskoczone tym, że chwycił za nóż.

Dwunastego sierpnia zapadła decyzja o tymczasowym areszcie. Mariusz raz po raz zeznawał przed śledczymi, za każdym razem lekko modyfikując swoją wersję wydarzeń. Czasem zmieniał daty, twierdził na przykład, że zwłoki znajdowały się w bloku do 2 sierpnia. Dopiero po tym dniu wywiózł je do lasu. Nie potrafił też określić, ile ciosów nożem zadał chłopcom, był jednak przekonany, że wszystko trwało około minuty, a każde uderzenie nadciągało z góry.

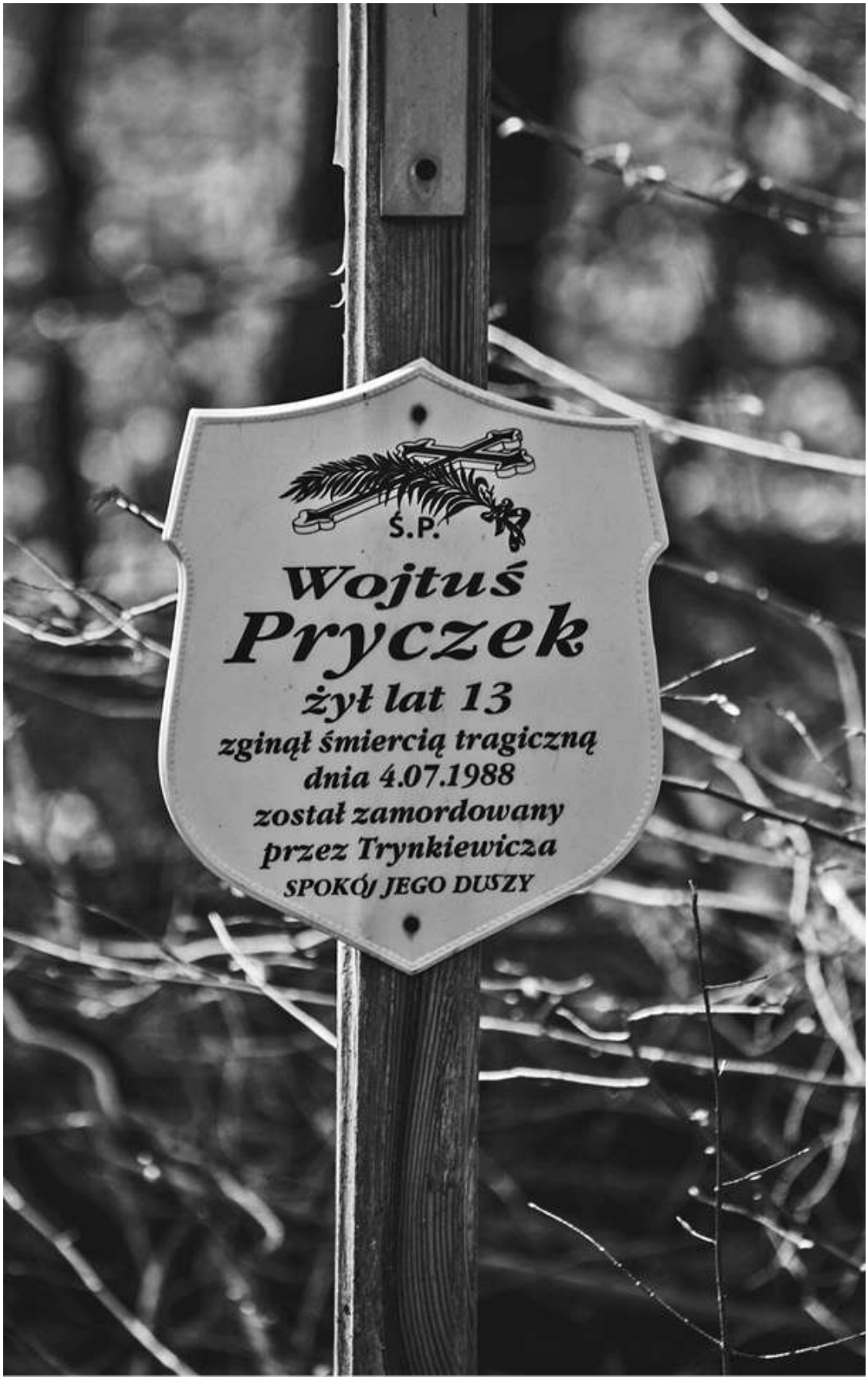

Pamiątkowa tabliczka w miejscu, w którym zginął Wojciech Pryczek.
FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Na początku września 1988 roku, mając już w rękach pedofila i mordercę, śledczy zaczęli sprawdzać jeszcze jedną tajemniczą sprawę, która aż do wtedy nie doczekała się finału. Było to zaginięcie Wojciecha Pryczka, trzynastolatka, z którym kontakt urwał się 4 lipca. Chłopiec również wybrał się nad jezioro Bugaj, gdzie po raz ostatni widziano go żywego. Gdy tylko milicjanci poruszyli temat trzynastolatka, Trynkiewicz od razu przyznał się do jego zabójstwa. To oznaczało, że to właśnie Wojtuś był jego pierwszą ofiarą, a milicjanci wreszcie mogli poznać historię zaginionego w wakacje chłopca. Mariusz zeznał:

Pieszo udałem się nad jezioro Bugaj w Piotrkowie. Była słoneczna pogoda. Mogła być godzina 16.00, może 15.00. Tam spotkałem chłopca w wieku około dwunastu lat, który przebywał nad kąpieliskiem. On na Bugaj przyszedł, aby się wykąpać. W czasie rozmowy dowiedziałem się od niego, że ma na imię Wojtek. Później zaproponowałem mu udział w sekcji strzeleckiej. Dodałem, że mam wiatrówkę w domu i może sobie postrzelać. Poszedłem z nim do domu.

Trynkiewicz przekonywał, że nie pamięta, w jaki sposób odebrał Wojtkowi życie. Na drugi dzień jednak przyznał:

Wojtek siedział w fotelu, przykucnąłem koło niego tak z boku. Jeszcze rozmawialiśmy, nie pamiętam, na jaki temat. (...) W pewnym momencie obiema rękami chwyciłem go za szyję i cisnąłem w okolicy jego krtani. Nie wiem, jak długo to trwało. Określam, że wówczas miałem taki stan jak paraliż, że zaciśnięte swoje ręce na jego szyi trzymałem dość długo. Oczy miał zamknięte, jak gdyby spał. Nie krzyczał ani nie wyrywał się. Kiedy zdjąłem swoje ręce z jego szyi, siedział w fotelu nieruchomo.

Krzyż przed wejściem do lasu, w którym Trynkiewicz ukrył ciała czterech chłopców.
FOT. JUSTYNA KIERMASZ/ARCHIWUM PRYWATNE

Dopiero później Mariusz wyznał, że chłopiec krzyczał, gdy zaczął go dusić. Żeby go uciszyć, wepchnął w jego usta gąbkę. Zanim Wojtek zginął, na prośbę Trynkiewicza napisał pocztówkę, którą później morderca wysłał do jego matki. Jej treść brzmiała:

Kochana mamusiu, jestem w bezpiecznym miejscu z ogłoszenia i zarabiam trochę pieniędzy, i niedługo wrócę. Wojtek

Kilka dni później do pani Pryczek przyszedł anonim. W kopercie były list i kosmyk włosów Wojtka. Autor przekonywał, że chłopiec wstąpił do sekty i wróci do domu pod warunkiem, że rodzina zapłaci 50 tysięcy złotych okupu. Pani Zofia zgłosiła sprawę na milicję, która poradziła jej, by schowała pieniądze do koperty i zaniosła w umówione miejsce. Ale nikt tej gotówki nie odebrał. Wojtek wówczas już nie żył.

Po przyznaniu się do zabójstwa Trynkiewicz wyjaśnił, gdzie ukrył ciało chłopca. Znajdowało się w tym samym lesie, w którym później mężczyzna spalił zwłoki trzech chłopców. Wystarczyło przejść kilka metrów i po lewej stronie wśród drzew ukryty był Wojtek. Włożył go do worka po ziemniakach, torby foliowej, okrył szmatami, a potem umieścił w pudle. Żeby zmieścić ciało, Mariusz musiał je przełamać. W dniu odnalezienia trzynastolatka zostały po nim właściwie tylko kości. W czaszce odkryto gąbkę, na której widniał wyraźny odcisk podniebienia i zębów. Matka chłopca zidentyfikowała syna na podstawie butów i skarpet, w których wciąż tkwiły kości.

Trzynastego września był jednym z najtrudniejszych momentów dla matek zamordowanych chłopców od czasu ich zaginięcia, a później odkrycia zwłok. Wzięły udział w zorganizowanej przez milicję wizji lokalnej. Stały tuż obok mordercy swoich dzieci. Ojcowie nie chcieli przyjść, bo obawiali się, że dojdzie z ich strony do samosądu. Ciężar tego spotkania wzięły więc na siebie matki.

Trynkiewicza przewieziono z aresztu w Piotrkowie nad jezioro Bugaj. Cała okolica została odcięta dla gapiów, milicjanci chcieli uniknąć niepotrzebnych scen i prób linczu. Nie wpuszczono też dziennikarzy. Trynkiewicz pokazywał krok po kroku, gdzie spotkał Wojtka, Krzysia, Artura i Tomka, a także jak potoczyły się ich rozmowy i w jakim kierunku poszli. Beznamiętnym głosem wracał do lipcowych wydarzeń. Nie okazywał żadnych emocji, a z jego twarzy nie dało się wyczytać absolutnie nic poza obojętnością.

Matki w ciszy słuchały, jak Trynkiewicz opisywał zabójstwo ich dzieci. Oczami pełnymi rozpaczy wpatrywały się w niego, a ich mil-

czenie co jakiś czas przeszywały jęki i szloch. W końcu jedna z kobiet zapytała mordercę:

– Czy ty wierzysz w ogóle w Boga?

– Teraz to już w nic nie wierzę.

– Czy dzieci widziały trwogę, tę mękę jeden drugiego?

– W momencie, gdy zadawałem pierwszy cios, to nie pamiętam wyglądu twarzy, reakcji tych dzieciaków. Tak potrafię tylko wytłumaczyć.

Znad jeziora Bugaj oraz lasu wizja przeniosła się do mieszkania Trynkiewicza. Tam na manekinach morderca pokazywał, w jaki sposób zadawał chłopcom ciosy. Nie wkładał w to zbyt dużych emocji, jego uderzenia były mechaniczne, jakby zaprogramowane. Patrząc na tę scenę, matka Artura Kawczyńskiego nie potrafiła powstrzymać rozpaczy i powiedziała:

Nie chciałabym twojej śmierci, lecz by ci wydłubano oczy i ucięto język, i byś włóczęgą był, tego bym pragnęła.

Wizja lokalna trwała około sześciu godzin. Mariusz nie powiedział matkom niczego, czego wcześniej nie wyjawiłby śledczym. Znów zasłaniał się niepamięcią i powtarzał, że nie wie, dlaczego zabił chłopców. W późniejszej rozmowie z prokuraturą powiedział:

Przychodził ten moment, potrzeba wielka. Była silniejsza ode mnie i nie mogłem nad sobą zapanować.

Śledczy zdecydowali o wysłaniu Trynkiewicza na badania sądowo-seksuologiczne. Przeprowadzono je w szpitalu aresztu śledczego w Warszawie. Obserwacja trwała prawie sześć miesięcy. Specjaliści mieli ustalić, co skłoniło Mariusza do poczwórnego zabójstwa, a także czy jest poczytalny. On sam w rozmowie z Magdaleną Majewską powiedział:

Dlaczego? No to jest sprawa raczej trudna do powiedzenia. Nie potrafię jednoznacznie powiedzieć dlaczego, nie potrafię podać motywu. Źle się stało na pewno, bardzo źle się stało. Jak ja bym znał motyw, to przecież bym… Dawno już bym ten motyw powiedział. Motyw, no tak się to nazywa, tak to nazywają fachowcy. Nie ma motywu. (…) Nie potrafię powiedzieć, jak doszło do 4 lipca. Sądzę, że to był objaw choroby, która… Choroby, jednak nazwę to chorobą. Niektórzy ludzie wezmą w cudzysłów to słowo, inni wezmą dosłownie. (…) Ja również lekarzom specjalistom nie wierzyłem, że oni mogą w sposób inny niż przez podawanie leków uspokajających mi pomóc. W zasadzie czułem się jako człowiek normalny, który mógłby

sporo zrobić, rysować, napisać, stworzyć, że tak powiem, i wiedziałem, że leczenie mnie polegałoby na tym, że dostałbym te czy inne środki farmakologiczne, przez które byłoby mnie pół albo jeszcze mniej w tej sferze, i po prostu zmieniłbym się bardzo pod wpływem tych leków. Nie wiedziałem, że dojdzie do tego nieszczęścia, gdybym wiedział, wybrałbym właśnie tę drogę, nawet pobierania środków do końca życia i po prostu takie bycie w tym świecie.

Po kilku miesiącach dokładnych badań, wywiadu środowiskowego, który obejmował nie tylko rozmowy z Trynkiewiczem, ale również z jego rodziną i otoczeniem, biegli przygotowali opinię, która następnie trafiła do sądu. Odczytano ją w trakcie procesu:

U Mariusza Trynkiewicza nie stwierdzamy choroby psychicznej, niedorozwoju umysłowego, zespołu psychoorganicznego. Rozpoznajemy u niego osobowość nieprawidłową z zaburzeniami psychoseksualnymi pod postacią biseksualizmu z cechami pedofilii. (...) Biegły seksuolog stwierdził, że najbardziej prawdopodobny wydaje się następujący etapowy rozwój psychoseksualny badanego: po pierwsze, stwierdził, że występowały u niego nieśmiałość i kompleksy oraz trudności w kontaktach heteroseksualnych. Po wtóre, stwierdził, że oskarżony miał nieudany związek heteroseksualny, co spowodowało zainteresowanie się homoseksualizmem jako formą zastępczą i mniej zagrożeniową. W końcu oskarżony zrezygnował z kontaktów homoseksualnych, a nastąpił u niego rozwój pedofilnych zachowań – od łagodnych do krańcowej formy, jaką jest mord z lubieżności.

Taka opinia oznaczała jedno – Trynkiewicz był zdrowy, w chwili zabójstwa chłopców był poczytalny, a co za tym szło, mógł stanąć przed sądem. Groziła mu kara śmierci. Z taką opinią nie zgadzali się jednak jego rodzice. Piątego sierpnia 1989 roku napisali list do Ministerstwa Sprawiedliwości z prośbą o przeprowadzenie kolejnych badań. Byli przekonani, że syn był niepoczytalny, gdy odbierał chłopcom życie, a jego miejsce było w zakładzie psychiatrycznym, a nie w sali egzekucji.

W trakcie śledztwa część rodzin uważała, że Trynkiewicz nie dokonał tych wszystkich zabójstw samodzielnie. Sądzili, że za śmiercią chłopców stała cała grupa satanistyczna, do której należał Mariusz. Wątek okultystyczny przewijał się niemal od początku śledztwa, choć nie było na to żadnych dowodów. Co prawda w lesie odnaleziono satanistyczne znaki, ale nie powiązano ich ze zbrodnią. Tłumaczenie milicjantów nie przekonało rodziców. Wskazywali, że synowie byli wysportowani i silni, dlatego jeden mężczyzna nie byłby w stanie ich zabić, nie odnosząc przy tym żadnych obrażeń.

Emocje wzrosły, gdy w mieszkaniu Mariusza odnaleziono podkowę, na której widniał napis „The Satan". Trynkiewicz tłumaczył, że miał to być jego sprzeciw wobec wiary w Boga, w którego sam nie wierzył. Natomiast z satanistami nie miał nic wspólnego:

Jestem jedynym sprawcą zabójstwa, działałem sam, bez wspólników. Nie utrzymywałem kontaktów z żadną sektą i inną grupą satanistyczną.

Wersja o satanistycznej grupie mordującej dzieci krążyła wśród niektórych bliskich ofiar przez wiele lat. Nie przekonywały ich zarówno słowa Trynkiewicza, jak i ustalenia milicji. A z tych jasno wynikało, że Mariusz działał w pojedynkę.

Zbieranie dowodów, kompletowanie dokumentów, przesłuchiwanie świadków i rozmowy z samym mordercą trwały łącznie dziewięć miesięcy. Po tym czasie prokuratura wreszcie mogła przesłać do sądu przygotowany kompletny akt oskarżenia. Zarzucono w nim Trynkiewiczowi zabójstwo Wojciecha Pryczka, Krzysztofa Kaczmarka, Artura Kawczyńskiego i Tomasza Łojka. Dodatkowo miał odpowiadać również za molestowanie Mariusza W., którego także zwabił do swojego mieszkania. Zakres zbrodni był więc potężny. Na poparcie winy oskarżonego zgromadzono blisko sto dowodów, przygotowano też długą listę świadków. Wśród nich między innymi biegli psycholodzy, seksuolodzy, rodziny zamordowanych chłopców, a także sam Mariusz W. Zdecydowano, że proces Bestii odbędzie się w Sądzie Wojewódzkim w Piotrkowie Trybunalskim.

Wybór lokalizacji spotkał się z gwałtownym protestem, zarówno ze strony Trynkiewicza, jak i jego rodziców. Według nich sądzenie mężczyzny w mieście, w którym wszyscy żyli tą sprawą, nie było uczciwe. Dla opinii publicznej Mariusz był potworem i bez względu na to, co by powiedział i jak próbował się tłumaczyć, tej opinii by nie wymazał. Piątego sierpnia rodzice mężczyzny napisali kolejny list do Ministerstwa Sprawiedliwości z prośbą o zmianę miejsca procesu. Dodatkowo chcieli, by wszystkie rozprawy odbywały się za zamkniętymi drzwiami. Jak tłumaczyli w piśmie:

Tak przeprowadzona rozprawa dla nas, rodziców, jest wysoce szkodliwa i niebezpieczna. My, rodzice, jak i nasza rodzina przeżywamy nie mniejszą tragedię jak rodziny poszkodowanych. Musimy żyć, mieszkać i pracować w Piotrkowie, innego wyjścia nie mamy. Jesteśmy schorowani, znajdujemy się u kresu wytrzymałości. Przeżywamy dodatkowo skutki szerokich publikacji, niekiedy wręcz kłamliwych, mających na celu nastawienie społeczeństwa przeciwko nam. Jesteśmy zaczepiani na ulicy, otrzymujemy listy i telefony z pogróż-

kami. Jesteśmy też prześladowani przez naszych pracodawców usiłujących między innymi zwolnić nas z pracy. Jeżeli rozprawa odbędzie się w Piotrkowie przy drzwiach otwartych, może to doprowadzić do dalszych tragedii, których my możemy zostać ofiarami. Kto wówczas za to odpowie? Komu zależy na podniecaniu opinii publicznej? Czy sąd wojewódzki nie przewiduje następstw, jakie mogą wyniknąć?

Syna wychowaliśmy najlepiej, jak umieliśmy. Był pracowity, grzeczny, posłuszny i spokojny. Po studiach poszedł do wojska. Z wojska już nie wrócił. To, co się z nim dalej działo, było dla nas olbrzymim zaskoczeniem.

Pomimo przeprowadzonych badań rutynowych w szpitalu psychiatrii, gdzie przebywał na środkach uspokajających i zachowywał się normalnie, jesteśmy przeświadczeni, że nie jest zdrowy. Czyny, jakie popełnił, same świadczą, że nie był wówczas w pełni władz umysłowych. Nigdy nie był agresywny – wręcz przeciwnie, był cichy i spokojny.

Prośba rodziców została jednak odrzucona. Proces miał ruszyć we wrześniu w Piotrkowie i przy otwartych drzwiach. Uznano, że sprawa na tyle dotkliwie uderzyła w całą lokalną społeczność, że ukrywanie szczegółów zbrodni zostałoby źle odebrane. Dobre samopoczucie mordercy było tu najmniej ważne.

Zeznawanie przy tłumie gapiów paraliżowało Trynkiewicza. Bał się reakcji ludzi, wyzwisk i wrogiego nastawiania. Przekonywał, że w ten sposób sąd z góry wyda wyrok, bo będzie kierował się emocjami ludzi, a nie dowodami i zdrowym rozsądkiem. Choć list jego rodziców został zignorowany, on sam postanowił jeszcze raz spróbować zawalczyć o zmianę sądu. Wysłał więc pełne żalu i wątpliwości pismo:

Jak ja mam składać wyjaśnienia? Czy tak trudno jest Wysokiemu Sądowi, który chce zapewne podejść do sprawy obiektywnie, wejść w moje położenie? Czy wypełniając „po brzegi" salę sądową ludźmi, nie brał pod uwagę, że wypełnia się ją moimi przeciwnikami? Nie wierzę bowiem, by ktokolwiek z obecnych na sali chciał podejść do sprawy w taki sposób, jak zamierza to Wysoki Sąd – a więc w sposób całkowicie obiektywny i bezstronny. (...) Moja prośba o przeprowadzenie rozprawy „przy drzwiach zamkniętych" może być rozumiana też w ten sposób, iż chcę być osądzony po cichu, bez rozgłosu, ponieważ wstydzę się za czyny, które popełniłem – i to jest prawda.

Rozpoczęcie procesu wyznaczono na 12 września. Lokalizacji nie zmieniono – wszystkie rozprawy miały się odbyć w piotrkow-

skim sądzie. Całe miasto żyło tą historią i śledziło wszystkie informacje, które przebijały się do mediów. Dlatego w dniu, w którym ruszał proces, przed sądem zebrał się tłum ludzi. Byli żądni zemsty i krwi. Słychać było krzyki: „Zabić! Zabić! Na śmierć z nim!". Już wtedy dało się wyczuć, że mieszkańców Piotrkowa usatysfakcjonuje jeden wyrok: egzekucja. Niektórzy ludzie mieli ze sobą kamienie i kije. Gotowi byli rzucić się na mordercę, gdy tylko pojawi się w ich zasięgu.

Na salę sądową można było wejść po okazaniu odpowiedniej przepustki. Ze względu na niewielką powierzchnię liczba miejsc była ograniczona. Wśród tłumu przeciskali się też dziennikarze, dla których ruszający proces był tematem numer jeden. Ściskali w rękach aparaty, kamery i notesy, gotowi uwiecznić każde słowo, które padnie na sali. Zapadła też decyzja – proces miał się toczyć przy otwartych drzwiach, fotoreporterzy nie mogli jednak robić zdjęć pokrzywdzonym, a z jawności wyłączona została kwestia molestowania Mariusza W. To ze względu na dobro chłopca. Po ustaleniu wszystkich formalności proces mógł ruszyć.

W trakcie przesłuchań pan Stanisław, ojciec Krzysia Kaczmarka, przyznał, że prowadził własne śledztwo. Nie wierzył, by Trynkiewicz działał w pojedynkę. Opowiadał o rozmowach z ludźmi, którzy widzieli tajemniczego mężczyznę w słomkowym kapeluszu, który miał spacerować z grupką dzieci. Trzymał się wersji, że dzieci padły ofiarą satanistycznej sekty, a nie pedofila mordercy.

Część rodziców odmówiła składania wyjaśnień, pełnomocnicy odczytali jedynie ich oświadczenia. Pełne bólu i rozpaczy po utracie ukochanych dzieci. W kolejnych dniach głos zabierali też koledzy chłopców, którzy 29 lipca widzieli ich nad jeziorem Bugaj, sąsiedzi Trynkiewicza, którzy widzieli, jak nerwowo palił papierosy, Edward Ś., który znalazł spalone zwłoki, a także biegli. Ich zeznania były niezwykle istotne, bo nie tylko szczegółowo opisali psychikę Mariusza, ale też obalili jego słowa w sprawie zabójstwa z 29 lipca. Mówił on, że chłopcy się nie bronili, byli zaskoczeni atakiem i nie zdążyli zareagować. Ale według ekspertów ciosy padały pod różnym kątem, co sugerowało, że dzieci próbowały osłonić się przed ostrzem i zmieniały swoje pozycje. Okazało się też, że Trynkiewicz do zabójstwa używał dwóch noży, co w końcu potwierdził również on sam.

Biegłych poproszono, by ocenili rokowania oskarżonego. Opinia brzmiała:

Na tym odcinku czasu 1986–1988 miał on kontakt z władzami dochodzeniowymi i sądowymi trzykrotnie. Na pytanie: co by było, gdyby swobodnie mógł dalej realizować swoje życie i czy miałby chęć, miałby zamiar zapraszać do siebie chłopców, odpowiedział potakująco, co potwierdza z jednej strony nasze rozpoznania, a z drugiej strony daje odpowiedź na pytanie pani prokurator.

W końcu głos zabrał również sam Trynkiewicz:

Wysoki sądzie, krótko bardzo chciałbym powiedzieć, ponieważ zdaję sobie sprawę, że na tej sali nie jestem zbyt chętnie słuchany, i to rozumiem całkowicie.

Po tych słowach Mariusz wyciągnął kartkę, na której miał wcześniej zanotowaną przemowę:

Wszystko, co dotyczy mnie jest, wysłuchiwane i przyjmowane w sposób raczej jakiś bardziej zrozumiały, bardziej naturalny. Jest to bardziej naturalne, normalne, dla mordercy, zbrodniarza, bandyty, jak ktoś mnie określa. Każdy natomiast mówi, że określa to jako ludzki odruch. Po prostu stwierdzenie każde, że byłem normalnym człowiekiem z najbardziej ludzkimi odruchami, wywołuje na sali szmer niezadowolenia, szmer niechęci. Tak więc uważam, wysoki sądzie, że bezsensowne byłoby chyba w tej chwili w ostatnim moim słowie stwierdzenie, że kiedyś byłem normalny, że kochałem dzieci zawsze i naprawdę starałem się zrobić dla nich jak najwięcej dobrego. Zresztą jeżeli nawet mnie nie wierzyć, to wysoki sąd niedawno wysłuchał świadków, którzy znali mnie kiedyś, znali mój stosunek do dzieci, do młodzieży i wypowiadali się tutaj, jaki byłem. Potworem nie byłem, a już na pewno nie w stosunku do dzieci. Pozwolę sobie, wysoki sądzie, na taką trochę fantazję, że gdyby rozpatrywać kwestię całkowicie obecnie realną, to znaczy wracam do zawodu, wracam do szkoły, do młodzieży, wracam do życia, jakiego zostałem pozbawiony we wrześniu 1986 roku, na pytanie, czy sprowadzałbym chłopców do mieszkania, odparłbym: nie, na pewno nie. Wiem, że nie byłoby takiej potrzeby i na pewno nie doszłoby wówczas do jakiegokolwiek czynu zabronionego przez prawo. Teraz na pytanie lekarzy odpowiedziałem, że sądzę, że chłopców sprowadzałbym nadal, po prostu tak mi się wydaje. Jest to rozważane czysto teoretycznie i dotyczy tylko warunków, w jakich znajdowałem się od kwietnia 1988 roku. Mówiłem też wielokrotnie i jeszcze raz to powiem, że po prostu było to ode mnie silniejsze i nie umiem tego w inny sposób wytłumaczyć. To wiem, że wydarzyła się rzecz straszna. Najpierw jedna, później druga i jest to do tej chwili rzeczą dla mnie całkowicie niezrozumiałą. Czy robiłem to z premedytacją?

Na pewno nie, bo czemu po prostu tych zwłok nie ukryłem w taki sposób, że nie zostałyby one znalezione, czemu zostawiałem ślady, czemu w końcu działałem chaotycznie, o czym świadczy choćby sposób owijania zwłok? Wiele pytań można by jeszcze postawić. Z premedytacją na pewno nie działałem. Wielokrotnie również byłem pytany, czy żałuję tego, co stało się, i zawsze niezmiennie odpowiadałem: tak. Również teraz chciałem powiedzieć, że żałuję. Bardzo żałuję. Podczas moich rozmów z lekarzami na oddziale psychiatrycznym niejednokrotnie byłem pytany właśnie przez tych lekarzy: dlaczego się pan nie leczył? I sądzę, że również w tym, że nie leczyłem się, leży moja zasadnicza wina. Widocznie wtedy jeszcze mogło to coś zmienić, na pewno zapobiec tej tragedii. To, co we mnie tkwi, lekarze określili nie jako chorobę, raczej przypadłość. Pan profesor Bukowczyk stwierdził, że zarówno stosowana praktyka w naszym kraju, jak i istniejący tu aparat penitencjarny czyni niemożliwym w takim przypadku jak mój opiekę i leczenie, jak to określił, hormonalne. Jest to obecnie w naszym kraju po prostu niemożliwe, chociaż ten sam pan profesor zakłada, że wobec ciągłego rozwoju medycyny nie będzie ona wkrótce bezsilna wobec takich jak mój przypadków. Pan docent Starowicz również stwierdza niemożliwą terapię, gdyż wiązałaby się z zastosowaniem drogiego leku. Po prostu cena lekarstwa przewyższa wartość pacjenta. Podczas śledztwa starałem się odtworzyć wypadki z krytycznych chwil, często jednak podawałem fakty nieprawdziwe i nie po to, by wprowadzić kogokolwiek w błąd, ale dlatego, że faktycznie miałem kłopoty z przypominaniem sobie niektórych zdarzeń, po prostu starałem się odtworzyć, stworzyć, prawdopodobne i logicznie wiążące się z całością wersje, by nie użyto wobec mnie określenia zasłaniania się niepamięcią. Co i tak w końcu zastosowano. Wierzę, że wysoki sąd w przygotowaniu wyroku weźmie pod uwagę również wypowiedzi lekarzy, których wspomniałem. Wierzę, że wyda sprawiedliwy wyrok, o co chciałem właśnie prosić w ostatnich słowach.

Wyrok zapadł 29 września. Trynkiewicz liczył się z karą śmierci, choć po cichu miał nadzieję, że wyrok będzie mniej dotkliwy. Ale ciężar jego zbrodni był zbyt potężny. Dlatego uznano go za winnego wszystkich stawianych mu zarzutów, skazano na karę śmierci, a także na zawsze pozbawiono praw publicznych. Mariusz przyznał później, że martwił się egzekucją tylko ze względu na rodziców, dla których utrata syna byłaby niewyobrażalną traumą.

Ale i w tym przypadku morderca miał dużo szczęścia. Zaledwie trzy miesiące po tym, jak usłyszał wyrok, który miał pozbawić go życia, w Polsce całkowicie zmieniła się rzeczywistość. Zrezygno-

wano z kary śmierci, a osobom, które na nią czekały, zmieniono wyroki na 25 lat więzienia. W tej grupie znalazł się również Mariusz Trynkiewicz. Wielu polityków sądziło, że osoby takie jak Bestia z Piotrkowa nie dożyją końca swojej kary. Powszechnie wiadomo, że pedofile nie mają lekkiego życia za kratkami i często spotykają się z prześladowaniem ze strony współwięźniów. W dodatku w polskim prawie nie figurowała wówczas kara dożywocia, dlatego wsadzenie kogoś do zakładu na ćwierć wieku wydawało się karą rozsądną, nawet jeśli chodziło o mordercę, który zabił czterech niewinnych chłopców.

O Trynkiewiczu przez lata było cicho. Media zainteresowały się innymi sprawami, Piotrków otrząsnął się po tych bolesnych wydarzeniach, a reszta społeczeństwa zapomniała o jego istnieniu. Ten spokój zaczął znikać, gdy nieuchronnie zbliżał się dzień, w którym Mariusz miał wyjść na wolność. Jego nazwisko znów wróciło na czołówki gazet, a emocje społeczeństwa były rozgrzane do czerwoności. Nieustannie zadawano sobie pytania: co zrobi Trynkiewicz po wyjściu z więzienia? Czy znów będzie zabijał? Spekulowano też, gdzie będzie mieszkał – czy wróci do Piotrkowa, czy osiedli się w jakimś innym, mniej znanym sobie mieście? Rodzice drżeli o bezpieczeństwo dzieci, a politycy torpedowani pismami i pytaniami nie mieli wyjścia. Musieli znaleźć rozwiązanie, które odseparuje mordercę od reszty społeczeństwa i to mimo zakończenia kary. Taki był początek ustawy o bestiach, która weszła w życie w 2014 roku, na chwilę przed tym, jak Mariusz opuścił zakład karny. Dokument określał, co należy robić z osobami, które stwarzają szczególne zagrożenie, choć odbyły w więzieniu resocjalizację. Wprowadzono dwa rozwiązania – jedno to nadzór prewencyjny, a drugie zakładało umieszczenie w Krajowym Ośrodku Zapobiegania Zachowaniom Dyssocjalnym, znanym bardziej jako ośrodek w Gostyninie. Utworzono go w 2013 roku, zaraz po tym, jak ruszyły prace nad ustawą. Na stronie internetowej placówki możemy przeczytać:

Krajowy Ośrodek jest podmiotem leczniczym prowadzonym w formie jednostki budżetowej. Organem tworzącym Ośrodek jest Minister właściwy do spraw zdrowia. Działalność Ośrodka jest finansowana z budżetu Ministra Zdrowia. Gospodarka finansowa jest prowadzona według zasad obowiązujących w jednostkach budżetowych. Siedzibą Krajowego Ośrodka jest miasto Gostynin. Obecnie Ośrodek dysponuje 4 oddziałami mieszczącymi się w Gostyninie, jak również oddziałem zamiejscowym w Czersku, w których prowadzone jest postępowanie terapeutyczne wobec osób umieszczonych w Krajowym Ośrodku zgodnie z ww. przepisami ustawy. Ze

względu na specyfikę Ośrodka przebywają w nim osoby, które zostały określone przez przepisy prawa jako osoby stwarzające bardzo wysokie ryzyko dokonania czynu przeciwko zdrowiu, życiu lub wolności seksualnej innych osób. Do dyspozycji pacjentów jest Pracownia Terapii Zajęciowej oraz teren sportowy.

Plan awaryjny został więc przygotowany. Gostynin miał uspokoić społeczne nastroje i sprawić, że skrajnie niebezpieczni przestępcy nie będą chodzić wśród ludzi, stwarzając realne zagrożenie. Ale zanim ktokolwiek został tam skierowany, Mariusz Trynkiewicz zdążył opuścić zakład karny.

Jeszcze przed wyjściem na wolność strażnicy uprzedzili go, jaka atmosfera panuje wokół jego osoby. Wiedział więc, że nie czeka go spokojne życie poza więziennymi murami. Wszędzie słychać było pohukiwanie o zemście i linczu, ludzie wymieniali się informacjami, pojawiły się też zdjęcia budynków, w których Trynkiewicz rzekomo miałby zamieszkać. W dodatku dzień przez opuszczeniem przez niego zakładu karnego służba więzienna znalazła w celi osadzonego szkice i zdjęcia pedofilskie. Prokuratura uznała jednak, że materiał nie zawiera zabronionych treści, i Trynkiewicz opuścił więzienie.

Jedenastego lutego 2014 roku Bestia z Piotrkowa poczuła oddech wolności. Ale odbyło się to po cichu, a miejsce, do którego został przewieziony Trynkiewicz, trzymane było w tajemnicy. Dziennikarzom po czasie udało się jednak ustalić, co działo się z nim po tym, jak za jego plecami zatrzasnęła się więzienna brama. „Super Express" w swoim tekście z 30 kwietnia 2014 roku pisał:

Potwierdziły się nasze wcześniejsze doniesienia, że policjanci ukryli go w ośrodku szkolenia policji (jako pierwsi napisaliśmy, że trafił do Wrocławia). Teraz dowiedzieliśmy się, że potem ukrywany był jeszcze w dwóch innych miejscach na północy kraju. W obu przypadkach były to ośrodki szkolenia policji. Dzięki temu funkcjonariusze mieli pełną kontrolę nad zwyrodnialcem. Trynkiewicz był pod stałą ochroną dwóch policjantów, na podobnych zasadach, na jakich strzeże się świadków koronnych. Zresztą sam o to poprosił. „Wystąpił o taką ochronę, bojąc się o własne życie – zdradza nam mec. Marcin Lewandowski, pełnomocnik Trynkiewicza. – Nie było mowy o mieszkaniu np. w bloku". W rzeczywistości więc wolność Trynkiewicza stała się iluzją. Wciąż był trzymany pod kluczem, ale odpowiadało mu to. Tym bardziej że kryminalista nie rozumie współczesnego świata. Uczył się go namiętnie, oglądając telewizję. Wciąż jednak nie potrafi używać telefonu komórkowego. By rozmawiać z matką

(według naszych ustaleń robił to bardzo często), korzystał z tradycyjnego telefonu.

Mimo protestów pełnomocnika i składanych odwołań sąd zdecydował – Trynkiewicz musi być izolowany. Do mediów wyciekła też opinia biegłych przygotowana na zlecenie sądu w Rzeszowie, który miał zdecydować o przyszłości mordercy. Brzmiała ona:

Mariusz Trynkiewicz nie jest osobą upośledzoną, jego poziom intelektualny należy określić jako ponadprzeciętny. W oparciu o badania psychiatryczne, psychologiczne i seksuologiczne rozpoznajemy u uczestnika głębokie zaburzenie osobowości w postaci osobowości nieprawidłowej antysocjalnej z zaburzeniami preferencji seksualnej o typie pedofilii sadystycznej. (...) Deklarowanie przez niego chęci uczestniczenia w terapii po opuszczeniu zakładu karnego jest zabiegiem czysto manipulacyjnym. Neguje swoje aktualne potrzeby seksualne, tłumacząc to wiekiem. Neguje możliwości pojawienia się jakichkolwiek zachowań, które wymknęłyby się w przyszłości jego kontroli. (...) Zupełnie ignorował fakt, że pozbawił dzieci wolności i zmuszał je do znoszenia jego zachowań, które nawet jeżeli nie miały charakteru erotycznego, dostarczały satysfakcji tylko jemu. Przejawiał tendencje do swoistego uprzedmiotowiania dzieci, traktowania ich jako obiektów służących do zaspokojenia jego potrzeb. (...) Charakter tych zaburzeń oraz stopień ich nasilenia wskazuje, że zachodzi co najmniej wysokie prawdopodobieństwo popełnienia przez opiniowanego czynów zabronionych z użyciem przemocy lub groźby jej użycia przeciwko życiu, zdrowiu lub wolności seksualnej podobnych do tych, jakie dokonał w przeszłości.

Do Gostynina przewieziono Trynkiewicza 29 kwietnia 2014 roku. W kolejnych latach ponownie znajdowano w jego otoczeniu materiały pornograficzne. W lipcu 2015 roku został za to skazany na pięć i pół roku pozbawienia wolności. W akcie oskarżenia zawarto trzy zarzuty. Jeden z nich dotyczył posiadania przez niego zdjęć i filmów pornograficznych z udziałem nieletnich, które znajdowały się w sumie na 1318 komputerowych plikach. Odkryto je w latach 2006–2014 w zakładzie karnym w Strzelcach Opolskich oraz w jego rodzinnym domu w Piotrkowie Trybunalskim. Proces w tej sprawie toczył się za zamkniętymi drzwiami.

W 2015 roku społeczeństwo zszokowała informacja, która wypłynęła z Gostynina. Mariusz Trynkiewicz, skazany pedofil i morderca, wziął ślub. Jego wybranka co prawda nigdy nie ujawniła swoich danych, ale wiadomo było, że jest od niego młodsza i ma córkę z pierwszego małżeństwa. Jedynego wywiadu udzieliła dzien-

nikarce Justynie Kopińskiej. W rozmowie przyznała, że korespondowała z Mariuszem, a zauroczenie pojawiło się już po wymianie pierwszych listów. Czytając jego słowa przelane na papier, poczuła ciepło na sercu. Wtedy zaczął się ich romans. Kobieta przekonywała, że Trynkiewicz to dobry człowiek i gdyby dziś wyszedł na wolność, z pewnością nikogo by nie skrzywdził. Dodała również, że pomaga jej w wychowaniu córki, bo… doskonale zna się na dzieciach. Ale największe oburzenie wywołała swoim stwierdzeniem, że zamordowani w 1988 roku chłopcy byli sami sobie winni, bo do mieszkania zabójcy weszli z własnej woli.

Personalia żony Trynkiewicza do dziś pozostają tajemnicą. Spotkałam się jednak z teorią, która mówi, że Mariusz i jego żona znali się jeszcze z czasów młodości, a po latach odświeżyli znajomość.

We wrześniu 2019 roku mężczyzna trafił do zakładu karnego w Płocku. Dwa lata później znów skazano go za posiadanie dziecięcej pornografii. Tym razem usłyszał wyrok sześciu lat pozbawienia wolności. Proces odbył się w Sądzie Rejonowym w Gostyninie. Jak usłyszałam, Trynkiewicz jest do dziś przekonany, że wszystkie materiały pornograficzne zostały mu podrzucone po to, by nigdy już nie wyszedł z więzienia.

Jednym ze specjalistów, którzy w latach osiemdziesiątych diagnozowali Bestię z Piotrkowa, był uznany w Polsce i na świecie seksuolog profesor Zbigniew Lew-Starowicz. Gdy do niego zadzwoniłam, powiedział mi wprost: Trynkiewicz nie urodził się zły.

Marta Kiermasz: *On wyjdzie kiedyś na wolność? Jest szansa, że zostanie wyleczony?*

Zbigniew Lew-Starowicz: *Niejako mamy pośrednią odpowiedź na to pytanie. Ile upłynęło lat? Ponad 30. A on został znów skazany za coś, co się z tym jego światem wciąż wiąże. W takim razie nie możemy mówić, żeby był on wyleczony, żeby osiągnięto efekty terapeutyczne. Nie wiem nic o żadnych sukcesach. Teoretycznie można powiedzieć, to rokowanie nie jest dobre. To nie ma związku z wiekiem, jeśli chodzi o tego typu zainteresowania. Niektórzy sądzą, że jak mężczyzna wchodzi w wiek późniejszy, to mu wszystko ginie. Nie jest tak. Jeśli nie osiągnięto sukcesu, wciąż może być zagrożeniem.*

Marta Kiermasz: *W trakcie rozmów z nim coś szczególnego zapadło panu w pamięci? Czymś się wyróżnił?*

Zbigniew Lew-Starowicz: *Nie miałem takiego wrażenia. Po jego badaniu diagnozowałem wiele osób. Również za granicą wydawałem opinie. Nic szczególnego nie utkwiło mi w pamięci, w tej grupie,*

którą badałem, on mi się po prostu schował. Jego nazwisko nie wywołuje u mnie skojarzeń.

Marta Kiermasz: *Skąd wzięło się w nim to zło?*

Zbigniew Lew-Starowicz: Trynkiewicz nie urodził się zły. W jego przypadku dałem diagnozę i to powtórzę – my nie rodzimy się źli. To nie jest tak, że rodzimy się z genami zbrodni, które determinują nasze zachowanie od dzieciństwa. To tak nie działa, musi być splot pewnych okoliczności, że to zło zaczyna górować. Ale to nie jest tak, że ono nas determinuje już od wieku przedszkolnego. Gdyby tak było, to trzeba by było orzekać niepoczytalność. Gdyby okazało się, że człowiek nie ma żadnego wpływu na swoje zachowanie, wtedy byłby bezsilny.

Marta Kiermasz: *Czy pedofilię można skutecznie wyleczyć?*

Zbigniew Lew-Starowicz: *To zależy, jakie przyjmiemy kryteria wyleczenia. Minimalistyczne to takie, w którym nie ma recydyw. Czyli ten człowiek już nigdy żadnego zachowania pedofilnego nie przejawi, to jest skuteczne leczenie. Kryterium maksymalistyczne jest wtedy, gdy ten człowiek potrafi stworzyć udany związek z dorosłą osobą, udany seksualnie i ta seksualność daje mu przyjemność. Osobiście znam osoby, które osiągnęły ten pułap maksymalistyczny.*

Marta Kiermasz: *A leczenie farmakologiczne?*

Zbigniew Lew-Starowicz: *Farmakologia jest tylko małą częścią terapii, leczenie pedofilii to jest wieloletnia psychoterapia.*

Dziś o Trynkiewiczu znów jest cicho. Zza więziennych murów nie docierają żadne informacje, on sam nie zgadza się na rozmowy z dziennikarzami, unika rozgłosu. Tkwi w zawieszeniu między nadzieją na wolność a świadomością, że może jej już nigdy nie zaznać. O jego zbrodniach przypominają jednak rodziny zamordowanych chłopców, mieszkańcy Piotrkowa i głuche, przerażające milczenie wyłaniające się z lasu, w którym ponad trzydzieści lat temu próbowano ukryć ciała dzieci.

Pani Mirosława, sąsiadka Trynkiewicza, na koniec naszej rozmowy posępnie zerknęła na klatkę, z której dawniej wyłaniała się Bestia:

– *Ma już przecież jakąś żonę, powinno mu to wystarczyć, prawda?* – pyta mnie, kręcąc głową. – *Ale czy ja wiem, czy wystarczy? Wie pani… My tu wszyscy modlimy się, żeby on już nigdy na wolność nie wyszedł. Żeby już nigdy tego zła nie było.*

Aileen Wuornos to najbardziej brutalna seryjna morderczyni w USA. Za zabójstwo siedmiu mężczyzn skazano ją na sześciokrotną karę śmierci.

FOT. EAST NEWS/EVERETT COLLECTION

AILEEN WUORNOS

Autostradowa zabójczyni

Tylko strzał. Bum, bum. Tylko strzał i tak byli zostawiani. Gdybym strzeliła im między oczy, odcięła penisa i wsadziła do ust, robiła inne obrzydliwe rzeczy, byłaby to straszliwa zbrodnia. Ale oni zostali tylko zastrzeleni i tak pozostawieni.

Aileen Wuornos

Mówiąc „seryjny morderca", zazwyczaj przed oczami mamy dorosłego mężczyznę, który – sfrustrowany życiem uczuciowym i seksualnym – szuka rozładowania w innych sferach. Często patrzymy stereotypowo i sądzimy, że jeśli ktoś decyduje się na polowanie na ludzi, zazwyczaj miewa problemy psychiczne, a na ofiary wybiera kobiety, bo to właśnie z nimi nie potrafi rozmawiać i nawiązywać relacji. Ale historia pokazuje, że w przypadku badania seryjnych morderców najgorsze, co można zrobić, to z góry zakładać tezę, a także zamykać umysł na różne scenariusze. Ted Bundy był przystojny, zadbany, czarujący i ambitny. Obracał się w kręgu wpływowych polityków, a mimo to brutalnie mordował młode dziewczyny. Albert Fish był uroczym starszym panem, któremu rodzice chętnie oddawali dzieci pod opiekę, a jednak torturował je, zabijał, a później zjadał. John Wayne Gacy był prężnie działającym biznesmenem, z rodziną i pozycją w lokalnej społeczności, a po godzinach więził, gwałcił i dusił nastoletnich chłopców. Pozory i stereotypy to najgorsi doradcy, gdy bierze się pod lupę psychopatów. Bo w ich przypadku nic nie działa logicznie i w sposób oczywisty. Trzeba przygotować się na najbardziej zaskakujące historie, również te, które pokazują, że seryjnymi mordercami nie zawsze są mężczyźni, a kobiety są w stanie pałać nieprawdopodobną nienawiścią i okrucieństwem.

W literaturze istnieje pojęcie mizoandrii, która oznacza wrogość lub silne uprzedzenie wobec mężczyzn. Mówi się o niej niewiele, bo rzadko daje o sobie znać w sposób szerszy, który odbiłby się echem w przestrzeni publicznej. Ale nie oznacza to, że takie zjawisko nie istnieje.

Dla niektórych kobiet jest ono tak silne, że nie są w stanie w ogóle funkcjonować w otoczeniu mężczyzn. Nie tworzą z nimi związków, unikają w pracy, nie szanują, dyskredytują,

poniżają, a nawet krzywdzą fizycznie. Często źródłem mizoandrii są doświadczenia nabyte jeszcze w okresie dzieciństwa i dojrzewania. Skrzywdzone przez płeć przeciwną kobiety w późniejszym okresie widzą oprawcę w każdym mężczyźnie, bez względu na to, czy jest on agresorem, czy spokojnym człowiekiem unikającym przemocy na każdym polu. Ważne jest, by pamiętać, że owo zjawisko nie ma nic wspólnego z feminizmem, choć często właśnie feministkom niesprawiedliwie przypisuje się nienawiść do płci przeciwnej. Kobiety, które walczą o swoje prawa, nie zwalczają jednocześnie mężczyzn, chcą jednak mieć takie same możliwości życia i rozwoju jak oni. To nie wojna płci, a próba uzyskania społecznej sprawiedliwości.

Mizoandria nie zawsze objawia się czystą nienawiścią, zdarza się, że pojawia się też strach. Niektórym kobietom w relacjach z mężczyzną towarzyszą ataki paniki, które wymagają konsultacji psychiatrycznej. Fobie można zwalczyć skuteczną terapią, ale podstawą jest dostrzeżenie problemu. Kobiety, które go nie widzą, są w stanie zdecydować się na najbardziej desperacki i okrutny krok. Taką kobietą była Aileen Wuornos.

Lee, najsłynniejsza seryjna morderczyni w historii, skazana na sześciokrotną karę śmierci, urodziła się w świecie, w którym żadne dziecko nie powinno przebywać. Z otoczeniem przywitała się jako Aileen Carol Pittman i nastąpiło to 29 lutego 1956 roku w Rochester w Stanach Zjednoczonych. To niewielka mieścina pełna uroczych budynków, które na Boże Narodzenie zamieniają mury w prawdziwe morze światełek i ozdób. Miejsce w sam raz na spokojne życie z dala od sensacji, głośnych spraw i wzroku mediów.

Jej matka, Diane Wuornos, według niektórych źródeł miała zaledwie czternaście lat (inna wersja mówi o szesnastu), gdy urodziła córkę. Ojcem był dziewiętnastoletni Leo Dale Pittman, socjopata skazany za molestowanie, ze skłonnościami pedofilskimi i paskudnym charakterem. Terry Manners w *Deadlier Than the Male: Stories of Female Serial Killers* pisał:

Kiedy jego dziadek zmarł na raka gardła, babcia rozpieszczała go jeszcze bardziej, piekąc ciasta i dając pieniądze. Jako nastolatek odwzajemniał jej miłość i dobroć, bijąc ją i znęcając się nad nią. Jedną z jego ulubionych gier było związywanie dwóch kotów razem za ogony i przerzucenie ich przez sznur do bielizny, aby zobaczyć, jak walczą.

Para zdecydowała się na ślub, choć od początku zmagała się z wieloma problemami. Kłótnie, brak zaufania i niezwykle młody wiek jak na tak poważny krok sprawiły, że burzliwy związek skończył się rozstaniem, zanim Aileen przyszła na świat. Leo porzucił nienarodzoną córkę, partnerkę, a także małego syna Keitha, całkowicie znikając z ich życia. Niedługo później został zatrzymany za uprowadzenie i zgwałcenie siedmioletniej dziewczynki, prawdopodobnie miał na koncie również zabójstwo. Kilka lat spędził w zakładach psychiatrycznych, aż wreszcie trafił do zakładu karnego. Tam w 1971 roku powiesił się na prześcieradle we własnej celi.

Do wzięcia odpowiedzialności za dzieci nie spieszyło się też Diane. Gdy Aileen miała cztery latka, kobieta podjęła decyzję – nie będzie samotną matką. Spakowała się i wyjechała, zostawiając syna i córkę ze swoimi rodzicami. Aileen o swojej rodzicielce mówiła: „Matka wycisnęła mnie z brzucha i podrzuciła dziadkom. Nigdy nie poznaliśmy tej durnej kurwy. Nigdy więcej jej nie widzieliśmy z wyjątkiem jednego pogrzebu. Pluję na nią. Niech sczeźnie w piekle. Nasza matka wysrała nas dwoje. Jebana dziwka zapakowała nas w koszyk i wysłała do piekła”.

Z tym piekłem Aileen wcale nie przesadzała, bo choć wydawało się, że Diane podjęła dobrą decyzję, przekazując opiekę nad dziećmi najbliższej rodzinie, to jednak Laurie i Britta Wuornosowie (a dokładniej Eileen Britta) nie zapewnili wnukom bezpieczeństwa i spokoju. Małżeństwo mieszkało w Troy w stanie Michigan. Zielone rozległe miasto liczące ponad 80 tysięcy mieszkańców jest najbardziej zaludnioną miejscowością w hrabstwie Oakland. Dziś jest centrum biznesowym oraz handlowym regionu i nie przypomina małego miasta, a raczej całkiem sporą, prężnie działającą metropolię.

Dziadkowie Lee mieszkali przy Cadmus Street w niewielkim parterowym domu z żółtymi ścianami. Para nie utrzymywała bliższych relacji z sąsiadami, zwłaszcza Laurie, pracownik fabryki Forda. Był niezwykle powściągliwy w kontaktach z innymi ludźmi. Oboje nie stronili też od alkoholu, a dziadek wprowadził w domu niemal wojskową dyscyplinę. Całą złość wyładowywał na Aileen. Bił ją nieustannie, a później kazał jej czyścić pasek, którym wcześniej ją skatował. Ciosy spadały na nagie ciało dziewczynki, które – rozpostarte niemal jak krzyż – przyjmowało uderzenie za uderzeniem. Była posiniaczona i zakrwawiona właściwie każdego dnia, ale jeszcze poważniejsze rany pozostawały w jej psychice.

Laurie i Britta utrzymywali, że są biologicznymi rodzicami rodzeństwa. Aileen i jej brat żyli więc w przekonaniu, że wychowują ich nie babcia i dziadek, a mama i tata. Prawda wyszła na jaw wiele lat później i jeszcze bardziej zachwiała i tak kruchym poczuciem bezpieczeństwa, jakiego doświadczała dziewczyna.

Jedyne oparcie miała w bracie. Tylko jemu ufała i dopuszczała go do siebie. Jako dorosła kobieta przyznała, że współżyła z Keithem, przez co ich relacja miała być jeszcze silniejsza. Spore problemy Lee miała za to z rówieśnikami. Odtrącali ją i traktowali jak kogoś gorszego od siebie. Choć dziewczyna robiła wiele, by dołączyć do którejś z paczek, zawsze ostatecznie kończyła sama i upokorzona.

Jej desperacja w zdobyciu przyjaciół była jednak niezwykle duża. Uznała, że jedyną drogą do zbliżenia się do kolegów będzie uprawianie z nimi seksu. Robiła więc wszystko, co chcieli, a oni w zamian dawali jej papierosy, przez co zyskała przydomek Papierosowa Świnia. Traktowali ją jak prostytutkę i wyśmiewali. Nie pociągała ich fizycznie, ale chętnie korzystali z niemal darmowych usług seksualnych. Duży cios spadł na Aileen, gdy zorganizowała u siebie w domu spotkanie. Przygotowała wszystko – poczęstunek, napoje i muzykę. Co prawda koledzy i koleżanki przyszli, ale już po chwili przegonili ją z jej własnej imprezy. Taki los spotykał ją za każdym razem, gdy próbowała zbliżyć się do rówieśników. Natychmiast ją wyrzucano jak bezwartościowego śmiecia. W głowie Lee rosło przekonanie, że właśnie takim śmieciem jest.

Kolejny punkt zwrotny nastąpił, gdy miała czternaście lat. Zaszła wtedy w ciążę. Czas oczekiwania na dziecko spędziła w domu samotnej matki. Nie potrafiła porozumieć się z personelem ośrodka, który uważał ją za agresywną i konfliktową. Syna urodziła w styczniu 1971 roku. Nie zajęła się nim jednak. Tuż po porodzie, gdy była jeszcze w szpitalu, chłopiec trafił do adopcji. Po latach Aileen wyznała, że ciąża była wynikiem gwałtu.

Tego samego roku, w którym oddała własne dziecko, na niewydolność wątroby zmarła jej babcia. Mimo że kobieta była alkoholiczką, Lee darzyła ją dużym uczuciem. Wiedziała, że po jej śmierci został tylko dziadek tyran, z którym życie było niekończącą się traumą.

Sadyzm mężczyzny postępował, w dodatku nie radził sobie z buntowniczym charakterem wnuczki. W przypływie szału wyrzucił z domu ją i jej brata. Nastolatkowie nie mieli gdzie się podziać, trafili więc na ulicę. Wtedy ich drogi się rozeszły. Lee poszła w swoim kierunku, Keith w swoim. Dla dziewczyny oczywiste było, że nie wróci już do szkoły. Musiała znaleźć sposób na przetrwanie, a przede wszystkim szybko wydorośleć, bo świat, który na nią czekał, nie oferował jej losu łaskawszego od tego, który zgotował jej dziadek.

Laurie po śmierci żony próbował popełnić samobójstwo. Kilka lat później został znaleziony we własnym garażu, prawdopodobnie zatruł się spalinami. Lee przekonywała, że to ona znalazła jego ciało, ale podczas procesu wuj Barry, brat jej matki, stwierdził, że to on natknął się na martwego ojca. Po jego śmierci ich matka Diane zaproponowała, by Lee i Keith zamieszkali z nią, ale oboje odmówili. Nie byli zainteresowani utrzymywaniem relacji z kobietą, która sama się ich wyrzekła, gdy byli jeszcze dziećmi.

Aileen opuściła Troy i ruszyła na południe kraju. Została prostytutką, bo tylko tak była w stanie przetrwać. Zresztą nie znała innego życia. Wydawało jej się, że to właśnie seks jest przepustką do wszystkiego, bo tu schemat był prosty – ona oddawała ciało, a mężczyźni dawali jej pieniądze. Mało skomplikowana transakcja, która wymagała jednego – wyłączenia moralności. A z tym Aileen nie miała problemu.

Kilka lat po wyprowadzce w wieku dwudziestu lat wzięła ślub. Jej mężem został Lewis Fell, mężczyzna w podeszłym wieku, który nieźle zarabiał. Zajmował się przemysłem kolejowym. Para poznała się przypadkowo. Lewis mknął szosą, gdy zauważył młodą dziewczynę. Zabrał ją ze sobą, a niedługo później uczynił swoją żoną. Ślub odbył się w Kingsley w stanie Georgia.

Małżeństwo nie było udane, dlatego zakończyło się równie szybko, jak zaczęło. Nie przetrwało nawet roku. Fell zażądał unieważnienia ślubu, bo Aileen rzuciła kulą bilardową w głowę barmana. Trafiła za to do aresztu. Mężczyzna przekonywał również, że żona trwoni jego pieniądze i wymusza je przemocą. Raz, po tym gdy zdecydował o zmniejszeniu kieszonkowego Lee, został przez nią zaatakowany. Groziła mu szpikulcem do mięsa: „Tak, groziłam mu szpikulcem do mięsa. I co z tego, kurwa? Patrzył na mnie jak inni mężczyźni. Od samego początku. Brudny, stary pojeb".

W tym samym roku na raka zmarł brat Aileen. Kobieta nie miała z nim kontaktu od chwili, w której opuściła dom dziadka. Nie miała pojęcia o chorobie Keitha. Pojechała jednak na pogrzeb, a tuż po nim wyruszyła na Florydę. W dłoni ściskała pieniądze z ubezpieczenia, które dostała po śmierci brata. Było to dziesięć tysięcy dolarów. Lee roztrwoniła je w niecałe trzy miesiące. Kupiła za nie auto, wieżę stereo i kilka kompletnie niepotrzebnych gratów.

Przemierzała kraj w poszukiwaniu chwilowej przystani. Co jakiś czas wchodziła w nowe, burzliwe relacje, które miały zapewnić jej dach nad głową i podstawowe potrzeby. Dryfowanie między jednym partnerem a drugim, brak oparcia w bliskiej osobie i stabilizacji sprawiły, że Aileen zaczęła wpadać w coraz większą otchłań. Rozmyślała o samobójstwie, a w 1981 roku kupiła broń. Coraz więcej piła. Alkohol stał się jej najlepszym przyjacielem jeszcze wtedy, gdy była dzieckiem. Dodawał jej odwagi i pozwalał zapomnieć o problemach.

Gdy miała dwadzieścia pięć lat, napadła na sklep. Przekonywała później w sądzie, że wyszło to przypadkiem. Chciała kupić piwo, a gdy położyła torbę na ladzie, kasjerka zauwa-

żyła broń. Była przekonana, że Lee chce ją okraść. Widząc przerażenie w oczach kobiety, stwierdziła, że w sumie byłaby w stanie to zrobić. Wyjęła więc spluwę i kazała sprzedawczyni oddać cały utarg. Nie było tego dużo, zaledwie trzydzieści trzy dolary. Chwilę później została zatrzymana przez policję.

Po szybkim procesie w maju 1982 roku Aileen trafiła do więzienia Lowell na Florydzie. To największy zakład karny w całych Stanach Zjednoczonych. Może pomieścić trzy tysiące osadzonych. Trafiają tam nawet czternastolatki, dla których przygotowane są specjalne bloki. Obiekt do dziś przechodzi nieustanną modernizację, by zapewnić osadzonym jak najlepsze możliwości resocjalizacji. W przypadku Aileen była ona jednak trudna. Aż sześciokrotnie została ukarana za wszczynanie bójek, nie słuchała też poleceń strażników. Gardziła nimi, podobnie jak policjantami. Na wolność wyszła w czerwcu 1983 roku i niemal natychmiast wróciła do dawnego życia.

Co kilka miesięcy angażowała się w kolejne związki, które kończyły się porażką. Scenariusz za każdym razem był ten sam – wiązała się z nowym partnerem, wszczynała awantury, nie panowała nad emocjami, które dodatkowo podlewała alkoholem, aż w końcu kolejny mężczyzna miał jej dość i wyrzucał na bruk. Na ulicy robiła to, co umiała najlepiej. Zarabiała ciałem.

Tak poznała pewnego emerytowanego kierowcę ciężarówki, który zabrał ją do New Smyrna Beach. To urocza niewielka miejscowość z białymi plażami i błękitną wodą. Wakacyjny raj, w dodatku pozbawiony zagrożeń obecnych w większych miastach. Lee zamieszkała u mężczyzny na jakiś czas. Sprzątała, gotowała i nie musiała martwić się o swoje bezpieczeństwo. Ale temperament młodej Aileen wziął górę nad zdrowym rozsądkiem. Pierwszego maja 1984 roku znów trafiła do aresztu. Próbowała zrealizować fałszywy czek. Podrobiła podpisy i chciała wypłacić łącznie 5595 dolarów. Zza krat wyszła dzięki kaucji, przyznała się do zarzutów, ale nie stawiła się na odczytanie wyroku. Wysłano więc za nią list gończy, którym kompletnie nie zamierzała się przejmować.

Aileen podobała się zarówno mężczyznom, jak i kobietom. Zanim do reszty zniszczyły ją alkohol i prostytucja, potrafiła zauroczyć swoją urodą. Duże, ciemne oczy, blond włosy i szeroki uśmiech były jej najlepszą bronią. Choć było jej daleko do typu kokietki, bez problemu nawiązywała bliższe relacje. W 1985 roku weszła w swój pierwszy homoseksualny związek.

Jej partnerką była Toni. Wiemy o niej niewiele, poza tym, że pochodziła z archipelagu Florida Keys. Kobiety miały dalekosiężne plany. Chciały otworzyć własną firmę, która za pomocą pary czyściłaby podłogi. Niestety, Toni rozczarowała Lee, podobnie jak mężczyźni, których spotykała na swojej drodze. Po kilku miesiącach kobieta zniknęła, a wraz z nią sprzęt, który partnerki kupiły dzięki zarobionym przez Lee pieniądzom.

W 1986 roku Aileen znów trafiła za kratki. Tym razem za kradzież samochodu. Dodatkowo w trakcie zatrzymania stawiała opór. Miała też przy sobie broń i amunicję. Sąd popełnił jednak błąd – pozwolił Lee wyjść z aresztu za kaucją. Kobieta wykorzystała okazję i ponownie zapadła się pod ziemię, zmieniając przy okazji tożsamość. Podawała się między innymi za Susan Blahovec. Co jakiś czas wpadała w ręce policji, głównie za przekraczanie prędkości i rozboje. Ale za każdym razem udawało jej się wrócić do życia na wolności, gdzie mogła pogłębiać przestępczą działalność.

Miesiące jednak mijały, a alkohol i uliczne życie odciskały na Aileen coraz większe piętno. Próbowała łapać klientów, ale ci nie pojawiali się już tak często jak kiedyś. W dodatku zarabiała coraz mniej. Dawniej, gdy dopiero wchodziła w świat prostytucji, mężczyźni byli gotowi zapłacić około 50 dolarów za usługi. Z czasem jednak te kwoty zaczęły spadać poniżej 30 dolarów. Utrzymanie się zaczęło przeradzać się w walkę o przetrwanie.

Przełom w życiu Aileen nadszedł w 1986 roku. Wtedy, jak twierdziła, poznała miłość swojego życia. Była nią dwudziestoczteroletnia Tyria Moore. Lee miała wówczas trzydzieści lat i wciąż nie potrafiła określić, czy chce wiązać się z mężczyznami czy z kobietami. Czuła się zagubiona. Gdy weszła

jednak do baru Zodiac w Daytonie, wszystko się zmieniło. O swojej relacji z Moore mówiła tak: „To była szalona miłość. Nie da się opisać słowami tego, co czułam do Tyrii. Uważałam, że powinnam dbać o nią, aby poczuła się doceniona jak nigdy dotąd".

Tyria pracowała w motelu, gdzie była pokojową. W chwili, gdy do baru wkroczyła Aileen, cieszyła się z wypłaty pieniędzy z ubezpieczenia za wypadek, w którym została poszkodowana. Była daleko od rodzinnego miasta, dlatego pomieszkiwała u państwa Greene, przyjaciół rodziny. Dali jej dach nad głową i opiekowali się nią zgodnie z obowiązującymi normami i zasadami. Z kolei Lee przeżywała trudny okres w życiu. Brakowało jej pieniędzy i dachu nad głową, doskwierała też samotność, co potęgowało narastające złość i frustrację. Bardzo chciała coś zmienić, ale nie wiedziała, od czego właściwie powinna zacząć. Dlatego spotkanie Tyrii było czymś wyjątkowym, czego kobieta nie chciała zniszczyć. By osiągnąć swój cel, zdecydowała się na kłamstwo. Powiedziała nowej znajomej, że jest właścicielką firmy sprzątającej. To samo usłyszeli też państwo Greene, którym Lee również chciała zaimponować. By uwiarygodnić swoją wersję, każdego dnia wychodziła rano do „pracy", miała ze sobą nawet specjalny neseser, w którym rzekomo trzymała firmowe dokumenty. Tyria szybko odkryła prawdę. Wiedziała, że Aileen nie tylko nie ma firmy, ale jest również prostytutką. Swoje podejrzenia co do kobiety miała też Cammie Greene. W końcu – wiedziona ciekawością – wykorzystała moment, w którym Lee nie było w pobliżu, i zajrzała do jej nesesera. Tam, zamiast dokumentów, znalazła mnóstwo prezerwatyw. Natychmiast poszła porozmawiać z Tyrią i poprosiła ją, by porzuciła kobietę, która może sprowadzić ją na złą drogę. Ale dziewczyna zignorowała te rady i przyznała, że wie od dawna, czym zajmuje się partnerka. Greenowie czuli, że niewiele mogą zdziałać, poprosili więc Tyrię, by się wyprowadziła i zabrała Lee ze sobą. Znikając z ich życia, Aileen zdążyła jeszcze ukraść Cammie prawo jazdy.

Zakochane kobiety zamieszkały ze sobą w motelu. Finansowe utrzymanie związku Lee wzięła na siebie. Ale to oznaczało, że musiała przyjmować coraz więcej klientów. Od teraz

troszczyła się nie tylko o siebie, ale też o drugą osobę i chciała zapewnić jej wszystko to, czego potrzebowała. Tyria rzuciła pracę w motelu i skupiła się na rozwoju duchowym, a także na wierze w Boga. Kobiety zmieniały miejsce zamieszkania w poszukiwaniu dachu nad głową oraz klientów. Zdarzało się, że nocowały pod gołym niebem. Ich codzienne funkcjonowanie zależało od tego, ile Lee była w stanie zarobić. W 1987 roku udało im się kupić niewielką przyczepę kempingową. Wynajęły miejsce biwakowe i postawiły swój pojazd obok innych, parkujących na Ocean Village Camper Resort w Ormond-by-the-Sea. To niewielka osada na Florydzie.

Przyczepa kobiet była nie tylko najbrudniejsza, ale też najbardziej hałaśliwa. Nieustannie pojawiali się tam różni ludzie, najczęściej hippisi, którzy brali udział w głośnych, zakrapianych posiadówkach. Właściciele obozowiska przymykali jednak na to oko, bo choć Lee ich przerażała, bardzo ją lubili. Szalę skarg i zażaleń przechylił jednak pewien incydent, po którym kobiety musiały się zwinąć z wynajmowanego miejsca. Z przyczepy dobiegł odgłos wystrzałów. Nie znaleziono nikogo rannego, ale właściciele poprosili Aileen i Tyrię, by opuściły obozowisko. Przyczepę kobiety straciły kilka miesięcy później w niewyjaśnionych do dziś okolicznościach.

Nie mając lepszego pomysłu, para wróciła do Daytony. Tyria ponownie zatrudniła się jako pokojówka w motelu, znalazła też lokum dla siebie i Lee. Problem polegał na tym, że zapewniła właścicielkę, która również mieszkała w tym pokoju, że będzie sama, bo partnerka miała wyjechać do pracy na półtora roku. Tylko dlatego Alzada Sherman zgodziła się przyjąć Tyrię pod swój dach. Potrzebowała współlokatorki, z którą mogłaby dzielić rachunki. Ale już po dwóch dniach do mieszkania zapukała też Lee. Później zniknęła na kilka dni i ponownie się pojawiła. Alzada nie była zadowolona, nie lubiła partnerki Tyrii, bo nieustannie piła i się awanturowała. Chciała, by zniknęła, ale poza zapewnieniami, że na pewno tak się stanie, nic się nie działo. W swoim pokoju Tyria i Lee nieustannie się kłóciły, zwłaszcza wtedy, gdy emocje podsycał alkohol. W końcu Alzada miała tego dość i poprosiła, by się wyprowadziły. Gdy weszła do ich pokoju, zastała pobrudzone

i zniszczone ściany, a także ogromny bałagan. Kochanki znów wylądowały na ulicy.

Stało się jasne, że dłużej nie mogły tak żyć. Każde zarobione pieniądze błyskawicznie się rozchodziły, a zdobyć je było coraz trudniej. Kolejny przełom nastąpił w listopadzie 1989 roku. Po tym, co wówczas nastąpiło, życie Aileen już nigdy nie było takie samo. Weszła na ścieżkę, z której nie potrafiła zejść. Posmakowała zabójstwa.

Na swojej drodze spotkała Richarda Mallory'ego, mężczyznę w średnim wieku, który prowadził własny sklep elektryczny w Clearwater na Florydzie. Okoliczni mieszkańcy doskonale wiedzieli, jakie ma zainteresowania – alkohol i seksualne podboje. Potrafił zniknąć na kilka dni, by oddać się taniej rozrywce. Potem pojawiał się nagle jak gdyby nigdy nic i wracał do pracy. Był też dosyć brutalnym i agresywnym mężczyzną, który uwielbiał odwiedzać kluby ze striptizem. Jakiś czas spędził w szpitalu psychiatrycznym, z którego udało mu się uciec. Po tym próbował uprowadzić nieletnią dziewczynę. Wcześniej został oskarżony o usiłowanie gwałtu i molestował kobiety, z którymi pracował. Psychiatrzy uważali, że ma ogromny popęd seksualny i nie panuje nad swoim zachowaniem. Oceniono też, że jest socjopatą. Kobiety, które się z nim spotykały, skarżyły się, że miał specyficzne zainteresowania seksualne. Lubił kajdanki, podduszanie i sadomasochizm. Prostytutki za nim nie przepadały, ale klient to klient.

Gdy na początku grudnia 1989 roku Richard znów nie stawił się w zakładzie, nikogo to nie zaskoczyło. Pracownicy byli przekonani, że śpi gdzieś pijany u boku prostytutki. W pewnym sensie się nie mylili, bo Richard rzeczywiście spotkał prostytutkę. Tyle tylko, że gdy pracownicy żartobliwie opowiadali sobie możliwe scenariusze takiej znajomości, Mallory leżał już martwy w lesie.

Mknąc autostradą międzystanową numer cztery, Mallory zauważył idącą poboczem kobietę. Była to Lee, która – lekko się zataczając – próbowała zatrzymać kolejnego klienta. Pech chciał, że stał się nim właśnie Richard. Zatrzymał auto i zaprosił ją do środka. Zaproponował jej jointa, ale odmówiła. Alkohol jej całkowicie tego dnia wystarczał. Podał jej więc butelkę,

którą chętnie chwyciła. Rozmawiali, żartowali i – jak mówiła później sama Lee – miło spędzali czas. Wstawiona, lekko przemoczona kobieta sprawiła, że Mallory nabrał ochoty na seks. Aileen wyczuła to i zapytała wprost, czy mógłby poratować ją paroma dolarami, oczywiście w zamian za jej usługi. On odparł, zadowolony, że nie jest to wykluczone. Mknęli razem, mijając Orlando, zatrzymali się jeszcze po drodze, by zatankować auto i kupić piwo. Czas mijał im bardzo szybko, aż zaczęła dochodzić prawie piąta rano. W końcu Mallory zapytał nową znajomą, czy chce zarobić pieniądze, o których wcześniej rozmawiali. Zaproponował 30 dolarów za seks oralny. Lee odpowiedziała twierdząco. Zjechali więc z głównej trasy i zniknęli w lesie przy drodze Quail Run.

Richard zatrzymał auto, zostawił jednak włączone reflektory. To, co wydarzyło się później, znamy jedynie z relacji samej Lee. Według niej Mallory dał jej pieniądze, a ona zaczęła się rozbierać. Zgodnie z pierwszą wersją, przedstawioną jeszcze podczas policyjnego przesłuchania, najpierw uprawiali seks, a później mężczyzna ją zaatakował. Przed sądem twierdziła jednak, że nie zapłacił jej, a zamiast tego związał, pobił i włożył jakiś przedmiot w odbyt. „Jestem niewinna. To była samoobrona. Nie rozumiem, jak ktoś może nie rozumieć, że prostytutkę też można zgwałcić. Kiedy mężczyzna atakuje kobietę, atakuje całe jej ciało. Wkłada penisa w twoje gardło, wpycha go, wyrywa włosy z głowy, bije w twarz”.

Aileen udało się oswobodzić, chwyciła za broń i zaczęła strzelać. W jeszcze innej wersji twierdziła, że zanim go zabiła, zaczęli się kłócić i wzajemnie obrażać, a wtedy on próbował się na niej położyć i siłą zmusić do seksu. Wtedy zupełnie naga wyskoczyła z samochodu, chwytając torbę z pistoletem, podeszła do Mallory’ego i kazała mu wysiąść z pojazdu. Mężczyzna, zaskoczony zachowaniem kobiety, posłuchał polecenia i wyczołgał się z samochodu. Wtedy dwudziestka dwójka wystrzeliła. Aileen nie miała dobrego celu i choć strzelała do Richarda wielokrotnie, trafiła jedynie trzy razy (niektóre źródła podają, że cztery). Strzały były jednak wystarczająco skuteczne, by ranny mężczyzna padł na ziemię. Jeszcze żył, gdy Wuornos zabrała się do przeglądania jego rzeczy. Chwilę póź-

niej wydał ostatnie tchnienie. Lee wzięła to, co uznała za cenne, wsiadła do auta ofiary i odjechała. Pojazd znaleziono dzień później w pobliżu John Anderson Drive w Ormond Beach. Policja wówczas jeszcze nie wiedziała, że morderczyni była niezwykle blisko tego miejsca. Zastępca szeryfa John Bonnevier zeznał później w sądzie: „Pierwszego grudnia 1989 roku w trakcie rutynowego patrolu około godziny piętnastej lub piętnastej dwadzieścia odkryłem porzucony pojazd w zalesionym terenie na północy John Anderson Drive. Przeszukałem samochód, a także teren wokół niego w poszukiwaniu właściciela lub kierowcy. Nie znalazłem nikogo w okolicy. (…) Późniejsze dochodzenie wykazało, że był to samochód Richarda Mallory'ego. Ale znów żadnych osób ani pana Mallory'ego nie było w pobliżu".

Następnie, pokazując zdjęcia przedmiotów znalezionych kawałek dalej od samochodu, mówił: „Były zakopane w małej dziurze i przykryte tym kawałkiem białego materiału i piaskiem. Zdjęcie przedstawia dwa plastikowe kubki do picia, brązową papierową torbę zawierającą coś, co zostało zidentyfikowane jako butelka wódki marki Smirnoff, pieczęć została zerwana, a butelka miała połowę zawartości. Jest niebieski, nylonowy portfel, który zawierał prawo jazdy, dwie karty kredytowe i kilka innych dokumentów. Prawo jazdy i karty kredytowe były na nazwisko Richard Mallory. Był też dowód rejestracyjny cadillaca wskazujący na własność lub rejestrację na nazwisko Richard Mallory".

W samochodzie odnaleziono też plamy krwi. Śledczym nie udało się zabezpieczyć żadnych odcisków palców, które pomogłyby ustalić, kto poza Mallorym podróżował autem. Pojazd odholowano i przekazano ekspertom laboratoryjnym.

Ciało Richarda odnaleziono dopiero 13 grudnia, czyli dwa tygodnie po zabójstwie. Natrafili na niego zbieracze złomu Jimmy Bonchi i James Davis. Zwłoki zostały koszmarnie okaleczone przez okoliczne zwierzęta, które skupiły się głównie na twarzy, głowie i szyi. Były przykryte kawałkiem kartonu. Ciało częściowo rozebrano, a spodnie wywrócono na lewą stronę. Natychmiastowa identyfikacja ofiary była niemożliwa, dlatego odcięto jej obie dłonie i wysłano do laboratorium, by

móc zdjąć odciski palców. Dzięki temu szybko potwierdzono, że odnalezione ciało należało do zaginionego Mallory'ego.

Ruszyło śledztwo. Na początku podejrzewano Kimberley, dziewczynę z klubu, do którego Richard chętnie zaglądał. Była wybuchowa i gwałtowna, stąd teoria, że być może klient posunął się za daleko, a ona postanowiła mu się „odwdzięczyć". Ale śledczy nie byli w stanie jej niczego udowodnić. Wypytywano więc znajomych, a także rodzinę Mallory'ego. Jednak policjanci trafiali na mur. Sporo osób miało co prawda o Richardzie fatalne zdanie, większość nawet nie chciała utrzymywać z nim kontaktu, nie mówiąc już o jakimś spotkaniu w lesie. Późną jesienią w lesie trudno też o spacerowiczów, więc i świadków tego zabójstwa nie było. Śmierć Richarda Mallory'ego pozostawała tajemnicą. Przynajmniej przez jakiś czas.

Po swoim pierwszym morderstwie Lee wróciła do Tyrii. Podjechała samochodem, który dzień później odnaleźli policjanci. Podarowała partnerce apaszkę, na której widniał napis „Richard", a do tego aparat fotograficzny i skrzynkę narzędziową. Tyria później przyznała, że wiedziała o zabójstwie Mallory'ego, bo kochanka powiedziała jej o tym od razu po przyjeździe. Obie kobiety jeździły zresztą skradzionym autem, w którym była wyraźna plama świeżej krwi. Przewiozły pojazdem swoje rzeczy i przeniosły się do innego mieszkania. Wynajęły tanią lokalizację przy Burleigh Avenue. Później się rozdzieliły, by Lee mogła pozbyć się samochodu. Ten, jak już dziś wiemy, kilka godzin później odnalazła policja.

Aileen potrzebowała gotówki. Gdy minęło parę dni i zrozumiała, że policja nie wpadła na jej trop, postanowiła sprzedać skradzione Richardowi rzeczy. Poszła więc do lombardu i tam zastawiła aparat, a także wykrywacz radarów. To był ogromny błąd, bo w ten sposób zostawiła za sobą wyraźny ślad. Transakcję zarejestrowano, a Lee zostawiła swój odcisk palca, którym potwierdziła płatność.

Po zabójstwie Mallory'ego kobiety pozostawały z dala od policyjnych podejrzeń. I przez kilka miesięcy udało im się żyć w miarę spokojnie, z dala od awantur, które mogłyby ściągnąć na nie uwagę śledczych. Aż do maja 1990 roku, kiedy Lee

spotkała Davida Spearsa, czterdziestotrzylatka, który pracował na budowie. Mieszkał niedaleko Orlando i codziennie pokonywał wiele kilometrów, by dotrzeć do pracy. Był wysoki, mierzył ponad 190 centymetrów. Miał brodę, ale raczej sympatyczną i wzbudzającą zaufanie twarz. Choć był po rozwodzie, wciąż troszczył się o byłą żonę. Mówiono o nim, że był praktyczny, pracowity i uczciwy.

Dziewiętnastego maja, gdy skończył pracę, a było to po godzinie 14.00, wsiadł do auta i ruszył na spotkanie ze swoją eks. W trakcie jazdy dostrzegł na poboczu Aileen. Wyjaśniła mu, że chce się dostać do Homosassa Springs i – choć było to całkowicie w przeciwnym kierunku – David zgodził się ją podwieźć. I tu znów musimy zdać się na relację samej Aileen. Według niej para zjechała do lasu, by uprawiać seks. David zatrzymał się, rozebrał i jak twierdziła Lee, „pieprzyliśmy się, chlaliśmy na umór". Później weszli na dach auta i tam razem leżeli.

Przekonywała, że w pewnym momencie Spears zaczął być napastliwy. Zeskoczyła więc z pojazdu, szybko chwyciła torebkę, wyjęła broń i strzeliła do niego, zanim zdążył wsiąść do środka. „Podbiegłam więc do wozu, myśląc: Co ty tam kombinujesz, gościu? Wiesz… No wiesz… Zamierzam cię zabić za to, co tam chciałeś mi zrobić. Strzeliłam do niego przez… przez drzwi, a on tak jakby… cofnął się, no to wyszłam z kabiny od strony kierowcy, strzeliłam jeszcze raz i wtedy upadł. Tyle pamiętam".

Podobnie jak w przypadku Mallory'ego również dzień po zabójstwie Spearsa odnaleziono jego samochód. W środku policjanci znaleźli paczkę prezerwatyw, a także długi blond włos. Rzeczy osobistych właściciela pojazdu jednak nie było.

Zwłoki Spearsa odnaleziono 1 czerwca. Lato i wysoka temperatura przyspieszyły etap rozkładu do tego stopnia, że na pierwszy rzut oka nie było jasne, czy to ciało mężczyzny czy kobiety. Było całkowicie nagie, a obok niego leżało opakowanie po prezerwatywie. Znaleziono też kilka puszek po piwie. W trakcie sekcji wyciągnięto z ofiary sześć kul kaliber 22. Takie same odnaleziono u Richarda Mallory'ego. Tożsamość trzeba było potwierdzić na podstawie karty dentystycznej.

Policjanci wiedzieli więc, kim był mężczyzna, jak i gdzie zginął, mieli też jego samochód, ale nadal nie wiedzieli, kto odpowiadał za jego zabójstwo. Założono jednak, że sprawcą może być kobieta. Wskazywały na to prezerwatywy, które sugerowały, że mężczyzna uprawiał w lesie seks, blond włos, a także przesunięty fotel kierowcy. Był on znacznie bliżej kierownicy, niż potrzebowałby David przy swoim wzroście. Osoba, która prowadziła auto przed jego odnalezieniem, musiała być znacznie niższa. Sama płeć to było jednak zdecydowanie za mało, by ustalić, kim może być zabójca.

O ile między pierwszym a drugim morderstwem było kilka miesięcy przerwy, o tyle trzecie zabójstwo nastąpiło zaledwie dwa–trzy dni po poprzednim. Czterdziestojednoletni Charles Carskaddon, nazywany zdrobniale Chuckiem, w przeszłości zajmował się budowaniem dróg. Był też pasjonatem rodeo, a także czynnym zawodnikiem. W trakcie śledztwa bliscy przekonywali, że był porządnym i spokojnym człowiekiem. Jego matka mówiła, że zawsze pomagał tym, którzy tego potrzebowali. Raz wymienił przypadkowej osobie oponę, innym razem podwiózł nieznajomego na stację benzynową. Jak mówiła Florence Carskaddon: „To wcale nie było do niego niepodobne”. W maju 1990 roku jechał właśnie po swoją partnerkę Peggy. Była na Florydzie i miała razem z nim wyruszyć do Missouri, gdzie Chuck dostał pracę jako operator prasy hydraulicznej. Co prawda chwilę wcześniej chciała się z nim rozstać, później jednak zmieniła zdanie.

Podobnie jak jego poprzednicy, również Chuck, pędząc autostradą, zauważył wędrującą poboczem blondynkę. Łapała stopa, mężczyzna zjechał więc na chwilę i zapytał, czy ją podrzucić. Również w tej sprawie Lee kilkukrotnie zmieniała wersję wydarzeń. Przyznała, że w trakcie jazdy zatrzymali się na seks. Wtedy Aileen zauważyła broń na masce samochodu, uznała więc, że mężczyzna chce ją zabić. Dlatego pierwsza wyjęła pistolet i oddała aż siedem strzałów. Potem jeszcze dwukrotnie wystrzeliła do zwłok. Początkowo przekonywała, że działała w samoobronie, później jednak stwierdziła, że zabiła Chucka dla pieniędzy.

Wszystkie kule utkwiły w klatce piersiowej mężczyzny. Nie miał żadnych szans na przeżycie. O tym zabójstwie Aileen

mówiła: „Zastrzeliłam go na tylnym siedzeniu, a potem wysiadłam i strzelałam dalej”.

Upierała się też, że mężczyzna po seksie nie chciał jej zapłacić: „Ten gościu, znaczy diler narkotyków, miał przy sobie ze 20 dolców. Nie zamierzał zapłacić. To był ten, co trzymał na masce wozu swoją czterdziestkę piątkę. Przecisnął się na tylne siedzenie, więc poszłam tam za nim i wtedy usłyszałam, jak mówi: »Ty jebana dziwko« i inne takie, wiesz. (…) Strzeliłam do niego więcej niż dziewięć razy, ponieważ byłam wkurzona, że znalazłam jego czterdziestkę piątkę na dachu samochodu”.

I tu kolejna rozbieżność w zeznaniach Aileen. W jednej wypowiedzi przekonywała, że broń była na masce, chwilę później, że na dachu samochodu. Bez względu jednak na takie szczegóły ciało Chucka zostało odnaleziono ponad dwa tygodnie później, 6 czerwca. Ukryto je pod stertą gałęzi, które dodatkowo przykryto zielonym kocem. Zwłoki, podobnie jak poprzednich ofiar, również były nagie. Lee po zabójstwie Chucka zabrała jego samochód i porzuciła blisko 70 kilometrów dalej. Pojazd odkryto dzień po tym, jak odnaleziono ciało mężczyzny. Nie było w nim przedmiotów osobistych Charlesa łącznie z jego bronią kalibru 45.

Sześćdziesięciopięcioletni Peter Siems nie pasował na agresora, który mógłby próbować zgwałcić kobietę. Był szanowany i lubiany, a większość osób, które go znały, przekonywała, że był niezwykle religijny. Miał żonę i wspólnie pełnili posługę misjonarską. Nie pili, nie palili. Mówiąc wprost, Peter był uosobieniem wszelkich cnót. Siódmego czerwca 1990 roku spakował się o świcie i wyruszył w kolejną podróż. Zazwyczaj po drodze odwiedzał bliskich, tak miało być zresztą i tym razem. Wsiadł do auta i ruszył w stronę Arkansas. Poza spotkaniem z rodziną miał też odbyć kolejną wycieczkę misjonarską. Jego żona była w tym czasie w Europie razem z jednym z ich synów. Mieli ich dwóch.

Dalszy przebieg tej podróży jest owiany tajemnicą, ale autor książki *Monster: Aileen Wuornos. Zrozumieć seryjną zabójczynię,* który wielokrotnie rozmawiał z Aileen przed

egzekucją, ma swoją teorię, która zakłada, że w zabójstwie mogła brać udział również Tyria:

Siems musiał być już mocno zmęczony, gdy docierał na parking dla ciężarówek w Wildwood, nic więc dziwnego, że zatrzymał się tam, by coś zjeść i zatankować. Moim skromnym zdaniem właśnie w tym momencie podeszły do niego Lee i Tyria, które chwilę wcześniej kupiły piwo i nakładki izolujące na puszki. Z Wildwood cała trójka – Siems, Lee i Tyria – pojechali na północ drogą I-75, po czym minęli granicę stanu i dotarli aż do Atlanty, gdzie zatrzymali się w pobliżu sklepu Eckerd. Wiemy, że obie dziewczyny tam były w piątkowy wieczór, ponieważ menedżer rozpoznał je na portretach pamięciowych. Nie dowiemy się jednak nigdy, czy Siems żył jeszcze w tym momencie, czy został zamordowany wcześniej.

O udziale Tyrii Aileen nigdy nie mówiła. Zapewniała jednak, że próbowała się bronić przed Siemsem: „Próbował odebrać mi broń i wiesz… Walczyliśmy o broń i całą resztę. Kilka kul wystrzeliło w powietrze, w końcu ją wyrwałam i miałam broń w lewej ręce. Przełożyłam ją z powrotem do prawej ręki i natychmiast go zastrzeliłam".

Lee zeznała, że trafiła Siemsa tylko raz. Nie udało się jednak potwierdzić tej wersji, bo ciała mężczyzny do dziś nie znaleziono. W przeciwieństwie do jego srebrnego pontiaca sunbirda z 1988 roku. Czwartego lipca, czyli blisko miesiąc po zabójstwie, ktoś jechał nim w pobliżu Orange Springs na Florydzie. W pewnym momencie auto wpadło w poślizg, przebiło się przez bramę i ogrodzenie, a następnie zatrzymało w krzakach. Z całkowicie rozbitego pojazdu wyczołgały się dwie kobiety, jedna z nich obficie krwawiła z ręki. Nie wezwały jednak pomocy, tylko opróżniły samochód, zabierając wszystkie swoje rzeczy, i zniknęły w zaroślach. Po jakimś czasie wróciły jednak do samochodu. Wtedy podeszła do nich Rhonda Bailey, staruszka, która przyglądała się wszystkiemu z oddali. Zapytała kobiet, czy może im jakoś pomóc, ale od jednej z nich usłyszała jedynie, by nie wzywała policji. Obie wsiadły do pojazdu i o dziwo udało im się go odpalić. Odjechały, zostawiając zaskoczoną Rhondę za sobą. Rajd nie trwał jednak długo i już po paru kilometrach samochód całkowicie odmówił współpracy. Blondynka i jej przyjaciółka wysiadły

więc i porzuciły pojazd. Przed odejściem zdjęły tablice rejestracyjne, by uniemożliwić ustalenie właściciela.

Świadkowie mijający kobiety poinformowali policję i straż pożarną, że na drodze doszło prawdopodobnie do wypadku, bo na poboczu stało zniszczone auto, a obok była zakrwawiona blondynka. Gdy śledczy dotarli na miejsce, po obu kobietach nie było już śladu, za to w aucie było sporo czerwonych plam. Policjanci przeszukali więc pojazd.

Chociaż tablice zostały zdjęte, udało się ustalić właściciela samochodu dzięki numerowi VIN, czyli Vehicle Identification Number. To nic innego jak numer identyfikacyjny pojazdu, który umieszcza się zazwyczaj na tabliczce znamionowej, instalowanej głównie na wewnętrznej stronie przedniej ściany auta. W ten sposób śledczy odkryli, że auto należało do zaginionego Petera Siemsa. W pojeździe znaleziono sporo puszek po piwie, niedopałków papierosów i śmieci. Była też butelka z płynem do czyszczenia szyb, która dała funkcjonariuszom ważną wskazówkę. Miała bowiem na sobie nalepkę z nazwą sklepu, który znajdował się w Atlancie w stanie Georgia. Rodzina poszukiwanego Petera była przekonana, że mężczyzna nigdy tam nie jeździł. To oznaczało, że były tam osoby odpowiedzialne co najmniej za kradzież samochodu Siemsa.

Zanim policjanci wyruszyli do Atlanty, najpierw rozpytali okolicznych mieszkańców, którzy mogli widzieć, w jaki sposób auto znalazło się właśnie w tym miejscu. W ten sposób dowiedzieli się, że pojazdem jechały dwie kobiety i to one najpierw doprowadziły do wypadku, a następnie porzuciły samochód. Sporządzono portrety pamięciowe całkiem nieźle odwzorowujące Lee i Tyrię. Uzbrojeni w portrety policjanci pojechali do Atlanty, by pokazać je w sklepie Eckerd, z którego pochodził płyn znaleziony w aucie. Na miejscu sprzedawca przyznał, że widział podobne kobiety. Kupiły trochę kosmetyków, a także prezerwatywy. Policjanci czuli, że jeśli ktoś może udzielić odpowiedzi na pytanie, gdzie jest Peter Siems, będą to właśnie poszukiwane kobiety.

Wizyta w sklepie nie ujawniła tożsamości uciekinierek, dlatego portrety pamięciowe rozesłano po całym kraju. Trafiły też do magazynu „Florida Criminal Activity Bulletin”. Jeden

z rysunków przedstawiał kobietę z dłuższymi, jasnymi włosami, a także krótką grzywką. Na drugim podejrzana miała nieco krągłą twarz, a na głowie spoczywała czapka z daszkiem. Przekazano też, za co obie kobiety są poszukiwane. Policjanci liczyli na to, że ktoś je rozpozna i wreszcie zostanie odkryta ich tożsamość.

Wypadek i widmo wpadki nie przestraszyły Aileen na tyle, by ukryła się gdzieś i chciała przeczekać poszukiwania. Jeszcze w tym samym miesiącu znów wyszła na ulicę w poszukiwaniu klientów. Trzydziestego lipca trafiła na Eugene'a „Troya" Burressa. Pięćdziesięciolatek był sprzedawcą w Gilchrist Sausage Company w Ocali na północy Florydy. Był żonaty z Rose. Szukając o nim informacji, można natknąć się na dwa słowa: „pracowity" i „szanowany". Lubił się śmiać i nie należał do osób agresywnych. W upalny lipcowy dzień wyruszył na spotkanie z klientami, z którymi był umówiony na środkowej Florydzie. Z relacji Wuornos wynika, że po drodze, niedaleko Orange Springs, spotkał ją i zabrał ze sobą. Później zdarzenia potoczyły się jak w poprzednich przypadkach. Troy zaprowadził ją do lasu, zaatakował, a następnie rzucił jej pogardliwie 10 dolarów, sycząc, że na nic więcej nie zasługuje. „Fizycznie mnie zaatakował – zeznała. – I jeszcze… Zaśmiał się. Myślę, że strzeliłam mu dwa razy w brzuch czy jakoś tak".

Współpracownicy Troya zaczęli się niepokoić, gdy nie wrócił do Gilchrist. Menedżerka sklepu Jonnie Mae Thompson najpierw obdzwoniła wszystkich klientów, z którymi Eugene miał się spotkać, a gdy tylko dowiedziała się, że mężczyzna zostawił towar i pojechał dalej, nie docierając już do innych wyznaczonych punktów, rozpoczęła poszukiwania na własną rękę. Pomagał jej mąż, ale po Troyu nie było śladu. Około 2.00 w nocy żona zaginionego powiadomiła policję. Już dwie godziny później pojawiły się pierwsze niepokojące informacje. Funkcjonariusze znaleźli porzuconego dostawczaka, stał około 30 kilometrów od Ocali. Pojazd był otwarty, ale mężczyzny w środku nie było.

Na jego szczątki natknęła się rodzina, która wybrała się na piknik. Było to 4 lipca. Upał przyspieszył rozkład zwłok, dlatego identyfikacja od razu, po zdjęciach, była niemożliwa.

Tożsamość ofiary potwierdziła dopiero żona Rose, która rozpoznała widniejącą wciąż na palcu swojego martwego męża obrączkę. Miał dwie rany postrzałowe, ale nie w okolicach brzucha, jak mówiła Lee. Jedna kula utknęła w klatce piersiowej, druga zaś w plecach.

Początkowo policjanci sądzili, że za śmiercią Troya stoi włóczęga Curtis Michael Blankenship. Według świadków w dniu zniknięcia Burressa mężczyzna łapał stopa przy autostradzie numer 19. W dodatku zatrzymano go nieopodal porzuconego dostawczaka Eugene'a. Śledztwo szybko jednak wykazało, że Curtis nie miał z tym zabójstwem nic wspólnego, a policjanci ponownie stanęli pod ścianą.

Charles Dick Humphreys miał pięćdziesiąt sześć lat i był emerytowanym majorem Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, byłym stanowym śledczym do spraw wykorzystywania dzieci i byłym szefem policji. W 1990 roku miał objąć stanowisko w Ocali. Uwielbiał swoją pracę i był jej niezwykle oddany. Podobnie zresztą jak rodzinie. Miał troje dzieci z żoną Shirley, której choroba nowotworowa jeszcze bardziej zbliżyła do siebie małżonków. Dziesiątego września oboje obchodzili trzydziestą piątą rocznicę ślubu.

Dzień później Charles wyjechał ze swojego biura w Sumterville na Florydzie. Mknął trasą w kierunku Crystal River, gdzie mieszkał. Choć miasteczko liczy nieco ponad 3 tysiące mieszkańców, stanowi prawdziwą perełkę regionu. Znajduje się w samym sercu Wybrzeża Przyrody Florydy i nazywane jest domem manata. Znajduje się tam blisko czterysta sztuk tych majestatycznych zwierząt.

Charles chciał jak najszybciej dotrzeć do domu, ale po drodze zatrzymał się jeszcze na stacji EMRO. Były tam też Lee i Tyria, które wpadły do sklepu, by kupić alkohol. Sprzedawca dokładnie je zapamiętał, nie mógł jednak skojarzyć twarzy mężczyzny, z którym odjechały. Dziś wiemy, że był to Humphreys. Chwilę później mężczyzna już nie żył. Oddano do niego siedem strzałów.

W śledztwie, a także przed sądem Tyria zaprzeczała, by była przy zabójstwie Charlesa. Przekonywała, że Lee musiała być z inną kobietą. Zeznając pod przysięgą, mówiła: „Kolej-

nym samochodem, jakim przyjechała Lee, był niewielki niebieski wóz – własność Charlesa Humphreysa – było to pod koniec sierpnia albo na początku września 1990 roku. Wróciłam właśnie z Casa del Mar, a Lee siedziała na łóżku i przerzucała rzeczy z kilku walizek i pudeł. Potem pojechałyśmy do Bellair Plaza, gdzie wyrzuciłyśmy większość tych rzeczy do kubłów. Dzień albo dwa dni później usłyszałam o morderstwie, a policja pokazała mi zdjęcie samochodu tego człowieka. Wyglądał tak samo jak ten, którym Lee przyjechała".

Ciało Humphreysa odnaleziono dzień później, wieczorem. W trakcie sekcji wyciągnięto łącznie sześć kul kaliber 22, choć ran postrzałowych było siedem. Mężczyzna nie miał przy sobie portfela. Na jego samochód natknięto się tydzień później. Sprawca zabrał z pojazdu wszystkie wartościowe rzeczy, a także takie, które pomogłyby ustalić tożsamość ofiary. Znaleziono za to paragon ze stacji EMRO, na którym widniała data: 11.09.1990, godzina 16.19. To właśnie wtedy Lee i Tyria były widziane w sklepie, gdy kupowały alkohol.

Oczywiście w późniejszych zeznaniach Wuornos przekonywała, że zabijając Charlesa, działała w samoobronie, bo mężczyzna – podobnie jak jej wcześniejsze ofiary – próbował ją zgwałcić. W tę wersję nigdy nie uwierzyła rodzina Humphreysa. Jego żona zapewniała, że mąż był porządnym człowiekiem, który nigdy nie zdecydowałby się na seks z prostytutką, nie mówiąc już o próbie gwałtu. Judi McBride z biura prokuratora stanowego mówiła później: „Fakt, że jej mąż został oskarżony przez Aileen Wuornos o próbę gwałtu, musiał spotęgować ból, jaki odczuwała ta kobieta. Ale nieustannie walczyła o jego godność, ponieważ nigdy nie było ani jednego dowodu, który potwierdzałby słowa Wuornos".

Shirley w 1992 roku, czyli dwa lata po śmierci męża, udzieliła wywiadu dla „Timesa". Mówiąc o Aileen i jej religijnej przemianie, powiedziała: „Mówi, że Bóg wybaczył jej te zabójstwa. Ja nie jestem aż tak wielkoduszna". Pani Humphreys zmarła w 1995 roku w wieku sześćdziesięciu lat. Ale według jej brata życie Shirley skończyło się wraz ze śmiercią męża.

Po zabójstwie Charlesa Tyria rzuciła pracę i razem z Lee przeniosła się do motelu Farview w Harbor Oaks. Nie zagrzały tam jednak długo miejsca. Częste awantury, a także agresja Wuornos sprawiły, że właściciele obiektu poprosili kobiety o opuszczenie pokoju. Kochanki wyruszyły więc w kolejną podróż. Tak dotarły do restauracji Belgrade, gdzie pozwolono im wynająć pokój na tyłach lokalu. Knajpę prowadzili Velimir Isailovic i Vera Ivkovich, która później przyznała, że kobiety często i dużo piły, a w restauracji uprzykrzały życie innym klientom. Funkcjonowanie obok nich nie należało więc do przyjemności.

Po około trzech tygodniach między Velimirem a Lee doszło do awantury. Mężczyzna nie wierzył w opowieści Wuornos o pracy, bo zalegała z opłatami. Widział za to, jak przekazywała partnerce niewielkie sumy pieniędzy. Podejrzewał, że zarabia, sprzedając ciało na ulicy. Zażądał, by kobiety jak najszybciej wyniosły się z wynajmowanego pokoju. Jako pierwsza uciekła Tyria, która w tym czasie odkryła, że portrety pamięciowe jej i Lee trafiły do wszystkich mediów. Wiedziała, że nie minie dużo czasu, zanim policjanci do niej dotrą. Z kolei Wuornos wróciła do motelu, z którego kilka tygodni wcześniej ona i Tyria zostały wyrzucone.

Tyria się nie myliła. Już po ich wyprowadzce z Belgrade Vera sięgnęła po gazetę i zobaczyła znajome twarze. Od razu skojarzyła rysunki z kobietami, które jeszcze niedawno uprzykrzały życie jej i Velimirowi. Razem z mężem powiadomili więc policję.

Ostatnia zabójcza aktywność Aileen datowana jest na 17 listopada 1990 roku. Lee była poszukiwana w całej Florydzie, podobnie jak Tyria. Śledczy nie mieli wątpliwości, że za serią brutalnych mordów stoi ten sam sprawca, a konkretniej – sprawczyni. Pasowały pociski, wiek ofiar, sposób zabijania. Szybko zaczęto też podejrzewać, że psychopatą jest kobieta. Większość zabitych mężczyzn (poza Mallorym) oceniana była jako porządni, spokojni obywatele. Tacy, którzy nie są zbyt lekkomyślni i nie udaliby się do lasu z nieznajomym mężczyzną. Kobiety zawsze wzbudzały większe zaufanie i poczucie bezpieczeństwa, nawet jeśli była to łapiąca stopa prostytutka. Przyjęło się w społeczeństwie, że płeć piękna zazwyczaj

nie jest agresywna i żądna krwi. Ten stereotyp sprawił, że ofiary straciły instynkt samozachowawczy i nie wyczuły zagrożenia. Niewykluczone też, że część z nich faktycznie chciała uprawiać seks z Aileen, pomimo powszechnej dobrej opinii.

Walter Gino Antonio był sześćdziesięcioletnim kierowcą ciężarówki, ale też policjantem w rezerwie. Gdy w listopadzie 1990 roku mknął do Alabamy w poszukiwaniu pracy, nie sądził, że będzie to jego ostatnia wyprawa w życiu. Miał jednak ogromnego pecha, bo na swojej drodze spotkał Aileen Wuornos. Według jej relacji, którą przedstawiła funkcjonariuszom już po zatrzymaniu, natknęła się na mężczyznę, gdy wyszła na pobocze. Miała nadzieję na złapanie jakiegoś klienta. Po tym, jak Tyria rzuciła pracę w motelu, tylko Lee zarabiała na ich utrzymanie. Walter zatrzymał się przy niej. Wtedy zapytała, czy pomoże jej zarobić parę dolarów. W odpowiedzi Antonio wyjął odznakę policyjną i powiedział, że ją przymknie, jeśli nie da mu tego, czego od niej chce. Lee sądziła, że facet zwyczajnie chce ją oszukać i nie jest prawdziwym policjantem. Wyjęła więc broń. „Jak się tak szarpaliśmy z pistoletem i całą resztą – mówiła – on znowu upadł i zaczął uciekać. No wiesz… Uciekał. A ja strzeliłam mu w plecy. Wtedy tak jakby spojrzał na mnie i powiedział… powiedział coś jak, no… cholera. Co on powiedział? Chyba nazwał mnie pizdą albo jakoś tak podobnie. A ja mu na to: »Ty skurwysynu«, i strzeliłam jeszcze raz”.

Ciało Waltera odnalazł policjant, który 18 listopada wybrał się do lasu na polowanie. Ofiara była naga i miała kilka ran postrzałowych. W trakcje autopsji doliczono się łącznie czterech śladów po kulach. Tuż przed śmiercią Antonio miał na palcu okazały pierścień. Na zwłokach już go nie znaleziono.

Lee zabierała przedmioty ofiar zupełnie tak, jakby uważała, że zwyczajnie jej się należały. Znikały rzeczy osobiste, ale też – a może przede wszystkim – samochody. Pontiac Waltera zaginął od razu po morderstwie. Wuornos pojechała nim do motelu i zostawiła auto obok budynku. Stał tam przez kilka dni, co dobrze zapamiętała menedżerka obiektu. Lee przekonywała ją, że to auto jej kochanka, który jest żonaty. Jakiś czas później ten sam pojazd odnaleziono w lesie. Nie miał tablicy

rejestracyjnej, było w nim za to mnóstwo puszek po piwie. Szybko ustalono, że samochód należał do znalezionego tydzień wcześniej martwego Waltera, który był ostatnią częścią krwawej serii Aileen Wuornos.

Po opublikowaniu rysopisów kobiet policjanci zaczęli dostawać mnóstwo informacji. Coraz więcej osób zgłaszało się, przekonując, że widziało wcześniej podejrzane osoby. Jeden z cenniejszych głosów należał do właściciela kampera. Zadzwonił i powiedział, że wynajął pojazd podobnym kobietom. Zerknął w swoje zapiski i bingo! – miał zanotowane ich nazwiska. Partnerki popełniły ogromny błąd. Tyria podała swoje prawdziwe dane, Wuornos ograniczyła się tylko do skrótu imienia. Ale to wystarczyło, by wreszcie zacząć namierzać konkretne osoby, a nie zjawy wyłaniające się z lasu i strzelające do ludzi.

Kolejną ważną wskazówkę funkcjonariusze otrzymali od osoby, która widziała obie kobiety w motelu. Przekonywała, że pracowała razem z nimi. Ponownie padło nazwisko Tyria Moore, ale również fałszywe Susan Blahovec. Ale opisy obu kobiet pasowały do tego, co do tej pory ustalili policjanci. Ponadto obie były widziane niedaleko miejsc, w których znaleziono kilka ciał. Wszystko zaczęło składać się w spójną całość, której dopełniła jeszcze jedna informacja: według świadka Susan, którą opisał jako agresywną blondynkę, była prostytutką. Policjanci czuli, że są na dobrym tropie.

W tym czasie Aileen walczyła o utrzymanie związku. Tyria była przerażona pojawiającymi się wszędzie portretami pamięciowymi, zaczęła panikować, że wkrótce zostanie schwytana. Lee, próbując ją uspokoić, zapewniała o swojej miłości, dała jej imponujący pierścień, który zniknął z palca Waltera Antonio, przekonywała też, że skończy z zabójstwami. Na dowód wyrzuciła pistolet. Ale w głowie Moore już wtedy zaczęło pojawiać się mnóstwo wątpliwości. Nie chciała dłużej uciekać i żyć w obawie, że trafi za kratki. Dlatego trzeciego grudnia oddała pierścień i rozstała się z Lee. Sama wyjechała do Pensylwanii. Jak tłumaczyła: „Wiedziałam, że nie mam z tym wszystkim nic wspólnego [z zabójstwami] i musiałam odejść. Musiałam od niej uciec”.

Wuornos pozbyła się większości zgromadzonych rzeczy i z jedną walizką ruszyła po raz kolejny do motelu Fairview. Odzyskała starą posadę i przybrała nową tożsamość – Cammie Greene. Poszła też do lombardu, w którym już wcześniej sprzedawała skradzione przedmioty, i opchnęła za dwadzieścia dolarów pierścień Waltera. Po odejściu Moore całkowicie się posypała. Przestała wychodzić na ulicę, siedziała jedynie w wynajętym maleńkim pokoiku i tam piła, pogrążając się w rozpaczy po utracie ukochanej. Bez względu na to, jak wiele zła wyrządziła swoim ofiarom, Wuornos potrafiła kochać. Nie była pozbawioną uczuć maszyną, wręcz przeciwnie. Dramatycznie pragnęła mieć drugą połówkę. I była nią właśnie Tyria.

Gdy Aileen już opuściła pokój, błąkała się bez celu po okolicy. Po jakimś czasie znów zaczęła łapać klientów, choć było ich bardzo mało. To głównie przez jej wygląd. Rozstanie z Moore, a także nieustanne picie odcisnęły na jej twarzy i ciele olbrzymie piętno. Tyria kilka lat później przyznała: „Wydaje mi się, że byłam wszystkim, co miała, i czułam, że jeśli odejdę, nie będzie miała niczego”.

Aileen pogrążała się w rozpaczy, a policjanci byli coraz bliżej złapania morderczyni. Wpadli na trop pary i ustalili, co kobiety robiły przez kilka ostatnich miesięcy. Odtworzyli ich trasę, noclegi i miejsca pracy. Sprawdzając nazwiska, odkryli, że niejaka Cammie Greene, choć nie była notowana, to jednak była w jednym z okolicznych lombardów. Tam zostawiła aparat fotograficzny marki Minolta Freedom, a także wykrywacz radarów. Właśnie takie przedmioty zniknęły z samochodu pierwszej ofiary, Richarda Mallory’ego. Funkcjonariusze pojechali więc na miejsce i przyjrzeli się wystawionemu paragonowi. Widniał na nim wyraźny odcisk palca. Rozpoczęło się dopasowywanie linii papilarnych do tych, które mogą znajdować się w kartotekach. W ten sposób trafiono na nazwisko Lori K. Grody, która była poszukiwana za posiadanie broni. Ale co ważniejsze, odcisk pasował do jednego ze znalezionych w samochodzie zamordowanego Petera Siemsa. Odciski i komunikat rozesłano do kilku stanów, z których przyszło mnóstwo informacji. W ten sposób udało się ustalić, że Lori, Cammie i Susan to jedna i ta sama osoba. Aileen Wuornos.

Nieświadoma tego, że policjanci znają już jej tożsamość, Lee krążyła między jednym barem a drugim. Czasem łapała klienta, dzięki czemu miała parę dolarów na kolejne drinki. W połowie grudnia poznała byłego żołnierza. Nazywał się Dixie Mills. Podobnie jak Aileen przechodził życiowy kryzys po tym, jak zostawiła go żona. Wuornos była więc dla niego szybką odskocznią od rzeczywistości. Para spotykała się przez kilka dni. Później, już po zatrzymaniu Lee, w rozmowie z dziennikarzami „The Globe" przyznał: „Ta przygoda zaczęła się naprawdę niewinnie, ale z czasem zmieniła się w koszmar. Gdybym wiedział, w co się pakuję, pewnie wiałbym, ile sił w nogach. Problem polega na tym, że nie miałem o tym bladego pojęcia".

Na Boże Narodzenie Mills zabrał Lee do swojej rodziny. Wizyta zakończyła się jednak fatalnie. Jak twierdził Dixie, Wuornos strasznie się upiła, a potem obrażała jego rodzinę. Zaproponował jej pięćset dolarów, by go zostawiła. Sama Lee zaprzeczała później tym rewelacjom i mówiła, że owszem, spotykała się z tym mężczyzną, ale porzucił ją jeszcze przed Bożym Narodzeniem, by wrócić do żony. Wcześniej płacił jej pięćdziesiąt dolarów za seks. Również opowieści o zabraniu jej do rodziny Millsa miały być według Wuornos całkowitą bzdurą.

W styczniu 1991 roku Lee znów większość czasu spędzała w barach. W jednym z nich, Orange Port, namierzyli ją policjanci. Byli to tajniacy, którzy udawali, że są motocyklistami. Zaczęli dyskretnie obserwować kobietę. Od razu zauważyli, że nie było przy niej poszukiwanej Tyrii Moore. Opracowano szczegółową operację, która miała zakończyć się zatrzymaniem Lee. I wszystko szło dobrze do momentu, w którym do pubu weszli dwaj policjanci niemający pojęcia o trwającej właśnie akcji. Zatrzymali Aileen i wyprowadzili ją na zewnątrz. Szybko jednak otrzymali informację, że muszą natychmiast jechać na interwencję. Odpuścili więc Lee i odeszli, a kobieta wróciła do pubu. Czekali tam na nią Mick Joyner i Dick Martin, którym udało się nawiązać z nią kontakt. Zaczęli rozmawiać, głównie o niej. Lee żaliła się, że właśnie przechodzi ciężkie rozstanie i nie ma dokąd się udać. Policjanci cierpliwie wysłuchiwali tych opowieści, znieczulając ją

kolejnymi piwami. Wiedzieli, że muszą działać niezwykle ostrożnie, bo Wuornos była niebezpieczna. Nie mieli pewności, czy za chwilę nie chwyci za broń i nie strzeli w ich stronę.

Około godziny 22.00 Lee wstała i oznajmiła, że musi już iść. Policjanci zaproponowali, że ją podrzucą, ale nie zgodziła się. Wyruszyła do baru The Last Resort, gdzie – jak wynika z policyjnego raportu – miało się odbyć duże przyjęcie. Joyner i Martin pojechali za nią. Siedzieli z nią do północy, po czym Lee ponownie wstała i wyszła z lokalu. Wsiadła do zaparkowanego w pobliżu auta, ale nigdzie nie odjechała. Była zbyt pijana i zwyczajnie usnęła. Funkcjonariusze chcieli ją obserwować przez cały kolejny dzień. Był jednak mały problem. Szykowane przyjęcie okazało się zlotem motocyklowym. Funkcjonariusze zaczęli się obawiać, że Aileen, nie mając pomysłu na to, co dalej robić ze swoim życiem, zabierze się z grupą, tak jak robiła to w przeszłości, i odjedzie. Wtedy najpewniej straciliby ją z oczu i całe poszukiwania ruszyłyby na nowo. Akcja musiała więc przyspieszyć.

Joyner i Martin znów spotkali się z Lee. Zaproponowali jej skorzystanie z ich pokoju, żeby mogła w spokoju się odświeżyć. Na początku protestowała, ale w końcu uznała, że nie jest to wcale taki zły pomysł, i zgodziła się wyjść z funkcjonariuszami z baru. Wtedy wszystko potoczyło się już błyskawicznie. Na zewnątrz od razu podszedł do niej Larry Horzepa i oznajmił, że jest aresztowana. Nie przyznał jednak, że chodzi o morderstwa. Powiedział, że ma to związek z listem gończym i nielegalnym posiadaniem broni. Przyznanie się do zabójstw policjanci chcieli z niej dopiero wydobyć. Musieli też odnaleźć Tyrię Moore i dowody, które obciążałyby Lee.

Byłą partnerkę Wuornos udało się namierzyć jeszcze w tym samym miesiącu. Przebywała u siostry w Scranton w Pensylwanii, próbując przeczekać całe zamieszanie. Wierzyła, że jeśli nie będzie się wychylać, jakoś wszystko uda się zatuszować i funkcjonariusze przestaną jej szukać. Dotarł do niej Dan Henry z biura szeryfa. Udało mu się ściągnąć ją do pobliskiego motelu, gdzie przeprowadzono pierwsze przesłuchanie. Do Henry'ego dołączyło jeszcze kilku innych funkcjonariuszy. Po rozmowie z nimi Moore zgodziła się zeznawać przeciwko Aileen. Przyznała, że wiedziała o zabójstwach, ale

milczała ze strachu przed partnerką. Zaprzeczyła jednak, by brała udział w tych napadach. Zgodziła się polecieć z policjantami na Florydę, gdzie toczyło się śledztwo. W trakcie podróży ustalono szczegóły planu, który miał doprowadzić do przyznania się Lee do winy. Moore miała zameldować się w hotelu w Daytonie. Stamtąd miała zadzwonić do byłej partnerki, żaląc się na trwające poszukiwania. Funkcjonariusze wiedzieli, że Tyria wciąż jest niezwykle bliska Lee, która nie pozwoli, by stała się jej krzywda. Rozmowa miała być oczywiście nagrywana i w razie otwartego przyznania się do zabójstw wszystko zostałoby zarejestrowane. Plan wydawał się doskonały.

Zgodnie z tymi ustaleniami Moore pojawiła się w motelu. Przez trzy dni prowadziła telefoniczne rozmowy z Aileen. Te toczyły się dokładnie tak, jak zaplanowali policjanci. Moore nieustannie nakierowywała dyskusję na morderstwa, próbując uzyskać jasne przyznanie się do winy ze strony Lee. Mówiła, że się boi, płakała i powtarzała: „Dlaczego to zrobiłaś?". W końcu rozmowa przyniosła długo wyczekiwany rezultat:

Aileen Wuornos: *Posłuchaj mnie, ty… Nie wiem, co powiedzieć, więc powiem ci tyle: zrobiłam to w samoobronie. Bez obaw. Zrozumieją, że działałam na własną rękę.*

Tyria Moore: *OK*.

Aileen Wuornos: *I będzie po krzyku. Nic nie zrobiłaś. Ty tylko pracowałaś, jadłaś i spałaś. Nigdy cię tam nie było.*

Tyria Moore: *Ale Lee, ja od roku wiedziałam o pierwszym, nie? Znaczy to w cholerę czasu.*

Aileen Wuornos: *No, nie wiem. Myślę, że nie wiedziałaś. Myślę, że trzymałam cię z dala od tych spraw.*

Tyria Moore: *No nie do końca. Przyszłaś do mnie zaraz po tym pierwszym i powiedziałaś, co zrobiłaś. A potem widziałam te rewelacje w telewizji.*

Aileen Wuornos: *Czego ty chcesz? Iść do więzienia? Powiedz im wszystko. Tylko wymyśl, że powiedziałam ci o tym tuż przed rozstaniem. A ty myślałaś, czy mnie wydać.*

Tyria Moore: *Powinnam była coś powiedzieć albo zrobić, gdy zrobiłaś to pierwszy raz.*

Aileen Wuornos: *Byłaś skołowana i wystraszona.*

Tyria Moore: *Wiem*.

Aileen Wuornos: *To nie twoja wina, więc nie pozwolę, byś poszła siedzieć za coś, czego nie zrobiłaś. Za bardzo cię kocham, by to zrobić. Kocham cię bardziej… Kocham cię prawie tak jak Boga. (…) Jeśli kiedykolwiek napiszę książkę, to zamierzam dać ci całą kasę, jaką na niej zarobię. Sama nie wiem. Po prostu… Pozwól mi powiedzieć, dlaczego to zrobiłam, dobra?*

Tyria Moore: *Mhmm*.

Aileen Wuornos: *Zrobiłam to dlatego, że cię tak kurewsko kocham. Bolało mnie, że nie mamy kasy na mieszkanie i całą resztę tego gówna. Martwiłam się, że jeśli nas wywalą na bruk, przestaniemy być razem. Wiem, że brzmi to głupio, ale taka jest prawda. Mam nadzieję, że znajdziesz kogoś, kto pokocha cię tak mocno jak ja. Nie chcę, żebyś była samotna przez resztę życia. Jesteś dobrym człowiekiem.*

Później padło kluczowe zdanie: Jesteś niewinna. Nie pozwolę ci iść do więzienia. Posłuchaj, jeśli będę musiała się przyznać, zrobię to.

Policjanci wiedzieli, że mają Wuornos w garści.

Szesnastego stycznia 1991 roku, chwilę przed południem, Lee została przesłuchana przez Lawrence'a Horzepę i Bruce'a Munstera. Ich rozmowa została nagrana, a kasetę puszczono później w trakcie procesu. Funkcjonariusze liczyli na to, że zgodnie z tym, co Wuornos mówiła byłej partnerce, przyzna się do wszystkich zabójstw. I mieli rację. Lee naprawdę kochała Tyrię, była gotowa zrobić wszystko, by zdjąć z niej wszelkie podejrzenia i tym samym widmo odpowiedzialności karnej. Paląc papierosa za papierosem, niemal natychmiast przyznała, że tylko ona odpowiada za te morderstwa. Rozmowa z policjantami była niezwykle emocjonalna. Lee co chwilę zanosiła się płaczem, przekonywała też, że wszystko, co zrobiła, motywowane było samoobroną. Zapew-

niała, że nikogo nie chciała zabić, ale ci mężczyźni próbowali zrobić jej krzywdę. Nie miała więc wyjścia. Mówiła, że jest dobrym człowiekiem, ale gubi się, gdy zaczyna pić. Wtedy często staje się agresywna, zwłaszcza gdy ktoś ją zaczepia. Broniła też Moore, powtarzając, że była partnerka nie miała nic wspólnego z zabójstwami. Powtarzała nieustannie, że bardzo ją kocha i Tyria nie zasłużyła na więzienie: „Nawet jeśli wiedziała – a tak było – w większości plotłam jej wierutne bzdury, bo byłam pijana. Myślę, że mi odbija, gdy się upiję. Jeśli więc coś jej powiedziałam, to było takie… »OK, pamiętasz faceta od tego czerwonego samochodu czy tam od dywanu. Tego, którego znaleźli pod czerwonym dywanem przy dziewięćdziesiątce czy przy jedynce. To byłam ja«”.

Lee przyznała się łącznie do sześciu zabójstw. Trafiła za kratki, gdzie oczekiwała na proces.

Ten ruszył 14 stycznia 1992 roku. Wuornos miała odpowiadać za zabójstwo Richarda Mallory’ego, ale też rabunek z bronią w ręku i nielegalne posiadanie broni. Stawką było życie Lee. Próbowała udowodnić, że działała w samoobronie. Problem jednak polegał na tym, że taką samą wersję przyjęła w przypadku pozostałych zabójstw. A to wydawało się już mało wiarygodne. Z niewiadomych powodów ława przysięgłych nie została poinformowana o sadystycznych zapędach Mallory’ego, a także o tym, że był w przeszłości karany za próbę gwałtu i trafił do szpitala psychiatrycznego. Być może gdyby te wszystkie fakty zostały przedstawione, wersja Lee dotycząca Mallory’ego wydawałaby się nie tylko sensowna, ale i bardzo prawdopodobna.

Zebrany materiał dowodowy, ale też zeznania świadków nie pozostawiały żadnych wątpliwości – to Lee odpowiadała za zabójstwo mężczyzny. Zresztą sama się do tego przyznała. Duży cios otrzymała też ze strony Moore, która stawiła się w sądzie i zeznawała przeciwko niej: „Siedziałam na podłodze i oglądałam telewizję. Aileen przyszła i powiedziała: »Muszę ci coś wyznać«. Zapytałam: »Co takiego?«. Na co ona: »Zastrzeliłam dziś mężczyznę«”.

Miał to być pierwszy raz, gdy Tyria usłyszała o zabójstwach dokonanych przez Lee. Ale największym wrogiem

Wuornos w trakcie procesu okazała się… ona sama. Wbrew radom adwokatów zdecydowała się zeznawać. Była w tym wszystkim niezwykle emocjonalna, plątała się w zeznaniach i zmieniała wersję wydarzeń. Nie była wiarygodna, co ława przysięgłych od razu zauważyła. W dodatku często reagowała złością, a nawet agresją. Wybuchała i krzyczała, zwłaszcza wtedy, gdy prokuratorzy dostrzegli luki w jej wypowiedziach i publicznie to wyciągali.

Sprawa była z góry przegrana, o czym wiedzieli również obrońcy Lee. Dlatego, gdy 27 stycznia zapadł wyrok, niewiele osób było nim zaskoczonych. Wuornos została uznana za winną morderstwa pierwszego stopnia. Reakcja Lee była natychmiastowa: „Jestem niewinna! Zostałam zgwałcona! Mam nadzieję, że i was zgwałcą! Wy zakały Ameryki!”.

Na drugi dzień sąd ponownie się zebrał, by ławnicy mogli zdecydować o wymiarze kary. Jednomyślnie uznali, że Aileen należy się kara śmierci na krześle elektrycznym. Trzydziestego pierwszego stycznia sąd ogłosił ten sam werdykt. Lee miała zostać przewieziona do właściwego oddziału Departamentu Więziennictwa stanu Floryda i tam oczekiwać na datę egzekucji.

Kolejnego procesu nie było, Lee przyznała się do zabicia Dicka Humphreysa, Troya Burressa i Davida Spearsa. Na sali sądowej wygłosiła przygotowaną przez siebie mowę: „Zawarłam pokój z moim Panem i poprosiłam o wybaczenie. Przykro mi, że moje akty samoobrony zakończyły się w sądzie w ten sposób, ale biorę pełną odpowiedzialność za swoje czyny. Przepraszam za cały ból wywołany tym, co zrobiłam. Jestem gotowa umrzeć, jeśli uznacie, że to konieczne”.

Ale i tu łaski nie było. Sędzia dołożył jej kolejne wyroki śmierci. Na ten werdykt Lee zareagowała słowami: „Dziękuję. Oczywiście będę w niebie, a wy wszyscy zgnijecie w piekle”. Później w stronę prokuratora Rica Ridgewaya powiedziała: „Mam nadzieję, że twoja żona i dzieci zostaną zgwałcone w dupę”. Rzucała wszystkim nienawistne spojrzenia, wściekła na to, że czeka ją egzekucja. Gdy wstawała od stołu, krzyknęła w stronę sędziego: „Wiem, że byłam zgwałcona. A wy nie

jesteście niczym innym niż szumowinami. Posyłasz na śmierć kogoś, kto był zgwałcony?”.

Pokazała środkowy palec i dodała: „Skurwysyn!”. Łącznie – do 1993 roku – Aileen otrzymała sześć wyroków śmierci. Ciała jednej z ofiar nie udało się odnaleźć, dlatego w tej sprawie nie można było udowodnić jej morderstwa.

Dopiero po zakończeniu procesu obrona zaczęła zdobywać informacje na temat Richarda Mallory’ego. Domagano się nowego postępowania, ale Sąd Najwyższy stanu Floryda odrzucił tę prośbę i utrzymał w mocy wszystkie wyroki śmierci, które usłyszała Wuornos.

Siedząc w więzieniu, Lee dużo pisała do przyjaciółki z dzieciństwa Dawn Botkins. Wydawało się, że to jedyna przyjazna jej osoba, która nadal chciała utrzymywać z nią relacje. W jednym z listów Aileen pisała:

Droga Dawn,

znowu tylko ja. Próbuję odpowiedzieć na wszystkie twoje listy. Dzień dobry, przy okazji jest 6.35… Ok! Odpowiadając na pytanie, co sprawiło, że wszyscy zaklasyfikowali mnie jako seryjną morderczynię? Cóż, właściwie nikt tego nie zrobił. Policjanci uznali mnie za taką ze względu na liczbę zabitych mężczyzn… Seryjni mordercy śledzą ofiary tak często, jak mogą. Przerywają to tylko na kilka dni, a nie na kilka miesięcy. Dodatkowo seryjni mordercy zabijają brutalnie. Ci mężczyźni nigdy nie byli torturowani czy rozczłonkowywani. Richard Mallory zgwałcił mnie. Po tym, jak przywiązał mnie do kierownicy, przeszedł do pochwy i zgwałcił mnie analnie. Przez prawie dwie godziny. Potem, gdy już skończył, wziął alkohol, który miał w buteleczce po kroplach do oczu, i zaczął wcierać. Na dole mojego nosa, waginy i odbytu. To było niesamowicie bolesne. Ale najbardziej, gdy robił to z tyłkiem. Bo bardzo mnie rozerwał. Nigdy nie uprawiałam takiego seksu. Nigdy nie pozwalałam na takie egzotyczne, dziwne rzeczy. (…) Dopiero sześć miesięcy później spotkałam następnego. A pozostałych dzieliło od dwóch do trzech miesięcy.

Aileen siedziała w niewielkiej celi z różowymi ścianami. Każdego dnia przeprowadzano inspekcję, by sprawdzić, czy

osadzona nie przetrzymuje niedozwolonych przedmiotów. W ostatnim wywiadzie przed egzekucją skarżyła się na to, jak przez lata była traktowana przez policjantów. Przekonywała, że nieustannie się nad nią znęcali:

Byłam torturowana na posterunku. Mieli tam interkom, przez który ciągle się na mnie darli. Wykrzykiwali do mnie różne kłamstwa. Torturowali mnie tymi dźwiękami co najmniej od 1997 roku. Chyba mieli jakąś kamerę w celi i mnie podglądali, bo jak tylko zaczynałam coś pisać, od razu zaczynali włączać dźwięki. To było coś z telewizorem albo lustrem. Było chyba podłączone do wielkiej satelity.

Zapewniała też, że policjanci od razu mogli ją złapać po zabójstwie Richarda Mallory'ego, ale nie zdjęli odcisków palców. Według niej to dlatego, że chcieli, żeby dalej zabijała. To oni mieli zrobić z niej seryjną morderczynię.

W celi Lee spędziła ostatnie dziesięć lat życia. W 1996 roku Sąd Najwyższy odrzucił jej apelację. Egzekucja była więc nieunikniona. W 2001 roku Lee odwołała adwokatów i wystosowała oświadczenie:

Zabiłam tych ludzi. Okradłam ich, gdy byli zimni jak lód. I zrobiłabym to jeszcze raz. Nie ma sensu utrzymywanie mnie przy życiu, bo zabiłabym ponownie. Mam dość słuchania „ona jest szalona". Byłam oceniana już tyle razy. Jestem kompetentna, rozsądna i staram się mówić prawdę. Jestem osobą, która nienawidzi ludzkiego życia i zabije ponownie.

Dwudziestego dziewiątego września 2002 roku przewieziono Lee do więzienia stanowego Florydy. To właśnie tam miało się odbyć wykonanie wyroku. Trafiła do pilnie strzeżonej celi. Choć pierwotnie uznano, że zginie na krześle elektrycznym, to w 2002 roku stosowano już trucizny. Właśnie taki śmiercionośny zastrzyk miała otrzymać.

Dziewiątego października Lee obudziła się o 5.30. Był to ostatni poranek w jej życiu. Nie poprosiła o modlitwę, odmówiła też przysługującego jej ostatniego posiłku. Przekonywała służbę więzienną, że jest gotowa na śmierć. Była posłuszna i wykonywała wszystkie polecenia. Gdy zaprowadzono ją do

sali egzekucji, nie stawiała oporu. Zapytano ją, czy chce wygłosić ostatnią przemowę. Z jej ust popłynęły słowa:

Chcę jedynie powiedzieć, że pożegluję z Rockiem i wrócę jak Dzień Niepodległości z Jezusem szóstego czerwca, jak w tym filmie, z tym wielkim statkiem i tak dalej. Ja tu jeszcze wrócę.

Przypięto ją do wózka, podłączono rurki, którymi po kolei sączyła się trucizna. Mięśnie zaczęły wiotczeć, pojawiły się zawroty głowy, nudności i duszności. Lee kaszlnęła dwa razy, zanim jej serce przestało bić. Zgon stwierdzono o 9.47. Jej prochy rozsypano w Fostorii w stanie Michigan. Zrobiła to pod jednym z drzew Dawn Botkins. Na prośbę Lee wybrzmiała wówczas piosenka *Carnival* Natalie Merchant.

Przed śmiercią Lee udzieliła wielu niezwykle szczerych wywiadów. W rozmowie z dziennikarzem Nickiem Broomfieldem wyznała, że zabijała w samoobronie, ale nie miała już siły walczyć o prawdę i pragnęła jedynie śmierci.

Za kratkami rozmawiała też z ekipą programu *60 minutes Australia.* Poniżej skrótowy zapis tego wywiadu:

Aileen Wuornos: *Ci faceci zostali zastrzeleni. Tylko zastrzeleni. Bum, bum, bum. Nie byli rozcinani czy pokrojeni. Żadnych akcji jak z OJ-a. On powiedział, że popełniłam najbardziej przerażającą zbrodnię na świecie.*

Dziennikarka: *A to nieprawda?*

Aileen Wuornos: *Myślę, że nie. Strzelałam do nich i odchodziłam. Jeśli to była taka przerażająca zbrodnia, to dlaczego nie strzelałam im między oczy, nie obcinałam penisa i nie wpychałam im do ich ust. No wiesz, cała masa odrażających rzeczy. Jedyne, co robiłam, to strzelałam i odchodziłam.*

Dziennikarka: *Lee, wyglądało na to, że zostałaś zdradzona przez wszystkich…*

Aileen Wuornos: *Tak, zgadza się. I dlatego nie dbam o to, czy mnie stracą i opuszczę tę planetę.*

Dziennikarka: *Może po prostu urodziłaś się zła?*

Aileen Wuornos: *No nie wiem… Mówię ci… Nie, nie urodziłam się zła. Staram ci się powiedzieć, że oni mnie okłamali. Bardzo okłamali, wszyscy.*

Dziennikarka: *Ale zostałaś oskarżona o zabicie siedmiu mężczyzn.*

Aileen Wuornos: *Wszyscy patrzą tylko na cyfry.*

Dziennikarka: *Zabiłaś siedmiu mężczyzn. Siedmiu obcych, czy to nie czyni z ciebie seryjnej morderczyni?*

Aileen Wuornos: *Przecież nie zabijałam ich codziennie, prawda? Nie wychodziłam codziennie i nie mówiłam sobie: hmmm… Jeśli by tak było, byłyby ich setki.*

Dziennikarka: *Zajęło ci to dwanaście miesięcy.*

Aileen Wuornos: *Tak i było bardzo dużo mężczyzn, których przerabiałam, zanim pojawił się kolejny kretyn, i używałam wtedy obrony. Jak kondom przed AIDS.*

Dziennikarka: *Więc to było w obronie własnej?*

Aileen Wuornos: *Tak*.

Dziennikarka: *Pierwszy możliwe, drugi być może, ale siedem razy?*

Aileen Wuornos: *No to co? To sprawia, że jestem zła, zgorzkniała, wkurzona, jak nigdy dotąd. Nawet tam, z tymi facetami. To jest zło, co ci ludzie mi zrobili.*

Dziennikarka: *Czy czujesz złość, a może nawet nienawiść do mężczyzn?*

Aileen Wuornos: *Nigdy nie czułam nienawiści do mężczyzn. Ale teraz już tak. To znaczy teraz mam kategorie. Nienawidzę tych jebanych gliniarzy. I to bardzo, bo to oblechy. Gliniarze, prawnicy, sędziowie – oni wszyscy są facetami.*

Dziennikarka: *Nadal chcesz dostać krzesło?*

Aileen Wuornos: *Nie ma żadnego sensu, by mnie zadręczać do końca życia, kiedy na to nie zasługuję. Zrobiłam coś, co zrobiłby każdy, więc albo łaska, albo krzesło. Wybierajcie, ludzie, bo tylko tak może się to skończyć.*

Dziennikarka: *Nie boisz się?*

Aileen Wuornos: *Nie. Nie boję się, bo będę z Panem.*

Dziennikarka: *Chcesz umrzeć?*

Aileen Wuornos: *Jeśli miałabym opuścić tę planetę, to nie byłaby to dla mnie wielka sprawa, bo to jest niegodziwy, niegodziwy świat.*

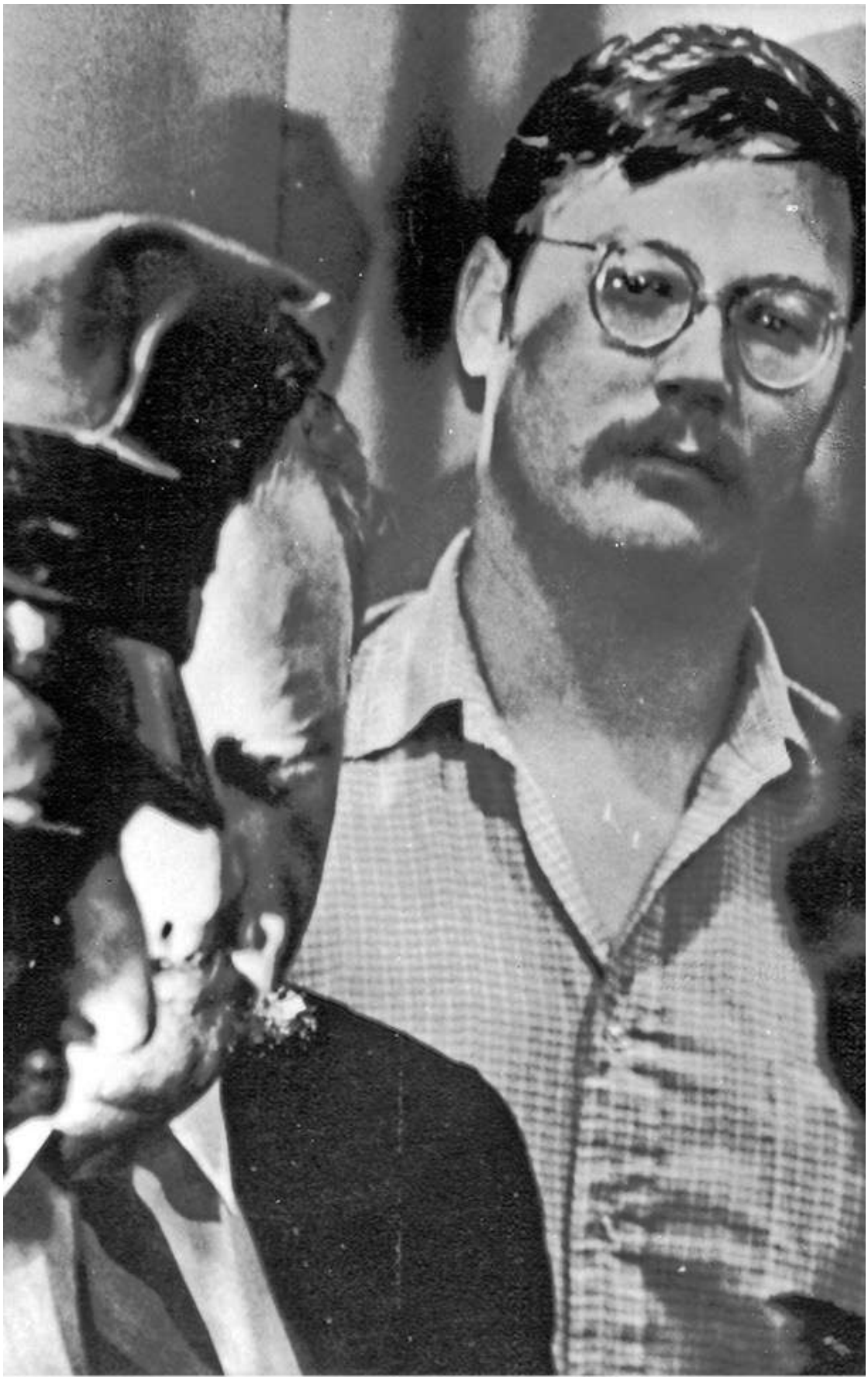

Ed Kemper – seryjny morderca i nekrofil, kilku ofiarom obciął głowy, które później zgwałcił. Zabił dziesięć osób, w tym własną matkę. Sam oddał się w ręce policji.

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

ED KEMPER

Koedukacyjny zabójca

Z dziewczyny zostaje naprawdę dużo, nawet jeśli nie ma głowy. Oczywiście cała jej osobowość znika.

Ed Kemper

W ogólnie przyjętym porządku świata oczywiste jest, że każda matka kocha swoje dziecko miłością, której nie jest w stanie zrozumieć osoba, która takiego uczucia nie doświadczyła. Taka matka swoje dobro stawia na ostatnim miejscu, wybierając szczęście i potrzeby pociechy. Dla niej gotowa jest na wszystko, również na poświęcenie, które z pozoru wydawałoby się całkowicie niemożliwe. Ale dla matki, która prawdziwie kocha dziecko, nie ma rzeczy niemożliwych. Nie ma góry, której nie przeniesie. Nabywa supermocy, które pozwalają na przeskakiwanie nad wszystkimi kłodami, które rzuca jej pod nogi życie. Tak jest, a raczej powinno być, gdyby za naszą codzienność odpowiadali twórcy fantasy i komiksów o bohaterach. Prawdziwe życie przynosi jednak znacznie mniej wyidealizowane scenariusze, w których matka to nie tylko podpora dla swojego dziecka, ale też odrębna jednostka z własnymi potrzebami i emocjami. I nie ma w tym niczego złego, o ile te emocje nie przeradzają się w nienawiść do własnego potomstwa. Niestety, nie każda kobieta potrafi kochać dziecko, a początkowa obojętność z czasem zmienia się w niechęć, a nawet wrogość i agresję. Wtedy piekło, które sieje spustoszenie w jej własnej osobowości, zaczyna przenosić również na niewinną, bezgranicznie ufającą jej istotę. Nie mam tu na myśli macierzyńskich kryzysów, *baby blues*, depresji poporodowej czy innych, niezwykle trudnych chorób dotykających kobiet, które wydały na świat potomstwo. Niektóre matki są po prostu złymi ludźmi i nie przestają nimi być również wtedy, gdy pojawia się dziecko. To właśnie ono staje się wówczas źródłem ich frustracji, ale też workiem treningowym, na którym niezwykle łatwo przychodzi im wyładować własne negatywne emocje. O takich kobietach mówi się, że są toksycznymi matkami. Ale wydaje mi się to zbyt delikatne, nieco wygładzające określenie. Kobieta, która świadomie psychicznie i fizycznie krzywdzi własne dziecko, nie jest po prostu toksyczna. Jest całkowicie złamana moralnie i duchowo. Każdy

agresywny sygnał wysyłany ze strony kobiety, która teoretycznie powinna być opiekunem i życiowym przewodnikiem, niesie ze sobą bardzo poważne konsekwencje. Na przykład nieustannie krytykująca matka stanie się dla dziecka źródłem, z którego wyłaniają się niska samoocena, ale też niezadowolenie z samego siebie. Z tego, jakim jest człowiekiem, co sobą reprezentuje, co osiągnął/osiągnęła lub czego osiągnąć się nie udało. Każda emocja i reakcja wysyłana przez matkę w stronę dziecka ma konsekwencje w przyszłości. Dlatego ta rola jest tak niezwykle ważna, ale i trudna, bo każdy błąd odciska swoje piętno. W przypadku matek z piekła rodem tym piętnem może być syn seryjny morderca.

Edmund Emil Kemper III przyszedł na świat 18 grudnia 1948 roku o godzinie 23.04 w szpitalu Saint Joseph w Burbank w Kalifornii. To niewielkie jak na Stany Zjednoczone miasto liczy obecnie nieco ponad sto tysięcy mieszkańców. Największą atrakcją jest tam obecnie studio filmowe Warner Bros., a spragnieni obcowania z przyrodą mogą wybrać się na przeprawę po niewielkim górskim paśmie Verdugo Mountains. Miasto bez wątpienia urokliwe, przesiąknięte kalifornijskim klimatem, który doskonale oddaje ducha USA znanego z filmów, szczególnie animacji. To właśnie w takim krajobrazie urodził się Wielki Ed.

Już jako noworodek był duży. Według niektórych źródeł wkrótce po tym, jak przyszedł na świat, osiągnął wagę sześciu kilogramów. Potężna sylwetka, budząca nawet pewien dyskomfort, została z nim również w dorosłym życiu.

Jego matka Clarnell Elizabeth Stage miała dwadzieścia siedem lat, gdy urodziła drugie dziecko i jednocześnie pierwszego syna, Eda. Imię odziedziczył po ojcu Edmundzie Emilu Kemperze Juniorze, który był dwa lata starszy od partnerki. Poród przebiegł bez większych komplikacji, ale wymagał nacięć w miejscach intymnych, tak by dziecko mogło bezpiecznie wydostać się na zewnątrz. Wcześniej Clarnell urodziła pierwszą córkę Susan, a gdy Ed miał dwa i pół roku, na świat przyszła najmłodsza z trójki rodzeństwa, Allyn.

Ojciec chłopca był weteranem wojennym, matka z kolei – asystentką administracyjną na Uniwersytecie Kalifornijskim

w Santa Cruz. Ed miał z tatą dobry kontakt, przynajmniej w pierwszych latach swojego życia. O to do męża miała pretensję Clarnell. Uważała, że Edmund był surowy dla córek, a nadopiekuńczy wobec syna. Zarzucała mu, że nigdy nie dał chłopakowi nawet klapsa, przez co ten – w jej odczuciu – nie miał do niego szacunku. Gdy Ed miał cztery lata, ojciec wyjechał na dwuletni kontrakt na Pacyfik. Brał tam udział w programie testowania bomb atomowych. Związek między ojcem a matką Kempera był niezwykle burzliwy. Para co chwilę rozstawała się i schodziła ponownie w atmosferze nieustannych kłótni i walk. Do ostatecznego rozstania doszło, gdy Edmund miał dziewięć lat. W pewnym sensie jego dotychczasowe życie przestało istnieć. Ojciec, którego kochał i podziwiał, zniknął, zostawiając go z apodyktyczną i toksyczną matką. Nie stroniła od alkoholu i wyraźnie faworyzowała córki, traktując syna jak stary, brudny przedmiot, który zawadza w pięknie urządzonym salonie. Nie akceptowała go jako człowieka, ale i jako chłopca. Nie potrafiła pogodzić się z tym, że jest synem, a nie kolejną córką, bo to właśnie w nim widziała męża, który ją zostawił. Ed mówił o niej: „Moja matka była chorą, złą, wygłodniałą i bardzo smutną kobietą. Nienawidziłem jej, ale jednocześnie chciałem ją kochać”.

Clarnell robiła wszystko, by pogłębić cierpienie dziecka. Zamykała go na noc w piwnicy, twierdząc, że na pewno zgwałci własne siostry. Niewielkie pomieszczenie spowite ciemnością przyciągało szczury, które Ed słyszał, gdy próbował usnąć. Tupot szczurzych łap dobiegał z każdej strony, potęgując przerażenie, izolację, ale też niskie poczucie własnej wartości. Kemper czuł się odtrącony i niekochany, a jego negatywne emocje dodatkowo potęgował widok sióstr, które były traktowane zupełnie inaczej niż on.

Ed rzadko widywał ojca. Skazany na okrutne traktowanie ze strony matki, desperacko pragnął mieć jakikolwiek wzorzec męskości. W kobietach zaczął dostrzegać jedynie zło, które pochłaniało jego życie. To wszystko sprawiło, że Ed już jako dziecko wykazywał niepokojące zachowania. Brutalność, którą fundowała mu matka, przerzucał na zwierzęta. Zaczął je zabijać, zakopywać, a następnie wykopywać tylko po to, by pociąć truchła na kawałki i wbić na naostrzone pale. W ten

sposób zabił kota, odebrał też życie psu, który należał do rodziny. Czworonóg naraził się tym, że okazał zainteresowanie siostrze Kempera, a nie jemu.

Znęcanie się nad zwierzętami jest niezwykle niepokojącym sygnałem. Może oznaczać, że w głowie dziecka zaczynają pojawiać się mroczne, sadystyczne wizje, które w przyszłości zaczną przeobrażać się w coś znacznie większego, uderzającego w ludzi. Joanna Helios i Wioletta Jedlecka w swojej pracy *Okrucieństwo wobec zwierząt z punktu widzenia psychologii i filozofii – zarys problemu* piszą:

Dzieci wyładowują agresję na małych zwierzętach, co z psychologicznego punktu widzenia wynika z mechanizmów przemieszczania agresji, która zamiast ku matce (z określonych powodów dziecko nie może okazać jej złości) kierowana jest na obiekty bardziej dostępne. Z reguły jednak dzieje się tak, bo krzywdzenie zwierząt jest łatwe, a czasami jest to zwykła ciekawość poznawcza. Poza tym brak jest zdecydowanej reakcji i przykładu ze strony dorosłych. Już dzieci w wieku przedszkolnym potrafią być bardzo agresywne wobec zwierząt. Często dzieci, młodzież czy też dorośli, cierpiący na zaburzenie przywiązania, określane jako RAD, spowodowane w głównej mierze traumą rozwojową, wykazują okrucieństwo wobec zwierząt.

Eda interesowało nie tylko pastwienie się nad zwierzętami. Lubił też mało subtelne zabawy lalkami. Zabierał je głównie młodszej siostrze Allyn, a następnie pozbawiał je głów i kończyn. Czasem również rodzeństwo brało udział w jego szokujących zabawach. Chciał na przykład, by siostry go krępowały, a on chwilę później udawał, że czeka na egzekucję. Już jako dorosły mężczyzna wspominał, że w dzieciństwie dwukrotnie był bliski śmierci. Starsza siostra próbowała wepchnąć go pod pociąg, a jakiś czas później wrzuciła go do basenu, w którym Kemper niemal utonął.

Im bardziej Ed zagłębiał się w mroczną rozrywkę, tym relacje z matką były coraz gorsze. W końcu chłopak całkowicie utracił zdolność nawiązania z nią jakiegokolwiek kontaktu, dlatego w wieku piętnastu lat zdecydował się uciec do ojca. Ten jednak miał już nową rodzinę i nie było w niej miejsca dla

problematycznego nastolatka: „Nie chciał mnie w pobliżu, ponieważ denerwowałem jego drugą żonę. Zanim poszedłem do Atascadero [szpital psychiatryczny], moja obecność przyprawiała ją o migrenowe bóle głowy".

Odtrącenie ze strony ojca było kolejnym ciosem dla dojrzewającego Eda. Stanął przed trudną decyzją: co dalej? Tata go nie chciał, a on nie chciał matki. Postanowiono więc, że trafi do dziadków – Edmunda Emila Kempera seniora i Maude Matildy Kemper. Małżeństwo mieszkało na farmie w North Fork w Kalifornii. Ed pojechał tam razem z ojcem w Boże Narodzenie. Kemper junior tłumaczył później: „Jego osobowość [Eda] zmieniła się tak bardzo, że zacząłem się martwić o jego obecność w pobliżu mojej żony, która bardzo starała się być dla niego prawdziwą przyjaciółką. Pewnego dnia był w bardzo ponurym nastroju, a jego oczy wyglądały jak oczy lunatyka. Po kilku rozmowach, które z nim odbyłem, miałem wrażenie, że był zafascynowany śmiercią i wojną".

W ten sposób młody Ed trafił na farmę, którą bardzo szybko znienawidził. O ile dziadka szanował i widział w nim zdecydowanego mężczyznę, o tyle babcia zbyt mocno przypominała mu matkę. Według niego wydawało jej się, że „ma więcej jaj niż ktokolwiek". Dodawał też, że nigdy nie udało mu się jej zadowolić, a życie na farmie zaczęło przypominać więzienie. „Stałem się chodzącą bombą zegarową i w końcu wybuchłem" – wspominał później Ed. Kobieta zabraniała chłopcu oglądać kreskówki, przyprowadzać do domu znajomych, nie mógł nawet uczestniczyć w zajęciach pozalekcyjnych. Jego codzienność ograniczała się do wykonywania mechanicznych poleceń, które wydawała mu babcia.

Dziadek, który brał udział w I wojnie światowej, uznał, że dobrym rozwiązaniem dla skomplikowanego nastolatka będzie nauczenie go strzelania. Kupił więc broń i zabierał chłopca na małe polowania, których celem były niewielkie zwierzęta. Ed bardzo to polubił, pozwalało mu to rozładowywać rosnącą w nim frustrację. Przeciwna temu była babcia, która w końcu wymusiła na mężu zaprzestanie wspólnych polowań. Kemper był wściekły. Każdego dnia rzucał Maude nienawistne spojrzenie, obiecując sobie, że pewnego dnia zemści się na niej za tresurę, której go poddawała. „Widziałem jej wielką, czarną

torebkę z wybrzuszeniem, gdy wychodziła z domu. Mówiłem sobie: »Czemu ta stara suka zabiera ze sobą broń? Nie ufa mi, chociaż obiecałem, że nie będę jej dotykał«. Zastanawiałem się, czy zadzwonić do szefa policji we Fresno i powiedzieć mu, że jest tam mała starsza pani spacerująca po mieście z czterdziestką piątką w torebce i planująca napad".

Maude każdego dnia czuła narastającą nienawiść ze strony wnuka. W końcu zaczęła się go bać i nawet podzieliła się tym z byłą synową. Chłopak rzeczywiście mógł budzić grozę, bo już wtedy mierzył 193 centymetry wzrostu. Napięcie panujące w domu było coraz silniejsze.

Mimo to ciężko było przewidzieć dramat, który rozegrał się 27 sierpnia 1964 roku. Dziadek Eda wybrał się na zakupy i pocztę. Chłopak został więc sam z babcią, która pracowała w kuchni nad opowiadaniem dla magazynu „Boy's Life". Rozmawiali ze sobą, ale z czasem dyskusja przerodziła się w gwałtowną kłótnię. Wtedy coś w nim pękło. Gwałtownie wybiegł z kuchni, chwycił broń i wrócił do babci. Była pewna, że chłopak znów chce iść na polowanie, dlatego odparła, by nie strzelał do ptaków. On w odpowiedzi uniósł lufę, wycelował i strzelił kobiecie w tył głowy. Maude upadła na stół. W sumie Ed oddał trzy strzały – dwa w głowę i jeden w plecy. Według niektórych źródeł owinął jej głowę ręcznikiem i przeciągnął ciało do sypialni. Następnie znów wrócił do kuchni, chwycił nóż, który chwilę później kilkukrotnie zatopił w ciele babci z taką siłą, że ostrze się wygięło.

Od dawna fantazjował o tej chwili. Każdego dnia, patrząc na Maude, wyobrażał sobie na wiele sposobów, jak odbiera jej życie. I wreszcie to marzenie zrealizował. Poczuł ulgę i ekscytację, ale nie zaspokoił rozbudzonego chwilę wcześniej pragnienia zabijania.

Tuż po tym pod dom podjechał dziadek Eda. Chłopak wyszedł, żeby go przywitać, a gdy mężczyzna schylił się, sięgając po zakupy, zakradł się do niego, przystawił broń do jego głowy i oddał strzał. O ile zabójstwo babci podyktowane było nienawiścią mieszaną z wściekłością, o tyle w przypadku dziadka chodziło o coś zupełnie innego. Ed tłumaczył, że nie chciał, by mężczyzna widział, co wnuk zrobił z jego żoną,

z którą dzielił życie przez pół wieku. W odczuciu Kempera był to więc pewien akt łaski skierowany w stronę staruszka.

Po zabójstwie Ed zaciągnął ciało dziadka do garażu, dokładnie umył ręce, próbował też zatrzeć ślady krwi widoczne wokół samochodu Kempera seniora. Przez chwilę pomyślał o tym, by rozebrać zwłoki babci. Był ciekawy, jak wygląda nagie kobiece ciało. Uznał jednak, że byłoby to niewłaściwe, i szybko pozbył się tej wstrząsającej myśli. Zadzwonił na policję i przyznał się do wszystkiego.

W chwili zatrzymania Ed nie przypominał zabójcy, który z zimną krwią pozbawił życia własnych dziadków. Ten wysoki okularnik o łagodnej twarzy był prawdziwym wyzwaniem dla psychiatrów, pod których opiekę trafił.

Jako nieletni Ed został skierowany do zamkniętego zakładu o zaostrzonym rygorze w Atascadero. Placówka znajduje się w połowie drogi między Los Angeles a San Francisco. Bardziej przypomina więzienie niż zwyczajny szpital. Trafiają tam mężczyźni skazani za poważne przestępstwa, którzy ze względu na problemy psychiczne nie są w stanie odbywać kary w tradycyjnym więzieniu. Obiekt obejmuje aż siedemset hektarów i jest jednym z największych tego typu szpitali w regionie. Nie jest to publiczna placówka, a jej podopiecznymi są tylko ci, których skierował tam sąd. Dziś miejsce może tam znaleźć tysiąc dwieście trzydziestu dziewięciu pacjentów.

W przeszłości placówka przeprowadzała mało chlubne eksperymentalne formy leczenia. Głównie lobotomię, elektrowstrząsy, ale też wszelkiej maści mieszanki farmakologiczne, które miały rzekomo uzdrowić chorych. Takie metody wymierzone były głównie w homoseksualistów, którymi personel szczególnie gardził. Pacjenci musieli mierzyć się z szykanami i poniżaniem.

Przez lata funkcjonowania w placówce pojawiało się mnóstwo szerzej znanych kryminalistów. Leczył się tam chociażby Arthur Leigh Allen, który był jednym z głównych podejrzanych w sprawie seryjnego mordercy Zodiaka. Nigdy mu jednak tego nie udowodniono. Był tam również Autostradowy Morderca, czyli William Bonin. Gwałciciel i morderca, który

miał na sumieniu życie dwudziestu jeden chłopców i młodych mężczyzn. Warto też wspomnieć Charlesa „Texa" Watsona z bandy Charlesa Mansona, która brutalnie zabiła ciężarną Sharon Tate, żonę Romana Polańskiego, a także trzy inne osoby, które pechowego 9 sierpnia 1969 roku przebywały na 10050 Cielo Drive w Benedict Canyon w Los Angeles. Szpital w Atascadero zgromadził więc prawdziwą śmietankę przestępczego półświatka.

U Eda Kempera specjaliści zdiagnozowali schizofrenię paranoidalną. W placówce jego fantazje dotyczące mordowania zaczęły się pogłębiać. Doszły do tego wizje brutalnego seksu: „Zabiłem kogoś, pokroiłem go i zjadłem… Trzymałem głowę na półce i rozmawiałem z nią. Powiedziałem to samo, co powiedziałbym, gdyby żyła, zakochała się we mnie, troszczyła o mnie…".

Fantazjowanie o zabijaniu pojawiało się już wcześniej. Zanim Ed zdecydował się odebrać życie dziadkom, najpierw rozmyślał, jak wspaniale byłoby roztrzaskać młotkiem głowę matce. Te wizje pojawiały się zwłaszcza wtedy, gdy kobieta biła go grubym paskiem.

O tym, co działo się w jego głowie, Kemper nie wspomniał psychiatrom. Miał z personelem bardzo dobre relacje i potrafił nim doskonale manipulować. Dlatego wiedział, że wyjawienie takich szokujących fantazji nie skończyłoby się dla niego dobrze: „Nigdy bym się nie wydostał, gdybym powiedział psychiatrom, że mam fantazje o seksie z martwymi ciałami". Ed był niezwykle inteligentny, jego IQ wynosiło sto czterdzieści pięć. Wiedział więc, co i jak robić, by psychiatrzy patrzyli na niego łaskawszym okiem. Zachowywał się nienagannie, dokładnie wypełniał swoje obowiązki i nie sprawiał żadnych problemów. Wykazał się również na tyle sprawnym umysłem, że oszukał cały medyczny system. Regularnie przeprowadzano testy psychologiczne z jego udziałem. Spędzając samotnie czas, większości z nich Ed nauczył się na pamięć. To z kolei sprawiało, że następnym razem wypełniał je bezbłędnie. Specjaliści żyli w przekonaniu, że resocjalizacja Kempera przebiega wzorcowo. Gdy skończył dwadzieścia jeden lat, bez zawahania zatwierdzili jego wyjście na wolność. Opinia jednego z psychiatrów brzmiała:

Gdybym spotkał tego pacjenta w innych okolicznościach, bez wiedzy o jego przeszłości, pomyślałbym, że mam do czynienia z bardzo dobrze przystosowanym młodym człowiekiem, pełnym energii, inteligentnym i wolnym od jakichkolwiek problemów natury psychicznej… Uważam, że lata leczenia przyniosły doskonały skutek i z psychiatrycznego punktu widzenia nie widzę powodu, by postrzegać pacjenta jako zagrożenie dla siebie samego lub jakiegokolwiek innego członka społeczeństwa (…), ponieważ dzięki temu jako dorosły zyska więcej swobody i możliwości rozwinięcia swojego potencjału, rozsądne wydaje się całkowite zatarcie kartoteki czynów popełnionych w młodości.

W taki właśnie sposób, oszukując psychiatrów i cały system medyczny, młodociany morderca Ed Kemper znów cieszył się życiem poza murami zamkniętego ośrodka. Dwudziestego dziewiątego listopada 1979 roku z akt zniknęły wszystkie informacje dotyczące zabójstwa dziadków. To ze względu na fakt, że w chwili popełniania zbrodni Ed był nieletni.

Wbrew zaleceniom specjalistów wrócił do domu matki. Szybko okazało się jednak, że był to fatalny pomysł. Kobieta miała na koncie już trzecie małżeństwo i ani trochę nie zmieniła nastawienia do syna. Pałała do niego nienawiścią i uważała, że jest zbyt odpychający, by chciała się z nim związać jakakolwiek dziewczyna. Kłótnie między matką a synem stawały się coraz gwałtowniejsze: „Toczyliśmy z matką okropne bitwy, pełne przemocy i zła. Nigdy dotąd nie kłóciłem się z nikim w tak potworny sposób. W innych okolicznościach w ruch poszłyby pięści, ale to wciąż była moja matka i nie byłem w stanie pobić jej, jak pobiłbym innego mężczyznę. Matka prowokowała mnie nieustannie. Pamiętam gigantyczną awanturę, jaką rozpętała na temat mycia zębów”.

Mimo nieustannego napięcia w domu Ed starał się zadbać o rozwój. Zapisał się do college’u, co było zresztą jednym z warunków wypuszczenia go tak szybko na wolność. Marzył o tym, by zostać policjantem. Złożył nawet aplikację, ale nie został przyjęty. To rzekomo przez wzrost. Mierzył wówczas 206 centymetrów, przez co nazywany był Wielkim Edem. Brak zatrudnienia w policji nie przeszkodził mu w utrzymywaniu bliskich relacji z funkcjonariuszami z Santa Cruz. Czę-

sto odwiedzał bar Jury Room, w którym przebywali gliniarze. Tam rozmawiali, pili i żartowali, nie zdając sobie sprawy, że pocieszny Ed raczący ich różnymi opowiastkami to dojrzewający psychopata, który na długo wstrząśnie skalą swoich zbrodni.

Ed chwytał się różnych zajęć, wykorzystując to, że wciąż mieszka z matką i może liczyć na jej pieniądze. Był pracowity i sumiennie odkładał zarobioną gotówkę. W końcu dostał posadę w Kalifornijskim Departamencie Transportu. Co prawda nie była to służba w policji, ale pozwoliła Kemperowi na poukładanie sobie życia.

Po wielu miesiącach oszczędzania bez żalu spakował rzeczy i wyprowadził się od matki. Jego nowym przystankiem stało się stoczniowe miasto Alameda w Kalifornii. Mieszkał tam jego przyjaciel, do którego Ed postanowił się wprowadzić. Mimo to matka nieustannie o sobie przypominała. Jej toksyczna natura nie pozwalała na to, by syn funkcjonował poza jej zasięgiem. Nękała go ciągłymi telefonami, a nawet wpadała z wizytami, których wcześniej oczywiście nie zapowiadała. Ed za wszelką cenę starał się odciąć od kobiety, ale problemy finansowe sprawiały, że co jakiś czas potulnie do niej wracał. Chciał jednak wieść normalne życie, takie jak większość mężczyzn w jego wieku.

Pracując w departamencie, zaczął spotykać się z szesnastoletnią (choć według niektórych źródeł osiemnastoletnią) uczennicą Turlock High School. Para nawet się zaręczyła. O nastolatce wiemy dziś niewiele. Przeszukując dziesiątki artykułów i opracowań o Kemperze, znalazłam informację, że miała na imię Martha. Była bardzo atrakcyjną blondynką o niewinnym spojrzeniu. Ed trzymał jej zdjęcie w swoim pokoju. Para poznała się prawdopodobnie w 1972 roku na plaży w Santa Cruz, na trzy tygodnie przed serią brutalnych zabójstw. Jednemu ze znajomych Ed miał wyznać, że nie poślubi dziewczyny, bo „mężczyzna byłby głupcem, gdyby ożenił się z kobietą mądrzejszą od niego”. Ed zapewniał, że jego uczucia do niej przypominały składanie czci niemal religijnej i nigdy nie uprawiał z nią seksu. Przyznał, że przed zabójstwami odbył tylko jeden normalny stosunek i nie udało mu się osiągnąć satysfakcji.

Związek Eda z nastolatką nie przetrwał próby czasu. Kemper tłumaczył później:

Moja frustracja, moja niezdolność komunikowania się społecznie, seksualnie… Byłem emocjonalnym impotentem. Śmiertelnie przerażała mnie porażka w związkach z kobietami. Nic nie wiedziałem o całej tej sferze uczuciowej. Nawet wtedy, gdy po prostu siedziałem i rozmawiałem z młodą kobietą. Dlatego zacząłem brać autostopowiczów, a w zasadzie młode autostopowiczki.

W tym czasie Ed zainwestował w motocykl. Chwalił się, że nosi większy kask od ojca, bo ma od niego większą głowę. Radość z przejażdżek nie trwała jednak długo. W trakcie jednej z wycieczek został potrącony przez samochód i złamał lewą rękę. Wytoczył kierowcy proces i otrzymał 15 tysięcy dolarów odszkodowania. Za tę sumę kupił forda galaxie 500 z 1969 roku. Żółte auto z czarnym dachem okazało się dla wielu studentek morderczą pułapką.

Tuż po zakupie pojazdu Ed miał kolejny wypadek. Rozbił tylny zderzak, który później sam załatał. Jeżdżąc po okolicy, zauważył, że wiele młodych dziewczyn podróżuje autostopem. Ta świadomość nie dawała mu spokoju. Spragniony kontaktu z kobietami, zaczął fantazjować o zabieraniu młodych, atrakcyjnych studentek w przejażdżki w jedną stronę. W końcu zdecydował, że wcieli marzenia w życie.

Zanim wyruszył na łowy, najpierw lekko zmodyfikował samochód. Chciał, by kobiety bardziej mu ufały i nie bały się wsiadać do pojazdu z nieznajomym mężczyzną. Wyposażył więc forda w nadajnik radiowy, mikrofon i dużą antenę biczową. Dzięki temu mógł podsłuchiwać policyjne transmisje. Z czasem zrezygnował z anteny, bo uznał, że przez to auto jest zbyt charakterystyczne. Na tylnym zderzaku umieścił naklejkę „A”. Otrzymał ją od matki. Takie naklejki na pojazdach mieli pracownicy uczelni, dzięki czemu mogli parkować bliżej budynku szkoły. Ten symbol dał Kemperowi dużo większe możliwości, bo studentki widziały w nim osobę związaną z ich uczelnią, a nie całkowicie nieznajomego, anonimowego mężczyznę.

Ed przeczuwał, w jakim kierunku pójdą jego pragnienia. Dlatego zaczął się przygotowywać do ich realizacji. Woził w samochodzie plastikowe torby, noże, koce i kajdanki. Chciał być gotowy, gdy pojawi się już to silne ukłucie, które pchnie go do nieuniknionego – kolejnego zabójstwa.

Nieśmiało ruszył przed siebie, rozglądając się za autostopowiczkami. Wsiadały do jego pojazdu niezrażone imponującą posturą kierowcy. Na początku Ed nie posunął się do żadnych działań. Jeździł z jednego punktu do drugiego, zabierając raz po raz kolejne dziewczyny. W ten sposób przewiózł około stu pięćdziesięciu młodych kobiet. Ale pragnienie znalezienia towarzyszki życia było znacznie silniejsze. I w końcu musiało eksplodować.

Siódmego maja 1972 roku Ed krążył w okolicach Berkeley. Przemierzając ulice tego zielonego studenckiego miasta, spotkał Mary Ann Pesce i Anitę Luchessę. Dziewczęta uczyły się na Uniwersytecie Fresno, ale koniecznie chciały dostać się na teren Uniwersytetu Stanforda. Kemper wykorzystał tę okazję, by zaprosić je do auta. Jego wysoki iloraz inteligencji ułatwiał mu manipulowanie otoczeniem, dzięki czemu dużo łatwiej było mu przekonać nieznajome kobiety, by ruszyły z nim w krótką, jak sądziły, podróż.

Kemper jeździł z nimi przez blisko godzinę. Potem, bez uprzedzenia, zmienił trasę. Jako punkt docelowy wybrał las w pobliżu Alamedy:

Jechaliśmy w odludne miejsca, gdzie mogłem działać, gdzie nikt nie patrzył. Nikt nie mógł powiedzieć mi „nie”. Miałem w wozie ukrytą broń. To pogłębiało moje dziwne uczucie, które zjadało mnie od środka, tę fantastyczną żądzę. Ona mną zawładnęła, była jak narkotyk, jak alkohol. Na początku wystarczały małe dawki, ale z czasem chciałem więcej i więcej, aż w końcu odważyłem się wyciągnąć broń. A gdy wyciągnąłem, to oczywiste było, że coś zaraz się stanie. Nie wiedziałem wtedy, dokąd mnie to doprowadzi, ale czułem, że coś wielkiego zaraz się wydarzy. Razem z moimi partnerkami grałem w niebezpieczną grę.

Początkowo Kemper planował jedynie gwałt, ale wtedy przypomniał sobie, co mówili mu osadzeni w zakładzie psy-

chiatrycznym: nigdy nie zostawiaj śladów. Kobiety doskonale go widziały, podobnie jak jego samochód. Gdyby zostawił je przy życiu, najpewniej jeszcze tego samego dnia do jego drzwi zapukałaby policja. Dlatego wybrał inne rozwiązanie. Skuł Mary Ann kajdankami, a Anitę zamknął w bagażniku i zaczął wbijać w nią ostrze noża. Następnie wrócił do drugiej dziewczyny: „Pamiętam to okropne zdarzenie z jej współlokatorką, z zadźganiem jej. Byłem w szoku, że tak to się potoczyło. Ale to było jak trans, musiałem ją dopaść, nie mogłem jej puścić, bo o wszystkim by powiedziała. Wszyscy by mnie dopadli. Zobaczyła krew na moich rękach. Zapytała: »Co robisz?«. Odsunęła się, jęknęła. A ja nie chciałem, żeby wiedziała, co się stało. Powiedziałem, że pokłóciłem się z jej koleżanką. Nie uderzyłem jej, zabiłem, ale nigdy nie uderzyłem. Ale jej powiedziałem: »pokłóciliśmy się i uderzyłem twoją koleżankę w nos, chodź, pomóż«. Tak powiedziałem, bo przecież nie chciałem, żeby wiedziała, że zaraz i ją zabiję. Nie miałem odwagi jej tego powiedzieć wprost. Gdy ją zaatakowałem, ona nawet nie zorientowała się, co się dzieje. Wrzuciłem ją do samochodu. Miałem taki wielki nóż rzeźniczy. Zacząłem ją dźgać, aż wepchnąłem ją do bagażnika”.

Zabójstwo studentek przyniosło Kemperowi ekscytację, ogromne podniecenie, którego wcześniej nie czuł. Ale tym wszystkim emocjom niemal natychmiast zaczęła towarzyszyć panika. Porzucił więc na chwilę ofiary i zaczął biec przed siebie. Po chwili jednak przystanął, złapał oddech i powiedział do siebie: „Myśl logicznie”. Gdy ochłonął, wrócił do auta. Obie studentki były już w bagażniku. Odpalił silnik i zdecydował, że pojedzie razem z trupami do swojego mieszkania. Mknąc przed siebie, Kemper omal nie zaliczył potężnej wpadki. Zatrzymała go policja. Patrol zauważył, że nie ma tylnego światła. Skończyło się jednak na krótkiej pogawędce, a jego mroczny sekret upchany w bagażniku pozostał bezpieczny. Bez większych przeszkód Ed dotarł do mieszkania, które wynajmował z przyjacielem. Chłopaka w tym czasie nie było na miejscu. Kemper zdecydował się więc przenieść ciała do domu. Tam zrobił im zdjęcia, zgwałcił je, a następnie poćwiartował. Kawałek po kawałku umieszczał ofiary w plastikowych torbach, które później ponownie wrzucił do auta i odjechał w kierunku góry Loma Prieta. Gdy przyjechał na miejsce

i upewnił się, że jest sam i nikt mu nie przeszkodzi, wyjął worki. Wyciągnął zwłoki, w których głowy wciąż połączone były z tułowiem. Postanowił je więc odciąć, a następnie wykorzystać seksualnie. Po gwałcie rozrzucił szczątki w górskim wąwozie i odjechał. Czaszkę Mary Ann odnaleziono w sierpniu tego samego roku.

Dary Matera, autor książki *Ed Kemper. Rozmowy z zabójcą,* nazwał Aiko Koo najbardziej tragiczną ofiarą Eda. Głównie dlatego, że miała zaledwie piętnaście lat, gdy na jej życiowej ścieżce stanął potwór. Była niewinna i nieświadoma niebezpieczeństwa, które niesie ze sobą otaczający świat. Nastolatka kierowała się właśnie na zajęcia taneczne w San Francisco. Miała piękne długie czarne włosy i niezwykle egzotyczną urodę. Było w niej coś majestatycznego, zwłaszcza gdy tańczyła. Mieszkała w Berkeley i uczyła się w Anna Head School w Oakland. Jednym z ważniejszych dla niej występów był pokaz w trakcie rocznicy powstania ONZ. Razem z koleżanką zaprezentowała tradycyjny taniec koreański. Miała na sobie długą suknię ozdobioną białymi kwiatami. Zapowiedzi jej występu pojawiły się nawet w lokalnych mediach z Oakland:

Taryung zostanie wykonany przez obie dziewczyny w tradycyjnych strojach tancerzy dworskich. (...) Taniec, pochodzący z XIII w. dynastii Ye, ma formę ceremonialną i był używany na rozpoczęcie wszystkich funkcji dworskich. Zaprezentowane zostaną również tańce estradowe i te bardziej współczesnego pochodzenia – taniec szalowy i taniec wachlarzowy. Młodzi tancerze to studenci Koreańskiego Studia Tańca Klasycznego.

Aiko była niezwykle utalentowana i wróżono jej wspaniałą karierę taneczną. Matka, z pochodzenia Łotyszka, wychowywała ją samotnie po tym, jak ojciec porzucił rodzinę, zanim dziewczynka przyszła na świat. Kobieta bardzo starała się, by córce niczego nie zabrakło i by mogła realizować marzenia o tańcu, zarówno w balecie, jak i tradycyjnym stylu.

Czternastego września 1972 roku, czyli cztery miesiące po zabójstwie dwóch studentek, Kemper przemierzał ulicę University Avenue w Berkeley. Wtedy jego uwagę przyciągnęła zjawiskowa Aiko. Spóźniła się na autobus, próbowała więc

złapać stopa. Okrutne zrządzenie losu chciało, że podwózkę nastolatce zaproponował właśnie Ed. Dziewczyna bez wahania wsiadła do jego forda galaxie i usadowiła się na miejscu pasażera, tuż przy kierowcy. Podobnie jak w przypadku poprzednich ofiar, również tutaj Kemper zaczął krążyć i przedłużać trasę, wybierając jak najlepszą lokalizację, która pozwoli na zamordowanie ofiary i zabawę z jej zwłokami. Aiko zorientowała się, że coś jest nie tak. W panice zaczęła krzyczeć, błagając go, by ją wypuścił. Ale wtedy Ed wyciągnął broń ukrytą pod swoim fotelem z prawej strony i przystawił lufę do żeber dziewczyny. Był leworęczny, więc bez problemu manewrował kierownicą, jednocześnie trzymając nastolatkę na muszce. Mimo wyjętej broni Kemper próbował uspokoić Aiko. Przekonywał, że nie zamierza jej skrzywdzić, a jedynie potrzebuje z kimś porozmawiać. Twierdził, że ma myśli samobójcze i desperacko pragnie kontaktu z drugim człowiekiem. Opowiadając tę historię, zjechał z autostrady na wąskie górskie trasy w stronę Santa Cruz. To, co wydarzyło się później, trudno racjonalnie wytłumaczyć, ale najpewniej połączenie naiwności nastolatki z umiejętnościami manipulacyjnymi Kempera dało właśnie taki efekt.

Ed zatrzymał pojazd i wsunął broń pod siedzenie. Następnie powiedział do Aiko: „W moim schowku jest rolka taśmy, podaj mi ją". Dziewczyna posłusznie wykonała polecenie i wyjęła małe kartonowe pudełeczko. Kemper przyznał później, że drżały mu ręce, gdy próbował odnaleźć koniec taśmy. Gdy wreszcie mu się udało, oderwał kawałek i przykleił ofierze do ust. Powiedział: „Poruszaj szczęką. Sprawdź, czy dasz radę poluzować". Docisnął taśmę i poprosił dziewczynę, by przesiadła się na tylne siedzenie. I znów nastolatka bez protestu zrobiła to, co kazał jej mężczyzna. Ed otworzył drzwi i wysiadł z pojazdu, żeby przejść na jego tyły. Gdy chwycił za klamkę zrozumiał, że zamek jest zablokowany. Nerwowo zaczął szukać kluczy w kieszeni i wtedy poczuł lodowaty prąd przeszywający jego kark. Zrozumiał, że kluczyki zostawił w aucie, podobnie jak broń. Wtedy niespodziewanie drzwi otworzyła mu… Aiko. Była przekonana, że mężczyzna naprawdę nie zamierza jej skrzywdzić, nawet jeśli przed chwilą zakleił jej usta i wywiózł na odludzie. Był to błąd, który kosztował ją życie. Ed w ułamku sekundy rzucił się na

dziewczynę, przyciskając ją całym ciałem. Zaczął ją dusić, choć nie było to łatwe, bo nastolatka walczyła z nim z całych sił. Nie miała jednak żadnych szans w starciu z dwumetrową bestią. Gdy Kemper wyczuł, że z nastolatki uleciało już życie, zwolnił ucisk, wyciągnął ofiarę z samochodu i zgwałcił: „Nie minęło więcej niż piętnaście czy dwadzieścia sekund i miałem orgazm". Po seksie ponownie zaczął dusić dziewczynę, zaciskając na jej szyi szalik. Zaspokojony w każdym możliwym aspekcie chwycił drobne ciało, owinął prześcieradłem i wrzucił do bagażnika.

Jadąc w stronę domu, zobaczył niewielki bar. Jak mówił, tego dnia było niezwykle gorąco, dlatego zatrzymał się na kilka piw. Po zaspokojeniu pragnienia pojechał do matki. W tym czasie ciało Aiko spoczywało w bagażniku jego auta.

Po krótkiej rozmowie z matką dotarł do swojego mieszkania. Wyjął zwłoki i zaniósł je do łazienki: „Rozczłonkowanie ciała wymagało drobiazgowej pracy nożem i siekierą. Zajęło mi to około czterech godzin. Podcinanie kończyn, pozbycie się krwi, całkowite umycie wanny i łazienki".

Po tym, jak Kemper rozczłonkował ciało Aiko, zaczął przeglądać jej rzeczy. Wtedy dotarło do niego, że nie miał do czynienia z bogatą, wyniosłą kalifornijską dziewczyną, a młodziutką i żyjącą skromnie uczennicą. Koo wydawała mu się starsza, gdy ją porywał, dlatego jej wiek mocno go zaskoczył. Żeby uspokoić sumienie, pojechał później nawet w pobliże domu dziewczyny, by sprawdzić, czy na pewno nie była bogata.

W domu Ed zapakował części ciała dziewczyny, zachowując dla siebie ręce i głowę, które mogłyby ułatwić identyfikację. Pozostałe fragmenty wyrzucił w górach Santa Cruz. Głowę piętnastolatki woził później w bagażniku, nawet wtedy, gdy jechał na spotkania z psychiatrami. Tuż przed wejściem do gabinetu zerknął nawet raz jeszcze do bagażnika, by ponownie upajać się widokiem swojej zbrodni. Świadomość, że miał przy sobie fragment Aiko, niezwykle go podniecała: „Media zrobiły wielką sprawę na temat historii odrąbanych głów w bagażniku mojego samochodu. Ale zdarzyło mi się to tylko raz, bo gdybym nawet chciał, to nie było to więcej moż-

liwe. Wiesz dlaczego? W dolinie było prawie czterdzieści stopni, prawdziwy piec, a mój samochód nie ma klimatyzacji. Nie będę więc jeździł z odciętą głową, która zaraz będzie śmierdzieć. Jak tylko zaparkuję, wszystkie psy i koty z sąsiedztwa zbiegną się, żeby wąchać mój bagażnik. Tego dnia zabrałem głowę ze sobą, bo właścicielka mojego mieszkania jest wścibska. Kiedy wyjeżdżam na dwa lub trzy dni do domu mamy lub przyjaciela, to co mogę zrobić? Nic na to nie poradzę. Myślę, że mogłaby przyjść sprawdzić, czy nie chowam gdzieś haszyszu. Otworzyłaby lodówkę, żeby zobaczyć, co jest w tej papierowej torbie, i stanęłaby twarzą w twarz z odciętą głową! (śmiech). Zjadłem część mojej trzeciej ofiary. Pokroiłem kawałki mięsa, które włożyłem do zamrażarki. Dwadzieścia cztery godziny później ugotowałem mięso na patelni z makaronem, cebulą i serem. (…) Dlaczego to zrobiłem? Polując na zwierzęta w Montanie, przeprowadzałem eksperyment z kanibalizmem. Kiedy byłeś dzieckiem, na pewno zadawałeś sobie pytanie: Jak zareagowałbym na bezludnej wyspie z trzema innymi ludźmi bez jedzenia? A jeśli jedno z was jest chore? Po zjedzeniu jej znów byłem właścicielem mojej ofiary".

Po zniknięciu Aiko niemal w całej okolicy pojawiły się jej zdjęcia. Zza każdego rogu zerkała śliczna uśmiechnięta piętnastolatka. Jej matka rozpaczliwie próbowała odnaleźć ukochane dziecko. Nie miała jednak pojęcia, że w chwili, gdy ona wieszała fotografie, fragmenty ciała jej dziecka spoczywały już w górskich dolinach.

W styczniu 1973 roku Ed znów zamieszkał z matką. Ich relacje określił później dwoma słowami: miłość i nienawiść. Potrzebował jej pomocy finansowej, a ona, mimo całej pogardy do syna, nie pozwalała mu na dobre odejść. Ta toksyczna koegzystencja trwała więc w najlepsze i wyniszczała zarówno jedną, jak i drugą stronę.

Na początku miesiąca Ed wyrwał się z domu, by pojeździć autem w pobliżu college'u Cabrillo. Tam dostrzegł Cynthię Ann „Cindy" Schall, osiemnastoletnią blondynkę z długimi włosami. Potrzebowała podwózki, a Kemper z radością tę potrzebę postanowił zaspokoić. Dziewczyna wsiadła do pojazdu i oboje ruszyli przed siebie. Ed mknął w odludne

strony, by – podobnie jak w przypadku poprzednich ofiar – mieć przestrzeń do zabicia Cindy. Zawiózł ją więc do lasu. Tym razem zadziałał bardzo szybko – wyjął dwudziestkę dwójkę i zastrzelił nastolatkę. Ciało schował do bagażnika i, wiele ryzykując, zabrał do domu matki. Tam włożył je do szafy, w której przeleżało całą noc. Matka Kempera nie miała pojęcia, jak makabryczną tajemnicę skrywa tuż za ścianą jej jedyny syn.

Kiedy na drugi dzień kobieta wyszła do pracy, Ed wstał z łóżka, podszedł do szafy, otworzył drzwiczki i znów mógł upajać się widokiem ofiary. Wyjął ją i zgwałcił. Dla Eda współżycie ze zwłokami było jedynym rozwiązaniem, które pozwalało mu zbliżyć się do kobiety. Nie potrafił nawiązać normalnych relacji damsko-męskich. Zwłoki nie mówią, nie krzyczą, nie krytykują i nie wyśmiewają. Po prostu są, a on mógł zrobić z nimi wszystko to, o czym tylko zamarzył. Nie widział więc powodu, dla którego miałby nagle z tej przyjemności zrezygnować.

Po zaspokojeniu swoich potrzeb seksualnych przeniósł ciało Cindy do łazienki. Tam poćwiartował je piłą elektryczną, odciął głowę i usunął z niej kulę. Dzięki temu trudniej byłoby zidentyfikować sprawcę. Z całego ciała Schall zachował dla siebie głowę, którą później przez kilka dni gwałcił oralnie. Gdy – mówiąc brutalnie – przestała się do tego nadawać, zakopał ją w ogródku, kierując twarz w stronę okien do sypialni matki. Jak później tłumaczył: „Zawsze lubiła, kiedy ludzie na nią patrzyli”. Fragmenty ciała Schall odnajdywano kawałek po kawałku przez wiele tygodni.

Obcinanie głów było dla Eda niezwykle ważne, niemal symboliczne. Stawały się źródłem jego seksualnego wyładowania, ale też w pewien sposób go fascynowały. Jak mówił: „Głowy to były trochę trofea. Wiesz, w głowie jest wszystko: mózg, oczy, usta. To jest osoba. Pamiętam, że gdy byłem dzieckiem, mówiono mi, że jak odetniesz głowę, to ciało umiera. Jest niczym, jeśli pozbędziesz się głowy. Cóż, to nie do końca prawda. Z dziewczyny zostaje naprawdę dużo, nawet jeśli nie ma głowy. Oczywiście cała jej osobowość znika”.

Pragnienia związane z obcinaniem głów miały też swoje tło w przeszłości: „Chodzi o moje dzieciństwo. Pamiętam, jak ojciec odcinał głowy kurczakom, a mama podawała je rodzinie na kolację. Ojciec robił to takim specjalnym toporem, który mu podkradałem, wsiadałem na rower i jeździłem po okolicy. Nikomu o tym nie mówiłem, ale chyba wtedy zacząłem w fantazjach łączyć te kwestie – głów i odcinania ich".

Ze względu na tę niezwykłą słabość Ed z głowami rozstawał się zdecydowanie później niż z pozostałymi częściami ciała ofiar. Zatrzymywał je tak długo, jak tylko się dało. A potem porzucał lub – jak w przypadku Cindy – zakopywał tuż obok domu.

Alice Helen „Alison" Liu miała dwadzieścia jeden lat. Wierzyła, że jest w stanie zmienić świat i pokazać, że można, a nawet trzeba żyć inaczej, pomagając tym, którzy tej pomocy potrzebują. Udzielała się już w szkole Torrance High School, którą ukończyła w 1969 roku. Należała do Klubu Nauczycieli Przyszłości, była skarbnikiem Kalifornijskiej Federacji Stypendialnej, uczęszczała na kółka pisania i francuskiego. Do tego tańczyła i grała w szkolnych przedstawieniach, udzielała się również charytatywnie. Marzyła o karierze politycznej, stąd jej zaangażowanie w kampanię prezydencką w 1968 roku. Wspierała wówczas Richarda Nixona. Nauczyciele mówili o niej, że była bystra i energiczna, rozumiała potrzeby innych i zawsze interesował ją los ludzi, bez względu na pochodzenie i pozycję społeczną. Piątego lutego 1973 roku była widziana żywa po raz ostatni.

Tego dnia Ed wyszedł z mieszkania wściekły. Chwilę wcześniej pokłócił się z matką, która jako jedyna potrafiła aż tak wyprowadzić go z równowagi. Powiedział jej, że idzie do kina, wsiadł do auta i choć nie minęło dużo czasu od ostatniego zabójstwa, ruszył w stronę Uniwersytetu Santa Cruz. Już wtedy pojawiły się w okolicy ostrzeżenia przed seryjnym mordercą, który poluje na autostopowiczki. W górach odkrywano po kolei fragmenty ciał, a rodzice zgłaszali zaginięcia córek. Radzono, by – jeśli już trzeba łapać stopa – wsiadać do auta z nalepką uczelni. Ironia losu, prawda?

Ed pewny siebie krążył wokół uniwersytetu, wypatrując kolejnej ofiary. Odbywała się wówczas konferencja naukowa, więc w okolicy było mnóstwo studentów. Wtedy w oczy rzuciła mu się dwudziestotrzyletnia Rosalinda Heather Thorpe, która poszerzała swoje horyzonty z lingwistyki i psychologii. Zazwyczaj przyjeżdżała na zajęcia rowerem, ale tego dnia intensywnie padał deszcz, więc zrezygnowała. Potrzebowała jednak podwózki, dlatego gdy podjechał Kemper, zgodziła się wsiąść do auta:

Zauważyłem, że spojrzała na naklejkę, dzięki której mogłem parkować na terenie kampusu. Wzięła mnie za innego studenta i bez wahania usiadła obok mnie. Natychmiast zaczęła mówić. Pozwoliłem jej na to, była niezwykle otwarta, bardzo przyjazna. Zastanawiałem się, jak się zachować. Po chwili uznałem, że będzie moja. Poza tym miałem coś, co nazywałem jednym z tych małych ukłuć, które przeszło przez moje ciało. Za każdym razem, gdy je miałem, ktoś umierał. Nigdy nie zdarzyło mi się mieć tego ukłucia w innych okolicznościach. To moment, w którym wszystko układa się tak, jak powinno, jest idealnie. Nikogo nie było w pobliżu, strażnik niczego nie zauważył, a Thorpe też niczego nie podejrzewała. I oczywiście była też kimś, kogo w ogóle nie znałem. Była to jedna z moich zasad, od której nie odstępowałem. Postanowiłem też nigdy nie polować w Santa Cruz, bo tam mieszkałem. Było to ryzykowne, zwłaszcza z moją kryminalną przeszłością. Mógłbym zostać uznany za potencjalnego podejrzanego. Ale w miarę postępu moich zbrodni podejmowałem coraz mniej środków ostrożności.

Gdy już mieli opuszczać teren kampusu, Ed zauważył Alison Liu. Piękna dziewczyna przykuła jego uwagę. Również potrzebowała podwózki i uniesionym kciukiem dawała o tym znać przejeżdżającym kierowcom. Kemper natychmiast się obok niej zatrzymał i pozwolił jej wsiąść na tylne siedzenie.

Mówił później o Liu, że miała wspaniały uśmiech i zachowywała się z gracją, a jej strój był nieco konserwatywny, co bardzo mu odpowiadało. Nie przepadał za ówczesną, wyzwoloną modą.

W trakcie krótkiej jazdy Rosalind podtrzymywała rozmowę. Ed z ulgą odkrył, że dziewczyny się nie znają. Wolał, gdy były dla siebie anonimowe. Gdy tylko zbliżali się do bramy wyjazdowej z kampusu, ukazał się im oczom wspaniały widok oświetlonego Santa Cruz. Kemper zapytał towarzyszki, czy nie będą miały nic przeciwko temu, jeśli nieco zwolni, by mogli podziwiać widoki. Rosalind zgodziła się z entuzjazmem, nieco większy dystans płynął ze strony Alison, która chciała być już w domu. W końcu po dość długim krążeniu Ed sięgnął po broń ukrytą pod fotelem. Wiedział, że jeśli chce uniknąć paniki i walki, musi zadziałać szybko i z zaskoczenia. Wycelował więc i strzelił Thorpe w głowę. Całą drogę zastanawiał się, jak wygląda jej mózg, bo jak tłumaczył:

Miała szerokie czoło. Chciałem, żeby kula trafiła ją w sam środek mózgu.

Przerażona Alison zakryła twarz dłońmi. Ed odwrócił się do niej i strzelił dwukrotnie. Kula przeszyła jej ręce. Wtedy Kemper wycelował po raz trzeci i ostatni. Według jednej z wersji do zabójstwa obu dziewcząt doszło jeszcze na terenie kampusu. Ed przykrył ciała dziewczyn kocem i przekonał strażnika, że obie śpią pijane. Mężczyzna uwierzył i pozwolił mu opuścić obiekt.

Po zastrzeleniu ofiar morderca zjechał na ścieżkę z dala od głównej drogi. Wysiadł z pojazdu i po kolei przeniósł ciała do bagażnika. Był cały we krwi, uznał więc, że zanim wróci do domu i spotka się z matką, musi zmyć z siebie czerwone plamy. Zatrzymał się więc na stacji benzynowej i w toalecie umył ręce, a także starł powierzchownie ślady, które zostawiły po sobie ofiary. Gdy wszedł do domu, matka była już w środku. Powiedział jej, że zasnął w kinie, oglądając film, stąd jego długa nieobecność. Kobieta wpatrywała się w telewizor, co Ed szybko wykorzystał. Otwierając drzwi, rzucił, że musi kupić papierosy, i ponownie zniknął. Było około godziny 23.00. Upewnił się, że na parkingu, na którym zostawił auto, nikogo nie było, i szybko podszedł do bagażnika. Ryzykując jak jeszcze nigdy w życiu, chwycił za nóż myśliwski, odciął studentkom głowy i zostawił ciała w bagażniku na całą noc.

Nad ranem, jak każdego dnia, matka Kempera wyszła do pracy. Wykorzystał więc ten moment, podszedł do samochodu i wyjął z bagażnika odrąbane głowy. Ukrywając się przed sąsiadami, zaniósł je do domu. Najpierw trzymał je w swoim pokoju, później zdecydował, że musi je oczyścić i wyjąć z nich kule. Tak też zrobił, a po chwili znów poszedł do auta, tym razem po resztę ciała Alison. Bezgłowe zwłoki ułożył na swoim łóżku i odbył z nimi stosunek. Po zaspokojeniu seksualnej potrzeby leżał przez chwilę obok martwego ciała, wpatrując się w jego strukturę. Wtulony w zimne, okaleczone zwłoki zdecydował, że musi się ich pozbyć, podobnie zresztą jak wszystkich pamiątek, które zabierał ofiarom. Były to dokumenty, bielizna, biżuteria i inne osobiste przedmioty, które studentki miały przy sobie w chwili, gdy na ich drodze stanął Ed Kemper. Zapakował zwłoki i ruszył w stronę San Francisco. Miał nadzieję, że jeśli w pobliżu tego miasta porzuci ciała, to śledczy uwierzą, że właśnie z tych okolic pochodził zabójca. Ciała studentek wyrzucał kawałek po kawałku w różnych miejscach. Pierwsze fragmenty odnaleziono tydzień później w kanionie Eden, kolejne dopiero w marcu w pobliżu drogi stanowej numer 1.

Clarnell Elizabeth Stage urodziła się 17 marca 1921 roku w Winnett w stanie Montana. Uczyła się w Great Falls High School i szybko zdecydowała, co chce w życiu robić. Postanowiła, że zostanie sekretarką. W późniejszych latach los postawił na jej drodze Edmunda Kempera. Para wzięła ślub 26 listopada 1942 roku, chwilę później na świat przyszło troje dzieci. Mimo to małżeństwo nie należało do udanych. Ciągłe walki wyniszczały zarówno jedną, jak i drugą stronę. Osią sporu były przede wszystkim pieniądze, ale też brak zainteresowania dziećmi ze strony Kempera. A przynajmniej tak twierdziła jego żona. W końcu po dziewięciu wspólnych latach para zdecydowała się na rozwód. Edmund się wyprowadził, a Clarnell coraz częściej zaglądała do kieliszka.

Ed zawsze powtarzał, że jego matka nienawidziła mężczyzn, stąd jej niechęć do własnego dziecka. Ale mimo tych rzekomych negatywnych uczuć kobieta nie potrafiła być sama. Na ślubnym kobiercu stanęła ponownie 17 lutego 1962 roku. Jej wybrankiem był Norman Turnquist. Mężczyzna też nie

należał do długodystansowców, jeśli chodzi o małżeństwa. Clarnell była jego trzecią żoną. Norman pochodził ze stanu Montana, w przeszłości służył w amerykańskim korpusie piechoty morskiej. Jego misję przerwała kontuzja, która ostatecznie w 1945 roku zamknęła wojskowy rozdział jego życia. Gdy poznał matkę Eda, dorabiał jako hydraulik. Starał się być dobrym ojczymem, troszczył się o chłopca, zabierał na wędkarskie wyprawy i uczył polowania. Ale Ed nie potrafił go całkowicie zaakceptować. Raz nawet stanął za nim z metalowym prętem i wyobrażał sobie, że wali go z całej siły w głowę, kradnie mu samochód i ucieka do ojca.

Małżeństwo Clarnell i Normana rozpadło się zaledwie kilka miesięcy później. Kobieta, podobnie jak po pierwszym rozwodzie, również tym razem nie potrafiła cieszyć się samotnością. Niecały rok po opuszczeniu drugiego męża Clarnell po raz trzeci i ostatni wyszła za mąż. Tym razem postawiła na Harolda Strandberga. Oboje mieli wówczas po czterdzieści trzy lata. Trudno ocenić, jakie relacje panowały między ojczymem a Edem, bo Kemper nigdy o nim nie wspominał. Wiadomo jedynie, że Harold również zajmował się hydrauliką, a wcześniej pracował w szkole zawodowej. I tyle. Dla matki Eda relacja ze Strandbergiem zakończyła się w 1969 roku. Trzecie małżeństwo też okazało się całkowitą porażką.

W oczach Kempera jego matka była złem absolutnym, odpowiedzialnym za wszystkie jego cierpienia i problemy. Wyśmiewała go, obrażała, zapewniała, że nigdy nie znajdzie sobie partnerki. Każdego dnia umniejszała jego męskość, a jednocześnie chciała mieć nad synem całkowitą kontrolę. Była władcza, ale chciała mieć przy sobie silnego i twardego mężczyznę, którym ojciec Kempera nigdy nie był. Dlatego związek się rozpadł. W synu widziała kopię pierwszego męża, również słabą i niezdolną do zapanowania nad własnym życiem. Nieustanne poniżenia sprawiły, że Ed coraz częściej fantazjował o odebraniu jej życia. Wiedział, że wtedy cała agresja, która w nim drzemie, wreszcie znajdzie ujście. Zabójstwo matki miało więc być wielkim finałem, który zamknie najdłuższy i najtrudniejszy rozdział w jego życiu.

Dwudziestego kwietnia 1973 roku Ed zadzwonił do matki, gdy ta była jeszcze w pracy. Powiedział jej, że załatwia w oko-

licy kilka spraw i wkrótce będzie w domu. Ona odparła, że wybiera się na kolację i wróci dopiero w nocy. Chwilę później Kemper był już na miejscu. Chwycił za piwo, rozsiadł się przed telewizorem, a potem poszedł spać około północy. Obudził się kilka godzin później, gdy matka wróciła do domu. Wszedł do niej do pokoju i – jak mówił – chciał z nią spokojnie porozmawiać. W odpowiedzi jednak usłyszał: „Rozumiem, że teraz przez całą noc będziesz tu siedział i opowiadał". Poirytowany Ed odburknął jedynie „dobranoc" i zniknął za drzwiami. Było około 4.00 nad ranem. W domu zapanowała głucha cisza przerywana jedynie raz po raz ulicznymi odgłosami z zewnątrz. Clarnell pogrążyła się w głębokim śnie, w przeciwieństwie do jej syna. Odczekał godzinę, by mieć pewność, że matka jest już całkowicie nieświadoma tego, co za chwilę wydarzy się w jej pokoju.

Na zegarze wskazówki zbliżały się do 5.15. Ed wstał z łóżka, poszedł do kuchni, chwycił młotek oraz nóż i ruszył w stronę sypialni Clarnell. Mówił później:

Na pewno chciałem dla mojej matki miłej, cichej, łatwej śmierci. Takiej, jaką chyba wszyscy chcą. Jedynym sposobem na osiągnięcie tego było zabicie jej w łóżku, we śnie. Następne, o czym musiałem zdecydować, to o sposobie, w jaki to zrobię.

W prawej ręce Ed trzymał ostrze, to samo, którym zabił Mary Anne Pesce. W lewej natomiast ściskał trzonek młotka. Wślizgnął się do sypialni tak cicho, jak tylko potrafił.

Spała mocno. Poruszyła się lekko i pomyślałem, że może się obudziła. Czekałem więc i czekałem, a ona tam po prostu leżała. Zbliżyłem się do jej prawego boku. Stałem tam przez kilka minut. (...) Około 5.15 uderzyłem ją tuż nad skronią po prawej stronie. Zadałem bardzo mocny cios i wydaje mi się, że upuściłem młotek albo go odłożyłem czy coś. Krew zaczęła spływać jej po twarzy, ale ona wciąż oddychała, słyszałem oddech. (...) Po tym, jak ją uderzyłem, przewróciłem ją na plecy i trzymając jej podbródek prawą ręką, podciąłem jej gardło. Krwawiła obficie po całym ciele.

Ale Kemper na tym nie poprzestał. Uznał, że jego matka zasłużyła na taki sam los jak jego ofiary. Dlatego obciął jej

głowę, którą wykorzystał seksualnie. Później położył głowę Clarnell na półce, krzyczał na nią, a następnie rzucał w nią lotkami jak do tarczy. Na koniec wyciął język i krtań. Jak tłumaczył, chciał, by matka wreszcie przestała wrzeszczeć. Wyrwaną krtań wrzucił do zlewozmywaka. Włączył młynek, który był umieszczony w odpływie, i czekał, aż posieka fragment ciała matki. Ten się jednak zaciął i wyrzucił zawartość prosto na Kempera. Skomentował to później: „Nawet po śmierci nie przestała na mnie bluzgać. Niezależnie od wszystkiego darła mordę!".

Gdy skończył wyładowywać się na głowie, chwycił ciało Clarnell, schował je w szafie, a sam poszedł na drinka do baru. Wieczorem zadzwonił do przyjaciółki matki Sary „Sally" Hallet. Zaprosił ją na kolację, a także wspólne oglądanie filmu. Kobieta, nie zdając sobie sprawy z zamiarów Kempera, pojawiła się chwilę później w jego domu. Ed niemal natychmiast chwycił ją dłonią za gardło, ścisnął z całej siły i podniósł do góry. Dusił tak długo, aż złamał jej kark. Głowa bezwładnie zwisała z dłoni Kempera, który wpatrywał się w nią, nie zdając sobie sprawy, że ofiara już nie żyje. Gdy dotarło do niego, że Sally nie oddycha, obciął jej głowę i usnął w towarzystwie trupa.

W 2017 roku Ed, ubiegając się o warunkowe zwolnienie, wyjaśnił, dlaczego zabił Hallet. Przyznał, że była to zemsta, bo kobieta w ostatniej chwili odwołała wakacyjny wyjazd z jego matką. Przyjaciółki miały spędzić cztery tygodnie w Europie, ale po wycofaniu się Sally Clarnell musiała jechać sama. Gdy wróciła, chciała opowiedzieć Hallet o wrażeniach. Ta jednak odparła, że nie jest zainteresowana tymi historiami. Po wyjściu przyjaciółki Clarnell chwyciła za zdjęcia i dzienniki z podróży, usiadła z Edem i jemu zaczęła opowiadać, jak wyglądał jej pobyt w Europie. Po chwili jednak zawiesiła głos, spojrzała na syna i powiedziała: „Nie pozwolę ci się nade mną litować". I odeszła. Ed później opowiadał: „Powiedziałem sobie, że jeśli moja matka kiedykolwiek umrze z mojej ręki, to Hallet wyruszy tam z nią. To jedyna wycieczka, której nie przegapi. Z tego się nie wycofa. Złożyłem przysięgę".

Po nocy spędzonej ze zwłokami Sally Kemper schował je do szafy, posprzątał mieszkanie i zostawił list dla policji. Był

przekonany, że wkrótce go zatrzymają. Tym razem zabił we własnym domu, w dodatku matkę i jej przyjaciółkę. Nie były to już anonimowe morderstwa na odludziu w górach. Odkrycie zwłok i schwytanie go było więc w jego odczuciu kwestią czasu.

Około 5.15 rano w sobotę. W rękach „morderczego rzeźnika" nie cierpiała długo. To stało się szybko – we śnie – tak jak zaplanowałem. Akcja była zaplanowana i przebiegła pomyślnie, panowie. Nie mam więcej czasu. Jestem zajęty!

Notatkę zostawił w domu razem ze zwłokami matki i jej przyjaciółki, a sam ruszył w stronę Pueblo w stanie Kolorado. Pokonał aż 2300 kilometrów. Był przekonany, że za chwilę ruszy za nim pościg i najpewniej wda się w strzelaninę z policjantami, w której prawdopodobnie zginie. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Dni mijały, kilometrów na liczniku przybywało, a w żadnych mediach nie było słychać o obławie na Eda Kempera, który zamordował własną matkę. Zamiast rozgłosu z eteru popłynęła cisza. Żadnej wzmianki o brutalnych mordach, żadnych blokad i podekscytowanych dziennikarskich relacji. Po czterech dniach Kemper powiedział sobie „wystarczy". Miał dosyć ucieczek i chowania się w obcych miasteczkach. Podjechał do budki telefonicznej i zadzwonił na policję. Przedstawił się i wyznał, że zabił matkę, a także jej przyjaciółkę. Funkcjonariusz, który z nim rozmawiał, nie uwierzył jednak w tę opowieść i zignorował Kempera. Po kilku godzinach ponownie zadzwonił i poprosił o połączenie go z policjantem, którego znał osobiście. Wtedy powtórzył swoją opowieść, wyjawił, gdzie jest, a następnie czekał na przyjazd funkcjonariuszy. Po zatrzymaniu wyjaśnił, dlaczego sam oddał się w ręce służb: „Najważniejszy cel został osiągnięty. Moje działania nie miały żadnego innego celu. Tylko marnowałem czas. Nie zniósłbym tego dłużej. W punkcie, w którym teraz się znalazłem, dociera do mnie szaleństwo całej sytuacji. W chwili niemal całkowitego wyczerpania nie pozostało mi nic innego, jak stwierdzić »do diabła z tym« i przyznać się".

Kemper czekał spokojnie, aż policja dotrze do Pueblo i go schwyta. W tym czasie inna ekipa przeszukiwała już jego mieszkanie. Funkcjonariusze natychmiast przeszli do pokoju Eda. Podnieśli materac od łóżka, który był dosłownie prze-

siąknięty krwią. Zajrzeli też do szafy, w której ukryte były zwłoki. Większość z nich mówiła później, że czegoś takiego w całej swojej policyjnej karierze jeszcze nie widziała. Znaleziono też liścik, który Kemper zostawił, uciekając po zabójstwie. Funkcjonariusze byli zaskoczeni jego treścią, a także skalą zbrodni, której dokonał z pozoru niewinny znajomy z baru.

Do Pueblo przyjechał prokurator okręgowy Santa Cruz Peter Chang. Na jego widok Ed powiedział: „Cześć, panie Chang!", zupełnie jakby byli sąsiadami, którzy właśnie spotykają się przy płocie domu jednego z nich. Kemper był wówczas całkowitym przeciwieństwem swojego wyglądu. Wydawał się niebezpieczny (i taki w istocie był), szalony i nieobliczalny. Tymczasem przed śledczymi siedział potulny jak baranek olbrzym, który zgadzał się na wszystko i nie robił żadnych problemów. Chang powiedział później dziennikarzom, że Ed był „niezwykle uprzejmy, chętny do współpracy, elokwentny i inteligentny". Ważący blisko 130 kilogramów dwumetrowy morderca bez jakiejkolwiek dyskusji podpisał papiery dotyczące przewiezienia go do Santa Cruz. Nie zgodził się też na adwokata. Powiedział wówczas: „Nie sądzę, żeby było to potrzebne".

Wsiadł do samochodu razem z funkcjonariuszami i ruszył w stronę Santa Cruz. Podróż mijała spokojnie, Ed był rozmowny, chętnie też żartował i palił papierosy razem z policjantami, którzy co prawda czuli lekki dyskomfort, przebywając w zamkniętym pomieszczeniu z tak brutalnym mordercą, ale większość z nich szybko go polubiła. Nie było w tym nic dziwnego, Kemper wzbudzał powszechną sympatię. Był uśmiechnięty, opanowany, doskonale się wysławiał i chętnie współpracował. Policjanci na takie zachowanie odpowiadali dobrym traktowaniem.

Dwudziestego ósmego kwietnia 1973 roku Ed trafił do aresztu w Santa Cruz. Tam przyznał się, że to on stał za zabójstwami autostopowiczek. Opowiedział, co robił ze zwłokami, gdzie zakopał głowę jednej z ofiar, a także dlaczego to robił. Policjanci przeszukali jego auto, w którym znaleziono łopatę, zakrwawiony nóż, a także kosmyki włosów i plamy krwi jego ofiar. Niektórzy funkcjonariusze przyznali, że – zaglądając do

pojazdu Kempera – czuli się nieswojo. Wszystkie zgromadzone dowody zabezpieczono i przekazano do analizy.

Na początku maja Ed Kemper został oskarżony o dokonanie ośmiu morderstw pierwszego stopnia. Otrzymał adwokata z urzędu, którym był Jim Jackson. Uznanie go za niewinnego nie wchodziło w grę, bo przyznał się do wszystkich zbrodni. Obrońca nie miał więc wyjścia, musiał zagrać jedyną dostępną kartą – niepoczytalnością. W przeszłości Kemper leczył się już psychiatrycznie, adwokat wierzył więc, że taka linia sprawdzi się i tym razem. Tym bardziej że Ed – przebywając w areszcie – dwukrotnie próbował się zabić. Raz zrobił to, przecinając sobie nadgarstek długopisem, który otrzymał od jednego z dziennikarzy. Rozpoczęty chwilę wcześniej proces został przerwany. Wznowiono go 23 października 1973 roku.

Kluczowa stała się opinia biegłych, którzy – dokładnie analizując zbrodnie i zachowanie Kempera, również w latach wczesnej młodości, gdy zdiagnozowano u niego psychozę – uznali, że w chwili popełniania zabójstw był poczytalny. To z kolei oznaczało, że Ed doskonale wiedział, co robi, znał wagę swoich zbrodni, potrafił też ocenić, czy jego zachowanie jest dobre, czy złe. W dodatku przyznał się do kanibalizmu i poniekąd był nawet dumny z tego, co zrobił. Cieszyła go perspektywa sławy i zainteresowania, jakim obdarzała go opinia publiczna. Było to całkowite przeciwieństwo tego, co dostawał od matki.

Na pytania prokuratura Kemper odpowiadał 1 listopada. Przyznał, że zabijał, bo chciał mieć kontrolę nad ofiarami. Były dla niego elementami kolekcji, a nie ludźmi. Zresztą w trakcie późniejszych wywiadów, mówiąc o ofiarach i zbrodniach, używał słowa „rzeczy”. Ludzkie życie nie miało dla niego większej wartości, a mordowane kobiety były niczym więcej jak drogą do zaspokojenia jego potrzeb i fantazji seksualnych. Mimo to przekonywał, że nie zdawał sobie sprawy ze skali swoich zbrodni, bo cierpiał na zaburzenia umysłowe. Według niego tylko osoba chora mogłaby w taki sposób zadawać cierpienie. Mówił też, że w jego ciele żyją dwie osobowości. Kiedy ta mordercza zaczyna mieć przewagę, odczuwa coś w rodzaju zamroczenia.

Tydzień po zeznaniach Kempera ława przysięgłych udała się na obrady. W jej skład wchodziło sześć kobiet i sześciu mężczyzn. Nie debatowali nad tym, czy Ed jest winny. W grę wchodziła kwestia uznania go za poczytalnego lub odesłania do zakładu psychiatrycznego. Przysięgli musieli zmierzyć się z ogromnym materiałem zawierającym brutalne szczegóły zbrodni, które zapamiętali na zawsze.

Po pięciu godzinach obrad decyzja zapadła: Ed Kemper był poczytalny w chwili popełniania zbrodni, uznano go też za winnego wszystkich ośmiu zabójstw. Gdy zapytano go, jaką karę chciałby otrzymać, odparł, że śmierć przez tortury. W tamtym czasie obowiązywało jednak moratorium na karę śmierci, dlatego Ed usłyszał wyrok siedmiokrotnego dożywocia.

Posyłając go na resztę życia za kratki, sędzia Harry Brauer powiedział: *Niech Bóg zmiłuje się nad pańską duszą, panie Kemper, ale rozumie pan, że muszę chronić resztę społeczeństwa przed takimi jak pan.*

Ed przyjął wyrok z ogromnym spokojem, a nawet zadowoleniem. Skuty w kajdany podszedł do sędziego i podziękował mu za cały proces, a także za to, że traktował go z szacunkiem. Podziękował też prokuratorowi Changowi. Zdecydowano, że karę odbędzie w więzieniu California Medical Facility w Vacaville. Ta ogromna placówka otwarta w 1955 roku jest w stanie pomieścić ponad dwa tysiące trzystu więźniów. Jednym z nich stał się Edmund Kemper.

Wylądował w tym samym zakładzie co Charles Manson. Nie było tajemnicą, że Kemper gardził przywódcą sekty. Dary Matera, autor książki *The shocking true story of the Co-Ed Butcher,* tak to tłumaczył:

Jeden gigant, drugi krewetka. Manson, mimo panującego przekonania, nie był praktykującym zabójcą. Właściwie nigdy nikogo nie zamordował. Został skazany za to, że był przywódcą odurzonej kultem grupy hippisów, która dokonała brutalnej rzezi. Manson albo zlecił zabójstwa, albo ich nie powstrzymał. Ed z kolei był samotnym wilkiem, który był bardzo zaangażowany, jeśli chodzi o morderstwa, nekrofilię i przerażające okaleczenia. Manson zwerbował do swojej

rodziny młode kobiety z Kalifornii, ale nie zrobił im fizycznej krzywdy. Były jego kochankami, ukochaną rodziną. Natomiast Ed porywał i rozrywał na strzępy takie kobiety. Tak więc obaj nie mieli ze sobą zbyt wiele wspólnego. Ed czasami wskazywał na różnicę między sobą a Mansonem ze względu na ich wzrost i siłę, a także sposób, w jaki radzili sobie z trudnym dzieciństwem. Mały i słaby Manson był wykorzystywany seksualnie w ośrodkach dla nieletnich. Duży i silny już w młodości Ed uniknął tego losu, mimo że jako nastolatek trafił do zakładu psychiatrycznego, gdzie przebywało prawie tysiąc przestępców seksualnych. Opłaca się być największym i najsilniejszym potworem w dżungli.

W więzieniu Kemper nie sprawiał żadnych problemów. Był spokojny, udzielał się w życiu zakładu, nie wdawał się w żadne większe konflikty. Wzbudzał respekt, dlatego też nie musiał obawiać się o wewnętrznych wrogów. Miał dobry kontakt ze strażnikami i chętnie uczestniczył w różnych zajęciach. Tworzył ceramiczne naczynia, a także został lektorem audiobooków przygotowanych dla osób niewidomych. Jego spokojny, niski głos był dobrze przyjmowany. W studiu spędził łącznie ponad 5 tysięcy godzin i stworzył kilkaset nagrań. Musiał z tego zrezygnować, gdy w 2015 roku przeszedł wylew.

Ed stał się też doskonałym rozmówcą dla dziennikarzy i materiałem badań dla behawiorystów. Chętnie się z nimi spotykał i udzielał wywiadów, szczegółowo opisując swoje zbrodnie. Dzielił się nawet własnymi przemyśleniami i doświadczeniem:

Ed Kemper: *Cóż, nie jestem ekspertem. Nie jestem autorytetem. Jestem kimś, kto jest mordercą od prawie dwudziestu lat.*

Dziennikarz: *Czy możesz powiedzieć, ile osób może popełniać takie przestępstwa jak ty?*

Ed Kemper: *To byłoby zgadywanie, ale mniej więcej trzydziestu pięciu. To nie jest aż tak niemożliwe w tym społeczeństwie. Zdarza się.*

Dziennikarz: *Jest więcej takich osób?*

Ed Kemper: *Oni nigdy się nie ujawnili. On, ona. Nie ujawnili się. Ja tak. Wyszedłem z ukrycia. To, co chcę powiedzieć, to to, że są tacy ludzie, którzy wolą pozostać w ukryciu.*

Dziennikarz: *Co ludzie widzą?*

Ed Kemper: *Miłego faceta.*

Dziennikarz: *Potrafiłeś wyglądać jak zwykła osoba, niezagrażająca…*

Ed Kemper: *Przez większość mojego życia żyłem jak zwykły człowiek. Mimo że prowadziłem równoległe i coraz bardziej chore życie. Inne życie.*

W trakcie pobytu w więzieniu Ed spotykał się z Johnem Douglasem, jednym z najwybitniejszych profilerów w dziejach FBI. Douglas rozmawiał z wieloma najgroźniejszymi przestępcami, próbując zrozumieć, jak działa ich umysł. To właśnie on stał się pierwowzorem postaci agenta Jacka Crawforda znanego z książki i filmu *Milczenie owiec.* Sam napisał *Mindhunter,* który był inspiracją do stworzenia serialu Davida Finchera pod tym samym tytułem. Douglas o Kemperze pisał:

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to jego okazała postura. Wiedziałem, że jest wysoki (w szkole i na podwórku uchodził z tego powodu za dziwaka, z którym lepiej się nie zadawać), ale dopiero z bliska doceniłem w pełni jego rozmiary. Każdego z nas mógłby z łatwością przełamać na pół. (…) Szybko potwierdziło się również, że Kemper jest bystrym gościem. Więzienne akta mówiły o IQ 145, a podczas wielogodzinnych rozmów co jakiś czas nachodziła nas niepokojąca myśl, że znacznie przewyższa nas inteligencją. (…) Nie biła z niego nadmierna pewność siebie ani arogancja. Nie okazywał wyrzutów sumienia ani skruchy. Sprawiał wrażenie dość spokojnego, jakby trochę zdystansowanego. Mówił chętnie, miał analityczne podejście. Czasem tak się rozgadywał, że nie potrafiliśmy wtrącić kolejnego pytania. Kiedy wspominał, w jaki sposób traktowała go matka, oczy zachodziły mu łzami.

I tu zatrzymam się na chwilę. Wzruszenie przy wspominaniu matki pojawiało się u Kempera zaskakująco często. Nieustannie przekonywał, że choć jej nienawidził, to na swój sposób również kochał. Rozklejał się nawet w trakcie telewizyj-

nych wywiadów. Relacja między nimi była więc na najwyższym poziomie toksyczności.

Szczególnie zainteresowała mnie metodologia Kempera. Ponieważ udawało mu się bezkarnie popełniać kolejne zbrodnie na relatywnie niewielkim terenie, musiał wykazywać się pewną „skutecznością". Zapewne analizował własne poczynania i doskonalił technikę mordowania. Należy pamiętać, że dla większości osobników pokroju Kempera polowanie na ofiary i zabijanie jest najważniejszym „zajęciem", więc nic dziwnego, że mają wszystko dokładnie przemyślane. (...) Kemper okaleczył ciała wszystkich ofiar, co sugerowało, że jest seksualnym sadystą, ale ponieważ do okaleczenia dochodziło dopiero po śmierci ofiary, jego intencją nie było wymierzenie kary ani zadanie cierpienia. Po wielu godzinach rozmów z Kemperem stało się jasne, że była to czynność o charakterze fetyszystycznym, a nie sadystycznym, i wiązała się z fantazją o zaborczości. (...) W następnych latach przeprowadziliśmy wiele długich rozmów z Kemperem. Wszystkie były pouczające, a jednocześnie przerażające z powodu makabrycznych szczegółów zbrodni. Człowiek ten z zimną krwią zaszlachtował inteligentne dziewczyny będące w kwiecie wieku. Owszem, przyznaję, polubiłem Eda. Był sympatyczny, szczery, wrażliwy i miał poczucie humoru. Na ile to było możliwe w takich okolicznościach, przebywanie w jego towarzystwie sprawiało mi przyjemność. Nie chciałbym jednak, aby wyszedł na wolność – jemu samemu zresztą zdarzały się przebłyski świadomości, kiedy podzielał ten pogląd. Tak czy owak sympatia, jaką do niego żywię, powinna skłonić do refleksji każdego, kto zajmuje się seryjnymi sprawcami brutalnych przestępstw. Wielu z nich to uroczy i elokwentni faceci.

Zdaniem Kempera udzielanie wywiadów i rozmowy z agentami FBI są szansą na to, by uchronić niektóre osoby przed ścieżką, na którą on wkroczył. Wierzył, że dzięki zrozumieniu własnych emocji i pragnień będą mogli łatwiej zdiagnozować swój problem, a służby szybciej wykryją potencjalnego zabójcę: „Wśród widzów zapewne jest ktoś, kto chce zabijać i czuje w sobie złość, chociaż jeszcze tego nie zrobił i stara się zdusić to uczucie albo jest przekonany, że ma je pod kontrolą. Taka osoba potrzebuje z kimś o tym porozmawiać.

Zaufać komuś na tyle, aby spotkać się i porozmawiać o tym, co nie jest zbrodnią, myślenie nie jest zbrodnią. Zastąpienie myśli działaniem to nie tylko zbrodnia, to straszna rzecz. Kiedy zacznie się zabijać, nie ma temu końca i trudno się zatrzymać".

Zaledwie kilka lat po skazaniu Kemper złożył wniosek o zwolnienie warunkowe. Został on jednak odrzucony. Kolejne pisma wysyłał w 1980, 1981 i 1982 roku. Za każdym razem bezskutecznie. W 1985 roku sam nie skorzystał z możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe, a w 1988 roku ponownie odrzucono jego prośbę. W trakcie trzygodzinnego przesłuchania stwierdzono, że nadal stanowi zagrożenie dla ludzi, a jego zbrodnie wciąż szokują sumienie publiczne. Kemper powiedział wówczas: „Społeczeństwo nie jest gotowe na przyjęcie mnie. Nie mogę go za to winić". Ostatni wniosek, który złożył, sięga roku 2017. Kolejny będzie mógł złożyć w 2024 roku. W jednym z wywiadów przyznał, że nie spodziewa się, by przyszło mu jeszcze kiedykolwiek zaznać wolności.

Ed Kemper ma dziś siedemdziesiąt cztery lata. W trakcie kręcenia serialu *Mindhunter* o spotkanie z nim zabiegał aktor Holt McCallany, który wcielił się w postać agenta FBI Billa Tencha. Nie dostał jednak żadnej odpowiedzi z więzienia. Później dowiedział się, że Ed porusza się na wózku inwalidzkim i nie przyjmuje już żadnych gości.

W 1991 roku Kemper udzielił wywiadu Stephane Bourgoin. Poniżej najciekawsze fragmenty:

Nie wybierałem nigdy ofiar. To było przypadkowe. To wynikało z moich żądz. Jak żądze narastały, to ludzie umierali. Tak jak dwie ostatnie ofiary. Byłem tak zdenerwowany, że zabiłbym każdego, kogo wciągnąłbym do samochodu. (...) Ale bywało też inaczej. Kiedyś wiozłem kobietę i jej syna przez Oregon. Była 20.30, może 21. Zapadała noc. Szosa była już zamglona. Jechaliśmy i nie spotkaliśmy po drodze żadnego innego auta. Było zupełnie pusto. I nagle po drodze mijamy dwie licealistki siedemnasto-, osiemnastoletnie, które wymknęły się z pobliskiej farmy. Musiały potajemnie jechać do miasta na imprezę, bo polowały na pierwszy lepszy autostop. Ten widok bardzo

mnie zdenerwował. Bardzo musiałem ze sobą walczyć, żeby nie zabić kobiety, którą wiozłem, i jej dwunastoletniego syna. Mówiłem sobie: „nie daj się", „nie bądź miękką fają". A bardzo chciałem coś im zrobić. Warunki były wręcz idealne. Nikt mnie nie widział, nikt nie wiedział, kim jestem ani gdzie jestem. Całość wyglądała, jakby tę matkę z synem podano mi na srebrnej tacy. I to mnie zaskoczyło i nieco przestraszyło… Aż uznałem, że lepiej nic nie robić. Wiesz… Wszystko było gotowe. Ofiary na miejscu, całość przygotowana, ale jednak nie zabiłem ich. Nie byłem na to gotów w swojej głowie. Czasami po prostu tak było, że kogoś brałem do auta i zawoziłem cało tam, gdzie chciał. W zasadzie zabijałem tylko, gdy wdawałem się z tą osobą w sprzeczkę. I nie mogłem sobie z tym poradzić.

Jak się okazuje, Ed niektóre ofiary darzył sympatią. Tak było w przypadku Mary Ann Pesce:

To nie do końca tak było, choć coś mnie do niej ciągnęło. Nie było to jednak współczucie. Była gorącą młodą panienką, choć nieco wywyższającą się wobec innych. Nie była piękna, nie była jednak też przeciętna. Była jakoś pomiędzy. Miała jednak coś w sobie. Generalnie była jak te wszystkie dziewczyny z dobrego sąsiedztwa. Miała jakiś tam urok i próbowała go maksymalnie wykorzystać, by się wywyższyć, by udawać lepszą od innych. I taka była. Jej koleżanka była natomiast fajną zwykłą dziewczyną. Taki typ otwartej wiejskiej dziewczyny. Szkoda. Pesce była specjalistką od jazdy autostopem. Podróżowała kiedyś po Europie. Robiła to także w Stanach Zjednoczonych. Była w tym doświadczona. W związku z tym nie chciała wsiadać do mojego samochodu. Prawie jej się udało. (…) Jedna dziewczyna ostatecznie do mnie nie wsiadła. Gdy później dowiedziała się, co się stało, to załamała się. Zrezygnowała z uczelni. A potem zeznawała na moim procesie. Musiała wtedy wiedzieć, że też o mało nie zginęła. (…) Anita nie była autostopowiczką. Wychowała się w rodzinie, w której takich rzeczy się nie robiło. To koleżanka ją namówiła, przekonując, jak fajnie jest podróżować z ludźmi. I tak to wyglądało. Podjechałem do nich. Zapytały, gdzie jadę. Powiedziałem, że do Stanford – tak jak napisały na kartce. Anita powiedziała „super", wrzuciła bagaże do auta, wskoczyła do mnie i cze-

kała na koleżankę. A Mary Ann była doświadczona. Patrzyła na mnie i chyba czuła, co się święci. Wiedziała, że chyba lepiej nie wsiadać. Wiedziała, że bezpieczniej jest wsiadać do auta czterodrzwiowego, z którego łatwo uciec. Moje było trzydrzwiowe, więc żeby wysiąść – a siedziały na tylnej kanapie – musiały iść przodem. Czyli przeze mnie. Dla niej to był sygnał ostrzegawczy. Postanowiłem więc odegrać scenkę. Popatrzyłem na swój zegarek, dając sygnał pod tytułem „No ile jeszcze mam czekać, decydujcie się". Ona na mnie popatrzyła, szukając czegoś, co jest nie tak. Ja też na nią popatrzyłem z miną „Co jest? W czym problem?". I wtedy uznała: „Eee, ten facet to zwykły frajer, jest niegroźny". I wsiadła. I pamiętam, jak jechaliśmy. Cały czas patrzyłem w lusterko wsteczne na Mary Ann. Chociaż miałem okulary, ona to zauważyła i patrzyła na mnie. I to ciekawe. Zamiast powiedzieć: „Na co się gapisz, weź nas wysadź", ona tylko patrzyła. Myślę, że to była taka jej gierka. Jedna z tych psychologicznych gierek między mężczyznami a kobietami.

Po pierwszym zabójstwie studentek Ed wielokrotnie wracał do tego myślami:

Pamiętam, że dwa dni po zabójstwie wróciłem z pracy. To był wtorek. W niedzielę zrobiłem to, o czym mówimy, w poniedziałek zrobiłem sobie wolne, a we wtorek poszedłem do pracy. Po pracy wróciłem do domu, zmęczony po ciężkim dniu. I dopadły mnie obrazy tego, co zrobiłem. Nie mogłem uwierzyć. Myślałem, że to jakiś dziwny sen. Więc w domu wyjąłem zdjęcia moich dokonań spod dywanu, popatrzyłem na nie… I powiedziałem: „Raaaany, nie wierzę, że to się naprawdę stało". Tak mocno dystansowałem się od tego, co robię, że raptem dwa dni po nie byłem w stanie w to uwierzyć. Po dwóch tygodniach te zdjęcia zaczęły mnie przygniatać. To tak jak oglądanie starych westernów, gdzie w filmach doktor wyjmował komuś czaszkę, trepanował ją i robił z niej piórnik na biurko. Dla mnie to zawsze było odrażające i dziwne.

Zawsze czułem się zastraszony przez kobiety. Przygnieciony przez nie. Zwłaszcza jako dziecko. Jako dorosły lubiłem być duszą towarzystwa. Śmiało chodziłem z ludźmi na pizzę i piwo. Ale nie z kobietami. Z nimi było mi ciężko. Trochę przez matkę. Ciężko mi było walczyć z nią i równocześnie roz-

mawiać z kobietami. A moja matka lubiła mnie krzywdzić i ciągle otwierać stare rany. Był w niej sadyzm. Wiedziała, jak mnie psychicznie dotknąć. Znała przecież wszystkie klucze do mojej duszy. Moja matka miała ciężko od pierwszego dnia. Była samotną matką. Ale próżną i dumną. Gdy pierwszy raz zostałem zamknięty, była w szoku. Bo urzędnicy stanu Kalifornia przyszli do niej, mówiąc: „Odbieramy ci dziecko, bo jesteś złą matką, nie nadajesz się, jest przecież mordercą, zabił ludzi". Po pięć i pół roku resocjalizacji oddali mnie jej i co? I jestem bardzo zdolnym, dobrze wyglądającym młodym człowiekiem. Który chce pracować, sam się utrzymywać, chce być z ludźmi, nie boi się ich. To ją wystraszyło i musiało zmienić. Musiała poczuć, że jest złą matką. Bo ktoś wychował jej dziecko lepiej od niej. Dlatego musiała zacząć mnie atakować. Bo zostałem wrzodem w jej życiu. A urzędnicy popełnili błąd. Oddali mnie w najgorsze możliwe miejsce. W jej ręce. Więc z nią walczyłem. I nawet ją rozumiem. Musiałem być dla niej ogromnym wyrzutem sumienia. Chodzącym dowodem na to, jak złą matką musiała być.

Jeden z pracowników więzienia zapytał kiedyś Eda, jaki jest jego największy wkład w rozwój społeczeństwa. Kemper odpowiedział z rozbrajającą szczerością: „Nauczyłem kobiety nie jeździć autostopem".

ZAKOŃCZENIE

Aż 95 procent seryjnych morderców to mężczyźni. Zdecydowana większość z nich w chwili popełniania szokujących zbrodni jest poczytalna. Nawet wtedy, gdy w grę wchodzi obcinanie głów i gwałcenie ich lub zjadanie ugotowanej wcześniej ludzkiej wątroby. Doskonale wiedzą, co, jak i komu robią, a także jaka kara za to grozi. Pragnienie zadawania bólu i seksualne zaspokojenie są jednak znacznie silniejsze niż widmo jakiejkolwiek kary, z egzekucją włącznie. Około 30 procent z nich cechuje się wysokim ilorazem inteligencji, co czyni ich jeszcze bardziej niebezpiecznymi, niż może się wydawać. To nie są zwykli przestępcy, którzy napadają na miejscowe sklepy. To drapieżniki, które kierują się instynktem i wszystkimi zmysłami. Co gorsza, nie przestaną polować, dopóki nie osiągną celu. Wypatrują, węszą, śledzą, aż w końcu znajdą wymarzoną ofiarę, z którą będą mogli zrobić wszystko, czego zapragną, również po jej śmierci. Niemal połowa z nich zatrzymuje trofea, które działają jak maleńkie wehikuły czasu. Dotykając bielizny, biżuterii, dokumentów czy fragmentów ciał, są w stanie choć na chwilę raz jeszcze wrócić do swoich zbrodni, by przeżywać je na nowo i na nowo… Czasem samo trofeum to za mało, dlatego decydują się na ryzykowny krok i wracają na miejsce zabójstwa, by po raz kolejny upajać się swoją zuchwałością. Seryjni mordercy bardzo często uważają się za lepszych od innych, ludzkie życie nie ma dla nich żadnej wartości, a pojedyncze jednostki krążą wokół nich tylko po to, by wkrótce stać się źródłem ich zaspokojenia.

Aż 70 procent seryjnych morderców ma lub miało matki alkoholiczki oraz narkomanki i prostytutki. Niezdolne do opieki nad własnym dzieckiem, nie przekazały im najważniejszych wartości, którymi powinni kierować się w dorosłym życiu. Zamiast tego nauczyły ich braku szacunku do ludzkiego zdrowia i życia.

Około 20 procent morderców było w dzieciństwie ofiarami przemocy seksualnej, którą później przełożyli na własne dorosłe już życie. Tło ich zbrodni bardzo często ma kontekst właśnie seksualny. Na co dzień nie potrafią nawiązać zdrowej

relacji, więc decydują się na jej imitację poprzez porywanie, gwałcenie, torturowanie i mordowanie.

Uzbrojeni w taką wiedzę teoretycznie powinniśmy już umieć rozpoznawać seryjnego mordercę. Ale właśnie pada tu słowo klucz: „teoretycznie". W praktyce nasza wiedza pozwala na schwytanie i zdiagnozowanie psychopaty, ale nie uchroni społeczeństwa przed kolejnym mordercą, dla którego jedyny sens istnienia będzie miało odbieranie życia niewinnym ofiarom. Powód naszej bezradności jest bardzo prosty. Seryjni mordercy nie spacerują po ulicach z plakietką na czole: „jestem mordercą". Żyją wśród nas, mijamy ich każdego dnia, zarówno w pracy, sklepie, jak i w szkole czy nawet kościele. Są członkami społeczności, jak każdy z nas, i robią wszystko, by w tej społeczności pozostać jak najdłużej, najlepiej anonimowo. Są przebiegli i wyposażeni w niezwykłe umiejętności manipulacyjne. I właśnie dlatego są tak piekielnie niebezpieczni.

Jeffrey Dahmer, Ted Bundy, John Wayne Gacy, Richard Ramirez, Mariusz Trynkiewicz, Aileen Wuornos i Ed Kemper – oni wszyscy udowodnili, że umiejętność wtapiania się w tłum, jak również nieprzewidywalność są cechami, które mogą okazać się niezwykle zabójcze. By poznać człowieka, trzeba zajrzeć do jego umysłu. A to w wielu przypadkach może być przerażającym doświadczeniem.

W umyśle kryją się pułapki niczym w średniowiecznym lochu – cuchnące zapominki, cele o butelkowatym kształcie wykute w skale, z zapadnią na górze. Nic stamtąd się nie wydostanie. Trzęsienie ziemi, zdrada strażników i iskry pamięci zapalają trujące gazy: stwory więzione przez długie lata wylatują na wolność, gotowe eksplodować bólem i popychać nas do gwałtownych czynów…

Hannibal Lecter

Hannibal, Thomas Harris

BIBLIOGRAFIA

A Jeffrey Dahmer Victim's Relative Freaks Out In Court, https://www.youtube.com/watch?v=ZL8xIi3kyGE

Aileen Wuornos – confession tapes, https://www.youtube.com/watch?v=t7KM7ur7Z7g

Aileen Wuornos Part 3 of 6, https://www.youtube.com/watch?v=EyTUxuDqFlQ&t=17s

Aileen Wuornos Part 4 of 6, https://www.youtube.com/watch?v=jb2vmepoTFY

Aileen Wuornos pleading no contest, https://www.youtube.com/watch?v=w_f6m41UVIE

Aileen Wuornos, https://en.wikipedia.org/wiki/Aileen_Wuornos

Berry-Dee C., *Monster: Aileen Wuornos. Zrozumieć seryjną zabójczynię*, Białystok 2022, s. 21, 35, 95, 102, 103, 132, 137, 152, 153, 179, 180, 220, 232.

Berry-Dee C., *Rozmowy z psychopatami*, Warszawa 2020, s. 50.

Berry-Dee C., *Rozmowy z seryjnymi mordercami*, Warszawa 2020, s. 40.

Book Review/Memoir: Dahmer's Father Also Asks, „Why?": A Father's story by Lionel Dahmer, „Los Angeles Times" 6.04.1994, https://www.latimes.com/archives/la-xpm-1994-04-06-vw-42599-story.html

Carlo P., *Nocny prześladowca*, Białystok 2021, s. 197, 507, 508, 511, 512, 556

Cichy, spokojny, Magdalena Majewska, 1989, https://www.youtube.com/watch?v=iP6u6ZGdr5s

Dahmer L., *A Father's story,* Londyn 1994, s. 34, 37, 53, 108, 110, 112, 133, 134, 140, 161

Dahmer says he's sorry, gets 15 life terms, „Chicago Tribune" 1992, https://www.chicagotribune.com/news/ct-xpm-1992-

02-18-9201150911-story.html

Dateline – Aileen Wuornos – her first death row interview (Aug 1992), https://www.youtube.com/watch?v=sr4mqN2OFVk

Dear Dawn, https://activistjourneys.files.wordpress.com/2016/02/dear-dawn-aileen-wuornos-in-her-own-words1.pdf

Douglas J., Olshaker M., *Mindhunter*, Kraków 2021, s. 123, 124, 130

Ed Kemper, https://pl.wikipedia.org/wiki/Edmund_Kemper

Edmund Kemper Interview in 1984, https://www.youtube.com/watch?v=I8x5PeZZFNs

Edmund Kemper Stories, http://edmundkemperstories.com/

First ever female serial killer: Aileen Wournos 60 Minutes Australia, https://www.youtube.com/watch?v=6_NzXdJWCco

Footage of John Wayne Gacy in prison (1969), https://www.youtube.com/watch?v=6OQrDPgc1U8

Former Lawyer: Ted Bundy Mentally Incompetent to Stand Trial, AP News, https://apnews.com/article/f56b813d78bc620ddb91e8d1d6f92523

Found a grave, https://dev.foundagrave.com/grave/jeffrey-dahmer/

François Bertrand, https://en.wikipedia.org/wiki/Fran%C3%A7ois_Bertrand

Gawliński A., *Nekrofilia jako problem interdyscypilnarny*, UWM 2016, https://wpia.uwm.edu.pl/czasopisma/sites/default/files/uploads/Studia_Prawno_Ustrojowe/2016/34/35-48.pdf

Gil Carrillo Part 1, https://www.youtube.com/watch?v=IsulqZMOy28

Hi, I'm Ted. Case File: Carol DaRonch, 1976,https://hiimted.blog/trial-transcript-carol-daronch-part-ii-1976/

Hi, I'm Ted. Case File: Debra Jean Kent, 1974, https://hiimted.blog/case-file-debra-jean-kent-1974/

Hi, I'm Ted. Trial Transcript: Theodore Bundy, part II, 1976, https://hiimted.blog/trial-transcript-theodore-bundy-part-two-1976/

Inside the Mind of Jeffrey Dahmer: Serial Killer's Chilling Jailhouse Interview, https://www.youtube.com/watch?v=iWjYsxaBjBI

Instytut Psychoterapii Integralnej, https://www.ipri.pl/psychoterapia-krakow/zaburzenia-osobowosci/diagnoza/

Jankowska M., Rola ojca w wychowaniu dziecka, https://www.stowarzyszeniefidesetratio.pl/Presentations0/ojciec.pdf

Jeffrey Dahmer Original Stone Philips Interview = Dahmers Last Interview, https://www.youtube.com/watch?v=GmQL_QF8sCg

Jeffrey Dahmer's killer explains why he did it, CNN 2015, https://edition.cnn.com/2015/04/30/us/feat-jeffrey-dahmer-killer-explanation/index.html

John Wayne Gacy Talks Clowning & „Entertaining" Kids, https://www.youtube.com/watch?v=MyAchQRrSrY

John Wayne Gacy talks, https://www.youtube.com/watch?v=F2EhSJM33HI

Joseph R. Kozenczak, Des Plaines detective chief on the Gacy serial-slayer case, dead at 75, „Chicago Sun Times" 2016, https://chicago-suntimes-com.translate.goog/2016/6/24/18463450/joseph-r-kozenczak-des-plaines-detective-chief-on-the-gacy-serial-slayer-case-dead-at-75?_x_tr_sl=en&_x_tr_tl=pl&_x_tr_hl=pl&_x_tr_pto=sc

Kacperska M.J., *Czym jest zespół Delbrücka?*, https://www.psychiatria.pl/artykul/czym-jest-zespol-delbru-cka/18472o

La Vey A.S., *Biblia Szatana*, Wrocław 1999, s. 31

Lost Portion of Ed Kemper's 1991 Extended Interview, https://www.youtube.com/watch?v=m5NDFhnymMc

Man describes hours – long ordeal before police apprehended Dahmer, „Washington Post" 1992, https://www.washingtonpost.com/archive/politics/1992/02/01/man-describes-hours-long-ordeal-before-police-apprehended-dahmer/e30288f1-eaf3-4a4f-a67b-d7c570b36174/

Mariusz Trynkiewicz mowa końcowa w sądzie rozprawa 29.09.1989 r., https://www.youtube.com/watch?v=2uVcm00UWnE

Mariusz Trynkiewicz wyląduje w psychiatryku!, „Super Express" 2014, https://www.se.pl/wiadomosci/polska/zamkna-trynkiewicza-w-psychiatryku-aa-tLf4-zrj2-FDY9.html

Mariusz Trynkiewicz, sądowe akta sprawy

Mitomania. Na czym polega?, https://psychocare.pl/mitomania-na-czym-polega/

Necrophilia, https://www.encyclopedia.com/social-sciences/encyclopedias-almanacs-transcripts-and-maps/necrophilia

Necrophilia: Forensic and Medico-legal Aspects, Anil Aggrawal, Boca Raton, Florida, 2010, s. 12–13.

Nekrofilia, https://pl.wikipedia.org/wiki/Nekrofilia

Night Stalker, Netflix 2020

Night Stalker: The attack that never happened, „The Orange County Register" 2012, https://www.ocregister.com/2012/08/25/night-stalker-the-attack-that-never-happened/

Parents of Missing Youths Hope, Fear – and Wait, „The New York Times" 1978,https://www.nytimes.com/1978/12/31/archives/parents-of-missing-youths-hope-fearand-wait-told-of-32-killings-not.html

Raz's Midnight Macabre, https://razs-midnight-macabre.com/2014/07/14/real-life-horror-aileen-wuornos/

Richard Ramirez – Nocny prześladowca, [http://ligas.atspace.com/mordercy/ramirez.html

Richard Ramirez Interview of 1995 the parts only when he appears, https://www.youtube.com/watch?v=OzMZyZj5uMU

Richard Ramirez neighbour, school & childhood friends interview, https://www.youtube.com/watch?v=TXsUR-FmCTA

Richard Ramirez's dad questions verdict in „Night Stalker" murder trial, El Paso Times, 1989,https://eu.elpasotimes.com/story/archives/2019/09/26/richard-ramirez-dad-questions-verdict-night-stalker-murder-trial/3776670002/

Rule A., *Ted Bundy. Bestia obok mnie*, Kraków 2021, s. 35, 65

Serial killers, murder and disappearances, https://www.facebook.com/fortheloveofsk/posts/anton-lavey-on-richard-ramirez/118439752931293/

Shattered Sense of Innocence: the 1955 murders of three children in Chicago, https://archive.org/details/isbn_9780809327362/mode/2up

Shirley Humphreys, 60, victims rights advocate, „Tampa Bay" 2005,

*Son of Night Stalker Richard Ramirez victims says, „I wish I'd blown his f***ing head off" in wake of Netflix show*, „The Sun" 2021, https://www.the-sun.com/news/2175162/night-stalker-richard-ramirez-victims-blown-head-off-netflix/

Sullivan K., *Ted Bundy's: murderous mysteries*, Denver 2019, s. 22, 108, 113, 148

Surviving Ted Bundy: Women attacked by notorious serial killer share their stories, CBS News, https://www.cbsnews.com/news/ted-bundy-serial-killer-survivor-stories/

Ted Bundy. Fatalne uzależnienie, https://www.youtube.com/watch?v=8iwOuZ4G9o4&t=2412s

Ted Bundy: Falling for a Killer, Amazon Prime Video 2020

The Last Interview of Aileen Wuornos, https://www.youtube.com/watch?v=K6a5gmbPV98&t=16s

The Strange Connection Between Sean Penn And Richard Ramirez, Nicki Swift 2021, https://www.nicki-swift.com/373473/the-strange-connection-between-sean-penn-and-richard-ramirez/

Where is Patti Vasquez Now? The Cinemaholic 2022, https://thecinemaholic-com.translate.goog/where-is-patti-vasquez-now/?_x_tr_sl=en&_x_tr_tl=pl&_x_tr_hl=pl&_x_tr_pto=sc